

José Carlos  
Somoza

KLUCZ  
DO OTCHŁANI

*La Llave del Abismo*

Przełożyła  
Barbara Jaroszuk

**Warszawskie Wydawnictwo Literackie**

**MUZA SA**

**Warszawa 2009**



*Marii José,  
która jest moją wiarą*

Wiemy, że Biblia ma zawierać Słowo Boże,  
gdy tymczasem *Księga tysiąca i jednej nocy*  
to zbiór zmyślonych historyjek. To jest obwoluta:  
to, co wiemy, lub chcemy wiedzieć na temat tych dzieł.

A teraz wyobraźmy sobie, że Biblia i *Księga tysiąca i jednej nocy*  
wiele pokoleń temu zamieniły się okładkami: dzisiaj o poczynaniach Jahwe  
czytano by ku ogromnej ucieście dzieciom na dobranoc (...),  
heretycy zaś szliby na tortury za przeczenie świętości Szeherezady.  
*(fragment przedbiblijnego tekstu o nieznanym pochodzeniu)*

Potem ujrzałem anioła zstępującego z nieba,  
a w ręku jego klucz do Otchłani.  
*(fragment przedbiblijnego tekstu o nieznanym pochodzeniu)*

Jeżeli ta otchłań i to, co w niej się kryje, istnieją naprawdę, nie ma już dla nas nadziei.  
*(Najświętsza Biblia, Rozdział Jedenasty, 8,28)*

# CZEŚĆ PIERWSZA

## NIEMCY

Okna i nagie ściany w obłąd prowadzą tego, kto śni i czyta zbyt wiele.

*(Najświętsza Biblia, Rozdział Pierwszy, 2)*

# Rozdział pierwszy

## *Klaus*

### 1

W pewien pochmurny jesienny poranek Klaus Siegel, młody człowiek zamieszkały przy małej uliczce w zachodnim Dortmundzie, wyszedł z domu i ruszył na piechotę w stronę stacji kolejowej. Uporczywa mżawka jak złoty pył opadała na chodniki pod zapalonymi jeszcze latarniami, długie jasne włosy oblepiały głowę Klause i jego okryte luźną czerwoną tuniką ramiona. Szedł, machając lewą ręką, z prawą schowaną pod ubraniem. Na dworcu ustawił się w kolejce do automatu i kupił bilet na Wielki Pociąg o 7.45 do Hamburga. Podał pieniądze lewą, lśniąca od deszczu dłonią. Tą samą dłonią przytrzymał się, wsiadając, chromowanego uchwyty przy automatycznych drzwiach. Zajął jeden z czterech ustawionych obok siebie foteli, na górnym poziomie sekcji środkowej, i pociąg ruszył.

Na sąsiednich miejscach nie było nikogo. Nikt też nie zwrócił na Klause uwagi. Wyglądał zwyczajnie, na jego twarzy nie malował się żaden szczególny wyraz, podobnie jak na twarzach pozostałych pasażerów.

Kapiące z tuniki krople tworzyły mu wokół sandałów niewielką kałużę, która stopniowo, w miarę jak pociąg nabierał prędkości, powiększała się i ciemniała, zabarwiając się na czerwono.

### 2

Krew zauważył najpierw Daniel Kean, drugi konduktor z sekcji czwartej.

Daniel Kean był wysoki i szczupły, miał dwadzieścia dziewięć lat, delikatne rysy,

wielkie błękitne oczy i złociste włosy do pasa. W jego wyglądzie zwracał uwagę jedynie ciemny kosmyk na czubku głowy. Poza tym o tej wczesnej porze Daniel niczym się nie różnił od innych, którzy wstali zbyt wcześnie i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieli się położyć zbyt późno. Na jego gładkiej twarzy pod napuchniętymi od snu oczami zaznaczały się głębokie cienie. Od dwudziestego roku życia pracował bez wytchnienia, biorąc dodatkowe dyżury, wciąż dla tej samej firmy, początkowo w Hamburgu, później w Hanowerze i na koniec w Dortmundzie. Często przenoszono go z miejsca na miejsce, każąc mu zastępować innych, których przenoszono z miejsca na miejsce równie często. Tak czy owak Danielowi nie robiło to większej różnicy, jako że miasta były zawsze takie same, i w Niemczech, i na całej Północy.

Tego ranka, dwie godziny przed odjazdem Wielkiego Pociągu, Daniel obudził się i stwierdził, że Bijou już wstała. Gdy pocałowali się na dzień dobry, opowiedział jej swój sen, w którym jeszcze jej nie znał, a potem nagle się spotykali.

- I co było w tym najlepsze? - zapytała Bijou, czesząc przed lustrem swoje długie brązowe włosy. - To, że mnie nie znałeś, czy to, że się nagle spotkaliśmy?

- Ponowna radość z tego spotkania - odparł. - O, ale ładnie mi się powiedziało - dorzucił.

- Owszem, zauważyłam.

Bijou miała dwadzieścia osiem lat, ale sprawiała wrażenie dużo młodszej. Patrząc na nią, Daniel zawsze wyobrażał sobie dziewczynkę, którą kiedyś była, dziecko o wielkich ciemnych oczach przywodzących na myśl szeroko otwarte okna. Uwielbiał w niej też to, że prawie nigdy się nie uśmiechała, a zawsze wyglądała na wesołą. Uważał, że tylko smutni ludzie muszą się uśmiechać.

- Ale teraz lepiej pomyśl, co by tu ładnego powiedzieć Yun - dodała Bijou, kończąc się ubierać. - Też miałam dziś w nocy sen, tyle że nie tak miły jak twój.

Mała Yun była ich wymarzonym dzieckiem i mimo kłopotów, jakich im przysparzała, zgadzali się co do tego, że decydując się na nią, powzięli najtrafniejsze postanowienie swego życia. Kiedy Daniel zajrzał do pokoju dziecinnego, dziewczynka podniosła na niego swoje duże, skośne, bardzo poważne oczy. Czytała; ostatnimi czasy nie robiła nic innego. Było to normalne w rozwoju sześciolatka, lecz Daniel martwił się trochę, że w jego córce już wkrótce nie zostanie nic z dawnego dziecka: im więcej czasu spędzała nad książkami, tym poważniejsze stawało się jej spojrzenie.

- Miałam zły sen, tato - powiedziała.

- Opowiedz mi go.

Milczała przez chwilę.

- Śniło mi się, że odjeżdżasz bardzo ciemnym pociągiem i już nigdy nie wracasz. Chciałeś wrócić, ale nie mogłeś. No i nie wracałeś.

- A mnie śniło się co innego - odparł Daniel, przykucając przed nią z uśmiechem. - Że znowu spotykam mamę i kocham ją tak mocno jak zawsze.

- Mnie tam z wami nie było?

- Jeszcze nie. Ale wiedziałem, że się pojawisz, i bardzo się z tego cieszyłem, bo w jakiś sposób cię pamiętałem. Myślałem sobie: „Znam już mamę Yun, wkrótce pojawi się i ona”.

- I co to znaczy?

Daniel pogłaskał ją po buzi.

- Nic. Po prostu mnie mój sen uszczęśliwił, a ciebie twój zasmucił. Sny mogą być dobre lub złe, Yun, ale nic nie znaczą.

- Mama mówi, że ich potrzebujemy, bo żyjemy w wielkich miastach.

Daniel przytaknął, choć nie do końca się z tym zgadzał. Podobnie jak z innymi biblijnymi naukami, które Bijou przekazywała córce. Była wierząca, on zaś nie, dlatego postanowili wychowywać Yun w ten sposób, aby w przyszłości sama mogła zdecydować, co jej bardziej odpowiada. Zresztą, wszystkie naprawdę dziwne rzeczy Bijou pomijała, ograniczając się do najpopularniejszych wierzeń.

- Ze snami jest jak z jedzeniem - uśmiechnął się Daniel. - Czasem nam smakuje, a czasem nie, jeść jednak trzeba. Co mi przypomina, że umieram z głodu...

Wstał, a śmiertelnie poważne oczy Yun powędrowały za nim.

- Pojedziesz dziś?

- Na tym polega moja praca. Ale nie martw się, to nie będzie ten ciemny pociąg z twojego snu, tylko inny, nazywany Wielkim. Też nim jechałaś, pamiętasz? Cały lśni i ma szklany dach. No i obiecuję, że wrócę, zanim pójdziesz spać, a wtedy zamienimy się snami: ja wezmę ten o ciemnym pociągu, a tobie przyśni się spotkanie ze mną i z mamą.

Próbował ją rozśmieszyć, lecz Yun tylko pokręciła główką.

- Nie chcę, żeby ci się śnił ten pociąg. Nie spodobałby ci się.

- W takim razie żadne z nas nie będzie już o nim śniło - oświadczył Daniel i pocałował ją w czoło.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że do pokoju zagląda Bijou.

- Czy panienka nie powinna się już ubierać? Dzisiaj zaczynam pracę, więc musimy wyjść wcześniej.

Bijou dostała posadę bibliotekarki w szkole, do której chodziła Yun, co wszystkim trojgu wydawało się doskonałym rozwiązaniem. Pensja była wprawdzie niska, ale Yun miała w pobliżu przynajmniej jedno z rodziców.

Stali przez chwilę, przyglądając się, jak dziewczynka pieczołowicie wkłada granatową, haftowaną w gwiazdki tunikę. Potem wrócili do sypialni, gdzie Daniel też ubrał się do końca. Pogryzając na śniadanie sucharki, wymieniali się cichymi uwagami.

- Dużo śni - powiedziała Bijou. - I za dużo czyta.

- Tak jest ze wszystkimi dziećmi w pewnym wieku.

- Tak, tylko że ona zaczęła się bać.

- To znaczy, że dorasta - stwierdził Daniel.

- Może powinniśmy zabrać ją gdzieś poza miasto... Do parku... - Bijou w zamyśleniu dotykała palcem do ust.

Daniel pocałował i usta, i palec.

- Słusznie. Za dwa dni mam przerwę. Jeśli załatwisz sobie wolne w szkole...

Postanowili, że tak właśnie zrobią. Później Daniel poprosił Bijou, żeby pożegnała od niego Yun: nie chciał, żeby córka widziała, jak on wychodzi. Nie ulegało wątpliwości, że jest ostatnio inna niż zwykle, tłumaczył to jednak naturalnym rozwojem i podejrzewał, że Bijou pragnęłaby po prostu zatrzymać dawne małżeństwo, które śmiało się zaraźliwie, mrużąc swoje skośne oczka. Oczywiście sam również tęsknił za tamtym okresem, lecz zakładał, że ta nostalgia stanowi z kolei naturalny etap rozwoju każdego ojca. Poza tym nic nie stało na przeszkodzie, by mieć więcej dzieci i znowu cieszyć się ich beztróską. A raczej nic nie stałoby na przeszkodzie, gdyby dostał awans. Dodatkowe pieniądze rozwiązałyby problem. Myśląc o tym, ruszył do pracy.

Wyszedł z domu o tej samej godzinie co Klaus Siegel. Jednocześnie przebyli równoległe ulice w cieniu identycznych, dymiących pod fioletowym niebem wież, jednocześnie dotarli na dworzec i wsiedli w ten sam pociąg.

### 3

Wielki Pociąg. Gigantyczny, cały ze szkła i stali. Dwa poziomy w każdej z czternastu olbrzymich, liczących ponad pięćdziesiąt miejsc sekcji. Potężne koła trzeszczące pod ogromnym ciężarem, syjące po torach snopami iskier. Zapach rozgrzanego metalu. Piękno i groza. Będąc w środku, podziwiając wysoki sufit, żyrandole i gzymsy, grube, bogato



zdobione ramy luster i obite skórą lub wykładane malowanym szkłem ściany, czuło się wyraźnie, że świat wciąż kryje prawdziwe skarby, wykonane ludzką ręką porażające cuda. Zarazem jednak, z jakiegoś dziwnego powodu, którego Daniel Kean nie potrafił sobie wytłumaczyć, człowiek odnosił wrażenie, że wchodząc do środka, zdaje się na łaskę tej maszyny. Drżenie w piersiach i potężny stukot pod stopami uświadamiały mu, że odtąd do niej należy. Każdy, czy to pasażer, czy pracownik, nieuchronnie dochodził do wniosku, że jest tylko drobiną z mięsa i krwi zamkniętą w brzuchu najwyższej technologii.

Daniel lubił to uczucie i podejrzewał, że jego koledzy też je lubią. Jeśli ktoś pracował w Wielkim Pociągu, Wielki Pociąg go chronił.

Daniel podlegał pierwszemu konduktorowi w sekcji czwartej. Dla ułatwienia podzielili się pracą i Daniel zajmował się wyłącznie górą. Jednakże służbowa szatnia znajdowała się na końcu składu, w sekcji czternastej, dlatego najpierw poszedł się przebrać w swój dwuczęściowy szary uniform ze ściągaczami przy nadgarstkach, w kostkach i w pasie, z materiału w czarne kwiaty - logo firmy. Założył też przepisowe sandały, wetknął do lewego ucha słuchawkę, przez którą odbierał polecenia kierowniczkę sekcji, i uczesał się stosownie do wymogów firmowej „elegancji”, tak, by długie włosy spływały mu na ramiona, zakrywając przy okazji słuchawkę. Kiedy pociąg opuszczał stację, Daniel, już w służbowym stroju, ruszył górą w stronę swojej sekcji, pozdrawiając kolegów i uśmiechając się do patrzących na niego pasażerów.

I właśnie wtedy, dotarwszy do sekcji siódmej, zauważył Klausa Siegla.

Znajdowało się tu jakieś trzydzieści osób. Klaus siedział po prawej stronie, przy samych drzwiach, toteż Daniel zobaczył go od razu. Nie zwróciłby na niego większej uwagi, gdyby nie to, że Klaus najwyraźniej próbował wezwać odpowiedzialnego za tę sekcję konduktora. Zamiast jednak nacisnąć służący do tego celu guzik albo zawołać, podniósł rękę, a że konduktor stał akurat tyłem, nic nie zauważył.

Daniel mógł po prostu dać znać koledze (lub koleżance, nie miał pewności - ani mundury, ani, rzecz jasna, ciała, widziane od tyłu, nie pozwalały odgadnąć płci), ale zamiast tego postanowił samemu sprawdzić, o co chodzi. Zawsze mógł później przekazać życzenie pasażera właściwej osobie.

Przywołał na twarz uprzejmy służbowy uśmiech i nachylił się lekko.

- Dzień dobry, nazywam się Daniel Kean i należę do obsługi sekcji czwartej. Czy mogę w czymś pomóc?

Chłopak podniósł na niego wzrok. Siedział tuż koło okna. W szybę, oświetlaną przez migające na zewnątrz światła, uderzały poskręcane bicze deszczu. W środku panowały cisza i

spokój, na zewnątrz był tylko ryk i chaos.

- Tak, ty też się nadasz - rzekł Klaus Siegel, powoli kiwając głową.

## 4

Wydawał się niemal dzieckiem. To przede wszystkim rzuciło się w oczy Danielowi. Oczywiście, mógł być w dowolnym wieku, lecz coś w wyrazie jego twarzy nasuwało skojarzenia z najwcześniejszą młodością. Proste, wilgotne teraz włosy, rozdzielone zygzakowatym przedziałkiem, tworzyły mu na czole trójkąt, którego podstawę wyznaczały cieniutkie brwi. Wielkie brązowe oczy i małe, mięsiste, różowe usta nadawały tej fizjonomii szczególny charakter; w dodatku chłopak w ogóle nie mrugał. Miał na sobie długą czerwoną tunikę z błyszczącymi arabeskami na piersiach. Gestykulował wyłącznie lewą ręką, prawą trzymając pod ubraniem.

- Nazywam się Klaus Siegel - powiedział. Mówił tak, jak gdyby właśnie budził się z głębokiego snu albo może akurat się w niego zapadał. - Usiądź, proszę. - Wskazał fotel naprzeciwko.

Jego ton i zachowanie zaniepokoiły Daniela. Nie bardzo, tylko trochę. Od lat stykał się z najróżniejszymi pasażerami, wierzącymi i niewierzącymi, umiał więc rozpoznać osobę „specyficzną”. Nieruchome spojrzenie i apatyczny głos Klausa Siegla pozwalały przypuszczać, że on i rzeczywistość niewiele mają ze sobą wspólnego. Mimo to Daniel zdołał zachować swój uprzejmy uśmiech.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie wolno nam siadać z pasażerami. Mój kolega z pewnością...

Urwał, dostrzegłszy ciemną plamę na podłodze.

Ściana za plecami Klausa Siegla była intensywnie czerwonego koloru, podobnie jak jego tunika, a także fotel i cała podłoga, dlatego owa plama wydawała się jedynie cieniem pod czerwonymi butami siedzącego. W pierwszej chwili Daniel nie pomyślał o niczym konkretnym. Nawet się nie zdziwił. A jednak na sekundę stanęła mu przed oczami Yun, tak poważna jak z rana. Klaus Siegel patrzył podobnie jak ona.

- Proszę zaczekać - rzekł ze spokojem. - Proszę nikogo nie wołać. Proszę zaczekać i przyjrzeć się temu.

Nadal posługiwał się jedynie lewą ręką. Jak wielu innych młodych ludzi miał zadbane, pomalowane na fioletowo paznokcie. Rozchylił błyszczącą tunikę do połowy piersi. Fala

egzotycznego zapachu buchnęła z jego odsłoniętego ciała. Uśmiechnął się, drwiąco wyginając mięsiste wargi.

Czerwone krople wciąż ściekały mu na nogi.

Daniel cofnął się o krok.

Niektórzy pasażerowie z sąsiednich rzędów popatrywali pytająco, lecz tylko siedzący najbliżej okazali przestrach. Tu i ówdzie odezwały się zaniepokojone głosy, ktoś wskazał na pierś Klausa.

Danielowi wydawało się, że wszystko dzieje się dziwnie wolno. Kątem oka zauważył, że stojący dotąd tyłem kolega odwrócił się wreszcie i idzie w ich stronę. Właściwie, sądząc po wypychających górną część uniformu piersiach, była to kobieta. Daniel nie wiedział, jak się nazywa. Co zresztą nie miało najmniejszego znaczenia. Znaczenie miało tylko to, by jakoś się uspokoić i pozwolić innym rozwiązać niespodziewany problem. *Zasada numer jeden: co robić, kiedy...? Zawiadomić zwierzchnika.* Lewą dłonią odgarnął włosy, żeby włączyć słuchawkę w ucho. Sądził, że tym nerwowym ruchem zdradził swoje intencje, ale Klaus wciąż patrzył na niego w milczeniu.

- Muszę skontaktować się z przełożonymi, proszę pana - uprzedził Daniel.

- Nie zrozumiałeś mnie. Chcę rozmawiać tylko z *tobą*. Proszę, usiądź.

Daniel zawahał się. Ujrzał, jak koleżanka na widok Klausa wykrzywia twarz w przerażeniu.

- Proszę odejść - rzekł do niej Klaus, niezmiennie spokojnym, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Niech nikt nie podchodzi. Oprócz *niego*.

Znajdujący się najbliżej pasażerowie zdążyli się już zerwać na równe nogi i stali teraz, zadając pytania albo próbując na nie odpowiadać. Daniel i konduktorka wymienili spojrzenia, podjąwszy najwyraźniej taką samą decyzję. Potem kobieta zwróciła się do pasażerów, przemawiając do nich kojącym, typowym dla obsługi Wielkiego Pociągu głosem, a Daniel usiadł na miejscu naprzeciw Klausa. W lewym uchu rozbrzmiała mu delikatna harfowa muzyka, a po niej zdenerwowany głos Merli Shank, kierowniczkii sekcji czwartej. Daniel uznał, że ukryte w żyrandolach kamery poszły już w ruch i właśnie pokazują Merli to samo, na co patrzy i on.

- O nie - powiedziała Merla Shank. - Co to jest?

Cokolwiek to było, Daniela przerażało znacznie bardziej niż ją.

Dziewczyna szła pewnie, jak nóż zagłębiający się w ciało.

Z sekcji do sekcji, z dołu na górę i z góry na dół, zaczynając od czoła pociągu. Przystawała na moment, potem wspinała się po schodach, przemykała wśród foteli, wracała na dół i przechodziła dalej. Bez wytchnienia.

Szukała.

Pewność, co znajdzie, zdawała się przebijać z każdego jej ruchu.

Opuszczając sekcję szóstą, zatrzymała się, uniosła głowę i mocniej wciągnęła powietrze, jakby węszyła. Po krótkiej chwili ruszyła przed siebie, ale już nie tak szybko. Kilka metrów przed schodami wiodącymi na górny poziom sekcji siódmej przystanęła znowu.

Wielki Pociąg mijał teraz budynki tuż przy torach. Widoczne w oświetlonych oknach twarze - nieme, wpatrzone w pociąg maski - migwały jak pociski wystrzelone w przeciwnym kierunku. Potem nagle tunel zmiotł je jak kurtyna. Korytarz pogrążył się w ciemności, ale wydawało się, że dla dziewczyny to bez znaczenia.

Zanim jeszcze pociąg wyjechał z tunelu, pojawiło się kilku konduktorów. Rozmawiali, odbierali lub wydawali polecenia, z niepokojem spoglądając ku górze. Zablokowali drogę do schodów, ale sami wchodzić po nich chyba nie zamierzali.

Zamiast tego parę osób zeszło. Najpierw konduktorka, a za nią rządkiem przestraszonych, milczących, zdyscyplinowanych postaci.

W pobliżu schodów stało kilka foteli w kształcie świetlistych sześcianów z wyjętymi dwoma bokami. Dziewczyna usiadła i musnęła dłonią podwójną czarną obrozę na szyi. Natychmiast usłyszała głos. Cicha rozmowa trwała krótko, potem dziewczyna wyłączyła przekaźnik.

Czekała.

## 6

Klaus postawił jeden warunek. Powiedział, że pociąg ma jechać, nie zatrzymując się na żadnej stacji, podczas gdy on sam będzie spokojnie i bez przeszkód rozmawiał z Danielem. Chciał mu coś powiedzieć - tylko jemu. W zamian zgodził się, żeby pozostali pasażerowie zeszli na dół, zostawiając ich samych.

Tak też uczynili, idąc gęsiego za konduktorką, bez mdlenia, krzyków czy jakichkolwiek oznak paniki. Przygarbieni, z pospuszczanymi głowami, z góry godzili się na swój los. Daniel zrozumiał po chwili, że ich rezygnacja wynika z przyzwyczajenia. Charakter

nie miał tu nic do rzeczy - chodziło o świat, w jakim żyli. Zabijanie innych bez słowa wyjaśnienia leży w naturze szaleńca, rozumowali. Czemu tu się dziwić? Coś podobnego mogło się zdarzyć każdemu, w dowolnej chwili, i nie ulegało wątpliwości, że ten rodzaj śmierci bynajmniej nie należy do najgorszych. Prawdziwą, a w gruncie rzeczy jedyną treść życia, podstawowy składnik świata - stanowił strach. Strach przed śmiercią, przed szaleństwem, przed tym, że padnie się ofiarą czyjejś agresji albo samemu się aktu takiej agresji dokona, i przed rzeczami dużo jeszcze gorszymi. Rząd był rządem, ponieważ w miarę możliwości starał się chronić obywateli, ale to „w miarę możliwości” obejmowało tylko niektóre warianty rozwoju wydarzeń. Tak wyglądało zwyczajne życie, należało się z tym pogodzić.

Zresztą Daniel nie żywił do obłąkanego Klause Siegla urazy. Patrząc z bliska na jego odsłonięte, okaleczone ciało, prawie mu współczuł. Ileż ten chłopak mógł mieć lat? Najwyżej kilkanaście. Daniel postanowił go o to zapytać. Okazało się, że Klaus jest starszy, niżby się wydawało.

- Skończyłem dwadzieścia - oświadczył z urażoną miną. - Poza tym doświadczenia mi nie brakuje. Pracuję jako drugi asystent chemika w fabryce materiałów wybuchowych na obrzeżach miasta. Fabryka nazywa się Siegel, tak jak ja, ale moja rodzina nie ma z nią nic wspólnego. Planowałem to od wielu miesięcy. Co tydzień podkradałem małe ilości rozmaitych substancji, żeby nikt się nie zorientował. Przygotowałem wszystko w domu. Znam się na tym i jeśli zobaczy mnie jakiś specjalista, na pewno uwierzy. Spójrz.

- Ale ja też ci wierzę - pospiesznie zapewnił Daniel.

- Nieważne. Spójrz.

Daniel Kean zmusił się do przeniesienia wzroku na jego pierś. Myślał, że już się przyzwyczaił do tego widoku, lecz przecenił swoje możliwości. Poczł dreszcz, widząc, z jaką zręcznością Klaus poprzecinał delikatną skórę, by w nacięciach umieścić coś, co przypominało cieniusieńkie płytki, od których biegły przewody, łączące się na dole z poziomą blaszką. Całość przywodziła na myśl strunowy instrument muzyczny. Daniel sądził początkowo, że kabelki są czerwone od krwi, która wciąż sączyła się z ran, ale przyjrawszy się lepiej, odkrył, że to farba: wszystkie pomalowane zostały na czerwono, z wyjątkiem trzeciego od lewej, z perspektywy Daniela, albo od prawej, z perspektywy Klause. Ten jeden był biały, wygięty lekko na zewnątrz, i kończył się pętelką, w której chłopak trzymał kciuk prawej dłoni, nieruchomo, jak gotowy do gry lutnista.

- Wiesz, co się stanie, jeśli opuszczę rękę i pociągnę za ten kabelek? - zapytał.

Daniel potrafił to sobie wyobrazić. Zastanawiał się, czy Merla i jej ekipa widzą wszystko wystarczająco dokładnie, i uczepił się nadziei (słabej), że Klaus blefuje. Jakby w

odpowiedzi na jego myśli w słuchawce dał się słyszeć przerażony szept Merli.

- Nie wygląda to dobrze, skarbie. O ile możemy stąd oceniać, ta instalacja zadziała. Chociaż jest bardzo dziwna; tylko szaleniec skonstruowałby coś podobnego. Spróbuję ci wytłumaczyć, jak to funkcjonuje, ale będę przerywać za każdym razem, gdy on się odezwie, żeby się nie domyślił, że jesteśmy w kontakcie, zgoda? Kiwnij głową, jeśli mnie dobrze usłyszałeś.

- Zdecydowałem się na takie rozwiązanie, abyście nie mogli mnie powstrzymać - powiedział Klaus, przekonany chyba, że Daniel kiwa na znak zrozumienia. - Wszystko przewidziałem, więc nawet nie próbuj żadnych sztuczek.

Daniel usiłował przybrać wyraz twarzy, który najlepiej świadczyłby o tym, że sztuczki mu nie w głowie, jednocześnie starając się zrozumieć skomplikowane wyjaśnienia Merli Shank. Niestety słyszał tylko co drugie zdanie.

- Przewodów jest czternaście. Każdy z trzynastu czerwonych... z jednym z ładunków... - Tu podała techniczną nazwę, której nie zrozumiał. - Bardzo sprytne, bo ani kamery, ani... nie wykrywają dwuwymiarowych organicznych ładunków ukrytych pod skórą... Detonację wywołać może tylko ten biały kabelek, który zwisa... kciukiem... pociągnięcie. Ma dwa centymetry... luźno... Jeśli spróbujemy unieszkodliwić chłopaka z dystansu, nie zdążymy zapobiec eksplozji... Tyle że jeśli ten kretyn zaśnie albo zemdleje, skutek będzie ten sam... Słyszysz mnie, Daniel? Nie pozwól, żeby coś podejrzewał, udawaj, że go słuchasz...

Nie musiał udawać. Słuchał go co najmniej tak samo uważnie jak jej.

- Bardzo mi przykro - mówił właśnie Klaus, który sprawiał wrażenie, jakby kręciło mu się w głowie. - Wiem, że to okropne, co robię, ale... muszę, naprawdę...

W słuchawce zatrzeszczał nowy głos: szybki, zdecydowany, władczy.

- Danielu, tu Elsevier Olsen, szef Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego. - Na Danielu wywarło to spore wrażenie. Z szefami Wydziału Bezpieczeństwa nie rozmawiało się na co dzień: jakiegokolwiek mieli wobec ciebie plany, mogłeś się im jedynie podporządkować. - Od tej chwili przejmuję odpowiedzialność za całą akcję. Jesteśmy na razie poza pociągiem, ale jedziemy tuż za wami w służbowym wozie. Najważniejsze, żebyś nie pozwolił temu wariatowi stracić przytomności. Zadawaj mu pytania!

A zatem, gdy w słuchawce zapadła cisza, Daniel spróbował coś wymyślić.

- Nie rozumiem, Klaus... Dlaczego musisz?

Chłopak wpatrywał się w niego, nieruchomym, rybitym spojrzeniem.

- Już mówiłem: chcę ci coś powiedzieć na osobności. Nie dało się inaczej, wierz mi... To musiało się odbyć dzisiaj, teraz, tutaj i w taki sposób. Ty i ja. Nie było rady.

- Daniel - włączył się znowu Olsen - spróbuj udać, że nie możesz dalej rozmawiać, zacznij histeryzować. Chcę, żeby ci pozwolił odetchnąć.

Daniel wahał się przez chwilę, lecz wobec nalegań Olsena w końcu pochylił się, zatrząsł i zaszlochał. Pomyślał, że przesadził ze środkami wyrazu, ale Klaus chyba dał się nabrać. Jego milczenie wykorzystał Olsen.

- Doskonale. Teraz uspokój się i słuchaj. Chłopak, chociaż ma nie po kolei w głowie, to jednak nie kłamie. Rzeczywiście pracuje w Sieglu, ukraść materiał wybuchowy i skonstruował bombę w domu. Zebraliśmy o nim trochę informacji. To wyznawca Rozdziału Pierwszego, jeden z tych, co to śnią i czytają zbyt wiele, żyjąc wśród okien i nagich ścian, jak mówi Biblia. Może ci zacząć opowiadać o nimfach, delfinach albo ognistych wirach, musisz być przygotowany na wszystko... Chodzi o to, żebyś nie pozwolił mu zamknąć oczu ani się zdekoncentrować...

Daniel słuchał z taką uwagą, że zapomniał udawać hysterii. Klaus zmarszczył brwi i ta jedna rysa na jego kredowobiałym czole wystarczyła, by Daniel wpadł w panikę.

- Co z tobą? - spytał podejrzliwie szaleniec. - O czym tak myślisz?

- Nie może zgadnąć, że się z tobą kontaktujemy - podkreślił Olsen.

- Boję się - rzucił Daniel i pomyślał, że w ten sposób odpowiedział im obu.

Jakby dopiero teraz w pełni świadom swojej sytuacji, przeniósł spojrzenie na okręcony przewodem kciuk.

*Palec. Kabel.*

- Ja też - przyznał Klaus. - Ale zostałem wybrany, tak samo jak ty.

- Ja? Wybrany? Do czego?

- Do wysłuchania tego, co ci powiem. To tajemnica.

- Dlaczego ja? - jęknął Daniel. - Dlaczego to muszę być ja?

- Kto wie, dlaczego my, wybrańcy, zostaliśmy wybrani - zaczął filozoficznie Klaus. - Rodzisz się, dorastasz, wydaje ci się, że żyjesz w normalnym świecie, aż pewnego dnia odkrywasz, że albo z tobą, albo ze światem coś jest nie tak. W ten sposób dowiadujesz się, że jesteś wybrańcem. Chciałem zawołać twoją koleżankę, a podszedłeś ty. To przeznaczenie. - Nagle wyrzwał przez okno. - Przypatrz się naszym miastom - powiedział.

Daniel, który nie odrywał wzroku od jego kciuka, usłuchał z trudem. Przez chwilę obserwował, jak wywoływane z nicości przez rozpędzony pociąg, stłoczone, migają za szybą budynki z cegły i betonu, wysokie wieże z grzywami dymów, niebudzące ciekawości mury i wreszcie, ledwie widoczne między dachami, cienkie skrawki nieba.

- Czy w takim świecie nie lepiej czuć się do czegoś wybranym? - spytał Klaus.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć - odparł Daniel.

Zgadzał się, że sceneria niespecjalnie zachwyca, ale pragnął w niej żyć, tu czy gdzie indziej, wszystko jedno, byle żyć. Sama myśl, że mógłby więcej nie zobaczyć Yun ani Bijou, sprawiała mu przenikliwy ból.

- W czasach, gdy świat się zestarzał, a cuda odbiegły umysł człowieczy - wyrecytował Klaus - narodził się ktoś, kto poświęcił życie, by trafić tam, gdzie schroniły się sny... Pewnie pamiętasz Rozdział Pierwszy... Wierzysz w Biblię?

Co należało na to odpowiedzieć? Olsen również zdawał się wahać, a kiedy wreszcie oświadczył, że lepiej odrzec: „tak”, było za późno: Daniel odczuł nagle przymus szczerości.

- Nie - oświadczył. - Nie jestem wierzący.

Klaus spojrzał na niego ze spokojem, który nie bardzo harmonizował z jego zakrwawionym ciałem i krzykliwą czerwienią ściany z tyłu. Zmieniając pozycję, napiął mięśnie klatki piersiowej, a wtedy nowa kropla krwi wypłynęła z jednej z makabrycznych kieszeni wyciętych w jego ciele i połyskując jak klejnot, spłynęła na brzuch. Ale kciukiem nie poruszył.

- To bez znaczenia - stwierdził. - Bo co znaczy wierzyć? - mówił dalej powoli i z powagą. - To szukać, nie znajdować, a jednak nie dawać za wygraną. To powtarzać sobie: „Coś tu jest” i znowu szukać, wiedząc, że w końcu się znajdzie...

- Klaus, ja mam córkę... - przerwał mu Daniel. - Sześciolletnią córeczkę. Proszę... Tak bardzo chciałbym ją jeszcze zobaczyć.

- Bardzo dobrze - pochwalił Olsen. - Zmień temat, niech się ożywi. Stracił dużo krwi i trochę opuścił rękę. Zostało kilka milimetrów. Nie możesz mu pozwolić odpłynąć.

- I zobaczysz - stwierdził w tym czasie Klaus. W jego głosie nie było emocji. Patrzył na Daniela, wciąż nie mrugając, ale jego powieki zaczynały opadać. - Nikomu nic się nie stanie, masz moje słowo... Tylko musisz wysłuchać tego, co chcę ci powiedzieć. Wysłuchasz tego, dobrze to sobie zapamiętasz, ale zachowasz dla siebie. Musisz mi przyrzec, że nikomu nie powiesz. To, co usłyszysz, przeznaczone jest wyłącznie dla uszu wybrańca. A potem... - sięgnął lewą dłonią pod tunikę i zacisnął na czymś palce. - A potem osobiście przetniesz ten biały przewód. - Otworzył drobną pięść, ukazując stalowe, ostro zakończone szczypczyki. - To wszystko. Zrozumiałeś, Danielu Keanie?

W tym, że znał jego nazwisko, nie było nic dziwnego, przecież na początku obaj się przedstawili. Jednakże Danielowi przysła nagle do głowy absurdalna myśl, że Klaus go zna.

Że znalazł się w tym pociągu ze względu na niego.



- Nie - powiedział Klaus Siegel. - Siedzisz za daleko. Przysuń się... Najlepiej kucnij tu obok. Chcę ci to powiedzieć na ucho.

- Spokojnie - powtarzał Olsen. - Wszystko będzie dobrze. Zrób, co ci każe.

Drżąc na całym ciele, Daniel wstał z fotela i przyklęknął; spod półdługich nogawek uniformu wystawały mu kolana.

- A teraz uważnie go wysłuchaj - instruował dalej Olsen. - Bez względu na absurdalność tego, co ci powie, nie okazuj zdziwienia. Tylko słuchaj. Później...

Nagle coś się stało z przestrzenią - jakby rozszerzyła się w nieskończoność.

W stanie pomieszenia, w jakim się znajdował, Daniel sądził przez chwilę, że tak właśnie umiera się od bomby: że przestrzeń rozerwanego na strzępy ciała rozszerza się w nieskończoność. Ale to otworzyły się tylko drzwi prowadzące na górny poziom sekcji ósmej. Pierwsza z postaci, które się w nich ukazały, wydała się Danielowi kobietą, ale gdy odwróciła się przodem, okazało się, że to mężczyzna, o ciele zaprojektowanym do walki i ubranym w biały, krótki strój jednostek interwencyjnych. Druga osoba, tym razem rzeczywiście kobieta, miała na sobie dwuczęściowy, czarny haftowany uniform z czerwonym kołnierzem noszonym przez personel medyczny. Wpadli tak niespodziewanie, że Daniel poderwał się na równe nogi.

- Miło mi pana poznać, panie Siegel - szybko zaczęła kobieta. - Jestem doktor Brunswick, lekarz dyżurny Wielkiego Pociągu. Chciałabym z panem porozmawiać.

Klaus i Olsen zaczęli mówić jednocześnie. Zaraz też dołączył do nich ten z jednostki interwencyjnej. Uszy Daniela Keana na chwilę przestały rozróżniać dźwięki. Zresztą to, na czym Daniel chciał się skupić, jedyne, co się naprawdę liczyło - położenie kciuka Klause - nie wiązało się z żadnym odgłosem.

- Jestem pewna, że możemy panu pomóc, panie Siegel. - Lekarka wyglądała na bardzo młodą, choć jej prawdziwego wieku nie dało się, rzecz jasna, określić. Bez problemu natomiast można było domyślić się, że jest zdenerwowana: mówiła suchym tonem profesjonalistki, ale zdania kończyła na przydechu. Trzymała się możliwie najdalej, dłonie oparła na biodrach, a jedną z bosych stóp - na fotelu. Daniel przypuszczał, że w czerwonym kołnierzu ukrytą ma kamerę, sekunda po sekundzie kontrolującą stan zamachowca.

- Nie zamierzam tego powtarzać - ostrzegł Klaus. - Tylko on i ja...

*Palec. Kabel.*

- Proszę, zróbcie, co każe - jęknął Daniel.

- Ale on zaraz zemdleje - stwierdziła lekarka z uśmiechem, jakby mu czegoś gratulowała. - Moim obowiązkiem jest o tym uprzedzić. Wedle naszych prowadzonych na odległość analiz stracił... - wymieniła jakieś cyfry, lecz ani Daniel, ani Klaus nie zwrócili na nie uwagi. - To dużo krwi. Zanik przytomności nastąpi w ciągu kilkudziesięciu sekund. Najpóźniej za minutę...

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli zostawi nas pani samych - upierał się Daniel.

- Jako zwykły kontroler nie może pan podejmować decyzji - powiedziała lekarka. Jedną dłonią oparła się o biały filar, drugą pozostawiając na biodrze. Figurę miała jak wszyscy, niezależnie od płci: wystylizowaną i smukłą. Haftowany uniform obcisłał jej piersi i biodra. - Ten pociąg nie należy do pana, a właśnie pociąg nas tu interesuje. No i oczywiście pasażerowie. Kiedy pan Siegel zemdleje...

- Proszę posłuchać - przerwał jej Klaus. - Jeśli opuszczę rękę *w tej chwili*, to, czy zemdleję, czy nie, nikomu nie zrobi różnicy.

Ma w każdym razie dar syntezy, pomyślał Daniel. Przekaz nie pozostawiał cienia wątpliwości: umrą wszyscy, teraz albo za sekundę, w momencie, gdy Klaus uzna, że już pora. A właściwie nawet nie on, tylko jego *kciuk*. Albo może i nie kciuk, lecz resztką drzemiącej w tym ciele siły, ostatni zryw jego woli. I nic nie mogło ich uchronić przed śmiercią. Nic nie mogło zapobiec katastrofie. *Nie było odwrotu*.

Niespodziewanie w lewym uchu Daniela coś zagrzmiało. Przez chwilę podejrzewał, że krzyk Olsena usłyszeli również inni, bo lekarka natychmiast zamilkła. Dopiero po krótkim zastanowieniu pojął, że i ona musi mieć w uchu słuchawkę. Olsen zwracał się teraz zapewne również do niej. Skinęła głową, obróciła się na pięcie i znikła tam, skąd przyszła, razem ze swoim towarzyszem.

- Idiotka, skończona idiotka - mamrotał Olsen. - Danielu - rzucił, opanowując się nieco - pora, żebyś z niego wyciągnął to, co chce ci powiedzieć.

- Zostało niewiele czasu - odezwał się w tym samym momencie niepopędzany przez nikogo Klaus, którego twarz lśniła od potu. - Pochyl się. Przysięgnij, że nikomu nie zdradzisz tego, co usłyszysz.

Daniel przysięgł, ale Klaus kazał mu to zrobić jeszcze raz, głośniej. Potem rzekł uroczyście:

- Składam na twoje barki straszliwe brzemie, Danielu Keanie. Przykro mi, że padło na ciebie.

Daniel patrzył, jak twarz tamtego zbliża się ku niemu niczym grożąca zderzeniem

planeta. Mimo uspokajających słów Olsena nie wątpił, że usłyszawszy to, co Klaus miał do powiedzenia, zginie. Czy dobrze pamiętał, że Rozdział Pierwszy Biblii wspomina coś o człowieku - zamkniętym, jak wszyscy, w mieście - który spogląda z okna w gwiazdy i tęskni za utraconymi snami, aż wreszcie pewnej nocy niebo zalewa go niby morze, unosząc ku zielonym brzegom usianym... Jak to szło? Ku zielonym brzegom usianym pąkami lotosu i czerwonymi nenufarami... Podobno te zielone, wonne brzegi symbolizowały miejsce, do którego trafiają niektóre dusze po śmierci. Daniel nigdy w takie rzeczy nie wierzył, ale co mu szkodziło zmienić na koniec zdanie? Może ci, którzy wierzyli, mieli rację i takie brzegi rzeczywiście istniały? Może mógłby tam poczekać na Yun i Bijou, na rodziców i na swoją siostrę Lanię?

Wszystko to pięknie, pomyślał, chwilowo jednak nic nie tracę, skupiając się na słowach Klausea i próbując zyskać na czasie, jak radził Olsen.

Przysunął więc wolne od słuchawki ucho do ust szaleńca i przygotował się na jakiś idiotyzm.

Wargi Klausea poruszały się przez kilka sekund, a potem chłopak cofnął głowę.

- Ukryj to głęboko w sobie i z nikim nie dziel się swoją wiedzą - przykazał ponownie. Na jego twarzy odmalowała się ulga, jak gdyby pozbył się właśnie ogromnego ciężaru.

Daniel szykował się do odpowiedzi, kiedy pędzący donikąd Wielki Pociąg wjechał między dwa olbrzymie budynki, w pustą przestrzeń, w którą wdarła się czerwień wschodzącego słońca. Jego blask omiótł ich gwałtownie, prawie z furją.

W tej samej chwili Klaus podniósł lewą rękę i wbił sobie stalowe szczypczyki w szyję.

## 8

Umarł tak szybko, że sam tego chyba nie zauważył. Przez moment spoglądał jeszcze na Daniela Keana ze zmarszczonymi brwiami, zadał nawet jakieś pytanie, które jednak, zamiast objawić się dźwiękiem, przybrało formę czerwonych pęcherzyków na szyi.

*Palec.*

O ile Klaus nie zorientował się, że już nie żyje, o tyle Daniel Kean nie wiedział nawet, kiedy i jak jego dłonie powędrowały ku prawej ręce zmarłego i podtrzymały ją niby cenną relikwię.

*Dobrze.*

Lewą ręką kontrolował pozycję przedramienia; prawą - podparł nadgarstek i kciuk.

*Palec.*

Być może duch Klausa przeniósł się na wzmiankowane w Rozdziale Pierwszym zielone i wonne brzegi, Daniel Kean wszakże, mając znowu możliwość wyboru, zdecydował, że nie pociąga go perspektywa pójścia w jego ślady. Dlatego skupił wszystkie swoje wysiłki na tym, by utrzymać w stanie bezruchu i tym samym istnienia pechowy kciuk, a także siebie samego oraz wsparte na nim zwłoki Klausa - trzy podatne na zniszczenie, zrobione z ciała, delikatnie kołysane przez pociąg rzeczy.

Pojawił się tylko jeden problem: Klaus, teraz już najwyraźniej świadomy swojej śmierci, delikatnie się osuwał. Pochylił się ku Danielowi, jakby w powolnym ukłonie, a jego lewa ręka opadła na fotel, pozostawiając szczypczyki wbite w szyję. Daniel pozwolił, by głowa trupa opadła mu na ramię i trwał tak, podtrzymując - (*blagam*) - ten jedyny w swoim rodzaju, dający nadzieję, cudowny palec.

- Daniel, posłuchaj, Daniel, posłuchaj, Daniel, posłuchaj... - rozbrzmiewało w słuchawce jak powtarzane w kółko złe zaklęcie, ale słuchanie przychodziło Danielowi z dużym trudem.

Na zewnątrz migały wielkie i straszliwie brzydkie budynki. Daniel pomyślał, że to pewnie laboratoria genetyczne: brzydsze były tylko ośrodki wojskowe, a większe - jedynie domy dla obłąkanych. Potem za szybą pojawiły się gigantyczne ruiny, które kilka chwil później znieruchomiały.

Pociąg stanął. Daniel nie pamiętał - i nie usiłował sobie nawet przypomnieć - w którym punkcie trasy się znajdują. Nie obchodził go też zbyt piskliwy, dobiegający ze słuchawki głos, który zresztą nie należał do Olsena, tylko do Merli Shank. Nie obchodziło go nic poza jedną jedyną rzeczą, która dawała cię szansy na to, że jeszcze kiedyś przytuli Yun i Bijou, przytuli je tak mocno, że zaczną się śmiać z tego żelaznego uścisku.

*Palec.*

*Nie pozwól mu opaść.*

- Wytrzymaj jeszcze moment. Przesuń się trochę.

Głos zabrzmiał z tyłu. Kiedy jego właściciel pojawił się w ograniczonym polu widzenia Daniela, młody konduktor spostrzegł gęstą, kędzierzawą, czarną czuprynę i długi, w pewien sposób pasujący do niej uniform. Zauważył również wyjątkowo czerwone usta i wyjątkowo harmonijne rysy. Może to był Olsen? Ale nieznajomy od razu się przedstawił:

- Jestem Moon, z Wydziału Bezpieczeństwa. Współpracuję z dyrektorem Olsenem, właśnie wsiadłem do pociągu... Uspokój się, już po wszystkim. Teraz musisz się trochę cofnąć. Przepuść mnie, żeby...

- Nie mogę - jęknął Daniel. - Podtrzymuję jego palec.

- Pomogę ci.

Moon przesunął zwłoki o kilka milimetrów. Jego ruchy były bezgłośnie i celowe, jak lot spadającej gwiazdy.

- To mocny kabel. - Moon schylił się, zaglądając między Daniela i Klausa. - Gołymi rękami go nie przerwę.

- Chłopak ma wbite w szyję szczypce - szepnął Daniel, nie puszczać dłoni Klausa, kurczowo jej uczipiony, stopiony z nią w jedno. - Możemy ich użyć.

- Jasne. Nie ruszaj się.

Nie potrafiłby tego zrobić, choćby nawet chciał: czuł się złączony z Klausem na całą wieczność, nierozzerwalnie szczipiony z jego kciukiem.

- Szybko, błagam - poprosił.

- Już, zaraz.

Usiłował nie zwracać uwagi na groteskowe dźwięki, które wydobywały się z gardła Klausa, kiedy Moon ostrożnie wyciągał z rany uparte szczypczyki. Straszna okazywała się świadomość, że jeszcze krok i znowu będzie można się śmiać, normalnie oddychać, całować Yun albo kochać się z Bijou, i że to wszystko zależy od kilku prostych ruchów, z którymi poradziłoby sobie sześciolatnie dziecko. Dobrze chociaż, że słuchawka zamilkła, nawet jeśli z sąsiednich sekcji dobiegały odgłosy gorączkowej krzątaniny.

- Mam je - powiedział Moon. - Trzymasz rękę? Cofnij się.

- Nie... Poczekaj, nie ciągnij, nie, nie...

- Muszę dostać się tam ze szczypcami, inaczej nic z tego.

Daniel nie miał odwagi odsunąć się dalej. Zdał sobie za to sprawę, że potrafi sam przeciąć kabel, lewą ręką, prawą wciąż podtrzymując kciuk Klausa. Dziecinnie proste, przynajmniej w teorii. Chodziło tylko o to, żeby Moon przytrzymał zwłoki. Zacinając się trochę, Daniel wyłuszczył mu swój plan.

- Sądzisz, że dasz radę? - spytał tamten, lecz z jakiegoś powodu nie zczekał na odpowiedź. - Zgoda. Proszę.

Daniel wziął szczypczyki i podniósł je na wysokość białego przewodu, starając się utrzymać w bezruchu wszystkie mięśnie poza tymi, które sterowały lewym ramieniem.

*Palec. Kabel.*

Najtrudniejsze zostało już zrobione: mimo że Klaus umarł, udało się zapobiec opadnięciu jego kciuka. Teraz należało wykonać najprostszą część zadania. Daniel usiłował skupić się na tej myśli, odgradzić od narastających wokół hałasów...

*Palec. Kabel.*

*Najprostsza część.*

Drżącymi ostrzami objął cienką nitkę przewodu. W porządku. Zaciskając szczypczyki, pomyślał, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu jednak się urato...

W tym momencie drzwi za plecami Moona otworzyły się, popychając go na Daniela, który zachwiał się i z całej siły pociągnął za nieprzecięty jeszcze kabel. Klik.

# Rozdział drugi

## *Miasto*

### 1

- Śmierć czyni sławnym - powiedział sprawozdawca do kamer. - A śmierć poniesiona w wyniku nieudanej próby uśmiercenia innych czyni sławnym w dwojnasób.

I była to prawda. Klaus Siegel nie żył zaledwie od pół godziny, a już wiedzieli o nim wszyscy. Dzienniki prześcigały się w naświetlaniu sekretów jego życia, wielkie ekrany pokazywały jego twarz lub nagie ciało na tle obwieszonych kolorowymi zasłonami pomieszczeń, psychologowie analizowali jego charakter, a niemieccy wyznawcy Rozdziału Pierwszego przekonywali, że ich wiara nie ma nic wspólnego z tym, co Klaus Siegel zrobił czy też próbował zrobić. Jego dwie matki, mieszkające ze sobą w Hamburgu, nie interesowały się nim od dłuższego czasu. Koledzy z fabryki zapewniali, że był poważny i pracowity. Dwaj przyjaciele, z którymi sypiał, twierdzili, że dawno zwariował, choć opinia przynajmniej jednego z nich straciła na wiarygodności, gdy wyszło na jaw, że sam przebywa w zakładzie dla obłąkanych.

O tym wszystkim na bieżąco informowali sprawozdawcy oblegający Wielki Pociąg, który stał wśród ruin przywodzących na myśl arabskie krajobrazy i przez zupełny przypadek sąsiadujących z gigantycznymi katakumbami na przedmieściach Hamburga. (Ktoś nawet zrobił na ten temat niestosownie żartobliwą uwagę). W ciągu kilku minut to wymarłe miejsce zaroilo się od sprawozdawców, przedstawicieli władz i lekarzy. Ustawione przy torach kamery słały w świat obrazy sprawnej ewakuacji pasażerów, opatrzone nagłówkami typu: „Szczęśliwe zakończenie dreszczowca z porwanym pociągiem”. Eksperci wytykali błędy w systemie zabezpieczeń kolei, postulując wprowadzenie kontroli, która kontrolowałaby już istniejącą kontrolę. Inni zaznaczali, że plan Klause Siegla świadczył o „inteligencji i zimnej

krwi”, ponieważ produkcja bomby organicznej nastęczała trudności nawet doświadczonym technologom, nie wspominając już o młodych adeptach chemii.

Właśnie dlatego mechanizm zawiódł.

Jednym z wielu następstw tego faktu była stosunkowo ograniczona popularność Daniela Keana.

Daniel jednak całą ewentualną sławę posyłał w duchu tam, dokąd udał się zapewne Klaus Siegel. Liczyło się tylko to, że żyje.

- Patrz, zabierają go - wskazał Moon.

Klaus znajdował się już w pionowej trumnie przymocowanej do ramienia dźwigu. Zespół techników, którzy wydobyli zwłoki z pociągu po usunięciu z nich po kolei wszystkich ładunków, zajmował się akurat przymocowywaniem ciała linami tak, aby zapobiec jego osuwaniu się do pozycji poziomej, co było zwyczajem opartym na naukach Rozdziału Drugiego - zdaniem Daniela Keana tak samo głupim jak inne religijne rytuały, jako że, jego zdaniem, czy nieboszczyk leżał, czy stał, nikomu nie robiło to żadnej różnicy. Jednakże szacunek dla norm i tradycji stanowił kolejny z europejskich zwyczajów. Cóż z tego, że prawdziwie wierzących już tu właściwie nie było?

- Ciekawy typ, ten cały Klaus - oświadczył Moon.

- Nie bardziej niż reszta czubków - odrzekł Daniel, zakładając luźną pasiastą tunikę i elastyczne rajtuzy do kostek, czyli strój, w którym wyszedł z domu zaledwie kilka godzin wcześniej, choć wydawało mu się, że od tego momentu minęła cała wieczność.

Nie chciał się przebierać w pociągu (dusił się tam), ale kiedy wychynął na zewnątrz w swoim zakrwawionym uniformie, natychmiast zgromadził wokół siebie chmarę reporterów. Dopiero Moon, wymachując identyfikatorem, wybawił go z opresji i zaprowadził w spokojnie miejsce wśród ruin. To znaczy, rzecz jasna, nie między same gruzy, ale do hermetycznej kabiny, w której zbierali się pracujący przy odbudowie. Identyfikator i tym razem zadziałał jak magiczne zaklęcie. Ściany były tu sterylnie czyste, meble nieliczne, metalowe, cisza działała uspokajająco. Daniel pomyślał, że to akurat zaleta pracy dla Wydziału Bezpieczeństwa: ma się do dyspozycji wszystko, czego dusza zapagnie.

Moon, który właśnie oglądał swój zdjęty chwilę przedtem uniform, upewniając się, że plamy z krwi, wchłaniane przez materiał, stopniowo znikają, pokiwał głową.

- Może i racja, pewnie biedak rzeczywiście niczym się nie wyróżniał, oprócz wiary w to, że zna prawdę i powinien zabić tych, co jej nie znają. - Chcąc zzuć spiczasty but, oparł stopę o metalowy taboret. Poza tym był już zupełnie nagi, nawet jego przepisowy pas na broń leżał z boku. - Chociaż oni wszyscy tak sądzą. Mam już serdecznie dość wariatów... Co z



tobą?

Daniel poczerwieniał i odwrócił wzrok. Zdawał sobie sprawę, że nikt nie powinien się tak uporczywie przyglądać przedstawicielowi władzy, a szczególnie komuś pokroju Moona, ale czuł, że musi wyrazić, co czuje. Zamrugał i czerwieniejąc znowu, powiedział:

- Po prostu... Wciąż nie mogę uwierzyć, że żyjemy.

- Bo wcale nie żyjemy. - Na twarzy pochylonego nad taboretom Moona nie było uśmiechu. - Zeszliśmy pod ziemię. Tylko jeszcze tego nie zauważyliśmy.

Przez moment spoglądali po sobie. Wreszcie Daniel, niepewny, jak zareagować na te przerażające słowa, uśmiechnął się nieśmiało. Wtedy i tamten wykrzywił swoje niesamowicie czerwone wargi. Kilka sekund później obaj pokładali się ze śmiechu.

- Co za idiotyzm!

- Owszem.

Daniel uległ wesołości w znacznie większym stopniu niż Moon, który nie tyle sam się ubawił, ile, spoglądając na swego towarzysza, raz po raz dawał mu się zarazić szczerym rozradowaniem. Albowiem Daniel wyraźnie cieszył się, że może obśmiać własny przestrach. Czyż nie słyszał wielokrotnie, że można umrzeć, samemu o tym nie wiedząc, i że śmierć nie jest bynajmniej zielonym brzegiem z Rozdziału Pierwszego, lecz opisywanym przez Rozdział Drugi wąskim i mrocznym tunelem biegnącym przez zrujnowane miasto, tak niskim, że da się w nim jedynie czołgać?

Jako dziecko bał się podobnych opowieści: oczyma wyobraźni widział siebie pełzającego przez takie miejsce, w zupełnych ciemnościach, martwego i tym samym pozbawionego nadziei na dotarcie do światła. Myśl ta przerażała go tak bardzo, że czasami nie mógł w nocy zasnąć, płacząc ze strachu. Bijou po części wierzyła w takie historie, ale nawet jeśli nie zawierały choćby ziarna prawdy, lepiej było żyć i nie musieć się o tym przekonywać.

Kiedy się uspokoili, Moon wyjął ze swego uniformu przekaźnik. Blask bijący od ekranu oświetlił regularną twarz i długie czarne włosy.

- Jeszcze ci nie podziękowałem - powiedział Daniel z głębi serca.

- A za co? Przecież ja nic nie zrobiłem, poza tym, że wsiadłem do tego pociągu, kiedy się już zatrzymał. Wyrazy uznania należą się tobie. A co do tamtego kretyna z interwencyjnej, który mnie popchnął... Mam szczerą nadzieję, że go wywalą na zbity pysk i dadzą awans tobie.

- To nie była jego wina. Uznał, że skoro pociąg stanął, na pewno jest już po wszystkim. Po prostu zbyt energicznie otworzył drzwi...

- I faktycznie *byłoby po wszystkim*, gdyby nie wadliwy mechanizm bomby, więc nie broń tego idioty. - Moon odczytał coś z wyświetlacza i schował przekaźnik. Zamiast jednak ubrać się w czysty już uniform, przysiadł na taborecie i popatrzył na Daniela. - Mój szef przysłał mi wiadomość. Coś tam jeszcze kończy w pociągu, ale zaraz tu będzie.

- Twój szef?

- Dyrektor Olsen, ten, który mówił do ciebie przez słuchawkę. Pewnie chce cię poznać.

Daniel nie miał specjalnej ochoty na to spotkanie i choć w towarzystwie Moona czuł się nadspodziewanie dobrze, w gruncie rzeczy marzył o powrocie do domu. Jednak nie wypadało protestować.

- A nawiasem mówiąc - zagadnął żartobliwym tonem Moon - co ci powiedział ten wariat?

- Nie rozumiem.

- No, chodzi mi o to straszliwe brzemie, ten sekret, który wyszeptał ci na ucho. Co to było?

- Nie słyszeliście?

- Mówił za cicho.

Rozbawiony Daniel uśmiechnął się tajemniczo.

- Przysiągłem z nikim o tym nie rozmawiać, pamiętasz?

Znowu parsknęli. Śmiech sprawiał, że czarne brwi Moona ściągały się w kształt litery „v”, nadając jego pięknej białej twarzy wygląd złej maski.

- W takim razie musisz dotrzymać słowa, Danielu Keanie!

Tematy najwyraźniej się skończyły. Moon wstał i zaczął się ubierać. Daniel zastanawiał się, co tu jeszcze powiedzieć, choć milczenie wcale mu nie ciążyło. Nagle przypomniał sobie, co bezwzględnie powinien zrobić, i postanowił poprosić Moona o pomoc.

- Mógłbym skorzystać z twojego przekaźnika? Pomyślałem, że jeśli moja żona słuchała wiadomości, na pewno się niepokoi...

- Jasne. - Moon cisnął aparat przez pokój. - Dla pana wszystko, panie kierowniku sekcji.

Daniel uśmiechnął się i wyszedł z kabiny. Ruszył między resztkami dawnych sakralnych posągów przedstawiających dziwaczne postaci. Czekaając na połączenie ze szkołą, w której pracowała Bijou, dostrzegł siedzącą na kamieniu samotną dziewczynę, prawdopodobnie jedną z pasażerek, tak jak inni czekającą na transport zastępczy.

Przez chwilę zdawało mu się, że nieznajoma go obserwuje, jednak przyjrawszy się

jej, uznał, że się pomylił.

Miała bowiem zamknięte oczy.

## 2

Nikt nie zwracał na nią specjalnej uwagi.

Większość pasażerów kręciła się w tę i z powrotem, rozmawiając między sobą lub przez przekaźniki, i nie poświęcała jej nawet spojrzenia. Czasem ktoś przystawał, zaintrygowany siedzącą na kamieniu blondynką z krótkimi włosami związanymi w kucyk, ubraną w kusy i czarny dwuczęściowy strój. Nie była ani szczególnie oryginalna, ani szczególnie piękna, ale ten i ów przyglądał się jej, sam nie bardzo wiedząc czemu, jak gdyby kryło się w tej kobiecie coś więcej, niżby wskazywał jej wygląd. Potem natręt się oddalał, a ona podnosiła twarz. Nikt nie zobaczył jej oczu.

Nadjechało kilka pojazdów zastępczych, ale ona nie wsiadła do żadnego. Nadal czekała.

Już nie musiała szukać.

Znalazła.

## 3

- Ale wszystko z tobą w porządku? Niczego nie ukrywasz?

- Czy kiedykolwiek coś przed tobą ukrywałem? - spytał Daniel, czując lekkie wyrzuty sumienia, doskonale świadom, że istnieją rzeczy, których jej o sobie nie powiedział.

- Tak się bałam... Wiedziałam, że to twój pociąg, tyle że na początku wmawiali mi, że to nie ty rozmawiasz z tym wariatem...

- A jednak to byłem ja. Co ma swoje dobre strony: Merla Shank obiecała mi awans na pierwszego konduktora i... - Początkowo chciał zachować tę niespodziankę na powrót do domu, ale teraz postanowił wyjawić ją od razu. - Może zostanę niedługo kierownikiem sekcji. - Choć Bijou z właściwą sobie rezerwą powiedziała jedynie „och”, wyczuł w jej głosie wzruszenie. - Są ze mnie zadowoleni, twierdzą, że uratowałem cały pociąg. Merla nazwała mnie bohaterem.

- Bo nim jesteś - oświadczyła kategorycznie Bijou. - Nie tylko ze względu na to, co

zrobiłeś dzisiaj. Mówię poważnie. Jesteś bohaterem, Daniel, zawsze nim byłeś.

- Ale najlepsze, że przyznali mi dodatkowe dwa dni wolnego.

„Och”, które tym razem wydobyło się z jej ust, niosło ze sobą znacznie większy ładunek emocji.

- To wspaniała wiadomość. Mnie też chyba uda się wziąć urlop. Musimy to uczcić. Gdzie teraz jesteś?

- W jakichś ruinach koło Hamburga. - Podeszedł do wysokiego muru z niewielkimi, wąskimi otworami, przez które widać było gęstą ciemność po drugiej stronie, i zawrócił. - Nie chcę na razie ruszać pociągu, ale tak czy owak przewiozą nas niedługo do domu. A ty gdzie jesteś?

- W bibliotece - odparła z rozbawieniem. - A gdzie miałabym być?

- Nie, chodziło mi o to, gdzie dokładnie. Żebym mógł sobie ciebie wyobrazić.

- W sali o kremowych ścianach, z wielkim regałem i kilkoma obrazami... Na podłodze leży biało-zielony dywan, a na dywanie... - Z uśmiechem wyliczała kolejne szczegóły. Potem nagle umilkła. - Muszę cię zobaczyć.

- A ja ciebie. - Wiedział, że czują teraz to samo: strach, to straszliwe, nieludzkie i czysto ludzkie zarazem zimno, zalewał ich wysoką falą. Niebezpieczeństwo minęło, ale pozostał po nim lęk, który chcieli jak najszybciej zagłuszyć rozkoszą. - Gdzie jest Yun?

- Na lekcji. Oczywiście o niczym nie wie. Zaraz po nią pójde. Za ile tu będziesz?

- Nie wiem. - Daniel przypomniał sobie, że Moon kazał mu zaczekać na Olsena. - Muszę jeszcze porozmawiać z szefem Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego. Zadzwońię do ciebie, jak skończymy.

- Dobrze. To idę po Yun.

- Powiedz jej, że mamy cztery dni dla siebie. Albo że...

- Tak?

- Że tata nie odjechał żadnym ciemnym pociągiem. I że nie może się doczekać, kiedy ją przytuli i zabierze do parku.

- Bardzo się ucieszy.

Gdy się rozłączył, zdał sobie sprawę, że zawędrował daleko od torów. Choć może nie tak bardzo: wciąż widział szklany grzbiet Wielkiego Pociągu lśniący między poszarpanymi liniami ruin. Pasażerowie zajmowali miejsca w pojazdach zastępczych. Daniel zaczął się zastanawiać, czy Moon go aby nie szuka, i postanowił szybko wracać.

W tej właśnie chwili wiatr, który nawiewał mu na twarz długie, proste pasma złotych włosów, przyniósł coś w rodzaju głuchego, przejmującego lamentu. To grupa podróżnych

zebrała się na modlitwę, pewnie dziękując za ocalenie.

Przystanął, by posłuchać tego poważnego zaśpiewu, i przez moment zdawało mu się, że ziemia pod jego stopami odpowiada na te głosy dźwiękiem znacznie mniej harmonijnym, podobnym do krzyku, wycia istoty torturowanej w głębokich piwnicach.

*Rodzisz się, dorastas, wydaje ci się, że żyjesz w normalnym świecie...*

Wiedział, że ulega złudzeniu. Spod ziemi nie dochodził nawet szmer. Po prostu atmosfera starych ruin, zwłaszcza w połączeniu z modlitewnym pomrukiem i świstem wiatru, sprzyjała podobnym omamom. Poza miastem, na niestrzeżonych, pamiętających dawne dzieje terenach strach czynił wierzącym każdego.

Jak wielu ludzi z Północy Daniel Kean nigdy nie zapuszczał się na obszary niepilnowane. Jego świat ograniczał się do domu, pociągów i miast. Nawet Bijou, która podróżowała dużo więcej, nigdy nie wyjechała poza granice Niemiec. Kilkakrotnie wybrali się razem do parku, ale parki były pilnie strzeżone, podobnie jak miasta. Panowało powszechne mniemanie, że dalekie wyprawy noszą ze sobą ryzyko. Ogromne ryzyko.

*Aż pewnego dnia odkrywasz, że albo z tobą, albo ze światem coś jest nie tak...*

Modlitwa urwała się nagle i Daniel zamrugał. Pomyślał, że staje się podatny na absurdalne przesady. Jak tak dalej pójdzie, skończy niczym ten biedny Klaus. Już miał ruszyć dalej, gdy niespodziewanie usłyszał coś jeszcze.

Tym razem nie było mowy o złudzeniu: coś się z tyłu poruszyło.

Obejrzał się i zobaczył szereg nadkruszonych posągów. Jedna z figur trzymała nogę wspartą na kamieniu, i była barwy zbliżonej do koloru ludzkiego ciała. Gdy Daniel obejrzał się po raz drugi, już jej nie dostrzegł.

Pięciu sekund potrzebował jego mózg, by przekonać oczy, że właśnie oglądały żywą osobę; kolejnych pięciu - by nałożyć jej obraz na wspomnienie młodej kobiety siedzącej wcześniej nieopodal z zamkniętymi oczami. Czy naprawdę był tu przed chwilą ktoś taki? A jeśli nawet, to dlaczego ta osoba tak szybko zniknęła?

- Daniel Kean?

Głos, który zabrzmiał zniemacka za jego plecami, kazał mu się odwrócić.

- Elsevier Olsen, szef Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego - przedstawił się wysoki mężczyzna w uniformie, podchodząc z wyciągniętą ręką. - Kontaktowaliśmy się już, ale miło mi pana poznać w spokojniejszych okolicznościach. Coś się stało?

- Nie, nic.

- Zdawało mi się, że coś pan do kogoś mówił.

Daniel zaprzeczył, nieco zmieszany, ściskając podaną mu dłoń. Olsen miał mocny

chwyt. Jego palce, cienkie i gładkie jak u wszystkich, zaciskały się niby szpony. Uśmiechnął się i zmienił temat.

- Chciałbym panu pogratulować zimnej krwi, tam, w pociągu. Mój współpracownik - tu skinął głową w stronę stojącego obok Moona - wprowadził mnie w szczegóły, które mi umknęły. Skończył pan rozmawiać z żoną? Możemy jechać?

Delikatnie ujął zdumionego Daniela pod ramię.

- Myślałem, że pojedę razem z resztą.

- Wiem, ale wystąpiły pewne trudności. Dlatego uważamy, że lepiej osobiście odwieźć pana do domu. - Wyraz twarzy Daniela musiał zapewne budzić litość, bo Olsen się uśmiechnął i kolejne zdanie wypowiedział już łagodniejszym tonem. - Wyjaśnię panu wszystko po drodze.

Daniel poszedł z nimi bez wahania. Rozważając słowa Olsena, przypomniał sobie postać, którą widział między posągami.

Obejrzał się przez ramię. Nie było nikogo.

## 4

Działo się coś dziwnego, ale nie była pewna - co.

Postanowiła zatem trzymać się chwilowo z boku, jako że i tak nie chciała nawiązywać kontaktu ze swoim celem w towarzystwie osób trzecich.

Kiedy tamci trzej się oddalili, wyszła ze swojej kryjówki za stosem kamieni i ruszyła w przeciwnym niż oni kierunku, w głąb ruin.

Po drodze uruchomiła przekaźnik i odbyła krótką rozmowę. Potem wyłączyła go i dalej wędrowała wśród starych murów, rozpadających się wprawdzie, lecz tak potężnych, że przesłaniały słońce. Już wkrótce daleko za nią pozostały tory Wielkiego Pociągu, szmer modlitw i rozmów, wszystko, co w jakikolwiek sposób łączyło się z cywilizacją. Dobrze się czuła na tym pustkowiu.

Ale nie chodziło o jej dobre samopoczucie.

Rozglądała się za jakimś miejscem, gdzie ruiny ledwie wystawałyby ponad ziemię. Rozdział Drugi precyzował: „Jak członki trupa, które mogłyby wystawać ze źle wykopanego grobu”. Niezwykła metafora. Tam należało szukać wejścia.

Pokrytym gruzami zboczem dotarła na łąkę, która sprawiała wrażenie, jakby tu nigdy nie gospodarował człowiek. Tylko z bliska widać było zarysy prastarych fundamentów. Co

się tu kiedyś znajdowało? Może prywatne domy. W całej Europie pełno było podobnych miejsc. Wszędzie trafiały się martwe już, a świadczące o dawnym życiu przedmioty: obudowy aparatów, połamane meble, czasem jakiś but lub zbutwiała rękawiczka. Piasek je zasypywał, lecz przekorny wiatr odsłaniał znowu.

Tak, ten zakątek nadawał się do jej celów.

Zaczęła się rozbierać.

Jej jasne włosy, szarpane mocnymi podmuchami, wyglądały jak malujący coś w powietrzu pędzelek ściągnięty czarną gumką. Po chwili nie miała na sobie nic poza nią.

Obie części swojego czarnego stroju, sandały i obrożę z przekaźnikiem ułożyła na kamieniach, wybrała miejsce wśród trawy i uklękała.

I tak zamarła. Musiała wyczuć kierunek wiatru całą powierzchnią skóry: tylko w ten sposób mogła odnaleźć wejście.

Nie spieszyła się. Nie dbała o to, że służbowy pojazd z Danielem Keanem w środku oddala się tymczasem coraz bardziej. Na ziemi dystans i strony świata często były czynnikiem decydującym, ale na dole wszystko stanowiło część wszystkiego, jeden cień równał się drugiemu, odległemu o tysiące kilometrów. Jeśli czyjaś obecność mąciła przestrzeń w jednym punkcie, gdzie indziej nie przechodziło to niezauważone.

Zgodnie ze starymi wierzeniami w czeluściach ziemi istniało Zapomniane Miasto, najświętszy z symboli Rozdziału Drugiego. Miasto podobne do ciała: nic nie mogło ukryć się czy zgubić pod jego skórą. Jednakże, aby dostać się do wnętrza, należało odnaleźć usta, orientując się po oddechu.

Wiatr, który wiał od wejścia do Miasta, stanowił tylko jedną ze strun instrumentu, jakim było powietrze. Profani nie odróżniali tego tchnienia od zwyczajnych powiewów - przezroczyстых, niewiodących donikąd uliczek. Wyćwiczona skóra potrafiła wszakże wyczuć różnicę.

I ona, klęcząca teraz wśród ruin, szukała oddechu Miasta.

Nagle go poczuła. Na plecach. Odwróciła się do niego przodem, szerzej rozstawiając kolana. Wiatr lizał ją jak szorstki język.

Na koniec podniosła się i ruszyła przed siebie, z całkowitą pewnością, niebaczną na kaleczące jej stopy kamienie, aż stanęła przy murku, u stóp którego ziała wąska szczelina.

W środku panowała ciemność, smutna jak oczy wpatrzonego w nas, umierającego przyjaciela.

*Wejście.*

Zawróciła po ubranie i przekaźnik.

Już na zewnątrz wyczuwała trop.

## 5

- Klaus Siegel nie działał sam. Ktoś mu kazał wysadzić ten pociąg.

- Ale dlaczego?

- Och, motywy nie mają w tej chwili znaczenia. Przyjmijmy, że chodziło o „destabilizację”, „atak na system”... - Olsen pochylił się do przodu, gdy pojazd zaczął zjeżdżać długą, stromą szosą. - Tak czy owak ktoś postanowił wykorzystać Klause do zorganizowania tej rzezi. Najprawdopodobniej jakaś grupa. Na szczęście chłopak nie wytrzymał napięcia i popełnił błąd przy konstrukcji bomby. Poza tym najwyraźniej żałował, że dał się tak zmanipulować, i w ostatnim momencie zapragnął zdradzić komuś swoje zamiary. W tym celu wybrał ciebie, Danielu.

- Mnie?

- Przecież właśnie do ciebie się zwrócił. Jak przypuszczasz, dlaczego?

- To był przypadek. - Daniel uśmiechnął się, widząc, że Olsen unosi w zdumieniu brwi. - Naprawdę. Przechodziłem akurat przez tamtą sekcję, idąc do swojej, czyli czwartej. Zobaczyłem, że Klaus próbuje wezwać jedną z moich koleżanek, ale zdecydowałem, że... - Urwał, zastanawiając się, czy żałuje owej decyzji. Doszedł do wniosku, że nie, bo ostatecznie wszystko obróciło się na dobre, no i głos Bijou brzmiał tak ciepło, kiedy mówiła: „Jesteś bohaterem”. - Zdecydowałem, że sam się nim zajmę. Wtedy kazał mi usiąść i wyjaśnił, o co mu chodzi.

- Rozumiem. - Olsen bębnił wypielegnowanymi paznokciami po udzie. Miał poważny głos i surową twarz, pięknie zbudowane ciało, bujne, kasztanowate włosy i bardzo zielone oczy. Mówiąc, odsłaniał górne zęby, jakby się zawsze przy okazji uśmiechał albo unosił górną wargę w innym, mniej przyjaznym grymasie. Daniela, podobnie jak innych, mocno onieśmiała. - Co o tym sądzisz, Moon?

- To absolutnie nieprawdopodobne.

- Też mi się tak wydaje.

Daniel nie bardzo rozumiał, co właściwie chcą przez to powiedzieć, lecz tamci dwaj pogrążyli się w milczeniu.

Nie wiedział, jak długo jada, zupełnie stracił poczucie czasu. Moon, który kierował pojazdem, wybierając odpowiednie opcje na wyświetlaczach, wiózł ich początkowo przez



jakiś tunel, szosą opadającą najpierw łagodnie, a potem coraz ostrzej, do tego stopnia, że Daniel, czując zawrót głowy, musiał oburącz uchwycić się oparcia. W końcu teren się wyrównał, ale światła dziennego nadal nie było widać.

Nad nimi wisiał olbrzymi strop, choć miejsce to w swym ogromie nie przypominało budynku, lecz osobny świat. Padające gdzieś z góry snopy blasku pozwalały dostrzec na wpół zniszczone kamienne łuki i coś jakby wąskie otwory okienne. Na ścianach migąły skomplikowane malowidła, pojazd przemieszczał się jednak zbyt szybko, by dało się je dokładniej obejrzeć.

Daniel słyszał, że na północy Niemiec trafiają się takie miejsca. Ale co innego było słuchać o nich, a co innego oglądać je na własne oczy. Zaczynał się niepokoić.

- To Wonn - oświadczył Moon, odpowiadając na jego pytanie. - Nigdy tu nie byłeś? Wybrałem tę trasę, bo prawie nikt tędy nie jeździ. W ten sposób dojedziemy szybciej.

Daniel kiwnął głową; jemu też zależało na czasie. Wbrew obietnicy danej Bijou, zapomniał do niej zadzwonić, nim ruszyli, a teraz było już chyba za późno. Poza tym nie chciał znowu prosić Moona o przekaźnik.

Coś jednak nie dawało mu spokoju.

- Dlaczego sądzi pan, że potrzebuję ochrony? - zwrócił się do Olsena. - Kto mi zagraża?

Olsen przestał bębnić palcami i spojrzał na niego wzrokiem człowieka wyrwanego z głębokiej zadumy.

- Ugrupowanie, które kazało Klausowi wysadzić pociąg - odparł.

- Aha.

- Z pewnością postaram się dowiedzieć, czy aby Klaus nie wygadał za dużo. Zrobią wszystko, by sprawdzić, co ci powiedział. A mówiąc „wszystko”, mam na myśli wszystko, łącznie z nastawieniem na twoje bezpieczeństwo. I na bezpieczeństwo twojej rodziny.

- Mojej rodziny?

- Nie martw się - Olsen poklepał go po kolanie. - Wysłałem dwóch ludzi, żeby zabrali twoją żonę i córkę ze szkoły do domu. Są w dobrych rękach.

Słyszając to, Daniel poczuł ulgę, lecz jego pragnienie, by jak najszybciej zobaczyć Bijou i Yun, jeszcze się spotęgowało. Tym bardziej że wciąż dręczyła go pewna sprawa.

- Przepraszam - zagadnął ponownie Olsena. - Więc mówi pan, że tamto ugrupowanie zechce się dowiedzieć, co powiedział mi Klaus?

- Owszem - potwierdził Olsen.

- Ale... - Daniel zaśmiał się nerwowo. - On mi nic nie powiedział.

- Nic, co mógłbyś zrozumieć, chłopcze, to pewne.

Daniel się uśmiechnął, starając się, by jego odpowiedź nie zabrzmiała impertynencko.

- Nie, chodzi mi o to, że nie powiedział *zupełnie nic*... Tylko poruszył bezdźwięcznie ustami.

Olsen przeniósł na niego spojrzenie swoich zielonych, błyszczących oczu.

- Zdumiewające - orzekł. - Jesteś całkowicie pewien?

- Całkowicie.

- Ciekawe. Tyle zachodu, cała ta uroczysta przysięga, że zachowasz to, co usłyszysz, dla siebie, a potem...

- Też się zdziwiłem. Zamierzałem go nawet zapytać, po co w takim razie to wszystko, ale... Ale zaraz później wbił sobie w szyję te szczypce...

- To dlaczego Moonowi przedstawiłeś inną wersję? - spytał Olsen. - No, powiedziałeś mu, że czujesz się związany przysięgą - wyjaśnił, widząc, że Daniel najwyraźniej nie rozumie.

- O, to był zwykły żart... - Daniel chciał się roześmiać, ale połyskujące w mroku oczy Olsena nie zdradzały cienia wesołości. - Ja... Nie sądziłem, że to ważne. Żartowałem.

- Rozumiem. - Potężne ciało Olsena poruszyło się na fotelu. - Tak czy owak jesteśmy w punkcie wyjścia, mały, ponieważ grupa, o której mówię, uzna, że kłamiesz.

- Dlaczego miałbym kłamać?

- Ponieważ *naprawdę* związałeś się przysięgą.

- Zrobiłem to, żeby go nie denerwować... - Daniel poczuł się, jakby sam na siebie zastawił pułapkę. - Ani przez chwilę nie planowałem dochować tajemnicy... Ja nie kłamię.

- Oczywiście, że nie, co jednak nie znaczy, że tamci dadzą ci wiarę.

Droga znowu zrobiła się stroma, pojazd zjechał jeszcze niżej i Moon musiał włączyć dodatkowe światła. W ciemności migwały jakieś kształty, być może posągi. Daniel podciągnął stopy na siedzenie, w tej samej chwili uświadamiając sobie, że jego odruch wziął się z kolejnego absurdu: widać nie na darmo wszystkim od dzieciństwa powtarzano, że kiedy jest się pod ziemią, lepiej nie dotykać podłoża. Jednakże Olsen zrobił coś podobnego: uruchomił swój automatyczny, obrotowy fotel i kręcąc się z wolna, podtrzymywał kolana obiema rękami. Zdawał się pogrążony w rozmyśleniach, choć na pierwszy rzut oka nie robił wrażenia osoby przesadnie skłonnej do refleksji.

Daniel coraz bardziej się niepokoił. Nie rozumiał, w jakim celu kręca się po tych dziwnych miejscach. Spojrzał na Olsena: w zależności od pozycji fotela widział to kabury z bronią na jego biodrach, to długie brązowe włosy, to znowu obciążone rajtuzami łydki.

- Czy mógłbym... Czy mógłbym skontaktować się z rodziną? - spytał.

- Oczywiście.

- Ale nie tutaj - odezwał się z przodu Moon. - Ściany blokują transmisję.

- Jeszcze tylko chwila cierpliwości - zapewnił Olsen.

Niemal w tym samym momencie pojazd stanął, szarpiąc tak gwałtownie, że Daniel musiał się przytrzymać siedzenia, by nie spaść. Olsen i Moon szybko wysiedli, prosząc, by zrobił to samo. Zapalili latarki, w których świetle Daniel zobaczył wreszcie, gdzie się znajduje.

Droga biegła w tym miejscu przez bardzo nisko sklepione podziemie. Strop zrobiony był ze stali i drewnianych belek. Wzdłuż szosy, która ginęła w ciemnościach, stały grube filary z przerdzewiałego metalu. Światła obu latarek zatrzymały się na jednym z nich.

- Lepiej wejdźmy - rzucił niespodziewanie Olsen.

Daniel zaczął się zastanawiać, dokąd i którędy mieliby wejść, kiedy nagle stwierdził, że w filarze jest łukowaty otwór. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł kręte schody w dół.

Olsen zaczekał, by przepuścić Daniela. Moon, który ruszył pierwszy, zdążył już zniknąć - tylko ruchliwy poblask zdradzał jego obecność.

- Chodźmy - kiwnął Olsen. - Trzeba postanowić, co dalej. No i chcę ci coś pokazać.

Schodzenie ciągnęło się w nieskończoność, pewnie dlatego, że posuwali się w żółtym tempie: stąpienie po wąskich stopniach wymagało wielkiej ostrożności. Moon otwierał pochód, Olsen go zamykał. Idący w środku Daniel starał się uważnie stawiać nogi, a zarazem skupiać na słowach, które dobiegały go z tyłu:

- Wiesz, gdzie jesteśmy, Danielu? W katakumbach. Zostały zbudowane przed tysiącami lat, ale wejścia pochodzą z czasów późniejszych. Wyznawcy Rozdziału Drugiego przedostają się tędy do środka. Nie dziw się, tego typu podziemia rozciągają się pod całym Niemcami. Pamiętasz Rozdział Drugi? Pod każdym miastem na powierzchni istnieje inne Miasto, o nazwie pisanej wielką literą, Miasto Zapomniane. Wiesz, skąd się wzięło? Wzmiankowana w Biblii rasa hybryd to tylko metafora. Podziemne Miasta, jak twierdzą wyznawcy Rozdziału Drugiego, powstały, ponieważ kiedyś zmarłych grzebano, w dodatku grzebano ich w pozycji leżącej. Teraz utrzymujemy zwłoki w pionie i kremujemy, ale dawniej po prostu gniły w ziemi albo w układanych płasko trumnach.

Daniel usiłował słuchać, lecz przede wszystkim musiał koncentrować się na stopniach, tym bardziej że Moon z łatwością wysforował się do przodu i teraz drogę oświetlała jedynie latarka Olsena.

- Z czasem - ciągnął ochryply głos - coraz liczniejsze groby połączyły się ze sobą i w

ten sposób powstał labirynt jaskiń... Ale nie to było najgorsze. Wyznawcy Rozdziału Drugiego twierdzą, że śmierć utrzymywana w poziomie prędzej czy później poruszy się i nawet w skale wydrąży tunel. I podobno to właśnie przez całe wieki robili umarli: roili się jak mrówki. Tylko pomyśl: miliony, miliardy ciał... Od tysiącleci... Pełzające pod naszymi stopami przez korytarze Miasta... Dlatego zbudowano katakumby. Żeby tamci nie mogli się wydostać na zewnątrz. Popatrz, jacy z nas ignoranci, Danielu: żyjemy zamknięci w swoich metropoliach, w poczuciu względnego bezpieczeństwa, nie podejrzewając nawet, że wcale nie trzeba jechać na niestrzeżone ziemie Wschodu czy Południa, by stanąć oko w oko z koszmarem. Mamy go pod stopami, a jednak staramy się o nim zapomnieć. Nie jestem wierzący, ale zapewniam cię, że od takich opowieści włosy mi się jeżą na głowie...

Daniel zakładał, że wyjaśnienia Olsena wiążą się jakoś z poprzednią rozmową, choć nie bardzo rozumiał w jaki sposób.

- Słyszałem o tym - zgodził się, czując rosnący niepokój. - Tyle że to przecież takie tam bajania, pochodząca gdzieś z Południa legenda zainspirowana dystychem z Rozdziału Drugiego: „Nie umarło, co spoczywać w uśpieniu wieki całe może...”.

- Legenda, nie legenda - uciął Olsen - ale realne, a nawet naukowe podstawy mimo wszystko ma. Nie wiedziałeś? Dowiedziono na przykład, że zjawisko wiatru od Miasta naprawdę istnieje. Rozkładające się zwłoki wydzielają przenoszony potem przez powietrze lodowaty fetor. Wyćwiczone ciało rozpoznaje go od razu. Można po nim ocenić swoje położenie w obrębie Miasta oraz odległość od miejsc największej aktywności śmierci...

- Dlaczego zapuszczamy się tak głęboko? - odważył się wtrącić Daniel. - Dlaczego musieliśmy...

- Już jesteśmy - przerwał mu Olsen.

Kroki Moona, który w przeciwieństwie do Daniela i Olsena nie miał elastycznego, tłumiącego dźwięki obuwia, brzmiały od kilku chwil inaczej, jakby stąpał teraz po odmiennym podłożu. Latarka oświetliła fragment wyłożonej płytkami posadzki i choć schody ciągnęły się dalej w dół, Olsen delikatnie skierował Daniela na bok. Znaleźli się w pomieszczeniu, którego rozmiary trudno było w półmroku ocenić, sądząc jednak po braku echa, Daniel doszedł do wniosku, że nie jest duże.

Nagle gdzieś z góry buchnęła jasność. Daniel zamrugał i zobaczył, że Olsen zgasił latarkę. Nie potrzebował jej, rzecz jasna, w tym ostrym blasku, który spływał z zawieszonych rzędem u sufitu reflektorów. Ten rodzaj światła nie należał do przyjemnych, lecz pozwalał dokładnie przyjrzeć się otoczeniu.

Pomieszczenie okazało się większe, niż Daniel przypuszczał. Co więcej, zamiast

pokrytych mchem starych murów miało gładkie, białe, charakterystyczne dla nowoczesnych wnętrz ściany, gdzieśgdzie pokryte jakimiś bazgrołami. Za plecami Olsena bieły poziomo nad podłogą, a potem pięły się ku stropowi symetryczne, chromowane rury. Kilka z nich wygiętych było do środka sali i wpadało za szklane przepierzenia.

Poza Olsenem nie było tu chyba nikogo. Moon zniknął.

Dopiero po chwili Daniel zauważył, że w ścianie po lewej stronie, tuż nad podłogą, znajdują się dwa idealnie prostokątne otwory. Właśnie się im przyglądał, gdy nagle w jednym z nich pojawiła się czarnowłosa głowa. Przez krótki, pełen grozy moment miał wrażenie, że jest odcięta od ciała.

*Śmierć to niekończący się tunel, tak niski, że da się w nim jedynie czołgać...*

Moon przecisnął przez otwór resztę ciała, zręcznie się podniósł i otrzepał ręce, choć zdawały się całkiem czyste. Jego nagość połyskiwała zmysłowo w jaskrawym świetle.

- Generator znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu - oświadczył. - Wygląda na stary, wytrzyma najwyżej kilka godzin.

- To wystarczy - stwierdził Olsen. - A ona?

- Nadchodzi - odrzekł Moon i przymknąwszy oczy, oparł się o ścianę. - Ale mnie nie zaskoczy.

Daniel nerwowo skubał skraj tuniki, nie rozumiejąc, o czym mowa. Olsen tymczasem zdjął krótką marynarkę, ułożył ją na stołku obok latarek oraz ubrań i drobiazgów należących do Moona, usiadł na jednej z chromowanych rur i uśmiechając się do Daniela, swoim zwyczajem odsłonił zęby.

- Nie denerwuj się - powiedział. - Zaraz ci wyjaśnię, co to za miejsce. Kilkadziesiąt lat temu niemiecki rząd postanowił przedsięwziąć naukowe badania nad Rozdziałem Drugim i zlecił wybudowanie przy katakumbach tysięcy pomieszczeń takich jak to. Wszystkie urządzenia, które tu widzisz, miały służyć do studiów nad wiatrem od Miasta, świętym oddechem śmierci. I przez jakiś czas służyły, ale ponieważ eksperymenty nie przyniosły rozstrzygających ustaleń, projekt zarzucono. Pomieszczenia jednak zostały. Ciche i opuszczone. Choć wcale nie tak bardzo, jak mogłoby się zdawać. Grupy wiernych schodzą się tu bowiem, żeby odprawiać pewne rytuały. Rytuały, których opis, Danielu, sprawiłby, że natychmiast przestałbyś być tym młodzieńcem o błyszczącym spojrzeniu, jakiego obaj z Moonem mieliśmy przyjemność poznać... Przywiozłem cię tutaj, abyś się przekonał, że nie oszukuję. Istnieją ugrupowania, niebezpieczniejsze niż przypuszczasz, których członkowie gromadzą się w miejscach takich jak to, by praktykować straszne obrzędy. Klaus należał do jednego z takich ugrupowań. I to właśnie ono ci teraz zagraża.

Daniel poczuł, że ogarnia go panika. I nie chodziło jedynie o nieprzyjemne rewelacje Olsena. Coś było nie w porządku. Dlaczego Moon się nie ubierał? Czyżby zaliczał się do tych, którzy potrafią rozpoznać oddech śmierci? Ostatecznie wielu wyznawców Rozdziału Drugiego pracowało dla Wydziału Bezpieczeństwa... Poza tym czemu Olsen w ogóle poruszał takie tematy? Obaj zachowywali się co najmniej dziwnie.

- Możliwości grupy, o której mówię, są ogromne - ciągnął Olsen. - Dlatego jesteśmy twoją jedyną nadzieją. Tylko dzięki nam macie szansę przeżyć, ty i twoja rodzina. Ale musimy wiedzieć absolutnie wszystko.... - Podniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać ewentualne protesty. - Rozumiemy, oczywiście, że przysięga to rzecz święta. Skoro jednak w grę wchodzi bezpieczeństwo tych, których kochasz...

Daniel już otwierał usta, by odpowiedzieć, kiedy usłyszał jakiś hałas.

Kroki na schodach.

Olsen urwał, również nasłuchując. Nawet Moon się ożywił.

- No, Danielu, pomóż nam - rzucił ponagłajaco Olsen. - Co ci powiedział Klaus?

Kroki się zbliżały. Daniel nie potrafił stwierdzić, ile osób nadchodzi.

- Ktoś idzie - wymamrotał.

- Danielu, odpowiedz - naciskał Olsen. - Co ci powiedział Klaus?

- Nic. Już tłumaczyłem, że...

- Twój nadajnik wychwycił dźwięki. - Olsen rozłożył ramiona. - Kiedy Klaus zaczął mówić...

- Nie zaczął. To musiał być mój albo jego oddech...

- To był głos - zaprzeczył Olsen. - Głos inny niż twój. Sprawdziliśmy dokładnie.

I właśnie wtedy Daniel pojął nagle sens tych wszystkich pytań: niepostrzeżenie stracił status „podopiecznego” i stał się podejrzanym.

- Niemożliwe! - zaprotestował. - Klaus nie powiedział mi nic! Absolutnie nic!

- Nie umiesz kłamać - odezwał się spod ściany Moon, nie odwracając głowy.

A z tym co się znowu działo? Zerknąwszy na niego, Daniel przekonał się, że sympatyczny, wesoły chłopak, który wygłupiał się z nim w kabinie wśród ruin, zniknął bez śladu, zamieniając się w kogoś, kto patrzył straszonym, nieruchomym spojrzeniem.

Kroki brzmiały teraz wyraźnie jak uderzenia młotka.

- Rozmawiałeś z *nią*, prawda? - Olsen wciąż się uśmiechał, lecz w jego tonie dało się wyczuć coś podobnego do smutku. - Tam, w ruinach. Z pewnością kazała ci milczeć... Muszę cię jednak uprzedzić, że ufając im bardziej niż nam, popełniasz błąd...

Jego słowa kłębiły się w umyśle Daniela, któremu coraz bliższe odgłosy na schodach

nie pozwalały się skoncentrować.

- Nie wiem, o kim pan mówi! Z nikim nie rozmawiałem!

Na widocznym z ich perspektywy stopniu pojawiły się buty charakterystyczne dla agentów Wydziału Bezpieczeństwa.

- Przykro mi, Danielu - rzekł Olsen. - Strasznie mi przykro...

Ale Daniel już nie słuchał.

Ponieważ za agentem szła Bijou, a za nią Yun.

## 6

Poznali się pięć lat wcześniej, w Wielkim Pociągu. Daniel musiał akurat zastąpić chorego na serce kolegę z innej sekcji.

- Jesteś nowy, co? - spytała mająca tam stałą miejscówkę Bijou, kiedy Daniel podał jej napój.

Zanim ją poznał, serdecznie współczuł choremu koledze. Później wyrzucał sobie, że przestał życzyć tamtemu wyzdrowienia. Lubił co dzień rano witać młodą pasażerkę i słyszeć, jak odpowiada mu niezmiennym:

- No, proszę, już nie jesteś taki nowy.

Przywykli do tego. Bijou udawała czasem, że ma już dość jego widoku.

- O, nie! To znowu ty! - wołała.

Na wspomnienie tych pierwszych tygodni zaśmiewali się później do łez. Bijou przechodziła od tonu serio do hałaśliwej radości bez pośredniej fazy uśmiechu. A jednak zawsze wyglądała na wesołą. Trzymała swą wesołość w kokonie powagi, jak gdyby chciała ją chronić.

Stopniowo poznawali się coraz lepiej. Bawiło ją, że on lubi swoją pracę.

- Czy konduktor to naprawdę zawód? - pytała.

On natomiast nie potrafił uwierzyć, że ta młoda bibliotekarka mieszkająca na obrzeżach Hamburga i dojeżdżająca codziennie do centrum, ćwiczy szermierkę. Aż pewnego dnia zaprosiła go na zawody. Jej rodzice, arabskiego pochodzenia, mieszkali w Paryżu. Daniel przyjechał do Niemiec z Madrytu. Po kilku kolejnych spotkaniach i paru seansach udanego seksu zrozumieli, że chcą stworzyć rodzinę i zamieszkać w Hamburgu. To właśnie oznaczała „miłość”. Bijou, jako osoba wierząca, przywiązywała do tej kwestii wielką wagę.

- To poważna decyzja - mówiła. - Wiesz, że Biblia nazywana też bywa *Księgą Miłości*

*i Sztuki*, bo właśnie te dwa słowa najlepiej definiują życie? Sztuka łagodzi strach, dlatego jest nią również fizyczna rozkosz; miłość z kolei go potęguje, bo kto kocha, zaczyna się bać także o innych.

Bijou chciała mu przez to powiedzieć, że jeśli postanawiają się kochać, muszą liczyć się z konsekwencjami. Wiele osób mieszkało z kimś i przeżywało z tym kimś orgazmy, ale tylko niektórzy mieli odwagę wykonać krok w stronę miłości.

Chociaż rodzice Bijou, państwo Crane, należeli do ludzi wierzących, ona sama nie domagała się żadnej ceremonii potwierdzającej zawarcie małżeńskiego układu. Z tej okazji wyjechali jednak z Danielem na tydzień wakacji i wynajęli mieszkanie w starym budynku na przedmieściach. Była zima, padał śnieg i szalały wichury, dlatego prawie nie wychodzili z łóżka.

- Obejmij mnie - szeptała Bijou - obejmij mnie rękami i nogami, całym ciałem, tak żeby nie dosięgnął mnie wiatr, żeby nas nigdy nie rozdzielił.

Lubiła go dotykać. Uwielbiała, gdy przylegali do siebie jak najściślej i dla zabawy próbowała splatać nie tylko palce ich rąk, ale także nóg. A kiedy go nie dotykała, wpatrywała się w niego z powagą i w milczeniu. Chciała między nimi wyłącznie prawdy i czasem, kiedy jej coś opowiadał, pytała:

- Czy naprawdę tak właśnie było?

I całowała go, gdy potakiwał.

Dwa lata później, kiedy wybierali Yun, też padał śnieg i ośrodek genetyczny w Hamburgu przypominał pałac przysypany białym piaskiem. Decyzja o dziecku również nie zaliczała się do łatwych, ponieważ podobnie jak miłość potęgowała wrodzony istocie ludzkiej strach. Ale żadne z nich dwojga nie miało w tej kwestii wątpliwości. Jak większość rodzin o ich statusie nabyli zaprojektowane już maleństwo: jedynie najbogatsi mogli sobie pozwolić na zakup komórek jajowych albo i planowanie dziecka według własnego pomysłu. Mieszkańcy Północy zwykle wybierali więc gotowe dzieci, na takiej samej zasadzie, na jakiej sami zostali kiedyś wybrani przez swoich rodziców.

Daniel i Bijou udali się do ośrodka i tak długo przemierzali kolejne sale, aż dostrzegli uśmiechającą się do nich ze swego łóżeczka śliczną dziewczynkę o wschodnich rysach. Wcześniej nie brali pod uwagę takiej możliwości, ale Yun zafascynowała ich od razu. Miała wtedy dwa latka. Zanim skończyła trzy, naśladowała poważną minę matki tak udatnie, że Daniel nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

Kiedy firma postanowiła przenieść go do Hanoweru, nastąpił okres poważnych kłótni. Bijou nie cierpiała jego pracy, ale wołała już to, co знаła, od jakichkolwiek zmian. Długo



trwało, zanim się pogodzili, a jeszcze dłużej - nim przystosowali się do nowego życia. Trudności finansowe zmusiły Bijou do zarabiania sprzątaniami budynków rządowych, co nie należało do zajęć łatwych, a poza tym w jej przypadku oznaczało degradację. Wszystko wróciło do normy, gdy przeprowadzili się do Dortmundu, gdzie było więcej bibliotek. A jednak zdarzało się, że nie widzieli się przez cały tydzień. Kłócili się i godzili znowu.

Nikt wszakże nie mógł długo ulegać złym nastrojom w towarzystwie Yun.

## 7

Prowadziło je dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie uniform Wydziału Bezpieczeństwa, drugi, z wyglądu młodszy - czarny płaszcz do ziemi. Histeria Yun, którą przed rzuceniem się ku Danielowi powstrzymywały jedynie spoczywające na jej drobnych ramionach ręce człowieka w płaszczu, kontrastowała z kamiennym spokojem Bijou: agent nie musiał jej nawet trzymać, ponieważ stała jak wrośnięta w ziemię, spoglądając na Daniela, i tylko w głębi jej źrenic malowało się coś dziwnego, zapewne bezmierna trwoga. W spojrzeniu tym trudno wręcz było rozpoznać dawną Bijou.

- Przyszli do szkoły i powiedzieli, że odstawiają nas do domu... - odezwała się nieswoim głosem, jakby chciała za coś przeprosić. - Nie wiem, o co im chodzi, ale wyjaśnili mi, czego od ciebie oczekują, Danielu. - Wpatrywała się w niego z napięciem. - Błagam, zdradź im to, o co cię pytają. Wiesz, że nie prosiłabym o to, uszanowałabym twoje milczenie, nie rozumiejąc go nawet, gdyby nie Yun... Pomyśl o małej...

- Bardzo rozsądne słowa - zauważył Olsen. - A teraz posłuchaj uważnie, Danielu. Jeśli się dogadamy, razem z żoną i córką natychmiast wrócisz do domu. Natychmiast, daję słowo. Jako przedstawiciele władzy możemy cię puścić, nie dbając o to, że znasz naszą tożsamość. Wróćcie sobie do domu, a my zostawimy was w spokoju. Jeśli jednak odmówisz współpracy, zabijemy twoją żonę i córkę, tutaj, na twoich oczach. A potem zamkniemy cię tu z ich ciałami...

Przerwał mu szloch Bijou. Stojący za nią agent tym razem uznał za stosowne przytrzymać ją za ramiona. Z kolei mężczyzna w płaszczu zatkał usta Yun, która zaczęła głośno płakać. Daniel postąpił krok w ich stronę.

- Zostaw moją córkę - powiedział.

- Jak przestanie ryczeć - odparł tamten niemal chłopięcym głosem. Miał proste brązowe włosy i ciemne, podkrążone oczy.

- Puść ją, Olive - rozkazał Olsen. Chłopak zdjął dłoń z ust Yun, która płakała wprawdzie nadal, ale już ciszej. Bijou też zdołała się opanować. - Wiesz, co się dzieje, Danielu, kiedy razem z trupem pod ziemią zostaje ktoś żywy? - podjął Olsen. - Pewnie nie wiesz, podobnie jak wielu innych rzeczy... Ale może twoja piękna żona coś słyszała. Jest przecież wierząca i pochodzi z rodziny o arabskich korzeniach. Może rodzice opowiadali jej o Mieście Śmierci... To nie żadne bajania, Danielu: śmierć żyje. Moon, jako wyznawca Rozdziału Drugiego, dobrze się na tym zna... Wyjaśnij mu, co się stanie, Moon.

- Oszalejesz na długo przed tym, zanim umrzesz - rzekł Moon, dalej wpatrując się w jakiś punkt przed sobą. I znowu zamilkł. Wciąż stał oparty o białą ścianę, od której wyraźnie odcinały się zarys jego nagiego ciała i czarna plama włosów.

- Decyzja należy do ciebie, Danielu - zakończył Olsen. - I na ciebie spadnie cała odpowiedzialność.

Daniel popatrzył mu prosto w zielone oczy.

- Wy nie jesteście z Wydziału Bezpieczeństwa...

- Oczywiście, że jesteśmy - zaprzeczył spokojnie Olsen. - A ponieważ, jak ci już tłumaczyłem, walczymy z bardzo niebezpiecznymi wrogami, musimy stosować wszelkie możliwe środki. Wszelkie - podkreślił. - Nie mamy innego wyjścia.

Moon, który przez ostatnich kilka chwil zdawał się drzemać z głową wspartą na założonych z tyłu dłoniach, niespodziewanie otworzył oczy.

- Czas się kończy, Danielu. Decyduj.

Ale czas stracił dla Daniela znaczenie. Myśl o nim zniknęła z jego mózgu, podobnie jak świadomość wszystkich innych rzeczy. Było tak, jakby pierwsza część jego historii dobiegła już końca i jakby znajdował się w drodze ku czemuś innemu. Być może u końca owej drogi przebłyskiwało jakieś światelko, lecz od tego miejsca dzielił go jeszcze długi ciemny tunel, który należało pokonać, pędząc Wielkim Pociągiem ku nieuchronnemu przeznaczeniu.

- Powiedziałem wam prawdę. Klaus nie zdradził mi żadnego sekretu. A jeśli zrobisz coś mojej rodzinie, Olsen, to cię zabiję. Zabiję was obu.

- W twojej sytuacji groźby nie mają sensu - odrzekł Olsen, wyciągając z kabury pistolet.

Daniel i Bijou krzyknęli, Olsen jednak nie zrobił nic, tylko rzucił broń Moonowi, który złapał ją jakby od niechcienia, sprawdził, czy jest nabita, i wycelował w głowę Bijou. Przez cały czas spoglądał na Daniela wzrokiem pozbawionym wyrazu.

- Poczekajcie! - Daniel uniósł ręce w geście poddania. - Już mówię! - Zauważył, że

wyraźnie natężyli uwagę. Nie chciał patrzeć na Bijou (jeszcze nie), żeby nie zarazić się od niej paniką. Z jakiegoś niedosiężnego, choć odległego zaledwie o metr miejsca dobiegał go histeryczny płacz córki. - Klaus powiedział, że... Że miasta... Nasze miasta... Że one są... - Nie wiedział, co dalej. Przypuszczał, że wystarczyłoby wymyślić cokolwiek, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Czego oczekiwało tamtych dwóch? Co kryło się za milczeniem Klausa? - Są...

Widok pistoletu mierzącego w łagodną twarz Bijou odbierał mu rozum.

- Interesuje nas tylko sekret, Danielu - przypomniał Olsen. - Tylko to, co usłyszałeś od Klausa, gdy się ku niemu nachyliłeś.

- Nic nie usłyszałem! Nic! - Przyrzekł sobie, że się nie rozpłaczę, nie w obecności Yun, łzy trysnęły jednak wbrew jego woli, niemożliwe do opanowania jak sam ból. - Przysięgam... Przysięgam...

Ukląkł, gotów uczynić wszystko, chociażby lizać buty Olsena. *Bohater*. Kilka godzin wcześniej uważał się za bohatera. Ale co właściwie oznaczało to słowo?

- Dostyc - rzucił z pogardą Olsen. - Wstawaj.

Daniel już wiedział. Bohater to ktoś nieskrepowany więzami miłości.

Dźwignął się na nogi. Próbował odetchnąć, lecz nie udało mu się zaczerpnąć powietrza. Pomieszczenie wokół wyglądało całkiem nierealnie, zalane tym jaskrawym światłem, które ze wszystkich twarzy, poza twarzami Bijou i Yun, robiło straszliwe maski. Pomyślał, że te maski będzie widział już zawsze.

Ponieważ Yun płakała coraz bardziej rozdzierająco, Olsen pozwolił Bijou przytulić ją i pocieszyć. Potem je rozdzielono, a Moon ponownie wycelował pistolet.

- Twoja ostatnia szansa - ostrzegł Daniela Olsen.

Pewność, że nic się nie da zrobić, działała uspokajająco. Daniel powtórzył więc to, co mówił już wielokrotnie, tym razem z całkowitym przekonaniem.

- Dokładnie pamiętam każde słowo, które między nami padło. Ale akurat *wtedy* Klaus nic nie powiedział. Tylko *udał*, że coś mówi. Nie wiem, dlaczego to zrobił, co nie zmienia postaci rzeczy: poruszył ustami, nie wydając żadnego dźwięku. Pomyślałem, że jest obłąkany. No a potem wbił sobie te szczypce w szyję i więcej się nie odezwał. Gdybym chciał skłamać - dodał - to mógłbym. Ale nie chcę. Klaus nie zdradził mi żadnego sekretu.

Olsen zdawał się wahać. Daniel spojrzał na Bijou i zrozumiał, że ona mu wierzy i że pochwała jego szczerość.

*Pocałowałaaby mnie. Zapytałaby, czy naprawdę tak było, a potem by mnie pocałowała.*

- Co w takim razie z tą dziewczyną, z którą rozmawiałeś w ruinach? - zapytał Olsen.

- Z nikim nie rozmawiałem. Usłyszałem hałas, odwróciłem się i chyba kogoś zobaczyłem. Ale nie jestem pewien, bo potem ten ktoś zniknął.

Zapadło milczenie. Nawet Yun przestała płakać. Bijou uśmiechnęła się lekko, jakby chciała przyklasnąć uroczystemu oświadczeniu Daniela. Olsen rozmyślał z założonymi na piersiach rękami.

- Nie da się wykluczyć, że mówisz prawdę - rzekł wreszcie. - Ja jednak sądzę, że kłamiesz. - I skinął dłonią w stronę Moona.

Moon strzelił.

Oczy Bijou były przez chwilę jak dwa baloniki, wypuszczone przez dziecko z rączki i ginące wysoko w przestworzach. Potem zwłoki osunęły się na zakrwawioną ścianę i znieruchomiały.

## 8

Miasto Śmierci leży podobno gdzieś w Arabii.

Tak twierdzą niektórzy uczeni. Zapewniają, że wygląda tak, jak opisał je Autor. Ukryte pod suchym całunem piasku, starsze niż pustynia.

Ona jednak skłaniała się ku opinii, że Miasto było dla Autora jedynie metaforą tych wszystkich mężczyzn i kobiet, których ciała potrafiły rozpoznawać i przechowywać w sobie śmierć. Dlatego znajdowało się nie tylko w Arabii, ale wszędzie, we wnętrzościach ziemi, a niektórzy wyznawcy umieli przyjąć je w siebie.

W tej akurat chwili *to ona* była Miastem.

Szła podziemnym tropem, przez pokłady atramentowej czerni, odczuwając samotność głębszą niż ta, którą wywołuje brak innych istot ludzkich przy boku. Wiedziała, skąd bierze się to uczucie: śmierć, jaką miała w sobie, odgradzała ją, niby murem, od wszystkiego i wszystkich.

Kiedy wynurzyła się z mroku, otaczająca ją przestrzeń przybrała kształt niewielkiego pomieszczenia. W jednej ze ścian, tuż nad posadzką, widać było dwa otwory, przez które sączył się z sąsiedniej sali intensywny blask i dobiegały głosy ludzi, w tym głos tego, o kogo jej chodziło. Słyszała go.

Potem usłyszała też strzał. Nie zdążyła jeszcze się rozebrać ani odprawić niezbędnych rytuałów, ale liźnięcie wiatru na skórze mogło znaczyć, że stało się coś nieodwracalnego. Dlatego postanowiła wkroczyć i opanować sytuację, nawet jeśli miałyby zranić niewłaściwą

osobę. Mogła przedostać się przez jeden z otworów w ścianie, wcześniej jednak musiała wyłączyć szumiące obok generatory. Lepiej pracowało jej się w ciemnościach.

Nie wiedziała dokładnie, ilu ich jest ani ilu stawi opór. To jednak nie miało dla niej znaczenia.

Interesowali ją tylko dwaj z nich: cel i ten, który był *taki jak ona*.

Zdawała sobie sprawę, że ją wyczuwa. A mimo to wciąż miała sporą przewagę. Bo niezależnie od tego, czy się jej spodziewali, czy nie, znajdowali się na straconych pozycjach z jednej podstawowej przyczyny.

Nie byli nią.

## 9

Nawet Daniel Kean - zwłaszcza on - nie umiałby przewidzieć własnej reakcji. Można było odnieść wrażenie, że znajdują się wraz z Bijou na dwóch szalach dziwacznej wagi: gdy ciało ukochanej osunęło się w dół, jego własne wystrzeliło do góry. W ułamku sekundy znalazł się przy Olsenie i zacisnął ręce na jego szyi. Nie dorównywał mu siłą ani sprawnością, lecz gdy potoczywszy się po ziemi, zastygli w niemym zwarciu, w wytrzeszczonych oczach Olsena odmalowało się przerażenie.

Daniel udusiłby go z pewnością, gdyby nie został odciągnięty na bok przez agenta przytrzymującego wcześniej Bijou. Olsen krztusił się jeszcze przez dłuższą chwilę, jakby tchawicę uciskały mu nie dłonie napastnika, lecz jego furia.

Daniel szamotał się wściekle, gdy dobiegł go cienki pisk. To była Yun.

- Uspokój się, bo ją też zastrzelę - powiedział Moon, trzymając wycelowany w dziewczynkę pistolet.

Ten widok bynajmniej nie uśmierzył szału Daniela, który najwyraźniej nie był już dawnym sobą. Rozumiał, że najważniejsze teraz to ocalić Yun, nie ze względu na siebie samego - jego już nic nie mogło uratować - ale ze względu na Yun i na Bijou, której zwłoki wciąż widział kątem oka. *Pomyśl o małej...* Tak brzmiały jej ostatnie słowa. A jednak, zamiast spełnić rozkaz Moona, walczył coraz zacieklej.

Moon popatrzył mu w oczy.

- Twoja córka, Danielu.

- Tak, moja córka - powiedział Daniel, szarpiąc się z agentem.

Moon przeniósł spojrzenie na dziewczynkę. Oparta o białą skroń lufa wydawała się

olbrzymia przy dziecięcym czółku - jedynym fragmencie twarzy niezasłoniętym przez dłoń chłopaka w długim płaszczu.

Nagle Moon znieruchomiał. Obrócił głowę, nie ku Danielowi jednak, lecz w stronę Olsena, który właśnie podnosił się z podłogi, rozmasowując sobie szyję.

- To ona - rzucił niespokojnie Moon, opuszczając pistolet. - Już tu jest.

I wtedy zapadły ciemności.

## 10

Spodziewali się jej, ale nie opracowali żadnego konkretnego planu. Na tym polegał pierwszy błąd Olsena.

- Olive! Moon! Zabierzcie dziecko!

Skupienie całej uwagi na wydaniu tego polecenia - to był błąd drugi.

W mroku zapanował całkowity chaos. Daniel poczuł, że trzymające go dłonie zwolniły uścisk, więc rzucił się na oślep w kierunku Moona i zdołał uchwycić jego ramię - dziwnie miękkie i lodowato zimne, jakby nieżywe, podobne do oślizgłego węża, który natychmiast wysunął mu się z rąk. Daniel przygotował się na atak, ten wszakże nie nastąpił.

Najważniejsze było jednak to, że Yun żyje. Jej głos dobiegał od strony schodów, niemal zagłuszany przez stukot czyichś butów. Po stopniach przesunął się snop światła.

- Yun! - krzyknął Daniel. - Yun!

Każdy krok w tym pomieszczeniu, w którym zdawały się kłębić demony, równał się samobójstwu. Mimo to, a raczej właśnie dlatego Daniel ruszył przed siebie. I natychmiast upadł, popchnięty z ogromną siłą. Ktoś strzelał, potem nagle przestał. Jakiś uniform przeleciał w powietrzu i tylko po dźwięku, który wydał, uderzając o ścianę, można się było domyślić, że tkwi w nim czyjeś ciało. W tej samej zresztą sekundzie różnica między ciałem, uniformem i samą ścianą straciła wszelkie znaczenie.

- Jesteś głupia... - wychrypiał gdzieś w pobliżu Olsen. - Jesteś głupia albo szalona, jeśli myślisz, że... - Daniel nie wiedział, do kogo skierowane są te słowa, ale przebijający spod nich strach pozwalał przypuszczać, że szef Wydziału Bezpieczeństwa też nie ma stuprocentowej pewności, do kogo się zwraca. Może zwyczajnie blefował.

Daniel starał się przedrzeć ku schodom. Zorientował się już, że Moon i ten drugi agent uciekli, zabierając ze sobą Yun, nie pozostawało mu zatem nic innego, jak ich ścigać. Mimo to, słysząc, co mówi Olsen, spojrzął przez ramię na zaciekle zmagania toczące się w mroku.

Olsen zdawał się walczyć z samą śmiercią. Walczył z cieniem czarniejszym niż noc i tak szybkim, że na jego widok ciarki przechodziły po plecach. Daniel prawie zapomniał o swojej tragedii, słuchając z satysfakcją, jak tamten krzyczy, uderzany o ścianę, bezwładny w potężnym uchwycie ciemności; uderzany wielokrotnie, choć tak prędko, że poszczególnych ciosów nie dałoby się od siebie rozróżnić. Jak bardzo cierpieć powinien przed śmiercią taki człowiek? Daniel życzył sobie, żeby trwało to długo.

Ale wszystko skończyło się wcześniej, niż zdążył sformułować to życzenie.

Kiedy zapadła cisza, a na placu boju pozostała samotna ciemna postać, Daniel pojął, że nadszedł i jego kres. Nie bał się śmierci, przeciwnie, łaknął jej, jak łaknąć można tylko tego, przed czym zazwyczaj odczuwa się największy lęk. Chciał jednak umrzeć we właściwym miejscu.

Dlatego podczołgał się do ciała Bijou. Obejmując ją, poczuł, że ból ogarnia go znowu, jak gdyby nagle przestało działać znieczulenie.

- Zabij mnie albo nas tu zostaw! - zawył, gdy ręce cienia ujęły go pod ramiona.

- Istnieje trzecie wyjście - łagodnie odparł kobiecy głos.

# Rozdział trzeci

## *Ceremonia*

### 1

Po raz pierwszy kazała mu złożyć tę przysięgę, kiedy bawili akurat w Madrycie. Podróże wiązały się z różnymi niebezpieczeństwami, ale każdy czasem podejmuje jakieś ryzyko. Zresztą, był właśnie Czas Zimowy, rozpoczynający się wraz ze Świętem Zmarłych, okres, kiedy to zgodnie z odwieczną tradycją dzieci powinny odwiedzać rodziców. Dlatego trzy wolne dni w okresie Przesilenia, które zostały im po powrocie z domku pod Hamburgiem, gdzie świętowali zawarcie swego związku, postanowili spędzić u rodziny Daniela. Lot trwał krótko, a mimo to w Madrycie z całą mocą odczuli, jak wielka odległość dzieli ich od domu.

Miasto było stare, spowite niczym wielki posąg fałdami bieli. Bijou, która widziała je po raz pierwszy, przypominało Paryż, a jeszcze bardziej biblijne metropolie Północy. Podczas spacerów, w ciszy zakłócaną jedynie skrzypieniem śniegu, Daniel z pewnym niepokojem obserwował, jak jego żona gorączkowo wyszukuje kolejne podobieństwa: kurki na dzwonicach, spadziste dachy, wielkie kolumnady, wąskie kamienne labirynty, które dopiero na koniec okazywały się ulicami, zrujnowane kościoły wzniesione na miejscu innych, jeszcze dawniejszych... Wszystko tu tchnęło taką starożytnością, jakiej można było sobie życzyć (lub obawiać się), zwiedzając Europę.

Tamtego wieczoru, po kolacji, gdy już pośmiała się z ojcem Daniela Emilem Keanem, szefem wydziału w jednym z sądów, odpowiedziała na liczne a docieklive pytania matki, Jany Kean i należycie doceniła podobieństwo łączące Daniela i jego młodszą siostrę Lanię, którzy zaprojektowani zostali na bazie tej samej komórki jajowej, Bijou, drżąc na całym ciele, wtuliła się w ramiona męża i na zabytkowym łożu w gościnnej sypialni przyznała się do



swoich lęków. Przerazało ją wszystko: omszałe place, nieznanne rodzaje ciszy, szacowna rodzina Keanów, a teraz również skrzywienie łóżka i stosowne do pory roku dekoracyjne maski na ścianach.

- E tam - mruknął Daniel - niczym się nie przejmuj. Ojciec uważa się za wierzącego i dla nadania sobie dostojęstwa otacza się zmurszałymi papierzyskami, ale nawet do nich nie zagląda. - Oboje zaśmiali się cichutko. - A dom jest, owszem, stary, ale zdrowy i wygodny.

- Twoi rodzice są cudowni, Danielu, i wiedzą, co to miłość. Nie o nich chodzi. Po prostu naszły mnie wspomnienia. Madryt przypomniał mi moje dzieciństwo w Paryżu. Od ojca, który miał arabskie korzenie, nasłuchiwałam się wtedy o śmierci...

- Wszyscy się o niej od kogoś nasłuchaliśmy. - Wypowiadając te słowa, Daniel zdał sobie sprawę, że zamiast bagatelizować problem, powinien pozwolić Bijou się wygadać. Dlatego zamilkł i tylko mocniej ją przytulił.

- Ojciec powtarzał, że śmierć żyje pod ziemią... Umrzeć znaczyło według niego wejść przez czarną bramę w niekończące się tunele...

- To tylko takie legendy. Nie ma się co zadrećzać.

- Ale śmierć istnieje, temu nie zaprzeczysz. - Ciepły oddech musnął ucho Daniela jak pocałunek. - Dlaczego ona istnieje, kochany?

- Proszę, oto, do czego prowadzą spotkania z moją rodziną - uśmiechnął się Daniel, lecz jego wesołość zgasła wobec poważnego spojrzenia Bijou, która wpatrywała się w niego tak uporczywie, jak gdyby sądziła, że wyczyta z jego oczu odpowiedź na wszystkie trudne pytania.

- Dlaczego trzeba umrzeć? Nie rozumiem. Teraz, gdy cię poznałam i pokochałam, ciągle o tym myślę, bo nie chciałabym się nigdy z tobą rozdzielić. Strasznie się boję...

- Nie umrzesz. - Daniel pogładził ją po policzku. - Ani ty, ani ja. Nigdy.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Musisz mi coś przysiąc.

O to samo poprosiła go jeszcze raz, kilka lat później, pewnej nocy, kiedy dręczona przez koszmary Yun przybiegła blada i zimna do ich łóżka. Daniel powtórzył swoją „świętą” przysięgę. Sam wyznawał wpojona mu przez ojca zasadę, że chociaż pewne rzeczy muszą nastąpić, należy żyć tak, jakby się o tym nie wiedziało.

A jednak przysiągł. Później zaniósł Yun do pokoju dzieciennego, utulił ją i pocałował na dobranoc, by następnie wślizgnąć się do łóżka, gdzie Bijou zapadała się już w opary snu.

Czasem przyglądał się jej lub córce, gdy spały.

One. Jego rodzina. Wyspa światła w ciemności.

Po przebudzeniu pomyślał najpierw o śniegu, tak białe było wszystko dokoła.

Leżał na brzuchu, z rozkrzyżowanymi ramionami, jakby chciał coś objąć. Gdy się poruszył, zaboląła go lewa strona szyi. Potem wróciło straszne wspomnienie, które natychmiast poderwało go na nogi. Wyskoczył z nieznanego, ogromnego łóżka i rozejrzał się wokół.

Znajdował się w dużym pokoju. Ściany, podłoga i sufit były w różnych odcieniach bieli, écru lub kości słoniowej. Na oparciu krzesła wisiała luźna, pachnąca świeżością koszula, którą włożył, choć nie należała do niego. Na tym samym krześle znalazł też odświętną spódniczkę oraz sandały, uznał jednak, że chwilowo ich nie potrzebuje. Jego własne ubrania znikły.

Widok z przeszklonego romboidalnymi szybkami okna całkowicie go zaskoczył: u stóp zlodowaciałych gór, nad obrośniętym zaśnieżonymi jodłami wielkim jeziorem stały małe chatynki. Nie wyglądało to na okolice Dortmundu ani tym bardziej Wonn. Poranek wstał szary.

W pokoju były też drzwi, wykonane z mlecznego szkła. Daniel popatrzył w ich tafle i odniósł wrażenie, że spogląda w zmacony staw. Dostrzegł jakieś nieruchome cienie. Ponieważ jednak wołał na razie nie wiedzieć, czy jest tu gościem, czy więźniem, nawet nie dotknął klamki.

Po chwili zdumiał się znowu: na marmurowym blacie, podtrzymywanym przez wyrzeźbione na klęczkach postaci, stała taca z jedzeniem. Był głodny, więc przysunął do stołu kanapę, która nawet nie zaskrzypiała, usiadł i zaczął pożerać bułeczki z serem, popijając herbatą. Czynność ta przekonała go ostatecznie, że przebywa w świecie realnym. Nie ucieszył się jednak; do tej pory miał nadzieję, że śni.

Nie rozumiał, jak mógł przeoczyć jej wejście. Gdy zerknął ku drzwiom kilka sekund wcześniej, nie było tam nikogo, a teraz nagle wyrosła przy nich ona.

- Tak mi się coś zdawało, że wstałeś - powiedziała niskim głosem, z delikatnym południowym akcentem. - Dobrze się czujesz?

Daniel nie ruszył się od stołu, nie wyrzekł ani słowa. Filiżanka, którą właśnie podnosił do ust, nie drgnęła.

Dziwił się, że rozpoznaje tę dziewczynę, choć za pierwszym razem widział ją z daleka, za drugim - przelotnie, a za trzecim - w zupełnej ciemności. Nie ulegało wszakże

wątpliwości, że to ją spotkał w ruinach, a potem obserwował w trakcie krótkiego i bezwzględnego starcia z Olsenem. W tej chwili wyglądała całkiem niewinnie: miała długą białą tunikę i wilgotne, rozpuszczone włosy z kosmykami przylepionymi do czoła. Ani na moment nie podnosiła oczu. No i jak zdołała wejść, nie wydając najlżejszego dźwięku?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uczyniła coś nieoczekiwanego: opadła na podłogę. Nie zrobiła tego jednak w ramach powitania czy jakiegoś niespodziewanego hołdu; raczej tak, jakby podłoga służyła do tego, by na nią opadać. Opadła więc i usiadła wyprostowana, nie opierając się o ścianę, ze skrzyżowanymi pod tuniką nogami.

- Gdzie jestem? - spytał w końcu Daniel.

- W Königshafen, małym miasteczku na południu Niemiec, nad Königssee.

- Aha - ważył każde słowo, rozcierając bolący kark. - Jak i kiedy się tu dostałem?

- Przywieźliśmy cię. W nocy.

- „My” to znaczy ty i kto jeszcze?

- Mój przyjaciel. Wyciągnęłam cię, a on już czekał w tym tunelu koło Wonn. Wkrótce się poznacie.

- A co z moim ubraniem?

- Bardzo się ubrudziło. Zdjęliśmy ci je zaraz po przyjeździe.

Zdania były krótsze niż przerwy między nimi. Daniel zamknął oczy.

- Nic z tego nie pamiętam.

Dziewczyna wciąż wpatrywała się w podłogę.

- Musiałam cię ogłuszyć - wyjaśniła. - Nie zamierzałam tego robić, ale nie pozostawiłeś mi wyboru. Chciałeś tam zostać, a ja nie mogłam na to pozwolić. Przebywanie wśród zwłok pod ziemią jest bardzo niebezpieczne.

- Nie pomyślałaś, że może wolałbym umrzeć? - spytał.

- Nie miałbyś aż tyle szczęścia - odparła spokojnie.

Daniel obserwował ją z kamienną twarzą. Pod białą tuniką rysowało się twarde, sprężyste ciało.

Zastanawiał go tylko jeden szczegół.

*Dlaczego ona na mnie nie patrzy? Dlaczego nie podnosi powiek?*

- Moja córka... - szepnął.

- Zabrali ją.

- Zabrali?

- Moon i ten drugi. Nie zdołałam im przeszkodzić. Albo raczej zdołałabym, ale musiałam się skupić na tobie.

Daniel skulił się, próbując opanować ból. Myślał o Bijou, której zwłoki wciąż pewnie leżały w katakumbach. Myślał o Yun.

- Po co oni...? - wychrypiał. - Co chcą zrobić... z moją córką?

- Niedługo się wszystkiego dowiesz. Skończyłeś jeść?

Poczuł gniew. Skinął głową, wstał, przeciągnął się, potarł kark i powiedział, że miałby ochotę się umyć. Natychmiast poderwała się z podłogi.

- Proszę. Tutaj.

Znajdujące się po drugiej stronie łóżka lustro do ziemi okazało się drzwiami do łazienki. Otworzyła je i przytrzymała.

Właśnie na coś takiego czekał.

Nie potrafił tylko oprzeć się wrażeniu, że ona spodziewała się ataku i z jakiegoś powodu w ogóle się nie broni.

Popychając ją na ścianę, przewrócił nocny stolik i kilka kryształowych bibelotów roztrzaskało się o podłogę. Dziewczyna nie wykonała żadnego ruchu. Stała, uparcie patrząc w dół. Miała pełne wargi, wystające kości policzkowe i kanciastą szczękę. Jej twarz i dekolt usiane były piegami.

- Przez ciebie je opuściłem! - krzyknął Daniel. - Przez ciebie opuściłem żonę i córkę!

Już wcześniej chwycił ją za szyję, teraz tylko zacisnął ręce. Nie była to jakaś szczególnie mocna szyja - przeciwnie, odznaczała się niezwykłą smukłością. Gdyby miał nieco dłuższe palce i bardziej się postarał, objąłby ją jedną dłonią. A jednak coś, co nie wiązało się bezpośrednio z ciałem, usztywniało ją tak, że nie poddawała się naporowi. Zresztą, dziewczyna w ogóle sprawiała wrażenie wyrzeźbionej z jednego kawałka alabastru. Oddychała spokojnie. To raczej Daniel Kean zdawał się dusić.

- Spójrz na mnie! - Te spuszczone powieki doprowadzały go do szału. - Spójrz *na mnie*, zamiast gapić się na swoje stopy!

W tym momencie, zamiast jej oczu, otworzyły się drzwi do pokoju.

### 3

- Maya nie tylko uratowała ci życie, wyciągając cię z tych katakumb - powiedział stojący w progu mężczyzna - ale wydobyła stamtąd również zwłoki twojej żony. Dlatego puść ją i uspokój się trochę, Danielu Keanie.

Pierwsze z tych poleceń Daniel wykonał, zanim jeszcze padło; spełnienie drugiego nie

zależało od jego woli.

- Gdzie jest Bijou? - zapytał. - Uspokoję się, gdy ją zobaczę.

- Złożona na katafalku, gotowa na to, byś ją godnie pożegnał. Zaprowadzę cię do niej wkrótce. Ale wcześniej musimy odbyć krótką pogawędkę. Spróbuję odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. - Nieznajomy przemawiał energicznie i władczo. Zwrócił się na chwilę w stronę dziewczyny, ale nie przejawiał zaniepokojenia jej stanem, jak gdyby przekonany, że Daniel nie mógł wyrządzić jej krzywdy. Wymienili kilka cichych zdań i przelotnych uśmiechów.

- Kim jesteście? - W spojrzeniu Daniela wciąż malowało się zdumienie.

- Hector Darby, do usług. Ten dom należy do mnie. To moja przyjaciółka Maya Müller, ty natomiast nazywasz się Daniel Kean. A teraz, zamiast dalej tracić czas na idiotyczne prezentacje, zajmijmy się tym, co istotne. Mamy wiele do zrobienia i jeszcze więcej do wyjaśnienia. W zaistniałej sytuacji szybkość to podstawa.

Darby dał swemu gościowi kilka minut na włożenie reszty czekających na krzesła ubrań, po czym poprowadził go do ogromnego salonu. Liczba zgromadzonych w nim książek oszołomiła Daniela. W przeciwieństwie do swojej żony jakoś za nimi nie przepadał. W domu trzymali jedynie Biblię i kilka tekstów rytualnych. Za to w pracy Bijou miała książek pod dostatkiem. Choć nie było ich tyle co tu. Albowiem w salonie Hectora Darby'ego woluminy tłoczyły się wręcz nieprzyzwoicie, ściśnięte grzbiet przy grzbiecie, rozdęte, nieproporcjonalne. W zupełnej ciszy słychać było to, co Bijou nazywała ich „oddechem”: szelest wyschniętego papieru, powolne rozkurczanie się oswobodzonych od sąsiedztwa tomów, syk tych nadmiernie sprasowanych. Poza książkami znajdowały się tu wyłącznie antyki. Na środku królował ogromny globus. Z kąta dobiegało ochryple tykanie wielkiego ściennego zegara.

Hector Darby wskazał Danielowi fotel na żelaznych nóżkach, ustawiony naprzeciwko ściennego malowidła przedstawiającego chyba Königshafen. Dziewczyna dołączyła do nich po krótkiej chwili. Teraz miała na sobie długą, czarną, elegancką tunikę z niewielkim dekoltem. Uczesała się też i jej krótkie włosy układały się w lśniące fale. Szła z zamkniętymi oczyma, a mimo to bez wahania wybierała właściwą drogę. Bijący od wielkich okien zimny blask zapowiadał rychłe nadejście południa. Daniel wodził zdumionym spojrzeniem po nowych znajomych.

- Co cię tak dziwi? - zagadnął go Hector, napełniając kieliszki.

- Prościej byłoby powiedzieć, co mnie nie dziwi - odrzekł zapytany.

- Jestem człowiekiem biologicznym - oświadczył Darby. - Zakładam, że widziałeś już

takich wielu.

- Paru.

Daniel obsługiwał ich czasem w pociągu. Zawsze zwracali uwagę, a sam fakt, że istnieli, świadczył o przynależności do starych, bogatych rodów. Projektowanie dzieci samemu kosztowało, ale możliwość nieprojektowania ich stanowiła prawdziwy luksus. Nie wszystkim stać było na to, by pozwolić złożonej w inkubatorze zapłodnionej komórce jajowej rozwijać się niemal bez kontroli. Zdaniem Daniela taki wybór miał wiele wspólnego z kupowaniem antyków: dowodził upodobania do tego, co niekonieczne, cenne i kruche. Pozostawionym własnemu losowi zarodkom groziła bowiem przedwczesna śmierć, nie wspominając już o tym, że ludzie biologiczni cierpieli na masę chorób i starzeli się w zastraszającym tempie. Co zaś się tyczy wyglądu...

- To tutaj - wyjaśnił żartobliwym tonem Darby, podnosząc rękę do twarzy - to broda, a to - wskazał na czubek czaszki - to łysina. Moje ręce, nogi, tors i wzniesienie łonowe również pokryte są włosami. Skończyłem pięćdziesiąt dwa lata, rośnie mi brzuch, często się zaziębiam, mój głos brzmi ochryple, jestem brzydki, lecz niezwykle zadowolony, że nie posiadam tej waszej wystylizowanej sylwetki, gładziutkiego ciała, zgrabnych, długich kończyn i ślicznej buźki, która prawie nie zdradza wieku, że w przeciwieństwie do was czuję zimno i że ani z bliska, ani nawet z daleka nie przypominam kobiety. Zaspokoilem twoją ciekawość, Danielu?

- Tak, ja...

- Chcesz się też czegoś dowiedzieć o mojej przyjaciółce? - Darby wskazał na odwróconą do nich tyłem, stojącą przy oknie dziewczynę. - Maya rzadko otwiera oczy, ponieważ nie potrzebuje ich, aby widzieć: wzrok zastępują jej pozostałe zmysły.

- Słucham?

- Chodziło mi o to, że jest niewidoma.

Daniel obrzucił wzrokiem drobną postać o szerokich ramionach, wspominając, jak w katakumbach bez trudu powalała uzbrojonych mężczyzn. Uznał, że Maya Müller nie pochodzi raczej z Północy, gdyż tam nieuleczalna ślepotą należała do rzadkości.

Dziewczyna wciąż stała przy oknie. Na dworze zaczął sypać śnieg.

- Och, ona widzi znacznie lepiej niż ty czy ja, właśnie dlatego, że nie używa oczu - dodał Darby, spostrzegając zdumienie Daniela. - Pozwól jednak powiedzieć sobie, że to akurat nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia. Porozmawiajmy więc lepiej o tym, co je dla ciebie ma. - Z tymi słowami podał mu kieliszek wonnego likieru.

- Gdzie jest moja córka? - spytał natychmiast Daniel, nie przyjmując kieliszka. - Bo to,

owszem, ma dla mnie znaczenie.

- Nie wiemy - skrzywił się Darby, pociągając łyk trunku. - Ale nie zrobią jej krzywdy. Na razie. Potrzebują cię.

- Kto?

- Ci, którzy wynajęli Olsena i Moona. Jednym słowem: „oni” - uściślił. - Sytuujący się w opozycji do „nas”, czyli do mnie i moich przyjaciół. Żeby zaoszczędzić ci moralnych rozterek, od razu wyjaśnię, na czym polega różnica: przy nich zarówno ciebie, jak i twoją córkę czeka pewna śmierć, przy nas masz szansę przeżyć i ocalić małą.

Daniel opadł na oparcie fotela, jakby go ktoś zniecka mocno popchnął do tyłu. Podciągnął nogi, oparł stopy w sandałach na brzegu siedzenia i trwał tak przez dłuższą chwilę, z wystającymi spod krótkiej spódniczki gołymi, złączonymi udami.

- Tamci zamierzają cię zmusić, żebyś im pomógł coś znaleźć - podjął Darby. - My szukamy tego samego co oni. I podobnie jak oni gotowi jesteśmy się uciec do wszelkich środków.

Te słowa przypomniały Danielowi Olsena. Cały zeszywniał.

- Do czego miałbym się wam przydać?

- Dysponujesz podstawową informacją.

- A więc znowu chodzi o to, co rzekomo powiedział mi w pociągu tamten szaleniec?

Darby powoli skinął głową.

- Ale on mi nic nie powiedział! - krzyknął z rozpaczą Daniel. - Poruszył ustami i...

- I tu się mylisz - przerwał mu Darby. - Przekazał ci informację, którą ty przekazesz dalej, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Czyli za... - Sięgnął do kieszeni po zabytkowy zegarek z dewizką. - Czyli za trzydzieści godzin.

## 4

Daniel pokręcił głową. Doskonale pamiętał poruszające się bezgłośnie wargi Klause.

- Wiem, co mówię - upierał się Darby. - Usłyszałeś coś, pewną informację, i natychmiast o tym zapomniałeś, bo taka była wola tamtego. Pogrzebał coś w twojej podświadomości, skąd w odpowiedniej chwili sam to wydobędziesz.

- Nie da się zmusić kogoś, by coś zapomniał. To niemożliwe.

Hector Darby podszedł bliżej, z twarzą zniekształconą przez szkło podniesionego do ust kieliszka. Wychylił jego zawartość, po czym nakazał:

- Rozejrzyj się dokoła i powiedz mi, co widzisz.

- Salon.

- A w tym salonie?

- Książki i...

- O czym one są?

- Nie wiem. Żadnej nie czytałem.

- To może od razu wszystkie przeczytasz i wtedy mi powiesz?

- Jest ich za dużo. - Daniel zamrugał, nie pojmując, ku czemu zmierza ta rozmowa.

W dziwacznej brodzie Darby'ego zarysowała się szczelina brzydkiego uśmiechu.

- A zatem nie potrafisz stwierdzić, o czym są te książki, ponieważ jest ich za dużo.

Utrzymujesz natomiast, że zdołałeś dokonać całościowej lektury rzeczywistości, choć pod względem bogactwa znaczeń nieskończenie przewyższa ona moją skromną bibliotekę. -

Darby zawrócił w stronę barku i ponownie napełnił swój kieliszek. - Widzisz, Danielu, ja czytałem te książki i mogę ci powiedzieć, co z nich wynika. - Pociągnął kolejny łyk. - A wynika z nich, co następuje: nie ma rzeczy niemożliwych.

- Tak uważają osoby wierzące - odparł Daniel z wyraźnym lekceważeniem w głosie. - Powinienem był się domyślić, że i wy do nich należycie...

Darby zastygł, patrząc na niego z lekkim niedowierzaniem.

- Jesteś, z tego co widzę, młodzieńczo bezrefleksyjny, Danielu.

- Czy tak określa pan ludzi niewierzących? - wybuchnął Daniel.

- Tak określam ludzi głupich.

- Pan Kean nas nie zna, Hectorze - odezwała się spod okna dziewczyna. W jej głosie brzmiał wyrzut. Siedziała teraz na marmurowym parapecie, wciąż wyglądając na zewnątrz, a jej obrysowana słonecznym blaskiem sylwetka przypominała rzeźbę. - Poza tym, w zaistniałej sytuacji, mógłbyś mu chyba oszczędzić swoich ironiczných uwag.

- Przepraszam - uśmiechnął się Darby. - Ale powinieneś czasem pomyśleć, Danielu, zanim się odezwiesz. Bez urazy. Maya, owszem, jest wierząca, ja natomiast nie. Nigdy nie byłem i nigdy nie będę - oświadczył z mocą, tonem, który pozwolił się Danielowi domyślić, że to temat dla niego szczególny.

- W takim razie kim pan jest?

- Jestem po prostu dziwakiem - odparł z powagą Darby. - Jak zauważyłeś, zbieram i czytam książki. Każdy, kto czyta, staje się dziwakiem. Czytanie daje wiedzę, a ponieważ wokół dominuje raczej ignorancja, wiedza oznacza dziwactwo. - Uśmiechnął się. - Tak czy owak dowiedziałem się dosyć, by móc cię z całą odpowiedzialnością zapewnić, że wierzący



są zdolni do rzeczy, które nam, niewierzącym, wydają się przynależać do sfery cudów.

- Niczego takiego nie zauważyłem, choć znam wielu wierzących.

- Bo znasz tylko takich, którzy wierzą powierzchownie. Jest ich większość. Ale na tym dziwnym świecie wiara się stopniuje, podobnie jak strach. - Darby podszedł do jednej z półek i wyjął grubą księgę z czarnym grzbietem i pięknie tłoczonymi złotymi literami. Daniel rozpoznał ją od razu. - To zwyczajne wydanie, daleko mu do najlepszych z mojej kolekcji. Proszę, oto Biblia, a dokładniej - tu odczytał tytuł - *Najświętsza Biblia Miłości i Sztuki*, nasza Wielka Księga, zawierająca opis świata. Zakładam, że ją akurat czytałeś - dorzucił, bez wątpienia ironicznie, albowiem Daniel nie znał nikogo, kto nie przeczytałby jej co najmniej raz. - Składa się z czternastu Rozdziałów, czternastu opowieści czy też parabol, określających istotę uniwersum. Niektórzy wierzą tylko w jeden z nich, inni w kilka naraz. Ale bardzo rzadko jest to wiara głęboka. Zwłaszcza jeśli obejmuje więcej niż jeden Rozdział. Moja przyjaciółka Maya Müller głęboko wierzy w Rozdział Drugi, ten o Mieście Śmierci. Wczoraj, idąc twoim tropem, przedostała się z Hamburga do Wonn sobie jedynie znanymi podziemnymi ścieżkami.

- To niemoż... - zaczął Daniel i urwał.

Darby uśmiechnął się, dodając:

- Jeżeli wierzysz z całych sił, możesz wszystko. A człowiek, który postanowił przechować w twoim umyśle pewną istotną informację, potrafił uwierzyć głęboko aż w kilka Rozdziałów. Poza tym jest jednym z najwybitniejszych mędrców w historii.

- Ma pan na myśli... Klause Siegla?

- Mam na myśli tego, kto posłużył się Klausem Siegłem, by przekazać ci wiadomość, a następnie ukrył ją w twojej podświadomości tak skutecznie, że nawet torturami nie da się jej z ciebie wydobyć. Potem ci o nim opowiem.

- Ale po co robił to wszystko?

- Bo wprawdzie najkrótsza droga z tego pokoju do następnego wiedzie przez ścianę, lecz my, istoty ludzkie, musimy niestety używać drzwi i korytarzy, jednym słowem chodzić dokoła - odrzekł Darby z niejaką irytacją. - Wiadomość ma się przedostać z jednego punktu do drugiego, a Klaus i ty występujecie w tej historii w charakterze drzwi i korytarzy.

- Tylko dlaczego ja? Przecież nawet nie jestem wierzący...

- Kto wie, dlaczego wybrańcy zostali wybrani, jakby powiedział ten pocziwiec Klaus... - Darby wzruszył ramionami. - Zresztą, tak samo niejasne pozostaje, czemu padło akurat na niego, biednego marzyciela, który nawet bomby nie potrafił skonstruować porządnie. Ale cóż, kształt drzwi i korytarzy nie odgrywa żadnej roli, byle prowadziły tam,

gdzie trzeba...

- A ta wiadomość...

- To trop, który powiedzie nas do tego, czego szukamy - uciął Darby z niezadowolaniem. W jego spokojnym głosie zaczynały się odzywać emocje. - Może po prostu przedstawiś nam teraz swoją wersję wydarzeń, Danielu.

Daniel odnosił wrażenie, że swą rozmowę z Klausem relacjonuje po raz tysięczny. Później streścił też to, o czym mówili z Olsenem. Darby słuchał, spacerując po pokoju. Miał na sobie jaskrawoczerwony szlafrok z purpurowymi wyłogami i zawiązany wokół szyi fioletowy fular. Nikt się tak już nie nosił - strój ten, podobnie jak salon, w którym się znajdowali, przywodził Danielowi na myśl archaiczne, ginące w pomroce dziejów czasy.

Ubrana w słowa, tragedia stawiała się prawie do zniesienia, chociaż przy zabójstwie Bijou Daniel poczuł, że musi na chwilę przerwać. I wtedy zauważył, że Maya Müller zwróciła głowę ku Darby'emu, a ten z kolei patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Najwyraźniej to, czego się właśnie dowiedzieli, w jakiś sposób ich poruszyło.

- Bardzo nam przykro z powodu twojej żony, Danielu - powiedział Darby strapiiony. - Zналиśmy dzień, godzinę i miejsce przekazania wiadomości, ale nie wiedzieliśmy, kto ją przekaże i komu. Postanowiliśmy, że Maya wsiądzie do pociągu, a ja będę się trzymał w zasięgu przekaźnika. Tamci przysłali Olsena. Maya zidentyfikowała was niestety później niż on. W dodatku ze względu na bombę wasza sekcja została otoczona przez siły bezpieczeństwa. Maya usiłowała skontaktować się z tobą także w ruinach, ale i tam Olsen ją ubiegł. Zresztą, trudno było przypuszczać, że zaufasz jej bardziej niż przedstawicielom Wydziału Bezpieczeństwa. Kiedy dotarła do katakumb, zdołała wyeliminować Olsena i jednego z agentów, ale Moon i ten drugi uciekli z twoją córką. Wtedy wydobyła ciebie i twoją żonę na powierzchnię, zadzwoniła po mnie i razem przewieźliśmy was tutaj. Gdybyśmy wiedzieli, że... że tamci wykorzystają twoją rodzinę, by ci grozić... - Skrzywił się z odrazą. - To było niepotrzebne barbarzyństwo! Przecież oni, tak samo jak my, wiedzieli, że nie będziesz mógł nic powiedzieć!

Znowu zabrzmiał głęboki, napięty głos dziewczyny.

- Zostało piętnaście minut - oświadczyła Maya Müller z takim przekonaniem, jakby wyczytała tę informację wypisaną za oknem na śniegu.

*Piętnaście minut? Do czego?*

- Tam stoi przekaźnik - rzekł Darby, wskazując ręką stolik pod oknem. - Zadzwonią za piętnaście minut. Chodzi im o ciebie, więc to ty powinieneś odebrać.

- Kto zadzwoni?

- Ci, którzy porwali twoją córkę. Nic o nich nie wiemy, poza tym, że szukają tego samego co my i w ogóle mają z nami sporo wspólnego, tyle że używają znacznie drastyczniejszych metod. Zanim się obudziłeś, skontaktował się ze mną ten cały Moon i wyjaśnił mi, czego od ciebie oczekują... Chcą się z tobą umówić na jutrzejszy wieczór. Będziesz musiał się zjawić w miejscu, które wyznaczą, bo w przeciwnym razie zabiją twoją córkę.

Daniel siedział bez ruchu, zaczynając rozumieć.

- To dlatego, że jutro wieczorem przypomnę sobie informację ukrytą przez Klause w mojej podświadomości - szepnął.

Darby przytaknął, a jego wyrazista - jak u wszystkich biologicznych ludzi - twarz powlekła się smutkiem.

- My również jesteśmy żywo zainteresowani tym, co wtedy powiesz - podkreślił. - I jeśli nam pomożesz, zrobimy wszystko co w naszej mocy, by ocalić małą. Decyzja należy do ciebie.

## 5

Zapadła cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara na ścianie. Maya wciąż siedziała na parapecie, z podkurczonymi, odsłoniętymi aż po uda nogami. Darby przechadzał się w tę i z powrotem, włochate dłonie trzymając w kieszeniach szlafroka. Skulony w fotelu Daniel usiłował zebrać myśli. Wreszcie podniósł wzrok na Darby'ego.

- Czego wy właściwie szukacie? - spytał. - I wy, i oni. Czego szukacie?

Darby przystanął i spojrzał na niego przeciągle; nawet Maya obróciła głowę. Oboje zdawali się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Czegoś niesłychanie cennego - rzekł wreszcie Darby.

- Wartego śmierci dziecka?

Darby zawahał się, ale Daniel zdawał sobie sprawę, że tamten nie należy do ludzi mających zwyczaj skrywać prawdę, choćby nawet najmniej przyjemną. Surowość jego rysów odpowiadała surowości charakteru.

- Owszem. Nawet jeśli brzmi to strasznie - stwierdził po chwili. - Stawką w tej grze jest coś znacznie ważniejszego niż pojedyncze ludzkie życie, nie wyłączając życia nas samych.

- A można wiedzieć co konkretnie?

- Nikt tego do końca nie wie. Co tylko podnosi wartość tej rzeczy.

- Nie rozumiem.

- A przecież to proste. Wyobraź sobie skarb. Jeśli są to klejnoty, na klejnotach sprawa się kończy; jeśli książka - kończy się na książce. Natomiast skarb, którego istoty nikt nie zna, kusi bardziej niż inne, ponieważ może oznaczać zarówno klejnoty, jak i książki, złoto czy wiedzę. Spośród tych nieskończonych możliwości każdy wybiera sobie to, co go najbardziej interesuje.

- A pan? Co pan wybrał?

Darby długo wpatrywał się w swój kieliszek.

- Ja sądzę, że ten skarb nie istnieje.

Po chwili milczenia Daniel odezwał się z niezwykłym opanowaniem:

- Chce pan powiedzieć, że... moja żona zginęła, a córka została uprowadzona z powodu czegoś, czego nie ma?

- Hectorze... - szepnęła Maya.

- Och, w przypadku takiego skarbu fakt jego nieistnienia stanowi wartość samą w sobie - stwierdził Darby. - Znalezienie go liczy się tak samo jak wykazanie, że się go znaleźć nie da. Poza tym powoli zmieniam zdanie w tej kwestii. Może się jednak dotąd myliłem i to coś, o czym mówimy, mimo wszystko istnieje.

- Skąd ta zmiana?

- Coś, w imię czego niektórzy potrafią mordować kobiety i porywać dzieci, musi chyba istnieć.

- Hectorze, wystarczy - Maya Müller obróciła się ku Darby'emu całym ciałem, ukazując piegowaty dekolt. - Pan Daniel Kean przeżywa prawdziwą tragedię. Przestań sobie z niego żartować...

- Ależ ja wcale nie żartuję z pana Daniela Keana, moja droga, tylko z ciebie - odparł Darby. - Maya - dodał, spoglądając znowu na Daniela - wierzy w ów skarb w znacznie większym stopniu niż ja, lecz w głębi duszy przyznaje mi rację. To, czego szukamy, jest tak stare i pierwotne, że może się okazać dowolną rzeczą: przedmiotem, ideą, miastem...

- Ale znamy nazwę tego czegoś - wtrąciła Maya, wyraźnie zdecydowana wtajemniczyć Daniela nieco bardziej. - Słyszałeś o Kluczu do Otchłani?

- Nie - przyznał Daniel.

- Bo nie jest to pojęcie biblijne - wyjaśnił Darby. - Nie występuje w żadnym z Rozdziałów. Należy do zupełnie innej, prawdopodobnie wcześniejszej niż Biblia tradycji. Fragmenty, w których się pojawia, mówią o końcu świata i o kimś, kto zstąpi z nieba.

Możliwe, że te podania pochodzą sprzed kataklizmów i Koloru...

- Przed Kolorem nie było ludzi - zaprotestował Daniel.

- To kwestia wciąż sporna - zauważył Darby. - I właśnie dlatego nasze poszukiwania są takie ważne. Rozwiązując zagadkę Klucza, moglibyśmy wyjaśnić tajemnicę początków ludzkości.

- Ale nie tylko o to chodzi - dodała Maya. W jej głosie Daniel po raz pierwszy wyczuł cień emocji. - Z proroctw wynika, że odnalazszy Klucz, ludzie zdołają zniszczyć Boga i na zawsze wyzbędą się strachu.

Daniel przełknął ślinę. Darby i dziewczyna zdawali się czekać na jego reakcję.

- To jakiś absurd - przemówił wreszcie, bardzo cicho. - Nikt nie może zniszczyć Boga. Zakładając, że ktoś taki naprawdę istnieje... I nikt nie może wyzbyć się strachu... Strach stanowi istotę życia. Życie bez strachu jest...

- Niemożliwe - podsumował Darby. - Tym razem całkowicie się z tobą zgadzam, Danielu. Jeśli cokolwiek na tym świecie wolno uznać za niemożliwe, to właśnie to. Dlatego od razu ci powiedziałem, że ja w te bajki nie wierzę.

- A ja owszem - oświadczyła spokojnie Maya Müller.

Później, zanim ktokolwiek zdążył coś dodać, rozległ się krzyk przerażonego dziecka. To odezwał się przekaźnik.

- Dzwonią - rzucił Darby, spoglądając na zegarek. - Minutę przed czasem. Musisz odebrać, Danielu... Zapowiedzieli, że jeśli tego nie zrobisz, zabiją twoją córkę.

## 6

Daniel przeszedł przez ogromny salon jak we śnie, odnosząc wrażenie, że zbliża się nie tyle do rozwibrowanego aparatu, ile do bramy wiodącej w jakieś zakazane rejony.

- Jak się miewasz, bohaterze? - zapytał znajomy głos tym samym, obojętnym, a zarazem rozbawionym tonem, jakim w katakumbach powiedział: „Twoja córka”. - Wiem, gdzie jesteś, i sam się sobie dziwię, że ci zaufałem. W pociągu wykazałeś się odwagą, ale szczerze mówiąc, wolę już tchórzy niż kłamców...

Daniel trzymał przekaźnik końcami palców, jakby obawiał się ugryzienia. Postanowił zignorować prowokację Moona i przejść do rzeczy.

- Daj mi porozmawiać z córką.

- Och, nie wiem, czy ona zechce z tobą rozmawiać. Wstydzi się twoich kłamstw. Już

wkrótce Czas Zimowy, Danielu. Zbliża się Święto Zmarłych, twoja mała silniej niż kiedykolwiek czuje rodzinne więzi. To najgorszy moment, by ją zawieść. Yun, podobnie jak ja, spodziewała się, że w białej i szczupłej piersi jej ojca bije szlachetne serce. Bardzo się rozczarowała, słysząc, że straciła matkę z twojej winy. Przez twoje kłamstwa.

- To nieprawda. - Daniel poczuł suchość w ustach.

Znajdujący się gdzieś na obrzeżach jego pola widzenia Darby gestami nakazywał mu spokój. Silny głos Moona był zapewne słyszalny w całym pokoju.

- Ufność od głupoty dzieli czasem niezwykle cienka linia, Danielu. Nie łudź się, że już ją przekroczyłem. - W głosie Moona zabrzmiała teraz otwarta groźba. - Kłamałeś, twierdząc, że nie widziałeś się w ruinach z Mayą Müller. Bo teraz jesteś w domu jej przyjaciela, gotów podzielić się z nimi informacją, na której i nam zależy... W moim języku takich jak ty określa się mianem zdrajców. A w twoim?

- Myśl sobie, co chcesz - odparł z rezygnacją Daniel. - Ale proszę, pozwól mi porozmawiać z córką.

- Ten ton bardziej mi odpowiada - oświadczył Moon. - Używaj go odtąd częściej.

W przekazniku coś zaskrzypiało. Potem, po krótkiej przerwie, odezwała się Yun.

- Tato! Tato, to ty?

W oczach Daniela cały świat skurczył się do rozmiarów aparatu, z którego dobiegał jej głos. Wyobraził ją sobie, samą, osaczoną przez obcych.

- Yun, malutka, jak się czujesz?

- Dobrze. Dużo myślę o tobie i mamie.

To była z pewnością ona. Mimo odległości i zakłóceń na linii rozpoznawał ją po sposobie formułowania zdań, po tym, jak naśladowała powagę matki.

- Naprawdę dobrze się czujesz?

- Tak. A ty? Jeszcze się nie wydostałeś z tego ciemnego pociągu?

Wspomnienie ubiegłego poranka poraziło go jak grom. Darby i Maya zbliżyli się z wyczekującymi minami, lecz Daniel, oślepiiony przez łzy, nawet tego nie zauważył.

- Niestety - wychrypiał. - Ale niedługo się wydostanę. Przyrzekam. I znowu będziemy razem.

- Mama też?

Zanim zdołał wymyślić odpowiedź na to straszne pytanie, aparat ponownie zagrzmiął głosem Moona.

- Starczy na dziś, bohaterze. A teraz słuchaj uważnie.

Daniel ledwo wierzył własnym uszom. Zgodził się jednak na wszystko, tym bardziej

że Darby gwałtownie kiwał łysiejącą głową. Gdy połączenie się urwało, przez chwilę panowała zupełna cisza. Potem Daniel podniósł wzrok na Darby'ego.

- Chcą, żebym jutro... o dziewiątej wieczorem... był w...

- Tak - potwierdził Darby. - Polecisz do Japonii. A my z tobą. Ale najpierw, tak jak ci obiecałem, pożegnamy twoją biedną żonę.

## 7

Rozdział Trzeci opowiada o tym, jak główny bohater trafia w Czasie Zimowym do przysypanego śniegiem miasta swoich przodków i tam wraz z zamaskowanym starcem w rękawiczkach oraz chórem duchów uczestniczy w dziwnej ceremonii. Od wieków wiadomo, że tekst ten mówi o czymś więcej niż tylko o obchodach Przesilenia. Niektóre tradycje wiążą go z rytuałami przejścia, dlatego w pewnych kulturach dzieci, wkroczywszy w wiek dojrzewania, tańczą pod gołym niebem, w obecności rodziców, ubrane jedynie w maski i rękawiczki, dopóki ciepło ich nagich ciał nie wytopi dziur w głębokim śniegu. W tym okresie odwiedza się bliskich, śpiewa pradawne pieśni, ozdabia drzewa i wszelkiego typu słupy czy kolumny, schodzi do podziemi i dokonuje wyjątkowo uroczystych kremacji zmarłych. Znaczący Rozdział Trzeci spierają się o jego ostateczną interpretację, zgadzając się wszakże, iż Autor chciał, *między innymi*, ukazać właściwy sposób żegnania tych, którzy odeszli.

Daniel, choć nie był wierzący, ucieszył się, gdy stwierdził, że przygotowując pogrzeb Bijou, zastosowano się do tych zaleceń.

Jej przejrzystosine ciało obmyto i wyperfumowano, ranę po kuli starannie oczyszczono i ukryto pod pięknymi, kasztanowatymi włosami. Za pomocą przezroczystych pasów przywiązano zmarłą do pionowego, wyposażonego w kółka katafalku, który stał w wypełnionym dymem kadzideł pomieszczeniu. Daniel, Darby i Maya wspólnymi siłami pociągnęli go przez ciemne korytarze ku wyjściu.

Na otoczonym murem z szarej cegły niezadaszonym dziedzińcu czekała spopielarka w kształcie półotwartej poczwarki motyla. Wypukłe szyby, z których była wykonana, połyskiwały zielono wśród sypiących się z nieba białych płatków. Pomagając rozsypać krępujące Bijou pasy, Daniel zdziwił się, dlaczego Maya najpierw bada każdy węzeł ruchliwymi, podobnymi do owadów dłońmi; dopiero po chwili przypomniał sobie, że jest niewidoma. Gdy umieścili ciało w spopielarce, Hector zamknął ją, po czym rozdzielił maski,

rękawiczki i płaszcze. Płaszcze były czarne, a rękawiczki oraz piękne, ludzaco podobne do ludzkich twarzy maski - białe. Nałożywszy jedną z nich, Daniel poczuł ciepło własnego oddechu. Myślał, że się rozplacze. Nie zrobił tego jednak.

Darby poważnym, stanowczym głosem wyrecytował *Efficiunt daemones* - otwierając Rozdział Trzeci modlitwę, napisaną w starożytnym języku zwanym łaciną: „Sprawiają demony, iż rzeczy, których nie ma, ukazują się ludziom jako istniejące”. Następnie, dotykając właściwego miejsca na niewielkim ekranie, uruchomił spopielarkę i kiedy Daniel zerknął przez otwory na oczy, Bijou płonęła już zielonym ogniem.

Przestało padać. Gdzieś wysoko rozległo się krakanie zaprojektowanych w laboratoriach kruków. Resztki zimowego słońca błyszczały na krawędziach masek, które nie zakrywały już twarzy. Pięć lat z życia Daniela Keana - a może i całe jego życie - leżało na dnie spopielarki w postaci kilku garści popiołu. Nie wierząc, że to się dzieje naprawdę, Daniel wziął z rąk Darby'ego małą urnę o rozmiarach pięści. Podziękował za zorganizowanie ceremonii, pochylił głowę i ujrzał, że kilka kropel spada na metalowe wieko. Dopiero wtedy rozplakał się jak dziecko. Jak człowiek. Płacząc nad losem Bijou, ale i wszystkich innych, którzy odeszli z tego świata.

Maya Müller oparła swoją wrażliwą dłoń niewidomej na jego ramieniu.

- Przepraszam, Danielu - powiedziała, wyraźnie się starając, by w jej głosie zabrzmiało współczucie. - Przepraszam, że nie zjawiłam się wcześniej. Chociaż nie wiem, czy to by cokolwiek zmieniło. Teraz musisz spróbować zapomnieć. I myśleć o córce. W przeciwieństwie do twojej żony, ona wciąż cię potrzebuje.

Daniel przeniósł załzawione spojrzenie na jej kanciastą twarz, rozmazane plamki piegów i uparcie zakryte powiekami oczy. W tej samej chwili Darby, wyciągając ku niemu owłosioną dłoń, rzucił sucho:

- To nie powinno się było zdarzyć. I zrobimy z Mayą, co w naszej mocy, by się nie powtórzyło. Jutro wieczorem, w Japonii, kiedy przypomnisz sobie wiadomość, odzyskasz córkę. Dołożymy wszelkich starań, by ci w tym pomóc. Tamci są groźni, ale i my dysponujemy różnymi środkami. Poza tym mamy paru przyjaciół w Tokio. Wkrótce ich poznasz, bo już tam na nas czekają.

- Czyli... od początku wiedzieliście, że trzeba będzie lecieć do Japonii...

- Podejrzewaliśmy - przyznał Darby. - Człowiek, który wybrał Klause i ciebie, by użyć was do swoich celów, był Japończykiem. Nazywał się Katsura Kushiro. Jak już mówiłem, głęboko wierzył w co najmniej kilka Rozdziałów. Umarł przed wielu laty, ale przed śmiercią opracował szczegółowy plan, dzięki któremu jego sekret miał dotrzeć do



właściwych osób. Sądzymy, że znalazł Klucz i ukrył go gdzieś w Japonii. I ty nas do niego zaprowadzisz.

- Zaufaj nam, Danielu - powiedziała Maya Müller.

Tak jakbym miał inne wyjście, pomyślał Daniel.

A jednak nie potrafił wyzbyć się dziwnego wrażenia.

Coś się nie zgadzało. Tylko nie wiedział co.

## 8

Potrzebował samotności.

Znalazłszy się w swoim pokoju, ani na chwilę nie wypuszczając z rąk urny z prochami, natychmiast opadł na stojący najbliżej, bujany fotel z futrzanym oparciem. Czuł się tak, jakby trzymał w dłoniach własne, bijące serce. Na widok swojego odbicia w metalowym wieczku przypomniał sobie złożone kiedyś Bijou przyrzeczenie.

Tak dziecinne wydawało mu się wówczas, a tak przezorne - obecnie.

Oczywiście dotrzyma słowa. Nigdy nie zostawi jej samej. Będzie zawsze obok.

Bujany fotel skrzypiał żałośnie. Wychylając się poza pewien punkt, za każdym razem wydawał z siebie jękliwą skargę podobną do miauczenia małego kota.

*Yun. Muszę myśleć o Yun.*

Wciąż nie do końca rozumiał, co się właściwie stało. Jeszcze poprzedniego dnia miał pracę i rodzinę, był, na ile to możliwe, człowiekiem szczęśliwym. A teraz zostało mu jedynie blaszane pudełko z popiołem. Hector Darby usiłował to wszystko wyjaśnić, opowiadając jakieś nieprawdopodobne historie. Ale w całym tym zamieszaniu jedno nie ulegało wątpliwości: on, Daniel, nie zamierzał opuścić Yun. Wiedział, że pojedzie za nią na koniec świata.

Sama myśl o podróży do Japonii, na Wschód, o porzuceniu uporządkowanej, dobrze strzeżonej Północy, wywoływała w nim dreszcz zgrozy. Gdyby nie Yun, nigdy by się na coś podobnego nie zdobył. Dość się nasłuchiwał o potwornościach, które zdarzały się w Japonii, zwłaszcza w Strefie Zatopionej. Teraz wolałby nic o tym wszystkim nie wiedzieć. Ale tam właśnie, wedle zapewnień Moona, miał odzyskać córkę. Poza tym Darby obiecał mu pomoc. Nie było wyboru.

Postanowił nie ruszać się z fotela, dopóki po niego nie przyjdą. Czuł rosnący niepokój, który dotyczył nie tylko przyszłości. W przeszłości, tej całkiem niedawnej, krył się jakiś

istotny szczegół, który do niczego nie pasował. Daniel wciąż nie potrafił sobie uświadomić, co to było. Zresztą, czemu właściwie tak mu na tym zależało?

W końcu się poddał. Uznał, że prędzej czy później sobie przypomni.

Nie chciał zasypiać, ale jego uszy coraz rzadziej wychwytywały skrzypienie fotela, a utkwione w urnie oczy zamykały się niepostrzeżenie.

Śniła mu się Bijou. Cała i zdrowa siedziała mu na kolanach, uśmiechając się zagadkowo, podobna do kota domagającego się pieszczot lub smakołyków. Oczy miała zamknięte. Poprosił, by na niego spojrzała, a ona posłusznie uniosła powieki, odsłaniając przed nim dwa małe i straszne światy, dwie jaskinie wypełnione czymś, co było przeciwieństwem światła, dziwnym rodzajem mroku, przy którym jasna zdawała się nawet ciemność.

# CZEŚĆ DRUGA

## JAPONIA

Żyjemy na spokojnej wyspie ignorancji  
pośród czarnych mórz nieskończoności.  
*(Najświętsza Biblia, Rozdział Czwarty, 1,1)*

Pewnego dnia, gdy połączymy rozproszoną wiedzę,  
otworzą się przed nami  
tak przerażające perspektywy rzeczywistości (...),  
że oszalejemy z powodu tego odkrycia.  
*(Najświętsza Biblia, Rozdział Czwarty, 1,1)*

Nigdy świadomie nie dostarczę ogniwa  
do tego straszego łańcucha.  
*(Najświętsza Biblia, Rozdział Czwarty, 1,1)*

# Rozdział czwarty

## *Czwarty*

### 1

Tuż po przylocie do Japonii stał się mimowolnym świadkiem samobójstwa.

Czekali z Darbym i Mayą w niekończącej się kolejce na gigantycznym lotnisku, w ogromnej, cylindrycznej, niezadaszonej sali, gdy nagle jakieś sto metrów przed nimi coś wypadło przez balustradę położonej wysoko galerii. Poznali, że to człowiek, gdy lecący kształt rozkrzyżował w powietrzu nogi i ramiona. Wokół rozległy się krzyki, wzburzony tłum zafalował.

- Jeszcze jeden samobójca - stwierdził spokojnie Darby, ujmując Daniela pod ramię. - Nie rób scen, nie chcemy przecież wywoływać sensacji. W tym kraju ludzie zabijają się z wielu powodów, choć prawie zawsze ma to taki czy inny związek z religią. Najczęściej decydują się na to wiosną; zimą raczej rzadko, ale wyjątków, jak widzisz, nie brak. Jesteśmy na Wschodzie, Danielu, nie na Północy. To, co w twoich stronach wydawałoby się potworne, tutaj jest zwyczajnym rytuałem wynikającym z określonej wizji świata. Najważniejsze, żebyś się nie wyróżniał. Za bardzo zwracasz na siebie uwagę.

- W jaki sposób?

Darby uniósł brew.

- Każdy od razu widzi, że nigdy nigdzie nie wyjeżdżałeś, chłopcze. Jeśli dodać do tego wyraz przerażenia, jaki maluje się na twojej twarzy choćby i teraz, cóż... Stanowisz idealny cel dla tych, którym przychodzą do głowy rozmaite paskudne pomysły. Umiejętność wtapiania się w tłum to w Japonii często kwestia życia lub śmierci.

Poprawiając różową tunikę i odrzucając do tyłu splecione w długi warkocz włosy, Daniel pomyślał, że wypominanie mu przestrachu to już pewna przesada. Właśnie odbył

dziesięciogodzinny lot, podczas którego głównie płakał z tęsknoty za Bijou i Yun, w przerwach wysłuchując rewelacji Darby'ego, albo spał i miał koszmarne sny, by na koniec trafić do tego dziwnego, w niczym niepodobnego do wygodnej Północy kraju, gdzie ludzie mieli zwyczaj rzucać się z wysokości prosto w tłum, w imię swoich przekonań religijnych.

Tych samych zresztą - jeśli można było wierzyć Darby'emu - które kazały Katsurze Kushiro zamknąć w jego, Daniela, mózgu przeklętą wiadomość.

## 2

Podczas podróży Darby wyciągnął z kieszeni swoje niewielkie scriptorium i pokazał Danielowi zdjęcie biologicznego człowieka o wschodnich rysach, rzadkich białych włosach i krzaczastych brwiach; za fasadą jego przyjemnego uśmiechu zdawała się czaić jakaś niezbyt przyjemna tajemnica.

- Oto japoński mędrzec, mistrz Katsura Kushiro, z woli którego stałeś się kimś w rodzaju posłańca - wyjaśnił Darby. - W chwili śmierci, mniej więcej przed trzydziestoma laty, uznawany był za jednego z najgłębiej wierzących ludzi wszech czasów, znawcę wielu Rozdziałów, między innymi wzbudzającego największy lęk Rozdziału Czwartego, tego o Bogu, oraz Jedenastego, który mówi o czasie. Co ciekawe, Kushiro nigdy nie interesował się Kluczem, to raczej Klucz zainteresował się nim. Szperając kiedyś w starych papierach, mistrz Katsura natknął się na informację wykreśloną ze wszystkich, nawet najdawniejszych wersji Rozdziału Czwartego: informację o dokładnym geograficznym położeniu podwodnej siedziby Boga. Nie rób takiej miny. Jasne, że nikt jeszcze nie dowiódł istnienia takiej wszechmocnej, skrywającej się w głębi oceanu istoty. Ale nikt też nie udowodnił tezy przeciwnej... Nie udało się żadna z ekspedycji poszukiwawczych. Bóg za bardzo nas chyba przeraża, żebyśmy byli zdolni poważnie go szukać. Jednakże Katsura Kushiro postanowił sprawdzić swój trop i wraz z grupą współwyznawców oraz ludzi nauki wyprawił się do Nowej Zelandii.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo to kraina Boga. Nazwy nowozelandzkich miast pojawiają się w Rozdziale Czwartym. Co więcej, Polinezyjczycy, stanowiący jakiś odsetek tamtejszej ludności, uważani są za lud wybrany. Poza tym właśnie Nowa Zelandia leży najbliżej miejsca wzmiankowanego w odnalezionym przez mistrza Katsurę tajemniczym fragmencie. Na miejscu ekipa dokonała kolejnego niezwykłego odkrycia. Nie wiemy gdzie dokładnie, ponieważ i Katsura Kushiro, i później jego uczniowie milczeli na ten temat jak zakłęci. Wreszcie po kilkunastu miesiącach

mistrz wrócił, ale... sam.

- A reszta? - spytał Daniel, stwierdzając z pewnym zaskoczeniem, że naprawdę jest tego ciekaw.

Darby wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że przeżył jedynie Katsura Kushiro, który w żadnym z nielicznych tekstów napisanych po tamtych wydarzeniach nie zająknął się o nich nawet słowem. Zresztą wkrótce potem umarł. - Darby dotknął swego scriptorium i podobizna starca znikła, zastąpiona przez zdjęcie rudowłosej Japonki ze stalową obręczą na szyi. Nieznajoma miała na sobie czarny, lśniący, rozpięty na piersiach płaszcz oraz czarne sznurowane buty sięgające ud. Coś w jej twarzy i całym ciele podpowiedziało Danielowi, że i ona jest osobnikiem biologicznym. - Jego córka, Mitsuko, wyznawczyni Rozdziału Czwartego, była wtedy zaledwie dziesięcioletnią dziewczynką. Ojciec zdradził jej, że to, co znalazł w Nowej Zelandii, wiąże się z Kluczem do Otchłani. Prosił jednak, żeby dla własnego dobra nie próbowała tego czegoś szukać. Powiedział jej też, że tak wszystko zaplanował, by wiele lat po jego śmierci w odległym punkcie globu odpowiednia osoba usłyszała z ust innej stosowne wskazówki i dzięki nim dostała się do laboratorium, w którym ukrył coś związanego z nowozelandzkim odkryciem. Do przekazania informacji miało dojść w pociągu z Hamburga, konkretnego dnia i o konkretnej godzinie. Znająca te wszystkie szczegóły Mitsuko przez jakiś czas dochowywała sekretu. Jednakże kilka lat temu musiała chyba podzielić się nim z kilkoma zaufanymi uczniami, gdyż treść przedśmiertnego wyznania Katsury Kushiro dotarła w końcu i do nas. Potem Mitsuko znikła, a wraz z nią jej akolici.

- Znikła?

- Owszem. I dotąd nie ustaliliśmy, gdzie się podziała. Niewykluczone, że to ona przewodzi naszym wrogom - powiedział Darby, wyłączając scriptorium i spojrzał na Daniela.

- Także i tego dowiemy się dziś wieczorem.

### 3

Hotel znajdował się w dzielnicy Hibiya i nosił nazwę Imperial 58, co pozwalało przypuszczać, że tak samo nazywa się co najmniej pięćdziesiąt siedem innych. Z jednej strony budynku brakowało ściany - jak gdyby ktoś równiutko odciął ją uderzeniem olbrzymiej siekiery - dzięki czemu można było oglądać wnętrza pokoi. Daniel jednak przestał się już czemukolwiek dziwić. Pociąg, którym jechali z tokijskiego lotniska, w niczym nie

przypominał Wielkiego Pociągu: poszczególne sekcje wyglądały tu jak oświetlone świecami sale, a zarazem jak gigantyczne okrągłe łoża.

- W Japonii wszystko ma cechy dwóch rzeczy naraz - tłumaczył Darby. - I w związku z tym nic nie jest do końca tym, czym jest. Zasada ta obowiązuje w architekturze, technologii i w wielu innych dziedzinach. Dzieciom wpaja się ją od małego: specjalny nauczyciel, określany słowem *hon mie*, zaczerpniętym z obowiązującego tu kiedyś języka, zajmuje się rozdzielaniem pojęć, tak aby umysły uczniów nie mogły nigdy dostrzec całości problemu. Zdaniem Japończyków to, co ulega połączeniu, staje się niebezpieczne, a przynajmniej niepożądane. Kluczowy dla takiej wizji świata jest symbol złożonego z drobnych ogniw łańcucha, który po połączeniu służy do wiązania, skuwania. Dlatego panuje tu opinia, że dokonując syntezy, własnoręcznie zakładasz sobie pęta. Oczywiście wszystko to wzięło się z Biblii: „Nigdy świadomie nie dostarczę ogniwa do tego straszego łańcucha”. Pamiętasz? To z Rozdziału Czwartego. „Największym dobrodziejstwem na tym świecie jest fakt, że umysł ludzki nie jest w stanie skorelować całej swej istoty. Żyjemy na spokojnej wyspie ignorancji...”, i tak dalej. Japończycy za tę „spokojną wyspę ignorancji” uważają swoją ojczyznę. Wierzą, że dobrodziejstwem jest nie łączyć pojęć. W tekście poświęconym interpretacji Rozdziału Czwartego Katsura Kushiro podaje przypowieść o uczniu, który najpierw poznał dźwięki dobiegające z lasu, potem porastające go rośliny, jeszcze później zamieszkujące go zwierzęta, a gdy na koniec, ciekaw, na jaką całość składają się te elementy, połączył wszystko, co już wiedział, został przez ów las pożarty.

Hotelowa winda, do której tymczasem wsiedli, mijała kolejne piętra, sunąc przez szyb oznaczony liszajami wilgoci.

- Jest prawie siódma - powiedział Darby, zerkając na swój zegarek. - Spotkanie wyznaczili ci o dziewiątej, więc zdążymy jeszcze coś przekąsić i zapoznać cię z ostatnimi szczegółami. Nasi przyjaciele czekają w jednym z apartamentów. Niektórzy mają w Tokio domy, ale uznaliśmy, że lepiej będzie umówić się w hotelu. Na pewno ich polubisz.

Począwszy od piętra dwusetnego, towarzyszyła im wygrywana na fletach melodia, tak delikatna, że dźwięk i cisza zdawały się rozbrzmiewać równocześnie - symultaniczne, a jednak całkiem osobne. Daniel nigdzie nie widział żadnych drzwi, ale w chwili, gdy o tym pomyślał, otworzyło się przed nimi przejście do jakiegoś salonu. Zdjąwszy buty, ruszyli wśród przepierzeń, które okazywały się zdobnymi w drewniane nadproża drzwiami, pełniącymi zarazem funkcję ścian. Wszechobecna zasada dwoistości sprawiała, że podłoga miała formę szeregu podwyższeń, służących chyba do siedzenia i jednocześnie ozdoby, a zapadała się i wznosiła tak niespodziewanie, że oszołomiony Daniel musiał bardzo uważać,

gdzie stąpa. W końcu dotarli do przestronnego, wyłożonego matami pomieszczenia, w którym kilka osób akurat jadło kolację.

Wieczorny wiatr poruszał płachtami półprzezroczystego papieru, zastępującymi tu jedną ze ścian, albowiem w tym właśnie miejscu budynek tracił charakter budynku, znienacka urywając się ponad ruchliwą ulicą. Część zgromadzonych w pokoju osób była prawie lub całkiem naga, lecz ich idealne ciała nie odczuwały chłodu wpadających z zewnątrz powiewów. Darby natomiast od razu zaczął rozcierać okryte cienką tuniką ramiona.

Na widok nowo przybyłych wszyscy obecni wstali z miejsc.

- Witamy, Danielu - powiedział z uśmiechem jeden z nich. - Czekaliśmy na ciebie.

## 4

Daniel zaczynał się niecierpliwić. Przyjaciele Darby'ego wpatrywali się w niego tak, jakby szacowali jego rynkową wartość. Miał na sobie jedynie różowe rajtuzy i długi naszyjnik, ponieważ tuż po przywitaniu poproszono go, żeby zdjął tunikę, tłumacząc, że nagość jest w Japonii zjawiskiem znacznie powszechniejszym niż na Północy, a nawet uchodzi za przejaw szacunku. („Ubrania niebezpiecznie dopełniają ciało, dlatego się tu ich unika”). Próbował zachowywać się naturalnie, ale pod baczny spojrzeniem kilku par oczu nie było to wcale łatwe. Zwłaszcza że imponujące ciała tamtych emanowały taką samą mocą, jaka biła z postaci niewidomej przyjaciółki Darby'ego: mocą głębokiej wiary.

- Doskonale rozumiemy, jak się czujesz, drogi Danielu - rzekł mężczyzna, który przedstawił się jako Meldon Rowen. - Jeszcze wczoraj wiodłeś spokojne życie zwyczajnego mieszkańca Północy, a dziś jesteś w Japonii, w towarzystwie dziwnych indywiduów, mając w perspektywie spotkanie z kanałiami winnymi śmierci twojej żony. Chciałbym cię jednak zapewnić, że znalazłeś się wśród przyjaciół. Zjemy wspólnie kolację i porozmawiamy.

Dziewczyna zajmująca się rozlewaniem napojów napełniła przeznaczoną dla Daniela czarzkę. Kelner, który podobnie jak jego koleżanka ubrany był w sposób nazywany już przez Daniela w myśli japońskim, co oznaczało, że nie miał na sobie nic poza ozdobami i malunkami na skórze, ukląkł, muskając matę koniuszkami długich warkoczy, dotknął ustami podłogi, by następnie, umieściwszy sobie między zębami czerwony jak krew owoc, pochylić się w stronę gościa.

- Spróbuj - zachęcił Daniela Rowen. - To *shinzo*. W dawnym japońskim wyraz ten oznaczał serce. Owoc *shinzo* należy wyjąć spomiędzy warg tego, kto cię nim akurat częstuje, i



wrzucić do naczynia z trunkiem. Robi się to podczas wielu rytuałów, zamiast spożywać prawdziwe serce, czyli najważniejszy z ludzkich organów. Oczywiście ma to związek z naukami Rozdziału Czwartego. Na pewno pamiętasz, że dwie występujące tam osoby umierają na skutek „dziwnych zmian patologicznych w sercu”.

Daniel drżącymi palcami ujął owoc i wrzucił do czarki. Kelner, wyprężony jak struna, z czubkami warkoczy zwieszonymi nad matą na kształt pędzelków do kaligrafii, odczekał, aż gość podniesie naczynie do ust - *shinzo* było dla Daniela zupełnie pozbawione smaku - po czym na czworakach przesunął się ku następnemu biesiadnikowi, by poczęstować także i jego. Obsługująca towarzystwo dziewczyna zaczęła tymczasem ustawiać na niskim stoliku miski, w których znajdowały się drobne, niezidentyfikowane przedmioty o zaskakujących kolorach. Daniel odnosił wrażenie, że będą jedli klejnoty.

- Zgadzam się, że serce to najważniejszy z organów - niespodziewanie oświadczył mężczyzna nazywany przez Rowena doktorem Schaumannem. - Jednakże fakt, że ze względów religijnych współczesna nauka odmawia badań nad jego schorzeniami, jak również ich leczenia, uważam za szczyt absurdu.

- Charakterystyczne dla naszej epoki wydaje mi się właśnie to, że rządzący odżegnują się od religii, a zarazem boją się zrezygnować z zakorzenionych w społeczeństwie przesądów - stwierdził Hector Darby. - Jakże ciężko nam przyznać, że w nic już nie wierzymy.

- Zapominacie, że w tych, jak mówicie, przesądach zawiera się prawda o świecie takim, jaki jest - wtrącił podniesionym głosem piękny chłopak o długich kręconych włosach, skośnych oczach i smukłym ciele, prawie zresztą niewidocznym spod biżuterii i tatuaży. - Powiedziałbym więc raczej, że w końcu nawet tacy niedowiarkowie jak ty, Hectorze, albo ty, Brennie, zaczynają się liczyć z rzeczywistością.

- Ależ my tu wcale nie mówimy o tym, jaki jest świat, Yilu - odparł Schaumann. - Mówimy o hamowaniu rozwoju nauki w imię paru niejednoznacznych zdań wyjętych z Biblii...

- Nie ma nic niejednoznacznego w zatrzymaniu akcji serca, Brent. To naturalna śmierć i tak powinni umierać ludzie.

- Dlaczego naturalna? Tylko dlatego, że występuje w Biblii?

Dyskusja, której Daniel słuchał jednym uchem, trwała jeszcze przez dłuższą chwilę. Dopiero gdy kelnerzy opuścili pokój, odezwał się ponownie Meldon Rowen.

- Hector Darby wyjaśnił ci już wszystko, co wiąże się z twoją rolą w planie Katsury Kushiro, Danielu. Ja chciałbym dodać parę uwag o nas tu zgromadzonych...

Na moment urwał. Przemawiał modulowanym, uspokajającym głosem, miał na sobie

czarne, dwuczęściowe, dopasowane ubranie i zdaniem Daniela musiał powstać na specjalne zamówienie bogatych rodziców, albowiem każdy milimetr jego doskonałego ciała - począwszy od lśniących, czarnych jak antracyt włosów, przez śniadą, gładką skórę aż po błyszczące oczy i paznokcie - wymownie świadczył o możliwościach wspomaganej dużymi pieniędzmi genetyki.

- Zastanawiasz się zapewne, kim jesteśmy - podjął Rowen. - Cóż, powiedzmy, że grupą przyjaciół. Pochodzimy z różnych miejsc na kuli ziemskiej, ale łączą nas wspólne interesy. - Tu spojrzął na Darby'ego. - Hectora, na przykład, znam od bardzo dawna: on uwielbia książki, a ja lubię mu je ofiarowywać. Innymi słowy: on dysponuje inteligencją, a ja funduszami. - Darby zaprotestował z uśmiechem. - To przecież równie dobry powód do podtrzymywania długiej przyjaźni jak każdy inny.

- Meldon odziedziczył jedno z największych imperiów technologicznych na świecie - przerwał Darby - ale lubi wyzwania i wszelkiego rodzaju przygody. Dzięki niemu tu jesteśmy.

- A dzięki Hectorowi wiemy, dlaczego tu jesteśmy - dodał Rowen, wzbudzając ogólną wesołość.

Daniel zmusił się do uprzejmego uśmiechu, niewiele jednak do niego docierało. Nie miał też apetytu. Siedział na macie, wodząc wzrokiem dokoła i czując niezmierny dystans dzielący go od wszystkich i wszystkiego.

- Co zaś do pozostałych... Anjali Sen... - Rowen wskazał na siedzącą obok, całkiem nagą i uderzająco piękną kobietę o kruczoczarnych kręconych włosach i bardzo ciemnej skórze, której kolor świadczył o określonych życzeniach dobierających geny rodziców - Anjali Sen pochodzi z Indii, głęboko wierzy w Rozdział Dwunasty, zgromadziła wokół siebie wielu uczniów i jest naszą wielką przyjaciółką. To jej zaangażowanie i pasja uczyniły ze mnie człowieka wierzącego, Danielu. Doktor Brent Schaumann - Rowen skinął na szeroko uśmiechniętego, usadowionego po drugiej stronie stołu mężczyzną w różowej tunice, spod której wystawały długie, zgrabne nogi - reprezentuje w naszym gronie naukę... Jest biologiem i znawcą Rozdziału Piątego, choć trudno go raczej zaliczyć do ludzi religijnych...

- Zbyt dobrze znam Biblię, by w nią wierzyć - rzucił Schaumann.

- Brent ma wyjątkowo rozległą wiedzę - rzekł Darby. - A poza tym należy do moich najbliższych przyjaciół.

- Po *shinzo* zawsze robisz się straszliwie sentymentalny - mruknął Schaumann.

Rowen zwrócił się teraz ku skośnookiemu chłopakowi, którego Schaumann nazwał wcześniej Yilem. On właśnie najmniej przypadł Danielowi do gustu, co więcej, niechęć ta,

sądząc po rzucanych przez tamtego pogardliwych spojrzeniach, była najwyraźniej wzajemna. Yil miał długie, kręcone kasztanowate włosy i coś egzotycznego w wyglądzie, tyle że bardziej niż Japończyków przypominał mieszkańców Południa. Przycupnął na podłodze, całkiem nagi - jeśli nie liczyć rozmaitych bransolet, naszyjników i innych ozdób z kutego metalu, wśród których wyróżniał się wiszący na szyi srebrny wąż z drugą głową w miejscu ogona.

- Oto najbardziej dynamiczny przedstawiciel naszej grupy, czyli Jeremy Yin Lane, zwany też Yilem - powiedział Rowen. - Zagorzały wyznawca Rozdziału Dziesiątego. Mieszka w Bombaju i jest uczniem Anjali oraz synem Ezry Obeda Lane'a, naszego nieodżałowanej pamięci przyjaciela, głęboko wierzącego w Rozdział Trzynasty.

- Co to znowu za bzdura z tą moją rzekomą dynamicznością? - warknął Yil.

- Yil ma to do siebie, że nigdy nie zgadza się z opiniami wygłaszanymi na jego temat - wtrąciła piękna Anjali. - Woli pozostać nieokreślony.

- Niezasufladkowany - sprostował Yil.

- A nie mówiłam?

Na te słowa Yil wybuchnął niespodziewanie szczerym śmiechem. Wyglądało na to, że Anjali potrafi wydobywać z ludzi to, co było w nich najlepsze. Poza tym Daniel mógł się założyć, że nawet młody buntownik w rodzaju Yila nie pozostawał obojętny na jej oczywiste wdzięki.

Rowen wskazał Mayę Müller.

- No i na koniec została nam Maya, którą już poznałeś, wyznawczyni Rozdziału Drugiego oraz wielka przyjaciółka Hectora. Jak widzisz, członkowie naszej grupy bardzo się od siebie różnią. Niektórzy związani są węzłami przyjaźni, ale tym, co łączy nas naprawdę, jest poszukiwanie Klucza. O sekretnej planie Katsury Kushiro po raz pierwszy usłyszał ojciec Yila, Ezra Obed, przed dwoma laty, w Niemczech. Niestety, był już wtedy bardzo chory na serce. Przed śmiercią zdążył jednak przekazać swoją wiedzę synowi, który z kolei podzielił się nią z nami wszystkimi. - Rowen się uśmiechnął. - Czekaliśmy na ten dzień dwa lata, Danielu. Nie wiedzieliśmy, że wyglądanym przez nas *messenja* będziesz akurat ty...

- *Messenja*? - zdziwił się Daniel.

- To stare japońskie słowo oznaczające posłańca niosącego wiadomość. Nie wiedzieliśmy, że to będziesz ty, ale cieszymy się, że mogliśmy cię poznać, nawet jeśli... Nawet jeśli stało się to w tak smutnych okolicznościach.

Rowen zamilkł. Daniel poczuł, że powinien się odezwać.

- Cóż... - mruknął. - Od razu się domyśliłem, że szukacie czegoś ważnego...

Na te słowa Yil zachnął się i odrzucił do tyłu swoje długie, rozwichrzone włosy, a

uczynił to tak gwałtownie, że aż zadzwoniły zdobiące go metalowe wisioriki i bransolety. Brązowa fala spłynęła mu po plecach i, niepokorna, zaczęła powoli opadać z powrotem na twarz.

- Nie sądzę - rzucił agresywnie - żeby jakiś kontroler potrafił sobie wyrobić choćby przybliżoną opinię na temat wagi tego, czego szukamy.

Przez chwilę panowała martwa cisza. Anjali Sen zwróciła ku Yilowi swoją twarz o wystających kościach policzkowych, rzucając mu pełne wyrzutu spojrzenie spod długich rzęs.

- Jeremy Yinie... - szepnęła.

Daniel nie chciał drażnić chłopaka ani w żaden inny sposób potęgować napięcia. Zmusił się do uśmiechu.

- Masz rację - zwrócił się do Yila. - Nie jestem wierzący i nie umiem w pełni pojąć doniosłości tego... Klucza. Ale rozumiem, że mnie potrzebujecie. Ba, rozumiem także i to, że wykorzystujecie mnie do własnych celów. Uważacie, że ktoś zamknął w moim mózgu ważną dla was informację. Oczywiście, gdyby jakiś człowiek miał mi pomóc odzyskać córkę, też nie wahałbym się nim posłużyć... - Urwał na moment. Już wcześniej rozplótł swój warkocz i złociste włosy z ciemnym kosmykiem na czubku głowy swobodnie spływały mu na ramiona. Kolana miał ugięte, jedno w górze, drugie przy podłodze. Jego drobne ciało wydawało się równie słabe jak jego ledwie słyszalny głos, ale w słowach, które wypowiadał, dźwięczała siła. - W pewnym sensie jesteśmy w identycznej sytuacji. Ja też szukam czegoś, a raczej kogoś ważnego. Bo żona i córka były dla mnie najważniejsze na świecie. Teraz została mi jedynie córka... - Podniósł wzrok i rozejrzał się po zebranych. Rozbrzmiewająca dotąd w pokoju muzyka umilkła, jakby szanując ciszę, która tu teraz zapadła. - Pomóżcie mi odzyskać Yun, a obiecuję, że zrobię dla was wszystko, co tylko zdołam.

Gdy skończył, jakąś częścią swojej istoty poczuł się strasznie głupio. Czyżby dziwny trunek z czerwonym, podobnym do serca owocem zupełnie pomieszał mu w głowie? Co tamtych obchodziły jego cierpienia? I jak niby miałby odmówić im swojej pomocy, skoro trzymali go w garści? Aż się zarumienił ze wstydu na myśl, że oto odsłonił duszę przed grupą zupełnie obojętnych słuchaczy.

Zaraz jednak przekonał się, że do obojętności było im daleko: na prawie wszystkich twarzach malowały się mniej lub bardziej silne emocje.

Meldon Rowen odstawił czarkę na stół, wypuszczając długo wstrzymywany oddech. Zanim się odezwał, spuścił oczy. Krawędzie jego powiek odcinały się od bladej twarzy jak czarne półksiężycy.

- Danielu, wieść o tym, co się stało z twoją żoną, była dla nas prawdziwym szokiem.

Właściwie nadal nie rozumiemy, jak do tego doszło. Dwa dni temu myśleliśmy, że ta kolacja będzie rodzajem święta. Ostatecznie dziś o północy objawisz światu przesłanie Katsury Kushiro, przekażesz dalej wiadomość, która pozwoli odnaleźć Klucz do Otchłani. Wreszcie spełni się nasze największe pragnienie. Kiedy Hector dał nam znać, że w hamburskim pociągu rzeczywiście doszło do zaplanowanych przez mistrza Katsurę wydarzeń, nie posiadaliśmy się z radości. Ale potem sprawy przybrały niespodziewany obrót. Jak wiesz, istnieje niestety inna grupa, która, znając te same co my szczegóły, zadziałała szybciej i bardziej brutalnie. My nigdy byśmy cię nie skrzywdzili, Danielu... - Rowen odgarnął włosy z twarzy i podniósł na Daniela swoje zielone oczy lśniące w tej chwili od łez. - A teraz już chyba pora udać się do Starej Wieży. To właśnie stamtąd nasi wrogowie zabiorą cię na miejsce objawienia. Kiedy będzie po wszystkim, spróbujemy ich wyeliminować, a ciebie i twoją córkę ocalić, ale... Nie chciałbym cię oszukiwać...

Rowen urwał i szybkim spojrzeniem obrzucił przyjaciół, którzy zgodnie wbijali wzrok w podłogę. Podjął więc, wciąż tym samym, miłym dla ucha, modulowanym głosem:

- Nie wiemy, z kim przyjdzie nam się zmierzyć, podejrzewamy jednak, że przeciwnik okaże się niebezpieczny. Ten cały Moon nie jest, oczywiście, agentem Wydziału Bezpieczeństwa, tylko wyznawcą Rozdziału Drugiego, wierzącym równie głęboko jak Maya. A towarzyszą mu bez wątpienia ludzie jeszcze potężniejsi.

Zamilkł znowu, by po chwili ciężkiego milczenia dodać:

- Zrobimy, co w naszej mocy, Danielu, ale to będzie trudna noc. Dla wszystkich.

## 5

W lokalu panowało rozpasanie. Dudnienie ogromnych elektronicznych *odaikos*, bębnów o średnicy miejskiego placu, wywierało miazdzący efekt. Potęgowały go przenikliwe krzyki tancerek, które zgodnie z japońskim rytuałem zainspirowanym naukami Rozdziału Czwartego tańczyły, naśladując odgłosy zwierząt. Siedzący w fotelu pod świecznikiem Moon, ubrany w krótką czarną tunikę we wzór z ruchliwych płomyków, pomyślał, że nie mógł trafić lepiej. Miał ochotę na gorącą sake i trochę rozrywki, a nie przypuszczał, by jakikolwiek inny klub *nomiya* tak doskonale odpowiadał jego gustom. Choć Tokio ze swoją aurą szaleństwa w ogóle bardzo mu się podobało.

Klub mieścił się w ruinach Starego Roppongi i należał do rodziny otaczanych kultem rzeźbiarzy statuetek z gliny. Szeptano, że jego ściany i sufit obite są ludzką skórą, w to jednak

Moon nie wierzył. Przypuszczał, że użyto raczej zwykłego pergaminu, ewentualnie specjalnie wyprawionej skóry zwierzęcej. Zgodnie z tradycją niecałkowitości, budynkowi brakowało jednej ściany, dzięki czemu dyskoteka płynnie przechodziła w blok mieszkalny, jej goście zaś mogli obserwować życie tamtejszych lokatorów, a nawet włączać się w nie, przedostając się do poszczególnych pokoi specjalnymi schodami. Mieszkańcy bloku stali na tyle nisko w hierarchii społecznej, że nawet nie próbowali protestować. Wprawdzie zamontowane tu i ówdzie wyciszacze odgradzały ich przynajmniej częściowo od panującego w klubie hałasu, nie chroniły jednak przed możliwymi o każdej porze dnia i nocy atakami pijanych imprezowiczów. Czy ktoś jadł, spał, czy zażywał kąpeli, był w każdej chwili narażony na to, że zostanie pobity, zgwałcony albo nawet zamordowany. A mimo to na miejsce ofiar zawsze zjawiali się nowi podnajemcy.

Moon z lubością oddawał się podglądaniu: tam jakiś młody mężczyzna mył się w białej jak śnieg łazience, gdzie indziej para ludzi odprawiała miłosne rytuały, w jeszcze innym miejscu mały, siedmioletni może chłopiec gasił właśnie światło w błękitnym pokoju i układał się do snu.

Ów chłopiec - drobnutki, skulony w łóżku kształt - skojarzył się Moonowi z córką Keana. Według znajdującego się w pobliżu zegara Daniel miał się stawić w Starej Wieży za niecałe pół godziny, a Moon wciąż jeszcze nie otrzymał instrukcji. Blondyna się spóźniła.

Nie Blondyna, tylko Turmaline. Trzeba pamiętać. Turmaline. Turmaline nie lubi, kiedy ktoś nazywa ją Blondyną.

Pociągnął łyk trunku, a kiedy znów podniósł wzrok, już tam była.

Dawała mu znaki z błękitnej sypialni chłopca. Moon zerwał się na równe nogi, poprawił ubranie i przez gęste powietrze, pachnące perfumowanym potem roztańczonych ciał, ruszył ku schodom.

Dzięki wyciszaczom do pokoju prawie nie docierał harmider z zewnątrz. Moon zerknął w stronę łóżka. Chłopiec, mały Japończyk o gładkich, czarnych włosach leżał nago w nienaturalnej pozycji pośród skołtunionej pościeli, a wzrok miał szklany. Wyglądało na to, że Turmaline skręciła mu kark jak kociakowi.

- Widzę, Moon, że cały płoniesz... - odezwała się, wskazując na zdobiący jego tunikę wzór z ogników. - Podniecają cię takie plugawe spelunki?

Nie odpowiedział. Bezpieczniej było nie reagować na jej zaczepki. Zamiast tego przesunął dłonią wzdłuż tkaniny, sprawiając, że płomyki znikły.

Blondyna siedziała na kanapie, obok sporego pluszowego misia. Włosy zebrała w kok, tak wielki, że przypominał wyrastającą z ciemienia drugą głowę. Moon nigdy wcześniej z nią

nie pracował, ale wiedział, skąd jej przezwisko: od wszczepionych w skórę czaszki metalowych nici pokrytych złotem. Rozpuszczone, zakrywały jej całe plecy i ważyły tyle, że kręgi szyjne każdej innej kobiety złamałyby się pod ich ciężarem w mgnieniu oka. Jeden taki włos wart był fortunę. Blondyna używała ich do zabijania.

Poza tym prezentowała się jak zawsze elegancko, ubrana w siateczkę koloru kości słoniowej, turkusowy naszyjnik i czarne sandały. Sutki pomalowała kilkoma odcieniami niebieskiego.

- Jak tam mała?

- Na pewno lepiej niż ten tutaj - odparł Moon.

- Pytałam o coś.

- Jest w takim stanie, w jakim chcieliście, żeby była.

- Chcę usłyszeć: „dobrze”, „źle”, „cała i zdrowa” albo „ranna”, Moon.

- Dobrze. Cała i zdrowa. Chłopcy jej pilnują.

- Nastąpiła zmiana planów - oświadczyła Blondyna.

Moon słuchał jej z rosnącym zniecierpliwieniem.

- To jakiś absurd! - wykrzyknął. - Myślałem, że Kean... Miałem co do niego plany! Facet, dla którego pracujesz, obiecał mi, że...

- Nasz Pan - poprawiła Blondyna. - To, co się zdarzy dzisiejszej nocy, swoją doniosłością przerasta twoje zdolności rozumienia. Nasz Pan musi mieć pewność, że wszystko się uda.

- I uda się! Dzięki mnie! - Moon przełknął ślinę. Denerwował się, choć czuł, że jego pozycja jest mocna. Wiedział, że po śmierci Elseviera Olsena powodzenie całej operacji zależy tylko od niego. - Twój Pan mnie potrzebuje! Gdyby nie ja, ten głupek Olsen nie zdołałby nawet uprowadzić małej! Odgrywam ważną rolę, nie jestem pierwszym lepszym pionkiem.

- Przeciwnie - powiedziała Turmaline. - Teraz już oboje jesteśmy pionkami.

- Nie rozumiem.

- Nasz Pan zaangażował kogoś innego. Kogoś, kto rozstrzygnie tę sprawę na naszą korzyść. Prawdę.

Patrzyła na niego uważnie.

- Słyszałem o kimś, kogo tak nazywają, ale to przecież wszystko legendy - rzucił Moon lekkim tonem, nie zdradzając się ze swoim przerażeniem. - Twój Pan chciał cię postraszyć...

- Niewykluczone - przyznała. - Ale jeśli tak, to w zupełności mu się udało. - Podniosła

się z kanapy i dwoma susami pokonała odległość dzielącą ją od schodów. - Po prostu ogranicz się do wykonywania poleceń.

- Idiotka z ciebie. Naprawdę sądzisz, że Prawda, jeśli ktoś taki rzeczywiście istnieje, zjawi się w Tokio na pierwsze zawołanie?

- Nie, nie zjawi się - odparta Blondyna. - Już tu jest.

Moon zamrugał w zdumieniu, by podniósłszy powieki, przekonać się, że został w pokoju sam ze zwłokami chłopca.

## 6

- Nie wdawaj się z nimi w dyskusje - poradziła Maya. - I tak nic nie wskórasz.

Podawała mu ręcznik. Daniel, siedząc na brzegu wanny, wytarł sobie włosy. Ponieważ duża marmurowa łazienka z wielkimi zwierciadłami i złotymi kinkietami stanowiła część pojazdu przemieszczającego się z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, woda w wannie falowała.

- Rób wszystko, co ci każą. - Maya zręcznie podciągnęła się na gzyms przed lustrem. Zrosnięta z nią plecami i głową, w odbiciu widniała jej siostra bliźniaczka. - *Wszystko*. Sprzeciw nie wchodzi w grę, jak długo mają twoją córkę. Ale nie zapominaj, że jej nie zabijają, dopóki nie poznają przesłania mistrza Katsury. W przeciwnym razie straciliby kartę przetargową.

- Co powinienem powiedzieć, jeśli zapytają mnie o was?

- Prawdę: że przylecieliśmy z tobą do Japonii i też chcemy się dowiedzieć, co ci zdradził Klaus. I tak nie dadzą się nabrać.

- Ale to utwierdzi ich w przekonaniu, że z wami współpracuję...

- I co z tego? - Maya wzruszyła ramionami. - Współpracujesz czy nie, los czeka cię taki sam, o ile oczywiście będzie to zależało od nich. Interesuje ich wyłącznie wiadomość od mistrza Katsury. Gdy ją poznają, przestanieś się liczyć.

- A wtedy co?

- A wtedy przyjdzie nasza kolej. Wkroczymy, spróbujemy wyeliminować tamtych i uratować twoją córkę. - Siedziała teraz z podkulonymi nogami. - Wiem, jak to brzmi, ale chyba musisz nam zaufać.

Wypełniająca wannę woda znikła, wessana z cichym bulgotem przez odpływ. W tym samym momencie pojazd-łazienka zahamował. Podzielony był na dwie części i zgodnie z



japońską tradycją pełnił dwie funkcje naraz. W części niełazienkowej podróżowali Yil i doktor Schaumann, kontaktujący się z Mayą i Danielem za pomocą zainstalowanego nad wanną ekranu.

Pojazd sunął przez ulice miasta powoli, jak wielka ryba, eskortowany z tyłu przez należące do Meldona Rowena europejskie auto, w którym oprócz właściciela jechali też Darby i Anjali. Ponieważ Daniel musiał się przebrać, Maya, jeszcze zanim ruszyli, zaproponowała, by wziął po drodze kąpiel. „Odprężysz się”, powiedziała. Dlatego, podczas gdy po szklanym suficie przesuwały się obrazy wieczornego Tokio, Daniel moczył się w perfumowanej wodzie, myśląc, że w innych okolicznościach taki luksus bardzo by mu się podobał.

- Przejechaliśmy przez Ogród Cesarski, żeby nie zagłębiać się w świętą strefę portową nad rzeką Sumidą - wyjaśniła Maya. - Oprócz rzeźbiarzy i poetów w Japonii otacza się kultem również marynarzy, a to dlatego, że i oni wzmiankowani są w Rozdziale Czwartym. Członkowie niektórych klanów, żeby się wyróżnić, poddają się deformującym ciało operacjom albo projektują swoje dzieci w specjalnych laboratoriach. Japonia to kraj eksperymentów.

- Jednak ludzie wydają się tu całkiem normalni - stwierdził Daniel, zerkając przez wytarte na zaparowanej szybie kółeczko.

- Ludzie są normalni, jak wszędzie - odrzekła Maya Müller. - Tyle że ci tutaj, w przeciwieństwie do innych, chociaż całkiem normalni, mają jednocześnie świadomość, że *coś* w nich normalne nie jest. Również siebie, tak samo jak wszystko wokół, postrzegają dwoiście. W kategoriach rozbicia na przeciwstawne elementy. Ich zdaniem człowiek ma wiele ze zwierzęcia. Żołnierz nosi w sobie zarazem odwagę i tchórzostwo. W jednostce przeciętnej kryje się bohater.

- Nie we mnie - rzucił gorzko Daniel.

- Ty nie jesteś jednostką przeciętną - brzmiała dziwna odpowiedź.

Daniel nie zdążył się nad nią zastanowić, gdyż na ekranie pojawiła się wykrzywiona w drwiącym grymasie twarz Yila.

- Maya, powiedz swojemu towarzyszowi kąpiel, żeby się może ubrał. Za pięć minut będziemy na miejscu.

- Na szczęście chyba nie wszyscy nienawidzicie mnie tak jak wasz przyjaciel - zauważył Daniel, gdy twarz zniknęła.

Maya schyliła się po przeznaczony dla niego strój. Obserwując jej celowe ruchy, nikt by nie poznał, że jest niewidoma.

- Yil cię nie nienawidzi. Po prostu, jako młody entuzjasta, spodziewał się, że objawienie spłynie z ust samego Boga, a nie zwykłego konduktora. Nie dojrzał jeszcze do zrozumienia, że drzwi wiodące w nieskończoność mogą być bardzo małe. - Podała mu ubrania. - Włóż to: masz tu dwuczęściowy termiczny kombinezon. Nawet jeśli potem każą ci się rozebrać, przejęte z niego ciepło utrzyma się na twojej skórze i pozwoli doktorowi Schaumannowi śledzić waszą trasę. Nie będziemy was słyszeli, ale będziemy wiedzieli, gdzie się akurat znajdujecie.

- Sądysz, że zawiozą mnie gdzieś daleko?

- Umówili się z tobą w Wieży tylko po to, żeby nas rozdzielić. Stamtąd zabiorą cię do laboratorium mistrza Katsury, do Strefy Zatopionej.

- Do Strefy Zatopionej? - Daniel wzdrygnął się. - Ale to przecież niebezpieczne...

- Już oni zadbają o to, żeby nic ci się po drodze nie stało - odparła sucho Maya, wyjęła z szafy w ścianie pas z dwiema kaburami, w których tkwiły pistolety, i położyła go na gzymsie przed lustrem.

Daniel zaczął się ubierać. To, co Maya nazwała kombinezonem, składało się w istocie z dwóch czerwono-pomarańczowych, wydzielających ciepło i dopasowujących się do ciała taśm; by się zapiąć, wystarczyło zetknąć ich brzegi. Jedną z nich Daniel owinął tors, a drugą lędźwie i natychmiast poczuł, że tkanina ściśle opina jego szczupłe ciało. Wrażenie było miłe.

Bał się. Bał się straszliwie, a przecież niejedno już wiedział o strachu. I nie chodziło tylko o lęk przed tym, co mogło spotkać Yun. Chodziło o coś pierwotniejszego, niemal fizycznego, co jak zimny pająk pełzło wzdłuż jego pleców. Przymknął oczy, próbując się uspokoić. Potem przez ramię zerknął na dziewczynę.

- Mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Dlaczego bierzesz w tym wszystkim udział? Żeby znaleźć ten... Klucz?

Maya, która akurat wsuwała ostry jak brzytwa nóż za cholewę buta, zastygła. Jej uwypuklające się pod spuszczonej powiekami gałki oczne zadrgały.

- Tak. Wierzę w jego istnienie.

- I dlatego postanowiłaś dołączyć do tej grupy?

- Hectora znam dużo dłużej niż pozostałych. Zawdzięczam mu życie... - Milczała przez chwilę. - Zostałam zaprojektowana na potrzeby małej społeczności w Jemenie, w Arabii. Miałam służyć do rytuałów związanych z poszukiwaniem Miasta. Nauczono mnie wyczuwać święty wiatr i znajdować ukryte wejścia do podziemi. Tam, na Południu, wyćwiczone w ten sposób dziewczynki nazywa się sukami, bo potrafią zwietrzyć śmierć.

Powiedzieć, że trening jest ciężki, to mało. Suki z Południa nigdy nie żyją długo, a jeśli nawet, zawsze kończą okaleczone, fizycznie lub umysłowo. Dlatego oślełam. - Daniel patrzył na nią w milczeniu. Mówiła spokojnie, jej głos nie zdradzał żadnych emocji. - Szczęśliwym trafem poznałam Hectora. To on mnie uwolnił. A że przyjaźni się z doktorem Schaumannem i Meldonem Rowenem, ci z kolei z Anjali, Anjali z Yilem... Cóż, teraz wszyscy udajemy przyjaciół, ale bez Klucza łączące nas więzy nie przetrwałyby długo.

- A gdyby Klucz nie istniał? - zapytał Daniel, próbując otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarła na nim jej historia. - Gdyby okazał się zwykłą fikcją?

Maya zamyśliła się, jakby rozważała tę możliwość.

- I takiej hipotezy nie da się z góry odrzucić - przyznała w końcu. - Jednak Hector, pytany o podobne kwestie, powtarza zawsze coś, co bardzo mi się podoba. Mówi mianowicie, że powinniśmy się starać, aby nasze marzenia przetrwały do naszej śmierci, bo dzięki temu przynajmniej dla nas stanowią rodzaj prawdy. Ja mam marzenie i chciałabym, aby przetrwało do mojej śmierci.

Urwała, by zaraz dodać:

- Wierzę, że dzięki Kluczowi pozbylibyśmy się strachu. Bardzo jestem ciekawa, jak by to było wreszcie niczego się nie bać.

Daniel przypatrywał się jej przez moment.

- Wydajesz się taka zdecydowana, taka pewna siebie... Nikt nigdy nie zdołał wybić ci z głowy żadnego pomysłu?

Maya się wyprostowała. Danielowi wydało się przez chwilę, że na niego patrzy, ale jej powieki były jak zwykle spuszczone.

- Cóż warte są pomysły, które na zawsze pozostają tylko w głowie? - spytała.

## 7

Tym razem na ekranie pojawiła się twarz doktora Schaumanna.

- Przed nami tokijska Stara Wieża. Och, wyglądanie przez okno nie ma sensu, Danielu, zrobiło się ciemno. Trochę ci o niej opowiem, żebyś się nie zdziwił, gdy wejdiesz do środka. Nosi nazwę Starej, ponieważ pochodzi jeszcze sprzed kataklizmów. Władze Tokio postanowiły utrzymać ją w obecnym stanie ze względów religijnych i archeologicznych, a jedyne odstępstwo od tego założenia stanowią zamontowane stosunkowo niedawno windy wwożące na szczyt. Jej przeznaczenie pozostaje nieznane, choć wyznawcy Rozdziału

Czwartego twierdzą, że wzniesiono ją na cześć Boga albo nawet, że uczynił to on sam, gdy wynurzył się z morza. Jeśli tak, byłoby to opisane w Rozdziale Czwartym Monolit, jednak brak na to naukowych dowodów. Wedle niektórych podań identyczna konstrukcja istniała kiedyś w Paryżu, ale moim zdaniem dowodzi to tylko po raz kolejny, że Francuzi we wszystkim muszą być pierwsi. - Tu Schaumann parsknął śmiechem. - Tak czy owak Stara Wieża ma nieco ponad trzysta metrów wysokości, a zbudowana została nie z kamienia, lecz z metalu, choć, jak sam się przekonasz, obecnie trudno to stwierdzić, ponieważ cały ten obszar tak długo pozostawał pod wodą, że wszystko pokryła gruba warstwa skamielin. Górna część Wieży jest wyjątkowo piękna, bo przybrała z czasem kształt zbliżony do rafy koralowej.

Daniel, który ledwie słuchał i aby zająć czymś ręce, pracowicie poprawiał skąpy kombinezon, zdumiał się ostatnim zdaniem. Co go w tej chwili obchodziły kwestie estetyczne?

Schaumann tymczasem przeszedł do rzeczy:

- Nie wiemy, gdzie będą na ciebie czekać, ale radziłbym ci wjechać windą na górę. Nie denerwuj się, słuchaj poleceń, a resztę zostaw nam... Powodzenia.

Ekran zgasł. Kiedy Maya Müller otworzyła prowadzące na zewnątrz drzwi, para z łazienki wypłynęła w noc niby biały, zwiewny duch. Daniel wyszedł z pojazdu i rozejrzał się dokoła. Znajdował się w lesie (rzekomo miał to być park) i początkowo nigdzie nie dostrzegł Wieży. Nie było też zbyt wielu ludzi - zaledwie kilku przechodniów spieszących skrajem asfaltu. Szarpnięte wilgotnym podmuchem włosy zasłoniły mu na moment widok. Wiatr wiał porywisty, ale niezbyt dokuczliwy.

Wreszcie ją zobaczył - po drugiej stronie drogi - i natychmiast zrozumiał, dlaczego nie zauważył jej wcześniej: przypominała skałę, rodzaj postrzępionego, sterczącego spomiędzy drzew wzgórza. Szczyt ginął w chmurach.

Daniel obejrzał się jeszcze na Mayę. Sylwetka dziewczyny odcinała się od jasno oświetlonych marmurów łazienki.

- Już raz cię prosiłam - rzekła niewidoma - i teraz zrobię to ponownie: zaufaj nam.

Skinął głową, ale bynajmniej nie poczuł się spokojniejszy.

Usłyszane przed chwilą słowa przypomniały mu dziwne, niewyraźne, lecz uporczywe wrażenie, jakie pojawiło się po pogrzebie Bijou: wrażenie, że coś się nie zgadza.

Wciąż nie wiedział, co to takiego, czuł jednak, że cokolwiek by Maya powiedziała, on nie potrafi już zaufać nikomu.

Był sam.

Ruszył w stronę Wieży.

Nie mógł znaleźć wejścia. Obszedł gigantyczną konstrukcję dwukrotnie, ale wszędzie natykał się na grubo ciosany, pokryty roślinnością i gruzem kamień. Już chciał prosić o pomoc, gdy spostrzegł, że pojazd z Mayą i innymi przepadł bez śladu. Nagła a dotkliwa świadomość opuszczenia sprawiła, że aż przystanął. Dyszał tak ciężko, jakby okrążył Wieżę nie dwa, a dwadzieścia razy - i to biegiem.

Zanurzony w bezmiarze nocy, czuł się nieskończenie mały, nagi pod cienką warstwą czerwonej tkaniny, którą trudno było nazwać ubraniem, wyzuty ze wszystkiego. Nawet urnę z prochami Bijou musiał zostawić i nie wiedział, czy u kresu tego koszmaru pozostanie mu choćby to jedno, co jeszcze posiadał: życie. Nie wspominając już o życiu Yun.

*Yun.*

Musi zrobić to dla niej. Dla niej zmierzy się z tym, co go tu czeka, cokolwiek to jest.

Odetchnął głęboko i postanowił obejść budowlę raz jeszcze. Doktor Schaumann wspominał, że wyznawcy Rozdziału Czwartego wciąż wykorzystują to miejsce do swoich rytuałów, co znaczyło, że jakoś dostają się do środka. Należało się jednak spieszyć, do dziewiątej pozostało z pewnością niewiele czasu, a za ewentualne spóźnienie zapłacić mogła Yun.

Pokonał już połowę dystansu, gdy nagle coś zauważył. Do tej pory szukał wejścia powyżej poziomu ziemi, jak gdyby zakładając, że w tak wysokiej budowli nie może ono znajdować się niżej. Teraz jednak zwrócił uwagę na pełne odłamków skalnych zagłębienie, w którego dnie ziały otwory - małe niczym wejścia do zwierzęcych nor. Podobne widział już w katakumbach w Wonn.

Pomyślał, że to nawet pasuje do dziwacznej japońskiej filozofii: aby wspiąć się na górę, trzeba zejść na dół; aby osiągnąć szczyt - zapuścić się na dno.

Zsunął się między skalne odłamki, ukląkł i zajrzał do jednego z otworów. Pachniało pleśnią, przejście okazało się wszakże łatwiejsze, niż przypuszczał. Wąski tunel szybko się rozszerzał, a w głębi połyskiwało nawet słabe światelko.

Położył się na ziemi, precyzyjnie przez otwór i zaczął pełznąć. Na szczęście zamiast kamieni wyczuwał pod sobą miękką, wilgotną ziemię. Zakasłał i przymknął oczy, gdy fala stęchłego odoru uderzyła go w twarz, jednak czołgał się dalej.

*Śmierć, ten tunel, w którym da się jedynie czołgać...*

Na samo wspomnienie tych ponurych legend cały cierpł. Uznał, że nie jest to

odpowiednie miejsce na refleksje i postanowił skupić się na swoich ruchach.

Wkrótce usłyszał głosy.

Brzmiały jak głębokie, dobiegające z podziemi echo. Nie mówiły nic konkretnego, a przynajmniej nic, co potrafiłby zrozumieć, ale nie zmniejszało to jego strachu. Świadom, że jeśli utknie w tym tunelu, zginie, zmusił swoje ręce i nogi do mechanicznej pracy, aż wreszcie dotarł na dno.

Znalazł się w ogromnej sali. Nie sięgał wzrokiem jej krańców, dostrzegał jednak malowane ściany, dziwaczne skamieniałości i fragmenty schodów, których szczyt ginął w mroku. Pozwalający to wszystko dojrzeć zimny blask bił z wind pośrodku sali. Głosy dochodziły właśnie stamtąd.

Windy były otwarte, duże i jasno oświetlone. Zbliżywszy się do jednej z nich, Daniel stanął twarzą w twarz z przerażającym, zielonym widmem, które popatrzyło mu prosto w oczy. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że widzi lustro. Od stóp do głów pokryty był błotem w rozmaitych odcieniach zieleni, zupełnie jakby padł ofiarą szalonych malarzy. Z włosów zwisały mu jakieś pokręcone korzenie, a obciskające jego ciało termiczne taśmy zsunęły się po drodze o kilka centymetrów w dół, grożąc opadnięciem.

Natomiast winda, która spełniała też funkcję łazienki, lśniła czystością i wydawała się całkiem nowa. Na jednej ze ścian połyskiwał ekran z planem otaczającego Wieżę parku oraz trzy guziki. Łazienka oślepiła bielą, a na jej wyposażenie składało się owo nieszczęsne lustro, prysznic oraz niski, japoński klozet. Przemawiające jednocześnie głosy dobiegały od strony sufitu. Jeden bez przerwy powtarzał:

- Naciśnij, naciśnij, naciśnij, naciśnij...

Drugi przekazywał wiadomość nieco bardziej rozbudowaną, pouczając:

- Proszę, zdejmij buty, znajdujesz się w miejscu świętym.

Trzeci uprzejmie witał, czwarty zaś przypominał o konieczności zachowania ciszy i czystości. Daniel nacisnął po kolei wszystkie trzy guziki, nic się jednak nie stało. Wtedy zrozumiał, że będzie musiał zastosować się do poleceń.

Rozebrał się więc, wszedł pod prysznic i zmył zielone błoto z brzucha, piersi, ud i włosów. Następnie w miarę możliwości wyczyścił swoje pomarańczowoczerwone wdzianko. Otrząsnął się i ubrał, ale pozostał boso.

Kiedy ponownie stanął przed ekranem, stwierdził, że drugi i czwarty głos zamilkły. Nacisnął środkowy guzik i winda bezszelestnie się zamknęła. Przejazd trwał tak krótko, że gdy drzwi się znowu otworzyły, Daniel nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Znajdował się we wnętrzu Wieży, na czymś w rodzaju zadaszonego tarasu, wokół

którego otwierała się pustka. Widoczne w dole Tokio połyskiwało w ciemności jak rozsypane klejnoty. Od ziemi musiało go dzielić co najmniej dwieście metrów. Nigdy wcześniej nie widział żadnego miasta z podobnej perspektywy i pomyślał teraz, że taka przestrzeń raczej człowiekowi nie służy. Przyzwyczał się już do życia w bezpiecznej, betonowej klatce z wąskimi okienkami i tutaj, w tym otwartym na kosmos miejscu, wydawało mu się, że niebo zafaluje lada chwila jak odwrócony do góry dnem ocean i zmiecie go z powierzchni planety. Ale nie to robiło na nim największe wrażenie.

Jeszcze bardziej niezwykle były pokrywające taras skamieniałości. Z dachu zwieszały się gigantyczne woluty archaicznych mięczaków i paproci. Tu i ówdzie poniewierały się rybie szkielety podobne do grzebieni o cienkich zębach. Czując się tak, jakby go niespodziewanie przeniesiono w morskie głębiny, Daniel przypomniał sobie, że wedle wyjaśnień doktora Schaumanna Wieża przetrwała całe wieki zalana wodą.

Zdecydował, że najpierw się rozejrzy, a potem wjedzie na trzeci poziom, by sprawdzić, czy tamci nie czekają przypadkiem na szczycie. Wyszedł z windy i ruszył przed siebie, lawirując między stosami skorupki. W pewnym momencie zwisający z sufitu baldachim skamieniałych gąbek zmusił go nawet do przesuwania się na czworakach. Tylko odpowiednio zaprojektowane ciało mogło - bosa i niemal naga - wytrzymać wszystkie te ułucia i obtarcia, a także przenikliwy chłód bezlitośnie smagającego wiatru. Daniel przypuszczał, że w takich warunkach biedny Hector Darby nie zdołałby zrobić nawet kroku.

Taras okazał się okrągły i spory, ale Daniel nie musiał obchodzić go dokoła, by przekonać się, że nikogo tu nie ma, bo i nie było gdzie się schować. Wrócił zatem do windy i nacisnął trzeci z guzików.

Tym razem jego oczom ukazało się Tokio znane jedynie śmigającym na zawrotnych wysokościach ptakom. Ale podobnie jak poprzednio większe wrażenie wywarło na Danielu wnętrze Wieży. Dokoła migotały bowiem setki, a może tysiące kolorowych, przezroczystych jak szkło tworów o zadziwiających formach; najpiękniejsze wyginały się niby kryształowe anemony, odbijając światło księżyca w nowiu. Daniel pomyślał, że wygląda to jak sceneria urzekającego straszliwą urodą koszmaru o pobitych lustrach i przypomniał sobie to, co usłyszał od Schaumanna o przypominającym rafę koralową czubku Wieży.

Teraz pozostawało już tylko czekać, jako że budowla nie miała wyższych poziomów. Chyba że porywacze chcieli się z nim spotkać na dachu, czego nie dało się wykluczyć, ponieważ i ten ostatni taras był zadaszony.

Wędrując przez otaczający go labirynt blasków, Daniel czuł się tak, jakby spacerował po wnętrzu roztrzaskanej lampy. Nagle ujrzał tuż przed sobą sporych rozmiarów ciemny

kształt. Właśnie zamierzał go wyminąć, gdy nagle dosłownie wrósł w podłogę.

To coś, co znajdowało się przed nim, miało rogi, oczy i pysk.

Z bliska oczy okazały się oczodołami, w wyschłym pysku załśniły białawo zęby. Upiorne światło księżyca nadawało stworowi wygląd monstrum, lecz w gruncie rzeczy chodziło zapewne o jakieś dawno wymarłe, wyjątkowo duże zwierzę w rodzaju byka. Daniel próbował sobie wyobrazić, skąd się tu wzięło: przygniecione uwolnionymi podczas kataklizmów masami wody, gnane przez potężne prądy, uwięzło w końcu wśród przesel Wieży, by, skazane na towarzystwo ryb i raków, przez długie stulecia obracać się w skamielinę. Czyjeś beczelne ręce ozdobiły jego rogi girlandami kwiatów, może po to, by przestało być tak całkowicie i wyłącznie zwierzęciem lub też z jakiejś innej, nieistotnej teraz dla Daniela przyczyny. Na widok tego wielkiego i tak nieodwołalnie martwego stworzenia ogarniał człowieka dziwny smutek.

Niespodziewanie rozległ się szmer.

Kawałek dalej, na skraju tarasu, stała jakaś postać. Stała tam jedynie przez sekundę - albo i mniej - po czym, bezszelestnie jak ryba, znikła wśród szklanych rozbłysków. Jednakże skamieniały ze zgrozy Daniel nie potrzebował więcej czasu, by ją rozpoznać.

- Yun - powiedział.

## 9

Świat przestał istnieć. Teraz liczył się tylko ten szalony bieg wśród odłamków luster.

Okrążywszy taras, Daniel zobaczył ją znowu, tym razem pod filarem z zardzewiałego metalu. Światło księżyca podświetlało jej włosy i obrysowywało sylwetkę, ale nie pozwalało rozróżnić rysów twarzy.

- Yun! - krzyknął Daniel.

Odpowiedział mu chichot. Postać uniosła ramiona i znikła: musiała, jak stwierdził z bliska Daniel, przywrzeć do filara, wspiąć się po nim i wyginając się jak zmięta kartka papieru, przecisnąć się przez dziurę w dachu.

Daniel rozejrzał się wokół i dostrzegł prowadzące do innego otworu metalowe schodki w zupełnie przyzwoitym stanie. Bez namysłu rzucił się w tamtą stronę. Dach Wieży, okrągły jak dwa niższe tarasy, był od nich nieco mniejszy. Mała figurka przystanęła na krawędzi, jakby świadoma, że dalej już nie ucieknie.

Daniel zbliżył się ostrożnie. Wciąż nie widział jej twarzy, ale i tak coraz bardziej



wątpił, czy to jego córka: postać przed nim sprawiała wrażenie wyższej, jej włosy wydawały się jakby trochę dłuższe...

- Dlaczego mnie gonisz? - spytała dziecięcym głosem, który nie należał jednak do Yun.

- A dlaczego uciekasz? - wydyszał Daniel w odpowiedzi.

Ta krótka wymiana zdań spowodowała, że drobna postać wyraźnie się rozluźniła: zrezygnowała z dotychczasowej obronnej postawy i wzięła się pod boki. Daniel podszedł jeszcze bliżej i wtedy wreszcie zobaczył ją dokładnie.

Poczuł się tak, jakby oglądał miraż lub eksperyment optyczny. Osoba, na którą patrzył, nie była jego córką i nawet jej nie przypominała, ale w swojej niesprecyzowanej wielorakości mogła zmylić każdego.

Obok dziecinnej postury i głosu miała całkiem niedziecinne, bujne piersi, a podwójne, męskie i żeńskie genitalia upodabniały ją do osobników hermafrodytycznych. Twarz tego nieokreślonego stworzenia nie pozwalała domyślić się płci, w czym akurat nie różniła się od twarzy Daniela i innych zaprojektowanych w laboratoriach ludzi, tyle że podzielona została na pół biegnącą od czoła aż po podbródek linią: lewa połowa pomalowana była dziwnym odcieniem bieli, a prawa - barwą zbliżoną do czerwieni. Ile ten ktoś miał lat - nie dało się odgadnąć: mimo fizycznych pozorów młodości coś w jego oczach świadczyło bowiem o długich latach doświadczeń. Za całe ubranie służyła mu para kolczyków w kształcie obręczy, tak wielkich, że niemal sięgały jego drobnych ramion.

- Kim jesteś? - spytał.

- Mam na imię Daniel. A ty?

- Dlaczego za mną pobiegłeś, Danielu? - indagował dalej nieznajomy, nie odpowiadając.

Daniel nie sądził, by to dziwadło należało do bandy, która porwała jego córkę, ale uznał, że lepiej nie komplikować sprawy dodatkowymi kłamstwami.

- Bo myślałem, że jesteś... kimś.

- No, kimś to z pewnością jestem - w tonie hermafrodyty zabrzmiała uraza.

- Myślałem, że jesteś kimś, kogo znam - uściślił Daniel.

- O, to się zdarza - dwukolorowa twarz wykrzywiła się w uśmiechu. - Ludzie zawsze widzą we mnie to, co chcą zobaczyć. Nazywam się Neizra. Czego szukasz w Wieży? Bo najwyraźniej nie przyszedłeś odprawiać rytuałów.

- Umówiłem się tu na spotkanie - rzekł trochę już znieczepliwiony Daniel. - Nie wiesz, czy są tu jakieś inne tara...

- Na spotkanie... - przerwał mu głos Neizry. - A o której?

- O dziewiątej.

- Zjawiasz się prawie kwadrans po czasie. Twoja córka umrze.

Pod Danielem ugięły się nogi.

- Nie... Ja... Przykro mi, ale...

Zniekształcone przez makijaż rysy wyraziły zadowolenie z tej reakcji.

- Chodź.

Obojnaczy osobnik ruszył prędkim krokiem przez taras. Daniel pospieszył za nim. Oprócz nich dwóch nie było tu chyba nikogo, ale Moon uprzedzał go przecież, że zanim oddadzą mu małą, chcą usłyszeć wiadomość. Yun mogła się więc znajdować zupełnie gdzie indziej.

- Muszę porozmawiać z córką... - powiedział Daniel.

- Cicho bądź.

Dotarli do rozpadającej się ściany, która mimo kiepskiego stanu nie wyglądała na tak starą jak reszta Wieży. Zbudowana z białej cegły, wznosiła się po jednej stronie tarasu niby pozostałość po jakiejś nieistniejącej już konstrukcji.

- Stań tutaj. - Mała dłoń wskazała miejsce. - Obróć się.

- Proszę, zrobiłem, co w mojej mocy... Błagam...

- Obróć się. Oprzyj dłonie o mur.

Daniel usłuchał. Silne podmychy, niosące smród rzeczno szlamu, szarpały jego włosami, dlatego sądził przez chwilę, że to, co czuje na plecach, to muśnięcia poruszanych wiatrem kosmyków. Ale w rzeczywistości dotykały go drobne palce, które chwilę później wślizgnęły się pod tkaninę opinającą mu biodra.

- Rozstaw szerzej nogi - poleciał gdzieś z dołu dziecinny głos hermafrodyty. Jego druga ręka opierała się o plecy Daniela. - Nie ruszaj się. Nie ruszaj się, mówię. Nikt cię nie nauczył pozycji rozdzielania? A może nie jesteś stąd? W takim razie skąd jesteś, człowieku kompletny?

- Z Niemiec - jęknął Daniel.

Drobna dłoń objęła jego genitalia.

- Skąd?

- To w Europie, na Północy.

- W Europie, na Północy... - Neizra zdawał się smakować te nazwy jak słodczyce. -

Ciekawe, jak tam jest, w Europie, na Północy...

Dziwne stworzenie mówiło głosem dziecka, ale pieściło tak wprawnie, jak kiedyś

robiła to Bijou, a jeszcze wcześniej tych kilku partnerów obojga płci, z którymi Daniel miał swego czasu stosunki cielesne. Nie rozumiał, co się właściwie dzieje. Dlaczego ten cały Neizra postanowił nagle sprawić mu rozkosz? A może po prostu usiłował pokazać, że może uczynić z nim wszystko, co zechce?

- Po co przyjechałeś do Japonii, człowieku kompletny? - spytał teraz.

Było w tych słowach coś, co sprawiło, że Daniel obrócił głowę. I wtedy, widząc wyraz malujący się na dwubarwnej twarzy, zrozumiał nagle, o co chodzi.

- Nie oglądaj się na mnie, tylko odpowiadaj na pytania - syknął hermafrodyta i aby wzmocnić swój rozkaz, szarpnął tak mocno, że Daniel jęknął.

- Szukam córki - rzekł, gdy doszedł do siebie, podejmując w duchu decyzję. Uznał bowiem, że jeśli i tak wszystko stracone, nie ma sensu zwlekać.

- Prawda, córki... Szerzej nogi...

Korzystając z tego, że tamten skupił się na nietypowym zapięciu „kombinezonu”, Daniel zamachnął się i uderzył na oślep łokciem. Rozpacz dodała mu sił i sądząc po odgłosie padającego na ziemię ciała, przez chwilę myślał nawet, że wygrał w pierwszym starciu. Aż tak dobrze nie było, ale udało mu się przynajmniej pozbawić Neizrę równowagi. Szarpanina, która nastąpiła później, trwała zresztą krótko, gdyż szybko wyszło na jaw, że hermafrodytyczne stworzenie, jakkolwiek biegłe w sztuce miłości, było mimo wszystko jedynie dzieckiem.

- Gdzie ona jest? - wysapał Daniel, przygniatając kolanami jego obfite piersi. - Moja córka! Gdzie ona jest?

- Nie... wiem... - wychrypiało. Nawet w strachu pozostawało idealnie obojnacze: nikt by nie poznał, czy ma do czynienia z przerażonym chłopcem, czy z przerażoną dziewczynką.

- Nic o niej nie wiem!

Daniel zatrzymał wzrok na zwisających z jego uszu kórkach i po chwili namysłu wsunął w nie palce prawej ręki. Lewą chwycił Neizrę za włosy i mocno pociągnął. Rozległ się odgłos rwanego ciała. Hermafrodyta wyprężył się i przeraźliwie krzyknął.

- Na... górze! Ktoś... czeka na ciebie... na górze! - Łzy, które spływały po jego malowanej twarzy, zabarwiały się na czerwono lub białą, w zależności od policzka. Ale krew lejąca się z ucha była tylko czerwona.

- Czyli jest tu gdzieś jeszcze jeden taras?

- Tak, ostatni.

- Jak się tam dostać?

- Po schodach... Są za twoimi plecami.

- Kto na mnie czeka?

- Nie wiem! - Obojnacze stworzenie szlochało rozpaczliwie, wpatrując się ze zgrozą we wciąż zaciśnięte na metalowych kółkach palce Daniela. - Przysięgam! Przychodzę tu co wieczór, bo mi każą... Spełniam zachcianki fanatyków... Przed godziną natknąłem się na kogoś, kto uprzedził mnie, że wkrótce się zjawisz. Miałem ci powtórzyć te słowa o twojej córce. A w nagrodę dostałem pozwolenie, żeby wykorzystać cię wedle woli. Bylebyś pozostał przy życiu. Ten ktoś na górze zapewnił mnie, że zrobisz wszystko, czego od ciebie zażądam! Groził mi! Proszę, wybacz!

Daniel popatrzył w szeroko otwarte, pełne błagania oczy, po czym wstał.

- Moje uszy! - płakał tamten, nadal skulony na ziemi. Trzymał się za głowę, a między jego palcami sączyły się czerwone strużki. - Moje biedne uszy...

- Zjeżdżaj stąd - rzucił Daniel, poprawiając kusy strój.

Hermafrodyta zerwał się na nogi i nie odrywając dłoni od okaleczonych uszu, popędził przed siebie. Nagle jednak przystanął i odwrócił się w stronę Daniela.

- Nie wiem, kim jest ten ktoś na górze, ale bardzo się go boję. I wiesz co? Mam nadzieję, że naprawdę zrobi twojej córce coś złego! Mam nadzieję, że...

Wobec okrutnych wizji, jakie przez chwilę roztaczał, śmierć mogła się jawić tylko jako dobrodziejstwo. Kiedy skończył, ciągle szlochając, rozpląnął się w ciemności jak duch.

Daniel też chętnie by uciekł.

Zamiast tego spojrzął ku schodom, które biegły ukośnie w górę, już poza krawędzią tarasu. Zaczerpnął powietrza i ruszył w tamtą stronę.

## 10

Ten taras był rzeczywiście ostatni. I najmniejszy ze wszystkich: wieńczący Wieżę skalny sześcian o boku długości mniej więcej czterech metrów tworzył coś w rodzaju platformy, w której rogach wznosiły się cztery słupy służące prawdopodobnie do mocowania lamp. Z tej perspektywy nawet widoczna w oddali góra Fudzi nie robiła specjalnego wrażenia.

Wiatr uderzał tu z dziką siłą. Daniel odgarnął z oczu włosy, które jak pręty klatki przecinały mu pole widzenia, i rozejrzał się dokoła.

Migoczące kilkaset metrów niżej, całkowicie niesłyszalne z tej wysokości Tokio ściśle opasywało Wieżę, rozlewając się na kształt nieregularnej plamy, mocno wybrzuszonej po tej

stronie kamiennego sześcianu, która znajdowała się naprzeciwko schodów. Tylko w jednym miejscu od tego morza blasku odcinała się stojąca w rogu platformy ciemna sylwetka.

- Spóźniłeś się, Kean.

Ktokolwiek to był, wyglądał jak czarna dziura, uskok w strukturze świata, odprysk nicości. Poły jego ciemnego płaszcza łopotały na wietrze niby skrzydła kołujących nad padliną sępów. Z całej jego osoby najbardziej materialny wydawał się głos: głęboki, wyraźny, choć bynajmniej nie podniesiony.

- Wybacz dowcip z tym odmieńcem na dole, ale nie lubię, gdy każe mi się czekać. Podejdz.

Daniel postąpił kilka kroków. Wśród czarnych fałd ubrania zaczynał dostrzegać biel skóry. Ciemna postać nie poruszyła się: z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała i szeroko rozstawionymi nogami trwała na skraju przepaści, twarzą do mieniącego się miasta.

Daniel, nie chcąc się zbliżyć do krawędzi tarasu, zatrzymał się za plecami nieznanego.

- Oto jest Tokio - powiedział tamten, nie wykonując najmniejszego ruchu dłońmi czy głową, a mimo to Daniel, posłuszny jego wciąż bezbarwnemu głosowi, utkwiał wzrok w świetlistym, oszłamiającym pejzażu u stóp Wieży. - Doprawdy piękny stąd widok. I pod wieloma względami pouczający. Coś ci opowiem. Wszyscy wiedzą, że to miasto żyje naukami Rozdziału Czwartego. Niewielu jednak słyszało, że Tokio, podobnie jak Rozdział Czwarty, ma strukturę trójdzielną. Popatrz na te budowle, na zdobiące je ogromne rzeźby w kształcie macek, szponów i skrzydeł. To wszystko wiąże się z Gliną. Japończycy uważają, że Bóg stworzył nas tak, jak rzeźbiarz modeluje swoje dzieło z gliny. Dlatego ten zawód uchodzi tu za święty. Ale spójrz niżej. Niżej huczy inne miasto, dziksze, mniej trwałe, wyładowujące swą wściekłość w formach akceptowanych przez władze. To Orgia. I wreszcie istnieje ten gęsty, ciemny żywioł u ujścia Sumidy, żywioł nazywany przez ignorantów „morzem”, ten tajemniczy byt, który od wieków skrywa sen Boga, oblewa miasto dokoła i przypomina jego mieszkańcom, że wszystko z niego powstało i w niego się obróci. Glina, Orgia i Morze to trzy osie tematyczne Rozdziału Czwartego. Symbolizują Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość ludzkości. W przeszłości zostaliśmy stworzeni, w teraźniejszości żyjemy i oddajemy się szaleństwu, a w przyszłości... W przyszłości wyruszymy na poszukiwanie Boga i będziemy próbowali go zniszczyć...

Przerwał na chwilę, ale nie sprawiał wrażenia, jakby się zastanawiał. Jego milczenie przywodziło na myśl ciszę dzielącą dwie serie czysto mechanicznych dźwięków.

- Rozdział Czwarty - podjął - zamyka historia pewnego człowieka, kogoś w rodzaju

bohatera, który próbuje zabić Boga, rozcinając jego ciało swoim rozpędzonym statkiem. Oczywiście, rozproszone fragmenty się zrastają i cały cykl się powtarza. Wciąż trwają spory na temat właściwej interpretacji tego epizodu. A przecież ta nasuwa się od razu: ów statek to symbol Klucza. Człowiek współczesny sądzi, że nie wierzy już w Boga, co zresztą może być prawdą. Ale nawet jeśli zanikła wiara, pozostał strach. Bóg przetrwał w ludzkim umyśle jako bezkształtny, nierealny lęk. Istnieje tylko w takiej formie. Człowiek boi się Boga, Bóg natomiast boi się Klucza. Bo kto posiada Klucz, może zniszczyć Boga. Dlatego Klucz trzeba znaleźć i... zniszczyć.

- Zniszczyć?

Nieznajomy zamilkł na moment, jak gdyby przetrawiając fakt, że mu przerwano. Potem dokończył:

- Klucz trzeba zniszczyć, ponieważ Bóg musi pozostać żywy w naszych umysłach. Strach to sens. Strach to władza. Bóg musi żyć.

Wtedy się odwrócił.

Uczył to bardzo powoli, niemal ostrożnie, jakby sprawdzał, czy zadziała jakiś mechanizm. Stał teraz przodem do Daniela, wciąż bardzo blisko krawędzi. Padające na jego dziwnie nieruchomą twarz słabe księżycowe światło pozwoliło Danielowi zrozumieć jednocześnie kilka rzeczy.

Przede wszystkim była to kobieta. Biologiczna kobieta. Młodsza od Darby'ego, może czterdziestoletnia, ale i tak powoli ulegająca nieuchronnym u osobników biologicznych procesom starzenia.

Zgodnie z wolą natury była niska, skośnooka, rudowłosa i szczupła. Pod jej cienką skórą wyraźnie zaznaczały się sterczące obojczyki i kolana, w twarzy uderzały wystające kości policzkowe. Na szyi miała dzwoneczek zawieszony na cienkim, czarnym rzemyku - znak niewolniczego poddania. Poza tym ubrana była w dwuczęściowy strój z czarnego jedwabiu: jego górna część zakrywała piersi i sięgała dłoni; dolna kończyła się tuż nad kolanami. Twarz nieznajomej, nie wyłączając warg, była kredowobiała. Na tym tle jedyny mocniejszy akcent stanowiły tęczy jej oczu - czarne jak pancerze uwięzionych pod szkłem owadów.

I właśnie te oczy zdradziły Danielowi coś jeszcze.

Stojąca przed nim kobieta była martwa.

Kiedyś, pewnie przed śmiercią, odznaczała się wielką urodą. Teraz kojarzyła się z pustym workiem, z wydrażoną skorupą, w której dawniej mieszkało życie.

*Nie wiem, kim jest ten ktoś na górze, ale bardzo się go boję...*

- Klucz, o którym mówimy, naprawdę istnieje - powiedziała, a jej głos znowu zabrzmiał jak dudniące w pustej jaskini echo. - Dzięki wskazówkom Katsury Kushiro wkrótce go odnajdziemy. Te wskazówki zamknięte są w twoim umyśle. I dziś nam je przekażesz.

Daniel zrozumiał nagle swój błąd. Ta kobieta nie była martwa, gorzej, była *wydrążona*, pozbawiona woli. Jej mechaniczny głos świadczył o tym, że ktoś zmusza ją do mówienia. W jaki sposób? Stosując groźby? Zadając ból? Co sprawiało, że te bezkrwiste usta poruszały się zgodnie z czymś nakazem?

- Nikt poza tobą ich nie zna - oświadczył głos wydobywający się z jej gardła. - Co do tego mamy całkowitą pewność. Przepytaliśmy tę kobietę przez wiele, wiele dni... Gdyby coś wiedziała, zdradziłaby to nam już dawno. Ale jej ojciec powierzył tajemnicę tobie. Tylko tobie. Dlatego tu jesteś.

*Jej ojciec.* Chodziło bez wątpienia o Katsurę Kushiro.

Daniel przypomniał sobie zdjęcie, które pokazał mu Darby. A więc miał przed sobą Mitsuko, tę, która wraz z grupą uczniów przepadła bez śladu.

- Co... jej zrobiliście? - wyjąkał, czując, że nie potrafi dłużej znieść bolesnej głębi tych oczu. Odetchnął z ulgą, gdy wiatr litościwie przesłonił je pasmami rudych włosów.

Zapadło długie milczenie.

- Dawni Japończycy kultywowali sztukę zwaną *bunraku* - powiedziała kobieta. - Fabrykowali lalki, które zmuszali do poruszania się za pomocą poprzyczepianych do kończyn sznurków. Kiedy nikt za te sznurki nie pociągał, lalka mogła tylko bezwładnie leżeć. Nie potrafiła zrobić nic na własną rękę. Oczywiście, będąc lalką, nie cierpiała z tego powodu. Bo najgorsza w takiej sytuacji jest świadomość, której lalki *bunraku* nie miały. A ta kobieta ma. Wciąż myśli i czuje, przestrzenie jej umysłu nadal należą do niej, tyle że obecnie to ja pociągam za decydujące o jej poruszeniach sznurki.

Wymawiała te słowa spokojnie i wyraźnie, ale jej czarne, rozszerzone źrenice były jak dwie studnie wypełnione po brzegi szaleństwem.

- Kim jesteś? - wyszeptał Daniel.

- Nie pora teraz na prezentacje - odrzekła kobieta po chwili milczenia i odchyliła się do tyłu. - Lepiej udowodnię ci, że mówię prawdę.

Poły jej okrycia załopotały na wietrze niczym żagle.

- Nie! - krzyknął Daniel, pojmując, co się zaraz stanie.

Bez wahania, sztywno wyprostowana, ze złączonymi nogami i opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma, runęła na plecy. Daniel wyciągnął rękę i w ostatniej chwili chwycił ją za ramię,

dla zachowania równowagi przytrzymując się stojącego obok słupa. Kobieta nie uczyniła nic, by mu pomóc. I tak trwali: ona - huśtając się nad przepaścią, on - kurczowo uczepony swojej podpory.

Potem zaczęła walczyć o życie. Dzwoneczek na jej szyi dzwonił jak oszalały, gdy zręcznie wspinała się z powrotem na taras. Jej ruchy były pełne precyzji i niemal harmonijne, jakby wykonywała baletowy układ.

- Ona zrobi i powie wszystko, co jej każę. - Głos dobywał się teraz z chwytających powietrze ust, które niemal dotykały twarzy Daniela. - Wszystko.

Niespodziewanie zsunęła z siebie ubranie, wyprężyła się i przycisnęła białe wargi do ust Daniela. Przez chwilę stali spleceni w tym dziwnym uścisku nad brzegiem przepaści, pod rozgwieżdżonym niebem. Wreszcie odskoczyła, a jej wargi wykrzywił uśmiech, na którego widok Danielowi przebiegły po plecach ciarki.

- *Wszystko* - powtórzył głos. - Tak samo jak ty.

- Mnie w przeciwieństwie do niej nie naszprycowaliście żadnymi prochami.

- Nie ma mowy o żadnych prochach. Wystarczy strach, Danielu. Strach przed tym, co mogę jej zrobić. Przed tym, co, jak dobrze wie, i tak jej zrobię. - Ze skośnych oczu kobiety popłynęły łzy, choć z jej twarzy nie zniknął uśmiech. - Strach to nic, która porusza ludzkością. Pamiętasz, jak w czasie rozmowy z Olsenem ukląkłeś, żeby błagać o litość? Trudno się było oprzeć chęci skrzywdzenia cię w takim momencie. Dlatego Olsen zabił twoją żonę. Na mój rozkaz.

Daniel z trudem znosił świadomość, że ten, kto formułował te straszne słowa, znajdował się zarazem tak blisko i tak daleko. Stojąca obok kobieta nie przestawała się uśmiechać, ale jednocześnie dygotała od stóp do głów, wciąż odsłaniając przed nim swoje nagie ciało.

- Czy ty... to Moon?

- Moon jest tylko pionkiem, nic nieznaczącym wobec całości - oświadczył głos wydobywający się z jej zaciśniętego gardła. - Zresztą, ja też pracuję dla kogoś. Ale wtedy, w katakumbach, zabawnie było patrzeć na twoje cierpienie. Zadam ci je znowu, kiedy tylko zechcę, wyłącznie dla zaspokojenia kaprysu, a ty mi jeszcze za to podziękujesz. I uśmiechniesz się, kiedy każę ci się uśmiechać. Zrobisz wszystko.

- Jedyne, co zrobię, jeśli zdołam, to cię zabiję, kimkolwiek jesteś... Nigdy nie zostanę twoją lalką.

- Już nią zostałeś, Kean. Chcesz się o tym przekonać? - Zapadła cisza zakłócana tylko wyciem wiatru. Daniel zebrał dłonią włosy, które fruwały mu wokół twarzy jak cieniusieńkie



linki. - Mam przy sobie twoją córkę. Jest przerażona, ale na razie cała i zdrowa. Spełni dziś taką samą rolę, jaką niedawno odegrała twoja żona. Bo teraz leciutko pociągnę za sznurek: jeśli nie wykonasz poleceń, jakie ci za chwilę wydam, twoja córka natychmiast umrze. Albo zostanie jeszcze jedną lalką.

Strach okazał się silniejszy niż wściekłość. Pod Danielem ugięły się nogi, gdy zmalretowany umysł podsunął mu okrutnie wyrazistą wizję Yun przemienionej w coś podobnego do tej kobiety - w bezwolną, choć świadomą swej bezwolności kukłę użyczającą głosu jakiemuś szaleńcowi.

- Z tego, co widzę, jest to wyjątkowo mocny sznurek - wychrypiała kobieta, jakby artykułowanie słów przychodziło jej z coraz większym trudem. - Uwaga, teraz za niego pociągam: zdejmij te śliczne szatki, które masz na sobie, Kean.

Daniel usłuchał. Dwoma ruchami zerwał z siebie czerwone taśmy, które wicher powłókł zaraz wzdłuż tarasu.

- Nie, nie o to mi chodzi - powiedziała kobieta, gdy upokorzony Daniel zaczął zasłaniać się dłońmi. - Pociągnę jeszcze trochę. Uklęknij i załóż ręce za głowę.

*Bunraku. Sznurek.*

- Przysięgnij mi posłuszeństwo - zażądała kobieta, gdy Daniel przyjął wymaganą pozycję.

- Przysięgam ci posłuszeństwo.

- Głośniej.

- Skąd mogę wiedzieć, że moja córka żyje? - rzucił wtedy Daniel.

- Nie możesz tego wiedzieć. Nie możesz wykluczyć, że nie żyje. Albo że ją akurat torturuję. I właśnie ta niepewność daje mi nad tobą władzę. Wykonaj polecenie.

Tym razem Daniel wykrzyczał przysięgę na cały głos. Czuł, że płacze, tak samo jak Mitsuko. Identyczność ich sytuacji przyprawiała go niemal o szaleństwo.

- To nie koniec - podjął głos. - Pod tamtym słupem znajdziesz niewielki spryskiwacz. Weźmiesz go do ręki i zwilżysz ciało, a szczególnie miejsca, do których przylegało twoje ciepłe wdzianko. Potem zejdziesz dziesięć stopni w dół po tych samych schodach, którymi się tu dostałeś. I poczekasz. Dobrze się trzymaj: spadając z tej wysokości, umarłbyś ze strachu na długo przed tym, zanim osiągnąłbyś ziemi. Wszystko jasne? To do dzieła. Ale nie tak... - Daniel, który już się odwracał, zatrzymał się w pół ruchu. - Na czworakach...

Daniel opadł na kolana i ze wzrokiem wbitym w szary kamień jął się mozolnie przesuwać ku krawędzi tarasu. A głos płynący z ust kobiety mówił:

- Zauważyłeś, Kean, z jaką zręcznością manipuluję swoimi lalkami? Teraz już mogę

odpowiedzieć na twoje pytanie o to, kim jestem. Jestem tym, kto pociąga za sznurki, tym, kto sprawia, że całkiem nagi pełzasz niczym robak, tym, kto popycha cię ku ostateczności. Jestem tym, co zobaczysz tuż przed śmiercią, wszystkim, co w tobie najgorsze, miejscem, w którym się znajdziesz, gdy umrzesz... Nazywają mnie Prawdą.

## 11

- Przepadł.

Ta zwięzła informacja wybrzmiewała przez chwilę w absolutnej ciszy. Yil spojrzął na ledwie widoczną w mroku, zafrasowaną twarz doktora Schaumanna.

- Co to dokładnie znaczy, doktorze?

- Dokładnie znaczy to tyle, że sygnał termiczny zanikł. W jakiś sposób zdołali usunąć ze skóry Daniela Keana wszelki ślad ciepła.

- Czyli wiedzieli, że zastosujemy tę sztuczkę - Yil potarł pokrytą tatuażami szyję.

- Albo raczej się domyślali. Tak czy owak wkrótce zjadą na ziemię. Rowen może ich śledzić, podczas gdy my...

- Nie zjadą - przerwała mu Maya Müller. - Przetransportują Daniela drogą powietrzną. Yil zerknął w jej stronę.

- Nie pytam cię, skąd to wiesz, bo wiem, że wiesz dużo rzeczy - rzucił z uśmiechem. - Nawet takich, o których nie wiesz, że je wiesz.

Schaumann musnął ekran komunikatora. Sekundę później na wyświetlaczu pojawiła się twarz Darby'ego.

- Zgubiliśmy go. Zauważyliście coś?

Darby pokręcił głową.

- Nic. Tylko chmury i cienie. Nie rozumiem, jak mogliście go zgubić. Wyziębili go czy jak?

- Coś w tym stylu.

- Poczekajcie. - Głos Darby'ego zdradzał niepokój. W tle słychać było Anjali Sen i Meldona Rowena. - Anjali widzi zbliżający się do Wieży pojazd powietrzny.

- Tak właśnie przypuszczaliśmy - uśmiechnął się ponuro Yil.

Maya Müller usiadła na krześle. Jej drobne, lecz mocne ciało poruszyło się niespokojnie, jakby usiłowało zrobić sobie więcej miejsca.

- Brent - powiedziała do doktora Schaumanna, nie zwracając się jednak w jego stronę.

- Z jaką prędkością może poruszać się taki pojazd?

- Do Strefy Zatopionej dotrze z pewnością przed nami, jeśli o to pytasz. Ale na miejscu będą musieli z niego zrezygnować. Tam szanse się wyrównają.

- Odlatują na południowy wschód, w stronę Koloru - poinformował Hector Darby. - Ale nie zdołali wylądować na szczycie.

- Prawdopodobnie zgarnęli Daniela z tych schodów z boku - stwierdziła Maya. Jej skryte pod powiekami oczy drgały.

- Kto za tym stoi? - zastanawiał się na głos Yil. - Ktokolwiek to jest, sprytu mu nie brakuje.

- Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak jechać za nimi - zawyrokował Schaumann.

Przez dłuższą chwilę wszyscy troje wpatrywali się w swoje monitory. Na ścianach pogrążonej w mroku kabiny tańczyły świetliste kwadraty. W pewnym momencie Yil obejrzał się na Mayę. Jego metalowe ozdoby połyskiwały w blasku bijącym od ekranów.

- Oczywiście nie da się też wykluczyć, że ten cały konduktorek nas zdradził... Jak myślisz, Maya, czy on podejrzewa, że od początku go oszukujemy?

Dziewczyna milczała tak długo, że nawet doktor Schaumann oderwał wzrok od wyświetlacza i zerknął na jej nieporuszony, jakby wykuty z kamienia profil.

- Nie - odparła po chwili bezbarwnym głosem. - Nie sądzę.

# Rozdział piąty

## *Kolor*

### 1

Gwałtownie obniżali pułap lotu; Daniel poczuł mdłości. Znajdował się w tylnej kabinie pojazdu - klęczał przed jednym z foteli. Pozwolili mu złożyć na nim głowę, ale zabronili się ruszać. Pozycja ta była tym bardziej niewygodna, że z tyłu stał drugi fotel, więc Daniel musiał podkurczać nogi i opierać się wyłącznie na kolanach.

Nie miało to żadnego uzasadnienia praktycznego, podobnie jak wcześniejsze wystawanie na bocznych schodkach czy czołganie się nago po najwyższym tarasie Wieży. Daniel rozumiał już, że wszystkie te rozkazy obliczone były na złamanie w nim resztek woli. Podobną funkcję spełniała strażniczka celująca w niego z karabinu. Nie pozwalała mu podnosić głowy, toteż widział jedynie jej brązowe buty z długimi czubami i masą zdobień. Od czasu do czasu jeden z nich lądował na jego plecach, a kiedy wracał na ziemię, zastępowała go zimna lufa, która sunęła po nagiej skórze Daniela jak metalowy palec.

Przez cały lot, który nie trwał zresztą długo, strażniczka nie przestawała mówić, używając sztucznie żartobliwego tonu, jakby chciała sprowokować więźnia do odpowiedzi.

- W Strefie Zatopionej panują straszliwe ciemności. To najciemniejsze miejsce, jakie w życiu widziałeś. Ale i tak najgorsze są tam dźwięki. Coś pełza i szura. Ten, kto zobaczył Strefę, nigdy nie będzie taki jak wcześniej. A ty pewnie nigdy o niej nawet nie słyszałeś... - Daniel dyszał ciężko w obicie fotela. Przed nosem miał czubek buta jak sztylet z brązu, a w uszach ostry głos. Podnosząc wzrok, zdążył zauważyć wielkie, nieco wyłupiaste niebieskie oczy. Poczuł kopnięcie w ramię. - Odpowiadaj, głupku. Słyszałeś o Strefie czy nie słyszałeś?

- Trochę.

- Trochę - przedrzeźniała go ze śmiechem strażniczka. - No, to od dziś będziesz miał

informacje z pierwszej ręki. Już niedaleko...

Daniel usiłował opanować nudności, trzęsąc się wraz z całym pojazdem. Kabina służyła także za mały salon. Był tu przykryty obrusem stół z kompletnym serwisem do herbaty. Filiżanki i spodki podzwaniały o siebie jak zęby.

Strażniczka rozmawiała z kimś przez mikrofon; z głośnika dobiegały szумы i urywane głosy. W nadziei, że przestała zwracać na niego uwagę, Daniel uniósł nieco głowę. Karabin natychmiast wbił mu się boleśnie w kark.

- Ktoś ci pozwolił się ruszyć?
- Zaraz zwymiotuję - wychrypiął Daniel.
- Proszę bardzo. Potem osobiście wyczyścisz siedzenie.

Dwa niemożliwe do opanowania, nieprzyjemne, ale suche skurcze wygięły Daniela w kabłąk.

- Jeszcze dziś zapragniesz śmierci jak wybawienia, Danielu - szepnęła Spiczaste Buty, przykładając mu lufę do skroni.

Pojazd niespodziewanie znieruchomiał. Spiczaste Buty chwyciła Daniela za włosy i poprowadziła go, nie pozwalając mu się wyprostować. Wyszli na zewnątrz i skierowali się do innego pojazdu, tym razem naziemnego, w kolorze wściekłego oranżu. Głęboko schylony Daniel dostrzegał jedynie jakieś rozmazane światła i czuł powiew niezbyt świeżego powietrza. Nie wiedział, gdzie się znaleźli. Słyszał jednak dobiegający z oddali szum ulicy, a gdy udało mu się wygiąć nieco szyję, dojrzał płynące po niebie cienie chmur, z czego wywnioskował, że nie dotarli jeszcze do Strefy.

Więcej nie mógł ustalić. Gdy stanął u schodków do pomarańczowego pojazdu, czyjaś dłoń w rękawiczce chwyciła go za podbródek i zmusiła do spojrzenia w górę.

- I proszę, znowu się spotykamy, bohaterze - powiedział Moon.

## 2

Wewnątrz było kilka kabin rozmieszczonych wzdłuż biegnącego środkiem korytarza. Daniel uznał, że pomarańczowy pojazd jest chyba rodzajem ciężarówki.

Spiczaste Buty przekazała więźnia rudowłosemu strażnikowi, który zawlókł go do położonego na końcu korytarza pomieszczenia, tam skuł mu szyję i nadgarstki dwoma łańcuchami przypominającymi naszyjniki, po czym rzucił go na ziemię i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Niebieskie dotąd ściany natychmiast zmieniły kolor na czerwony,

drzwi zaś znikły, przez co kabina upodobniła się do pozbawionego jakichkolwiek otworów sześcianu.

Daniel chciał wstać i przekonał się, że więzy zaczynają go dusić - przy każdym pociągnięciu zaciskały się niby węże. Żeby móc oddychać, musiał lekko schylać głowę, a dłonie trzymać nieruchomo na pewnej wysokości. Ogniwa łańcuchów pomalowane były na wiele kolorów, wśród których dominowały jednak czerwony i niebieski. Widział je nawet wówczas, gdy zamykał oczy i w pewnej chwili pomyślał - całkiem bez sensu - że Yun bardzo by się spodobały.

Potem, rozglądając się dokoła, odkrył, że nie jest sam.

Nieco dalej, oparta o drewniane krzesło, stała jakaś dziewczyna. Włosy miała kasztanowate i dużo krótsze niż on, a ubrana była w szal z gazy ozdobionej pionowymi pasami. Szal trzymał się na jej ciele dzięki węzłom zamotanym na szyi i w pasie. Kiedy pojazd ruszył, szybko nabierając prędkości, włosy i strój nieznajomej zafalowały nieznacznie. Daniel wywnioskował z tego, że kabina, choć na pozór hermetyczna, wyposażona jest w dobrze ukryte urządzenia wentylacyjne.

Przyjrząwszy się nowemu przybyszowi, dziewczyna odwróciła się do niego plecami. Od tyłu była naga, ponieważ szal okazał się raczej czymś w rodzaju fartucha. Daniel podejrzewał, że kazali jej go wypytać albo wręcz przeskanować mu podświadomość, aby się upewnić, że nie ma mowy o żadnej pomyłce.

Milczenie się przedłużało, a w Danielu tymczasem narastała panika. Dopiero teraz, gdy znalazł się w mocy „tamtych”, zaczynał w pełni rozumieć swoje położenie. Jaką miał gwarancję, że kiedy już przekazuje im wiadomość od Katsury Kushiro, dotrzymają słowa i oddadzą mu Yun? Bo szczerze wątpił, by Maya i Darby byli zdolni mu pomóc. Widok własnych skrępowanych nadgarstków nasuwał mu jak najczarniejsze myśli.

Zerknął na dziewczynę.

- Gdzie ją trzymacie? - spytał.

Nieznajoma obróciła się ku niemu. Jej twarz przysłaniały splątane włosy.

- Moją córkę - wyjaśnił. - Gdzie trzymacie moją córkę?

- Nie rozumiem - odparła z północnym akcentem. - Kim jesteś?

- Nazywam się Daniel Kean.

- Ina. Ina White - przedstawiła się w odpowiedzi. Jako że pojazd mocno kołysał, nadal przytrzymywała się poręczy krzesła. Zmarszczyła brwi. - Dlaczego cię tu zamknęli?

- Bo mam im podobno przekazać jakąś wiadomość.

W jej oczach odmalowało się zaprawione niedowierzaniem zrozumienie.

- Jesteś *messenja*... - wyszeptwała.

Daniel przytaknął.

- A ty?

- Mnie też potrzebują. Należałam do uczniów Mitsuko Kushiro... Oni... - W jej głosie dało się wyczuć lęk. - Oni grożą, że ją zabiją, jeśli nie zechcą im pomóc.

Daniel przypatrywał się jej przez chwilę. Była wysoka, mocno zbudowana i całkiem ładna z tymi swoimi pełnymi i różowymi ustami. Jej spojrzenie zdradzało inteligencję i pewność siebie.

- Do czego cię potrzebują? - spytał.

- Beze mnie nie wejdą do laboratorium.

- Sądziłem, że mogą to zrobić bez problemu.

- O, nie - zaprzeczyła Ina. - To nie jest przecież kwestia wyważenia drzwi. Chodzi o laboratorium należące kiedyś do człowieka głębokiej wiary, zabezpieczone na wszelkie sposoby. Tylko ja wiem, jak się tam dostać. - Zawahała się przez moment. - Albo inaczej: tylko ja zgodziłam się z nimi współpracować. Moja mistrzyni, Mitsuko, potrafiła im odmówić. Podobnie jak większość moich kolegów. Ja okazałam się słabsza, bardziej tchórzliwa - rzuciła z pogardą.

- Robisz jedynie to, co musisz.

Ina przez dłuższą chwilę uparcie kręciła głową.

- Zdradziłam ją. Ją i pamięć jej czcigodnego ojca. Ale nie umiem inaczej. Zbyt wiele Mitsuko zawdzięczam... Nie potrafię znieść myśli, że przeze mnie mogłaby umrzeć.

Pogrążyli się oboje w zadumie. Pojazd przemieszczał się chyba z dużą prędkością, co można było poznać po silnym kołysaniu i przedostającym się przez czerwone ściany głuchym ryku silników.

- Widziałem ją - rzekł w końcu Daniel. - Twoją mistrzynię.

Ina wbiła w niego pytający wzrok.

- Dobrze się czuje? - spytała, zachłystując się z przejęcia.

Poruszony wyrazem ulgi, jaka odmalowała się na jej twarzy, Daniel postanowił nie wspominać o lalkach *bunraku* i powoli skinął głową.

Ale Ina, zamiast okazać radość, opadła nagle z sił i bezwładnie osunęła się na krzesło.

- Kiedy już osiągną swój cel, wszystkich nas pozabiją - oświadczyła spokojnie, jakby stwierdzała oczywisty fakt. - Chyba że zamiast tego oddadzą nas denebianom.

- Kto to są denebianie?

Popatrzyła na niego, wyraźnie nie dowierzając własnym uszom. Jej twarz zdradzała

napięcie.

- Nigdy wcześniej nie byłeś w Strefie Zatopionej?

- Nigdy.

- No to posłuchaj - powiedziała zmienionym głosem. - Laboratorium Katsury Kushirow znajduje się w miejscu zwanym Kolor. W Strefie Zatopionej nie obowiązują żadne prawa, a w Kolorze jest pod tym względem gorzej niż gdziekolwiek indziej. Tamtejsi mieszkańcy dawno popadli w obłąd. Tworzą małe grupy wyznaniowe, które walczą między sobą albo atakują nieliczne zapuszczające się w głąb Strefy pojazdy. Nazywają siebie denebianami, od gwiazdy Deneb z konstelacji Łabędzia... Pamiętasz Rozdział Piąty?

- To ten, który opowiada o zejściu Koloru - stwierdził Daniel.

Ina przytaknęła.

- W przeciwieństwie do innych Rozdziałów nie jest bynajmniej rozbudowaną metaforą, lecz zapisem naukowo potwierdzonych faktów. Dawno temu na naszą planetę naprawdę spadł meteor, który spowodował ogromne spustoszenia... Między innymi zaczęły topnieć lodowce na biegunach, co z kolei sprawiło, że podniósł się poziom oceanów. Podobno Japonia składała się kiedyś z czterech dużych wysp, z których na powierzchni utrzymała się przez jakiś czas tylko jedna, Honsiu. Ale w końcu i ona uległa zatopieniu. Także Tokio przez całe stulecia znajdowało się pod wodą. Legenda głosi, że morze nie zalało jedynie świętej góry Fudzi...

- Mówisz teraz o epoce kataklizmów? - upewnił się Daniel. - Do tej pory myślałem, że ich skutki odczuła wyłącznie Północ.

- Na Wschodzie było znacznie gorzej. Nawet kiedy ocean się cofnął, pod wodą pozostało wiele obszarów, między innymi połowa wyspy Honsiu. Parę wieków temu odnaleziono tam ruiny licznych miast i japoński rząd postanowił objąć je ochroną. Wtedy właśnie utworzono Strefę i przykryto ją szklaną kopułą. Co do pochodzenia owych ruin, naukowcy nie mogą dojść do porozumienia. Niektórzy twierdzą, że są one pozostałością po cywilizacji wcześniejszej niż zejście Koloru. Inni, ostrożniejsi, utrzymują, że to, co określamy mianem kataklizmów, rozłożyło się na kilka epok, przedzielonych okresami spokoju, w czasie których narodziło się i obumarło kilka różnych cywilizacji. Naukowych dowodów na potwierdzenie pierwszej lub drugiej hipotezy brak do dzisiaj, ponieważ Kolor stanowił potężne źródło promieniowania, którego śladem jest choćby fosforescencja dna oceanu, uniemożliwiająca precyzyjne datowanie położonych tam obiektów. Tak czy owak zdecydowano, że w Strefie Zatopionej powstanie centrum religijno-badawcze. Tyle że z czasem opanowali ją wyznawcy Rozdziału Piątego oddający cześć tak zwanym bóstwom



Koloru. To skrajni fanatycy. A najgorsi z nich są denebianie, którzy nazywają się tak na pamiątkę wzmiankowanej w Biblii gwiazdy Deneb, kolebki Koloru.

Zastłuchany w wyjaśnienia Iny Daniel nie zauważył nawet, że coraz trudniej utrzymać mu pozycję pionową, zupełnie jakby podłoga kabiny przechylała się na jedną stronę. Do tej pory miał ręce założone za głowę, żeby nie musieć ciągle się schylać, ale teraz nieświadomie je opuścił, jednocześnie padając na bok, i to nagłe szarpnięcie spowodowało, że łańcuchy błyskawicznie zacisnęły się wokół jego szyi. Ina rzuciła mu się na pomoc. Podziękował jej uśmiechem.

- Chyba zjeżdżamy po czymś stromym - powiedział, opierając się z powrotem o ścianę.

- Chwilę to potrwa - odparła Ina. - Strefa dzieli się na dwie części. Pierwsza z nich, zwana Szarością lub Maską i przedzielona kilkoma śluzami, sięga stu metrów głębokości. Dopiero potem zaczyna się Strefa właściwa, gdzie głębokość dochodzi do ośmiuset metrów. Na samym dnie, na poziomie tysiąca dwustu metrów, położony jest Kolor. Tam znajduje się laboratorium.

- Nieźle się orientujesz.

- Wiele razy, z powodów religijnych, pokonywałam tę trasę pieszo. Znam rozmaite skróty. Zresztą, w gruncie rzeczy przejazd główną drogą niesie ze sobą większe ryzyko. Szosa całymi kilometrami tonie w prehistorycznym błocie, na niektórych odcinkach czyhają denebianie... W pojeździe, którym podróżujemy, jest najwyżej czterech uzbrojonych ludzi. Jeśli zaatakuje nas duża grupa, nie zdążymy nawet mrugnąć. Ale my dwoje mamy też inne powody do zmartwień. - Ina obrzuciła Daniela szybkim spojrzeniem. - Moon, gdy dostanie od ciebie to, czego chce, raczej nie będzie się z nami cackał.

I właśnie wtedy Daniel uświadomił sobie z całą jasnością, że musi zacząć działać, w przeciwnym razie zginie, a razem z nim Ina, Mitsuko Kushiro, a także Yun. Aby zyskać co do tego pewność, wystarczyło przypomnieć sobie rozbawienie malujące się we wzroku Moona albo udrękę bijącą z przepastnych oczu Mitsuko. Darby i spółka nie mogli temu przeszkodzić. Dlatego należało przedsięwziąć coś na własną rękę.

### 3

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Moon.

Musiał chyba uruchomić jakiś mechanizm, ponieważ kabina natychmiast zmieniła

kolor na niebieski, zupełnie jakby zanurzyła się w wodzie. Jednocześnie w ścianach pojawiły się prostokątne okna, choć panująca w środku jasność sprawiała, że Daniel i tak nie potrafił dostrzec na zewnątrz nic poza niewyraźnymi cieniami. Mimo znacznego nachylenia podłogi Moon pewnie trzymał się na nogach. Za nim postępował rudowłosy strażnik.

- Zależało mi, by osobiście powitać was w tym niezwykłym miejscu, jakim jest Strefa Zatopiona - rzucił Moon. - Właśnie przeprawiamy się przez ostatnią ze śluz Szarości - dodał tytułem wyjaśnienia, gdy nagle zamilkły silniki. - Oto otwierają się przed nami podwoje dawnej Japonii...

Miał na sobie zapięte w pachwinach czarne yuri oraz pas, za który zatknięte były dwa pistolety o krótkim zasięgu oraz nóż z czerwoną rękojeścią. Podkreślone agresywnym makijażem usta i oczy mocno odcinały się od bladej twarzy wykrzywionej w zgardliwym grymasem, charakterystycznym dla ludzi przekonanych o własnej urodzie i lubiących znajdować potwierdzenie tego mniemania we wzroku innych. Daniel nie mógł spojrzeć na swego prześladowcę wyzywająco, tak jak zamierzał, ponieważ nie pozwalały mu na to więzy, które zaciskały się, ilekroć próbował podnieść głowę.

- Ciekawa odmiana w szarym życiu pracownika kolei, co, bohaterze? - zagadnął Moon.

- Chcę zobaczyć swoją córkę - odparował Daniel.

- Czeka u wejścia do laboratorium. Oddamy ci ją, kiedy dzięki Inie dostaniemy się do środka, a od ciebie uzyskamy cenną wiadomość, o którą nam chodzi. Zakładam, że z powrotem trafisz sam. W końcu od wejścia dzielić was będzie zaledwie trzysta kilometrów. Wezmiesz małą na ręce i po sprawie. A jakbyś nie dał rady, to twoi przyjaciele, Darby, Rowen i ta ślepa wariatka, zapewne w końcu cię znajdą. Bo śledzą nas, prawda?

- Nie wiem.

- Założę się, że tak, ale nie spędza mi to snu z powiek - rzekł Moon, z roztargnieniem bawiąc się jasnymi włosami Daniela.

- Skąd mogę wiedzieć, czy nie zrobiliście Yun nic złego?

- Chyba będziesz musiał nam zaufać.

- Chcę z nią porozmawiać.

- To niemożliwe.

- Posłuchaj, Moon: albo mi jakoś udowodnicie, że z Yun wszystko dobrze, albo nie będę z wami współpracował.

Moon cofnął się i przysiadł na parapecie jednego z okien, podkulając prawą nogę. Gdy się znowu odezwał, na jego twarzy nie było już uśmiechu.

- Nie będziesz współpracował... Ciekawe.

Daniel podjął desperacką decyzję.

- Zabiję się. A wtedy niczego się nie dowiecie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Stojąca obok krzesła Ina obserwowała ich z przerażeniem.

- Więc proszę - powiedział w końcu Moon, wyciągając zza pasa nóż i rzucając go w kierunku Daniela. - Masz kilka sekund, bohaterze. Zabij się.

Nóż spadł w miejscu, gdzie sekundę wcześniej leżała noga Daniela. Zawirował i zatrzymał się ostrzem w jego stronę. Przyjrzawszy mu się, Daniel podniósł oczy na Moona.

- No i co, konduktorku? - zakpił tamten. - Brak ci odwagi? A może powstrzymuje cię coś innego? Pomogę ci podjąć decyzję. - Zbliżył się ponownie i nachylił nad Danielem tak, że ich twarze znajdowały się teraz na tej samej wysokości. - Myślisz pewnie o córce, tak? Wciąż masz nadzieję, że ją odzyskasz? Dlatego powinienś wiedzieć, że skłamałem. Mała nie żyje. Co najwyżej zobaczysz jej zwłoki.

Daniel odwrócił wzrok, ale Moon ujął go pod brodę i zmusił do patrzenia na siebie. Był najwyraźniej w swoim żywiole.

- No, bohaterze? Okaż charakter, tak jak zrobiłeś to wtedy, w katakumbach, kiedy zastrzeliłem twoją żonę... Weź nóż i podetnij sobie żyły albo wbij go w tę swoją śliczną, smukłą szyję... Łańcuchy ci nie przeszkodzą. To dużo prostsze od rozbrojenia bomby Klausa Siegla...

Chwycił nóż za ostrze i podał Danielowi.

Przez krótką chwilę, która wydała mu się wiecznością, Daniel wpatrywał się w czerwoną rękojeść. Pragnął śmierci, ale nie zamierzał popełniać samobójstwa na rozkaz Moona. Spuścił głowę.

- Nie daj się zwieść, Danielu - odezwała się Ina. - Nigdy by ci nie pozwolili się zabić. Tej nocy wszystko zależy od ciebie...

Moon upuścił nóż, wyprostował się i ruszył w jej stronę. Jego długie czarne włosy połyskiwały jak agat.

- Coś wam powiem - oświadczył. - Jesteście zbędni. Oboje. W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy zbędni, ale wy bardziej niż ktokolwiek inny.

Mówiąc to, przycisnął Inę do ściany, wyjął pistolet i przytknął lufę do czoła dziewczyny. Ona stała bez ruchu, bez słowa, patrząc przez pokój na Daniela.

- Możemy was zabić albo oddać denebianom, albo i jedno, i drugie - ciągnął Moon. - Nie potrzebujemy żadnego z was. Jeśli umrzesz, Ino, dostaniemy się do laboratorium innym

sposobem. Jeśli umrze Kean, zmusimy do mówienia jego trupa. W Rozdziale Trzynastym nie brakuje stosownych instrukcji. Możemy z wami zrobić, co nam się żywnie podoba, więc... - Wciąż trzymając pistolet przy głowie Iny, odwrócił się w stronę Daniela i się uśmiechnął. - Widzę, że w końcu zdecydowałeś się sięgnąć po ten nieszczęsny nóż. I co? Użyjesz go?

- Zostaw ją w spokoju - szepnął Daniel, klęcząc i trzymając nóż obiema dłońmi.

- A jak nie, to co? Będziesz próbował mnie zabić?

- Jeśli podejdziesz wystarczająco blisko...

- Coś łatwo zmieniasz obiekty swoich zabójczych zamiarów... - zaśmiał się Moon.

Zarechotał również strażnik. W tej samej chwili rozległ się ryk silnika.

- Jedziemy - stwierdził Moon, odsuwając się od Iny i chowając pistolet. - Wiesz co, bohaterze? Może się zdarzyć, że wszyscy umrzemy, zanim się ostatecznie zdecydujesz, kogo właściwie chcesz uśmiercić. Wedle niedawnych raportów w pobliżu grasuje spora grupa denebian. Słyszałeś o nich, prawda? Głęboko wierzą w Rozdział Piąty i odprawiają nieprzyjemne rytuały wokół ogromnych drzew, które poruszają gałęziami, nawet gdy nie ma wiatru. Spróbujemy się przemknąć niezauważeni, ale jeśli nam się nie uda... Denebianie łatwo się irytują, więc marny nasz los... Sam widzisz, że twoje żałosne komedie z nożem nikogo tu nie przestraszą, Danielu... Lepiej go odłóż...

Daniel wahał się przez chwilę, a potem usłuchał. Wstydził się swojego tchórzostwa.

Moon schylił się, chwycił nóż i wierzchem dłoni wymierzył Danielowi potężny policzek. Daniel upadł. Moon złapał go za włosy. Czując, że łańcuchy już zaczynają go dusić, Daniel z wysiłkiem podniósł się na kolana.

- Dość tego - mówił Moon, nadal ciągnąc go za włosy. - Utrzymujemy cię przy życiu tylko dlatego, że w twoim umyśle zostało zamknięte coś, co nas bardzo interesuje. Kiedy przekazesz nam tę informację, będziesz jak pusta skorupa, którą można bez żalu stłuc... Zrozumiałeś?

Daniel, pojękując z bólu, skinął lekko głową. Moon puścił go i dodał:

- Prawdziwy z ciebie bohater.

Śmiejąc się, wyszedł z kabiny, a ściany natychmiast zrobiły się z powrotem czerwone i gładkie.

Daniel długo dochodził do siebie. Przez kilka minut słychać było, jak ciężko dyszy. Potem zwrócił twarz w stronę Iny i powiedział:

- Pomóż mi uciec.

Szarość, zwana również Maską zaczyna się w miejscowości Nagoya, mniej więcej dwieście kilometrów na południowy wschód od Tokio; pojazdy zatrzymują się tam przed pierwszą służą. Dalej otwiera się mroczny, zygzakowaty tunel. Nigdzie nie widać wody, wszędzie tylko ciemne ściany i szosa, która opada nawet wtedy, gdy zdaje się wznosić. Niepostrzeżenie zanurzamy się coraz głębiej - na pięćdziesiąt metrów, sto - przekraczając kolejne śluzy przypominające bramy dawnych świątyń, tyle że nieodmiennie czarne.

Panuje tu atmosfera tajemnicy i wyczekiwania.

W pobliżu widmowych ruin Kioto powietrze gęstnieje, staje się wilgotne i lepkie jak w tropikach. Po kolei włączają się urządzenia wentylacyjne, ale i tak nie sposób zapomnieć, że od oceanu dzieli nas jedynie szyba. Choć wszystko wokół świadczy o tym, że cywilizacja dotarła i tutaj, czujemy się coraz bardziej niepewnie.

Jeszcze przed wjazdem do właściwej Strefy podróżny traci przekonanie, że kontroluje to, co go otacza. Nawet ci, którzy pokonują tę trasę niemal codziennie - głównie naukowcy i ludzie wiary - odnoszą niemiłe wrażenie, że znaleźli się w osobnym świecie, obcym człowiekowi, a zarazem w jakiś sposób mu *przynależnym*. Przy każdej kolejnej śluzie nasz strach się potęguje. A jeśli nie ma odwrotu, myślimy. Jaki sekret kryje się za ostatnimi czarnymi wrotami?

- Dlatego miejsce to nosi również nazwę Maski - tłumaczył widoczny na ekranie komunikatora doktor Schaumann. - Bo każda rzecz zdaje się tu jedynie pozorem czegoś innego. Weźcie pod uwagę, że niejako cofamy się w czasie, ku tym „dziwnym dniom”, kiedy to, jak głosi Biblia, z przestworzy spłynął na ziemię Kolor, zamieniając ją w jałowe pole pokryte szarym pyłem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tak właśnie było. I zagłębiając się w Strefę, coraz bardziej oddalamy się od znanego nam świata, a zbliżamy do tej dziwnej przeszłości.

- Można by zatem powiedzieć, że zbliżamy się też do prawdziwego życia - zauważył Hector Darby.

- Wolałbym, żebyśmy nie używali określeń tego typu, Hectorze - odparł Schaumann. - Nie mam jasności co do takich pojęć jak „prawda”.

Od kilku minut czekali przed ostatnią służą, słuchając wyjaśnień doktora Schaumanna. Z wnętrza pojazdu widać było jedynie fragment oświetlonej latarniami szosy, która ginęła między dwiema gigantycznymi ścianami pokrytymi skroploną parą wodną. Wszystko wokół

aż wibrowało od potężnego hałasu przywodzącego na myśl chrapliwy i rytmiczny oddech bogów.

Hector Darby, skubiąc brodę, popatrywał na tylne światła pojazdu, w którym jechali Schaumann z Mayą. Meldon Rowen siedział za pulpitem sterowniczym, a ciemnoskóra Anjali Sen klęczała na swoim fotelu zajęta wykonywaniem ćwiczeń gimnastycznych. Podróż przeciągała się i wszyscy zaczęli być zmęczeni. Darby zdawał sobie sprawę, że tylko udają pogodę ducha: wciąż nie wiedzieli, gdzie jest Daniel, a droga do laboratorium mogła okazać się niebezpieczna.

- Chyba znacznie nas wyprzedzili - stwierdziła Anjali.

- Liczyliśmy się z taką możliwością - mruknął Rowen.

Na ekranie pojawiła się piegowata twarz - to Maya Müller zastąpiła doktora Schaumanna.

- Hectorze, Meldonie, Anju... Przyszło mi do głowy, że powinniśmy się rozdzielić, na wypadek jakiejś zasadzki. My pojechalibyśmy dalej drogą na Kioto, a wy skręcilibyście na przykład w stronę Gifu. W ten sposób...

- W ten sposób wszystko by się jeszcze bardziej skomplikowało - przerwała jej Anjali. Darby już dawno zauważył nieustanną, choć dyskretną rywalizację między obiema kobietami. Anjali lubiła rządzić, a Maya przeciwstawiała się temu milcząco, lecz uparcie. - Uważam, że to zły pomysł.

- Mnie też się nie podoba - przyznał Darby. - Co właściwie chcesz osiągnąć, Mayu? Wystawić się na cel, żeby dać nam szansę ucieczki?

- Wolisz, żebyśmy wystawiali się wszyscy? - odparowała.

Zapadło pełne sceptycyzmu milczenie.

- Przedyskutujemy to, dobrze? - zaproponował Rowen.

- Dobrze - odrzekła Maya i się rozłączyła.

- Martwię się o Daniela - rzucił nagle Darby. Anjali, która rozciągała akurat mięśnie ramion, przerwała ćwiczenia i spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Nie tylko nie powiedzieliśmy mu prawdy o swoim udziale w tym wszystkim, ale nie uprzedziliśmy go też, czym grozi pobyt w Strefie.

- Nie sądzę, by to było istotne, Hectorze - zaprotestowała Anjali. - Tamci dopilnują, żeby dotarł bezpiecznie do laboratorium. Nic mu się nie stanie.

- Chyba że... - Darby szarpnął nerwowo za brodę. - Chyba że będzie próbował uciec...

Zaległa cisza. Rowen i Anjali zdawali się zastanawiać nad taką ewentualnością.

- Miejmy nadzieję, że tego nie zrobi - powiedział w końcu Rowen. - Ucieczka to

pewna śmierć.

## 5

- Ucieczka to pewna śmierć, Danielu.

- Tak samo jak siedzenie tu z założonymi rękami. Słyszałaś, co mówił Moon. Nie mamy nic do stracenia, Ino.

- To była prowokacja. Twoja córka z pewnością żyje...

- Może, ale chcę się o tym przekonać na własną rękę. Powiedziałaś, że znasz drogę na skróty. Gdybyśmy dotarli do laboratorium przed północą, zanim tamci odważą się skrzywdzić Yun, mielibyśmy szansę ją uratować.

Wiedział, jak brzmią jego słowa, a mimo to wpatrywał się w Inę wyczekująco, licząc w duchu, że się zgodzi.

A jednak, po chwili namysłu, pokręciła przecząco głową.

- Bylibyśmy wtedy zdani wyłącznie na siebie. Zjechaliśmy pod wodę, do Strefy, która rządzi się swoimi prawami. Tu mieszka Bóg i mieści się Kolor. I nic nie jest takie jak na górze.

- Przecież to tylko zamknięte pod szklaną kopułą stanowisko archeologiczne. Nie trzeba wierzyć w te wszystkie religijne bujdy.

- Ja wierzę - odparła ostro Ina.

- A ja nie - oświadczył Daniel Kean. - Ja chcę jedynie ocalić córkę. Podobnie jak ty swoją mistrzynię. I żadna wiara nie skłoni mnie, żebym dał się poprowadzić tamtemu zbirowi na śmierć jak owca. Pomożesz mi czy mam próbować w pojedynkę?

Znajdowali się po przeciwnych stronach czerwonego pomieszczenia: Daniel siedział na podłodze, całkiem nagi, jeśli nie liczyć krępujących go łańcuchów; Ina, okryta pasiastym szalem, stała w kącie i dyszała ciężko jak po biegu. Daniel nie miał nawet pewności, czy ich nie podsłuchują, lecz do pewnego stopnia było mu to obojętne. Rozpacz działała na niego jak potężne znieczulenie. Nie chciał jednak podejmować niczego bez pomocy dziewczyny.

Ina popatrzyła na niego uważnie. Potem spuściła oczy.

- Nie znam mechanizmu, który sprawia, że te ściany zmieniają kolor - szepnęła. - Wiem tylko, że dopóki są czerwone, na pewno stąd nie wyjdziemy. W takim stanie kabina jest całkowicie hermetyczna.

- Ale powietrze jakoś się tu dostaje... Czuję to. Poznają po twoich włosach...

- Źle się wyraziłam: nie hermetyczna, tylko szczelnie zamknięta. Powietrze wpływa przez maleńkie otwory.

- Na początek pomóż mi zdjąć te więzy - Daniel wsparł się o ścianę, próbując wstać. - Może się uda...

W tym momencie wszystko zawirowało. Ina krzyknęła. Daniel zdołał zamortyzować upadek, ale ona nie miała tyle szczęścia i z łomotem potoczyła się po podłodze. Jedwabny szal zalśnił niepokojąco. Cała kabina dygotała.

- Co się dzieje? - ryknął Daniel.

- Chyba się z czymś zderzyliśmy - zawołała w odpowiedzi Ina.

- Ale przecież nadal jedziemy...

Pomieszczenie przybrało niebieską barwę, drzwi się otworzyły i wszedł znany Inie i Danielowi rudowłosy strażnik. Ściany z powrotem poczerwieniały, a on stanął na środku i zatknął palce w sprzączki swoich długich czerwonych rajtuzów. Czarna tunika opinała mu szczupłą klatkę piersiową. Wydawał się wąty i bardzo młody, ale Daniel domyślał się, że jest starszy i silniejszy, niż można by przypuszczać. W dodatku miał pistolet i nóż.

- Które to krzyczało?

Daniel nie słyszał wcześniej jego głosu i teraz aż się wzdrygnął. Choć rudowłosy wymawiał każde słowo powoli i z osobna, pytanie, które wydobyło się z jego ust, brzmiało tak jakby zagnieżdził mu się w gardle rój owadów. Daniel znał opowieści o ludziach, którzy poddawali się operacjom, aby na pamiątkę orgii opisaną w Rozdziale Czwartym upodobnić swoje głosy do zwierzęcych, ale do tej pory nie bardzo w to wierzył.

- Ty, bohaterze? - Strażnik popatrzył na Daniela, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszył w jego stronę.

- Nie. To byłam ja - odezwała się nagle Ina. - Krzyknęłam, bo upadłam.

- Upadłaś... - Rudowłosy zawrócił i szedł teraz do niej. Mówił tak, jakby trzymał głowę w worku pełnym ziemi. Ina stała bez ruchu pod ścianą, oddychając w przyspieszonym rytmie. Gdy strażnik wziął zamach, uchyliła się, ale on chwycił ją tylko za szal na piersiach. - A więc posłuchaj mnie dobrze - wyszeptał, przeciągając słowa. - Na drodze leżało drzewo. Ominęliśmy je. Niewykluczone, że w pobliżu kręcą się denebianie. Twoje wrzaski mogą nam ich ściągnąć na kark. Dlatego nie waż się więcej krzyczeć, choćbyś sobie rozbiła tę śliczną główkę... - Wtedy niespodziewanie ją uderzył. W wygłuszonym kabinie policzek był ledwie słyszalny, lecz Ina zachwiała się i krzyknęła. - Znowu to zrobiłaś... - Uderzył ją ponownie. Ina zacisnęła zęby. - Teraz lepiej... A teraz?

Najwyraźniej świetnie się bawił: przytrzymując dziewczynę jedną dłonią, drugą



pozorował ciosy, a od czasu do czasu rzeczywiście walił na odlew. Ilekroć udało mu się ofiarę zaskoczyć, uśmiechał się z zadowoleniem. Jedno z uderzeń niemal ją przewróciło. Zawiazany na jej szyi pasiasty szal rozdarł się i zsunął z piersi.

- Patrz, co zrobiłaś, idiotko! - ryknął strażnik. - Ubieraj się! No, już! - I zaczął ją bić obiema rękami, podczas gdy Ina nieporadnie próbowała zakryć obnażone ciało.

Daniel poczuł, że dłużej nie wytrzyma. I nie chodziło już o niego. Ani nawet o Yun. Po prostu musiał zareagować na tak niesłychane bestialstwo.

Nie miał żadnego planu, bardziej ufał swojej woli niż siłom. Poderwał się z ziemi i zdołał dopaść strażnika, zanim ten się zorientował, o co chodzi. Daniel przełożył mu skute dłoń przez głowę, a napięte łańcuchy natychmiast ożyły i zaczęły dusić ich obu.

Zaskoczony strażnik bronił się słabo. Tym bardziej że Ina uderzyła go kolanem w podbrzusze i obiema pięściami zaczęła okładać go po twarzy. Gdy stracił przytomność, zawołała do Daniela:

- Kluczyk! Na szyi!

Niezdarnie ułożyli rudowłosego na ziemi. Daniel zmitrzążył chwilę, zanim zrozumiał, że szybciej będzie, jeśli to Ina weźmie kluczyk i otworzy zamki łańcuchów. Gdy to zrobiła, odetchnął z ulgą. Zabrali strażnikowi broń - Ina wzięła sobie nóż, Danielowi zostawiając pistolet. W czasie gdy zawiązywała rozdarty szal, Daniel dokładnie obejrzał czarną tunikę nieprzytomnego: była prawie przezroczysta, wykonana z twardych, a zarazem elastycznych włókien. Pasowała na niego idealnie.

- Chroni przed kulami - orzekła Ina.

- Świetnie. I co teraz?

- Jeśli uda nam się stąd wydostać, zdołamy też pewnie otworzyć drzwi zewnętrzne i wyskoczyć w biegu.

- Nie ma przy nim innych kluczy - stwierdził Daniel. - Ciekawe, w jaki sposób otwierał drzwi?

- Pewnie dotykiem dłoni. Ale najpierw trzeba sprawić, żeby się pokazały. Pomóż mi go przeciągnąć pod ścianę.

W tym właśnie momencie połowa kabiny zrobiła się niebieska, drzwi pojawiły się i zaraz później stanęły otworem.

- Pewnie powinniście wiedzieć, że na zewnątrz świetnie was słychać - oświadczył od progu Moon.

## 6

Towarzyszyły mu dwie osoby o niezidentyfikowanej płci. Dopiero rzut oka na widoczne spod krótkiej żółtej tuniki narządy płciowe uprzytomnił Danielowi, że jedna z nich jest kobietą. Zaraz też rozpoznał w niej Spiczaste Buty. Zarówno ona, jak i dwaj pozostali, byli oczywiście uzbrojeni, choć wsparty obiema rękami o futrynę Moon swoją nonszalancką pozą zdawał się sugerować co innego. Wpatrywał się przy tym w Daniela, jakby w pokoju poza nimi dwoma nie było nikogo.

- Jeśli Yamu mówi zbyt niewyraźnie, wyjaśnię wam wszystko jeszcze raz - powiedział. Na jego nagiej piersi połyskiwał ogromny srebrny medalion z onyksem. - Wpadliśmy na blokujące drogę drzewo. Denebianie często zastawiają takie pułapki. Musieliśmy zboczyć z trasy, o ile w tej nieprzyjaznej okolicy, której widoku wam z dobroci serca oszczędzamy, można mówić o jakiejś trasie... Znajdujemy się prawie osiemset metrów pod wodą, na granicy Koloru, w strefie, w której grasują najrozmaitszych fanatyków. Ale my też jesteśmy groźni. Stojący po mojej prawej stronie Lam podobnie jak ja głęboko wierzy w Rozdział Drugi, a przy tym doskonale strzela. A Send, stojąca po mojej lewej stronie, strzela jeszcze lepiej niż on. Oboje wyposażeni są w broń ciepłoczułą. Czy konduktorzy pociągów w ogóle wiedzą, co to takiego? Ino, wytłumacz mu.

- Z takiej broni nie chybisz - powiedziała spokojnie Ina. - Automatycznie wysyła pociski w stronę źródeł ciepła.

- Co znaczy, że trafilibyśmy was z zamkniętymi oczami z odległości stu metrów - sprecyzował Moon. - A teraz... Dość mamy nieprzewidzianych problemów z denebianami, więc lepiej puśćcie Yamu i oddajcie broń. Daniel, wyskakuj z tego wdżianka. Nie bardzo ci w nim do twarzy.

Ina i Daniel ani drgnęli.

- Żadne nie chce wyjść na tchórza, co? - rzucił Moon i znacząco spojrzał na strażnika imieniem Lam, okrytego czarnym płaszczem, spod którego wystawały tylko dłonie o długich, czerwono-srebrnych paznokciach i wielki pistolet.

Lam wycelował, unosząc łokieć, i kula roztrzaskała głowę nieprzytomnemu rudzielcowi, wciąż trzymanemu przez Inę i Daniela. Czaszka Yamu eksplodowała jak mydlana bańka, odsłaniając język i dolne zęby. Krew opryskała ściany, a na ubraniach Iny i Daniela osiadły kawałki mózgu. Oboje naraz puścili ciało.

- Już wam mówiłem, że każdy z nas jest w gruncie rzeczy zbędny - rzekł Moon. -

Powtarzam po raz ostatni: oddajcie broń. - Emfaza, z jaką wypowiedział te słowa, mogłaby się kojarzyć z marną deklamacją, gdyby nie to, że jego oczy nagle niepokojąco zmętniały. Daniel pomyślał, że przypominają mu pędzący wprost na niego pojazd.

Ciemny pociąg.

Wtedy rozległ się jakiś brzęk: to Ina upuściła nóż na podłogę. Daniel wciąż ścisnął w dłoni swój pistolet.

- I cóż, bohaterze? - zagadnął Moon, nie przestając obserwować go (zabijać) znieruchomiałym spojrzeniem. - Co właściwie chcesz zrobić?

Daniel chciał zrobić wiele rzeczy, ale oczy Moona odbierały mu zdolność decyzji - były jak bagno, w którym grzęzła jego wola. Rozumiał już, że Ina nie miała wyboru. Miała natomiast słuszność: Moon oszukiwał. Nigdy nie pozwoliłby popełnić samobójstwa komuś, kogo potrzebował.

Przełamując się, Daniel podniósł dłoń, w której trzymał pistolet. I zamrugnął ze zdumieniem, stwierdzając, że broń leży na ziemi. Usłuchał Moona, nawet o tym nie wiedząc.

Zapadła cisza. Pojazd nadal trząsł na wybojach, ale w czerwonej kabinie wszyscy zastygli na chwilę w bezruchu. Ciągłe oparty o futrynę Moon nie wyglądał na zadowolonego.

- Tunika, bohaterze - powiedział. - Zdejmuj ją.

I czekając, aż Daniel wykona jego polecenie, dorzucił ze złością:

- Wiesz co? Zaczynasz mi grać na nerwach. Chyba ktoś wreszcie powinien cię nauczyć rozumu. Rzuć to na ziemię i klęknij.

Daniel próbował się opierać, ale choć wyteżył wszystkie siły psychiczne, jego kolana natychmiast się ugięły. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, czuł, że przestaje być sobą albo może raczej rozdzieliła się na dwie części - obie w równym stopniu bezużyteczne.

Moon oderwał się od futryny i postąpił kilka kroków. W jego twarzy istniały teraz jedynie oczy - jak dwie muchy w talerzu mleka. Daniel wciąż walczył, ale zdołał tylko przykucnąć na piętach - jego kolana zdawały się przyklejone do podłogi. Te oczy, myślał gorączkowo, co jest z tymi oczami?

- Nie masz na razie pojęcia, Danielu, jaką my, ludzie wierzący, dysponujemy mocą - oświadczył Moon. - Podam kilka przykładów: mogę ci kazać się zabić albo też zabić Inę, mogę cię skłonić, żebyś oddał mi swoje ciało albo nawet mnie „pokochał”. Nieważne, jak bardzo mnie nienawidzisz. Nieważne, czy wiesz, że wykorzystałem twoją skośnooką Yun, zanim ją zabiłem... Jeśli powiem, że masz mnie „pokochać”, pokochasz mnie bez zwłoki. Zrobisz, co zechcę, będziesz tym, czym postanowię cię uczynić...

Oczy Moona przywodziły teraz na myśl wielkie czarne koła, zupełnie jakby dwa „o” z

jego nazwiska urosły nagle i zagarnęły wszystko wokół. Daniel zachowywał świadomość, wciąż potrafił logicznie rozumować, a nawet przypomniał sobie pewną istotną informację i wymyślił naprędce plan. Nie mógł się tylko poruszyć.

- Zaczniemy jednak od czegoś prostszego - rzucił Moon i pochylił się nad kłęczącym. - Od języka. Posłużymy się twoim językiem.

- Zostaw go, proszę, zostaw... - dobiegł gdzieś z dali głos Iny.

- Zazdrosna? - zakpił Moon. - Przykro mi, Ino, nie jesteś w moim typie. Język, Danielu. Chcę zobaczyć twój język.

Ktoś groteskowo zarechotał - Lam albo może Send... Danielowi wydawało się, że z jego ust wypełza różowy robak.

Wtedy nagle świat zawirował i wszyscy potoczyli się po podłodze jak pionki po przechylonej szachownicy. Gdzieś we wnętrzu pojazdu rozległy się krzyki. Moon, Lam i Send zwrócili głowy w tamtą stronę.

W tej samej chwili Daniel zdał sobie sprawę, że znów panuje nad swoim ciałem.

## 7

Wiedział, że drugiej takiej szansy nie dostanie.

Tylko kilkadziesiąt centymetrów dzieliło jego lewą dłoń od prawej ręki Iny. Zerwał się na nogi, chwycił dziewczynę za nadgarstek i runął naprzód, odpychając dopiero podnoszącego się z podłogi Moona. Ten zachwiał się znowu i upadł na Lama. Jednakże zderzenie ze Spiczastymi Butami zważyło z nóg także Daniela. Przez chwilę nikt nie mógł wstać. Wzrok Daniela skrzyżował się z błękitnym, przyprowadzającym o dreszcz przerażenia spojrzeniem strażniczki. Jej pistolet - na szczęście lub nieszczęście - upadł w miejsce niedostępne dla obojga.

- Szybko, Ina! - zawołał Daniel, czując, że tym razem to ona ciągnie go za rękę. Poderwał się i osłonił ją swoim ciałem.

Spiczaste Buty najwyraźniej zraniła się w rękę i chwilowo nie stanowiła zagrożenia. Moon podnosił się, próbując wyszarpnąć z kabury pistolet. Niestety, Lam zdążył się już dźwignąć na nogi i teraz mierzył wprost w Daniela.

Rozległ się huk wystrzału i Daniel poczuł wszystko to, co czuje umierający, z wyjątkiem samej śmierci.

Pocisk trafił we framugę drzwi i roztrzaskał ją na tysiąc kawałków, ale to wystarczyło,

by Daniel znowu się potknął. Nie upadł jednak - w porę podparł się rękami. Odzyskawszy równowagę, wybiegł na korytarz ciągnący się przez środek pojazdu. W głębi ujrzał skręcającą już za róg Inę.

- Tu jest wyjście! - wołała.

Nie oglądając się, popędził za nią, świadom, że w tym długim pomieszczeniu stanie się dla Lama łatwym celem. Chyba że teoria, jaka tymczasem zrodziła się w jego głowie, była prawdziwa.

Usłyszał kolejny wystrzał i instynktownie się pochylił. Kula przeleciała tuż koło jego głowy, bzycząc jak rozwścieczony owad. Nie drasnęła go nawet. Biegł dalej, aż dotarł do końca korytarza. Wyjście znajdowało się po lewej. W tej samej chwili ujrzał, że z przedniej części pojazdu wyłania się uzbrojony człowiek, może kierowca.

- Skacz! - krzyczała Ina z zewnątrz. - Daniel, Skacz!

Skoczył. Tamten nie wystrzelił, może dlatego, że bał się trafić zbliżających się z naprzeciwka kolegów. Ina pomogła Danielowi wstać i razem pomknęli ku czemuś, co wyglądało jak drzewa.

Wokół panowały wilgotne, nigdy nierozjaśniane światłem słońca ciemności. Daniel nie miał jednak czasu, by rozglądać się po okolicy - przede wszystkim musiał patrzeć pod nogi. Nagle kula odłupała pobliską gałąź. Ina zmieniła kierunek, Daniel skręcił za nią. Bieg po nierównym terenie wymagał wzmoczonego wysiłku: pokonywali właśnie dość strome zbocze porośnięte nieprzyjemnie wyglądającymi drzewami, których niebieskie pnie lśniły od grubych kropel żywicy.

Przystanęli, by złapać oddech. Ina dyszała ciężko, wyrzucając z siebie urywane zdania:

- Wpadli w denebiańską pułapkę... Wyskakując, widziałam ułożone w poprzek drogi drzewo... To znaczy, że fanatycy są blisko... Musimy...

Ewentualna obecność denebian stanowiła prawdopodobnie najpoważniejszy problem. Ale z pewnością nie jedyny. Daniel przekonał się o tym w chwili, gdy drzewo obok z hukiem eksplodowało, spryskując jego i Inę żywicą, jak gdyby ktoś właśnie odpalił znajdujący się wewnątrz pnia ładunek wybuchowy. Z tyłu słychać już było ciężkie kroki Lama i kierowcy.

- Tam! - krzyknął któryś z nich. Znow rozległa się seria strzałów.

Czując nową falę przerażenia, Daniel popędził za Iną w stronę gąszczy na szczycie wzgórza. Kolejne detonacje rozbrzmiały jednak w bezpiecznej odległości. Znalazłszy się wśród niskich krzewów na górze, rzucili się na ziemię. Na ich skórze osiadła ich lodowata, a zarazem jakby lepka rosa. Czołgając się niby zwierzę, Daniel koncentrował się głównie na

tym, by nie zgubić Iny. Dusił się, nie tyle z wysiłku, ile z powodu panującej tu iście cieplarnianej atmosfery; odnosił wrażenie, że zamiast powietrzem, oddycha potem.

Przedarli się przez zarośla, lecz Ina bynajmniej nie zamierzała się zatrzymywać: zerwała się na nogi i długimi susami popędziła w dół zbocza. Jedwabny szal ciągnął się za nią jak ślad żaglowca na morzu. Przystanęli dopiero w miejscu, gdzie sąsiednie pagórki tworzyły rodzaj wąskiego wąwozu. Przez długą chwilę nie mogli wydobyć z siebie głosu.

- Wszystko dobrze? - spytała Ina. - Nie jesteś ranny?

Nie był ranny. I chyba wiedział dlaczego.

- Zanim wsiadłem do tego pojazdu, kazali mi się spryskać czymś, co wyziębia powierzchnię ciała - wyjaśniał Inie urywanym głosem. - Kiedy Moon zaczął nam grozić bronią ciepłoczułą, postanowiłem, że muszę zaryzykować. Miałem zamiar cię osłaniać podczas ucieczki, ale ostatecznie wyszło na to, że tylko wystawiłem cię na kule.

- Nie mogłeś zrobić nic ponad to, co zrobiłeś, Danielu - zaprotestowała gwałtownie dziewczyna. - Na początku się wahałam, teraz jednak jestem ci wdzięczna.

- Trzeba się stąd jeszcze wydostać. Wiesz, gdzie właściwie wylądowaliśmy?

- Niedaleko dawnego Kansai, w zachodniej części Honsiu - odrzekła Ina. - Gdzie dokładnie, nie mam pojęcia, lecz z pewnością blisko Koloru...

Daniel uspokajał się z wolna. Podniósł wzrok ku niebu.

- Podobno są tacy, którzy potrafią orientować się według położenia gwiazd... - zaczął, po czym wydał stłumiony okrzyk.

Lśniące wysoko w górze punkciki wyraźnie się poruszały. Tak wyraźnie, że dało się to zaobserwować gołym okiem. Przemieszczały się niezbyt szybko, lecz bezustannie: Daniel, mrugając, za każdym razem odkrywał zupełnie nową mapę nieba, które przypominało gęstą czarną zupę z pływającymi w środku złocistymi drobinami.

- To ławice ryb, nie gwiazdy - powiedziała Ina. - Nie zapominaj, że znajdujemy się na dnie morza, w Strefie Zatopionej. Nad głowami, zamiast nieba, mamy szklaną kopułę, która przykrywa jakieś trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych dna. Szkło wykorzystane do tego celu jest oczywiście specjalne, a zainstalowany tu system wentylacji bardzo skomplikowany. Choć głębokość dochodzi miejscami do tysiąca metrów, wszędzie panuje takie samo ciśnienie jak na powierzchni. Pracowano nad tym wszystkim ponad sto lat...

- A dlaczego... dlaczego te ryby błyszczą? - spytał Daniel ze zdumieniem, wpatrzony w przemierzające się światełka.

- Promieniowanie Koloru wywołuje fosforescencję, nie wiedziałeś? - zdziwiła się z kolei Ina. - A, przepraszam - uśmiechnęła się nagle. - Zapomniałam, że nigdy wcześniej nie

byłeś w Strefie. Ryby w tym rejonie świecą od tysiącleci.

- To... - szepnął Daniel, któremu zabrakło słów.

- Tak, to fascynujące - dokończyła Ina z lekkim sarkazmem. - Szczególnie dla kogoś, kto styka się z tym po raz pierwszy. Zdumiewające, fascynujące... i straszne.

- Wcale nie chciałem powiedzieć, że to fascynujące - zaprotestował Daniel. - Rzeczywiście raczej straszne. Jakby odwrócony został naturalny porządek rzeczy...

- Owszem - przyznała Ina. - Tylko co to znaczy, Danielu? Naturalnym nazywamy to, do czego jesteśmy najbardziej przyzwyczajeni. Dla denebian, na przykład, naturalne są ryby pływające po niebie... Chyba powinniśmy już ruszać.

- Sądysz, że tamci wciąż nas ścigają?

- Nie oni niepokoją mnie najbardziej. - Ina rozejrzała się niespokojnie i Daniel nie potrzebował nawet widzieć jej twarzy, by zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo jest napięta. - Od chwili, gdy opuściliśmy pojazd, wyczuwam w pobliżu fanatyków. Nie zamierzam ci kłamać: stanowimy dla nich łakomy kąsek: mężczyzna i kobieta, młodzi, zdrowi, bezbronni i nadzy... - To mówiąc, jakby dla zaakcentowania swoich słów, szarpnęła za strzępy szala i zerwawszy go z siebie, cisnęła na sięgającą kolan trawę. Potem odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. - Musimy coś sobie przysiąc: że jeśli wpadniemy im w ręce, każde z nas zrobi wszystko, by zabić i siebie, i to drugie.

- Zabić?

Skinęła głową.

- Denebianie będą woleli schwytać nas żywcem. Wykorzystują takich jak my, niebiologicznych z zewnątrz, do swoich rytuałów, wywiedzionych ze skrajnych interpretacji Rozdziału Piątego. Nakarmią nas narkotykami, od których nasze ciała poszarzeją i rozpadną się na kawałki. Bo taki właśnie los spotkał według Biblii rodzinę mieszkającą na farmie, na którą zszedł Kolor. Zapewniam cię, że nie chciałbyś tego dożyć, Danielu, dlatego przyrzeknij mi, że mnie zabijesz, jeśli zajdzie taka konieczność, tak samo jak ja przysięgam to tobie...

Daniel przyrzekł, wzdrygając się mimo woli. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W wyobraźni Daniela spokojny dotąd las zaroił się od groźnych cieni o połyskujących w mroku oczach. Coś pełzało i szurało.

- Cóż, w takim razie naprzód - rzuciła Ina. - Kolor leży za tamtymi wzgórzami. Przy odrobinie szczęścia niedługo tam dotrzemy, a stamtąd bez problemu doprowadzę cię do laboratorium Katsury Kushiro.

Daniel spuścił głowę. Nie stracił jeszcze resztek nadziei na to, że uda mu się ocalić Yun, lecz choć powtarzał sobie, że Moon go tylko prowokował, nie potrafił wyrzucić z

pamięci jego okrutnych słów.

Ina nie pozwoliła mu jednak pogрузić się w ponurych rozmyślaniach. Choć to, co miała do powiedzenia, nie było szczególnie pocieszające.

- Bardzo prawdopodobne, że nie zdołamy pomóc osobom, na których nam zależy, Danielu, ale nie wolno ryzykować, że stanie się tak tylko z powodu naszej słabości. Cofnąć się już zresztą nie możemy. Moon zabiłby nas tak czy owak. Wykorzystajmy więc ten cień szansy i pędźmy ratować twoją córkę.

Miała słuszość i Daniel rozumiał to doskonale.

Ruszyli wzdłuż łańcucha pagórków i wkrótce znaleźli się na terenie porośniętym gęstym sitowiem. Gdy w nie weszli, świat zmienił się w morze szelestów. Wysokie łodygi poruszały się nieznacznie w gorącym, wilgotnym powietrzu, które zdawało kleić się do ciała. Długie włosy Daniela raz po raz wplątywały się w trzciny, toteż musiał się często zatrzymywać.

- Skąd się tu bierze taka bujna roślinność? - spytał. - Te drzewa i krzewy zostały chyba specjalnie zaprojektowane, skoro potrafią się obyć bez światła słonecznego...

- Owszem - przytaknęła Ina. - Mogą tu rosnać wyłącznie dzięki odpowiednim mutacjom genetycznym. Fanatycy sadzą je z myślą o swoich ceremoniach. Poza tym muszą coś jeść. Zresztą, żyjąc tutaj, sami również ulegli poważnej ewolucji: podobno widzą w ciemnościach i oddychają jedynie kilka razy na dobę. Potrafią naukowo kontrolować te procesy w swoich organizmach. Zupełnie natomiast nie kontrolują swoich umysłów: od pokoleń zamknięci w Strefie, jak w akwarium, już dawno postradali rozum. Działają wedle niepojętych dla nas zasad, kierując się nieludzkimi prawami. A jednocześnie dysponują ogromną mocą, którą czerpią z wiary w Piąty i Szósty Rozdział.

Bielejącą w mroku twarz Iny i jej pełne, lekko uchylone usta przecinały podłużne cienie. Daniel wpatrywał się w nią przez chwilę, nie umiejąc ubrać swoich myśli w słowa. Na samo wspomnienie tego, czego doświadczył w czerwonej kabinie, czuł zawrót głowy.

- Ino - zaczął powoli. - Nie wiem, jak to się stało, ale Moon naprawdę potrafił mnie zmusić do wykonywania swoich poleceń. Dziwne... Może to kwestia wyjątkowo mocnej sugestii, nie da się jednak ukryć, że robiłem, co mi kazał. Miałem wrażenie, że moje ciało wcale nie należy do mnie.

- Bo nie należy - stwierdziła Ina. - To tylko ubranie. Równie luźno z tobą związane jak te trzciny. I często niebezpieczne. Tak już zostaliśmy stworzeni, Danielu. W gruncie rzeczy należy do nas jedynie świadomość, którą można by porównać do latarni rozświetlającej ciemności. Wiara pozwala dowolnie wykorzystywać blask tej latarni. Nie tylko do



oświetlania.

To powiedziawszy, Ina podjęła marsz, najwyraźniej uznając temat za wyczerpany. Daniel ruszył za nią, wciąż pogrążony w zadumie. *Pewnego dnia odkrywasz, że świat jest inny, niż sądziłeś.* Czy Ina miała rację? Jednego był pewien: nigdy nie przeżył niczego, co dałoby się porównać z tymi minutami, w czasie których Moon narzucał mu swoją wolę. Nawet upokorzenie na szczycie Starej Wieży wydawało się w porównaniu do tego błahostką. Wtedy wiedział, co robi, usłuchał głosu wydobywającego się z ust Mitsuko, ponieważ chciał chronić córkę. Moon natomiast zawładnął nim, wprawiając go w stan zbliżony do snu na jawie. Czyż nie dowodziło to, że wiara ma sens, przynajmniej w ujęciu Hectora Darby'ego: jako niezawodny środek wiodący do celu. Chyba że chodziło jednak o zwykłą sugestię. Daniel wciąż nie był pewien.

Trzciny się przerzedziły. Ina chciała, by wspięli się na pobliskie wzgórze. Gdy stanęli na szczycie, otworzyła się przed nimi zaskakująco rozległa panorama.

Przez chwilę stali zastygli w zdumieniu.

Zbocze wzgórza opadało ku wąskiej dolinie zabudowanej dziwnymi, częściowo zrzuconymi domami o wygiętych dachach. Ina wyjaśniła, że to pagody, dawne świątynie. Dalej ciągnął się łańcuch kolejnych pagórków skąpanych w połyskującej, fioletowozielononiebieskiej mgielce, która rozciągała się aż po szklany horyzont.

- Kolor - powiedziała Ina.

Jednakże osłupiały Daniel patrzył teraz na coś innego.

Wysoko nad dachami pagód, po drugiej stronie szklanego sklepienia, majestatycznie sunęły ogromne, fosforyzujące kształty podobne do świetlistych zeppelinów. Kiedy podpłynęły bliżej, Daniel wydał zduszony okrzyk na widok ich gigantycznych głów, ciał zwalistych niby zaczarowane zamczyska i białych brzuchów, które przez moment zdawały się ocierać o kopułę.

- Kaszaloty - stwierdziła Ina z nabożnym lękiem. - Całe stado. Czasem zapuszczają się w te głębiny, goniąc za zdobyczą. O, są nawet młode. Kaszaloty na niebie to podobno zła wróżba.

Daniel potrafił sobie wyobrazić, skąd się wzięło takie przekonanie. Zimny pot oblewał go na sam widok tych stworów, które przywodziły na myśl grzmiące burzowe chmury.

- Zmiażdżą sklepienie - wyszeptał przerażony.

- Nie - odparła Ina. - W gruncie rzeczy nawet go nie dotykają. A te odległe grzmoty to ich głosy. Odbijając się od szklanych powierzchni, brzmią jak uderzenia albo...

Daniel nie zauważył nawet, że umilkła. Wyginając głowę, śledził wzrokiem

niesamowity orszak. Jakąs częścią swego umysłu wspominał teraz, prawie z rozczuleniem, że w dawnych, może lepszych, a może tylko innych czasach za najwspanialsze widowisko na ziemi uważał Wielki Pociąg. Teraz, wobec potęgi natury, mógł tylko stać i wpatrywać się w te niezwykle stworzenia, zdumiony jak dziecko na widok komety...

- Danielu...

...wpatrywać się w nie bez końca, jakby z nadzieją, że pokażą mu drogę do Yun i Bijou...

Opamiętał się dopiero wówczas, gdy Ina szarpnęła go za rękę.

- Daniel, biegnij! Biegnij!

Wtedy zobaczył cienie.

# Rozdział szósty

## *Doowich*

### 1

Nie miał pojęcia, ile ich jest. Ani kim albo czym właściwie są. Blask oddalających się kaszalotów pozwalał wyłowić z ciemności dwie lub trzy postaci, które nadciągały ze szczytu pagórka w pewnym oddaleniu od siebie. Daniel zdążył jeszcze zauważyć kolorowe, błyszczące stroje i rozczochrane włosy.

- Biegnij, Daniel! Biegnij! - krzyczała Ina, pędząc w dół zbocza.

Na szczęście ziemia była w tym miejscu miękka, porośnięta zmutowanymi genetycznie kwiatami. Daniel rzucił się do ucieczki, wypatrując w gęstym teraz mroku białego ciała Iny. Biegł, nie myśląc o niczym, nie oglądając się za siebie, słysząc jedynie oszalałe bicie własnego serca i szelest gniecionych stopami roślin.

U stóp pagórka Ina przystanęła na chwilę i wskazała ruiny pagód.

- Musimy się tam dostać!

Pognali dalej. Daniel czuł, że jeśli upadnie lub choćby tylko potknie się i zwolni, natychmiast zostanie schwytyany. Z trudem łapał oddech i w gruncie rzeczy chętnie by się poddał, ale wspomnienie słów Iny - *przysięknij mi, że mnie zabijesz* - dodawało mu sił.

Biegnąca z przodu dziewczyna kierowała się w stronę rozległego placu otoczonego czworobokiem murów, które wyglądały jak skąpane w blasku zachodzącego słońca. Z daleka przypominała ożywioną białą rzeźbę. Nagle zatrzymała się i obróciła ku Danielowi, który, widząc to, przestraszył się, że nie ma tamtędy drogi. Potem zobaczył, że Ina macha gwałtownie rękami, i usłyszał, że krzyczy jego imię.

Zrozumiał, że go przed czymś ostrzega. Obejrzał się.

Pierwszy ze ścigających zdystansował resztę i był tuż-tuż.

Daniel usłyszał za plecami dziwny, kojarzący się z ludzkim śmiechem odgłos, po czym padł podcięty na ziemię. Przekoziółkował kilka razy; wokół migały liście, łodygi i kwiaty, pachniało wilgotną glebą. Potem poczuł na sobie gorąco czyjś ciało. Wierzgnął wściekle, napastnik jednak zręcznie się uchylił i siadł mu na brzuchu. Daniel dostrzegł teraz skołtunioną masę niemytych włosów, duże kobiece piersi sterczące spod rozpiętej kurtki, która zdawała się zrobiona z kolorowych szkiełek, i asymetryczną, odpychającą twarz skrytą pod gęstymi brwiami: oczy na różnej wysokości, wywinięte powieki, grube wargi, czarną narośl w miejscu nosa... Wydzielany przez tę istotę zwierzęcy odór wprost uniemożliwiał oddychanie. Daniel krzyknął i szarpnął się gwałtownie, co wyraźnie ją rozbawiło. Odsłoniła duże, nierówne zęby, wydając z siebie ochryply rechot, w którym trudno byłoby się doszukać śladów człowieczeństwa. Puściła ręce Daniela, przesunęła dłońmi po jego twarzy i włożyła mu palce do ust. Jej popękana skóra cuchnęła. Daniel usiłował gryźć, ale równie dobrze mógłby próbować złamać zębami grubą gałąź.

Korzystając z tego, że ma wolne ręce, przypuścił na poczwarę ostatni, rozpaczliwy atak pięściami. Kilka ciosów sięgnęło celu, lecz ona roześmiała się tylko i jedną dłonią bez trudu unieruchomiła Danielowi obie. Jej palce zamknęły się na jego nadgarstkach jak żelazne kleszcze. Drugą rękę zacisnęła mu na gardle, blokując dopływ powietrza. Wyglądało na to, że nie zamierza go udusić, a jedynie pozbawić przytomności. To właśnie przeraziło go najbardziej. *Będą woleli schwytać nas żywcem.* Szarpnął się z całej siły - bezskutecznie. Wykrzywiona potwornym uśmiechem twarz zaczęła się rozmywać...

Nagle niesymetryczne oczy napastniczki spojrzały w jakiś punkt, który pozostawał poza polem widzenia Daniela. W następnej chwili Ina z całej siły kopnęła ją w skroń. Chcąc pomóc, Daniel podciągnął kolana i napiął wszystkie mięśnie. Zatrzeszczały pękające szkiełka, gdy potworna kobieta upadła na bok. Już się nie uśmiechała.

- Prędko! - krzyknęła Ina, pomagając Danielowi wstać.

Rozumiał jej pośpiech: z tyłu zbliżały się szybkie kroki.

Wpadli na otoczony murami dziedziniec. W liliowym świetle Koloru Danielowi wydawało się przez chwilę, że to pułapka bez wyjścia. Sekundę później dostrzegł otwór w jednej ze ścian.

- Nie zatrzymuj się! - popędzała Ina.

Nie zamierzał. Nawet wtedy, gdy po drugiej stronie muru dojrzał strome i wąskie schodki. Pokonał je pędem, ryzykując upadek, i znalazł się w wąskim przejściu słabo oświetlonym przez osłonięte siatką lampy. Pograżony w absolutnej ciszy korytarzyk ostro skręcał, łącząc się z innymi i tworząc istny labirynt, wykuty w skale, która na skutek erozji

zamieniła się w ciągu wieków w porowatą strukturę.

Ina zatrzymała się wreszcie.

- Co... to było? Tam... na górze? - wydyszał Daniel.

- Typowa fanatyczka... - zachrypiała Ina. - Genetycznie zniekształcona na pamiątkę Stwora z Rozdziału Szóstego. Tym razem im uciekliśmy, ale nie wolno nam przystawać na dłużej... Z pewnością znają te tunele i bez problemu nas znajdą. - Daniel, który opierał czoło o jej ramię, poczuł, że dziewczyna głaszcze go uspokajająco po policzku. - Damy sobie radę, obiecuję.

Dotyk jej dłoni uśmierzył jego przerażenie. Przez chwilę całowali się i delikatnie pieścili, nie szukając rozkoszy, a jedynie pocieszenia. Potem ruszyli dalej. Ina wybierała drogę bez wahania, jak gdyby jej zmysły potrafiły wychwycić jakieś subtelne, niedostrzegalne dla Daniela sygnały.

- Gdzie właściwie jesteśmy? - zagadnął.

- W tunelach, które ciągną się pod świątyniami. Część pochodzi sprzed tysiącleci, inne zostały wykute przez fanatyków stosunkowo niedawno. Przedostaniemy się tędy na drugą stronę wzgórz, w strefę Koloru. Może tam przestaną nas ścigać.

Nagle zatrzymała się napięta. Chciał ją zapytać, co się dzieje, ale gestem nakazała mu milczenie.

- Są wewnątrz - rzuciła w końcu szeptem. - W grotach nad nami. Pewnie zamierzają odciąć nam drogę, nie sądzę jednak, żeby udało im się przedostać górą wystarczająco szybko. Teraz musimy tylko znaleźć przejście na drugą stronę...

Wydawała się coraz bardziej niespokojna. Rozglądała się, zawracała, jakby straciła pewność co do obranej trasy. Nagle wskazała delikatne fioletowe światło sączące się zza jednego z załomów.

- Tędy - oświadczyła z ulgą w głosie. - Tam jest wyjście.

Z otwierającego wąski tunel kwadratowego otworu dobywała się świetlista liliowa mgiełka.

- Ten blask to Kolor - wyjaśniła Ina. - Udało się nam.

Zagłębili się w tunel. Był wąski, ale zaskakująco wysoki: u góry ciągnęły się wzdłuż niego kolejne galerie. Już po kilkunastu krokach usłyszeli dziwne szelesty, zupełnie jakby jakieś stworzenie przedzierało się ku nim przez gęstwinę. Liliowy blask przygasał. Idąca przodem Ina wydała krótki okrzyk. Daniel wspiął się na palce, żeby zerknąć ponad jej ramieniem.

Nie wierzył własnym oczom.

## 2

Jechali przez Strefę Zatopioną od dobrej półgodziny i atmosfera w pojeździe robiła się coraz bardziej nerwowa. Wiadomości przekazywane przez widocznego na ekranie Darby'ego nikomu nie poprawiały humoru.

- Liczne sygnały wskazują na wzmożoną aktywność fanatyków, Mayu. Chyba miałas rację, nalegając, żebyśmy się rozdzielili, ale dla bezpieczeństwa wy również powinniście teraz zjechać z głównej drogi. Szczególnie, że podróżujecie tym łaźniakowym cudactwem... Doskonały sposób, aby zwrócić na siebie uwagę wszystkich w okolicy.

- Tyle że jeśli zrobimy to samo co wy, cały manewr z rozdzielaniem się straci sens, Hectorze - zaproponowała Maya.

- Boisz się jakiegś niespodzianki ze strony Moona?

- Nie wiem. Ale w razie czego będzie na nas czekał na głównej drodze. Was nie zlokalizuje.

- A skoro już o tym mowa, to gdzie wy właściwie jesteście? - odezwał się doktor Schaumann, odrywając wzrok od zalegającej za oknem czerni urozmaicanej jedynie fluorescencją widocznych na niebie morskich stworzeń.

- Koło ruin w Kobe - odparł Darby. - Zakreślmy małe kółko i skierujemy się ku wzgórzom Koloru. A wy?

- Przed dziesięcioma kilometrami minęliśmy Kioto - rzekł Yil.

- I wzgórze Koloru majaczą nam już na horyzoncie - dodał Schaumann. - Na niektórych płoną stopy, jak zwykle przed Świętem Zmarłych. Oczywiście elektryczne. Rozdział Szósty wspomina wprawdzie o prawdziwych, ale nawet fanatycy zdają sobie sprawę, że rozpalanie ognia pod kopułą to raczej kiepski pomysł. Tak czy owak ich wzmożona aktywność, jak to ująłeś, Hectorze, prawdopodobnie wiąże się z nadchodzącym świętem.

- Niewykluczone. Niemniej jednak uważajcie na siebie. Skontaktujemy się z wami, gdy skręcimy na Amanohashidate - powiedział Darby, po czym jego twarz znikła z ekranu.

- Uważajcie na siebie - prychnął Yil. - Doskonała rada. Zwłaszcza że wszystko wyszło fatalnie.

- A twoim zdaniem powinniśmy byli działać jakoś inaczej, Jeremy Yinie? - rzuciła Maya, siadając naprzeciw niego i krzyżując ramiona. Cienka elastyczna czarna tunika ściśle przylegała do jej ciała. Wisząca u pasa broń uderzyła o fotel z metalicznym brzękiem.

- Robisz się czarująca, gdy tak nagle zmieniasz ton - zażartował Yil.

- W takim razie musisz chodzić wiecznie oczarowany - mruknął Schaumann. - Bo nagła zmiana tonu jest u niej równie prawdopodobna jak to, że zza tych wzgórz nagle wszędzie słońce.

- Kiedy się już naśmiejecie - oświadczyła Maya, choć właściwie śmiał się tylko Schaumann - chciałabym, żeby Yil odpowiedział na moje pytanie. Gdzie popełnił błąd?

- Błędy, Mayu Müller, błędy. Po pierwsze, skąd pewność, że przewożą naszego konduktorka pojazdem naziemnym?

- Pozwól, Mayu, że ja mu to wyjaśnię - wtrącił Schaumann. - Latanie w obrębie Strefy jest bardziej niebezpieczne, Yilu, niż spacerowanie z zawiązanymi oczami nad brzegiem przepaści. Kopułę chroni stumetrowe pole magnetyczne, które ma uniemożliwiać takim zapalczywym młodzieńcom jak ty regularne rozbijanie pojazdów powietrznych o szklane sklepienie. Raczej nie dałoby się go rozbić, ale konstruktor nie chciał ryzykować. I słusznie. Na tej głębokości szczelina szerokości mojego małego palca wystarczyłaby, żeby wysłać nas wszystkich, wierzących i niewierzących, do podwodnej Krainy Boga...

- Przewożą go pojazdem naziemnym - ucięła Maya. - A gdyby nawet próbowali innych sposobów, w każdym wypadku zajmie im to mniej więcej tyle samo czasu.

- I w każdym wypadku dotrą na miejsce przed nami - wybuchnął Yil. - Wysłuchają tego, co ma do powiedzenia tamten idiota, i znikną z Kluczem, zanim my zdążymy się w ogóle zbliżyć do laboratorium.

- Uwielbiam optymistów - stwierdził doktor Schaumann.

- Wszystko obliczyłem - Yil machnął ręką w stronę błękitniejących za jego plecami ekranów. - Nawet jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie, nie wyrobimy się przed północą. Nie pojmuję, jak mogliśmy pozwolić, żeby Kean pojechał z nimi...

Zapadło krótkie milczenie, które przerwała Maya. Mówiła lekkim tonem, ale coś w jej głosie sprawiało, że doktor Schaumann i Yil słuchali w nagłym napięciu.

- Znam cię od dwóch lat, Yilu, i choć nigdy nie łączyła nas głębsza przyjaźń, chcę wierzyć, że znam cię dobrze. Że nie kryje się w tobie ktoś całkiem obcy. Gdyby jednak było inaczej, wolałabym dowiedzieć się o tym teraz. Wkroczyliśmy na ścieżkę, z której nie ma odwrotu, i życzyłabym sobie wędrować po niej w towarzystwie ludzi w miarę bliskich.

- Nie rozumiem.

- To zupełnie tak jak ja. Dlatego przyjmę, że wcale nie zasugerowałeś tego, co zasugerowałeś.

- A co takiego zasugerowałem, Mayu Müller? - spytał Yil, udając, że skupia się na

monitorach.

- Zasugerowałeś, że w imię Klucza naprawdę gotów byłbyś poświęcić życie sześciolatniego dziecka.

Tym razem cisza trwała nieco dłużej.

- Posłuchajcie, to chyba nie jest dobry moment... - zaczął pojednawczo doktor Schaumann.

Ale Yil nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał go słuchać. Wciąż siedział odwrócony tyłem; błękitny blask monitorów podświetlał jego różowawą tunikę i długie kasztanowate, odrzucone w tej chwili na ramiona włosy, spod których wyglądał naszyjnik w kształcie dwugłowego węża.

- Życie tej dziewczynki to nie nasz problem, Mayu. Porwali ją, żeby szantażować jej ojca. Którego osobiście wyrwałaś z łap Olsena i którego pod żadnym pozorem nie powinniśmy byli Moonowi oddawać. Co właściwie chcecie osiągnąć, ty, Rowen i Darby? Przecież wiecie, że to dziecko i tak zginie, podobnie jak ten idiota Kean.

Maya rozstawiła szerzej nogi i oparła ręce na udach. Nie podniosła głosu, ale jej spokojne słowa rozbrzmiewały w kabinie z dziwną mocą.

- Usprawiedliwia cię jedynie twoja niewątpliwa młodość, Jeremy Yinie. Ale z przykrością stwierdzam, że natchnione nauki ojca uczyniły z ciebie chorobliwie ambitnego egoistę.

Yil przestał udawać zainteresowanie monitorami i powoli się odwrócił.

- Co powiedziałaś? - jego głos stał się cienki jak ostrze noża.

- Yil, Maya... - doktor Schaumann uniósł ramiona w błagalnym geście. - Proszę...

- Ezra Obed zbyt wiele od ciebie wymagał, Yilu - Maya przemawiała teraz tak, jakby ganiła dziecko. - Sam wielokrotnie to podkreślałeś. Nie wątpię, że masz dobre instynkty, lecz twój ojciec skutecznie postarał się o to, by nie przeszkadzały ci one w realizowaniu praktycznych celów. Pora, abyś zrozumiał, że on nie żyje i nie może ci dłużej niczego narzucać.

Przez chwilę słychać było tylko jednostajny warkot silnika i szmer wielu kół toczących się gładko po ciemnej szosie. Yil patrzył na Mayę, a jego okolona brązowymi lokami twarz ani drgnęła.

- Nigdy więcej nie waż się tak do mnie mówić, Mayu Müller - syknął wreszcie. - Ostatecznie jesteś zwykłą niewolnicą, suką z Południa... Gdyby nie Darby wciąż chadzałaś na smyczy, próbując zwietrzyć śmierć...

- Yil, dość tego - rzucił ostro doktor Schaumann.



Maya siedziała bez ruchu, z lekko pochyloną głową.

- Nie masz prawa wycierać sobie gęby imieniem mojego ojca. Wyłącznie dzięki niemu tu jesteśmy. Gdyby nie powiedział nam o planie Katsury Kushiro...

- On nie powiedział *nam* - przerwała Maya. - Powiedział tobie, a ty podzieliłeś się swoją wiedzą z Anjali. Niejako wbrew jego woli.

Yil przyskoczył do niej, szybki jak błyskawica, ale dłoń, którą zamierzał sięgnąć szyi dziewczyny, natrafiła na jej twarde jak skała ramię. Stali tak przez moment, mierząc się wzrokiem.

- Dość tego, mówię - zagrzmiął doktor Schaumann. - Yil! Maya! Zastanówcie się chwilę!

Yil odsunął się nagle. Wyglądał teraz tak, jakby miał się za moment rozplakać.

- Nie byłabyś godna stóp mu całować, ty...

Maya wyprostowała się nagle, przestając zwracać na niego uwagę. Pojazd zaczął zwalniać. Schaumann wyjrzał przez przednią szybę i włączył dodatkowe światła.

- Co to, doktorze? - spytała Maya.

- Fanatycy.

Na pograżonej w mroku szosie pojawiły się nieruchome postacie. Były pękate, ubrane w wielowarstwowe stroje i zdawały się pozbawione twarzy. Wszystkie miały wzrost małego dziecka.

- To tylko rytualne lalki - rzekł Yil. - Opatulone po szyję na pamiątkę Stwora. W ten sposób czci się...

Maya nie słuchała go jednak: z pobladłą twarzą obserwowała rosnące przy drodze wielkie drzewa.

- Doktorze, niech pan jedzie!

- Jak to? Przecież pojazd automatycznie zatrzymuje się przed każdą...

- To pułapka! Niech pan przyspieszy ręcznie!

Zanim Schaumann zdołał spełnić to polecenie, sufit kabiny zapadł się nagle, jakby przygnieciony jakimś ciężarem.

### 3

Daniel myślał początkowo, że mają do czynienia z żywą istotą. Poruszała się, wyciągała przed siebie coś, co wyglądało na liczne odnóża, a wręcz zdawała się oddychać.

Potem jednak, nie widząc żadnej paszczy, głowy ani nawet - w gruncie rzeczy - ciała, zwątpił w swój początkowy osąd. Chodziło raczej o płataninę gałęzi, które całkowicie tarasowały wyjście, wdzierając się do środka z takim trzaskiem i szelestem, jakby przy okazji łamały się na tysiące kawałków. Towarzyszył temu coraz ostrzejszy odór pleśni i przegniłych korzeni. Już po chwili wpadający z zewnątrz fioletowawy blask przygasł zupełnie, ale ciemna masa liści wciąż przesuwiała się ku wnętrzu.

- Musimy się cofnąć! - zawołała Ina.

Zawrócili, by sekundę później odkryć z przerażeniem, że od strony przeciwległego krańca tunelu zbliżają się ku nim dwaj fanatycy. Nie spieszyli się, najwidoczniej pewni zdobyczy. Słabe światło lamp wydobywało z mroku ich zdeformowane twarze.

Daniel uznał, że z dwojga złego woli stawić czoło zmutowanym ludziom niż tej roślinopodobnej poczwarcze, która panoszyła się za jego plecami. Ina wszakże wpadła najwyraźniej na lepszy pomysł, bo z uwagą rozglądała się dokoła. Hałas przywodzący na myśl rąbanie drewna siekierą zagłuszał jej słowa, więc musiała krzyczeć.

- Tędy! - wskazała wąską kamienną półkę, wiodącą na jedną z galerii.

Szybko się na nią wspięli, a następnie zagłębili w ciemny korytarz o ścianach podziurawionych tysiącami drobnych otworów, przez które sączyło się liliowe światło Koloru. Ina pędziła pod górę, dopóki nie ujrzała przed sobą szczeliny w skalnej ścianie. Tamtędy wydostali się wreszcie na zewnątrz.

Znajdowali się na zboczu wzgórza, z którego to tu, to tam pod dziwnym kątem wyrastały drzewa. Nieco wyżej sterczał skalisty szczyt. Ina rzuciła się w jego kierunku. Podejście okazało się strome - szli pochyleni do przodu, przytrzymując się rękami.

Na niewielkiej półce, pod uschlým, pozbawionym gałęzi pniem przystanęli dla zaczerpnięcia tchu. Z tego właśnie miejsca ujrzeli całe zbocze, wraz z oboma wyjściami. I Daniel nagle zrozumiał.

## 4

System automatycznego sterowania przestał działać i rozpędzony pojazd, zmiotłszy z drogi rytualne lalki, zjechał na pobocze. Po kilku nieudanych próbach odzyskania kontroli nad sytuacją doktor Schaumann, przygnieciony do fotela przez resztki sufitu, podkulił swoje długie nogi i przywołał na twarz zrezygnowany uśmiech.

- Zaraz się rozbijemy - powiedział.

W tym momencie pękła przednia szyba i w jego polu widzenia pojawiło się dziwne zjawisko: ciemny owal połyskujący w górnej swojej części zębami, w dolnej zaś - parą oczu. Po krótkim namyśle doktor uznał, że patrzy na czyjąś odwróconą twarz.

- Zaraz się rozbijecie - potwierdził kobiecy głos.

Maya przykucnęła z rękami na podłodze. Mimo panującego wokół chaosu była coraz bardziej skoncentrowana. Wiedziała, że walkę wygrywa się lub przegrywa jeszcze przed jej rozpoczęciem. Na Południu mawiano, że ciało jest strzałą i łukiem jednocześnie. Chodziło o to, by dobrze ten łuk napiąć.

Podniosła głowę i się rozejrzała.

*Kobieta na przedniej szybie.*

Intuicja podpowiadała jej, że ma do czynienia z groźną przeciwniczką: zwykła fanatyczka, nawet zmutowana genetycznie, nie potrafiłaby tak trafnie ocenić odległości między drzewem a hamującym pojazdem, nie poradziłaby też sobie równie szybko z dachem i szybą. Co więcej, zamiast atakować od razu, zdawała się teraz skupiać i przygotowywać mięśnie - jak broń ukrytą pod skórą.

Maya wiedziała, że musi wziąć ten problem na siebie. Wcześniej jednak należało, jak zawsze, pokierować tymi, którzy niestety postrzegali świat wyłącznie oczami.

- Yil - zawołała. - Łazienka!

Odpowiedzi nie dosłyszała, ale najwyraźniej zrozumiał, bo skoczył na tył dygocącego coraz gwałtowniej pojazdu. Scriptorium wysyłało sygnały ostrzegające o bezpośrednim zagrożeniu i prawdopodobnie za kilkanaście sekund miała nastąpić katastrofa. Maya przypuszczała jednak, że do tego czasu starcie między nią a kobietą na przedniej szybie wejdzie w decydującą fazę.

Chwilę później sprężyła się, odbiła od ziemi i skoczyła.

## 5

- To było drzewo - stwierdził Daniel. - Zwykłe drzewo. Panika, jaką odczuwał na myśl o rzekomym liściastym monstrum, ustąpiła miejsca nagłej ochocie do śmiechu. Ledwie się powstrzymał.

- Tak sądzisz? - mruknęła zagadkowo Ina, uważnie rozglądając się po okolicy. - Nikt nas chyba nie ściga, ale nie możemy tu zostać...

Ruszyli dalej pod górę. Stok był tu łagodniejszy, ale grunt - najeżony drobnymi

kamieniami. Daniel szedł powoli, przytrzymując się bloków skalnych. Ina, która radziła sobie znacznie lepiej, podała mu rękę. Kiedy dotarli na szczyt, przez chwilę żadne nie miało siły mówić.

- Ina... - wysapał wreszcie Daniel - Jak sądzisz, co oni zrobili z tym drzewem?

- Wydali mu odpowiednie polecenia. Wyznawcy Rozdziału Piątego czczą Kolor i umieją rozkazywać drzewom. Kolor, jak głosi Biblia, wpływa na nie w sposób zupełnie niezwykły, na przykład sprawia, że same z siebie kołyszają gałęziami.

Daniel nie odpowiedział, skupiony na odtwarzaniu w pamięci tego, co zaszło. Był przekonany, że Ina, jak wszyscy ludzie religijni, trwa w zaślepieniu, ale nie potrafił zrozumieć, jakim cudem kilku fanatyków zdołało tak szybko ściąć potężne drzewo, a następnie tak sprawnie nim manewrować.

Wreszcie doszedł do wniosku, że w zwodniczym fioletowym mroku umknął mu jakiś szczegół stanowiący racjonalne wyjaśnienie tej zagadki.

Ina wspięła się na wielki głaz i stojąc na palcach, obserwowała horyzont. Jej smukła sylwetka czerniała na tle nieba.

- To już Kolor.

Daniel wstrzymał oddech.

Usiana ruinami pagód dolina, która rozciągała się u jego stóp, spowita była bladym światłem, przywodzącym na myśl pochmurny zmierzch, a bijącym gdzieś z góry, z drugiej strony szklanej kopuły. Jego odcień wahał się między wyraźnym fioletem a innymi, trudniejszymi do rozróżnienia kolorami, najbliższymi chyba rozmaitym tonom zielonego. Daniel stwierdził, że im bardziej wyteża wzrok, tym powietrze intensywniej się mieni. Odcinające się na tym tle budynki i wzgórza zdawały się szarobrazowe i dziwnie gładkie, aż połyskliwe. Nawet z daleka rzucał się w oczy kontrast między kamienistą glebą a wyrastającymi z niej roślinami: drzewa, krzewy i uprawy sprawiały wrażenie sztucznych i świeżo zasadzonych ludzką ręką, podczas gdy ziemia - porowata, gdzieniegdzie pokryta skamieniałym szlamem - zdradzała swe odwieczne związki z morzem.

Jednakże Kolor był czymś więcej niż tylko światłem. Składał się z niezliczonych, wydzielających poświatę drobnych form, wśród których Daniel rozpoznawał ryby, meduzy i ośmiornice, unoszące się ponad szczytami pagórków. Wizja ta miała w sobie coś okropnego, przyprawiała niemal o mdłości.

- Na tamtym wzgórzu znajduje się laboratorium - wskazała Ina.

Po czym przymknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się całkiem nowy wyraz.

Istniała rozbudowana teoria na temat skłonności niektórych pojazdów do uderzania w obiekty kultu. Kurczowo uczepony fotela doktor Schaumann obserwował przez rozbitą szybę, jak jego japoński łazienkowy wehikuł podskakuje na nierównościach dawnego morskiego dna, mknąc w kierunku jednej z wielu w tej okolicy świątyń, a konkretnie - w stronę którejś z tak zwanych Zamkniętych Szop, wznoszonych na pamiątkę Rozdziału Szóstego. Jak każdy naukowiec doktor Schaumann był człowiekiem przesadnym i nie wierzył w przypadki. Uznał, iż pozostaje tylko się cieszyć, że zbliżająca się w zastraszającym tempie budowla jest wedle wszelkiego podobieństwa drewniana.

- Uwaga - ostrzegł.

Nie przypuszczał, by Maya lub Yil mogli go usłyszeć, ale wypowiedzenie tych słów na głos dało mu poczucie kontroli nad sytuacją. A kontrola nad sytuacją stanowiła według niego podstawę.

Kilka sekund później pojazd wjechał w drewnianą konstrukcję, jego liczne koła zazgrzytały, reflektory pogasły, a jedna ze ścian - na szczęście nie ta, pod którą siedział Schaumann - uderzyła z hukiem o jakiś słup. Wehikuł odbił się od niego jak piłka, okręcił wokół własnej osi i pośród brzęku rozbijanego szkła i trzasku łamanych desek znieruchomiał w głębi Szopy.

Maya wyskoczyła chwilę wcześniej. Spadła na coś okrągłego i jasnego. Wylądowała na kolanach i przez chwilę klęczała oszołomiona, nie mając pojęcia, gdzie się podziała jej przeciwniczka. *No, gdzie jesteś?*

Wkrótce jednak usłyszała, że tamta się rusza, i już wiedziała, czego się spodziewać. *Zaraz skoczy.* Poderwała się, wyginając plecy w łuk, lecz od razu pojęła, że zrobiła to zbyt późno. Twardy but sięgnął jej podbródka, kręgi szyjne ledwie wytrzymały napór odskakującej w tył głowy. Kolejny kopniak ugodził Mayę w brzuch, podrywając ją z ziemi, tak że wykonała w powietrzu półobrót, pryskając wokół krwią z rozbitych ust. W ostatniej chwili zdołała zamortyzować upadek. Rozumiała, że tamta nie pozwala jej się skoncentrować. Uderzała, brała zamach i natychmiast uderzała znowu, świadoma widać, że czas działa na jej niekorzyść.

Bo Maya mimo wszystko odzyskiwała orientację.

W spowijającym jej umysł mroku zaczynały jaśnieć kształty. Odkryła, że znajduje się w jednej z Zamkniętych Szop, o czym świadczyła mnogość okrągłych fetyszy. Ich kształt

symbolizował cykliczność i był nawiązaniem do Rozdziału Szóstego i opowiedzianej w nim historii Bożego Syna, który się rodzi, rośnie zamknięty na strychu, dzięki swojej niezwyklej sile wyrywa się na wolność, by na koniec, za sprawą zaklęć wypowiedzianych przez trzech mężczyzn, „powrócić do ojca”, a następnie zostać poczętym na nowo. Tę powtarzalność śmierci i narodzin ludzie zwykli kojarzyć z geometryczną formą koła.

Fanatyczka stała naprzeciwko, uginając nogi, gotowa do kolejnego ataku. Maya podejrzewała, że ma do czynienia z osobnikiem zaprojektowanym specjalnie do walki. Należało zatem uciec się do wybiegu, wykorzystać element zaskoczenia. O sięgnięciu po broń nie mogło być nawet mowy: zanim zdołałaby to zrobić, już by nie żyła, roztrzaskana o ścianę...

*Ściana...*

Z tyłu, wsparta o deski, stała ogromna rytualna tarcza z metalu, prawdopodobnie z brązu.

Maya czekała w gotowości, udając, że dotychczasowa walka ją wyczerpała. Poruszyła się dopiero wtedy, gdy odczuła na skórze nagły prąd powietrza, jakby muśnięcie zmaterializowanej furii. Podskoczyła i uczepiła się brzegu tarczy, podkurczając nogi. Napastniczka odbiła się od metalowej powierzchni, olbrzymi obiekt zachwiał się i Maya musiała jedynie sterować jego upadkiem.

Rozległ się suchy trzask łamanych kości. Maya dźwignęła się na nogi i stwierdziła, że ciężki dysk spoczywa na ziemi całkiem nieruchomo. Zaczynała walkę, klęcząc na jednym fetyszu, a kończyła ją na drugim. Uznała, że to dobry znak.

- Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś używał Świętych Kół Bożego Syna akurat do zabijania - stwierdził ze spokojem doktor Schaumann, który gramolił się właśnie z wnętrza pojazdu-łazienki.

Maya dokonała pospiesznego przeglądu sytuacji: po wrogach ani śladu, doktor cały i zdrowy. Ale co z Yilem?

Wtedy z zewnątrz dobiegł krzyk.

- To Yil! - powiedział doktor Schaumann.

## 7

Ina wzięła go za rękę i pociągnęła w dół zbocza. Daniel nie wiedział, co takiego zobaczyła, ale cokolwiek to było, musiało wydać jej się bardzo ważne, bo pędziła teraz bez

słowa, trzymając go kurczowo, jakby w obawie, że ucieknie.

Wkrótce znaleźli się na jałowej równinie pokrytej gdzieniegdzie ścierniskiem. W pobliżu wznosiły się ogromne ruiny. W pewnym miejscu z ziemi wychodziła gruba, zardzewiała, wyposażona w zawór rura, która biegła wśród rachitycznych roślin, by kawałek dalej zagłębić się z powrotem w gruncie. Ina puściła dłoń Daniela, podszła do rury i zapierając się nogą o podłoże, z trudem odkręciła zawór. Metal zapiszczał przeraźliwie i po chwili z kurka trysnęła woda.

- Nie chce ci się pić? - spytała Ina.

Tysiące kropelek załśniło na jej ciele w fioletowym świetle Koloru, albowiem zwilżywszy wargi, natychmiast przystąpiła do drobniawych ablucji. Od wody bił przyjemny chłód i Daniela również pociągała perspektywa kąpieli. W przeciwieństwie do ludzi biologicznych mógł długo wytrzymać bez picia, ale czuł się brudny i przesiąknięty smrodem wydzielanym przez ciała fanatyków.

- To jedyne w Strefie ujęcie wody pitnej - wyjaśniła Ina, kiedy obmyli się z błota i na powrót zakręcili kurek. - Gigantyczne, umieszczone na zewnątrz zbiorniki odsalają wodę morską i pompują ją tutaj. W ten sam sposób dostarcza się do Strefy tlen. Ale chciałam ci pokazać coś innego... Chodź, mamy jeszcze trochę czasu.

To mówiąc, ruszyła w stronę ruin. Daniel, który domyślił się już wcześniej, że o nie właśnie chodzi, bez słowa podążył za nią.

Blask Koloru dokładnie oświetlał czworobok nadkruszonych ścian bez dachu. Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś był to piękny, imponujący budynek, lecz na podstawie zachowanych fragmentów Daniel nie potrafił wyobrazić sobie całości. Koło dawnego wejścia, na obrośniętym roślinnością piedestale, stała kamienna kolumna.

A wyżej...

- Co... to jest? - szepnął Daniel, zadzierając głowę.

Górująca nad ruinami potężna figura nie miała już rysów twarzy, nie dało się też rozpoznać jej płci. Daniel nie był w ogóle pewien, czy rzeźbiarz zamierzał przedstawić istotę ludzką, bo nawet ludzie biologiczni wyglądali zupełnie inaczej.

Dziwna postać siedziała ze skrzyżowanymi nogami i podniesionymi rękoma, a raczej resztkami rąk, jako że część palców zdążyła jej już odpaść; jedną otwartą dłoń trzymała wnętrzem do przodu, drugą zaś - do góry. Pozostałe członki niewiele miały wspólnego z kształtami człowieka: miejsce głowy zajmował rodzaj sklepionego jak czaszka ołtarzyka, ale i tak najbardziej zaskakiwał brzuch, podobny do wielkiego, wydętego, spoczywającego między udami worka. Figura była wykonana z jakiegoś metalu i lekko nadrdzewiała, tu i ówdzie

pomalowana w czerwone i zielone krzyże i półksiężyce. Z ramion zwisały jej uschnięte, poczerniałe girlandy rytualne. Spadające do pustego wnętrza krople odbijały się głośnym echem, a wszędzie wokół unosił się odór zgnilizny.

Wstrząśnięty tym widokiem Daniel przystanął z daleka. Ina przeciwnie: szybko podeszła do kamiennej kolumny i przyłożyła do niej ręce - gestem, który, zdaniem Daniela, musiał stanowić część jakiegoś rytuału. Potem, nie odrywając dłoni od kamienia, odwróciła się i zaczęła mówić. Cień jej nagiego ciała wyraźnie odcinał się od jasnej skały.

- To jedna z całej serii bardzo starych figur odnajdywanych co jakiś czas w Japonii, a także na Wschodzie i Południu. Ich symbolika pozostaje nieznana, ale niewykluczone, że chodzi o wizerunki Matki, Drugiej Kobiety, tej, która w Rozdziale Szóstym stwarza Potomków Boga... Na pewno słyszałeś o tak zwanym fenomienie Dunwich... Dunwich to przecież rzadki przykład biblijnego toponimu. Wiesz, co oznacza ta nazwa? - Daniel pokręcił głową. - Powinno się ją wymawiać „Doowich”, a wzięła się od „two-witch”, a raczej „two-witches”, co znaczy „dwie czarownice”. W Rozdziale Szóstym występują dwie kobiety w jednej postaci: pierwsza niezapłodniona, a druga zapłodniona przez Boga. Ale chyba znasz tę opowieść, prawda?

Rozdział Szósty był tekstem na tyle niepokojącym, że Daniel, choć oczywiście go czytał - jak wszyscy - starał się o nim wcale nie myśleć. A jednak dokładnie pamiętał, iż rzecz dotyczyła pewnego starca, który spłodził ze swoją córką dwa monstra. Straszniejszy z owych potworów spędził całe życie w Zamkniętej Szopie, by na koniec uciec i zginąć od zaklęcia, drugiego natomiast pożarły psy. Wedle najpopularniejszej interpretacji wszystko to znaczyło mniej więcej tyle, że Bóg może mieć ludzkie potomstwo, jeśli tylko odprawione zostaną cykliczne rytuały, o których Biblia mówi jedynie w przenośni.

- Pamiętaj, że nie jestem wierzący - odparł Daniel. - I, szczerze mówiąc, ta rzeźba wydaje mi się obrzydliwa...

- To święty symbol natury - rzuciła Ina, marszcząc brwi i spoglądając w górę, ku posągowi, jakby zdziwiona, że ktokolwiek mógł tak się o nim wyrazić. - Nie ma w nim nic obrzydliwego. Jest nam po prostu obcy. Ale nie bardziej niż te kamienie dokoła albo nawet, w gruncie rzeczy, nasze własne ciała...

Daniel nie widział w groteskowej postaci nic świętego, nie zamierzał się wszakże kłócić.

- Coś ci opowiem - podjęła Ina, nie odrywając dłoni od kolumny. - To historia, którą usłyszałam jeszcze w Tokio, w czasach, kiedy uczyłam się u Mitsuko. Historia w jakiś sposób wyjaśniająca fenomen Doowich. Podobno w zamierzchłych czasach kobiety różniły się od



mężczyzn, nie były tak ohydnie smukłe, gładkie i zimne jak teraz, lecz pełne i piękne jak ta tutaj; miały obwisłą, porośniętą włosami skórę i ogromne brzuchy. A wszystko dlatego, że w ich wnętrzu... - Ina położyła dłoń na wysokości żołądka i uśmiechnęła się lekko. - A wszystko dlatego, że w ich wnętrzu mieszkało życie.

Daniel znał tę legendę. Bijou wyczytała kiedyś coś podobnego w jednej z książek, które tak lubiła. Zgodziła się wtedy jednak, że to zwyczajna bajka: nauka nie potwierdziła jeszcze, by kobiety były w przeszłości zdolne do takich rzeczy.

- Dziś potrafimy jedynie hodować nędzne karykatury w postaci biologicznych dzieci - ciągnęła Ina - ale ja mówię o świętej przemianie kobiety w Matkę. Nie pytaj mnie, jak to się działo, bo nie wiem. Mędrcy twierdzą, że nie trzeba wiedzieć, lecz wierzyć. Rozdział Szósty ujmuje tę kwestię w szereg tajemniczych metafor. Sugeruje, że kobiety funkcjonowały wedle jakiegoś cyklu, podobnie jak ziemia, która zmieniała się zależnie od pory roku. W fazie czerwonej, jesiennej, wypływała z nich krew, w białej zaś, zimowej, mleko. Dwa cykle, dwie czarownice, dwie kobiety. Czerwona faza odpowiadała Świątu Zmarłych, a biała Przesileniu. Kobieta rozwijała się, przemieniając w rodzaj świątyni. Nikt nie potrzebował laboratoriów, bo życie kształtowało się wewnątrz kobiecego ciała, które udzielało mu najlepszego schronienia. Ale po zejściu Koloru Bóg położył temu kres... - Na twarzy Iny odmalowała się nienawiść. - Sprawił, że zaczęliśmy tworzyć potwory, aż w końcu władze zakazały nam pełnienia funkcji Matek. I z czasem upodobniłyśmy się do was, stając się jałowymi, niepotrzebnymi maszynami zrobionymi z mięsa...

Daniel prychnął niecierpliwie.

- Zachowało się wiele podań o naszych przodkach, Ino. Wedle niektórych wersji byli od nas sprawniejsi fizycznie, wedle innych porośnięci włosami na całym ciele... Niczego nie da się wykluczyć, ale nikt jeszcze...

- To przez Boga, Danielu - przerwała mu Ina głosem, w którym pobrzmiwało wiele emocji, ale przede wszystkim gorycz. - To Bóg odebrał nam nasz dawny kształt i rolę. Przez niego z Matek zamieniłyśmy się w popsute inkubatory, a życie zaczęło kształtować w laboratoriach. Tylko te rzeźby przypominają, kim kiedyś byliśmy...

Po tych słowach umilkła i popadła w zadumę.

- Przepraszam, ale... - nieśmiało odezwał się Daniel. - Nie sądzisz, że powinniśmy ruszać dalej? Mówiłaś, że do laboratorium już niedaleko...

Przez chwilę myślał, że się rozgniewała - takim ogniem zapłonęły jej brązowe oczy. Opanowała się jednak.

- Masz rację - rzekła. - Wybacz. Niepotrzebnie zawracam ci głowę tajemnicami,

których i tak nie zrozumiesz. Tylko że... Zresztą nieważne.

Po czym, z trudem oderwawszy dłonie od kamiennej kolumny, powoli skierowała się ku wyjściu.

## 8

W chwili, gdy pojazd wpadł na Szopę, Yil znajdował się już poza nim, walcząc z dwiema niebezpiecznymi przeciwniczkami. Były wprawdzie nieuzbrojone i prawie nagie - nie licząc krótkich naszyjników i ciężkich butów - ale miały przewagę liczebną, a ponadto sprawiały wrażenie genetycznie zaprojektowanych do walki. Osaczony przez nie Yil, choć wyćwiczony jak mało kto, zaczął w końcu popełniać błędy. A kiedy jedna z nich, leżąc na ziemi, chwyciła jego głowę między swoje silne nogi, pomyślał, że kto wie, czy nie pomylił się właśnie po raz ostatni w życiu.

Zamknął oczy, przygotowany na śmiertelny cios, zaraz jednak je otworzył, ponieważ tuż obok rozległ się ogłuszający huk. Mózg jednej z dziewczyn, tej, która jeszcze przed chwilą szykowała się do ostatecznego uderzenia, rozprysł się dokoła. Stojąca kawałek dalej Maya właśnie zatykała za pas pistolet. Yil poczuł, że więzące jego szyję mięśnie rozluźniają się i że może wstać. Zerwał się więc i zwróciwszy się w stronę drugiej ze swych przeciwniczek, przycisnął ją stopą do podłoża.

- Kto was przysłał?

Przygnieciona do ziemi dziewczyna ledwie łapała oddech. Jej ciemna skóra błyszczała od potu; połyskujące w mroku oczy przywodziły na myśl dwie białe plamy z czarnymi punkcikami pośrodku.

- Człowiek nazwiskiem Moon - wychrypiała w końcu.

- Kto jeszcze?

- Rozmawiałam tylko z nim. - Patrzyła na niego z lękiem. - Proszę, zostaw mnie...

- Jak sobie życzysz - mruknął Yil i jednym kopnięciem złamał jej kark.

Potem spojrzał na Mayę.

- Nie potrzebowałem pomocy. Nie dlatego krzyknąłem.

- Nie dlatego ci pomogłam.

Panująca wokół cisza aż dzwoniła w uszach. Zmutowane drzewa stały nieruchomo, nie zaszeleścił ani jeden liść. Gęstą ciemność rozpraszały tylko ruchliwe światełka wysoko nad nimi. Yil zastygł z oczami wzniesionymi do góry. Za szklaną kopułą spokojnie pożywiała

się ogromna kałamarnica. Patrzył na nią z niemal religijną czcią.

- Yinie Lane - odezwała się Maya - długo jeszcze zamierzasz odgrywać obrażonego?

Bo musimy podjąć decyzję, co robimy dalej.

- To chyba jasne. Moon chciał zlikwidować nas, więc my zlikwidujemy Moona.

- Jak zwykle bierzesz swoje życzenia za fakty dokonane.

- To najlepszy sposób na ich realizację, Mayu Müller.

- To żaden sposób. Może wejdziemy do środka? Doktor Schaumann czeka.

Yil westchnął głęboko, wciąż tak napięty, że w jego szczupłym ciele drgały wszystkie mięśnie.

- Następnym razem nie pomagaj mi, jeśli nie poproszę - rzucił, ruszając za nią do Szopy.

- Następnym razem postaraj się zwyciężyć, zanim się zjawię. - Maya wyciągnęła ku niemu rękę, ale odtrącił ją. - Jeremy Yinie... - powiedziała niespodziewanie miękko, choć w jej głosie brzmiała też lekka drwina. - Czy nigdy mi nie wybaczysz?

Yil przystanął, obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym spuścił powieki.

- Żałuję tego, co ci nagadałem - oświadczył. - Ale nie podobał mi się sposób, w jaki mówiłaś o moim ojcu. Jesteśmy tutaj dzięki niemu. Nie powinnaś o tym zapominać.

- Przykro mi, że cię uraziłam - rzekła na to Maya. - Po prostu martwię się o Daniela Keana i jego córkę. A więc zgoda? - Znowu podała mu rękę, którą Yil tym razem uściśnił. - Teraz skupmy się na tym, co nas czeka.

Doktor, którego zastali usadowionego na fotelu wyniesionym z rozbitego pojazdu, uśmiechnął się na widok miny Yila.

- To, co widzisz, to jeszcze nic - ostrzegł. - Wyobraź sobie coś najgorszego, co mogło nam się przytrafić, a może zgadniesz.

- Straciliśmy łączność - jęknął Yil.

- Owszem. Komunikator nie działa. Ruszymy najwcześniej za kilka godzin, jeśli w ogóle uda mi się to wszystko naprawić...

Yil powtórzył mu to, czego dowiedział się od napastniczki. Jednocześnie z niejaką goryczą spoglądał na leżącą w kałuży krwi tarczę z brązu, pod którą ciemniał niewyraźny kształt.

- Tylko Maya mogła zrobić coś takiego - zauważył.

Doktor Schaumann parsknął śmiechem. Maya tymczasem przysiadła na jednym z rytualnych dysków i rozpoczęła przegląd broni. Badała rękoma kolejne sztuki, starannie odkładając je na bok.

- Co proponujecie? - zapytała. - Co pan proponuje, doktorze?

Schaumann natychmiast spoważniał.

- Trochę mnie to wszystko przerasta, Mayu. Moon nie tylko wydziera nam Daniela Keana z rąk, ale w dodatku organizuje na nas zasadzkę, angażując specjalistki w przebraniu denebianek. Zdaje się, że miałaś słuszność: gdybyśmy się nie rozdzielili, zostalibyśmy na lodzie z dwoma zepsutymi pojazdami i wydzierającym się na wszystkich Meldonem...

- Yil? A ty, co sądzisz?

- Spróbujemy użyć przekaźników przenośnych.

- Już próbowałem - powiedział doktor. - W obrębie Strefy nie działają. Myślę, że...

- A co to dzwoni? - Yil wskazał w stronę rozbitego pojazdu, z którego dobiegał elektroniczny dźwięk.

Obaj rzucili się w kierunku kabiny. Maya spokojnie poszła za nimi.

- Dobrze mnie słyszycie? - pytał niewyraźny głos Hectora Darby'ego.

- Słyszeć, słyszymy. Ale sami nie możemy się z wami połączyć - odparł doktor Schaumann, po czym krótko opowiedział, co zaszło.

Darby odchrząknął.

- W takim razie dobrze, że się rozdzieliliśmy. Bo my jesteśmy już u stóp wzgórza, na którym znajduje się laboratorium. - Maya, Yil i doktor Schaumann zamarli w oczekiwaniu. - Do północy zostało dziesięć minut, a w okolicy nie widać żadnego innego pojazdu...

Yil z radości uderzył dłonią w fotel, a doktor uniósł ramiona w zwycięskim geście. Jedynie Maya czekała na dalsze słowa Darby'ego, nie okazując żadnych emocji.

- To znaczy, że zdążyliśmy! - wykrzyknął Yil.

- Proszę, proszę... - Schaumann pochylił głowę i pasmo prostych brązowych włosów przecięło na pół jego uśmiechniętą twarz. - Czyli jeszcze nie wszystko stracone. Zawsze ci się udaje, staruszk.

- No, nie wiem, Brent... - odrzekł Darby, a w jego głosie dało się wyczuć napięcie. - Taki spokój nie wróży nic dobrego. Poczekajcie chwilę... Chyba coś widzimy...

## 9

Daniel nie miał pojęcia, jak właściwie wyobrażał sobie laboratorium mędrca Katsury Kushiro. Ale z pewnością inaczej.

Teraz, przystając od czasu do czasu dla złapania oddechu, dostrzegał w górze zwykłe

ogrodzenie, zza którego wystawał dwuspadowy dach czegoś, co przypominało obórkę z szarawych desek. Na podwórze prowadziła nawet nie brama, lecz szeroki otwór w ogrodzeniu.

Czuł się zmęczony i zniechęcony, a nawet nieco śmieszny. Więc tak wyglądał upragniony przez wszystkich cel? Do „wszystkich” Daniel zaliczał także Inę, która, jak zawsze niezmordowana, nie przestawała go popędzać.

- Szybciej, Danielu, szybciej! Jeszcze tylko kawałek.

Jednakże nawet ona dostała w końcu zadyszki, w czym nie było zresztą nic dziwnego: ostatni odcinek pokonali niemal biegiem, a wzgórze, na którym zbudowano laboratorium, okazało się bardziej strome niż wszystkie poprzednie. Przekłęta obórka stała na samym szczycie, zdając się dotykać ozdobionego fantazyjnymi kształtami ryb nieba. Prowadziła do niej wijąca się wokół pagórka szosa, ale Ina uznała, że szybciej i bezpieczniej dostaną się na górę skrótami, czyli ścieżką, która sprawiała wrażenie prawie pionowej. Dlatego mniej więcej w połowie drogi Daniel stwierdził, że bezwzględnie musi odpocząć.

Już miał ruszać dalej, gdy nagle coś usłyszał. Jakby warkot silnika. Rozejrzał się i zrozumiał, skąd dochodzi ten dźwięk.

Szosa, kilka serpentyn niżej, pędził pojazd, omiatając zbocze włączonymi światłami. Daniel przestraszył się najpierw, że to Moon, którego spodziewał się spotkać w każdej chwili, ale potem zdał sobie sprawę, że pojazd Moona był dużo większy. Ten tutaj, w przeciwieństwie do wehikułów japońskich, spełniał chyba funkcję wyłącznie transportową, a poza tym wydawał się Danielowi znajomy.

Dogoniwszy Inę, Daniel pociągnął ją ostrzegawczo za rękę. Skryli się w zaroślach i z zapartym tchem czekali.

- Zaraz... - szepnął Daniel, gdy pojazd wyłonił się zza zakrętu. - Ja ich znam! To przyjaciele: Hector Darby i Meldon Rowen!

Wyraźnie zdumiona Ina zmarszczyła brwi.

- Darby i Rowen to mocodawcy Moona, Danielu.

- Co?

- Sam mi powiedział, że dla nich pracuje. Wymienił ich nazwiska.

Daniel wpatrywał się w nią przez chwilę.

- Coś ci się musiało pomylić...

I nagle sobie przypomniał. Już wiedział, co go niepokoiło, jaki wciąż umykający szczególnie nie pasował do oficjalnej wersji, którą przedstawili mu „przyjaciele”. Ujrzał samego siebie w domu w Königshafen i usłyszał tamto wypowiedziane niechęć przez Darby'ego

zdanie, które do tej pory kryło się w zakamarkach jego, Daniela, pamięci. Zrozumiał, że Ina ma rację, i wykrzywił się ze wstrętem.

- Mordercy... - wychrypiął.

Ina skinęła głową.

- Jeśli pofatygowali się aż tutaj, to znaczy, że zamierzają dokończyć to, co zaczęli. Szybko, Danielu, zdążymy przed nimi.

- Poczekaj! Gdzie jest reszta?

Opowiedział jej o drugim pojeździe. Obawiał się, że pozostali są już na górze, a wiedział, że w starciu z Mayą on i Ina nie mieliby żadnych szans.

Ina uspokajająco ścisnęła mu ramię, ale sama wyglądała na zdenerwowaną.

- Zaryzykujemy. Jeśli nawet nas wyprzedzili, raczej nie zdołali się dostać do środka. Widzisz te kamienne schody? - Wskazała dłonią na wycięte w skale stopnie, które Daniel zauważył już wcześniej. Biegły zakosami aż do wejścia na podwórze laboratorium. - Za ogrodzeniem będziemy bezpieczni.

- Ale przecież... tam nie ma nawet bramy...

- Nie daj się zwieść pozorom. Najtrudniejszych do sforsowania bram nigdy nie widać. Pamiętaj, że to laboratorium Katsury Kushiro. A teraz prędko! - Ponagliła go gestem. - Na schody!

Z miejsca, w którym się znajdowali, było do nich bliżej niż z szosy. Daniel uznał, że daje to jemu i Inie przewagę.

I nie pomylił się. Wbiegali już po ostatnich stopniach, podczas gdy pojazd Darby'ego dopiero hamował na dole.

- Nie zatrzymuj się! - krzyknęła Ina.

Daniel obejrzał się jednak i zobaczył Darby'ego, Anjali Sen i Meldona Rowena, wyskakujących kolejno na zewnątrz.

- Daniel! - zawołał Darby. - Daniel, nareszcie! Widzieliśmy cię z drogi!

Daniel odwrócił się i czekał. Musiał wyładować swoją wściekłość. Czuł się zdradzony.

- Wiem wszystko! - ryknął, a w oczach zapiekły go łzy. - Wynajęliście Olsena i Moona! Od początku mnie oszukiwaliście! Gdzie trzymacie moją córkę?

Tamci przystanęli, niepewni chyba, co dalej. Daniel miał w głębi duszy nadzieję, że Darby zdecydowanie zaprzeczy, ten jednak podniósł tylko dłoń, jakby prosił o chwilę cierpliwości.

- Daniel, poczekaj... Wszystko ci wytłumaczę...

Anjali szepnęła coś na ucho Meldonowi, który skinął głową i odezwał się stanowczym, choć nieco drżącym głosem.

- Danielu, zaszło nieporozumienie. Później ci wszystko wyjaśnimy. A teraz posłuchaj: pod żadnym pozorem nie wolno ci wejść tam z tą dziewczyną. Jeśli zrobisz to z własnej woli, nie będziesz mógł się wydostać...

Daniel stał przez chwilę bez ruchu, niezdecydowany. Potem spojrzał w stronę Iny, która wyciągała ku niemu dłoń, powtarzając:

- Szybko, Danielu! Rusz się wreszcie!

- Ktokolwiek to jest, kłamie... - mówił tymczasem Rowen, z wolna pokonując kolejne stopnie. - Nie wchodź tam... Poczekaj na nas...

Nie słuchając go, Daniel postąpił kilka kroków w górę, ale przed samym ogrodzeniem znowu się zawahał. Właśnie wtedy, zerkając pytająco na Inę, zorientował się, że za jej plecami pojawiły się dwie nowe postacie: chłopak w czarnym płaszczu i przytrzymywana przez niego za ramiona, związana i zakneblowana dziewczynka.

Na widok Yun Daniel zapomniał o wszystkim. Otworzył usta, żeby ją zawołać, lecz Ina, nadal wyciągając do niego rękę, odezwała się pierwsza:

- Chodź tu, Danielu, bo inaczej ją zabijemy.

# Rozdział siódmy

## *Objawienie*

### 1

Północ japońskiego czasu.

W pomarańczowym pojeździe, przy łóżku Moona, odezwał się alarm. Północ, pomyślał Moon. Odsunął Lama, który gładził jego plecy, drapiąc jak kot, i zaczął sobie wyobrażać, co też może się dziać w laboratorium.

- Już północ - powiedział Schaumann, odrywając się od naprawy wehikułu-łazienki.

Pochylona nad jednym z uszkodzonych kół Maya Müller i bez doktora wiedziała, która godzina. Czując nagły strach o Daniela i jego córeczkę, zapragnęła porozmawiać z Darbym.

Tymczasem Darby, żałując, że jej z nimi nie ma, spoglądał na zegarek. Była północ. Daniel wszedł do laboratorium i nic już nie można było na to poradzić.

Północ, pomyślała Turmaline, stojąc przed komunikatorem w luksusowym wozie, którym wracała z Koloru, dokąd osobiście zawiozła Olive'a i dziewczynkę. Właśnie otrzymała potwierdzenie, że Ina i Daniel Kean dotarli do laboratorium na czas, i natychmiast powiadomiła Pana, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Wysyłała mu raporty niemal co godzinę, bojąc się źle wypaść w porównaniu z Prawdą.

On zaś wcale nie potrzebował jej raportów: i tak wiedział, co trzeba. Północ, myślał. Zaraz się wszystkiego dowiemy. A jednak czuł obawę, że coś pójdzie nie tak. Na przykład - że Prawda wyrwie się spod kontroli.

Północ. Taka była jedyna myśl Prawdy.

Pozostawało tylko przycziąć się w ciemności i czekać.



- Północ - powiedział chłopak przytrzymujący Yun.

- A więc już pora - odrzekła Ina, wciągając na nogi rajtuzy w malutkie białe i niebieskie romby. - Daniel nie może się pewnie doczekać, by podzielić się z nami swoją wiedzą.

Jemu również kazali włożyć rajtuzy. Były białe, podobnie jak buty. Ina twierdziła, że do wewnętrznych pomieszczeń nie da się wejść boso, choć w środku należało się podobno z powrotem rozebrać. Daniel usłuchał bez szemrania. Zgodziłby się na każdy idiotyzm, zresztą, w gruncie rzeczy nie wiedział nawet, co robi, całkowicie skupiony na drobniutkiej postaci Yun.

Chłopak w czarnym płaszczu obchodził się z nią bez ceregieli. Trzymał jej przy skroni pistolet i za każdym razem, gdy Daniel zbyt wolno wykonywał polecenia, groził, że pociągnie za spust. Daniel rozpoznał go od razu: pamiętał ten czarny długi płaszcz i kasztanowate proste włosy, choć widział je tylko raz, w katakumbach.

Olive - bo tak nazywała chłopaka Ina - zaczął podniesionym głosem wydawać rozkazy.

- Stań pod drzwiami! Bokiem! Nie patrz na nas! Spuść głowę! Obejmij futrynę!

- Mam ją objąć...?

- A chcesz, żebym wpakował małej kulkę? No, dalej, idioto!

Daniel przywarł do wyszczerbionej drewnianej futryny, czując wbijające mu się w skórę drzazgi. Nie rozumiał, do czego to wszystko zmierza, co takiego tamci spodziewają się znaleźć w rozwalonej, śmierdzącej chatynce, składającej się z kilku pomieszczeń, do których - jeszcze jeden absurd - według Iny należało wejść przez okna... Nie protestował jednak. Tylko raz, korzystając z chwili milczenia, odważył się spytać:

- Czy wolno mi porozmawiać z córką?

- Już to robisz. Ona cię słyszy.

- Ale... Czy moglibyście zdjąć jej knebel?

- Nie - odparł głos Iny, którą Olive pewnie zapytał o zdanie wzrokiem.

Dla Daniela było oczywiste, że to ona tu rządzi.

- Co za przykrość - rzucił Olive sarkastycznie. - Musi ci zatem wystarczyć komunikacja jednostronna.

Daniel, nie zmieniając pozycji, podniósł oczy i zerknął na Yun. Nie wyglądała na

ranną, choć nie miał co do tego pewności, jako że nie mogła mówić i nie ruszała się, chyba że prowadzona przez chłopaka. Jej drobne ciało tonęło w obszernej, białej i brudnej tunice porozrywanej na brzegach; mała twarzyczka ginęła za przykrywającą oczy opaską i wielkim kneblem.

- Yun, posłuchaj, maleńka... - zaczął Daniel.

Zdobył się ledwie na kilka prostych, niezgrabnych zdań, boleśnie świadom, że Bijou poradziłaby sobie w tej sytuacji dużo lepiej. Zmusił się jednak do zachowania spokoju: wiedział, że nie powinien okazywać przed córką strachu. Gdy zamilkł, Olive dorzucił kpiąco:

- Jasne. A potem tatuś zabierze cię do domku...

Daniel patrzył na niego przez chwilę oniemiały z wściekłości i - nie po raz pierwszy zresztą - poczuł ochotę, by rzucić mu się do gardła. Byli tylko we czworo... Powstrzymał się jednak. Olive nie sprawiał wrażenia osiłka, ale miał broń, a poza tym przezornie trzymał się na dystans. I na pewno od razu zabiłby Yun - coś w jego wielkich, nieobecnych, jakby zahipnotyzowanych oczach wskazywało, że nie zawahałby się tego uczynić.

- Niech Kean przyjmie Pozycję Wejściową - odezwała się gdzieś z tyłu Ina.

Olive polecił stojącemu w progu Danielowi rozstawić nogi, rozłożyć ramiona i czubkami palców dotknąć futryny.

- Mocne napięcie członków - recytowała Ina - służy odzyskaniu władzy nad mięśniami.

Potem Daniel musiał wyciągnąć przed siebie jedno ramię, opuścić je, zrobić to samo z drugim, by na koniec uklęknąć i obracać się to w tę, to w tamtą stronę. Olive wyrzucał z siebie kolejne rozkazy, nigdy ich nie powtarzając, wyraźnie rozbawiony pośpiechem, z jakim Daniel starał się je spełniać. Można było nawet odnieść wrażenie, że cały ten rytuał jest po prostu okrutną zabawą. Ina wszakże podchodziła do niego ze śmiertelną powagą, wykrzykując od czasu do czasu: „O, tak, właśnie tak!”, jakby przeżywała rodzaj ekstazy.

Daniel, choć skupiony na Yun, czuł narastający lęk. Czynności, które kazali mu wykonywać, do złudzenia przypominały to, co chwilę wcześniej widział w wykonaniu Iny. Domek, jak się okazało, otoczony był nie tylko drewnianym ogrodzeniem, ale również kamiennym murem. Przekroczywszy wraz z Danielem pierwszą linię zabezpieczeń, Ina podeszła do ziejącej w owym murze dziury i zaczęła się dziwnie wyginać. Daniel zrozumiał wtedy, że Olive czekał z Yun na zewnątrz, gdyż nie potrafił sforsować tej ostatniej zapory.

Teraz działo się coś podobnego: Ina zdawała się tańczyć na parapecie jednego z okien o drewnianych, rozpadających się futrynach. Ponieważ w żadnym z nich nie było nawet szyb,

Daniel nie pojmował, co przeszkadza jej w przedostaniu się do wnętrza. Jednocześnie, kierowany przez Olive'a, musiał naśladować niektóre z jej ruchów.

Potem nagle oświadczyła:

- Dom nas zaprasza. Olive, podprowadź tu Keana.

Wciąż stała na parapecie, jakby niespodziewanie zabrakło jej odwagi, by wejść do środka.

- Mam w uchu słuchawkę - zwróciła się do Daniela, odgarniając włosy, by pokazać mu, że mówi prawdę. - Olive też. Będziemy w stałym kontakcie, więc jeśli mi się sprzeciwisz albo zrobisz cokolwiek, co mi się nie spodoba, każę mu zabić twoją córkę... Albo skrzywdzić ją inaczej... Czy to jasne? - Daniel skinął głową. - A zatem chodźmy.

Wspinając się na zniszczony parapet, Daniel obejrzał się na podobną do białej kukielki Yun i obiecał jej w duchu, że ją uratuje. Potem zerknął w stronę muru i drewnianego ogrodzenia. Darby'ego ani reszty nigdzie nie było widać. Nie rozumiał, dlaczego nawet nie próbują wdrzeć się na podwórze.

- Zapomnij o nich - odezwała się Ina, jakby odgadując tok jego myśli. - Nie dadzą rady.

### 3

- Źle zrobiliśmy, nie mówiąc mu prawdy - stwierdził Darby.

- Już wtedy było za późno - zaprotestował Rowen, unosząc nogę, by schować pistolet do kabury zapiętej wokół kostki. - Tak samo jak teraz jest za późno na żale. Znam twoje pesymistyczne nastawienie, Hectorze; potem pomówimy o naszych winach. Teraz trzeba zdecydować co dalej.

Siedzieli w pojeździe zaparkowanym u stóp wykutych w skale schodów, trzymając broń w pełnej gotowości. Mimo zdenerwowania Darby uśmiechnął się, słuchając zdecydowanych słów przyjaciela: znany z porywczosci Meldon Rowen, choć rozpieszczany przez los, nie należał do tych, którzy wyręczają się innymi albo z założonymi rękoma czekają na rozwój wypadków.

- Cóż... - potrząsnął głową Darby. - Do laboratorium się nie dostaniemy, a oni z pewnością są już w środku. Jest dwunasta cztery. Wkrótce będzie po wszystkim.

- Spodziewaliśmy się tego rodzaju trudności. Planowaliśmy zaatakować później.

- Ale nie spodziewaliśmy się, że zostaniemy tylko we troje. A raczej we dwoje, bo ja

się nie liczę.

- Ich też jest dwoje, Hectorze - Rowen, który rozglądał się właśnie za dodatkową amunicją, zwrócił ku Darby'emu swoją śniadą twarz i odstonił w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Co, zamierzasz zrezygnować? Teraz?

- Skąd! - zaprzeczył gwałtownie Darby. - Tyle że jakoś przestało mi zależeć na tym przeklętym Kluczu. Za to wiele bym dał, żeby uratować Daniela Keana i jego córkę...

- Ja również. Dlatego proponuję, żebyśmy spróbowali mimo wszystko wejść do laboratorium...

- Problem polega na tym, Meldonie - odezwała się Anjali, wymawiając słowa ze swoim cudzoziemskim akcentem, a jej głos zdawał się szczelnie wypełniać kabinę - że nie możemy tam wejść. Laboratorium Katsury to niedostępna twierdza, której strzegą zapory skonstruowane według instrukcji Rozdziału Siódmego.

- Tamta dziewczyna weszła...

- Tamta dziewczyna to Ina White, a towarzyszy jej niejaki Olive Frey. Rozpoznałam ich. Oboje byli uczniami Mitsuko. Dlatego pokonali ogrodzenie i mur z taką łatwością...

- Dobrze sobie wszystko zaplanowali - zauważył Darby.

- Chwila, moment - zdenerwował się Rowen, piorunując przyjaciół wzrokiem. - My też nie traciliśmy czasu. Anja! Przecież rozeznałaś się w tych rytualnych barierach! Sama mówiłaś, że da się je pokonać!

- Bo się da - odparła spokojnie Anjali Sen. - Powiedziałam, że nie możemy wejść do laboratorium we troje. Ja mogę.

- W pojedynkę ryzyko rośnie - rzucił Darby.

- Tak czy owak spróbuję - ucięła Anjali i wyszła na zewnątrz.

Rowen wydawał się dezorientowany.

- Poczekaj! Jakie znowu ryzyko? - Nerwowo zerknął na Darby'ego. - Jakie ryzyko, Hectorze? Co jej grozi?

Darby niezobowiązująco machnął ręką, lecz wyraz jego twarzy sprawił, że Meldon wyskoczył z pojazdu, nie czekając na dalsze wyjaśnienia. Darby ruszył za nim.

Ze szczytu wzgórza roztaczał się niesamowity widok. W dole leżała Strefa, nad nią - zdawałoby się, w zasięgu ręki - połyskiwała szklana kopuła, a jeszcze wyżej ciemniała masa wody rozświetlana fosforyzującymi kształtami ryb i rozmaitych morskich stworzeń. Darby dostrzegł dwie ogromne, przepływające nad laboratorium ośmiornice; wyglądały jak chmury.

Trudno było zapomnieć, gdzie się człowiek znajduje. Powietrze stało nieruchomo, jak w klimatyzowanych pomieszczeniach. Ani jeden powiew nie poruszał gałęziami

nienaturalnych drzew porastających zbocze. Poza tym panował ziąb i Darby, który podczas podróży zdjął kurtkę, musiał ją teraz z powrotem włożyć.

- Anja! - wołał Rowen.

Niebieski, błyszczący strój Anjali Sen, która wbiegała już po schodach, zdawał się unosić w mroku. Rowen miał na sobie dopasowany, prześwitujący kostium. W bijącym z góry fioletowym świetle oboje prezentowali się doskonale, jak idealnie szczęśliwe, wiecznie młode istoty. Jedyne Darby wyglądał na tego, kim rzeczywiście był: na zmęczonego starego człowieka.

Anjali Sen odwróciła się ku doganiającemu ją Rowenowi.

- Co zamierzasz zrobić? - ostro spytał Rowen.

- Już mówiłam: zamierzam spróbować wejść do środka.

- Nie możesz! Nie sama!

- Kto dał ci prawo, żeby nam rozkazywać, Meldonie? Nie zapominaj, po co tu jesteśmy. Chcemy zdobyć Klucz! I chyba pora, żebyś sobie coś uświadomił: nie przyjechaliśmy tu dla zabawy. Ani my, ani ten nieszczęsny Daniel Kean!

Twarz Meldona Rowena pozostała nieprzenikniona. Darby wiedział o łączącej go z Anjali relacji, która bez wątpienia zasługiwała na miano „miłości”.

- Przypuśćmy, że ci się uda - rzekł Rowen. - I co dalej? Będziesz potrzebowała broni, wsparcia...

- Nie mogę niczego ze sobą zabrać, Meldonie - Anjali uśmiechnęła się, zsuwając z bioder dolną część kostiumu. - Ale wiesz, że za bezbronną trudno mnie raczej uznać...

Darby w duchu przyznał jej rację: dzięki głębokiej wierze Anjali dysponowała ogromną, trudną do zrozumienia mocą. Tyle że jako wyznawczyni Rozdziału Dwunastego panowała jedynie nad tymi zjawiskami, które zostały tam wspomniane. Rozdział Siódmy wraz ze swoim królestwem szeptów, tak bliski Katsurze Kushiro, był dla niej trudny do ogarnięcia. Dlatego mogła popełnić jeden z tych błędów, za które płaciło się czymś gorszym niż śmierć. Czym? Darby, jako człowiek niewierzący, nie miał pojęcia.

- Jeśli uda mi się tam dostać, spróbuję pomóc Keanowi - mówiła Anjali, wpatrując się w Rowena wielkimi czarnymi oczyma. - Inie i Olive'owi brakuje doświadczenia, mogę ich pokonać sama. - Przelotnie musnęła wargami jego usta, po czym podeszła do Darby'ego i uściśnęła mu obie ręce. - Hectorze... - szepnęła tak cicho, by Rowen jej nie usłyszał. - Gdyby się coś stało... Zabierz go stąd jak najszybciej.

Darby skinął głową i życzył jej powodzenia.

Rozebrała się do końca i powoli ruszyła ku ogrodzeniu. Szerokie wejście zdawało się

zapraszać do środka, ale ona wiedziała, że to zwodnicze wrażenie. Wolała nawet nie myśleć o tym, co mogło się zdarzyć, gdyby, nie dopełniwszy rytuału, postawiła stopę o centymetr za daleko.

Przystanęła tuż przed niewidzialną granicą i po raz ostatni obejrzała się na Rowena, po którego pięknej twarzy przepływały cienie znajdujących się wysoko za szybą morskich stworzeń. Mrugnęła porozumiewawczo, jak gdyby chciała dodać mu odwagi.

Jak gdyby sama nie miała wątpliwości co do powodzenia swojej wyprawy.

Udawała.

## 4

- Laboratorium dzieli się na osiem sal - powiedziała Ina - tak jak Rozdział Siódmy na osiem części, a zbudowane jest z dźwięków. Przedmioty, które tu widzisz, służą zakłócaniu ciszy. Zakłócają ją również nasze ciała. Spójrz na ten wazon. To nie ozdoba, lecz pudło rezonansowe. Podobnie jak wszystko wokół. Gdyby ci przyszło do głowy się tu szwendać na własną rękę, nigdy nie zaglądać do sal, z których nie dobiega żaden szmer. *Ex nihilo nihil*, głosi Biblia. Absolutna cisza oznacza próżnię: jeśli wejdiesz do takiego pomieszczenia, twój umysł ulegnie destrukcji, ponieważ wyłącznie za sprawą dźwięków utrzymujemy kontakt ze światem. I z nieskończonością. Ale po co ja ci to wszystko tłumaczę? I tak nie zrozumiesz... Szukaj!

Daniel nie wiedział, co właściwie powinien zrobić, więc zaczął się niepewnie rozglądać. I tego właśnie zdawała się od niego oczekiwać. „*Messenja* zawsze działa po omacku”, oświadczyła już wcześniej.

- Jesteś jak naczynie, Kean - wyjaśniała teraz. - Naczynie zawierające coś cennego. I wydobędziemy to z ciebie.

Przeszli przez salę określaną przez Inę mianem „trzeciej” - czyli ów zrujnowany pokój, w którym znaleźli się po przejściu przez okno. Następne pomieszczenie zachowało się w lepszym stanie. Wisiały tam długie kolorowe zasłony, stały drewniane stoły i wielkie wazony z brązu. Podłogę, co wydało się Danielowi ciekawe, pokrywał drobny, brązowy piasek. Sufit był niski, a niektóre ściany wyłożono kamieniem. Pachniało pleśnią i kurzem. Ina poleciła Danielowi zdjąć rajtuzy i od czasu do czasu kazała mu unosić ramiona w górę. Stosował się do jej wskazówek i udawał, że słucha skomplikowanych wyjaśnień, zastanawiając się gorączkowo, co począć.

- Oszukałaś mnie, prawda? - zapytał. W zetknięciu z podłogą jego stopy wydawały odgłos przywodzący na myśl przesuwanie grabkami po piasku. - Nigdy nie byłaś uczennicą Mitsuko. Pracujesz dla Moona...

- Pracuję z Moonem, nie dla Moona - poprawiła go Ina. - A poza tym i ja, i Olive naprawdę uczyliśmy się u Mitsuko.

- W takim razie Darby i jego przyjaciele...

- Wynajęli Olsena, nie wiedząc, że on już wcześniej służył Panu.

- Kto to?

- Ktoś znacznie potężniejszy niż ty czy ja, idioto - prychnęła po krótkim wahaniu. - To z jego woli porwaliśmy twoją żonę i córkę. Nie zatrzymuj się - ostrzegła. - Jeśli przystaniesz, pożałujesz. Mogę ci zrobić większą krzywdę, niż przypuszczasz.

Jednakże Daniel czuł, że ma nad nią pewną przewagę: ostatecznie wszystko zależało od niego. Postanowił zyskać na czasie, zadając pytania.

- Dlaczego pomogłaś mi uciec?

- Zapadła decyzja, że powinnam się do ciebie zbliżyć. Chodziło o to, żebyś się nie rozsypał psychicznie. Podejrzewaliśmy, że spróbujesz uciec, więc zaaranżowaliśmy tamto przedstawienie z drzewem na drodze, żeby dać ci ku temu sposobność. Ludzie Moona specjalnie strzelali niecelnie. A ty myślałeś, że to ta substancja, którą w siebie wtarłeś, czyni cię nietykalnym...

- Atak fanatyków też zaplanowaliście?

Ina utkwiała w nim swoje brązowe oczy, w których odmalował się wyraz pogardy.

- A czemu by to niby miało służyć, głupku? Nie, tego nie zaplanowaliśmy. O mały włos nas nie złapali. Na szczęście świetnie znam Strefę. Dobra, idziemy dalej - rzuciła z nagłym zniecierpliwieniem. - Musisz zacząć się starać, bo pomyślę, że coś przede mną ukrywasz... Że tajesz informacje z myślą o Darbym...

- To nieprawda...

- Ale mogę tak pomyśleć. A wtedy podejmę odpowiednie kroki. Istnieją różne sposoby na to, by przekonać się, co kryje jakieś naczynie: można nim potrząsnąć... Albo je stłuc... I pamiętaj, że Olive tylko czeka na mój sygnał. Nie chciałbyś, żeby zmusił twoją córkę do samodzielnej przechadzki po laboratorium. Z dwojga złego z pewnością wolałbyś, żeby ją zabił. Wszystko jasne?

- Tak - jęknął z przerażeniem Daniel.

Ina zdawała się pozbawiona uczuć. Daniel odnosił wrażenie, że pod tym względem bije na głowę samego Moona.

- A zatem do dzieła - powiedziała.

Na progu kolejnej sali przystanęła na chwilę, nasłuchując. Gdy wychwyciła dobiegające ze środka dzwonienie, rzuciła:

- Chodźmy.

## 5

Anjali Sen zastanawiała się przez chwilę, czy Katsura Kushiro potrafił dokonać racjonalnej albo, jak wyraziłby się doktor Schaumann, „naukowo chłodnej” analizy tego, co sam stworzył. Zdawała sobie sprawę, że z pewnością nawet nie próbował, ale pulsująca w tym na pozór wymarłym miejscu moc skłaniała do zadawania takich pytań.

Stojąc przed wejściem, Anjali wykonywała ostrożne ruchy przywodzące na myśl powolny, lunatyczny taniec. Wiedziała, że chodzi o to, by jej ciało wtopiło się w otoczenie. Koncepcja niewidocznej, chroniącej laboratorium osłony wyraźnie nawiązywała do Rozdziału Siódmego, którego bohater przyjeżdża do nękanego przez monstra „białego domu” w górach. Anjali pamiętała, że rozciągający się za oknami samochodu krajobraz porównuje się tam do namalowanego pejzażu. Bohater stwierdza w pewnym momencie: „Przedzieraliśmy się teraz śmiało przez tę scenerię”. Chcąc wejść w jakiś świat, należało stać się jego częścią. Tyle że nie było to wcale takie proste, nawet dla osoby równie wierzącej i doświadczonej jak Anjali.

Spokojnie, powtarzała sobie, nie ma co się spieszyć, i przyjmując skomplikowane pozycje, uśmiechała się lekko - w ten sposób łatwiej przychodziło jej opanować nerwy. Jak do tej pory jeszcze się nie pomyliła: jej poruszenia harmonizowały z rozbrzmiewającymi wokół, ledwie słyszalnymi dźwiękami i przejście z wolna się otwierało. Jednakże teraz przyszła pora na improwizację. Bo jak przewidzieć wszystkie kolejne kroki? Nie znali ich ani uczniowie Mitsuko, ani ona sama, ani nawet Katsura Kushiro. Wiara, w przeciwieństwie do wiedzy, nigdy nie miała nic wspólnego ze ścisłymi ustaleniami, nie dawała się ująć w słowa. Dlatego Biblia składała się wyłącznie z symboli i metafor. I dlatego ludzie niewierzący - w rodzaju Darby'ego - nie potrafili jej do końca zrozumieć.

Wierzyć znaczyło wierzyć; bez namysłu, bez zastrzeżeń. „Jeśli dopuszczasz prawdziwość wersji przeciwnej do tego, w co wierzysz, niczego nie osiągniesz”, powtarzali wielcy mistrzowie. „Musisz odrzucić wszystko poza tym, w co wierzysz”.

Anjali dalej wykonywała swoje przypominające taniec ruchy.



## 6

Następna sala była - w swojej wielofunkcyjności - bardzo japońska: mieściła się tu sypialnia, biblioteka, a nawet rodzaj mostku, czy może raczej przerzuconej nad łóżkiem drewnianej kładki, na którą Ina kazała Danielowi wejść, ponieważ właśnie stamtąd rozciągał się najlepszy widok na całe pomieszczenie.

Podzwanianie, które słyszeli jeszcze na zewnątrz, dobiegało od strony zamocowanego do jednej ze ścian kinkietu: zwisały z niego metalowy łańcuch z krzyżem oraz szeroki pas. Oba przedmioty kołysały się łagodnie, jakby poruszane tajemniczym powiewem. Ina zdjęła swoje biało-niebieskie rajtuzy, zawiesiła łańcuch na szyi i zapięła na sobie pas. Tak ubrana weszła na łóżko i uklękła. Ściany wokół wyłożone były lustrami, więc w pomieszczeniu natychmiast pojawiły się cztery kolejne Iny.

- Spróbuję teraz nawiązać łączność - wyjaśniła. - Wiesz, o czym mówię? Stworzenie, które w Rozdziale Siódmym wkłada maskę i rękawiczki, by udawać człowieka, przekazuje bohaterowi podstawową informację: mówi mu, że istnieją „straszliwe i odwieczne korespondencje między rodzajem ludzkim i nieskończonością”. Jednym słowem, cokolwiek zrobisz, odbije się to echem we wszechświecie - ciągnęła, wskazując na lustro. - W ten sposób można otwierać przejścia do ukrytych wymiarów. I temu właśnie służy laboratorium Katsury Kushiro: otwieraniu przejść za pomocą dźwięków, w Biblii metaforycznie określanych mianem szeptów. Jeśli wykonuję taki ruch... - wstała i gwałtownie rozstawiła nogi - tnę powietrze i wysyłam fale dźwiękowe. Nawet światło, odbijając się od luster, jakoś brzmi... Przebywanie w tym miejscu jest więc jak gra na delikatnym instrumencie... Nie słyszysz wygrywanej na nim melodii, ale dom ją słyszy i odpowiednio reaguje.

Zastygła na moment, po czym uniosła w górę ramiona, nie przestając mówić. Daniel udawał, że słucha jej skomplikowanych wywodów, świadom, że tylko w ten sposób może zyskać na czasie. Dlatego przeraził się, dostrzegając, że Ina uważnie obserwuje go w jednym z luster.

- Otworzyłam dla ciebie nowe przejścia, Kean - oświadczyła z groźbą w głosie. - Masz teraz do dyspozycji całą przestrzeń laboratorium. I lepiej się pośpiesz, bo przysięgam, że osobiście obedrę cię z tej gładkiej skórki... I twoją córkę też...

Wzdrygnął się. Nie wątpił, że byłaby do tego zdolna. Należało czym prędzej odwrócić jej uwagę kolejnymi pytaniami.

- Twojego Pana nazywają inaczej Prawdą, tak?

Zareagowała dziwnie. Zastygła na krawędzi łóżka, wpatrując się w niego z napięciem. Na jej skórze lśniły kropelki potu.

- Nie. Prawda to ktoś, kto podobnie jak ja pracuje dla Pana - stwierdziła ostrożnie. - Skąd znasz to imię?

- Rozmawiałem z nią - rzucił Daniel, rozkoszując się poczuciem przewagi. - To ona porwała twoją mistrzynię, nie wiedziałaś o tym? I zamieniła ją w niewolnicę, a nawet w coś jeszcze gorszego... Chociaż zakładam, że z jakichś względów jest ci to na rękę...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, Ina zerwała się na równe nogi i dopadła go kilkoma susami. Widział płonąca w jej oczach furję, lecz nie ruszył się z miejsca. Jednym ciosem powaliła go na ziemię i kopniakiem posłała na drugą stronę kładki. Najgorsze jednak było to, jak patrzyła. Malujące się w jej oczach zimne okrucieństwo przerażało dużo bardziej niż brutalne przejawy wściekłości. Daniel miał wszakże świadomość, że chwilowo kontroluje sytuację, więc posunął się o krok dalej.

- Możesz mnie bić do woli, sytuacja Mitsuko i tak się nie zmieni - wycharczał, z trudem dźwigając się na nogi. - Twoja mistrzyni to wrak człowieka, nawet jeśli jeszcze żyje! Tego właśnie chciałaś?

Ina patrzyła na niego tak, jakby zamierzała go znowu uderzyć, aż w końcu wróciła na łóżko.

- Dlaczego to wszystko robisz? - Daniel złagodził ton. - Nie jesteś taka jak tamci... Jak Moon czy Prawda... Oszukali cię albo w jakiś sposób przekabacili, ale nie jesteś taka jak oni...

Spoglądała na niego, klęcząc na łóżku. Jej piersi unosiły się i opadały w spokojnym oddechu. Potem nagle położyła się, a lustro w suficie pokazało rozrzucone po prześcieradle kasztanowate włosy jej sobowtóra.

- Nie zgadzałyśmy się w wielu kwestiach - szepnęła, zwracając się raczej do dziewczyny nad sobą niż do Daniela. - Co nie zmienia faktu, że była świetną nauczycielką. Od niej dowiedziałam się wszystkiego, co wiem o Rozdziale Siódmym, ona pokazała mi, jak kontrolować dźwięki, wykorzystując przedmioty w charakterze przejść, bram ku innym wymiarom... Miała wspaniałą posiadłość na północ od Tokio, ale często jeździłyśmy na południowe plaże sąsiadujące ze Strefą. Tam stawałyśmy się ptakami, ćwiczyłyśmy nawiązywanie kontaktu z Tymi-Którzy-Szepczą. Powtarzała: „Nie wolno ci postrzegać siebie samej jako instrumentu posłusznego grającym na nim palcom innych. Jesteś kobietą, Ino. A nas, kobiety, otaczano kiedyś czcią należną świętym. Teraz wyjałowiałyśmy, lecz dawniej byłyśmy jak urodzajna ziemia, w której kiełkowało ludzkie nasienie”. I mawiała też: „Jesteśmy królowymi stworzenia, a nie pustymi gniazdami, do których Bóg podrzuca swoje

piskłeta”. Tak mówiła... - Ina zamilkła na chwilę, tłumiąc łkanie. Jej złożona na brzuchu dłoń otworzyła się łagodnie, jakby coś osłaniając. - Uprawiała seks z wieloma uczniami, ale tylko ze mną łączyła ją „miłość”, nie tylko „sztuka”. Aż wreszcie pewnego dnia powiedziała mi o planie Katsury Kushiro i o Kluczu. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego nie chciała go szukać, choć jej ojciec pod koniec nie zajmował się niczym innym...

Daniel przypomniał sobie wyjaśnienia Darby'ego. Mitsuko po prostu stosowała się do zaleceń Katsury, pomyślał, ale nie odezwał się ani słowem. Ina opowiadała dalej, wciąż wpatrzona we własne odbicie.

- Oświadczyła, że jej ojciec odnalazł Klucz w Nowej Zelandii, schował go w bezpiecznym miejscu i zapowiedział, że w swoim czasie tajemnica tej kryjówki zostanie ujawniona. Odpowiednie wskazówki miał otrzymać *messenja* podróżujący określonego dnia pociągiem do Hamburga. Ilekroć twierdziłam, że powinniśmy zacząć działać, Mitsuko odpowiadała: „Mój ojciec wiedział, co robi, Ino. Klucz jest przeznaczony komuś innemu. Zostaw to...”. Nie potrafiła pojąć, że mnie chodzi nie o jego posiadanie, lecz zniszczenie! „Matko”, mówiłam, bo tak się właśnie do niej zwracałam, „matko, tylko w ten sposób możemy zniszczyć Boga. Tylko tak przywrócimy kobietom władzę nad życiem i zemścimy się za wieki poniżenia, nie rozumiesz?”. Według Biblii Bóg kryje się pod wodą, śniąc swój wieczny sen w mieście ogromnych kolumn, i lęka się jedynie Klucza. Bo wie, że w dniu, gdy go znajdziemy... - Tu usta Iny wykrzywił grymas. - Że w tym dniu epoka jego władzy nad ziemią dobiegnie końca.

Odwróciła się do lustra na ścianie i zastygła z zamkniętymi oczami, przytulona do swojego odbicia jak do pogrążonej w identycznym śnie siostry bliźniaczki. A potem nagle jakby się ocknęła; jej oczy i głos znowu stwardniały.

- Mówiłam jej to wszystko, ale nie słuchała. Więc razem z Olive'em i jeszcze jednym uczniem, Sharem, zaczęliśmy szukać nowego przewodnika duchowego, kogoś, kto byłby gotów nam pomóc. Shar w końcu zrezygnował, a Olive i ja nawiązaliśmy kontakt z Panem. Kiedy nam powiedział, że jemu również zależy na znalezieniu Klucza, nie mieliśmy wątpliwości, komu służyć...

- Więc zdradziliście Mitsuko... - Daniel, choć bał się nowych ciosów, nie potrafił ukryć pogardy. - Sprzedaliście ją mordercom...

- Owszem - mruknęła Ina i spojrzała na niego w znany mu już sposób, spod półprzymkniętych powiek, co sprawiało, że jej piękna skądinąd twarz zamieniała się w straszliwą maskę. - Zdradziliśmy ją. Sprzedaliśmy... Ludzie Pana weszli do jej domu dzięki nam. Pomogliśmy im też wytropić resztę uczniów. Olive i ja jesteśmy zdolni do wielu rzeczy,

Danielu. Zaraz się o tym przekonasz.

Pochyliła się ku jednemu z luster, odgarnęła włosy z ucha i włączyła komunikator. Mówiła do swego odbicia, jakby po drugiej stronie lustra był ktoś zdolny jej wysłuchać.

- Olive, zostaw małą samą w podziemiach.

## 7

Yun próbowała się nie bać. Próbowwała nieustannie od wielu godzin i prawie jej się to udawało. Aż do tej pory.

Bo do tej pory wszystko sprowadzało się do jeżdżenia z miejsca na miejsce, spełniania prostych poleceń i przebywania z Olive'em. Większość zdań zaczynała od: „Olive, mogę...?” i zazwyczaj okazywało się, że może. Olive nie był nawet taki zły, i całe szczęście, bo przecież nie odstępował jej na krok od czasu... No, od czasu wydarzeń w katakumbach, cokolwiek się tam właściwie stało. (Nie była pewna niektórych swoich wspomnień). Nie pozwalał jej tylko porozmawiać z tatą, ale poza tym zachowywał się całkiem miło. Tyle że potem, niestety, przywiózł ją do tego paskudnego drewnianego domu, w miejsce, gdzie rosły dziwne drzewa, nigdy nie świeciło słońce, a po niebie pływały ryby. Od tego momentu sprawy się skomplikowały.

Olive zaczął się nagle denerwować i wciąż zerkał na nią tak, jakby miał dla niej jakąś niespodziankę. Zresztą sam tak powiedział, kiedy zawiązywał jej oczy i knebłował usta.

- O nic nie pytaj. To niespodzianka.

I rzeczywiście: chodziło przecież ni mniej, ni więcej tylko o przyjazd taty.

Ale nie było to wcale takie przyjemne. Do tego momentu jakoś sobie radziła ze strachem i dopiero słysząc głos taty, poczuła, że jest małą dziewczynką, która najchętniej popłakałaby sobie w jego ramionach. Mogła się kontrolować tylko z dala od niego. W jego obecności się cieszyła, lecz zarazem o wiele bardziej bała.

Usiłowała się uspokoić, przychodziło jej to jednak z trudem. Zwłaszcza kiedy Olive, po zdjęciu jej opaski i knebla, oświadczył, że pójdą teraz na „spacer”. Spacer polegał na tym, że weszli przez okno do drewnianego domu, (zresztą najpierw Olive jakoś dziwnie się gibał na parapecie), a potem białymi schodami dostali się do pobielonej wapnem piwnicy. Tam przykucnęli przed jakimiś drzwiami ze szklaną futryną, ozdobionymi ślicznym, wrytym w szkle wazonem pełnym kwiatów. Olive przycisnął ucho do zamka i nasłuchiwał.

Starła się być dzielna, ale - nie bójmy się spojrzeć prawdzie w oczy, panienko, jak

mawiał jej nauczyciel, pan Phelps - czuła, że cała dygoce.

Tym bardziej że Olive wydawał się nie mniej przerażony niż ona.

- Możemy iść dalej - rzekł po jakimś czasie.

Pokój, w którym się znaleźli, był zimny i ciemny, lecz nie kryło się w nim nic strasznego. Kiedy jednak Olive wyjął z kieszeni płaszcz chustkę i knebel, Yun uznała, że dłużej tego wszystkiego nie zniesie. Nie chciała okazywać nieposłuszeństwa, ale to przerastało jej siły.

- Olive, proszę, nie zawiązuj mi oczu...

- Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę, Yun.

*Nie bójmy się spojrzeć prawdzie w oczy, panienko...*

- Olive... - Gdy świat pogrążył się w ciemnościach, zaczęła otwarcie płakać. - Nie... - Knebel zdusił jej dalsze słowa.

- Umiesz liczyć do dwudziestu, prawda? - odezwał się gdzieś z mroku głos Olive'a. - Licz, a ja się schowam. Kiedy skończysz, zaczniesz mnie szukać. Wolno ci zaglądać, gdzie chcesz, ale pod żadnym pozorem nie odsłaniaj oczu ani ust. Nawet gdybyś bardzo tego pragnęła. Do zobaczenia.

Yun jęknęła rozpaczliwie, podczas gdy jej umysł niby samowolny zegar zaczynał odliczać sekundy. Raz... W tym momencie drzwi z tyłu zamknęły się z lekkim trzaskiem. Dwa...

## 8

- Za jakieś piętnaście sekund, Danielu, twoja córka ruszy na samodzielny obchód domu. Istnieje pewna szansa, że za pierwszymi drzwiami pozostanie twoją córką, ale za drugimi...

- Ta książka - szepnął Daniel, celując palcem w niemal puste półki. - Zajrzyj do tej książki.

- Do której?

- Do tej w czarnych okładkach ze złoceniami.

Ina wskazała na jeden z tomów.

- Masz na myśli tę?

Daniel pokiwał głową. Ina wzięła książkę i pospiesznie ją przekartkowała, a potem uniosła w górę, tak by mógł dojrzeć napisy z przodu.

- Wiesz, co to jest? - zapytała, wskazując dziwne symbole. - To znaki. Tak wyglądały wyrazy zapisane w *kanji*, dawnym japońskim. *Ai Gei* - przeczytała. - Wiesz, co to znaczy? W wolnym przekładzie: miłość i sztuka. A więc mamy tu *Księgę Miłości i Sztuki* w tłumaczeniu na japoński. Zwykłą, najzwyczajszą Biblię. - Odrzuciła książkę ze złością i założyła ręce.

- A zatem trop, którego szukasz, kryje się w Biblii - szepnął Daniel, starając się, by jego słowa brzmiały przekonująco.

Pojął swój błąd, gdy Ina zwróciła ku niemu zastygłą w przerażającym grymasie twarz.

- Daniel, rozmawiasz z osobą głęboko wierzącą. Wyczuwam twoje kłamstwa każdą częścią ciała. Czy sądzisz, że nie przebadaliśmy dokładnie wszystkiego, co się tu znajduje? Mitsuko i jej lojalni uczniowie zostali starannie przepytani. Laboratorium wpadło w nasze ręce dość dawno... Ciebie potrzebujemy po to, żebyś podał nam informacje na tacy, a nie bawił się w zagadki! - Zamilkła na chwilę. Jej pełna górna warga uniosła się, odsłaniając zęby. - Głupi niewolniku, twoja córka idzie już przez pierwszy pokój... Za moment otworzy drzwi, nie czekając, aż dobiegną zza nich jakieś dźwięki, a wtedy jej umysł pograży się w tak głuchoj ciemności, jaka panuje w przestrzeni międzygwiazdnej... Masz ostatnią szansę... Czekam.

Daniel rozejrzał się z rozpaczą dokoła, szukając natchnienia. Dostrzegł zawieszony między półkami dziwny obraz przedstawiający podobne do gigantycznych owadów lub skorupiaków stworzenia o różowawych ciałach i błoniastych skrzydłach. Cokolwiek to było, unosiło się w powietrzu. Niżej, niemal muskając dolne kończyny tajemniczych istot, fruwały ptaki.

- Ptaki pod stopami - rzucił drżącym głosem.

Ina się zawahała.

- Powtórz - zażądała.

Uczył to, lecz niestety zerknął przy tym na obraz. Ina również popatrzyła w tę stronę i zaśmiała się sucho.

- Nadal próbujesz, co?

- Przysięgam, że tego nie wymyśliłem - skłamał. - Przyszło mi to do głowy, ot tak...

- Sekundy mijają...

- Ina, uwierz mi, błagam!

Słyszał swój własny głos i wychwytywał w nim fałszywe nuty. Ale jak miał ją przekonać, skoro nie wiedział, jakiego rodzaju informacji oczekuje?

Potem nagle coś się zmieniło.

Najpierw zauważył, że Ina wpatruje się w niego, jakby widziała go po raz pierwszy w

życiu. Następnie szybkim ruchem rozpięła pas, zdjęła z szyi łańcuch z krzyżem i wbiegła na kładkę. Daniel pozwolił się pociągnąć ku drzwiom prowadzącym do kolejnej sali. Tam przystanęli, nasłuchując. Chciał prosić, by skontaktowała się z Olive'em i kazała mu ratować Yun, ale w tym momencie ruszyli dalej. Przeszli przez pusty pokój i oto stali już na jakichś schodach. Wlokąc go za sobą, Ina popędziła na górę i po krótkiej chwili, odczekawszy kilka sekund przed kolejnymi drzwiami, znaleźli się na strychu o niskim, obitym drewnianymi listewkami suficie.

W odróżnieniu od poprzednich pomieszczeń to wydawało się wręcz zagrazone. Pełno tu było krzesel, kufrow, ułożonych w sterty pudeł, pustych ram po obrazach, metalowych karniszy, z których tu i ówdzie zwieszała się jakaś brudna zasłona... Podłogę pokrywały ceramiczne płytki.

Zdobione wizerunkami ptaków.

Daniela zdumiał ten zbieg okoliczności. Najwyraźniej szczęście mu sprzyjało.

Ina pchnęła go na podłogę.

- Szukaj.

- Ina... Powiedz Olive'owi, żeby...

- Szukaj, Kean.

Nie słuchała go, całkowicie zaprzątnięta jedną myślą. Włożyła inne rajtuzy. Były białe, we wzór z dużych rombów, i opinały się na jej silnych, zgrabnych nogach. Potem usiadła na wysokim stołku i oparła stopy o jego krawędź.

- Szukaj, Kean - powtórzyła.

Daniel przesuwał się na czworakach, wypatrując czegoś, co by ją zadowoliło. O ile w pustych salach na dole brakowało mu inspiracji, o tyle na tym dziwnym strychu miał problem zupełnie odwrotny: tajemniczych przedmiotów, które mogły okazać się ważne, było tu aż nadto. Nagle zauważył coś, co sprawiło, że zastygł w bezruchu.

Między jakąś ramą a kilkoma stalowymi prętami sterczał czyjś nos. Stanowiący część ciemnej twarzy. Daniel odsunął stojące mu na drodze graty i ujrzał wykonaną z metalu albo może kamienia rzeźbę - popiersie mężczyzny ze splecionymi dłońmi. Rozpoznał go natychmiast, na ustach Katsury Kushiro zastygł bowiem ten sam enigmatyczny uśmiezek co na zdjęciu, które pokazał Danielowi Darby. U podstawy popiersia widniały wyryte słowa:

Zacząłem podejrzewać,  
a teraz boję się, że wiem na pewno.

Jeszcze niżej podane zostało źródło cytatu: Najświętsza Biblia, Rozdział Czwarty, 2,29

- Tak brzmiało jego ulubione hasło - stwierdziła Ina. - Jak każdy Japończyk nienawidził zamkniętych całości, bał się pełnej wiedzy. Pewnie dlatego postanowił zrzucić swoje odkrycie na barki potomnych. I dlatego jego córka nie chciała szukać Klucza... - Ina się skrzywiła. - Choć potrafię zrozumieć tę filozofię, nigdy się do niej nie przekonam. Trzeba wiedzieć jak najwięcej, gdyż tylko wtedy jest się zdolnym do konfrontacji z Bogiem. Ale żeby postawić kilka kroków, a potem się wycofywać...? Czy to nie absurd? Wiesz, co myślę? Że to wszystko jest bez sensu. Dlaczego Klucz trafił w ręce kogoś takiego jak Kushiro? Dlaczego tobie przypadła rola posłańca? Dlaczego nie mnie? Po co komu taka przeciętna, bezmyślna jednostka jak ty? Taki niewolnik, takie niewierzące nic...?

- Chyba znam odpowiedź na twoje pytania - rzucił wyzywająco Daniel. - Ty też jesteś przeciętna i bezmyślna, jeśli jeszcze nie zauważyłaś, że...

- Że co?

- Że cię oszukują, Ino.

- Nie rozumiem.

- Rozejrzyj się. Zostawili cię samą. Dlaczego nie ma przy tobie tego, którego nazywasz Panem? Ani Prawdy? Dlaczego tak im zależało, by mnie tu ściągnąć, a nikt się jakoś osobiście nie pofatygował? Powiem ci dlaczego: bo nikt poza tobą nie wierzy, że powiem coś, co byłoby warte uwagi. Nikt nie wierzy w objawienie.

Ina wstała powoli i ruszyła w jego stronę. Wyraz jej twarzy nie wróżył niczego dobrego, lecz Daniel, wciąż na czworakach, ciągnął tym samym tonem:

- Więc wysłali ciebie, głupią niewolnicę... Niech się nacieszy iluzjami... I powiem ci coś jeszcze: twój Pan i Prawda nie zamierzają wcale zniszczyć Boga. Przeciwnie, chcą go uratować, niszcząc Klucz...

- Kłamiesz!

Ina stała teraz tuż przy nim, zaciskając pięści tak mocno, że zbieleły jej kłykcie. Jej rozedrgana od sprzecznych emocji twarz przywodziła na myśl wodę, którą ktoś zmacił kamieniem. Daniel bał się, że Ina zaraz go uderzy, a jednak mówił dalej:

- Jakich argumentów użyli, by cię przekonać, co? Twierdzili, że myślą tylko o tym, jak pomścić krzywdę wyrządzoną przez Boga kobietom? - Uśmiechnął się drwiąco. - Wykorzystali cię... Bo bez twojej pomocy nigdy nie pokonaliby Mitsuko. Ale kiedy dostaną to, na czym im zależy, zabiją nas wszystkich. Nie wyłączając ciebie i Olive'a.

- To kłamstwo! - krzyknęła Ina, patrząc dokoła rozgorączkowanym spojrzeniem.



Na to właśnie czekał Daniel. Prawą ręką wymacał na podłodze żelazny pręt, zebrał wszystkie siły, zamachnął się i uderzył. Trafił Inę w lewy bark. Dziewczyna zachwiała się i upadła, łamiąc kilka ustawionych obok pustych ram. Daniel zerwał się na nogi i znowu się zamachnął. Ta sama desperacja, która sprawiła, że zaczął tę walkę, dodawała mu teraz sił, by ją skończyć.

- Nie dasz rady zabić kogoś, kto ma głęboką wiarę... - powiedziała Ina, nawet nie próbując się uchylić.

Tym razem pręt zabarwił się na czerwono. Coś trzasnęło, jakby zepsuł się jakiś mechanizm w jej głowie, choć Daniel odnosił wrażenie, że wszystkie musiały być zepsute już od dawna.

Jednakże przy trzecim uderzeniu pręt napotkał na swej drodze wyłącznie przedmioty nieożywione, jakby Inie udało się w końcu stopić z otoczeniem i zamienić w drewno, szkło albo kamień. Daniel sądził przez chwilę, że po prostu znikła. Dopiero gdy usłyszał za plecami jej głos, zrozumiał, że przemieściła się z niewiarygodną wprost prędkością.

- Nie zdołasz mnie zabić...

Daniel zakręcił swoim zaimprovizowanym orężem, ale pręt nie sięgnął celu: lewa ręka Iny zatrzymała go w powietrzu, podczas gdy prawa zacisnęła się na gardle Daniela, popychając go w kąt.

- Jestem jak wielki kot - wychrypiała Ina. Jej twarz przypominała teraz zakrwawioną maskę. - Poluję i pożeram.

Do płuc Daniela przestało dopływać powietrze.

## 9

Poruszając się tak ostrożnie, jakby ściany dokoła najeżone były ostrzami, Anjali Sen weszła przez okno do laboratorium.

Udało się. Najtrudniejsze miała za sobą.

Ujrzała dwoje drzwi. Otworzyła te po lewej stronie, upewniwszy się, że dobiega zza nich cichutki dźwięk przywodzący na myśl skrobanie pazurków małego zwierzęcia. Krótki korytarz prowadził do kolejnego pomieszczenia i dalej na schody. Osiem sal na pamiętkę ośmiu części Rozdziału Siódmego - Anjali знаła plan konstrukcji. Miała nadzieję, że odszuka dziewczynkę w miarę szybko i że ten, kto jej pilnuje, nie okaże się zbyt niebezpieczny. Potem zamierzała odnaleźć Daniela Keana.

Zbiegła po schodach i znalazła się w małym holu przed zamkniętymi drzwiami osadzonymi w szklanej futrynie. Odczekała chwilę, a usłyszawszy po drugiej stronie szelest, nacisnęła klamkę.

Pokój był duży i pusty, o ścianach zdobnych w żółte arabeski. W głębi ciemniały kolejne drzwi. Anjali podeszła do nich, przez moment nasłuchiwała, po czym pchnęła je zdecydowanie.

Jednym spojrzeniem objęła błękitną salę, ustawione na środku podium z kilkoma błękitnymi sześcianami o nieznanym przeznaczeniu, a także kolejne drzwi, do których otwarcia szykowała się właśnie zakneblowana dziewczynka z zawiązanymi oczyma.

- Nie! - krzyknęła Anjali.

Dopadła dziecka kilkoma susami i przytrzymała je za ramiona, zastanawiając się, czy nie jest za późno. Dziewczynka się rozplakała. Anjali chciała właśnie rozwiązać opaskę zasłaniającą jej oczy, gdy usłyszała otwierające się z tyłu drzwi.

- Proszę, proszę... Goście... Cieszysz się, Yun? Wiedziałem, że im się udało... Popatrz tylko, kogo my tu mamy... Kimkolwiek jest ta pani, na pewno czuje się niezwykle dowartościowana faktem, że zdołała wejść do laboratorium... - Olive wyrzucał z siebie kolejne zdania jak wyuczoną lekcję.

Wspiął się na niebieskie podium i usiadł, zwieszając nogi. Sprawiał wrażenie, jakby szykował się do jakiegoś rytuału - albo tak się zdawało Anjali. Jedną ręką szarpał zapięty pod płaszczem pas, chcąc go zdjąć, w drugiej trzymał wycelowany pistolet.

Anjali od razu zrozumiała dwie rzeczy: po pierwsze, że jej przeciwnik denerwuje się znacznie bardziej niż ona, po drugie zaś, że nie jest groźny. Nawet naga i nieuzbrojona, zdecydowanie nad nim górowała. Zasłaniając sobą dziewczynkę, stanęła do niego przodem.

- Co zrobiliście temu dziecku?

Olive opuścił pistolet i mocował się z pasem, używając teraz obu dłoni.

- W sumie nie wiem... - odparł, a w jego głosie zabrzmiała szczerłość. - Kazaliśmy jej przejść się po domu. Prawda, Yun? Odbyć mały spacerek...

- Zostawiliście ją samą w tym miejscu? - spytała z niedowierzaniem Anjali. - Co z was za bestie...

Olive nie potrafił się chyba zdecydować, czy dokończyć sprawę z pasem, czy jednak celować do Anjali z pistoletu, w związku z czym nie mógł być skuteczny ani w jednym, ani w drugim. Anjali wiedziała, że jeśli zdoła rozpiąć pas, zaatakuje - prawdopodobnie za pomocą fal dźwiękowych.

- To nie był mój pomysł - oświadczył - tylko Iny. Ale naprawdę ważne...

najważniejsze jest to... co zaraz mi zrobisz... - Zamilkł nagle i uśmiechnął się szeroko. Uśmiech, rozciągając jego białą, okrągłą twarz i zwężając oczy, nadawał mu wyjątkowo niemądry wygląd. - To znaczy... Wcale nie to chciałem powiedzieć... Chciałem powiedzieć, że najważniejsze jest to, co ja zrobię tobie. Dlaczego się pomyliłem?

Anjali Sen milczała, wpatrując się w niego płonącymi oczami.

Na twarzy Olive'a odmalował się paniczny strach.

- Nie... nie pozwolę ci... - jęknął i przyłożył pistolet do skroni.

- Nie wygłupiaj się - rzuciła Anjali. - Nie będziesz mi się tu zabijał. Odłóż to i zejdź na dół - rozkazała.

Olive posłusznie odrzucił broń i zeskoczył. Ale zamiast się zatrzymać, popędził ku drzwiom, łkając jak przestraszone dziecko i krzycząc:

- Ina! Ina! Są w środku! Pomóż mi!

Otworzył drzwi i wybiegł do kolejnego pokoju.

Nie czekając, aż coś usłyszy.

## 10

Dusił się, ale wciąż trzymał pręt.

Udał, że go puszcza, po czym niespodziewanie pociągnął. Zaskoczyło to Inę na tyle, że pręt wysunął jej się z rąk. Cios trafił ją w sam środek twarzy, trzasnęła pękająca kość, głowa zachwiała się. Ucisk na gardle Daniela ustąpił - rozcapierzona dłoń Iny odskoczyła, uderzając w ścianę. Z gzymsu sypanął się grad rozmaitych przedmiotów; niektóre spadły na leżące bez ruchu ciało.

Gdy doszedł do siebie, zrozumiał, że Ina nie żyje, ale zanim w pełni to do niego dotarło, usłyszał krzyki. Albo raczej straszliwe wycie, któremu towarzyszył głuchy łoskot. Dźwięki te rozlegały się coraz bliżej, a Daniel nie miał ochoty stanąć twarzą w twarz z tym, co je wydawało. Uciec drzwiami już nie mógł, rozejrzał się więc za jakąś kryjówką. Strych był jednak mały i choć wszędzie piętrzyły się sterty przedmiotów, nie było gdzie się schować. Daniel poczuł się jak w potrzasku, w tej wszakże chwili jego wzrok przyciągnęła drewniana, zamknięta na zasuwę kłapa w suficie ponad zwłokami.

Wspiąwszy się na palce, zdołał ją otworzyć. Z góry spłynęła metalowa drabinka, zgrzytając jak zęby. Prowadziła w jakieś bardzo ciemne miejsce; nie był to chyba osobny pokój, lecz wydzielona tuż pod dachem część strychu.

Daniel wdrapał się tam pospiesznie i nawet nie rozglądając się wokół, wciągnął za sobą drabinkę i zamknął klapę - w samą porę, ponieważ właśnie w tym momencie drzwi na strych stanęły otworem.

Przez szczelinę w podłodze Daniel zobaczył Olive'a. Bo był to bez wątpienia on: w czarnym płaszczu, z długimi włosami. Musiało mu się jednak przytrafić coś strasznego, nie przestawał bowiem wyć jak zranione zwierzę. Daniel natychmiast pomyślał o Yun i przeszedł go dreszcz zgrozy. Olive tymczasem miotał się po pokoju na dole, ukazując się Danielowi to w jednej, to w drugiej szczelinie, i wszystko wskazywało na to, że jeśli nawet jeszcze nie zauważył trupa Iny, dostrzeże go lada chwila, po czym zwróci uwagę na klapę.

Zamiast tego jednak skierował się ku drzwiom i wypadł na schody. Jego krzyki brzmiały coraz słabiej, aż w końcu całkiem wtopiły się w ciszę. Daniel trwał przez kilka chwil bez ruchu, a potem odetchnął z ulgą.

Teraz należało odnaleźć Yun i wydostać się z laboratorium. Pytanie, dlaczego Olive był sam, sprawiało, że Daniel drętwiał z przerażenia, myśląc o najgorszym.

Już miał podnieść klapę, gdy nagle kątem oka dojrzał jakiś kształt. Zerknął w tamtą stronę.

I stłumił krzyk.

## 11

Pośród ciemności bieląca czyjaś twarz. Twarz trupa.

Widział ją jak przez mgłę - zarys nosa i kości policzkowych, ciemne oczodoły - a mimo to od razu rozpoznał Katsurę Kushiro.

Bardzo chciał uciec, ale jego spojrzenie, niby posłusznie warujący pies, nie mogło się oderwać od zjawy. Zwłoki leżały na zniszczonej sofie, okryte kocem, spod którego wystawały otwarte dłonie. Skąd się tu wzięło to ciało? Dlaczego przeniesiono je w to miejsce, zamiast skremować? A może Katsura Kushiro wcale nie był martwy?

Daniel klęczał sparaliżowany ze strachu. Wreszcie z trudem odwrócił głowę, jakby żywił dziecinną nadzieję, że kiedy znowu tam spojrzy, przekona się, że okropne zjawisko zniknęło.

Po dłuższej chwili jego oczy przywykły do mroku rozjaśnianego jedynie przez kilka smug pylistego światła. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu o skośnym suficie odpowiadającym z pewnością krzywiźnie dachu. Koło klapy nie dało się nawet wyprostować,

dalej jednak (w pobliżu trupa) było nieco więcej przestrzeni.

Choć obecność zwłok napawała Daniela przerażeniem, coś w ich układzie - w odwróceniu głowy, nienaturalnej pozycji rąk - budziło również ciekawość.

Zaczął przesuwac się na czworakach. Deski podłogi trzeszczały najpierw cienko i przeciągle, gdy jednak dotarł na środek pomieszczenia, wydawany przez nie dźwięk zmienił się w rodzaj rytmicznych treli.

Daniel zastygł w zdumieniu: ten odgłos kojarzył mu się z... Z czym właściwie? Nagle przypomniał sobie parki za miastem, Yun biegnącą wśród drzew...

Śpiew ptaków.

Wtedy baczniej przyjrzał się zwłokom. W gruncie rzeczy była to wyłącznie twarz, a właściwie maska, oraz dwie dłonie, lśniaco białe, starannie ułożone na tle czarnego obicia sofy, zupełnie jakby komuś zachciało się makabrycznych żartów. Maska została zrobiona z jakiegoś plastycznego materiału. Tylko po co? Daniel zrozumiał dopiero po chwili.

Pomyślał o widzianym na dole popiersiu. Maska na pewno posłużyła do jego wykonania. Kto ją tu jednak zostawił? I w jakim celu? Może zresztą nikt - Daniel zauważył kilka zrzuconych z półki pudełek, których zawartość rozsypała się po całym pomieszczeniu. Odlewy twarzy i dłoni też mogły stamtąd wypaść. Nie dało się wykluczyć, że to Ina, uderzając o ścianę, wywołała tę małą katastrofę.

Tak czy owak wsparta o zagłówek maska zdawała się na niego patrzeć. Postąpił ku niej jeszcze krok i znowu usłyszał ten dziwny, ptasi trel.

Ptaki pod stopami.

Trochę zbyt dużo zbiegów okoliczności. A przecież sam wymyślił to zdanie, żeby zająć czymś Inę. Wymyślił je, zainspirowany głupim obrazkiem. Ale co ze wzorem na płytkach i tym odgłosem wydawanym przez deski? Jedynie ludzie wierzący, skłonni wszędzie dopatrywać się znaków, przywiązywali do tego jakąś wagę. A jednak...

W tym momencie zauważył coś jeszcze. W pośmiertnej masce Katsury błyszcząły żywe, wpatrzone w niego oczy.

## 12

Zgroza, niczym niewidzialna dłoń, pchnęła go do tyłu. Wtedy niespodziewanie podłoga ugięła się mu pod stopami i pękła z trzaskiem.

Runął w dół w powodzi drewnianych odłamków, ale zamiast zatrzymać się na

niższym poziomie, poczuł, że wciąż spada, leci przez czarną próżnię...

Ktoś wołał go z głębin ciemności. Potem zobaczył nad sobą czyjąś twarz.

- Spokojnie - powtarzał Darby. - Spokojnie, Danielu.

Był całkiem spokojny. Po prostu próbował się poruszyć. Rozejrzał się wkoło. Leżał na czymś w rodzaju składanej sofy, w pomieszczeniu tak niskim, że siedzący obok Darby musiał się garbić. Nie było tu żadnych okien, światło biło z niebieskich paneli. Wszystko delikatnie się kołysało.

- Gdzie jestem?

- W naszym pojeździe - odrzekł Darby, skubiąc brodę i lekko kręcąc łysą głową. - Wracamy do Tokio.

Daniel pomyślał, że śni. Ból w karku uniemożliwiał mu koncentrację. Mimo to natychmiast zadał pewne pytanie. Jedyne, na które odpowiedź musiał znać od razu.

Darby się uśmiechnął.

- Wszystko z nią dobrze. Odpoczywa w kabinie obok. Anjali zdążyła na czas... Ten cały Olive miał mniej szczęścia... Oszczędzę ci szczegółów. Tak czy owak, kiedy Anjali cię znalazła, już nie żył.

Daniel wzdrygnął się.

- Słyszałem, jak wył...

- Nie dało się z tego wyłowić „żadnej spójnej wypowiedzi”, wedle słów Rozdziału Siódmego. Ale najważniejsze, że odzyskałeś przytomność. Najprawdopodobniej zarwała się pod tobą podłoga stryszkę, spadłeś i uderzyłeś się w głowę. Leżałeś bez życia do tej pory...

W głowie Daniela zaroilo się od niewyraźnych obrazów. Czy naprawdę widział oczy w pośmiertnej masce Katsury? Niemożliwe. Wyobraźnia spletała mu figla.

Wtedy przypomniał sobie o czymś jeszcze, a spojrzawszy na Darby'ego, poznał, że i on o tym myśli. Przez chwilę panowało milczenie.

- Danielu, wybacz nam - mruknął w końcu Darby. - Nie powiedzieliśmy ci prawdy.

- Wiem. Jeszcze u siebie w domu zacytowałeś Klauza Siegla: „Kto wie, dlaczego wybrańcy zostali wybrani”... Wtedy to przeoczyłem, ale później uświadomiłem sobie, że nie mógłbyś wiedzieć, co mówił Klaus, gdybyś nie miał kontaktu z Olsenem... Bo tylko on słyszał naszą rozmowę w pociągu.

Darby skinął głową.

- Olsen naprawdę piastował wysokie stanowisko w Wydziale Bezpieczeństwa, zarazem jednak zajmował się różnymi zadaniami specjalnymi. Chcieliśmy, by wraz z Mayą odszukał *messenja*, ale przysięgam, że nigdy nie kazaliśmy mu porywać twojej rodziny,

przesłuchiwać cię czy wysługiwać się ludźmi w rodzaju Moona... Kiedy odkryliśmy, że pracuje dla kogoś innego, było już za późno. Nasz błąd, za który biorę całkowitą odpowiedzialność, polegał na tym, że nie wyznaliśmy ci prawdy od razu. Uznaliśmy, że straciłbyś do nas zaufanie... Ale odpocznij... Musisz się zdrzemnąć, potem porozmawiamy...

Daniel widział jego twarz coraz mniej wyraźnie. Rzeczywiście, teraz, gdy zeszło z niego całe napięcie, poczuł się straszliwie zmęczony.

- Wszystko to i tak na niewiele się zdało - wymamrotał ostatkiem sił. - Żadnego objawienia nie było... Nic sobie nie przypominałem...

I zapadając w sen, usłyszał jeszcze daleką jak echo odpowiedź Darby'ego:

- Mylisz się, Danielu. Przypomniałeś sobie, co trzeba. Dzięki tobie wiemy już, gdzie jest Klucz do Otchłani.

# Rozdział ósmy

## *Dom*

### 1

Ciemność przybrała kształt białej, nieruchomej twarzy. Wciąż był na strychu z maską Katsury. A właściwie nie tyle na strychu, ile w owej ciasnej przestrzeni pod samym dachem, gdzie schronił się, słysząc straszne krzyki Olive'a.

Ze zdziwieniem spojrzął na podłogę: wszystkie deski zdawały się całe. Rozmowa z Darbym musiała mu się zatem przyśnić.

Żeby stanąć na nogi, należało się schylić. Wedle Rozdziału Ósmego spadziste dachy niosły z sobą zagrożenie: zbyt łatwo pozwalały przedostać się do środka złu. Bijou nigdy nie zgodziłaby się zamieszkać w domu z takim dachem. Strychy i poddasza oznaczały niebezpieczeństwo, nie tylko dla wierzących.

Maska budziła zgrozę, lecz była jedynie przedmiotem. Przez chwilę sądził, że dostrzega błyszczące w niej oczy, władcze, ale i przerażone. Pomylił się jednak: przez skośne otwory przezierają po prostu ciemne obicie sofy.

Przed wszystkim musiał odnaleźć Yun. Co się z nią działo, skoro Olive oszalał? Czy również otworzyła pochopnie jakieś drzwi?

Nagle stało się coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Leżąca na sofie maska się poruszyła. Wyglądało to tak, jakby pod spodem formowała się twarz. Twarz pozbawiona jeszcze rysów, z dziurą w miejscu ust, dziurą, z której wydobywały się słowa mające swe źródło w najczarniejszej ciemności:

- Jestem tym, co zobaczysz tuż przed śmiercią, wszystkim, co w tobie najgorsze, miejscem, w którym znajdziesz się, gdy umrzesz...

- Starczy już, Danielu - powiedział doktor Schaumann i Daniel otworzył oczy.



Moon niepokoił się nie na żarty.

Choć właściwie nie miał powodu. Zrobił, co do niego należało. Teraz pozostawało jedynie czekać, aż Blondyna stawi się na umówione spotkanie przy pierwszej śluzie Strefy i wręczy mu obiecaną zapłatę. Myślał już tylko o tym, żeby wyjechać z przeklętej Japonii i wrócić z Lamem do Europy. Zamierzał przez jakiś czas odpoczywać, zafundować sobie kilka nowych, kosztownych tatuaży, trochę ozdób i perfum. Umowa, którą zawarł z Panem - ku jego wielkiemu zadowoleniu - wygasła.

Ale jakoś nie czuł radości.

Oczywiście ten stan ducha mógł się wiązać ze snem, jaki nawiedził go podczas drzemki u boku Lama. Przyśnił mu się czarnowłosy młodzieniec, mający na sobie ceremonialny pas z frędzlami i podwójny naszyjnik z pereł. Młodzieniec ów kołysał się w ciemnościach w cichym, nieprzerwanym tańcu, a jego ziemista skóra połyskiwała od potu.

Tym wszakże, co wstrząsnęło Moonem, były rysy tamtego.

Do złudzenia podobne do jego własnych.

Wiedział, co o tym sądzić. Wierzył w Miasto, ostateczny cel wszystkich bytów, i zaraz po przebudzeniu zdał sobie sprawę z tego, że widział zapowiedź swojego życia po śmierci. Tak oto spędzi wieczność: przystrojony w pas z frędzlami i podwójny sznur pereł, które symbolizowały przecież niekończące się, prowadzące do obłędu poddaństwo władcom śmierci.

Niepokoju wywołanego przez ten koszmar nie łagodziła bynajmniej perspektywa spotkania z Turmaline, która zresztą spóźniała się jak zwykle, a w dodatku już kilka godzin wcześniej przekazała mu nieprzyjemne wieści.

- Ina i Olive zawiedli - oświadczyła tak spokojnie, jakby rozważała jakiś czysto teoretyczny problem. Nigdy nie okazywała emocji, zaprojektowana ściśle wedle życzeń Pana.  
- Nie żyją.

Głupcy, pomyślał wtedy.

- A ta informacja, na której tak wam zależało...? Objawienie...? - spytał, rad w duchu, że Turmaline nie może dostrzec cynicznego uśmiechu, jaki wykrzywił mu usta, ponieważ połączenie miało charakter wyłącznie dźwiękowy.

- Nie twoja sprawa - warknęła po chwili wahania.

- Przepadło, co? - rzucił. - Rozumiem, że Kean i jego słodka dziewczuszka... - dodał,

zanim Turmaline zdążyła się odezwać.

- Wymknęli się. Są z tamtymi. Wedle ostatnich informacji przebywają wszyscy na wyspie Sentosa koło Singapuru, w posiadłości Meldona Rowena.

- Co planujecie?

- Powtarzam, że...

Tak, to już nie była jego sprawa. Uznał, że dobrze, aby wszyscy o tym pamiętali, łącznie z Panem. Dlatego zmienił ton i temat.

- Czekam obok śluzy, przy wyjeździe ze Strefy. Kiedy mi zapłacisz?

O tym mógł z nią mówić swobodnie.

- Jestem w trakcie przygotowań - odparła. - Będę na miejscu za trzy godziny.

Słowo „przygotowania” miało w przypadku Turmaline szczególne znaczenie. Moon wiedział, że pokryte złotem metalowe nici na jej głowie wymagają odpowiedniej temperatury i wilgotności. W miejscach takich jak Strefa, leżących kilkaset metrów pod poziomem morza, mogły ulec zniszczeniu w ciągu kilku dni. Moon czekał już ponad trzy godziny. Zabijał czas, rozmyślając o nocnym koszmarze, a także o wypadkach z ubiegłej nocy. Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby nie zaskakujące posunięcia Pana.

Wystarczyłoby, żeby pozwolili działać jemu, Moonowi, tak jak pierwotnie zamierzali, a nie byłoby teraz mowy o przegranej. Dlaczego pod koniec odsunęli go na boczny tor? Czemu służyła ucieczka Keana i Iny, tej bezużytecznej, słabowitej pupilki Mitsuko? Czyżby Pan nie wierzył, że on, Moon, posłucha jego rozkazów i przekaże mu wskazówki Katsury? Może i tak. Może ten człowiek, którego wszyscy nazywali Panem, znany Moonowi wyłącznie ze słyszenia, sądził, że Moon pragnie czegoś więcej niż pieniędzy. Też pomyśl!

A może chodziło o coś innego? Może istniało subtelniejsze wyjaśnienie wszystkich tych pozornie błędnych decyzji? Z tego, co opowiadała Turmaline, wynikało, że Pan jest wyjątkowo sprytny. Podobnie jak Prawda...

Moon znieruchomiał.

Prawda.

Przyszło mu do głowy wytłumaczenie tego, co się stało. Najbardziej prawdopodobne. Jeśli nie jedyne.

O ile się nie mylił - a był pewien, że się nie myli - miał jeszcze szansę się odegrać.

Daniel, choć zgodził się na te sesje, nie był nimi zachwycony. Teraz, gdy najgorsze minęło, wolałby jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, a próby, którym poddawał go doktor, wymagały przypominania sobie całej sprawy w najdrobniejszych szczegółach. Mimo to dobrze się czuł w towarzystwie Schaumanna. Biła od niego energia i radość życia, które on sam w dużej części utracił.

- Przed kolejnym podejściem weźmiemy relaksującą kąpiel - oświadczył doktor tego właśnie poranka.

Przebywali na Sentosie już pełną dobę i Daniel zdążył dokładnie obejrzeć całą posiadłość Rowena, a mimo to znowu zdumiał się na widok gigantycznej, określanej tu mianem łazienki, wyłożonej marmurem sali, w której wszystko służyło jak największemu zadowoleniu mieszkańców i gości, nawet obsługa, złożona z młodziutkich chłopców i dziewcząt o śniadej skórze, kruczoczarnych włosach i harmonijnych, uperfumowanych ciałach idealnie wpisujących się w łagodne linie wnętrza. Uczynność tych młodych ludzi, gotowych na każde skinienie, nieco krępowała Daniela. Schaumann natomiast był najwyraźniej w swoim żywiole i z zadowoleniem moczył się w turkusowej wodzie, wystawiając zgrabne łydki na masaż strumieni tryskających z gardeł dwóch gargulców z brązu.

- Osiągnąwszy pewien wiek - opowiadał, uśmiechając się wesoło spomiędzy obłoczków pary wodnej - zrozumiałem, że zamiast być bogatym, wolę mieć bogatego przyjaciela. Spędzam u Rowena sporo czasu. Są tu piękne ogrody i plaża... Zresztą, potem zabiorę cię na przechadzkę po okolicy... Takiej właśnie atmosfery mi trzeba... - Dotknął piersi gestem, którego Daniel w pierwszej chwili nie zrozumiał. - Bo widzisz, mam chyba coś z sercem - wyjaśnił Schaumann. - Serce, nasz słaby punkt, sam wiesz... Moje ma się nie najlepiej już od dawna. Czasem myślę, że to przez starą „miłość”... - Uśmiechnął się zagadkowo. - Choć może to też kwestia wieku. Powiesz pewnie, że sześćdziesiąt dwa lata to nic dla dobrze zaprojektowanego ciała, ale wiek mierzy się nie tylko latami. Także nuda robi swoje...

- Gdybym mieszkał w takim miejscu, nigdy bym się nie nudził - stwierdził Daniel.

- Zapominasz, że tutaj mieszka Rowen, a ja go tylko czasami odwiedzam. Poza tym moje życie jest mało ekscytujące. Ale dość tego. Obowiązki wzywają.

Doktor tryskał humorem od chwili, gdy znaleźli się na Sentosie. Jak sam mówił, uwielbiał cały Singapur, począwszy od budynku dworca lotniczego w kształcie turkusowego minaretu - pełnego czujnych jak koty i urodziwych jak Anjali Sen strażników obojga płci - po dżunglę, odtworzoną podobno na podstawie jednego fraktala, którego wzór powtarzał się w

nieskończoność w każdym jej elemencie, choćby w liściach paproci i palm czy skrzydłach motyli. „Zgadzam się z opinią, wedle której jedynie matematyka pozwala zrozumieć dżunglę”, mawiał Schaumann. „Singapur to ulubione miejsce artystów i naukowców. Nikt ci nie przeszkadza, masz wszystko, czego potrzebujesz, i możesz marzyć. Całość zdaje się na pierwszy rzut oka chaotyczna, ale przyjrawszy się lepiej, dostrzegasz prawidłowości. No i najwyklesza wyprawa za miasto zastępuje najlepszą lekcję geometrii”, żartował.

Na Daniela z kolei nowe otoczenie działało przygnębiająco. Tęsknił za monotonią zurbanizowanej Północy, za codzienną rutyną i marzył, by do tego wszystkiego jak najszybciej wrócić.

Posiadłość Meldona Rowena znajdowała się na Sentosie, wyspie położonej na południe od stolicy, połączonej z resztą kraju systemem mostów i otoczonej falochronami, które zasłaniały horyzont, co było zresztą korzystne o tyle, że Dom Boga - morze - nie rzucał się nikomu w oczy. Plaża, pilnowana przez strażników i bez przerwy monitorowana, nie wychodziła na otwarty ocean, lecz na spokojną zatoczkę. Ludzie wypoczywali tam lub się modlili, śpiewając na brzegu. Z rozciągającej się wokół dżungli wystrzelały w niebo białe i niebieskie stożki lśniące w promieniach słońca - budynki, w których mieściła się firma Rowena.

Dom wyłonił się spośród zieleni tak nagle, że Daniel w pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom: budynek, wsparty na czterech prostopadłościennych jadeitowych kolumnach, wokół których zawijały spiralne schody, zdecydowanie górował nad dżunglą. Daniel był urzeczony również pięknem ogrodu, ozdobionego hebanowymi rzeźbami z niezwykłą wiernością przedstawiającymi postaci ludzkie.

Wrażenie poruszania się po spirali bynajmniej nie opuszczało człowieka po pokonaniu schodów. Pokoje były okrągłe, bez kątów. Wszelkie linie pionowe z bliska okazywały się obłymi kolumnami. Trójkąty i kwadraty zostały najwidoczniej zakazane, wzornictwo opierało się na motywie koła. Co do reszty, Danielowi wystarczyła informacja, że przydzielono mu osobny pokój, z którym sąsiadowała sypialnia przeznaczona dla Yun.

- Przygotujemy też pokój dla twojej siostry - rzekł Rowen. - Już wysłałem do niej wiadomość i jeszcze dziś w nocy specjalny pojazd powietrzny zabierze ją z Paryża.

Daniel, wreszcie wolny - wołał nie używać słowa „bezużyteczny” - i bezpieczny wraz z Yun, chciał od razu wracać do Europy. Zgodził się jednak na krótki wypoczynek w imponującej posiadłości Rowena. Pomysł ściągnięcia na wyspę siostry przyszedł mu do głowy natychmiast po przylocie do Singapuru. Rowen nie stawiał przeszkód. Wyraził tylko prośbę - Daniel wołał nie używać słowa „żądanie” - by w zamian za to jego gość zgodził się

na sesje z Schaumannem.

Odbywały się one w sali położonej w najwyższym punkcie domu i zdecydowanie różniące się od reszty pomieszczeń: każda ściana stykała się tu z inną pod kątem prostym, a sufit opadał niemal równie stromo jak na strychu Katsury Kushiro. Na umeblowanie składały się stoliki zastawione serwisami do herbaty, sofy i zyrandole.

- Mamy już za sobą dwie próby, doktorze - powiedział Daniel. - Ilu ich jeszcze potrzeba?

- Och, najwyżej dwóch - Schaumann popatrzył na niego od okna. Nie ubrał się po kąpieli i jego smukła sylwetka odcinała się na tle złocistego zachodu słońca, podczas gdy twarz tonęła w cieniu. - Musimy się upewnić, czy w twojej podświadomości nie ukrył się jakiś istotny szczegół.

- Nie rozumiem, skąd pewność, że to, co już ustaliliśmy, jest w ogóle istotne - rzucił Daniel. - Wtedy, w laboratorium, wypowiedziałem jedynie kilka przypadkowych zdań...

- Ty uważasz je za przypadkowe, poza tym nic na to nie wskazuje - zaprotestował Schaumann, ciągnąc kwadratowy stolik w stronę Daniela. - Twierdzisz, że znalazłeś to pomieszczenie na górze przez przypadek i że równie przypadkowo wypowiedziałeś zdanie: „Ptaki pod stopami”. A jednak deski na poddaszu skrzypiały w sposób przywodzący na myśl ptasie trele...

- Kolejny przypadek.

- Niekoniecznie - upierał się doktor. - Laboratorium zostało zbudowane wedle ścisłych wskazówek Katsury Kushiro. Jeśli tamte deski wydawały jakiś niezwykły dźwięk, to tylko dlatego, że Kushiro sobie tego życzył. W pewnym momencie odniosłeś wrażenie, że jego pośmiertna maska na ciebie patrzy, cofnąłeś się, podłoga pękła, spadłeś i straciłeś przytomność... Kiedy Anja cię znalazła, mruzczałeś w kółko te same wyrazy...

- I co z tego? Co z tego, że mamrotałem: „maska i dłonie”, „ptasie trele”, „klapa” i... zapomniałem.

- „Metalowa drabinka” i „spadzisty dach” - odpowiedział Schaumann.

- To wszystko bezpośrednie wspomnienia! Klapa i drabinka prowadziły do tego pomieszczenia pod dachem. Spadzistym zresztą. Gdzie zobaczyłem maskę i dłonie. A co do „ptasich treli”...

- Wiem, wiem.

- No właśnie. Gdybym zemdlał tutaj, w tym pokoju, bełkotałbym zapewne: „krzesła z giętymi nóżkami”, „zasłony” albo „goły doktor ciągnący stolik”...

Schaumann parsknął śmiechem, siadając na stole naprzeciwko Daniela.

- Może masz słusność - przyznał. - To wielce prawdopodobne. Ale nie mówimy tu o prawdopodobieństwie, Danielu, ani o sprawach zrozumiałych dla rozumu. Zstąpiliśmy na głębszy poziom, poziom wiary. - Uśmiechnął się łagodnie. - Niczego nie da się jednoznacznie wytłumaczyć; to jedna z rzeczy, których nauczyło mnie życie. Przedmioty ukazują się naszym oczom całkiem niewinne, pytając: „Czym jestem?”. I dopiero w zależności od naszej odpowiedzi stają się tym lub owym... Albo i tym, i owym. Rozdział Ósmy, oparty skądinąd na ścisłej wiedzy matematycznej, głosi, że spadziste dachy są również drzwiami do innych wymiarów. Wolno ci się upierać, że dach to dach, a nie żadne drzwi, ale jedyne, co w ten sposób osiągniesz, to to, że nigdy nie otworzą się akurat przed tobą, rozumiesz?

- W takim razie co jeszcze mogą znaczyć wyrazy, które wymamrotałem? Co Katsura Kushiro miałby za ich pomocą przekazać?

Doktor Schaumann już otwierał usta, gdy nagle podniósł palec wskazujący i uśmiechnął się zagadkowym, pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Lepiej, żebyś chwilowo nie wiedział nic ponad to, co już wiesz - rzekł. - Weźmy się do pracy.

## 4

Turmaline i Moon przez przypadek ubrali się bardzo podobnie: obydwójce mieli na sobie cienkie tuniki - Turmaline bardzo wydekoltowaną, szarą w pomarańczowe wzory, Moon zaś perłową, również otwartą na piersiach i sięgającą ud. Siedzieli naprzeciwko siebie w największej kabinie pojazdu Moona; fotel Moona stał pod czerwoną ścianą, a fotel Blondyny - obok wielkiej amfory. Obydwójce rozpuścili włosy, co w przypadku Turmaline zawsze dawało oszałamiający efekt. Masa złotych nici musiała zresztą ważyć немало, lecz ich właścicielka trzymała głowę sztywno wyprostowaną.

Moon, skulony na fotelu, obejmując gołe nogi ramionami, przypatrywał się swojemu gościowi wzrokiem znawcy, który próbuje znaleźć defekt obniżający wartość cennego przedmiotu. Potem spuścił bose stopy na dywan, sięgnął po czekający na stoliku kieliszek i pociągnął łyk trunku. Turmaline ledwie zamoczyła w nim usta.

- A zatem wypijmy za... nasze podwójne fiasko - odezwał się Moon.

Blondyna spojrzała na niego wzrokiem, w którym odmalowało się coś więcej niż zwykła ciekawość - Moon dopatrzył się w nim nawet „wahania”, co sprawiło mu głęboką satysfakcję.

- Nie wiem, co masz na myśli - rzuciła sucho Turmaline, nie zamierzając chyba wznosić żadnego toastu. - Dostałeś swoje złoto, więc o co ci chodzi?

- O nic. Po prostu uznałem, że zechcesz się napić, aby słucać gorycz porażki.

- Nie wszystko jeszcze stracone - mruknęła, zerkając na niego nieufnie. - Pan ma oko na posiadłość Rowena. Dokądkolwiek pojedą, będziemy tuż-tuż.

Coś w tych słowach wyraźnie zainteresowało Moona. Posłał Turmaline jedno ze spojrzeń, od których truchleli jego najbardziej zahartowani współpracownicy, ona jednak ze spokojem utkwiała w nim swoje błękitne oczy.

- Tuż-tuż, powiadasz - mruknął.

- Tak blisko jak to tylko możliwe - odrzekła wymijająco.

Moon po raz pierwszy wyczuł w jej głosie coś zbliżonego do drżenia.

- Czyli nie rezygnujecie...

- To nie w stylu Pana.

- Jasne, że nie. Zwłaszcza teraz, kiedy możecie liczyć na nieocenioną pomoc Prawdy. Chętnie bym się dowiedział, kto to taki. Widziałaś ją? Albo jego?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego: „oczywiście”?

- W przeciwnym razie już bym nie żyła.

- Tak... - uśmiechnął się Moon. - Jak to mówią? „Kto widzi Prawdę, nie widzi nic innego”. Legendarna postać. Podobno potrafi podszyć się pod dowolną osobę albo podporządkować sobie człowieka i sterować jego ciałem wedle własnej woli... - Turmaline patrzyła na niego w milczeniu. - Wiesz, co sobie myślę? Że ten twój Pan chciał, aby dzisiejsza akcja się nie udała. Bo prawdziwy plan polega na czymś zupełnie innym. My mieliśmy tylko odwrócić uwagę wroga. Jesteśmy, jak słusznie zauważyłaś, wyłącznie pionkami.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Moon.

- Chyba rozumiesz. Popełniłaś błąd, wtedy w Tokio za dużo mi powiedziałaś. To Prawda odgrywa główną rolę w naszym przedstawieniu, czyż nie? Porwanie córki Keana, niespodziewane wejście Iny White... Wszystko to drugorzędne epizody. Od samego początku liczy się tylko Prawda. Nie wiedziałaś?

W obszernej kabinie zapadła głucha, dzwoniąca w uszach cisza.

- Nie znam planów Pana - rzekła Turmaline, nie spuszczać z Moona wzroku i opierając stopę o krwistoczerwonych paznokciach na brzegu fotela. Gdy odgarnęła włosy, rozległ się brzęk. - Wypełniam rozkazy.

- A jednak sprawiasz wrażenie zawiedzionej, że odstawiono cię na boczny tor.

Zupełnie tak jak mnie - stwierdził Moon, puszczając do niej oko, jakby uważał ich już za współników. - Twój Pan nas wykorzystał, Turmaline. Do drugorzędnych zadań. Całą robotę i tak odwali Prawda. Ale przecież i my jesteśmy profesjonalistami. Nie powinno się nas tak traktować.

- Gadasz od rzeczy - wycedziła Turmaline.

Moon zgodnie pokiwał głową.

- Niewykluczone, że się mylę. Gdybym jednak miał rację, moglibyśmy na tym skorzystać... Ostatecznie oboje pracujemy dla pieniędzy... Posłuchaj: porozmawiaj z Panem, powiedz mu, że znamy jego plany i że to, co zamierza, choć godne podziwu, jest wielce ryzykowne. Niech się przyzna, że go rozgryźliśmy.

Po chwili, nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Turmaline, sięgnął po butelkę, a widząc, że niewiele w niej zostało, wstał sprężyście i poszedł do przeszklonego barku po kolejną.

- Pomyśl o tym, Turmaline - nalegał. - Mnie nie obchodzi to, czego szuka Pan. Ciebie też raczej nie. Mam gdzieś wszystkie klucze tego świata. Bóg może sobie spać pod wodą albo szczeznąć, obojętne. Nie przyjąłem tego zlecenia ze względu na żadną tam mistykę. Chcesz wiedzieć, dlaczego je przyjąłem?

- Płonę z ciekawości.

Zawarta w tym zdaniu nietypowa dla Turmaline ironia sprawiła, że Moon się obrócił i spojrzał na swą rozmówczynię z nagłą uwagą. Blondyna uśmiechała się tak lekko, że prawie niedostrzegalnie.

- Zrobiłem to, ponieważ bogactwo łagodzi strach - wyznał. - Im większe, tym bardziej. Nosisz na głowie sporo złota, ale odnoszę wrażenie, że chciałabyś więcej. Chyba że posłuszeństwo zupełnie cię zaślepiło...

- Nie - zaprzeczyła Turmaline. - Niezupełnie.

- Wiedziałem. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. - Uspokojony Moon znowu zajął się swoimi butelkami.

- A więc?

- Spytaj Pana, na ile wycenia moje odkrycie - odparł, nalewając sobie opalizującego trunku.

- Przypuśćmy, że na tyle, ile ci już zapłacił. Co wtedy?

- Wtedy sprawy mogą się nieco skomplikować. - Moon przyjrzał się alkoholowi przez kryształ. Oględziny wypadły zadowolająco. - Jak sądzisz, co by się stało, gdyby Darby, Rowen i spółka wiedzieli, że daliśmy im wygrać? Co by się stało, gdyby zdali sobie sprawę,



że „prawda” jest bliżej, niż przypuszczali? - Roześmiał się, ubawiony własnym konceptem.

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby Pan zgodził się na twoje warunki - oświadczyła Turmaline.

- Dlaczego?

- Dlatego, że już po wszystkim.

Ta niespodziewana deklaracja mocno zaskoczyła Moona.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał, a odwróciwszy się przodem do pokoju, zobaczył, że Blondyna stoi tuż za nim. Nawet bez butów była bardzo wysoka; jej smukłe, doskonałe ciało zasłaniało mu światło.

- Że już po wszystkim dla ciebie - odparła i niespodziewanie machnęła głową.

Patrząc, jak fala złocistego metalu spływa na jego twarz i szyję, Moon zdążył sobie jeszcze przypomnieć swój dziwny i straszny sen. Zapowiedź śmierci.

## 5

*Strach to nic, która porusza ludzkością.*

Daniel nie chciał słuchać tego martwego głosu, który jak choroba ogarniał całe jego ciało. Nie miał jednak wyboru: znów był na szczycie Wieży.

*Pamiętasz, jak w czasie rozmowy z Olsenem ukląkłeś, żeby błagać o litość? Trudno się było oprzeć chęci skrzywdzenia cię...*

Posłuszny temu głosowi, padł na kolana, drżąc bardziej z nienawiści i gniewu niż ze strachu. Ujrzał Olsena i Moona, z bronią w ręku. Ujrzał uciekające gdzieś w tył spojrzenie Bijou...

*Dlatego Olsen zabił twoją żonę. Na mój rozkaz.*

*Maska i dłonie... Ptasie trele... Kłapa... Metalowa drabinka...*

Teraz słyszał coś jeszcze, jakby czyjeś odległe wołanie, nie potrafił jednak skupić się na czymkolwiek poza białymi wargami zamienionej w lalkę *bunraku* kobiety, jej podobnym do pustej skorupy ciałem i słowami, które brzmiały jak recytowana bezmyślnie modlitwa.

*Zabawnie było patrzeć na twoje cierpienie. Zadam ci je znowu, kiedy tylko zechcę, wyłącznie dla zaspokojenia kaprysu, a ty mi jeszcze podziękujesz...*

- Wystarczy, Danielu.

Siedzący na stole doktor Schaumann z uwagą obserwował zmagającego się z koszmarem Daniela.

- Wystarczy - powtórzył łagodnie.

Powieki Daniela zatrzepotały i uniosły się. Doktor zeskoczył ze stołu i oparł ręce na biodrach. Daniel dyszał ciężko, a jego pierś, widoczna spod białej koszuli składającej się wyłącznie z kołnierzyka i rękawów, pokryta była potem. Włosy związane miał w kucyk.

- Mówiłem ci przecież - mruknął Schaumann. Nie uśmiechał się już. - Uprzedzałem cię, że w czasie sesji przeżyjesz pewne sceny ponownie... Na tym to, niestety, polega. Tłumaczyłem ci, że nasze ciało to rodzaj przestrzeni: ma załomy, zakątki ciemniejsze i jaśniejsze... Wykonując określone ruchy, ustanawiam związki między tą przestrzenią a tym, co nas tu fizycznie otacza, i wpisuję się w nią, by móc ją zbadać. Wyznawcy Rozdziału Ósmego uznaliby to pewnie za rytuał oparty na wierze, lecz ja czerpię z ustaleń nauki. Problem w tym, że grzebiąc w twoich wspomnieniach, niektóre budzę całkiem niechcący... Jak się czujesz?

Daniel, wciąż klęczący na swoim stole, zwlekał chwilę z odpowiedzią. Z trudem łapał powietrze i wpatrywał się w doktora szeroko otwartymi oczyma.

- Jestem zmęczony - skłamał.

W rzeczywistości bowiem czuł przede wszystkim wściekłość: rozmowa z Prawdą obudziła w nim - co miał w pełni zrozumieć później - najdzikszą nienawiść i chęć zemsty. Spojrzał na Schaumanna, przekonany, że ten umie odgadnąć stan jego ducha, ale doktor niczego nie zauważył, najwyraźniej również czymś poruszony. Prawą dłonią dotykał piersi w okolicach serca.

- Co się dzieje? - spytał Daniel.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem - odrzekł Schaumann, starannie dobierając słowa. - Zagłębiłem się w twoje myśli i jak zwykle poprowadziłem cię z powrotem do laboratorium, tym razem jednak... Coś mnie zdziwiło.

Wtedy zaszło coś niezwykłego. Daniel, który nie spuszczał z doktora wzroku, natychmiast zauważył zmianę. Twarz Schaumanna straciła wyraz, jego oczy zmętniały, a usta otworzyły się jak drzwi pchnięte silnym podmuchem wiatru.

- Doktorze? Brent?

Nie odpowiadając ani słowem, Brent Schaumann wszedł na stół i znieruchomiał, wpatrzony w jakiś punkt.

- Jest coś jeszcze... - szepnął z wysiłkiem. - Dostrzegam to... - Wykonał ćwierćobrót i odrzucił głowę do tyłu. Ze wzrokiem utkwionym w suficie zdawał się z czymś walczyć. - Co to? Dlaczego nie mogę wejść? Pozwól mi wejść... Kąty się zamykają... - Całe jego ciało sprężyło się, po czym zwiotczało. - Och, nie rób takiej miny, Danielu. To nie twoja wina. Nie

chodzi o ciebie, tylko o... Muszę się nad tym zastanowić. Zobaczymy się później.

To powiedziawszy, lekko zeskoczył ze stołu i zniknął za drzwiami.

Tego dnia Daniel nigdzie go już nie spotkał, a następnego poranka jego myśli całkowicie zaprzętał zbliżający się przyjazd siostry Lanii.

Jednakże do tego momentu zdążył podjąć ostateczną decyzję.

## 6

Wysłana przez Rowena do Europy maszyna powietrzna wylądowała punktualnie. Lania Kean wyjrzała z niej niepewnie, sprawiając wrażenie osoby, którą niespodziewanie przeniesiono w świat bajki. Już sam przelot wielkim, luksusowym pojazdem - w którym, jak pomyślała, chętnie spędziłaby resztę życia - okazał się niezwykłym doświadczeniem. Meldon Rowen wyjechał po nią na lotnisko, przekonawszy najpierw Daniela, żeby zaczekał na siostrę w domu. „Lepiej stopniować wzruszenia”, argumentował. Uprzedzająca grzeczność i potoczysta wymowa gospodarza sprawiły, że w drodze na Sentosę Lania ledwie miała czas rozejrzeć się po okolicy. Poza tym mimo wszystko odczuwała niepokój. Dlatego urodę wyspy i wspaniałość majątku Rowena doceniła w pełni dopiero wtedy, gdy w końcu ujrzała Daniela, idącego do niej nieśmiało przez ogromny taras. Stanęli naprzeciw siebie, jak zawsze odnosząc wrażenie, że znienacka znaleźli się przed lustrem: stworzeni z tej samej komórki, wyglądali identycznie. Uściskali się i ucałowali, egzorcyzmując w ten sposób strach, jakiego doznawali dotąd na myśl, że już nigdy się nie zobaczą.

Daniel zdenerwował się na wieść, że ojciec, próbując ustalić miejsce pobytu syna i wnuczki, w desperacji nawiązał kontakt z grupą wyznawców Biblii.

- Ale przecież on w to wszystko nie wierzy!

- Spróbuj go zrozumieć - szepnęła Lania, ocierając łzy. - Wiesz, jak się o was martwiliśmy?

Opowiedział jej z grubsza, co zaszło, starannie pomijając drastyczne szczegóły: szaleniec z pociągu przekazał mu ważną informację, której kilkoro fanatyków pożądało tak bardzo, że aby zyskać do niej dostęp, nie zawahało się zabić Bijou.

Dobrze mu zrobiła ta rozmowa. Sama obecność siostry łagodziła cierpienie. Kiedy skończył, pograżyli się w milczeniu. Wreszcie Lania uśmiechnęła się i westchnęła głęboko, jakby pozbyła się właśnie wielkiego ciężaru.

- Ale teraz jesteśmy w tym cudownym miejscu. Tamten koszmar się skończył.

Patrząc na nią, Daniel czuł, że wraca do życia, do świata pełnego pozytywnych uczuć, które nie potrzebują wielu słów. Po raz pierwszy od tamtego poranka, kiedy zwrócił uwagę na dziwnego pasażera w sekcji siódmej Wielkiego Pociągu, miał w duszy całkowity spokój. Prawie całkowity. Bo... *Tak, jesteśmy w tym cudownym miejscu, ale koszmar wcale się jeszcze nie skończył.*

Lania nie lubiła patosu. Dlatego powiedziała:

- Zaprowadź mnie do Yun.

Daniel zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo zmieniła się jego córka. Kiedyś nad wiek poważna, teraz zupełnie zamknęła się w sobie. Na widok Lanii bardzo się ucieszyła, lecz pozostała sztywna, jakby nieobecność matki nieustannie ją paraliżowała. Lania też to zauważyła. Daniel odnosił czasem okropne wrażenie, że Yun wini go za śmierć Bijou.

- Daj jej trochę czasu - uspokajała siostra. - Po powrocie do domu wszystko się ułoży.

Powitalny obiad podano w gigantycznej, pozbawionej mebli jadalni. Okrągłe tace z kieliszkami i półmiskami stały bezpośrednio na wyściełanej podłodze. Zebrani siedzieli lub leżeli, wedle woli. Rowen „oficjalnie” przedstawił Lanię towarzystwu i nawet oschły zazwyczaj Yil skierował pod jej adresem kilka ciepłych słów. Daniel zauważył, że szczególną uwagę siostry przyciąga ubrany w długą czarną tunikę Hector Darby, co rusz sięgający swymi owłosionymi dłońmi po kolejne kiście winogron. Jednakże Lania bardzo się pilnowała, by nie okazać zdziwienia. Nie zapytała nawet o siedzącą z zamkniętymi oczyma Mayę. Zdawała się akceptować wszystkich takimi, jakimi są, po prostu dlatego, że pomogli jej bratu.

Rowen ujął kieliszek.

- Przed kilkoma dniami, gdy spotkaliśmy się z Danielem po raz pierwszy, okoliczności nie sprzyjały toastom. Od tego czasu wiele się zmieniło: Daniel odzyskał córkę i jutro wraz z nią, a także z tobą, Laniu, wróci do swego zwyczajnego życia. Co do nas, udamy się w nową podróż, która pozwoli nam wreszcie osiągnąć wymarzony cel... - Urwał, jakby szukając stosownej puenty. - Choć wszyscy mamy czego żałować, mamy się też z czego cieszyć. I za to właśnie wypijmy.

Na powrót rozbrzmiał gwar rozmów. Lania była wyraźnie zachwycona anegdotami, którymi Rowen sypał jak z rękawa. Yil, Darby i Anjali brali równie żywy udział w konwersacji. Tylko Daniel odzywał się monosylabami, rad, że inni wyręczają go w zabawianiu siostry, do czego nie czuł się chwilowo zdolny.

Po posiłku wszyscy przenieśli się do salonu. Daniel, widząc, że Darby rozmawia z doktorem Schaumannem, podszedł do nich zdecydowanym krokiem.

- Pojadę - oświadczył bez żadnych wstępów.

Popatrzyli na niego zdumieni, choć we wzroku doktora już po chwili odmalowało się zrozumienie.

- Dokąd? - spytał Darby.

- Z wami. W miejsce, które wskazał Kushiro.

Darby wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, potrząsając głową.

- Nie rozumiem... - mruknął. - Dlaczego?

- Bo jestem pewien, że ci, którzy zabili Bijou, ruszą za wami. I chcę się z nimi spotkać - odparł Daniel drżącym głosem. - Moja siostra zaopiekuje się Yun - dodał spokojniej. - Jeśli Rowen się zgodzi, mogłyby obie poczekać na mój powrót tutaj.

- Danielu, to absurd... - zaczął Darby.

Daniel jednak szybko odwrócił się do niego plecami. Choć dobrze przemyślał swoje postanowienie, żywił tyle samo wątpliwości co Darby. Czy naprawdę chciał tego, na co się decydował?

Ktoś złapał go za ramię. Doktor. Miał na sobie jedynie warstwę eleganckich malunków podkreślających niezwykłą urodę jego ciała. Wydawał się czymś poważnie zatroskany.

- Danielu, rozumiem cię i podziwiam - rzucił pospiesznie. - Ale w tej chwili chodzi mi o coś innego... Musimy... Musimy powtórzyć wczorajszą próbę, tyle że poza domem...

- Myślałem, że potrzebny jest do tego spadzisty dach.

- Nie na Sentosie - odrzekł Schaumann. - Tutejsze rośliny odznaczają się szczególnymi, można rzec: geometrycznymi kształtami. Znam doskonałe miejsce. Spotkajmy się w ogrodzie, w pobliżu posągów, koło dziesiątej wieczorem, dobrze?

- Dobrze. Ale co się dzieje? Ma to jakiś związek z tym, co zauważyłeś wczoraj?

Zamiast odpowiedzieć wprost, doktor wyszeptał mu do ucha:

- Z nikim o tym nie rozmawiaj. Niczego nie wiem jeszcze na pewno, więc powinniśmy zachować dyskrecję. Zgoda?

I zanim Daniel zdążył choćby skinąć głową, doktor oddalił się, rzucając na odchodnym:

- Dziś wieczorem, koło posągów.

## 7

Tak jak przewidywał, jego deklaracja nie spowodowała niczyjej natychmiastowej

reakcji. Zakładał, że wszyscy muszą się nad tym głęboko zastanowić. Zresztą on sam również ciągle się wahał i z obawy, by nie zmienić zdania, odwlekał rozmowę z siostrą. Bo po co właściwie miał się angażować w jakieś absurdalne przedsięwzięcie, teraz, gdy...

*Ale koszmar wcale się jeszcze nie skończył.*

Wyglądało na to, że do odbycia z nim poważnej rozmowy wytypowana została Maya Müller, co wcale go nie zdziwiło. Zdumiał go natomiast sposób, w jaki postanowiła zagaić. Przyszła do jego pokoju wkrótce po obiedzie i swoim zwyczajem usiadła na podłodze.

- Meldon trzyma w ogrodzie prawdziwe konie - rzuciła. - Nie posągi ani mechaniczne figury, tylko prawdziwe konie, wyhodowane w należącym do niego i mieszczącym się na wyspie ośrodku genetycznym. Widziałeś kiedyś takie? - Daniel pokręcił głową. - Mogę cię nauczyć na nich jeździć. Niewielu to umie. Nic nie ryzykujesz, zostały zaprojektowane specjalnie w tym celu.

Propozycja była dość dziwna, ale Daniel postanowił ją przyjąć. Rzadko trafiała się okazja, by zobaczyć konia.

W ogrodzie czekały dwa piękne okazy tego dziwnego zwierzęcia: jeden siwy, a drugi kasztan z miedzianą grzywą. Maya pokazała Danielowi, jak chwytać wodze i wsuwać stopę w strzemień. Konie Meldona rzeczywiście doskonale się nadawały dla niedoświadczonego jeźdźcy i Daniel, dosiadłszy kasztanka, już wkrótce zaczął się dobrze bawić. Wyjechali na wolną przestrzeń: on z tyłu, Maya na przedzie, cała w rozbłyskach, którymi mieniły się jej lśniące od słońca metalowe i hebanowe bransolety.

Wieczór był spokojny i ciepły. Pod bezchmurnym niebem, kołysane łagodnymi podmuchami, połyskiwały wielkie, wilgotne liście rosnących przy ścieżce tropikalnych roślin. Maya wstrzymała konia, by Daniel mógł się z nią zrównać. On, wciąż zdumiony faktem, że dosiada wierzchowca, zapomniał chwilowo o wszystkim innym i w milczeniu rozkoszował się nowym doświadczeniem. Dlatego aż się wzdrygnął, gdy usłyszał zniecka:

- Nie możesz z nami jechać, Danielu.

Powiedziała to bardzo zdecydowanie. Postanowił odparować cios z równą siłą.

- Rozumiem. Macie informację, o którą wam chodziło, więc Daniel do niczego się już nie przyda i może wracać do domu, do „swojego zwyczajnego życia”. Szkoda tylko, że stracił przy okazji żonę, w związku z czym jego „zwyczajne życie” przestało istnieć. Ale co was to obchodzi? - Mówił bez cienia sarkazmu, spokojnie, niemal chłodno.

- Nic nie rozumiesz - zaprotestowała Maya. - Nie wiesz, w co się pakujesz. Podejrzewaliśmy, że za Moonem stoi ktoś dużo potężniejszy, nie spodziewaliśmy się jednak konfrontacji z Prawdą...

Sam dźwięk tego zniechęcającego imienia sprawił, że Daniel przestał czerpać jakąkolwiek przyjemność z przejażdżki.

- Kto to jest? - spytał cicho.

- Tego nikt nie wie - Maya wzruszyła ramionami. - Krąży o niej, czy też o nim, tyle plotek, że człowiek przestaje w nie wierzyć. Ten ktoś nie jest podobno ani mężczyzną, ani kobietą, trudno go w ogóle uznać za istotę żywą, a imię wziął z książki Czarnego Człowieka, o którym mówi Rozdział Ósmy. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest wyznawcą Rozdziału Ostatniego i pracuje na zlecenie, jak Moon. Niektórzy uważają, że wcale nie istnieje... Ja też tak sądziłam, dopóki nam nie opowiedziałeś o spotkaniu z Mitsuko. Tak czy owak ktoś, kto potrafił zrobić coś równie strasznego córce Katsury Kushiro, musi być niebezpiecznym przeciwnikiem, Danielu.

- Nie boję się.

- A ja tak - odrzekła Maya.

- Myślisz, że coś nam grozi tutaj, na wyspie? - Daniel przypomniał sobie nagle o Lanii i Yun.

- Raczej nie. Prawdzie chwilowo zależy na Kluczu, a nie na wyeliminowaniu nas. Poza tym Sentosa jest miejscem dobrze strzeżonym. Na razie martwię się głównie o ciebie. Już raz musiałeś przez nas ryzykować. Nie chcemy, żebyś zrobił to znowu. I to w imię czegoś, co cię nie dotyczy.

- Przecież mówiłem, że Klucz mnie nie interesuje - rzekł Daniel. - Interesuje mnie Prawda.

- To nie jest przeciwnik dla ciebie! - zniecierpliwiła się Maya. - Gdybyś chociaż wierzył w Biblię...

- Hector Darby też nie wierzy.

- Hectorowi Darby'emu chodzi o Klucz, a nie o jakąś absurdalną zemstę...

- Co właściwie chciałaś przez to powiedzieć? Że w imię pewnych spraw warto się narażać, a w imię innych już nie? - Daniel wbił wściekłe spojrzenie w jej nieporuszony profil. Ich ciała, kołyszące się w rytm równego, spokojnego kłusa biegnących bok w bok koni, zdawały się należeć do zupełnie innych osób niż te, między którymi toczyła się właśnie ta gwałtowna wymiana zdań. - Wiesz, co powiedziała mi Ina White, wlokąc mnie przez laboratorium? Że jestem „naczyniem”, które liczy się tylko ze względu na swoją zawartość. Być może wszyscy mnie tak postrzegacie... Daniel Kean: naczynie albo *messenja*... Jeśli tak, to przekaz swoim przyjaciółom, z łaski swojej, że naczynie się stłukło i niczego już nie zawiera! Niczego więcej ze mnie nie wydobędziecie! - Czując, że łzy napływają mu do oczu,

wyrzucał z siebie słowa, jakby paliły go w język. - Moje „zwyczajne życie” legło w gruzach! Nie potrafiłbym zabrać Yun do domu ze świadomością, że tamto monstrum może w każdej chwili wrócić i zacząć od nowa! Więc powiedz swoim przyjaciołom, że jadę z wami bez względu na...

- Danielu - przerwała Maya - rozmawiam z tobą wyłącznie we własnym imieniu. Nikt mnie nie wysłał. „Moi przyjaciele” są zdania, że powinieneś jechać. Kto wie, mówią, czy „naczynie” nie zawiera jakichś niespodzianek... Wybacz szczerze - dodała po chwili.

- No to po diabła zabrałaś mnie na tę przejażdżkę?

- Bo się o ciebie martwię. Już raz wyrządziłam ci krzywdę i nie chcę zrobić tego znowu.

- Nie ty kazałaś zamordować moją żonę.

- Z moich w większości niezbyt przyjemnych życiowych doświadczeń wynika, Danielu, że ten, kto pozwala zadawać innym cierpienie, jest co najmniej tak samo winien, jak ten, kto je im faktycznie zadaje. Dlatego chciałam cię ostrzec: w porównaniu z miejscem, w które się wybieramy, Strefa Zatopiona to całkiem sympatyczny zakątek. Co więcej, nasi nieprzyjaciele górują nad nami pod każdym względem. Zastanów się, czy warto skazywać Yun na sieroctwo.

- A ty się zastanów, co byś zrobiła, gdybyś była mną.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Ścieżka się zwężała, toteż musieli teraz jechać gęsiego. Maya zręcznie prowadziła swego białego wierzchowca wśród bujnej roślinności. Kiedy dotarli do punktu, w którym nawet paprocie skrywały ich wraz z głową, zeskoczyła na ziemię i poprosiła Daniela, by uczynił to samo.

Przywiązawszy konie do jakiegoś pnia, zagłębili się w gęstwinę. W wonnym, wilgotnym powietrzu niosły się tajemnicze dźwięki. Nieuchwytna jak odległe wspomnienie mgielka spowijała widoczne dokoła kształty, nie przesłaniając ich, a wręcz je uwypuklając.

Wreszcie stanęli na polanie otoczonej wielkimi drzewami. Zadarłszy głowę, Daniel stwierdził, że to gigantyczne palmy, podobne do pstrokatych kolumn.

- Fascynujące - szepnął.

- Cieszę się, że tak mówisz - odrzekła Maya, podchodząc do jednego z pni i obejmując go niemal miłosnym gestem.

Spacerowali tak przez dłuższą chwilę. Daniel chłonał otoczenie szeroko otwartymi oczyma, Maya poznawała je dotykiem palców. On podziwiał szybkie i świetliste jak błyskawice motyle, których lot zależał od decyzji podjętych kiedyś przez kogoś w laboratorium; ona - geometrię pni. Wilgotne włosy obojga spływały im po ramionach niby



roztopione złoto, ciała lśniły równie intensywnie jak zdobiące je naszyjniki i bransolety. Nie mniej niż pejzaż zachwycała Daniela łatwość, z jaką Maya orientowała się w przestrzeni, i dokładność, z jaką badała każdy szczegół.

- Nic nigdy nie umyka twojej uwadze? - zagadnął.

Ku jego zaskoczeniu odpowiedziała na jego pytanie z całkowitą powagą.

- Szczerze mówiąc, umyka mi wiele rzeczy. Nie wiem, na przykład, jaki kolor mają te orchidee po lewej stronie. Wiem, że tam są, potrafię odgadnąć ich kształt, liczbę i rozmieszczenie, ale nie kolor... Identycznie jest z miejscami i ludźmi. Umiem sobie ciebie wyobrazić, rozpoznałabym cię wśród tysiąca innych osób, a jednak kiedy się uśmiechasz... - Zamilkła, jakby szukając właściwych słów. - Choć wiem, że to robisz, nie mam pojęcia, jak zmienia się wtedy twoja twarz... Zanurzam dłoń bardzo głęboko pod wodę, lecz nigdy nie dotykam powierzchni. A czasem chętnie bym jej dotknęła, tak po prostu, nawet nie wiedząc, co się kryje pod spodem. Z przyjemnością usiadłabym i kontemlowała czyjąś twarz, nie zaglądając za tę fasadę. Patrzenie bez oczu daje wyłącznie wiedzę.

- W jakim wieku... - zaczął Daniel.

- W jakim wieku straciłam wzrok? - dopowiedziała. - Koło dwunastego roku życia.

Daniel pomyślał, że to straszne. Najwyraźniej nie udzielono jej odpowiedniej pomocy. Bo możliwości medycyny były przecież prawie nieograniczone.

- Mogę cię spytać, co się stało?

- Nie - rzuciła sucho, a potem, zmieniając niespodziewanie temat, zaczęła opowiadać o Singapurze, o występujących na jego terenie kwiatkach i motylach, o białych domach wzdłuż Chatsworth Road, krytych czarnymi dwuspadowymi dachami i imitujących zabudowę biblijnych miast. Mówiła szybko, jak ktoś, kto chce zagłuszyć ciszę. W pewnym momencie zabrzączał między nimi wielobarwny owad: zawisł w powietrzu, ale zaprojektowany tak, by nie przeszkadzać, zaraz odleciał.

- Wiesz co? - odezwał się nagle Daniel. - Chciałbym kiedyś zobaczyć twoje oczy. Nigdy nie podnosisz powiek.

- Staram się nie robić rzeczy, które nie mają sensu - rzuciła nieprzyjemnym tonem i ruszyła w stronę wierzchowców.

- Przykro mi, że cię uraziłem - szepnął Daniel, kiedy siedzieli z powrotem na koniach. Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Jedno z naszych południowych przysłów mówi, że w oczach każdego człowieka można dojrzeć to, co wywarło na nim największe wrażenie. Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział, co można dojrzeć w moich - oświadczyła w końcu Maya.

Błękitny dotąd wieczór stopniowo nabierał granatowych tonów, zupełnie jakby zanurzali się coraz głębiej pod wodę.

- Tak straszne było to, co zobaczyłaś? - spytał nieśmiało Daniel.

- Straszniejsze, niż sądzisz. Ale proszę, nie mówmy teraz o tym. Tyle wokół piękna. Rozejrzyj się... Nie trać okazji...

A potem, niemal jednym tchem, nie zmieniając intonacji, dodała:

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu twojej żony. Kiedy zorientowałam się, że Olsen nas zdradził, robiłam, co mogłam... A teraz robię, co mogę, żeby ocalić ciebie. Błagam, Danielu, bierz córkę, wracaj do Niemiec i czym prędzej o nas zapomnij.

- Już o was zapomniałem - odparł spokojnie Daniel. - Szukam Prawdy. Dlatego z wami pojedę, Mayu. Powiedz mi tylko, kiedy ruszacie. I dokąd.

- Czyli nie udało mi się wybić ci z głowy tego pomysłu.

- A cóż warte są pomysły, które na zawsze pozostają tylko w głowie? - zażartował Daniel, sprawiając, że Maya, chyba po raz pierwszy od kiedy ją znał, parsknęła szczerym śmiechem.

- Ruszamy jutro skoro świt. A dokąd... Cóż, sam nam wskazałeś to miejsce.

- Nie bardzo wiem jak.

W tym momencie Maya, która właśnie zamierzała mu odpowiedzieć, zastygła z otwartymi ustami.

Spomiędzy zieleni prześwitywały już jadeitowe słupy, na których wspierał się dom. Mimo gęstniejących ciemności dało się jeszcze dostrzec okrążające je spiralne schody. Wieczornego spokoju nie zakłócał żaden dźwięk, a mimo to Maya popędziła konia i zeskoczyła z niego, nim się zatrzymał. Daniel popatrzył w tym samym kierunku i wyłowił z mroku kilka zebranych w ogrodzie postaci. Światło trzymany przez nie pochodni odbijało się na gładkiej powierzchni stojących obok rzeźb. Dopiero wtedy przypomniał sobie o umówionym spotkaniu z doktorem Schaumannem.

Od grupy oderwał się jakiś cień, który okazał się Meldonem Rowenem.

Na widok jego twarzy Danielem wstrząsnął dreszcz.

# CZEŚĆ TRZECIA

## NOWA ZELANDIA

Rzecz jasna, było to szaleństwo, ale czyż nie błąkałem  
się po świecie tak przesiąkniętym  
szaleństwem jak ja sam?

*(Najświętsza Biblia, Rozdział Jedenasty, 6,29)*

# Rozdział dziewiąty

## *Ciemności*

### 1

Dokoła panowały absolutne ciemności. Gęste, nieprzeniknione. Jak umieszczona tuż przed oczami tafla czerni.

Owinięty lepkiem kokonem potu, bezskutecznie próbował zasnąć. Ciemność go przytłaczała, wystawiając na ciężką próbę napięte do ostateczności nerwy. To był trudny dzień.

Nie poddawaj się tak łatwo, Danielu, rzekł sobie w duchu. Właśnie tego się po tobie spodziewają.

W jego mózgu raz po raz rozbłyskiwały obrazy, wspomnienia zdarzeń, które przywiodły go do punktu, w którym się znajdował.

### 2

Od razu zrozumiał, że faktycznie nigdy jeszcze nie widział równie okropnego miejsca.

Ostrzegano go, oczywiście: najpierw Maya Müller, a później, pod koniec podróży, również Meldon Rowen, który lubił podkreślać „wyjątkowość pewnych momentów” wygłaszanymi afektywnym tonem przemowami i dlatego, gdy zaczęli podchodzić do lądowania, wstał, by zwrócić się do towarzyszy w te słowa:

- Wkrótce będziemy w Nowej Zelandii i powinniśmy dokonać podziału zadań. - Daniel zapamiętał, że jego bujne czarne włosy opadały na szerokie wyłogi błyszczącego, różowego kostiumu. - Wylądujemy w Wellington, mieście położonym na przesmyku, który

łączy dwie części Wielkiej Wyspy. Wszyscy, poza Danielem, znamy tę okolicę, toteż swoje wyjaśnienia kieruję głównie do niego. - Tu Rowen utkwiał piękne zielone oczy w Danielu. - Pod nami rozciąga się Ziemia Atui, Ziemia Boga. Tutejsze miasta są niewyobrażalnie stare, niektóre wyglądają dokładnie tak samo, jak zostały opisane w Biblii. System kontroli prawie nie istnieje, a natura zachowała się w stanie pierwotnym. Bez wątplenia poczujesz się dziwnie, Danielu. Ogarnie cię strach, jaki zawsze wzbudza w istocie ludzkiej to, co odwieczne i nieznanne: dzikie lasy, bliskość morza, Figury i Port... Nie przejmuj się. Wszyscy się boimy, ale ma to znaczenie tylko wtedy, gdy źródło naszego lęku okazuje się *realne*. A w Wellington nic nam raczej nie grozi. Dopóki nie ruszymy dalej, będziemy w miarę bezpieczni. Tyle że oczywiście wkrótce ruszymy dalej.

- To powiedziawszy, Rowen przeszedł do omawiania szczegółów wyprawy.

Gdy wszystko zostało ustalone, uśmiechnął się i chcąc chyba dodać pozostałym odwagi, rzucił:

- Uda nam się. Pamiętajcie, że doktor, gdyby był z nami, powtarzałby to bez ustanku... Daniel ujrzał, że Hector Darby powoli spuszcza głowę.

### 3

Biała i sztywna twarz doktora Schaumanna, jego szeroko otwarte oczy i rozcapierzone palce mówiły tylko, że umarł, nic więcej. Jego serce przestało bić, a co potem - tego nikt nie wiedział. Na szczęście. Biblia błogosławi wszak ignorancję, ten naturalny dla ludzkości stan, wyspę na czarnych morzach nieskończoności.

Śmierć to pytanie bez odpowiedzi. Rozdział Dziewiąty opowiada o człowieku, który ginie od uderzenia pioruna, w każdym razie takie jest „powszechne przekonanie”, bez zastrzeżeń poparte przez autorytety. Jednakże tekst podsuwa także inne, bardziej złowieszcze wyjaśnienie, napomykając o niesprecyzowanych zagrożeniach czyhających w ciemności. Nierzadko odczytuje się go jako serię wskazówek dotyczących zachowania w razie czyjejś nagłej śmierci. Uczucia, jakie towarzyszą takiemu wydarzeniu, to niedowierzanie, strach i rezygnacja. I właśnie one malowały się na twarzy Hectora Darby'ego, który przeżył śmierć doktora znacznie boleśniej niż wszyscy inni.

Daniel, pragnąc dotrzymać Darby'emu towarzystwa, dołączył do niego w sali, gdzie odbyć się miały uroczystości żałobne. Było to wielkie, okrągłe pomieszczenie optycznie jeszcze powiększone przez dwa gigantyczne, oprawne w złoto lustra wiszące naprzeciwko

siebie. Daniel zastanawiał się przez chwilę, czy widok własnej pomnożonej w nieskończoność postaci pomaga znieść zniknięcie drugiego człowieka.

Darby, bliski łez, opowiedział mu, co się właściwie stało.

- Wciąż nie potrafię w to uwierzyć... Całe popołudnie po waszym wyjeździe siedział zamknięty w swoim pokoju... Ja... Nie zastanawiałem się, co robi, dopóki się nie ściemniło. Potem pomyślałem, że zapytam go o parę spraw związanych z wyprawą... Wiesz, że starannie wszystko przygotowywał. Zawsze był taki dokładny... Co ja mówiłem?

- Że postanowiłeś go o coś zapytać - odpowiedział Daniel, przysiadając na oparciu zajmowanej przez Darby'ego sofy.

- Tak... Poszedłem do niego na górę, ale już go nie zastałem. Od służby dowiedziałem się, że jest w ogrodzie.

- Umówiliśmy się na wspólny spacer koło dziesiątej.

- Nie, to było dużo wcześniej. Strażnicy mówią, że widzieli, jak przechadzał się wśród rzeźb. Trochę później zobaczyli, że leży na ziemi. Yil, który zbadał go pierwszy, stwierdził to samo co lekarz Meldona: serce nie wytrzymało.

A cóż by innego, pomyślał Daniel. Projektowane genetycznie ciała nie ulegały innym schorzeniom. Zresztą, sam doktor wspominał, że ma „coś z sercem”.

Pogrzeb był krótki, niczego jednak nie zaniedbano. Rowen - który w jakiś sposób poczuwał się do odpowiedzialności, jako że Schaumann zmarł w jego domu - uroczystie oznajmił, że doktorowi należy się ceremonia z prawdziwego zdarzenia, nawet jeśli Darby wolałby ograniczyć jej wymiar religijny, a perspektywa rychłego wyjazdu skłaniała do pośpiechu. Odśpiewano więc modlitwę o to, by dusza zmarłego wybrała ścieżkę światła i przeniosła się nie do ciemnego Miasta z Rozdziału Drugiego, lecz na zielone brzegi opisane w Rozdziale Pierwszym. Następnie tancerz w czerwonej spódniczce i rękawiczkach wykonał rytualny taniec. Ciało doktora, w pozycji siedzącej, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, umieszczono w podobnej do ołtarza, wykonanej ze złota spopielarce. Wypowiedziano stosowne formułki: „Straciliśmy wspaniałego przyjaciela i wielkiego naukowca” albo: „Musimy podjąć jego przerwane dzieło”. Żałobnicy przywdziali maski i rękawiczki, Rowen wyrecytował *Efficiunt* i piękne, lśniące włosy Brenta Schaumanna zajęły się ogniem. Daniel długo wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze chwilę wcześniej znajdowała się twarz doktora. Gdy wszyscy zdjęli maski, stwierdził, że Anjali, Yil i Rowen wydają się głęboko poruszeni, Maya zaś sprawia wrażenie wyjątkowo opanowanej.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

Schaumann nie miał rodziny. Darby, który jako najbliższy przyjaciel zbliżył się do

spopielaarki, by zebrać jego prochy do urny, nagle stracił nad sobą panowanie i wybuchając płaczem, zawołał:

- Teraz, gdy jesteśmy tak blisko! Właśnie teraz! Nie! Brent!

Reszta wpatrywała się w niego z niewolnym od obaw zdumieniem. Daniel porównywał ich doskonale opanowane, piękne, gładkie twarze z postarzałym, wykrzywionym w brzydkim grymasie obliczem Darby'ego. Ogarnęło go współczucie i przysłała mu na myśl Bijou.

Dopiero przed świtem, nareszcie w łóżku, zaledwie kilka godzin przed odlotem do Nowej Zelandii, przypomniał sobie, po co właściwie miał się spotkać z doktorem w ogrodzie. Schaumann umarł, nie wyjaśnwszy, co go niepokoiło i dlaczego chciał powtórzyć ostatnią sesję poza domem. Daniel uznał, że powinien przedyskutować to z Darbym, ale później, w Wellington, całkiem o tym zapomniał.

## 4

Dzwonnice porzuconych kościołów i spadziste dachy domów z małymi okienkami w drewnianych futrynach nadawały miastu złowieszczo biblijny wygląd. Wrażenie to potęgowała nachalna bliskość budzącego mdłości morza. Zarówno lotnisko, jak i samo Wellington zdawały się całkiem wymarłe. Zawieszta ciemność spowijała opustoszałe ulice.

Skierowali się w stronę Portu. Pod tą nazwą kryło się kamienne, pokryte szlamem nabrzeże, przy którym nie cumowały jednak żadne statki - wynalazek od dawna zepchnięty do lamusa historii. Nie widać też było śladu aktywności handlowej. Maya i Yil odłączyli się od towarzyszy, by zaopatrzyć się w prowiant i ekwipunek, Rowen zaś poprowadził pozostałych do jednego z Miejsc Spotkań, gdzie miał nadzieję znaleźć dobrego przewodnika. Miejsca Spotkań w niczym nie przypominały hałaśliwych przybytków, jakie spodziewał się ujrzeć Daniel: były to po prostu słabo oświetlone sale o ścianach pozastłanionych mnóstwem białych kotar. Zbici w ciasne grupki ludzie szeptali coś po kątach, mierząc nowo przybyłych nieufnymi, ale jednocześnie pozbawionymi specjalnego zainteresowania spojrzeniami.

Wszędzie, w Miejscach Spotkań i poza nimi, stały dziwne kamienne rzeźby o ciemnych obliczach i powykęcanych ciałach. Darby przystanął przed jedną z nich, wskazując ją Danielowi.

- Tak wyglądają Figury - wyjaśnił.

- Co przedstawiają? - zapytał Daniel i wzdrygnął się ze wstrętem.

- A któż to może wiedzieć? Są tak stare, że nikt już tego nie pamięta. Być może symbolizowały kiedyś ból i zgrozę, jakie wywołuje spotkanie z Bogiem? Spójrz na te wytrzeszczone, pełne strachu oczy... Niewykluczone też, że w ten sposób wyobrażano sobie dawniej ludzkie wcielenia Boga. Tak czy owak na wyspach Pacyfiku znaleziono wiele takich posągów, czasem niewyobrażalnie wręcz starych. Trwają dyskusje, czy nie powinno się ich aby datować na okres sprzed zejścia Koloru. Ale zaczynam się rozwódzić jak biedny Brent, a chciałem tylko powiedzieć, że to właśnie jest powód, dla którego tu przyjechaliśmy. Bo te rzeźby znane są pod nazwą Figur Maski i Dłoni. Na południu Nowej Zelandii, w regionie zwanym Otago, koło Dunedin, znajduje się sanktuarium, w którym otacza się je specjalnym kultem. Kiedy wspomniałeś o masce i dłoniach, od razu zrozumieliśmy przesłanie Katsury Kushiro: nie ulega wątpliwości, że Klucz był, a może i nadal jest w Otago.

- A co z „metalową drabinką”, „spadzistym dachem” i tak dalej?

- Anja i Meldon zapewniają, że zrozumiemy wszystko na miejscu. Tyle że trafić do tego sanktuarium niełatwo... Dlatego potrzebujemy znającego teren przewodnika.

- Zaprowadzę was do kogoś, kto zna najlepszych przewodników - rzekł nagle głos za ich plecami.

Należał, jak się okazało, do młodego człowieka o długich kasztanowatych włosach, ubranego w plemienny strój złożony z zielonych naszyjników i bransolet, obszytych futrem butów i pasa z cienkich blaszek.

- Szukacie przewodnika, który zabierze was do Otago, tak? - uśmiechnął się nieznajomy. - Wasi przyjaciele podpytują każdego, kto im się nawinie, ale nie znajdą nikogo. Nie przed Świętem Zmarłych.

- Płacimy złotem - rzucił Darby.

- Strach waży więcej niż złoto - odparł chłopak, nie przestając się uśmiechać. Sądząc po jego starannie zaprojektowanych w jakimś laboratorium rysach, Daniel uznał, że mają do czynienia z rodowitym Polinezyjczykiem. - Za drobną opłatą mogę was jednak przedstawić komuś, kto poleci wam odpowiednią osobę...

Darby wyraźnie się ożywił.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Yuli.

- A więc dobrze, Yuli. Prowadź.

- To niedaleko. Nie trzeba nawet opuszczać Portu.

- Powinniśmy uprzedzić Meldona i Anjali - szepnął Daniel, lecz Darby niecierpliwie wzruszył ramionami.



- Po co tracić czas? Mam czym zapłacić, Meldon dał mi trochę złota na opłacenie jakiejś kwatery. Powiemy im, jeśli nam się uda.

Podążając za kasztanowowłosym chłopakiem, przecięli duży plac. Stojące wokół, kryte spadzistymi dachami domy przywodziły na myśl architekturę sakralną miast kolonialnych. Zapach morza stał się intensywniejszy, lecz w ciemnościach zamiast wody widać było jedynie wielką pustkę. Miejsce, o którym mówił Yuli, rzeczywiście znajdowało się blisko i okazało się wielkim, przerażającym budynkiem o pozapadanych ze starości ścianach. Uwagę Daniela zwróciły Figury ustawione przy wejściu. Na cokole pod jedną z nich wyryte było - w języku uniwersalnym i po polinezyjsku - zdanie otwierające Rozdział Dziewiąty:

*Widziałem ziejącą pustkę mrocznego świata,  
Gdzie czarne planety krążą bez celu.*

Darby wskazał Danielowi napis pod drugą Figurą, ten z kolei wyłącznie po polinezyjsku.

- *Ka Mate. Ka Ora* - przeczytał. - *Tenei te tangata puhuruhuru*. Co znaczy: Oto śmierć. Oto życie. Oto straszliwa istota, która każe błyszczeć słońcu. Mowa, rzecz jasna, o Bogu. Już wiem, gdzie jesteśmy... - Wskazał wejście. - Yuli nas woła.

W wielkim holu panowała wielka cisza i jeszcze większa ciemność. Yuli podszedł do kędzierzawego Polinezyjczyka w wysokich butach - który najwyraźniej pełnił funkcję strażnika - i po krótkiej rozmowie zwrócił się do Darby'ego:

- Kolega chce tyle samo ile ja.

Darby skinął głową. Gdy uregulowali należność, Yuli ruszył w stronę dwuskrzydłowych drzwi w głąbi.

- To gdzie jesteśmy? - zapytał Daniel.

- Przecież słyszałeś: w miejscu, w którym można spotkać najlepszych przewodników - odrzekł Darby.

- Czyli?

- To oczywiście: w zakładzie dla obłąkanych.

W pierwszej chwili Daniel pomyślał, że śni. Przekroczywszy próg, znaleźli się w zalanym słońcem ogrodzie podobnym do dżungli na Sentosie. Było gorąco i kombinezon - zapinana na suwak kurtka i obcisłe spodnie - wydał się nagle Danielowi zbyt ciepły.

- Utrzymuje się tu sztucznie takie warunki, bo szaleńcy źle znoszą ciemność i złą pogodę - wyjaśnił Darby.

Yuli ruszył przed siebie wąską ścieżką. Daniel, idąc za nim, rozglądał się z ciekawością dokoła.

- Inaczej sobie wyobrażałem domy wariatów...

- O wielu miejscach, które nimi są, nigdy byś tego nie powiedział, Danielu - odparł Darby. - Poza tym nie wyciągaj wniosków na podstawie tego, co widziałeś na Północy. Wiesz przecież, że według Biblii obłąd to konsekwencja wiedzy. Szaleńcy dostrzegają ponoć więcej, ich wizja rzeczywistości jest w pewien sposób pełniejsza, bardziej złożona, jakby przefiltrowana przez opisany w Rozdziale Dziewiątym kryształ zwany Trapezoedrem, pamiętasz, ten, który wywołuje sny bohatera i budzi istotę drzemiącą w ciemnościach. Dlatego takich ludzi trzeba izolować: ponieważ są łącznikami między mrokiem a światłem. My, na Północy, bierzemy ich za wizjonerów, natomiast tutaj, na Południowym Wschodzie, sądzi się coś wręcz przeciwnego.

- Przeciwnego?

- Że szaleńcy nie miewają wizji: oni je tworzą. Ale tak czy owak, obserwując ich, zaglądasz w inny wymiar. Stąd przesąd, że nie powinno się patrzeć im w oczy. Bo są niczym przedziwnie rżnięte kryształy, ukazujące nam świat mroku... Metafora Trapezoedru byłaby w takim razie bardzo trafna.

- Powiedziałeś: przesąd. Nie wierzysz w to wszystko?

- Nie. Ale nie chciałbym sprawdzać, czy się aby nie mylę.

Yuli przystanął nad intensywnie błękitną sadzawką i rozmawiał teraz z mężczyzną ubranym w lekką, przezroczystą tunikę i obwieszonym licznymi bransoletami. Skóra nieznajomego była tak biała, że gdyby zapisać ją drobnymi literami, dałoby się je odczytać już z daleka.

- Mnie nie wolno iść z wami - rzekł Yuli. - Dalej poprowadzi was *ariki*. Ma na imię Evengel. Powodzenia. - To mówiąc, wyciągnął rękę po obiecane złoto, a otrzymawszy je, pożegnał się ukłonem.

- Zetknęliście się kiedyś z wariatami? - spytał Evengel. - Nie patrzcie im w oczy. To *tapu*.

- Wiemy - odparł Darby.

Minęli kilka ukwieconych skwerów i cienistych alejek. Tu i ówdzie, na ławkach i na ziemi, siedzieli jacyś ludzie. Ich starannie zaprojektowane, piękne ciała wyglądały całkiem zwyczajnie. Daniel nie był wręcz pewien, czy widzi pensjonariuszy, czy pracowników tego zakładu. Darby pogłębił jego dezorientację, mówiąc, że między tymi dwiema kategoriami nie istnieje ścisłe rozgraniczenie.

- Zawsze uważałem, że kształt rzeczywistości zależy od patrzącego - dodał. - Ci tutaj ustanawiają sobie własną. Na wszelki wypadek nie patrz w oczy nikomu.

- Skąd tyle wiesz o szaleńcach? - spytał Daniel.

- Mój ojciec był jednym z nich - odparł krótko Darby.

Daniel zmieszał się i już chciał przeproszać, gdy nagle zdał sobie sprawę, że dotarli na miejsce.

## 6

Siedząca na otoczonej kwiatami ławce kobieta miała lekko opaloną skórę i krótkie brązowe włosy. Wzrok Daniela przyciągnęła okrywająca ją od pasa w dół materia, mieniąca się wszystkimi barwami tęczy: w zależności od kąta, pod jakim się na nią patrzyło, była zielona, niebieska, czerwona, fioletowa i tak dalej, bez końca.

- Jaskrawe ubrania przyciągają spojrzenie, co ułatwia unikanie kontaktu wzrokowego - mruknął Darby. - Dlatego ją w to ubierają.

- Shane Davenport - rzekł z powagą Evengel, po czym skłonił się i wycofał.

Przez chwilę stali przed brązowowłosą kobietą w milczeniu, aż w końcu Darby zagaił:

- Podobno dobrze zna pani Otago. Pochodzi pani z Nowej Zelandii?

- Pochodzę z Południa. Z Arabii - odrzekła Shane Davenport z uśmiechem. Jej uśmiech - co Daniel widział kątem oka - był bardzo miły, podobnie jak głos. Zdawała się zachwycona swoimi gośćmi i uparcie wpatrywała się w ich spuszczone powieki. - Przyjechałam na Ziemię Boga, żeby polować.

- Zajmuje się pani polowaniem? - spytał uprzejmie Darby.

- Powiedzmy, że się zajmowałam. Byłam w Marlborough, Christchurch, Dunedin, a nawet w Invercagill... Same ruiny...

- Na co pani polowała?

- Na osobniki podobne do ciebie, tylko że hybrydyczne.

Daniel spojrział pytająco na Darby'ego, ale ten gestem nakazał mu milczenie.

- Ma pani na myśli...

- Mam na myśli męskie biologiczne hybrydy. Aż trudno uwierzyć, że twój młodzieńki przyjaciel nigdy o nich nie słyszał... - roześmiała się Davenport. - Lepiej opowiedz mu o paru sprawach, zanim zabierzesz go ze sobą do południowych hrabstw...

- Kiedy przestała pani polować? - indagował dalej Darby.

- Kiedy sama zostałam upolowana.

Przy tych słowach nagłym ruchem rozchyliła spowijającą ją materię, która zamigotała tysiącem barw.

Choć chirurdzy wykonali swoją pracę doskonale, w połowie uda wyraźnie widać było linię styku żywego ciała z tworzywem syntetycznym. Sztuczne kolano połyskiwało w promieniach sztucznego słońca.

Nie to jednak wywarło na Danielu największe wrażenie.

Jeszcze bardziej zdumiał go widok grubego brzucha, niezliczonych pieprzyków i blizn oraz gęstych włosów łonowych; i zapach, trudna do pomylenia z czymkolwiek innym woń biologicznego ciała.

Nie pojmował, jak mógł się wcześniej nie zorientować. Zapewne z powodu przyciągającej uwagę tuniki.

- Jak się czujesz z faktem, że jesteś biologiczny? - spytała Darby'ego Shane Davenport. - Powiem ci, jak ja się czuję: jak stare zwierzę. Skończyłam trzydzieści siedem lat, a wydaje mi się, że mam osiemdziesiąt. Tak więc, przyjacielu, przed tobą dwa poważne zadania... Po pierwsze będziesz musiał bronić idealnie zaprojektowanego, gładziutkiego tyłka tego młodzieńca, a po drugie uważać na swój własny, stary i pomarszczony... Bo zapewniam cię, że na Ziemi Boga aż się roi od hybryd rozmiłowanych w polowaniu na podobne do ciebie biologiczne osobniki...

Na czole Darby'ego wystąpiła pulsująca żyłka. Przemówił jednak głosem tak spokojnym i łagodnym, jakiego Daniel jeszcze z jego ust nie słyszał:

- Przykro mi z powodu tego, co ci zrobiono, Shane.

- Nie zdarzyło się nic, czego bym się nie spodziewała - szepnęła Davenport równie miękko. - Jak to formułuje Rozdział Dziewiąty? „Nie zdarzyło się oczywiście nic, co by świadczyło o zjawisku wykraczającym poza prawa przyrody”. - Znowu się roześmiała i zmieniła pozycję, zginając sztuczną nogę i opierając ją o krawędź ławki. - Parokrotnie polowałam w jaskiniach położonych na południe od Dunedin. Miałam najlepszego przewodnika, jakiego można sobie wyobrazić; jego nazwisko pewnie was zainteresuje. Pozwólcie jednak, że najpierw opowiem, co się zdarzyło. Za Otago mieszka plemię hybryd-

wojowników. Polowałam na nich, aż pewnego dnia oni upolowali mnie. Zorganizowali zasadzkę. W naszej dziesięcioosobowej grupie ja jedna byłam biologiczna. Poza przewodnikiem i mną wszystkich zabili, postępując z nimi w sposób dla siebie typowy. Przez wzgląd na twego młodego przyjaciela oszczędzę wam szczegółowych opisów. Do przewodnika wrócę później. Jeśli chodzi o mnie, zafascynowani moim ciałem, postanowili zachować mnie przy życiu i trzymali przez jakiś miesiąc. Oczywiście nie nazywali tego miesiącem, inaczej, nawet nie wiem jak... Nie używają naszego języka. Nie wiązali mnie, tylko zostawiali samą w wilgotnych jaskiniach, a kiedy dochodzili do wniosku, że zaraz umrę, wyciągali mnie na słońce i układali na skałach... Robili ze mną różne eksperymenty. Być może oni nazywali je „zabawami”... Czasem odnosiłam wrażenie, że lubią słuchać, jak krzyczę. Nie pozwalali mi spać. Ani mdleć. Byli ostatnimi istotami, jakie zobaczyłam, zanim ciemność ogarnęła moje oczy...

Zamilkła na chwilę, potem przeprosiła i podjęła swą opowieść. Daniel, który wpatrywał się w jej usta, zauważył, że skóra wokół nich przypomina wymięty papier.

- Kiedy się znudzili, postanowili, że mnie zjedzą. Miałam szczęście: mięso trzydziestolatki zupełnie im nie smakowało. Poprzestali na lewej nodze i porzucili mnie na pastwę losu. Nie umarłam tylko dlatego, że wcześniej, zanim się przekonali, że długiej uczy nie będzie, zatamowali krew lejącą mi się z kikuta. Czołgałam się po piasku i kamieniach, dopóki całkiem nie opadłam z sił. Pragnęłam umrzeć, ale przekonałam się, że to wcale nie takie łatwe... - I znowu parsknęła śmiechem. - Znaleźli mnie badający te tereny naukowcy. Dali mi pić i opiekowali się mną, aż jeden z nich, spojrzawszy mi w oczy, zaczął krzyczeć i strzelił sobie w głowę... Wtedy zrozumieli, że jestem szalona. Aby nie stanowiła tak wielkiego zagrożenia, przewieźli mnie tutaj, do Wellington. Chcesz wiedzieć, dlaczego tamten człowiek się zastrzelił, młodzieńcze? - zwróciła się do Daniela. - Spójrz na mnie. Od tak dawna nikt mi nie patrzył w oczy...

Daniel się zawahał. Nie wierzył, że naprawdę mogłoby się stać coś złego. O szaleńcach opowiadano wiele historii, ale na Północy nikt nie traktował tego poważnie. Ulegając prośbie Shane, przesunął wzrokiem w górę, po jej piersiach, szyi, twarzy, aż... Przeszkodziła mu dłoń Darby'ego.

- Zawsze to samo - roześmiała się chrapliwie Davenport. - Młody chce spróbować, a stary go powstrzymuje...

- Shane - przerwał jej Darby - powiedz nam, jak się nazywał twój przewodnik. I gdzie go szukać.

- Prawda, przewodnik... Lepszego nie znajdziecie. Za Balclutha nie zrobicie bez niego

nawet kroku. Nazywa się Nath Svenkov i mieszka w wieży, niedaleko stąd, w samym Porcie. Za odpowiednią zapłatę chętnie z wami pojedzie...

- Jak mu się udało przeżyć zasadzkę? - spytał Daniel.

Shane Davenport potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy omiotły jej twarz, przysłaniając płonące obłędem źrenice.

- Bez trudu, chłopcze - powiedziała. - Sam ją przecież zorganizował. Ułożył się z hybrydami, sprzedał mnie im... Poczekaj! Nie idź jeszcze! Nie spojrzysz mi w oczy? Nie chcesz? Ty tchórze!

Jej śmiech towarzyszył im aż do wyjścia.

## 7

- Wzięłeś na serio słowa wariatki?

- A ty jej nie wierzysz?

Szli nabrzeżem. Morze zlewało się z nocą i od jednolitej czerni odcinały się jedynie białe grzbiety fal.

- Nie. W każdym razie w większość z tego, co mówiła - odparł Darby. - Polowania na hybrydy? Też coś! Nikt nigdy takiej istoty nie widział!

- Czyli ten przewodnik...

- Może i nie jest szczególnie godny zaufania, ale to nasz jedyny kontakt w tym mieście. Musimy spróbować - orzekł Darby. - Co do panny Davenport, wiemy jedynie, że pewnego dnia zjawiała się w Wellington bez nogi i z interesującą historią w zanadrzu.

- Nie dopuściłeś jednak, bym spojrział jej w oczy - stwierdził Daniel. - A teraz chcesz się zwrócić do poleconego przez nią przewodnika... Nie rozumiem, Hectorze. Utrzymujesz, że w nic nie wierzysz, podobnie jak ja, ale sądząc po twoim zachowaniu, można by dojść do przeciwnego wniosku...

- Czyli jestem typowym przedstawicielem naszej epoki. Z braku dowodów na cokolwiek przychyliam się zawsze do najbardziej popularnej opinii. - Darby zatrzymał się i zapatrzył w ciemność. - Mój ojciec był wyznawcą Rozdziału Dziewiątego. Mówiłem ci już, że, zdaniem wielu, wzmiankowany tam Trapezoedr to symbol szaleństwa, myśli sprzecznej z sobą samą. Bohater tego tekstu na końcu mówi: „To ja jestem tą rzeczą, a ona mną”... Mój ojciec pragnął doświadczyć czegoś podobnego: zanurzyć się w sprzecznościach, by znaleźć prawdę. Miał określoną wizję tego, jak powinno powstać jego dziecko. Jako hierarcha dużej

sekty mógł sobie pozwolić na pewne ekstrawagancje, zapłacił więc za stworzenie embrionu na bazie jednej ze swoich własnych komórek, a potem zażądał, by nikt nie ingerował w rozwój tego tworu. Wyjaśnił mi potem, że chciał zobaczyć, jak życie ewoluuje samo z siebie. Po latach przyszło mi do głowy, że potrzebował biologicznego, naturalnego dziecka do wykreowania nowej sprzeczności, sam bowiem był ucieleśnieniem wszystkiego, co sztuczne: hermafrodytą, obojnakiem... Moim ojcem, a zarazem moją matką... Źródłem mojego rozsądku i moich szaleństw. Światłem i ciemnością. Dorastałem w domu człowieka, którego istotę stanowiła dwoistość, w wymiarze tak cielesnym, jak i duchowym. Brent Schaumann powtarzał, że to właśnie nauczyło mnie wątpić w każdą rzecz bez wyjątku. - Uśmiechnął się. - Zawsze widzę dwie strony medalu. Jako dziecko miałem kłopoty z akceptacją szczególnej natury ojca, ale mimo wszystko chyba... wiele nas łączyło. Na koniec oszalał. Odwiedzałem go w zakładzie dla obłąkanych. Siadał naprzeciwko mnie, a ja starałem się nie patrzeć mu w oczy...

Darby ruszył przed siebie, nie oglądając się na Daniela. Po chwili jednak przystanął i odwrócił się w jego stronę.

- Pamiętasz, jak gwałtownie zareagowałem, gdy posądziłeś mnie o bycie człowiekiem wierzącym? - spytał, przekrzykując wiatr, który szarpał połami jego płaszcza. - Chcesz wiedzieć dlaczego? O tym nie rozmawiałem nigdy z nikim, nawet z Brentem... - Wykrzywił twarz w dziwnym grymasie. - Otóż w głębi duszy nienawidzę wszystkiego, co wiąże się z wiarą. Nienawidzę religii i tych ponurych biblijnych opowieści o rozmaitych poczwarnych stworzeniach i o Bogu, który śpi na dnie morza, by pewnego dnia zmieść nas z powierzchni Ziemi. A przecież... Jaką mamy pewność, że Biblia kłamie? I to jest najgorsze. Nienawidzę ludzi wierzących, ale nie mogę bezwzględnie odrzucić tego, w co wierzą. Czasem odnoszę wrażenie, że właśnie dlatego ich nienawidzę. Gdybym zyskał jakiś dowód... Na cokolwiek!

To rzekłszy, Hector Darby wcisnął ręce w kieszenie i poszedł dalej.

## 8

Wieża wznosiła się po drugiej stronie Portu, górując nad spiczastymi dachami. W gruncie rzeczy był to zwykły, stary dom, z którego wyrastała metalowa cylindryczna konstrukcja. Prowadziła do niej wąska drabinka. Nie dało się wykluczyć, że ta zardzewiała przybudówka rzeczywiście służy komuś za mieszkanie.

W dwóch oknach dolnej części budynku paliło się światło. Darby zapukał do drzwi.

Służący, Polinezyjczyk o ładnym uśmiechu, zaprosił ich na pierwsze piętro, do salonu zastawionego starymi masywnymi meblami. Daniel odnosił wrażenie, że trafił do domu kogoś dawniej bardzo bogatego, a obecnie przeżywającego trudne chwile.

W pokoju znajdowało się dwóch mężczyzn. Ponieważ służący nie spieszył się z prezentacją, odezwał się Darby:

- Pan Svenkov?

- To ja.

Daniel postąpił kilka kroków, by spojrzeć na tego, kto wymówił te słowa, jako że człowiek ów nawet nie wstał z krzesła. Rzuciły się w oczy dwie rzeczy: po pierwsze Svenkov był Polinezyjczykiem, po drugie zaś miał wyjątkowo silną osobowość. Jego długie, proste czarne włosy, rozdzielone jasną linią przedziałka, spływały na wspaniałe okrycie z białych piór. Stroju dopełniały szare rajtuzy do połowy uda, wiązane wokół łydek sandały i rozmaite plemienne ozdoby wykonane z muszli - naszyjniki i bransolety oraz pierścienie, które połyskiwały na długich, wypielęgnowanych palcach. Niezwykły ten ubiór osłaniał idealnie ukształtowane, emanujące tajoną, lecz wyraźną siłą ciało, rozparte w tym momencie na krześle.

Takie były pierwsze wrażenia Daniela. W następnej chwili, dostrzegłszy Darby'ego, Svenkov wybuchnął zaskakująco dźwięcznym śmiechem.

- Och, proszę... Nie wytrzymam... - powtarzał, zakrywając twarz dłońmi i ewidentnie nie mogąc się uspokoić. Ku oburzeniu Daniela śmiał się również służący, a także drugi z obecnych. Uśmiechnął się nawet Darby, przyczyna tej ogólnej wesołości. - Musicie nam wybaczyć, ale właśnie założyłem się z moim przyjacielem Ametem o sto *pounamus* nad jeziora Karuga, że wkrótce odwiedzi mnie biologiczny człowiek z interesującą propozycją...

- A więc wygrałeś - odrzekł Darby.

- Musieliście się jakoś kontaktować - odezwał się mężczyzna nazwany Ametem, przemawiając znacznie mniej przyjemnym głosem.

- Przysięgam na Atuę, że nie... Prawda, biologiczny człowieku? - Darby przytaknął i Svenkov posłał triumfalny uśmiech Ametowi, który nic nie powiedział, tylko wychylił trzymany w dłoni kieliszek. - Czasem zdarzają się takie zabawne zbiegi okoliczności - ciągnął gospodarz, gładząc się po policzku długimi paznokciami, może po to, by pokazać Darby'emu olśniewający pierścień na serdecznym palcu. - A teraz powiedzcie, co mogę dla was zrobić.

- Wolelibyśmy porozmawiać na osobności.

Svenkov wstał, mierzając Darby'ego uporczywym spojrzeniem.

- Wszystko, co znajduje się w tym pokoju, należy do mnie, łącznie ze służącym i



Ametem. Nie ma więc potrzeby, bym ich odprawiał, tak jak nie ma potrzeby ani możliwości, bym odprawiał ściany. Mów, czego chcesz, albo znikaj.

Oto jego prawdziwe oblicze, pomyślał Daniel. Współpraca nie zapowiadała się zachęcająco. Na Darbym jednak cała ta scena nie zrobiła większego wrażenia. Wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie.

- A zatem dobrej nocy.

- Po co tu przyszedłeś? - zatrzymał go Svenkov.

- Spytaj raczej: z czym - poprawił Darby. - A ja odpowiem: z dobrą ofertą, którą wszakże przedstawię ci tylko na osobności.

Svenkov przyglądał mu się przez ramię. Dolna część jego twarzy o wydatnych kościach policzkowych ginęła wśród białych piór, z których wykonano okrycie. Malowała się na niej przebiegłość. Po chwili niedbale machnął ręką. Służący i Amet drgnęli, jakby pociągnął za niewidzialną nić, i już ich nie było. Svenkov napełnił dwa kieliszki.

- Mów - rzucił.

- Na południe od Dunedin jest sanktuarium poświęcone Masce i Dłoniom - rzekł Darby. - Chcemy, żebyś nas tam zabrał. Nasza grupa liczy sześć osób, mamy fundusze i sprzęt. I bardzo nam się spieszy: musimy wyruszyć już jutro.

Svenkov podał im kieliszki i podzwaniając metalowymi ozdobami przy wysokich sandałach, w milczeniu wrócił na swoje krzesło.

- Znam to miejsce - oświadczył w końcu. - Poza kupą ruin nic tam nie ma. Czego zamierzacie szukać w tej dzicy, biologiczny człowieku?

- Nie wiem, człowieku niebiologiczny, zobaczymy - odparł Darby z uśmiechem. - Tak czy owak, choćbyśmy nie znaleźli niczego, ty dostaniesz swoje pieniądze. Pod warunkiem, że bezpiecznie przeprowadzisz nas tam i z powrotem.

- I upierasz się, żeby wyruszyć jutro. Nie przesłyszałem się, prawda? - Svenkov odstawił swój kieliszek i wziął ze stołu okrągłe lustro. - Zaskakujący pośpiech u kogoś, kto nie wie, o co mu chodzi. Dlaczego wszyscy próbują oszukiwać Svenkova? - poskarżył się swojemu odbiciu. - Czy Svenkov wygląda na idiotę? Jeśli chcecie, żebym się uganiał za „niczym”, musicie dać mi w zamian prawie wszystko - zakończył, odwracając się do Darby'ego i szczerząc białe zęby.

Darby zaproponował znaczną ilość złota.

- Połowa teraz, połowa po powrocie, o ile okażesz się tak dobry, jak mówią - zastrzegł.

Svenkov przeniósł zielone spojrzenie na Daniela.

- A ten to kto?
- Mam na imię Daniel.
- Nie wyglądasz na kogoś, kto opływałby w bogactwa.
- Ty też nie - odparował Daniel.

Darby parsknął śmiechem, a Svenkov przez chwilę wpatrywał się w Daniela, przygryzając pasmo swoich czarnych włosów i bawiąc się długim kolczykiem. Potem znowu zerknął w lusterko.

- Przyszliście do Svenkova, żeby z niego kpić - ryknął. - Wydaje się wam, ludziom z Północy, że możecie kupić syna Atui! Mówicie: „Życzymy sobie wyruszyć jutro” i spodziewacie się, że Svenkov przyjmie waszą propozycję z pocałowaniem ręki! Ale Svenkov nic o was nie wie: ani kim jesteście, ani czego szukacie... Sądzicie, że się ugnie, zmilczy i wykona rozkazy?

- Chodźmy stąd, Hectorze - zniecierpliwiał się Daniel. - To bez sensu.

Darby jednak zignorował go i po prostu podniósł nieco stawkę. Svenkov opuścił lusterko, a jego mięsiste wargi wykrzywiły się w przebiegłym uśmiechu.

- Chcę dwa razy tyle - powiedział. - Plus - dodał, celując w Darby'ego palcem - połowę ewentualnego łupu.

Daniel, przekonany, że to już przesada, oczekiwał, że Darby roześmieje się tamtemu w twarz. Bardzo się zdziwił, gdy Hector skinął głową.

- Poza tym - podjął Svenkov - jako *ariki*, szef wyprawy, będę wymagał bezwzględnego posłuchu. Podróż przez Otago to nie żarty. Dlatego i ty, i ty, i cała reszta macie robić dokładnie to, co wam każę, bez pytań i dyskusji...

- Jakoś się dogadamy...
- To moje ostatnie słowo - uciął Svenkov swoim melodyjnym głosem.
- Muszę naradzić się z przyjaciółmi - rzekł na to Darby.

Daniel nie wierzył własnym uszom. Arogancja Svenkova działała mu na nerwy. Nie wątpił już teraz, że Shane Davenport nie zmyślała.

- Hectorze, poczekaj - rzucił. - Możemy zamienić słówko?

Svenkov wykonał niedbały gest wyrażający przyzwolenie. Darby i Daniel przeszli w odległy kąt salonu.

- Chyba nie zamierzasz zaufać takiej żmii - szepnął Daniel. - Znajdziemy kogoś innego. Temu typowi tylko się wydaje, że jest niezastąpiony. Porozmawiajmy z Meldonem... Na pewno jakoś...

- Chłopcze - przerwał mu ostro Darby. - Nie mamy czasu do stracenia. Pozwól, że

załatwię to po swoimu.

- Ale...

- Zgodziliśmy się, żebyś z nami jechał - Darby ponownie wszedł mu w słowo. - Co nie znaczy, że wolno ci podejmować za nas decyzje - powiedział, odwracając się do gospodarza. - Panie Svenkov, oczywiście muszę to skonsultować z pozostałymi uczestnikami wyprawy, lecz wstępnie przyjmuję pana warunki.

Daniel wpatrywał się w niego z rozpaczą. Svenkov też zresztą nie zdradzał radości. Siedział do nich plecami, Daniel jednak dostrzegł jego odbicie w opartym o butelkę lusterku: wyraz tej twarzy nie wróżył niczego dobrego.

## 9

Rowen, Anjali, Maya i Yil zjawili się w domu Svenkova godzinę później, objuczeni wielkimi plecakami. Przynieśli też złoto. Przewodnik nalegał, by wszyscy razem zanocowali u niego, a że nie mieli lepszego pomysłu, przystali na tę propozycję z ochotą.

Daniel widział wyraźnie, że Svenkov, choć zabawia ich uprzejmą rozmową, czuje się panem sytuacji. Od początku też dawały o sobie znać jego dyktatorskie zapędy. Najpierw kategorycznie zaprotestował przeciwko udziałowi w wyprawie osób niepełnosprawnych, określając w ten sposób niewidomą Mayę, i Rowen z Darbym musieli mu spokojnie, acz stanowczo wytłumaczyć, że kto jak kto, ale ona potrafi się o siebie zatroszczyć. Potem, gdy wspólnie oglądali trójwymiarową mapę Otago, nie przegapił żadnej okazji, by zaznaczyć swoją wyższość, szczególnie kpiąc z Anjali, która więcej niż inni wiedziała o rafach położonych przy południowo-wschodnim wybrzeżu; co chwila rzucał pod jej adresem uwagi w stylu: „Nie wiem, kto ci takich głupot naopowiadał” albo: „Widać, że potrzebujecie przewodnika”.

- Sanktuarium, o które wam chodzi, znajduje się tutaj - wskazał upierścienionym palcem. - Z plaży można się tam dostać piechotą w ciągu jednego dnia...

- Istnieją jakieś podobne świątynie? - spytał Rowen.

- Nie tak ważne jak ta.

Rowen zapatrzył się na ruchliwe światełka migające w obrębie mapy.

- W takim razie na pewno chodzi nam o tę, a nie inną - stwierdził.

Temat hybryd wypłynął za sprawą Yila. Zagadnięty w tej sprawie Svenkov, opróżniając trzecią czy czwartą tego wieczoru butelkę, powiedział:

- W dżungli pełno dzikusów i najrozmaitszych zachowanych w stanie naturalnym zwierząt, ale hybryd nigdy nie widziałem.

Wyglądało na to, że uważa temat za zamknięty, więc nikt nie naciskał, a Darby nie wspomniał o Shane Davenport nawet słowem.

Późnym wieczorem, przydzielając gościom sypialnie, Svenkov zwrócił się do Daniela ze źle skrywaną uciechą:

- Obawiam się, że tobie przypadnie pokój na górze. Będziesz musiał wyjść na zewnątrz i wspiąć się po drabinie.

Daniel nie wątpił, że świadom jego wrogości Polinezyjczyk celowo utrudnia mu życie. Nie przejął się tym jednak, dźwignął swój plecak, wszedł na strych, a stamtąd na dach i zanurzył się w spowijającym Wellington mroku. Na niebie błyszcząły odległe, zawieszane w pustce gwiazdy, gdzieś w dole szumiało morze. Po wąskiej drabinie wdrapał się do wnętrza metalowej konstrukcji. Przeznaczone na jego sypialnię pomieszczenie okazało się okrągłe i puste, pozbawione okien i rozjaśniane nieprzyjemnym górnym światłem. Za łóżko najwyraźniej służyć miał prostokątny stół. Daniel rozebrał się i wyciągnął na deskach. Przez jakiś czas leżał przy zapalonym świetle, wpatrzony w sufit, wsłuchany w kłębiącą się na zewnątrz noc.

Następnie sięgnął do pozostawionego na ziemi plecaka i wyjął z niego swój najcenniejszy skarb, z którym od wyjazdu z Niemiec rozstał się tylko raz, przed wyprawą do Strefy Zatopionej.

Ucałował zimną urnę, jak całowałby ciepłe ciało Bijou, i wyszeptał słowa, które powtarzał co wieczór przed snem: że, tak jak obiecał kiedyś, dawno temu, nigdy jej nie opuści („Przysięgnij, że zawsze będziesz miał moje prochy przy sobie”) i że pomści jej śmierć. Potem ostrożnie odłożył urnę na miejsce i zgasił światło.

Czując się tak, jakby gasił swoje życie.

## 10

I oto leżał, cały dygocący, zlany potem, pogrążony w absolutnej ciemności, zastanawiając się, czy słusznie postąpił, decydując się ruszyć do Nowej Zelandii.

Nie poddawaj się tak łatwo, Danielu, rzekł do siebie w duchu.

Już nazajutrz ruszą do sanktuarium, a gdy odnajdą Klucz, Prawda odnajdzie ich...

Nie wiedział, skąd ta pewność, ale był całkowicie pewien, że trzymając się grupy

Darby'ego, prędzej czy później stanie oko w oko z monstrem, które wtrąciło go w mrok nieskończenie gęstszy niż ten panujący teraz wokół.

Usłyszał szmer i podniósł głowę. Włosy kleiły mu się do spoconego czoła. Wymacał włącznik, zapalił światło, zamrugał. Pokój był pusty, drzwi zamknięte. Może przenikały tu jakieś hałasy z dołu. Zgasił światło.

A jeśli się oszukiwał? Jeśli po porażce Iny i Olive'a ten ktoś zwany Prawdą zrezygnował? Mało prawdopodobne, ale...

Tak rozmyślając, zasnął.

Musiał zasnąć, skoro obok stołu, na którym leżał, ujrzał nagle Mitsuko.

Kucała w plamie krwistego blasku, podobna w tej pozycji do sępa, patrząc martwymi oczami. Miała na sobie czarne rajtuzy i pasmo również czarnej, okręconej wokół szyi gazy, która przysłaniała symbolizujący poddaństwo dzwoneczek i spływała wzdłuż ramion. Głos, który wydobył się z gardła zjawy, był tak samo pusty jak wtedy, na Wieży w Tokio. We śnie czy nie, Daniel usłyszał wyraźnie:

- Jeszcze się spotkamy, Danielu. I umrzecie. Wszyscy.

To musiał być jednak sen, bo Daniel, choć pragnął jakoś zareagować, nie mógł nawet usiąść, zupełnie jakby go ktoś przywiązał do stołu.

- Albo nie wszyscy - powiedziała Mitsuko, ledwie poruszając wargami, śmiertelnie biała pod warstwą czerwonego światła. - Ty i twoja córka będziecie żyć dalej...

Wstała, rozprostowując kończyny niczym gigantyczny owad, po czym pochyliła się nad Danielem, trzymając w dłoniach oba krańce gazy, jak gdyby zamierzała się własnoręcznie udusić.

- Będziecie żyć... - powtórzyła ochryple. - Będziecie żyć... tutaj - wskazała na swoje usta. Jej policzki wyduły się, wypychane przez coś, co zdawało się puchnąć. - *Tu... aj, w śro... ku, Da... elu Kea...* - Nagle podniosła gazę do warg, jakby nie chciała zwymiotować na podłogę.

Rozległ się nieprzyjemny bulgot, oczy, nos i policzki Mitsuko rozciągnęły się niby guma, a jej usta zogromniały, zamieniając się w nieproporcjonalny w stosunku do twarzy otwór, z którego wyłoniło się coś czarnego i lśniącego jak odwłok pająka.

- *Tutaj* - rzekł wyraźnie jakiś głos.

Daniel zrozumiał: przemawiało to coś, co wydobywało się z ust Mitsuko, a czemu jej ciało służyło jedynie za skorupę.

I to coś to była Prawda.

Wypełniała cały pokój, zaklejając mu usta i nos. Daniel poczuł, że się dusi, i szarpnął

się bezradnie.

*Nie patrz jej w oczy. Bo jej oczy to Trapezoedr, przez który zobaczysz szaleństwo...*

Krzyknął. Zamachał rękami.

Potrzebował kilku sekund, by zdać sobie sprawę, że już nie śpi i kilku następnych, by dysząc ciężko, zapalić światło.

Wciąż znajdował się w wilgotnym, zamkniętym pokoju. Plecak i ubranie leżały tam, gdzie je zostawił. Nie zdarzyło się nic, co by „świadczyło o zjawisku wykraczającym poza prawa przyrody”. A przecież nigdy wcześniej nie miał równie okropnego i wyraźnego koszmaru. I nie wierzył, by to był zwykły sen.

Wiedział już, że nie może zrezygnować. Prawda uważała go za pełnoprawnego członka grupy i zagrażała także Yun. Jeśli chciał zaznać spokoju, musiał wyeliminować to zagrożenie.

Leżał na plecach, bojąc się znowu zasnąć, i czekał na świt.

# Rozdział dziesiąty

## *Rafy*

### 1

Wyglądała jak martwa, choć nikt, oczywiście, nie zostawiłby zwłok w pozycji poziomej. Po prostu spała.

Jednakże jej piękne ciało nie zdradzało oznak życia: nie poruszała się, zdawała się nawet nie oddychać. Leżała na plecach, z włosami starannie rozłożonymi na zagłówku prostego łóżka. Naga, niczym nieokryta kobieta z zamkniętymi oczyma.

*Turmaline.*

Natychmiast podniosła powieki.

*Mam mało czasu. Słuchaj uważnie.*

Bezszelstnie poderwała się na nogi, podeszła do drzwi i wysunęła się na zewnątrz.

Wellington tonęło jeszcze w ciemnościach, lecz znad horyzontu powoli wstawała zielonkawa, rozproszona jasność. Wynajęta na tydzień wspaniała willa stała na górującym nad miastem wzniesieniu. Miała ściany w kolorze zielonego jabłka, pomalowane na biało futryny okien, duże patio i ogród. Rozciągające się wokół pustkowie mogło przerazić każdego poza Turmaline, której zależało właśnie na tym, by w pobliżu nikt się nie kręcił.

Przed domem przystanęła i odgarnęła metalowe nici z tkwiącej w lewym uchu słuchawki, tak żeby nie uronić ani jednego ze słów Pana; złoto załśniło w pierwszych promieniach słońca.

Rozmowa trwała krótko. Turmaline wywiązała się z dotychczasowych zadań, ale czekało ją kolejne. Wciąż nie można się było posłużyć Prawdą. Turmaline wiedziała, co robić.

Kiedy głos w słuchawce zamilkł, wróciła do środka. Mitsuko czekała na podłodze w

salonie; przez całą noc nie zmieniała pozycji. Nie buntowała się jak kiedyś. Była już tylko wcieleniem woli Pana.

- Idziemy - powiedziała Turmaline. - Czasu mamy akurat tyle, by dotrzeć na lotnisko.

I patrząc, jak rudowłosa córka Katsury Kushiro dźwiga się na nogi, z uśmiechem dodała:

- A teraz dobra wiadomość: wkrótce umrzesz.

## 2

Nigdy nie widział nic podobnego.

Wszystko wokół zdawało się tętnić chaotycznym życiem: wydmy, skały, rafy, bijące o nie tajemnicze morze... Nawet niebo, po którym płynęły ogromne, brzuchate chmury, wyglądało inaczej niż zwykle. Daniel czuł się tak, jakby opuścił planetę Ziemię i znalazł się w świecie nietkniętym stopą człowieka. Ale najgorsze było to, że mimo poczucia obcości miał świadomość, że ten świat...

- ...należy do nas - powiedział Darby i Daniel spojrział na niego z zaskoczeniem. - A my należymy do niego. Jesteśmy częścią *tego*. Niewiarygodne, prawda? Chcąc nie chcąc, zaczynasz myśleć, że miasta to uspokajające fikcje. I że jedyną rzeczywistością jest ta opustoszała plaża. Tutaj narodziło się życie. Jak również, zapewne, religia...

Pojazd powietrzny Svenkova - niewielki, zwrotny, z jedną tylko kabiną, wyposażoną w ustawione w koło fotele oraz scriptorium wyświetlające informacje o locie - wylądował kilkanaście metrów od jednej z plaż na południe od Ratanui, jakieś osiemset kilometrów od Wellington. Podróż, rozpoczęta o świcie, zajęła trochę ponad trzy godziny - niewiele jak na równie gwałtowną zmianę scenerii, myślał Daniel, a jego opinię podzielała chyba reszta towarzystwa.

Jeremy Yin Lane zdjął z siebie niemal wszystko i klęczał teraz na piasku. Powiewy wiatru, które niosły „mdlący zapach ryb”, odsłaniały zdobiącego jego szyję dwugłowego węża. Chłopak nie zwracał jednak uwagi na nieprzyjemną woń; dumny ze swego pochodzenia i niezłomnej wiary w Rozdział Dziesiąty, chciał najwyraźniej pokazać, że jedynie on potrafi się znaleźć w tej niezmiarzonej, świętej przestrzeni.

Svenkov przysiadł na skałach, nie schodząc na plażę. Zdjął plecak, odłożył broń i wyścielił ostre kamienie sznurkową spódniczką odpiętą od pasa. Przykucnięty, z kruczoczarnymi włosami, wyglądał jak piękny drapieżny ptak.



- Znałem kilku ludzi z Północy, którzy oszaleli od widoku tego morza - zawołał z uśmiechem.

Zignorowali jego zaczepki, ale Daniel pomyślał, że mogło nie być w tych słowach cienia przesady.

Chcąc zapomnieć na chwilę, gdzie się znajduje, skupił uwagę na niezwyklej wprost urodzie ciemnoskórej Anjali Sen, która uklękła obok Yila i razem z nim intonowała jakieś hymny. Maya, trzymając się z dala od morza, również zdawała się modlić, Rowen zaś kłął na czym świat stoi, mamrocząc pod nosem, że jego własny pojazd powietrzny mógłby wylądować bezpośrednio na plaży, co byłoby i wygodniejsze, i bezpieczniejsze. Svenkov nie bardzo się tym przejął.

- Jeśli chcecie zrezygnować z moich usług, proszę bardzo - rzucił zimno. - Ale dopóki to ja jestem *ariki*, będziemy postępować tak, jak uznam za stosowne.

Daniel znowu zapatrzył się na groteskowo ukształtowane rafy, rozmyślając nad tym, skąd się biorą takie formy w przyrodzie. Czyżby jakaś wyższa istota chciała zerwać z symetrią i zatrzeć granice między tym, co martwe, a tym, co żywe?

Darby podszedł do miejsca, gdzie modliła się Maya. Także Rowen uznał, że ten oddalony nieco od morza, wolny od piasku zakątek nadaje się na biwak. Daniel wciąż nie mógł się pozbierać i ogłuszony rykiem fal, nie dosłyszał nawet zbliżających się kroków.

Tuż obok stał Yil, trzymając coś w dłoniach. Bliskość morza działała na niego silniej niż na pozostałych: dyszał ciężko, rozdymając nozdrza.

- Widziałeś kiedyś takie amulety? - zagadnął. - Ten pejzaż wokół wygląda groźnie, ale jest tylko obcy. Tak się przynajmniej zdaje. To przedsionek Domu Boga. My, wyznawcy Rozdziału Dziesiątego, wkładamy na podobne okazje specjalne ozdoby. - Podniósł naszyjnik na wysokość twarzy i spojrzał przez tę obręcz swoimi skośnymi oczyma. - Wykonane z muszli mięczaków, które część interpretatorów nazywa wysłannikami. Włóż ten naszyjnik. I te kolczyki też. Pomogą ci.

- Co to są mięczaki? - spytał Daniel, biorąc od niego amulety i oglądając je z uwagą.

- Rodzaj morskich stworzeń. Na pamiątkę Tiary Zakonu wyrabiamy z ich skorup ozdoby o wielkiej mocy. Ochronią cię przed mrokiem raf i przed żyjącymi wśród nich innymi rodzajami wysłanników. No, włóż je.

Mimo wydzielanego przez naszyjnik niemiłego zapachu Daniel usłuchał. Muszelki zagrzechotały, zsuwając się po jego gładkiej piersi. Yil odwracał się już, by odejść, gdy Daniel zatrzymał go słowami:

- Ochronią mnie? Przed tym? - I zerknął w stronę morza.

Yil spojrział na niego zmrużonymi oczyma.

- Wiem, że nie wierzysz w nic, Danielu Keanie - rzucił z pogardą. - A jednak sama twoja obecność tutaj stanowi najlepszy dowód na prawdziwość tego, w co wierzymy. Dlatego zachowaj swoje uwagi dla siebie. Nikogo nie obchodzi, co myślisz.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Chciałbym wierzyć, Yilu - powiedział potem Daniel, bardzo łagodnie. - Byłbym wtedy znacznie szczęśliwszy.

- Co do tego akurat się mylisz - wtrąciła z uśmiechem Anjali, która od jakiegoś czasu przysłuchiwała się ich rozmowie. - Wcale nie byłbyś szczęśliwszy; wręcz przeciwnie. Wierzyć znaczy wiedzieć, a wiedza potęguje strach. Niemniej jednak Yil też się myli, jeśli sądzi, że nikogo nie interesują twoje opinie i odczucia. Bardzo trudno się do tego wszystkiego przyzwyczaić. - Zakreśliła krąg ręką. - Masz przed sobą naturalne morze, niezmienione od początku dziejów, to samo, o którym opowiada Stary Pijak z Rozdziału Dziesiątego. Żywiół, z którego wychynęły te przerażające rafy. Czy jesteś wierzący, czy nie, nikt ani nic nie złagodzi twojego lęku. Jedyne, co chcemy osiągnąć, obwieszając się tymi muszelkami, w których trwa jeszcze wspomnienie galaretowatych ciał morskich stworzeń, wysłanników Boga, to choć trochę się do nich upodobnić. Proszę, Danielu, chodź z nami i wycisz się, tańcząc i śpiewając na piasku.

Wyglądało na to, że zaprasza go ze szczerego serca. Yil najwyraźniej nie podzielał jej przyjaznych uczuć: ostentacyjnie odwrócił się plecami i zebrał gęste włosy w gruby węzeł na karku - może po to, by odsłonić wszystkie swoje tatuaże. Tak przynajmniej pomyślał Daniel, rzuciwszy na niego okiem. W tym momencie poczuł, że ciepła dłoń Anjali uspokajająco zaciska się na jego ramieniu.

Dał się prowadzić za rękę, jak dziecko, brnąc niechętnie przez dziwnie drobny, klejący się do stóp piasek.

Już nie chodziło wyłącznie o strach, lecz o czysto fizyczny opór. Całe ciało wzdrygało się przed bliższym kontaktem z tym światem. Wszystko tu było obce: zapachy i kolory, liźnięcia chłodnego wiatru na skórze, ogrom nieba. Strefa Zatopiona była przynajmniej ludzka, to tutaj - nie.

- Przyzwyczaisz się - powiedziała Anjali.

Wiedział, że próbuje go tak tylko pocieszyć.

Nie mógł się przyzwyczaić.

Sam nie rozumiejąc dlaczego, zapragnął towarzystwa Hectora.

Darby nie kwapił się do uczestnictwa w rytualnych tańcach i śpiewach. Gdy przenieśli ekwipunek z pojazdu i skończyli pakować plecaki, wrócił na plażę i przycupnął na piasku, twarzą do fal. Jego luźna tunika wydymała się na plecach jak garb, resztki włosów fruwały wokół łysiny. Siedział tak, ze zmarszczonym czołem, jakby chciał wyczytać z morza zostawioną tam przez kogoś wiadomość.

Czerwona tarcza słońca dotykała już krawędzi horyzontu, gdy Daniel przykucnął obok Hectora, który w tym świetle przypominał wyciętą z pomarańczowego kartonu figurkę.

- Jesteśmy u źródeł czasu - rzekł bibliofil bez żadnych wstępów, jak gdyby obecność Daniela skłaniała go do wypowiedzania na głos już rozpoczętego monologu. - To nasza kolebka, trudno temu zaprzeczyć. Nawet dla niewierzących Biblia stanowi cenne świadectwo tradycji, a począwszy od Rozdziału Dziesiątego Autor nieustannie podróżuje: zabiera nas do rybackiego miasteczka, by pokazać nam prawdziwe morze i żyjące wśród raf hybrydy, na południowe pustynie, na Antarktydę... Opowiada o podwodnych lub podziemnych miastach i o dawno wymarłych rasach, wcześniejszych niż ludzka. Czy to wymysły, czy zapis historii? W miejscu takim jak to wszystko jawi się w innym świetle...

- Sądziłem, że nic gorszego niż Strefa nie istnieje - rzucił Daniel.

Darby pokręcił głową.

- Strefa Zatopiona to rezerwat pod szkłem, dlatego mimo wszystko czuliśmy się tam w jakiś sposób chronieni. Trochę jak w inkubatorze centrum genetycznego, gdzie powstaliśmy... Teraz znajdujemy się na terenie zupełnie dzikim, Danielu, przez nikogo niestrzeżonym. Rozpoczęliśmy iście biblijną wyprawę. Wszystko, co tu widzimy, podlega jakimś nieludzkim prawom, niemającym nic wspólnego z życiem projektowanym w laboratoriach czy choćby z logiką. Spójrz na te rafy albo na tę skalistą wysepkę... - Podążając wzrokiem za palcem Darby'ego, Daniel zmusił się do ponownego spojrzenia na ów przyprawiający o mdłości wybryk natury. - Spłachetek ziemi pośród błękitnego bezmiaru... A ten zapach... Ten zapach...

- Jest obrzydliwy - dokończył Daniel zduszonym głosem. - Nic się nie da jeść w takich warunkach.

- Na pewno można tę woń naukowo wytłumaczyć - przyznał z niesmakiem Darby. - Dlaczego nasze morze jej nie wydziela? Brent lepiej by się w tym orientował, ale sądzę, że to kwestia odpowiedniego projektowania i kontroli życia w głębinach. Tutaj wszystko gnije tam, gdzie umiera. - Przeniósł spojrzenie na gładkie, schludne ciało Daniela, lekko się nad nim pochylił i pociągnął nosem. - Ty na przykład wcale nie pachniesz. Nie masz nic wspólnego z

tym odorem opuszczenia i zgnilizny. A ja, jak wszyscy biologiczni, mam. Gdyby hybrydy, te potworne półrybie stwory naprawdę istniały, śmierdziałyby podobnie jak ja. Pamiętasz, co opowiadała Shane Davenport? Przypuszczam, że to, co bredziła o swoich rzekomych polowaniach, wzięło się z doskonale mi znanego, dręczącego poczucia, że my, biologiczni, przynależymy bardziej do tego świata niż do waszego. Katsura Kushiro też musiał tak uważać. Prawdziwe hybrydy to my!

Głos mu się załamał. Zapadło milczenie. Daniel już wcześniej się domyślał, że Darby cierpi nad swoją kondycją istoty, której rozwój pozostawiono przypadkowi, ale nigdy jeszcze nie był świadkiem podobnego wybuchu. Nie znajdował słów pociechy: przychodziły mu do głowy same absurdalne banały, których Darby ze swoim wykształceniem nie mógłby potraktować poważnie. Coś należało jednak powiedzieć.

- Doktor na pewno wybiłby ci z głowy takie pomysły... - Daniel przerwał i zastygł bez ruchu, przypomniał sobie bowiem swoją ostatnią rozmowę z Schaumannem. Uznał, że dobrze by było podzielić się jej treścią z Darcym, choćby po to, by odwrócić jego uwagę od nieprzyjemnych myśli.

Hector wysłuchał go z uwagą, a potem rzekł:

- Brent coś mi o tym wszystkim wspomniał. Nie rób takiej zdziwionej miny, po obiedzie wydanym z okazji przyjazdu twojej siostry znaleźliśmy chwilę, żeby pogawędzić na osobności. Zwierzył mi się, że badając cię, wyczuł coś dziwnego... Nie w tobie, ale dokoła, w przestrzeni między nami. Nie wyjaśnił mi nic więcej. Wydawał się spięty, ale przyjąłem, że po prostu denerwuje się podróżą...

- O co mu mogło chodzić?

- Nie wiem. Niechętnie odpowiadał na pytania. Doszedłem do wniosku, że zanim sformułuje jakiś osąd, chce się upewnić co do jego prawdziwości. Taki już był. - Darby roztarł ramiona, jakby ogarnął go chłód. - Potem, kiedy umarł, całkiem o tym zapomniałem.

Popatrzyli na siebie w gęstniejącej ciemności.

- Myślisz, że trafił na trop czegoś istotnego? - zapytał Daniel.

Darby milczał przez chwilę, przypatrując się pozostałym towarzyszom podróży. Daniel też spojrzął w ich kierunku. Anjali i Yil, klęcząc w wodzie, wciąż oddawali się modlitwie. Maya obmacywała pokręcony pień jakiegoś uschłego drzewa, a Rowen rozmawiał przy ognisku ze Svenkovem.

- Tak czy owak - odezwał się w końcu Darby - powinniśmy chyba uszanować wolę Brenta i chwilowo nikomu o tym nie mówić. Niech to będzie nasz sekret.

- Zgoda.

Krótki, podobny do skurczu uśmiech przemknął przez nieruchomą dotąd jak maska twarz Darby'ego. Owłosiona, niezgrabna dłoń spoczęła na ramieniu Daniela.

- Winien ci jestem przeprosiny za to, jak potraktowałem cię u Svenkova. Nerwy mam ostatnio dość napięte, sam rozumiesz, Danielu. Świadomość, że może już jutro dotrzemy do sanktuarium i znajdziemy Klucz, cokolwiek kryje się pod tą nazwą, właściwie mnie przeraża. Poza tym, szczerze mówiąc, twój upór, żeby z nami jechać, nie nastroił mnie pozytywnie. Ani ja, ani Maya nie chcemy, byś ucierpiał jeszcze bardziej niż do tej pory...

- Wiem. Maya usiłowała odwieść mnie od tego zamiaru.

- Ale teraz się cieszę, że jesteś z nami - oświadczył z powagą Darby.

Na tym skończyli. Zapadła noc, nieodwołalna i wszechogarniająca jak śmierć. Daniel nigdy wcześniej nie doświadczył tak absolutnej ciemności - odnosił wrażenie, że jaśniej mu jest z zamkniętymi oczami. Gdy zebrali się przy ognisku, tylko Maya pozostała niewzruszona: reszta zdradzała niekontrolowane napięcie i nawet zahartowany Svenkov krążył nerwowo dokoła, połyskując w mroku białą koszulę.

Daniel spał niespokojnie. W pewnym momencie, gdy podniósł powieki, dojrzał u stóp jednej z raf słabe poblaski. Sądził, że śni, dopóki głos pełniącego straż Yila nie poderwał wszystkich na nogi.

- To jakieś plemię odprawia swoje rytuały - uspokajał Svenkov. - Nigdy nie twierdziłem, że będziemy tu sami. Pozwól jednak - zwrócił się lekceważącym tonem do Yila - że ja zadecyduję, czy zachodzi potrzeba wszczynania ogólnego alarmu.

Daniel nie przepadał za Yilem, ale jeszcze gorzej znosił arogancję Svenkova. Odczekał, aż reszta zaśnie, i podszedł do Yila.

- Nie zwracaj na niego uwagi, to idiota - powiedział.

Yil spojrział na niego przelotnie i znów utkwiał wzrok w ciemnościach.

## 4

Przebudziwszy się, nie rozumiał przez chwilę, co się dzieje.

Rozżarzona kula słońca wznosiła się po różowym, bezchmurnym niebie, przywracając błękitną barwę morzu. Idealną ciszę zakłócał jedynie Svenkov, który miał pełnić straż nad ranem i pędził teraz przez plażę, wrzeszcząc jak opętany:

- Jazda stąd! No, już!

Wyglądało na to, że trzyma w dłoni jakiś przedmiot. Gdy dobiegł do ogromnych

szarych skał na brzegu, zamachnął się i cisnął coś w ich stronę. Daniel uznał, że zatrudnili szaleńca.

Kamień zakreślił w powietrzu łuk i odbił się od skał z głuchym stukotem.

Wtedy się pojawili. Szli spokojnie, jakby jawna wrogość Svenkova dotyczyła kogoś innego. Mieli ciemne, szczupłe ciała, nieruchome, wyłupiaste oczy i grube sinawe wargi, z których zwisały aż na podbródek fioletowe jęzory... Trzy osobniki. Męskie. Daniel stłumił okrzyk przestachu i wstrzymał oddech. *Hybrydy. A więc tak wyglądają.* Dostrzegł, że przewodnik rozgląda się za następnym kamieniem, i ze zdumieniem poczuł, że oprócz lęku, jakim napawały go te stwory, zalewa go gwałtowny sprzeciw: nie życzył sobie, żeby ktoś je atakował.

- Przeklęte dzikusy! - wykrzykiwał Svenkov.

Daniel poderwał się na nogi - zauważając kątem oka, że pozostali idą w jego ślady - i ruszył ku brzegowi, z dziwnym wrażeniem, że, paradoksalnie, to strach popycha go do przodu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że oczy tamtych zdawały się wyłupiaste, ponieważ obrysowane były na czarno pierścieniami, to zaś, co wziął za wargi i języki, okazywało się z bliska...

Celnie rzucony przez Svenkova kamień uderzył jednego z nich w bark, ale tubylec nawet się nie skrzywił. Svenkov znowu się schylił, ale w tym samym momencie Daniel przytrzymał go za ramię.

- Dosyć tego! Przecież nas nie atakują!

Svenkov uwolnił się jednym szarpnięciem, a tymczasem tamci zdążyli się wtopić w krajobraz. Jeszcze chwilę wcześniej spokojnie przemierzali plażę, a teraz nie pozostał po nich nawet ślad. Tak jakby ich w ogóle tam nie było.

Svenkov odwrócił się ku Danielowi. Czarne włosy zakrywały mu połowę twarzy, ale i tak widać było, że maluje się na niej nieokiełznana wściekłość. Dyszał ciężko, wyprostowany i groźny, jakby energia, której nie spożytkował na ostatni rzut kamieniem, gwałtownie domagała się ujścia. Jego doskonały tors i napinające skórę mięśnie aż dygotały. Miał na sobie skąpy dwuczęściowy kombinezon - wykonany z czegoś, co przypominało niebieskie, białe i czerwone szkiełka - oraz bransoletę z wielkich zielonych kamieni. Wyglądał w tym stroju jak jakiś bóg. Daniel czuł, że ma przed sobą kogoś, kto przywykł do posłuchu.

- Nigdy więcej mi nie przeszkadzaj, człowieku z Północy - warknął Polinezyjczyk.

- Ale to nie byli wrogowie, tylko zwykli, zaprojektowani tak jak my ludzie z tatuażami na skórze!

- Przyszli tu szpiegować!

- W nocy zlekceważyłeś światła na rafie, a teraz nagle uznałeś, że sytuacja wymaga wszczęcia alarmu?

Svenkov wydawał się szykować do ciosu. W tym wszakże momencie za ich plecami odezwał się kobiecy głos.

- Daniel ma słuszność - powiedziała Anjali. - Ci tubylcy nie zamierzali atakować.

- Nie. Zaznaczali jedynie, że to ich teren - odparował chłodno przewodnik. - Jeśli nie pokażemy im, że powinni się nas bać, prędzej czy później zaatakują.

- Nie chciałbym podważać pańskich decyzji, Svenkov - odezwał się Rowen, stając obok Anjali - czy nie byłoby jednak rozsądniej nie podsuwać im pretekstu do ataku?

- Zastanówcie się raczej, jak nie dawać mi kolejnych pretekstów do tego, żebym was tu zostawił - syknął Svenkov. - Jestem *ariki* i jako szef tej wyprawy żądam bezwzględnego posłuszeństwa. - Tu spojrzął na Daniela. - Żadnych więcej dyskusji!

Maya i Anjali zaczęły protestować, ale zagłuszył je Yil, mówiąc dobitnie:

- Zgadzam się z panem Svenkovem. Któż lepiej od niego zna tajemnice Ziemi Boga? Tamci naprawdę mogli szpiegować.

Wszyscy zamilkli, nawet Anjali. A wtedy Svenkov uczynił coś nieoczekiwanego. Ukląkł na obmywanym falami piasku, podniósł dłonie do piersi i zawołał:

- Oto Svenkov! Któż to taki? Sługa ludzi z Północy! *Taurekareka*, którym każdy może pomiatać! A przecież jedyne, czego Svenkov pragnie, to chronić tych, którzy przybywają wraz z nim na tę ziemię szaleńców! Svenkov zna zgrozę drzemiącą w morzu i rafach i chce tylko ocalić kilka północnych umysłów przed obłędem! - Krzycząc tak, miotał się niby wściekłe, choć piękne zwierzę, a jego włosy falowały na wodzie jak plama czarnego atramentu.

Potem, gdy minął mu ten ekstatyczny szał, z zamkniętymi oczyma usiadł na skałach i nie ruszał się ani nie odzywał przez godzinę. Korzystając z tego, Maya podeszła do Daniela i szepnęła z uśmiechem:

- Nie złość się na Yila za to, że cię nie poparł. Kierowały nim względy zupełnie niereligijne...

- Nie rozumiem.

„Patrzyła” na niego, wciąż się uśmiechając, a jej powieki pozostawały tak samo nieruchome jak konstelacja zdobiących jej twarz piegów.

- Yil wolałby, żeby Anja traktowała cię mniej mile. Nic nie zauważyłeś? Bez wątpienia chodzi mu o „miłość”...

- Myślałem, że ona i Meldon...

- Owszem. Tyle że na Meldona trudno ciągle naskakiwać, więc Yil wyżywa się na tobie. Ale na twoim miejscu - dodała, zniżając jeszcze bardziej głos - bardziej bym się martwiła z powodu naszego drogiego przewodnika...

- Nie lubię, kiedy tak wrzeszczy - rzucił Daniel, popatrując na Svenkova.

- A mnie, szczerze mówiąc, jeszcze bardziej niepokoi jego milczenie.

Polinezyjczyk wkrótce się ożywił. Zarządził natychmiastowy wymarsz, rozdzielił zadania i wyznaczył ich wykonawców, używając wycelowanego palca i określeń typu: „biologiczny”, „ślepa” lub „blondynek”. (To ostatnie dotyczyło Daniela). Maya, Anjali, Rowen i Darby mieli zwinąć obóz, Yil natomiast został wysłany na zwiady w celu ustalenia, gdzie się podzieli widziani rano tubylcy. Daniel zgodnie z poleceniem Svenkova zajął się zacieraniem śladów biwaku.

Rozrzucił ułożone kręgiem wokół ogniska kamyki, przysypał popiół piaskiem, a niezużyte gałęzie zaniósł na wskazaną przez przewodnika odległą kamienistą plażę. Nie rozumiał dlaczego akurat tam, dopóki nie usłyszał kroków za plecami. Odwrócił się szybko, dostał cios prosto w twarz i upadł na ostre kamyki. Kiedy próbował wstać, Svenkov kopnął go z całej siły.

- Jeśli zaczniesz wrzeszczeć, zabiję - uprzedził, wywijając długim pejczem z metalowym zakończeniem.

Początkowo Daniel usiłował się bronić, machając na oślep rękami, na koniec jednak zwinął się w kłębek i tylko obracał trochę, gdy uderzenia zbyt długo spadały w jedno miejsce. Nie miał na sobie nic poza sznurkową spódniczką i jego nagie ciało wystawione było na dotkliwe razy, które na elastycznej, dobrze zaprojektowanej skórze zostawiały zaledwie delikatne zaczerwienienia, lecz piekły jak liźnięcia płomieni. Daniel znosił ból w milczeniu, postanowił bowiem na wszelki wypadek nie sprawdzać, czy Svenkov spełniłby swoją groźbę.

Świst tnącego powietrze pejcza ustał nagle. Daniel podniósł twarz brudną od piasku i łez. Tuż obok stał Yil, spoglądając z góry na zwijającego się na ziemi Svenkova.

- Ty jesteś szefem, zgoda - wycedził. - Ale to my zatrudniamy ciebie, a nie na odwrót, idioto.

Pochylił się nad Danielem, podał mu rękę i pomógł wstać, kątem oka cały czas śledząc poczynania Svenkova. Ten jednak po prostu dźwignął się na nogi i otrzepał.

- Ładny cios - pochwalił, najwyraźniej całkiem zadowolony. - Ale twój jasnowłosy przyjaciel aż się prosił o nauczkę. Jesteś jego opiekunem?

- W każdym razie na pewno nie jestem twoim. - Yil charakterystycznym dla siebie ruchem zwinął włosy w węzeł na karku, odsłaniając tatuaże na plecach. - Nie waż się więcej



tknąć nikogo z nas, Svenkov.

Usłyszeli głos wołającego ich Rowena. Svenkov posłał im ostatecznie spojrzenie, wziął pejcz i odszedł.

- Miałeś rację - powiedział Yil do Daniela. - To skończony idiota.

Patrząc na niego, Daniel pomyślał, że kto wie, może się jeszcze zaprzyjaźnią.

Natomiast na przyjaźń ze Svenkovem raczej nie liczył.

## 5

- Posłuchajcie.

Idący tuż przed Danielem Yil przystanął i uniósł dłoń.

Znajdowali się w gęstym lesie. Z ziemi wystawały podobne do pokrzywionych palców korzenie. W tej chwili jednak uwagę wszystkich przykuwał dobiegający zza drzew głuchy rumor.

- „Wśród nienaturalnej ciszy zaczął mnie dochodzić monotony szum wodospadu” - wyrecytował Yil z emfazą.

- Słucham? - zdziwił się Daniel.

- To cytat z Rozdziału Dziesiątego - wyjaśnił zdyszany Darby. - Kiedy jego bohater dociera autobusem do rybackiego miasteczka, słyszy szum wodospadu przerywający nienaturalną ciszę. Niektórzy uważają, że owa cisza zapowiada pojawienie się hybryd...

- Ale przecież wcale nie jest cicho - zaprotestował Daniel. - Wręcz przeciwnie, ciągle słychać jakieś dziwne odgłosy!

- A czy ktoś twierdzi, że musi być cicho? Mówiłem przecież o ciszy nienaturalnej - rzucił z politowaniem Yil. - My, ludzie wierzący, potrafimy ją wychwycić.

Stał oparty o pień i patrzył na Daniela lekceważąco. Symetria, smukłość jego ciała kontrastowały z bujną, przyjmującą najbardziej fantastyczne kształty przyrodą.

Nawet porastająca Sentosę dżungla wydawała się schematyczna i uboga w porównaniu z tym labiryntem. Wszystko tu walczyło o przestrzeń i pięło się ku słońcu. Każde wolne miejsce zajmowane było natychmiast przez taką czy inną formę życia, czasem całkiem niepotrzebną lub absurdalnie wręcz brzydką. Gdziekolwiek otwierała się możliwość wykonania ruchu, tam poruszały się jakieś odnóża, skrzydełka albo czułki. Roślinność przypominała zieloną egzemę na skórze ziemi. W gęstym powietrzu nieustannie rozbrzmiewały dziwne bulgoty, dźwięki podobne do dziecięcych śmiechów, nieuchwytnie

szepty i niezrozumiałe dialogi. Obserwowane z tak bliska naturalne życie przypominało wrzący kocioł okropności.

Wędrowali od kilku wyczerpujących godzin. Pojazd powietrzny zostawili blisko plaży, ukryty pod gałęziami. Svenkov zapewniał ich, że sanktuarium znajduje się niedaleko, ale w tym zielonym morzu pojęcie odległości było najwyraźniej względne. Przeprawy nie ułatwiały też niezliczone biologiczne owady, które wprawdzie zbliżały się wyłącznie do Darby'ego - choć on akurat, w przeciwieństwie do pozostałych, siedł ubrany - lecz sama ich obecność, groteskowe kształty i dziwaczne zachowania rozpraszały uwagę i kazały się zastanawiać, w czym chorym umyśle mógł się zrodzić pomysł takiego świata. Większych, opisanych w Biblii stworzeń nigdzie nie było widać, lecz nikt nie gwarantował, że się gdzieś nie czają. Zdaniem Daniela nie tylko cisza sprawiała tu wrażenie nienaturalnej.

Anjali Sen popatrzyła na Svenkova.

- Jest w pobliżu wodospad?

- Kilka. Na rzece, która płynie tuż obok.

- Chciałbym ją zobaczyć - oświadczył Yil.

- Czy to niebezpieczne? - spytała Anjali.

- Nie bardziej niż wszystko inne - odrzekł spokojnie Svenkov. - Zresztą, tak czy owak będziemy się musieli przepawić na drugą stronę.

On jeden zdawał się odnajdywać w tych warunkach. Oczywiście był najlepiej przygotowany: zdobiący jego szyję wisior, który Daniel wziął początkowo za zwykłą błyskotkę, okazał się czymś w rodzaju kompasu: zerkając na niego, Svenkov raz po raz korygował kierunek marszu. Czasami śpiewał: dawały się wtedy słyszeć nieznane słowa kołysane rytmem obcych melodii. Co więcej, mimo trudów marszu nie tracił elegancji: jego skąpy strój wciąż wyglądał świeżo i czysto, starannie uczesane włosy gładko przylegały do czaszki. Niekiedy łapał owady, tłumacząc, że w mieście sprzedają je swoim ziomkom, którzy ponoć wyrabiali z ich pancerzy ozdoby. Wyglądał pięknie i niepokojąco zarazem, tak że Daniel, patrząc na niego, czuł jednocześnie podziw i rezerwę.

Poza Yilem nikt nie wiedział o porannym incydencie. Gdy ruszyli w drogę, Svenkov specjalnie został w tyle i zbliżył się do Daniela.

- Przepraszam, że cię pobiłem, *manuhiri* - powiedział. - W tych stronach, aby przeżyć, trzeba bezwzględnie słuchać szefa. Co nie zmienia faktu, że przesadziłem. Wybacz.

Daniel uściśnił mu dłoń, bynajmniej nie wierząc w szczerą intencję. Nie sądził, by Svenkov dbał o kogokolwiek poza sobą samym, doszedł jednak do wniosku, że lepiej będzie przyjąć propozycję pokoju. Przypuszczał zresztą, że dziwne zachowania

Polinezyjczyka mają zagłuszyć strach. Svenkov, podobnie jak Yil, udawał przed resztą, a także przed sobą, że lepiej niż inni pasuje do świata, w którym się znaleźli, ale w gruncie rzeczy był w nim tak samo obcy jak pozostali. Jedyne trzej widziani rano tubylcy wywarli na Danielu wrażenie jako tako przystosowanych.

Ruszyli dalej. Szum wody narastał. Drzewa przerzedziły się, odsłaniając zalane słońcem nabrzeżne skały. Yil zrzucił plecak i zręcznie wspinał się na jedną z nich, przytrzymując się gałęzi rosnącego obok drzewa. Gdy przemówił, w jego głosie dało się wyczuć wzruszenie.

- „Poziom wody był bardzo wysoki, po prawej stronie, w górze rzeki, znajdowały się dwa wartkie wodospady i co najmniej jeden z lewej, w dolnym biegu” - wyrecytował.

Daniel pomyślał, że krajobraz zaiste skłania do biblijnych porównań. Największy z wodospadów, podobny do migocącej kurtyny obszytej pianistą koronką, spływał połyskliwym łukiem, opadając z łoskotem na kamienie w dole; sekundowało mu dzielnie kilka mniejszych. Z podmokłej ziemi na brzegach wystrzelały srebrzyste łodygi ogromnych paproci, wśród których uwijały się błyszczące, jakby zrobione ze szkła owady.

Ponieważ Svenkov zarządził postój, Yil i Daniel postanowili obejrzeć wodospad z bliska. Rowen i Anjali poszli za nimi. Stojąc na brzegu, ze złością przyglądali się przejrzystym strugom, które, hucząc, rozpryskiwały się na tysiące lśniących drobinek. W tej niemalże biblijnej scenerii było coś mistycznego. Yil, kołysząc się rytmicznie, zaintonował modlitwę.

Daniel czuł oszołomienie i lęk. Dotarłem aż tutaj, myślał. Ale gdzie jest Prawda? Gdzie jest Pan?

Tylko Darby okazywał pewien sceptycyzm.

- Nie widzę w tym wszystkim nic nienaturalnego... To po prostu spływająca ze skał woda...

- Mylisz się, Hectorze - rzekł autorytatywnie Rowen. - To, jak wskazuje Biblia, widomy przejaw chaosu. Wymykającego się wszelkim próbom kontroli.

- Niewykluczone, że zaraz pojawią się hybrydy - szepnął Yil.

Jakby w odpowiedzi, z czubków dwóch dziwacznie szczepionych u podstawy palm dało się słyszeć wycie. Daniel uznał jednak, że zbliżone odgłosy towarzyszą im od początku wędrówki.

- Hybrydy... - prychnął Darby, ocierając pot z łysiny. - Czy ktoś widział takie stworzenia na oczy? Powstałe w naturalnych warunkach krzyżówki ludzi i ryb, istoty o wyłupiastych ślepiach, zimnej skórze i połączonych błoną palcach? Bądźmy poważni! Widziałeś kiedyś coś takiego, Yilu? No?

- Mówi o nich Biblia...

- Ale brak w tej sprawie jakichkolwiek dowodów!

Nikt nie zaprzeczył, lecz nie ulegało wątpliwości, że Darby pozostaje w swojej opinii osamotniony. Nawet Danielowi przemknęło przez myśl, że jeśli opisane w Biblii krajobrazy istnieją naprawdę, święty tekst może mieć wiele wspólnego z rzeczywistością także pod innymi względami.

- Co jej jest? - spytał nagle Svenkov, wskazując Mayę Müller.

Maya, która przemykała dotąd niezauważona, jakby jej ślepotą udzielała się patrzącym na nią towarzyszom podróży, teraz ściągnęła na siebie wszystkie spojrzenia. Odłożywszy na ziemię plecak i broń, rozebrała się do naga i zwinnie wspięła na jedną ze skał nad brzegiem. Stała tam przez chwilę ze złączonymi nogami i przyciśniętymi do boków dłońmi, odcinając się jaśniejszą plamą na tle zielonobrazowej rzeki. Potem odwróciła się gwałtownie w stronę przyjaciół.

- Coś się zbliża - powiedziała, zeskakując na ziemię i sięgając po broń. - Niebezpieczeństwo.

- Też mi nowina - zakpił Svenkov. - To jest naturalna dżungla, dziewczyno. Pełno tu niebezpieczeństw.

- Lepiej traktować jej słowa poważnie - doradził Darby. - Maya nigdy się nie myli.

Pozostali już biegli do swoich plecaków. Svenkov, nie namyślając się dłużej, wyciągnął potężny, dwulufowy karabin, tak samo onieśmielający i obliczony na efekt jak cała jego osoba. Sprawdził go i przypiął do pasa, po czym, odczekawszy chwilę, wysłał Rowena i Anjali na zwiady w jedną stronę, a Yila i Daniela - w drugą.

Yil brnął przez błoto, usiłując zachowywać się jak najciszej.

- Czuję, że „przebiegłe i nigdy niezamykające się oczy śledzą mnie zewsząd i czyhają” - szepnął do Daniela słowami Rozdziału Dziesiątego. - A ty?

Daniel właśnie namyślał się nad odpowiedzią, gdy nagle ich zobaczył.

## 6

Najpierw ich dostrzegł, a dopiero potem usłyszał.

Wyłupiaste oczy. Grube, nienaturalnie fioletowe wargi. Palce połączone błoną. Policzki połyskujące jak brzuch ryby. Tak wyglądały istoty, które wyłoniły się spośród drzew.

Daniel wiedział, że tym razem wzrok go nie myli: to nie były tatuaże. Powodowany panicznym strachem i dziką odrazą, strzelił do najbliższego stwora. Trysnęła krew.

- Daniel, uciekaj! - krzyknął Yil, walcząc gołymi rękami i powalając kilku napastników jednym ciosem. - Jest ich zbyt wielu!

Miał rację. Nadbiegali ze wszystkich stron, wyskakiwali spomiędzy paproci, z rzeki, zza drzew i skał... Zamiast broni palnej używali czegoś w rodzaju maczug, posługując się nimi z zatrważającą zręcznością. Daniel strzelał niemal na oślep, uważając tylko, by nie zranić Yila, i stwierdził z ulgą, że większość hybryd zostawia go w spokoju. Niestety Yil, otoczony ze wszystkich stron, radził sobie znacznie gorzej. Dwóch napastników zaszło go od tyłu, trzymając jakąś płachtę albo może skórę zwierzęcia. Szarpiąc się rozpaczliwie, krzyknął jeszcze do Daniela:

- Uciekaj!

Dopiero wtedy Daniel zdał sobie sprawę, że nikt nie spieszy im na pomoc. Byli sami. Yil był sam.

Spojrzał w jego kierunku, lecz zobaczył jedynie owinięty w ową płachtę lub skórę, miotający się po ziemi kształt. Obrzydliwe stwory próbowały go unieruchomić. Chcieli ich wziąć żywcem. Wspomnienie tego, co opowiadała Shane Davenport, przeszło mózg Daniela jak kula.

Podjął decyzję w jednej chwili i wymachując bronią, ruszył ku tłumowi hybryd. Wiedział, że to samobójstwo: nie miał żadnych szans wobec ich liczebnej przewagi. A jednak nie potrafił zostawić Yila na pastwę tych potworów. Strzelał, dopóki zimna, pokryta pofałdowaną skórą ręka nie wykręciła mu ramienia.

A wtedy lepki cień przysłonił słońce i zapanowała ciemność.

## 7

Maya Müller wyczuwała w swoich przeciwnikach coś dziwnego, nie traciła jednak czasu na zastanawianie się nad tą kwestią. Chwilowo skupiała się na zabijaniu.

Mimo prymitywnego uzbrojenia byli naprawdę groźni. Gdy wytrącili jej broń z ręki, postanowiła cofnąć się ku skałom, by ich ośmielić.

Natarło na nią dwóch równocześnie. Zauważyła, że potrafią sobie nawzajem nie przeszkadzać, co dowodziło doświadczenia. Odczekała na właściwy moment i uchwyciła się dwóch gałęzi krzyżujących się nad jej głową. W tej chwili cały świat był dla niej białą

płaszczyzną, na której rysowało się kilka ciemniejszych linii. Zakołysała się i z rozmachem kopnęła jednego z napastników, ale pałka drugiego dosięgła jej w locie i strąciła ją jak ptaka na pobliską skałę.

Maya zakłęła w duchu. Wróg miał teraz przewagę i zbliżał się od tyłu. Słyszała zresztą więcej kroków i wiedziała, że pochopny kontratak byłby zapewne jej ostatnim błędem. Napięła mięśnie.

Uderzenia przypląszczyły ją do skały. Spadały jedno za drugim, jak gdyby tamci chcieli przebić się przez jej ciało do kamienia. Gdy osuwała się na jedną stronę, kolejny cios posyłał ją w drugą. Na koniec upadła na brzuch i wtedy przestali. Jakaś ręka chwyciła ją za włosy i wygięła jej głowę, aż zatrzeszczały kręgi szyjne. Maya szarpnęła się odruchowo, co sprowokowało kolejną porcję razów. Znieruchomiła.

Zaczęli ją gdzieś ciągnąć. Sądząc z coraz bardziej podmokłej ziemi, byli już nad samym brzegiem. Tu ją zostawili i pobiegli walczyć dalej. Pilnował jej tylko jeden. W pewnej chwili odwrócił się do niej tyłem, najwyraźniej przekonany, że zbita na miazgę dziewczyna nie stanowi już większego zagrożenia.

Być może nie zdążył nawet zrozumieć, jak bardzo się pomylił.

Maya chwyciła jego pałkę i rzuciła się tam, skąd dobiegały odgłosy walki, zadając sobie pytanie, co się stało z resztą.

Darby... Upadł zaraz na początku, skrępowany czymś w rodzaju lepkiej płachty. Może nawet nie był ranny, ale pomoc nie mógł. Nigdzie nie widziała Daniela ani Yila. A pozostali?

Liczyła na to, że przynajmniej jedno z nich jeszcze jakoś się trzyma, uznała jednak, że powinna walczyć tak, jakby została sama.

## 8

Dwulufowy karabin Svenkova siał spustoszenie przy akompaniamencie ogłuszających huków. Polinezyjczyk owinął pas z nabojami wokół prawego nadgarstka i ładował broń z niewiarygodną wręcz szybkością.

Meldon Rowen też sobie radził. Svenkov, który kątem oka obserwował jego poczynania, doszedł do wniosku, że bogactwo wcale nie musi zamieniać człowieka w zniewieściałego pasożyta: Rowen przytrzymał pistolet przy głowie jednego z napastników, zasłaniając się nim jak tarczą. Niestety, nie mogło to powstrzymać ataku na zbyt długo, a poza tym, co gorsza, Rowen, nie zdając sobie z tego sprawy, cofał się w kierunku

przybrzeżnych bagien. Nie da rady, pomyślał Svenkov. Ale podziwiał jego pomysłowość i odwagę.

Gorzej było z Anjali, która leżała twarzą do ziemi, niemal zupełnie unieruchomiona pod płachtą z syntetycznej, nasączonej lepką substancją skóry. Jeden z napastników, którzy narzucili na nią to paskudztwo - drugiego zabiła - właśnie się do niej zbliżał z podniesioną pałką. Gdy maczuga zakreśliła łuk w powietrzu, Anjali przeturlała się w bok, owijając się w krępującą ją płachtę. Poczula jedynie muśnięcie na włosach. Zręcznie podstawiła przeciwnikowi obie nogi, a przewróciwszy go, wierzgała wytrwale, próbując się wyswobodzić, dopóki nie powstrzymało jej zimne ostrze na gardle.

Bosa stopa przycisnęła ją do ziemi. Z twarzy o nienaturalnie nabrzmiąłych wargach patrzyły obojętne, nieruchome oczy.

Anjali zastanawiała się właśnie, co dalej - brakowało jej czasu, by się odpowiednio skoncentrować i wykorzystać możliwości, jakie dawała wiara - kiedy nagle zagrzało i przytrzymujący ją osobnik bezwładnie osunął się na bok. Obok stał Svenkov z dymiącą jeszcze bronią. Jego twarz mówiła: „Masz u mnie dług”.

Najwyraźniej wygrwali. Maya Müller wykańczała niedobitków.

Anjali, uwolniwszy się z pomocą Svenkova ze swego kokonu, pobiegła szukać Meldona.

Leżał na trawie, ranny w pierś, krwawiąc obficie.

- Nic ci nie będzie - oświadczyła po obejrzeniu go Anjali. - To zwykłe skaleczenie.

Rowen popatrzył na nią z uśmiechem, oddychając chrapliwie.

- Jak reszta? - spytał.

Darby, którego Maya odwinęła z lepkiej płachty, miał się dobrze, niepokojące było natomiast to, że wciąż nie pojawiali się Yil z Danielem.

Ziemię wokół zaścielały zwłoki osobników o ciemnej skórze i niekształtnych twarzach. Maya bez słowa pochyliła się nad jednym z trupów. Wciąż wyczuwała coś dziwnego. Zacisnęła palce na martwej twarzy. Ktoś - może Rowen - coś krzyknął. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk i skóra oderwała się od ciała. Tej samej operacji Maya poddała błonistą dłoń nieboszczyka. Cała reszta przyglądała się temu z rosnącym zdumieniem.

- Proszę, oto macie swoje „hybrydy” - sarknął Darby.

Zrobiona z gumy maska doskonale dopasowywała się do rysów twarzy, a pomalowana została tak, by uwypuklić oczy i usta. Rękawice z plastikowymi błonami były wykonane mniej starannie. Pod tym przebraniem kryli się najzwyczajniejsi w świecie Polinezyjczycy.

- To członkowie jednego z plemion zamieszkujących pieczary - powiedział Svenkov. -

Czczą hybrydy z Rozdziału Dziesiątego i na rozkaz swoich kapłanów często urządają takie maskarady. Pewnie chcieli zapolować na niewolników.

Trzy pary zmęczonych oczu wpatrywały się w niego z niezwykłym natężeniem; czwarta kryła się za spuszczoneymi jak zwykle powiekami.

- Wiedziałeś, prawda, Svenkov? - odezwała się Maya.

Przewodnik uniósł cienką brew w niemym pytaniu. Maya wypuściła z dłoni maskę i rękawice, a następnie schyliła się po pałkę. Umazana błotem i krwią wyglądała jeszcze bardziej dziko niż jej polegli przeciwnicy.

- W jakiś sposób wiedziałeś, że się na nas zaczają - podjęła. - Dlatego zarządziłeś postój właśnie w tym miejscu. A może nawet komunikowałeś się z nimi za pomocą tego przekaźnika, który wisi ci na szyi...

- Bredzisz, dziewczyno - warknął w odpowiedzi Svenkov. - Groziło mi to samo, co wam...

- Zastanawiam się dlaczego - mówiła dalej Maya, nie zwracając uwagi na jego słowa, a w jej głosie brzmiała narastająca furia. - Chciałeś się pozbyć Yila i Daniela? Odniosłam wrażenie, że poróżniliście się jeszcze na plaży... W ten sposób się mścisz?

- Jak możecie? Jak możecie posądzać o takie rzeczy Svenkova, który... - zaczął w swoim stylu Polinezyjczyk, ale Darby natychmiast mu przerwał.

- Tak czy owak, teraz trzeba ich uwolnić - rzucił.

- Uwolnić? - zdumiał się Svenkov. - To plemię nie ma litości dla jeńców. Wasi przyjaciele zginą, zanim skończymy rozmawiać. Jeśli szczęście im dopisało, nie żyją już w tej chwili - dorzucił, odwracając się do czworga pozostałych plecami.



# Rozdział jedenasty

## *Cienie*

### 1

Prawda wie wszystko.

Nietrudno wiedzieć wszystko: wystarczy nie dbać o to, czego się nie wie.

To, czego Prawda nie wie, nie jest Prawdą, a więc z definicji nie ma znaczenia. Tak przynajmniej myśli Prawda. A to, co myśli Prawda, jest zawsze prawdą. Bo Prawda wierzy w to, co myśli. Fanatycznie.

Każdy fanatyk ma za sobą niewesołe dzieciństwo, ale dzieciństwo Prawdy - dziecka stworzonego na potrzeby eksperymentów, które prowadził bardzo mądry, lecz nieszczególnie sympatyczny wyznawca Rozdziału Jedenastego - było wyjątkowo niewesołe. Tylko wiara pozwoliła Prawdzie przeżyć. Co przekonało go, że to, w co wierzy, musi być dobre, ponieważ dzięki temu ocalał. Dlatego gdy dorósł, nadal wierzył w to samo. Taką stałość w przekonaniach uważał za wartościową. Mawiał, że wyłącznie najsilniejszym wolno się nie zmieniać. Na pewnym etapie życia zrozumiał, że jest wyjątkowy, jedyny. Wtedy przyjął imię Prawda i postanowił pracować dla tych, którzy płacili najwięcej.

Choć bycie Prawdą skazuje na samotność, on nie narzeka.

I nigdy się nie nudzi. Potrafi wyobrazić sobie, że jest dowolną rzeczą lub osobą, a nawet kilkoma rzeczami lub osobami naraz. W tym akurat momencie wyobraża sobie, że jest mężczyzną i kobietą, którzy oddają się erotycznym igraszkom w czerwonym stawie, popijając małymi łydkami wyostrażający zmysły, palący jak ogień i zimny jak lód trunek. Życie może być bardzo zabawne, jeśli człowiek umie zadowolić się tym, co sobie wyobraża i w co wierzy.

Prawda żyje z tego, co dostaje za swą pracę. A że dostaje dużo - bo dużo żąda - z

czasem stał się bajecznie bogaty. Nikt się z nim nie targuje, albowiem jego usługi są bezcenne. Dlatego kosztują. Ale jeśli masz złoto, masz i Prawdę. A jeśli masz Prawdę, nic nie stanie na twojej drodze.

Tak właśnie sądzi Pan. Dlatego Prawdę zatrudnił.

Tyle że tym razem ryzyko jest większe niż zazwyczaj i Prawda zdaje sobie z tego sprawę.

Szczerze mówiąc, plan Pana, choć pomysłowy i jak dotąd skuteczny, nie bardzo daje się kontrolować. A Prawda nie lubi, gdy coś nie daje się kontrolować. Męczy go to ciągle czajenie się i udawanie. Zwłaszcza gdy niebezpieczeństwo wzrasta z powodu nieprzewidzianych trudności.

Takich jak atak tych poprzebieranych idiotów. Wszystko może się przez nich posypać.

Pan twierdzi, że nie ma (jeszcze) powodów do obaw, ale Prawda nie ufa Panu, zresztą z wzajemnością. Obaj jednak wiedzą, że gdyby dopuścili się teraz zdrady, zaszkodziłoby samym sobie. To się nazywa „zaufanie drugiego stopnia”, kpi w duchu Prawda.

Pan tryska optymizmem, lecz Prawda wie, że to poza. Przy czym małe kłamstwa, którymi Pan maskuje swój niepokój, wcale Prawdzie nie przeszkadzają.

Ba, wręcz przeciwnie.

Bo Prawda lubi kłamstwa.

## 2

Obudził się skulony w jakimś ciasnym miejscu. Dokoła miał ziemię i kamienie. Przez jedną straszną chwilę bał się, że pogrzebano go żywcem. Potem stwierdził z ulgą, że znajduje się w niszy wydrążonej w ścianie jaskini. Jeszcze później rozejrzał się dokoła i zgroza powróciła.

Obok stał stwór o białawej twarzy, wyłupiastych oczach i wydatnych ustach.

Stwór podniósł rękę o palcach połączonych błoną pławną i machnął cienkim, chyba bambusowym prętem. Zaświstało. Daniel poczuł piekący ból na udzie, krzyknął i upadł na ziemię. Tamten uderzył znowu, Daniel znowu krzyknął i znowu został za to ukarany. Stwór zdawał się żądać od niego, by milczał i przemieszczał się w określonym kierunku. Daniel rzucił się w tamtą stronę pospiesznie, na czworakach. Byle tylko uniknąć kolejnych razów.

Nie uniknął ich jednak. Język świszczących ciosów nie był skomplikowany. Smgnięcie: zatrzymać się przy skalnej kolumnie. Smgnięcie: wstać. Smgnięcie: objąć

kolumnę. Smagnięcie: stać nieruchomo. Smagnięcie: nie odwracać głowy. Smagnięcie...

- Proszę, nie! - jęknął Daniel. - Czego jeszcze ode mnie chcesz?

- Chce słyszeć, jak krzyczysz - powiedział ktoś z ciemnego kąta. - Jeśli będziesz krzychał, on będzie cię bił, żebyś krzychał głośniejsze. A jeśli się powstrzymasz, będzie cię bił, żebyś zaczął.

Głos brzmiał znajomo, ale przyciśnięty do skalnej kolumny Daniel nie mógł się obejrzeć, żeby sprawdzić, do kogo należy. Bambusowy pręt zaświstał jeszcze dwukrotnie, a potem umilkł. Mimo to Daniel nie odważył się poruszyć i wciąż stał na palcach, drżąc i czekając na dalszy ciąg udręki. Coś zaszurało za jego plecami, rozległy się jakieś kroki, a gdy wreszcie zdecydował się zerknąć za siebie, stwierdził, że jego prześladowca zniknął.

Miejsce, w którym się znajdował, było dziwne. Początkowo sądził, że to jaskinia, ze względu na kamienne ściany i woń zastarzałej, sfermentowanej wilgoci, lecz dobiegające gdzieś z góry światło słońca rzucało wokół ruchliwe cienie w kształcie liści buków albo innych podobnych drzew i pozwalało dojrzeć wejście, a dalej ginącą wśród gęstej roślinności ścieżkę, którą zapewne odszedł tamten przerażający stwór. Musiał to być raczej przedsiónek jaskini.

Odetchnął głęboko. Nieznośnie piekły go plecy, pośladki i uda, bał się jednak odsunąć od kolumny, by obejrzeć rany.

- Tylko spokojnie, Danielu - przemówił znowu głos. - Nie okazuj strachu.

- Yil?

- Tak. Jestem tutaj. Możesz zerknąć do tyłu, nie zmieniając za bardzo pozycji.

Daniel poszedł za jego radą. Tak jak się spodziewał, w głębi ziało czarne wejście do właściwej jaskini. Yil stał na skraju ciemności, twarzą do ściany. Był nagi, a na jego gładkiej skórze odcinała się chaotyczna kaligrafia śladów po uderzeniach.

- Stój tak, jak stoisz - rzucił Yil, lekko odwracając głowę. - Pilnują nas, więc jeśli się ruszysz, wrócą tu i znowu zaczną cię bić.

- Przynajmniej jesteśmy razem - szepnął Daniel.

- Tak. Przynajmniej to.

- Wiesz, co z resztą?

Yil pokręcił głową.

- Ocknąłem się chwilę przed tobą i jedyne, co widziałem, to nasze plecaki. Leżą w kącie. Ale nie miej złudzeń: zabrali nam broń i przekaźniki. Jedyna nadzieja w tym, że nie jesteśmy biologiczni. Ci tutaj uważają się chyba za potomków biblijnych hybryd i w związku z tym najbardziej interesuje ich życie w naturalnej formie...

Daniel przypomniał sobie biedną, okaleczoną Shane Davenport i przełknął ślinę.

- A więc hybrydy istnieją. Widziałeś ich oczy i usta?

- To maski - mruknął pogardliwie Yil. - Prawdopodobnie przytwierdzone na stałe maski. Tyle że ci fanatycy chyba naprawdę wierzą, że są hybrydami, a niestety dla nas to, w co *wierzą*, jest w tej chwili istotniejsze niż rzeczywistość. Uważają się za odmienne od ludzi, choć również stworzone przez Boga istoty. Dlatego nie mówią tak jak my... Świsł tych pretłów i nasze krzyki są dla nich rodzajem języka...

- Ale po co tak udawać...?

- Oni nie udają, Danielu. Trudno to wytłumaczyć. Pamiętasz Rozdział Jedenasty? Mowa tam o profesorsze uniwersyteckim, który przez kilka lat pozostaje jakby w transie, a po przebudzeniu *wierzy*, że był opętany przez nieludzką istotę, przedstawiciela odwiecznej rasy, zdolnej opanowywać cudze umysły. Podejrzewam, że to plemię wyznaje podobną wiarę. Z Rozdziału Jedenastego wynika, że jeśli nie uważasz się za człowieka, to nim nie jesteś, bez względu na to, co myślą inni. Tę kwestię możemy jednak przedyskutować później. Najważniejsze w tej chwili, żebyś zrozumiał jedno: ci, którzy nas pojмали, nie mają z nami nic wspólnego. Dlatego nie łudź się, że wzbudzisz w nich litość czy zrozumienie. W ich oczach stanowimy po prostu cenny materiał badawczy: obejrzą nas sobie, podręcą, wykorzystają do swoich celów...

- Ale mówiłeś, że interesują się tylko biologicznymi...

- Owszem. I jeśli tak faktycznie jest, zabiją nas od razu. Co byłoby szczęśliwym rozwiązaniem...

Daniel już zamierzał dyskutować z tą specyficzną definicją „szczęśliwego rozwiązania”, gdy wejście przysłoniły ciemne sylwetki.

- To znowu oni - rzucił pospiesznie Yil. - Rób, co ci każą, a resztę zostaw mnie... Może się uda...

Daniel wbił wzrok w skałę przed sobą, nie mając odwagi zerknąć do tyłu, gdzie gromadziły się cienie.

### 3

Próbowała znaleźć wejście.

Szła przez rzekę, po szyję w wodzie koloru błota, z włosami unoszącymi się na powierzchni jak rzęsa. Czerwone kropelki krwi połyskiwały na jej twarzy jak dodatkowe

piegi. I nagle straciła trop. Dotykała swojej obroży i czuła w palcach pulsującą odpowiedź, ale wejścia nigdzie nie było. A dopóki znajdowała się poza Miastem, nie potrafiła odnaleźć tamtych.

Chyba żeby zostawili wyraźny ślad.

Na płyciźnie uklękała, czując jak brunatna woda obmywa jej łydki. Potem wyczuła coś jeszcze.

- Dlaczego się zatrzymałaś? - usłyszała. - O co chodzi?

Pomyślała, że ten krzykliwy głupek nie pozwala jej się skupić.

Svenkov działał jej na nerwy. Arogancki, ekscentryczny, uderzająco piękny Polinezyjczyk o śmiesznym nazwisku emanował magnetyczną siłą, którą Maya wyczuwała mimo spowijających ją ciemności. Niemniej ślepotą w jakimś stopniu chroniła przed wywieranym przez niego wpływem. Inni uczestnicy wyprawy, nie wyłączając Darby'ego, ulegali mu znacznie bardziej i mimo świadomości, że Svenkov tak czy inaczej ponosił odpowiedzialność za to, co się stało, nie kwapili się, by mu to choćby wypomnieć. Rowen zdawał się czerpać z jego towarzystwa przyjemność i nawet bojowo zazwyczaj nastawiona Anjali nigdy otwarcie nie kwestionowała jego decyzji. W rezultacie również Maya musiała znosić jego obecność.

Teraz wszakże jej zniecierpliwienie szybko ustąpiło miejsca lękowi, wywoływanemu przez niedobre przeczucia.

- Co robisz? - dopytywał się Svenkov. Był bosy, ramiona owinał czerwonym szalem, a skronie przyozdobił kwiatkami wetkniętymi w obręcz wielkich srebrnych kolczyków. - Szukasz jadeitów?

Nie zwracając na niego uwagi, wyskoczyła z wody. Zakończoną metalowym szpikulcem pałkę trzymała w pogotowiu. Reszta, z wciąż uśmiechniętym Svenkovem na czele, patrzyła, jak nie otwierając oczu, biegnie ku ścianie drzew o pniach ogromnych i chropowatych niby skóra zwierzęcia. Rosły tam, chaotyczne, pozbawione kontroli i niezrozumiałe, jak zresztą wszystko w tym dziwnym świecie. Ich rozłożyste korony prawie nie przepuszczały światła. Maya przycupnęła za jednym z najgrubszych, a Rowen, Anjali i Darby poszli za jej przykładem. Svenkov przyglądał się temu z lekceważeniem. Potem, wzgardziwszy wybraną przez tamtych kryjówką, wysunął się naprzód.

- Coś tam jest - szepnęła Maya, wskazując gęstwinię. - Coś niebezpiecznego.

- Doprawdy? - zakpił niewidoczny Svenkov. - Ciekawe co.

- Starczy - zgasił go Darby. - Wiesz, o czym mówi Maya?

- Owszem. Dotarliśmy na miejsce, biologiczny człowieku. Do sanktuarium.

- To ma być sanktuarium? - wykrzyknął Rowen.

- Nie to, tylko tamto. Za drzewami. Znajdujemy się w miejscu, w którym zaczął się czas, u stóp Tronu Maski i Dłoni - odparł Svenkov swoim melodyjnym, równie doskonałym jak jego ciało głosem, prostując się dumnie. - Nath Svenkov, biedny Nath Svenkov doprowadził was do celu, choć krzywdziliście go niesłusznymi podejrzeniami i bardziej niż jemu ufaliście ślepej dziewczynie...

- Sanktuarium? - powtarzał z niedowierzaniem Rowen. - Gdzie?

- Trzymając się swojej niewidomej przyjaciółki, zobaczysz tyle, co ona - prychnął Svenkov. - Stąd widać lepiej, *manuhiri*.

- Ostrożnie - rzuciła Maya.

- Nie możemy się tu czaić w nieskończoność - rzekła na to Anjali Sen i ruszyła za Rowenem w kierunku przewodnika.

Svenkov stał z ręką opartą o gałąź drzewa.

- No i co? - spytał Rowen, gdy znalazł się obok.

- Sam popatrz.

Rowen nieśmiało rozgarnął paprocie. Anjali i Darby zaglądali mu przez ramię. Kawalek dalej, na sporej polanie, wznosiła się kamienna konstrukcja, która wyglądała na tak starą, że dech im zapało. Zaraz potem jednak ich uwagę przyciągnęły otaczające sanktuarium domki o wygiętych dachach i spacerujący między nimi osobnicy w maskach.

- Może Yil i Daniel też tu są - szepnął z nadzieją Rowen.

Svenkov pokręcił głową.

- Ci tutaj to jedynie strażnicy. Reszta plemienia żyje gdzie indziej.

- A te domki?

- W nich śpią. Pilnują sanktuarium na zmianę, w dzień i w nocy.

- Jest ich czterech, najwyżej pięciu - bez cienia wątpliwości w głosie stwierdziła trzymająca się z tyłu Maya. - Możemy ich zaskoczyć.

- I wziąć żywcem - dodał Darby. - Niewykluczone, że wiedzą, gdzie szukać Daniela i Yila.

- Wziąć żywcem? - Svenkov złapał się pod boki i spojrzał na Rowena. - Żartujecie, prawda? Ich się nie da wziąć żywcem! Są zbyt dobrze wyszkoleni. Jeśli jest się naprawdę dobrym, można ich ewentualnie zabić.

- Podejmuję się i jednego, i drugiego - oświadczyła Maya.

- Nie obchodzi mnie, czego w swojej głupocie zechcesz się podjąć. - Svenkov, choć mówił do niej, wciąż zwracał się do Rowena, uśmiechając się do niego swoimi ładnie

wykrojonymi ustami i wpatrując weń roziskrzonym, hipnotyzującym wzrokiem. - Nikt nic nie zrobi bez mojej...

Przerwał mu nagły szelest. Maya, unosząc swoją pałkę, śmignęła między paprociami tak szybko, że nikt z nich nie zdążył jej nawet odprowadzić wzrokiem.

## 4

Nie ulegało wątpliwości, że ich zabiją.

Daniel, pędzony brukowaną ścieżką wśród wybująłych iglaków, paproci i kęp bambusów, dygotał na całym ciele. Tu i ówdzie spomiędzy zieleni przezierały błękitne, podobne do luster stawy i starannie utrzymane dróżki obrzeżone kamiennymi murkami. Wszędzie kręcili się tubylcy w maskach. Na koniec ukazał się rodzaj podium, na którym nadzy, zamaskowani mężczyźni i kobiety w milczeniu wykonywali coś w rodzaju tańca.

Wrażenie nieautentyczności narastało. Ale jeśli tamci wierzyli, że są hybrydami, nie miało większego znaczenia, kim byli w istocie. Nie dla kogoś, kogo zamierzali zabić.

Na prostym bambusowym fotelu na środku podium siedziała osoba bez maski. Miała starannie zaprojektowane, wyraźnie polinezyjskie rysy, czarne oczy, oliwkową skórę, sterczące piersi z ciemnymi brodawkami i służącą za całe ubranie girlandę z białych kwiatów na włosach. Nie była jednak kobietą, w każdym razie nie do końca, co okazało się, gdy zmieniła pozycję, rozstawiając nogi. Danielowi i Yilowi kazano zatrzymać się w dużej odległości od tego obojcnego stworzenia.

Po dłuższej chwili, w czasie której hermafrodyta łakomie przyglądał się więźniom, jedna z otaczających go masek rzuciła mu do stóp coś, co roztrzaskało się w drobny mak.

- Lustro - szepnął Yil. - Na pamiątkę przerażenia, jakie ogarnęło bohatera Rozdziału Jedenastego na widok własnego wyglądu. Ten tutaj musiał przejść przez taki rytuał, bo ze względu na nas zdjął swoją maskę.

Daniel nadal nie bardzo rozumiał, jakie znaczenie ma akt zdjęcia zwykłej maski.

W tym momencie usłyszeli głos hermafrodyty: jednostajny, łagodny, niemal dziecienny.

- Tylko na chwilę... przeniesiony... do was... rozumieć...

- Chyba chodzi mu o to, że zdołał się na chwilę przenieść w nasz wymiar - przetłumaczył Yil - i dlatego może nas zrozumieć. Na znak tego nie nosi maski.

- Mówić... teraz... słuchać... - Hermafrodyta poruszał delikatnymi, ciemnymi dłońmi,

jakby chciał sobie w ten sposób pomóc w artykułowaniu trudnych dźwięków. Daniel nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że to wszystko farsa.

- Mamy coś powiedzieć - rzekł Yil. - Spróbuję.

Postąpił krok do przodu i natychmiast drogę zagroziły mu groźnie podniesione bambusowe pręty. Hermafrodyta wykonał wszakże nieznaczny gest i Yil bez dalszych przeszkód podszedł do podium.

Zapadło ciężkie milczenie. Potem dały się słyszeć stłumione pytania, piskliwe odpowiedzi. Daniel nic z tego nie rozumiał, czuł jednak, że głos Yila wibruje coraz większym napięciem, aż wreszcie przeszedł we wściekły krzyk pełen znanej Danielowi dumy:

- Jestem Jeremy Yin Lane, wyznawca Świętego Rozdziału o Morzu! Nie możecie... Nie! Puśćcie mnie!

Protesty na nic się nie zdały. Zawlekli go w pobliże jednej z kęp bambusów i zwiąawszy mu włosy tak, by nie zasłaniały pleców, zaczęli smagać go prętami, machając nimi tak prędko, że patrzący dostrzegali jedynie rozmazane smugi. Daniel nigdy nie widział, by ktoś się nad kimś tak znęcał. Początkowo Yil tylko zaciskał zęby i napinał mięśnie, spoglądając na swoich katów z wyzwaniem w oczach. Potem jednak nie wytrzymał, krzyknął, rozpłakał się i zaczął prosić, by przestali.

- Zostawcie go! - zawołał Daniel, ale kilka bolesnych uderzeń sprawiło, że zaraz zamilkł.

Pod koniec Yil miał twarz zalaną łzami, a plecy całe we krwi. Daniel wiedział, że doprowadzenie zaprojektowanej skóry do takiego stanu wymagało szczególnego okrucieństwa. Podejrzewał jednak, że jeszcze bardziej niż ciało cierpiała duma Yila.

Gdy odprowadzono ich z powrotem, Yil, płacząc, zatoczył się w stronę swojego plecaka.

- Pozwolili nam odejść? - zapytał z nadzieją Daniel.

Yil nie odpowiedział od razu. Otworzył swój plecak, przejrzał jego zawartość, po czym go zamknął. Następnie uczynił to samo z plecakiem Daniela. Dopiero wtedy podniósł wzrok.

- Skazali nas na straszny los, Danielu - rzekł, ocierając twarz wierzchem dłoni. - To wejście prowadzi do jaskini, za którą zaczyna się labirynt podziemnych pieczar. Mamy się w niego zapuścić. Gdyby udało nam się odnaleźć wyjście, znaczyłoby to, że ofiara nie została przyjęta. W takim wypadku moglibyśmy uciec. Ale jeśli się nie mylę i te pieczary są tym, czym, jak sądzę, są...

- To co wtedy?



Yil pograżył się jednak w upartym milczeniu. Odtrącając pomocną dłoń Daniela, samodzielnie założył plecak i ruszył w stronę mrocznego wejścia.

- Yil, co miałeś na myśli? - dopytywał się, podążając za nim, Daniel. - Jaka ofiara? Kto miałby ją przyjąć?

Przekroczyli już granicę ciemności, gdy usłyszeli jakieś dźwięki.

## 5

Klnąc na czym świat stoi, Svenkov wyskoczył ze swojej kryjówki i pognał na drugi kraniec polany. Chociaż dziewczyna podjęła działanie na własną rękę, spodziewał się i z tego wyciągnąć korzyści.

Nie spodziewał się natomiast, że od razu wpadnie na jednego ze strażników.

Z tak niewielkiej odległości potężna dwulufowa broń nie była zbyt praktyczna - popełnił błąd, usiłując się nią mimo wszystko posłużyć. Trwało to zbyt długo i przeciwnik zdążył tymczasem skutecznie podstawić mu nogę, po czym wyciągnął zza pasa coś, co załśniło w promieniach popołudniowego słońca. Jednakże chwilę później, ku uldze Svenkova, ramię napastnika przeszła kula. Nóż zakreślił w powietrzu lśniący łuk, a stojąca niedaleko Anjali uniosła pistolet w geście, który znaczył: „Jesteśmy kwita”.

Rowenowi również nie bardzo się wiodło: szarpał się właśnie z osobnikiem, którego Svenkov widział z profilu. Niebieskooka maska pochylała się nad Rowenem coraz niżej. Svenkov ustawił się bokiem, wycelował i strzelił z jednej lufy. Mało brakowało, a trafiłby nie tego, kogo trzeba. Udało się jednak i głowa niedoszłego pogromcy Rowena w mgnieniu oka zamieniła się w pęknięty owoc.

- Żywcem! - krzyknął do Svenkova ukryty wśród paproci Darby. - Bierzcie ich żywcem!

Sam spróbuj, jeśliś taki mądry, pomyślał Svenkov.

Maya Müller wydawała się nie do zatrzymania. Jej okuta metalem pałka cięła powietrze ze świstem podobnym do tłumionego chichotu, pokryte błotem ciało poruszało się w tym samym rytmie. Walczyła akurat z trzema, z których po sekundzie ostał się jeden. Ten wszakże zdołał ją zaskoczyć, uderzając ją w bok i rzucając na ustawiony pionowo arkusz blachy - być może pozostałość po jednym z dachów. Zadzwoniło i pałka spadła na ziemię. Maya pozostała bez broni.

Przyglądający się temu Darby ujrzał z przerażeniem, że strażnik w masce unosi

maczugę, szykując się do kolejnego, tym razem śmiertelnego ciosu. W tym momencie jedynie Svenkov był niezajęty, uzbrojony i świadom sytuacji.

- Strzelaj! - krzyknął do niego Darby.

Ale Polinezyjczyk nawet nie drgnął.

Maya, nie podnosząc powiek, rejestrowała lot swojej pałki. Później, w ostatniej chwili, wykonała błyskawiczny, zaskakujący unik. Maczuga strażnika uderzyła w blachę jak w zepsuty gong. Jednocześnie Maya zgięła nogę, jednym kopnięciem zwała tamtego na ziemię, skoczyła i usiadła mu na piersi.

Wszystko to trwało krócej niż złość Svenkova.

- Następnym razem słuchaj moich poleceń - wycodził przewodnik, gdy uporali się z niedobitkami wrogów. - Jesteś ślepa, ale nie głucha.

- Następnym razem wydawaj polecenia warte słuchania - odpaliła, nawet na niego nie patrząc.

Svenkov żył w świecie, w którym obowiązywała jedna podstawowa zasada: żadna kobieta - a już zwłaszcza naga i ślepa - nie miała prawa mówić doświadczonym mężczyznom, co powinni robić. Zamierzał wbić to bezczelnej dziewczusze do głowy, ale zanim zdążył nacisnąć spust, stało się coś dziwnego. Coś, w co ledwie potrafił uwierzyć.

Na jego gardle opierało się ostrze. Nie zdążył zauważyć, skąd się tam wzięło. Miał wrażenie, że Maya musiała mu je przystawić jeszcze przed wymianą zdań, którą właśnie odbyli.

- Nigdy więcej mi nie groź, Svenkov - powiedziała. - Nie zapominaj, że jestem ślepa. Następnym razem mogę ci przez przypadek zrobić krzywdę...

Przeszukali sanktuarium, zuchwale zaglądając we wszelkie możliwe zakamarki. Uważnie obejrzelni umieszczoną na szczycie kamiennej konstrukcji gigantyczną rzeźbę: z okrągłej Maski wystawał spuchnięty język, Dłonie przedstawione zostały dość schematycznie. Na tyłach budowli znajdowało się otoczone potężnymi drzewami krystalicznie czyste jeziorko, na które jednak nikt poza Svenkovem nie zwrócił większej uwagi.

Wobec braku jakichkolwiek rezultatów przerwali zniechęceni.

- Ani śladu Daniela czy Yila - mruknęła Anjali, przysiadając na kamieniu. - Że nie wspomnę już o głównym celu naszej wyprawy...

Darby podsumował sytuację jednym zdaniem:

- Skąd mamy wiedzieć, czy trafiliśmy we właściwe miejsce, skoro w gruncie rzeczy nie wiemy, czego szukamy?

- „Ptasie trele”, „klapa”, „metalowa drabinka”, „spadzisty dach” - wyrecytował Rowen. - Niczego takiego tu nie ma.

- Może chodzi o symbole - rzuciła Anjali. - Może Daniel przypominałby sobie coś więcej, gdyby tu z nami był...

- Trzeba go odnaleźć. Yila, oczywiście, też - oświadczył Rowen. Po walce jego świeża rana znowu obficie krwawiła. - Kilku z tych, którzy tu leżą, jeszcze żyje. Musimy ich przepytąć.

Z jakiegoś powodu wszyscy troje spojrzeli na Svenkova. Polinezyjczyk zdawał się czymś pochłonięty - zdaniem Darby'ego zbyt uporczywie wpatrywał się w Mayę - teraz jednak popatrzył na nich, uśmiechając się złośliwie. Swój czerwony szal trzymał na wysokości uda i - co Darby zrozumiał dopiero teraz - tamował nim sączącą się z rany krew.

- Dlaczego Svenkov miałby wam pomagać? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiało oburzenie. - Dlaczego miałby coś więcej dla was robić? Najpierw go podejrzewacie, a potem prosicie o przysługę? - ciągnął coraz bardziej płaczliwie. - Poproście swoją ślepą przyjaciółkę...

Darby musiał powściągnąć uśmiech, lecz Rowen, który najwyraźniej potraktował te skargi poważnie, przystąpił do mediacji.

- Proszę posłuchać, Maya zignorowała pańskie rozkazy, za co przepraszamy, ale wszystko dlatego, że bardzo niepokoimy się o przyjaciół... Pan lepiej od nas zna tutejsze plemiona... Gdyby zechciał pan tych tubylców po prostu przepytąć...

- Dobrze - zgodził się nagle Svenkov, odwracając wzrok. - Ale wartościowe przedmioty, które znajdę przy rannych i trupach, są moje.

Rowen zerknął na pozostałych. Darby wzruszył ramionami, Anjali skinęła potakująco. Maya stała z boku, wyraźnie dystansując się od reszty.

- W porządku - rzekł Rowen.

Nie patyczkując się zbyt długo, przywlekli trzech pozostałych przy życiu strażników w pobliże sanktuarium. Svenkov przeszukał domki i w końcu znalazł to, o co mu chodziło: bambusowe krzesło z niskim oparciem i kilka lin. Przy okazji przywłaszczył sobie trochę kosztowności. Więźniom zabrał naszyjniki, bransolety i kolczyki, brutalnymi szarpnięciami zerwał im też rękawice i maski.

Pod spodem kryły się ciemne twarze o wyrazistych rysach, tak do siebie podobne, jakby były kolejnymi maskami. Tubylcy - trzech mężczyźni - oddychali z trudem, popatrując na swych prześladowców.

- Niektórzy nie zdejmowali tego od lat i guma przywarła im do skóry - wyjaśnił

Svenkov, wskazując maski. - Znam to plemię. Żyją u podnóża gór, koło Catlins. Wierzą w Rozdział Jedenasty. Nie mówią.

- Próbowalesz z nimi rozmawiać? - spytał Darby.

- Zaraz spróbuję. W języku zrozumiałym dla każdego.

To mówiąc, Svenkov szarpnął jednego z więźniów - tego, który trzymał się za rozplątane przez Mayę prawe ramię - posadził go na krzesło i przywiązał mu ręce do jego tylnych nóg. Pierś tubylca unosiła się w niespokojnym oddechu, jego twarz nie wyrażała jednak większego lęku niż chwilę wcześniej. Skrępowany mężczyzna zdawał się po prostu czekać na to, co zrobi Svenkov.

Ten zaś owinał sobie swój czerwony szal wokół pasa, oparł stopę o krawędź krzesła i pochylił się nad więźniem.

- Zasadziliście się na nas nad rzeką i uprowadziliście dwóch naszych towarzyszy. Chcemy wiedzieć, dokąd ich zabraliście.

Zapytany patrzył na niego bez słowa, więc Svenkov uniósł nogę, tak wysoko, że niemal dotykał kolanem podbródka, i wymierzył tubylcowi potężnego kopniaka w wątlą pierś. Nieszczęśnik wygiął się nienaturalnie do tyłu, czemu towarzyszył nieprzyjemny trzask. Usta więźnia otworzyły się szeroko, upodabniając się do czerwonej studni, i wydobył się z nich chrapliwy jęk, który natychmiast przeszedł w ogłuszający krzyk.

Hector Darby chwycił Svenkova za ramię.

- Zwariowalesz? Co ty wyprawiasz?

- Przepytyuję go - odparł Svenkov. - Niedawno oskarżyliście mnie, że z nimi współpracowałem. Takie nieporozumienia trzeba wyjaśniać, to chyba oczywiste, prawda? Poza tym koledzy tego tutaj niewiniątka właśnie torturują waszych przyjaciół... Czyich krzyków wolałbyś słuchać, co? I zabierz ze mnie tę rękę, z łaski swojej...

Mówił spokojnie, nie podnosząc głosu, choć część jego słów ginęła zagłuszana przez jęki więźnia. Darby cofnął dłoń, a Svenkov ponownie oparł stopę o krawędź krzesła.

- Wiem, że mnie słyszysz - powiedział, gdy z powrotem zapanowała cisza. - I wiem, że twoja wiara zabrania ci porozumiewać się w naszym języku. Ale pamiętaj, że dopóki się nie odezwiesz, będę cię bił, łamiąc ci po kolei wszystkie kręgi, aż w końcu będziesz mógł poruszać wyłącznie wargami. Dokąd ich zabraliście?

- Biegnać... - szepnął przywiązany do krzesła mężczyzna i wszyscy nachylili ku niemu głowy. - Po pustyni... Niezliczone eony... Wiatr... Ku swojemu przeznaczeniu...

Wymawiał słowa z wysiłkiem, przymykając oczy.

Po krótkiej, pełnej napięcia chwili zaczął znowu:

- Schodzę... W pustkę... W odległej przeszłości... Lepka ciemność... Chaos dźwięków... Uciekam... Szkatułka w dłoni...

Svenkov już unosił nogę, lecz znowu interweniował Darby. Wściekły przewodnik błyskawicznie odwrócił się w jego stronę i zacisnął mu dłoń na szyi.

- Ostrzegałem cię, żebyś mnie nie dotykał - wyszczał.

- A ja ostrzegałam ciebie - odezwała się Maya, przykładając mu do skroni jeden z jego własnych zapasowych pistoletów. Nikt nie wiedział, kiedy się zbliżyła ani jak zdołała zabrać Svenkovovi broń. - Puść go.

Svenkov usłuchał i cofnął się o kilka kroków. Jego twarz pozostała obojętna, jedynie oczy morderczo wpijały się w Mayę, którą z kolei próbowała uspokajać Anjali. Darby charczał, usiłując odzyskać oddech.

- To, co robisz, Svenkov, jest nie tylko okrutne, ale i bezsensowne! On mówi urywkami zdań z Rozdziału Jedenastego! Tak samo nieskładnie jak występujący tam bohaterowie! Nic więcej z niego nie wyciągniesz!

Svenkov popatrzył na Rowena, który wyraźnie się wahał.

- Więc co proponujesz, Hectorze? - zapytał.

- Rozejrzyjmy się jeszcze... Może coś znajdziemy... Każdy sposób jest lepszy niż to...

Svenkov zobaczył, że Rowen kiwa głową, podobnie jak Anjali. Na Mayę więcej nie spojrzał. Wzruszył ramionami.

- Jak chcecie. To nie moim przyjaciołom grozi niebezpieczeństwo - rzucił i szybko odszedł w stronę znajdującego się za sanktuarium jeziora.

## 6

Dobiegające z mroku dźwięki były wysokie, przenikliwe. Echo nie pozwalało stwierdzić, skąd właściwie dochodzą.

Daniel i Yil wsłuchiwali się w nie jak sparaliżowani. Yil zachwiał się na nogach, a jego nagła słabość zdawała się wynikać z czegoś więcej niż tylko z odniesionych niedawno obrażeń. Resztki wpadającego z zewnątrz światła pozwalały dojrzeć jego przerażone oczy i drżące wargi. Mamrotał coś o „archaicznych stworzeniach”, „półpolipach władających Ziemią przed milionami lat” i „zepchniętych do podziemnych pieczar przez Starszą Rasę”.

Daniel słuchał, czując, jak jego własne serce tłucze mu się w piersi. Pogłaskał Yila po mokrych od łez policzkach i przytulił, by dodać mu otuchy. Jednakże strach, jak rozszalały

plomień, zaczynał obejmować i jego.

- Starsza Rasa zapieczętowała otchłanie, w których zamknięte zostały te stwory - szeptał gorączkowo Yil. - Nie dość dokładnie... Te... dźwięki, Danielu, to ich głosy! Tak się porozumiewają! Panują nad wiatrem, skała ich nie powstrzyma...

- Yil, posłuchaj! Yil! - Daniel mówił przez zaciśnięte gardło i choć oddychał głęboko, miał wrażenie, że do jego płuc nie dociera ani odrobina powietrza. - Nawet jeśli to wszystko prawda, musimy spróbować stąd wyjść.

- Przed nimi nie uciekniemy, Danielu! - jęknął Yil. - To nie są istoty cielesne! Biblia...

- Zapomnij na chwilę o Biblii i skup się na szukaniu wyjścia! - Daniel ujął jego twarz w obie dłonie i pocałował go w usta. - Musimy spróbować... Spokojnie, jestem przy tobie...

Pieszczoty sprawiły, że Yil przestał dygotać, jak gdyby ktoś otulił go ciepłym kocem. Ruszyli przed siebie. Daniel próbował nie zwracać uwagi na dobiegające skądś wysokie dźwięki, które brzmiały tak, jakby grupa szaleńców dorwała się do fletów. Wyławiał z mroku zarysy ścieżek, tuneli i rozgałęzień, świadom, że zbadanie ich wszystkich zajęłoby zbyt wiele czasu. Zresztą nie było żadnej gwarancji, że którakolwiek z tych dróg prowadzi na zewnątrz.

W jednym z tuneli dostrzegli słabą poświatę. W miarę jak się w niego zagłębiali, ciemność umykała im spod stóp niby cofające się morze, a na ostatnim odcinku blask zaczął wręcz razić ich w oczy. Yil krzyknął z radości, ale Daniel nie podzielał jego entuzjazmu: łatwość, z jaką się tu dostali, wydawała mu się podejrzana. Chwilę później potwierdziły się jego najgorsze przeczucia.

Światło wpadało przez szczelinę między dwiema skałami, długą i tak wąską, że nie mieściło się w niej nawet szczupłe ramię. To było naprawdę straszne - mieć ratunek tak blisko i tak daleko zarazem.

Jedyną pociechę stanowił fakt, że nie docierały tu tamte przerażające odgłosy. Niestety, gdy zaczęli się cofać, odezwały się znowu. Daniel miał nadzieję, że da się je racjonalnie wytłumaczyć. Był zdania, że - cokolwiek uważał na ten temat Yil - wydawało je bez wątpienia jakieś zwierzę albo coś podobnego. Ale już sama myśl o tym „czymś podobnym” mroziła mu krew w żyłach.

- Daniel, pomóż mi! - Yil szedł tuż obok, lecz jego stłumiony przez grozę głos zdawał się dobiegać z ogromnej odległości.

Wobec przerażenia, jakie owładnęło jego towarzyszem, własny strach wydał się Danielowi całkiem łatwy do opanowania. Zagłębili się w inny tunel. Tym razem Daniel nie szukał najjaśniejszego, więc brnęli przez gęstniejącą czerń jak przez błoto.

Wysokie dźwięki przybierały na sile i Daniel uznał, że najlepiej zrobi, zatykając

Yilowi uszy: jedno zasłonił ręką, drugie zaś przycisnął z całej siły do swojego ramienia.

- Wychodzimy - skłamał, zwracając się bardziej do siebie. - Wychodzimy. Wychodzimy - powtarzał, na przemian cicho lub na cały głos, jak gdyby słowa te były rodzajem modlitwy.

Tunel prowadził do kolejnych pieczar, na drodze piętrzyły się przeszkody, tu i ówdzie niespodziewanie wyrastały skalne ściany, toteż posuwali się bardzo wolno, by nie wpaść na jakiś podstępny stalaktyt, zakończony ostrym jak nóż szpicem. Daniel czuł jednak, że powinni iść szybciej. Piskliwe dźwięki stawały się nie tylko coraz głośniejsze, ale po prostu inne, jakby to, co je wydawało, ulegało dziwnej przemianie. *To nie są istoty cielesne.*

Próbując przyspieszyć, Daniel poczuł nagle, że jego stopa trafiła w próżnię.

Poleciał w dół.

## 7

Kilka minut później Svenkov, zrelaksowany po kąpieli i owinięty w swój czerwony, wilgotny teraz szal, wrócił przed sanktuarium. Więźniów nigdzie nie dostrzegł. Darby i Anjali - całkiem niezła sztuka, jak oceniał - siedzieli na progu jednego z domków. Ich ślepa przyjaciółka stała przed wejściem do innego i Svenkov skrzywił się na sam jej widok. Ominął ją szerokim łukiem i podszedł do Meldona Rowena, który zdawał się drzemać, wyciągnięty na płaskim kamieniu. Na jego piersi leżała niewielka zielona kulka.

- Lecnicze owoce - uśmiechnął się lekko do Svenkova. - Anjali Sen zapewnia, że działają błyskawicznie. I chyba ma rację.

- Udało się coś ustalić? - zapytał Svenkov, przerzucając czerwony szal przez ramię.

- Absolutnie nic. Jesteśmy w tym samym punkcie co na początku.

- A więźniowie?

- Nic więcej nie powiedzieli. Jeden umarł, a dwóch pozostałych dogorywa w swoich domkach.

- Może powinniście ich potraktować leczniczymi owocami - zakpił Svenkov. - Ponieważ to ty mi płacisz, *manuhiri*, ciebie zapytam, czego ode mnie oczekujesz.

Rowen odetchnął głęboko i zielona kuleczka sturlała się z jego piersi. Chwycił ją w locie i usiadł.

- Gdyby to zależało ode mnie, przesłuchalibyśmy tamtych, jak należy. Ale nie chcę konfliktów w grupie... - Svenkov kiwał głową, jakby uznawał jego racje. - Tak czy owak

musimy odnaleźć Daniela i Yila. Bez nich nasza podróż nie ma sensu...

- Oni już nie żyją, *manuhiri*. Albo wkrótce umrą.

- A jednak musimy spróbować ich odszukać.

- Ale ja nie wiem, gdzie...

W tym momencie rozległ się krzyk.

- Wyczuwam ich! - wrzeszczała Maya Müller, biegnąc w kółko z pałąką w dłoniach. - Wyczuwam! Są pod ziemią!

## 8

Czasem miewał już wrażenie, że spada w nieogarnioną pustkę. Teraz czuł się podobnie, tyle tylko, że tym razem pustka była rzeczywiście nieogarniona.

Gwałtownie zamachał rękami. Zgubił Yila albo też Yil - jego. Plecak wciąż miał, ale ten dodatkowy balast jedynie przyspieszał spadanie. Przy takiej prędkości ostre kamienie rozrywały nawet dobrze zaprojektowaną skórę. Kiedy się wreszcie zatrzymał, poczuł, że dokoła trwa jakiś ruch: to sypały się za nim drobne kamienie i wywołujący kaśkanie pył. Ile czasu tak leciał? Gdzie się znajdował? Nie potrafił sobie odpowiedzieć na te pytania.

Dysząc, dźwignął się na nogi. Tu i ówdzie trochę go bolało, ale chyba skończyło się na zadrapaniach. Pogratulował sobie w duchu: gdyby był biologiczny, z pewnością doznałby poważniejszych obrażeń.

- Yil? - zawołał. - Yil?

Po chwili usłyszał jego głośny oddech.

- Tutaj...

- Jesteś cały?

- Chyba tak... Posłuchaj...!

Krew ścięła się Danielowi w żyłach. Dźwięki, które prześladowały ich od początku, teraz rozlegały się znacznie bliżej i zdawały się dochodzić gdzieś z góry, ale także z przodu, choć w tym drugim wypadku mogło to być echo.

Rozejrzał się. Spadając, trafili przez przypadek do pieczar położonych na innym poziomie. Było tu dużo jaśniej niż u góry: światło biło gdzieś z głębi, tak mocne, że sięgało wysokiego stropu, z którego zwisały długie stalaktyty.

Daniel czuł, że to ostatnia szansa. Jeśli nie znajdą wyjścia teraz, nie znajdą go wcale.

Podczołgał się do Yila, zaniepokojony jego milczeniem, zastanawiając się, czy tamten



sobie aby czegoś nie złamał. Na twarzy Yila błyszczały łzy.

- Chodźmy! - odezwał się Daniel, starając się nadać swemu głosowi dziarskie brzmienie. - Gdzieś tu musi być wyjście.

- Idź sam, Danielu. Mnie już nic nie uratuje.

- Nie wygłupiaj się!

Yil wydawał się go nie słyszeć. Daniel objął jego twarz dłońmi. Oczy Yila miały dziwny, obcy wyraz. Były jak oczy maski.

- Yil, dałeś się opanować strachom! Ja nie czuję tego co ty!

- Wciąż masz szansę stąd uciec...

- Nigdzie bez ciebie nie idę!

Myślał, że Yil będzie stawiał opór, ale na szczęście chłopak podniósł się sam. Zrobił to z zaskakującą determinacją, jakby postawiony na nogi przez kogoś innego. Drżał jednak od stóp do głów. Daniel podtrzymał go i przerzucił sobie jego ramię wokół szyi, sięgając jednocześnie po plecaki. I tak ruszyli w stronę, z której dobiegało światło i wysokie dźwięki.

- Popatrz... - szeptał Yil. - Wszędzie korytarze, tunele, przejścia... Jesteśmy w jego świecie, Danielu, świecie sprzed początku... Posłuchaj, jak nas wzywa...

- Jesteśmy w wielkiej jaskini i tyle - mruknął Daniel.

Tłumaczył sobie, że to prawda - jedyna prawda - miał jednak kłopoty z racjonalnym myśleniem. Strach był jak żywa istota obdarzona głosem i wydająca z siebie przeraźliwy, zagłuszający wszelkie rozumowanie pisk.

Mniej więcej na środku jaskini przystanęli. Stąd Daniel mógł lepiej ocenić, z jakiego kierunku dobiegały niepokojące dźwięki: część, rzeczywiście, dochodziła z tyłu, znad miejsca, na które spadli, większość jednak płynęła z przodu, zza położonego jakieś piętnaście czy dwadzieścia metrów dalej skalnego występu. Już za chwilę mieli zobaczyć to, co je wydawało.

O ile było tam coś do zobaczenia.

*To nie są istoty cielesne.*

Poczuł kurczowy uścisk Yila.

- Nie myśl - powiedział do niego. - Po prostu idź przed siebie...

Po czym ruszył w stronę światła.

Gdy wydało mu się, że nie da rady posuwać się naprzód, zgroza zamieniła się nagle w chwilową obojętność. Daniela ogarnęło przekonanie, że cokolwiek kryje się za zakrętem, nie może być gorsze od jego wyobrażeń.

Minął załom z zamkniętymi oczyma. Kiedy je otworzył, dostrzegł mrowie cieni.

Ogłuszyła go fala wrzasku. Światło oderwało się od ziemi i pofrunęło ku górze, wśród spiczastych skał. Serce Daniela zamarło.

Chwilę później, gdy zrozumiał, co widzi, zaczęło bić znowu.

Wysoka na jakieś trzydzieści metrów, prowadząca na zewnątrz szczelina była tak niewiarygodnie łatwo dostępna, że bał się do niej zbliżyć, z obawy, by nie okazała się mirażem. Przystanął więc, złożył plecaki na ziemi, odsunął Yila - który wpatrywał się w zbawcze wyjście z otwartymi ustami - oparł się o skalną ścianę i odrzucił głowę do tyłu, czując, jak włosy spływają mu po plecach.

Rozpłakał się, uspokoił i rozpłakał znowu. Bezgłośnie, bez skrępowania. Yil szlochał naprzeciwko, jak jego lustrzane odbicie.

- Mewy - uśmiechnął się do niego Daniel. - Echa zniekształcały ich głosy... Dlatego brzmiały tak strasznie. Ale to tylko stado mew...

- Nie - pokręcił głową Yil. W jego oczach znów błyszczała inteligencja i duma. - Tak ci się tylko wydaje.

Daniel już chciał podjąć dyskusję, gdy przypomniał sobie, że w sporze z człowiekiem wierzącym stoi się na z góry przegranych pozycjach. Bijou mawiała, że... Cóż, ona wszystko potrafiła ująć zgrabniej od niego.

Tak czy owak nie miał wcale pewności, czy są ocaleni. Przypomniał sobie straszne maski o wyłupiastych oczach, bezlitosne, zaciśnięte na bambusowych prętach palce połączone błoną pławną. Wiedział, że jeśli tamci znowu się pojawią, nie będzie ratunku.

- Chodźmy stąd - rzucił.

## 9

Było tak, jakby kontakt z ziemią uległ zerwaniu.

Zawahała się, zdumiona i przestraszona.

Z dołu spoglądało ku niej kilka par pytających oczu. Zeszła po tych samych płaskich kamieniach, po których dostała się na górę, i powiedziała:

- Zgubiłam ich. Niewykluczone, że znajdowali się pod ziemią tylko przez chwilę i już wyszli na powierzchnię... Ale to się stało dziwnie szybko...

- Co może znaczyć, że...? - zapytał Rowen.

Maya długo milczała.

- Że coś im się stało - odrzekła wreszcie.

Byli zbyt zmęczeni, by zacząć się nawzajem przekonywać, że to nieprawda. Svenkov rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”. W końcu odezwała się Anjali Sen.

- Istnieje sposób, by się o tym przekonać. Svenkov, jest tu w pobliżu plaża?

- Tak, za tym wzgórzem - odparł niepewnie Polinezyjczyk.

- Wyznawcy Rozdziału Jedenastego opanowali pewną sztukę - oświadczyła Anjali. - Spróbuję zrobić to co oni. Ale potrzebuję do tego morza. Jeśli wszystko się uda, zajrzę do umysłów Daniela i Yila, zobaczę to, co widzą, ale także to, co ich otacza, a czego nie widzą...

- Mowy nie ma - zaprotestował Rowen. - Nawet ja wiem, że to bardzo niebezpieczne... Gdyby nie żyli...

- Wolisz zrezygnować? - przerwała Anjali. - Prawdopodobnie straciliśmy już szansę na znalezienie tego, o co nam chodziło. Chcesz, żebyśmy stracili również Daniela i Yila?

- Nie chcę stracić ciebie - odpowiedział Rowen.

Svenkov pokręcił głową i dał znak, że pora ruszać.

- Tak czy owak musimy przedrzeć się na drugą stronę tego wzgórza, jeśli zamierzamy dotrzeć na plażę przed nocą - mruknął.

Rowen i Anja nie słuchali, pogrążeni w zaciętej dyskusji.

- Proszę, Meldon, przestań mi rozkazywać.

- Nie rozkazuję, tylko wyrażam opinię. W laboratorium Katsury szczęście ci dopisało, ale to nie znaczy, że i tym razem tak będzie. Hectorze, błagam, wytłumacz jej, co się może zdarzyć!

- Wiem to i bez wyjaśnień Hectora.

- Szanse są minimalne!

- Szanse zawsze są minimalne. Ważne, żeby wierzyć.

Diskusja przeradzała się w kłótnię, pewnie dlatego - jak uważał Darby - że wszyscy byli u kresu sił. Piękna twarz Anjali przybrała zacięty wyraz.

- Meldon, dla ciebie to po prostu przygoda, szansa na pomnożenie odziedziczonego po ojcu majątku, czy ja wiem, co jeszcze... Dla mnie i dla Yila to kwestia sensu życia. Nie przeszkadzaj.

Rowen spoglądał za nią z takim pełnym żalu niedowierzaniem, że Darby'emu zrobiło się przykro.

- Może się uda - powiedział, kładąc przyjacielowi dłoń na ramieniu.

- A może nie - uciął Rowen i odszedł.

Przez szczelinę w skalnej ścianie wydostali się na plażę, z trzech stron ogrodzoną przez zbocze kryjącego pieczary wzgórza. Sprawujące niepodzielną władzę nad tym miejscem mewy krzyczały zuchwale, bynajmniej nieprzestraszone obecnością dwóch nagich i bezbronnych ludzkich stworzeń. Siedziały na piasku, zrywając się do lotu dopiero wtedy, gdy Daniel lub Yil podeszli naprawdę blisko. Były wielkie, niepokojące, ale mimo to pozostawały jedynie ptakami.

Odrywając wzrok od morza, które nacierało na nich jak wroga armia, Daniel zwrócił uwagę, że miękki piasek pod jego stopami jest wilgotny.

- Przypływ - powiedział Yil, jakby czytał mu w myślach. - Pewnie zalewa również jaskinie. Musimy wdrapać się na to wzgórze.

Znaleźli miejsce, gdzie zbocze wznosiło się stosunkowo łagodnie, i zaczęli się wspinać. Gdy uznali, że woda już ich nie sięgnie, urządzili postój.

- Dobrze, że nie zwlekaliśmy dłużej. Jeszcze trochę i byśmy się potopili - zauważył Daniel.

Yil nie odpowiedział. Przykucnął i grzebał w swoim plecaku. Daniel postanowił przejrzeć zawartość swojego - niedawna myśl o Bijou przypominała mu o urnie. Przekonawszy się, że nie zginęła, odetchnął z ulgą i przez chwilę z wdzięcznością wpatrywał się w gładką powierzchnię, czuł bowiem, że w jakiś sposób właśnie temu przedmiotowi zawdzięczali ocalenie. Uśmiechnął się ze smutkiem, wyobrażając sobie, jak skomentowałyby jego refleksje Bijou: „Ależ Danielu, zaczynasz rozumować w kategoriach ludzi wierzących”.

W plecaku znalazł też jedzenie i ubranie. Wypił łyk wody, zjadł trochę sera i sucharów. Nie był zbyt głodny - nie musiał odżywiać się co dzień - ale uznał, że powinien uzupełnić zapasy energii.

Następnie przyjrzał się swojemu ciału. Odniósł mniej obrażeń, niż się spodziewał: ślady po bambusowym pręcie szybko zniknęły, skaleczenia już się goiły. Wyjął z plecaka biały szal i zarzucił go sobie na ramiona, na razie nie wiążąc. Usiadł, objął nogi rękoma i przymknął oczy, rozkoszując się muśnięciami wiatru na włosach.

Wtedy usłyszał płacz.

Podniósł głowę. Yil wciąż kucnął tyłem do niego, pochylony nad swoim plecakiem.

- Co się dzieje? - spytał Daniel, wstając.

Yil odwrócił ku niemu głowę. Twarz miał zaczerwienioną i błyszczącą od łez.

- Nie twoja sprawa - rzucił.

Daniel, zdumiony pobrzmiwającą w jego głosie wściekłością, postanowił nie drażnić tematu.

- Przepraszam - mruknął łagodniej Yil.

- To ja przepraszam - uśmiechnął się Daniel. - Nie chciałem...

Yil wyciągnął rękę, pokazując mu scriptorium, na którego wyświetlaczu jaśniało stanowcze oblicze o skośnych oczach. Daniel uznał, że żywy Yil różni się od swojego portretu jedynie wyrazem niekłamane go cierpienia, jakie malowało się w tym momencie na jego twarzy. Yil wszakże natychmiast wyprowadził go z błędu.

- To mój ojciec - powiedział. - Ezra Obed Lane. Głęboko wierzył w Rozdział Trzynasty.

- O - zdumiał się Daniel - wyglądasz dokładnie tak samo jak on.

- Chciał mieć we mnie sobowtóra, podobnie jak jego ojciec w nim. Był moim pierwszym mistrzem, przed Anjali. Nigdy nie rozstaję się z tą Pamiątką. Pomaga mi przewycięzać strach.

Daniel doskonale to rozumiał.

- Są takie przedmioty - przytaknął, myśląc o urnie z prochami Bijou.

Wyprostował nogi i musiał przytrzymać szal, którym szarpnął silniejszy powiew wiatru.

Yil zdawał się pogrążony we własnych myślach. Twarz miał tak zboląłą, że Daniel aż się zaniepokoił.

- Ojciec był naprawdę wybitnym człowiekiem. To on pierwszy poznał plan Katsury, wiedziałeś o tym? Przez przypadek, od jednego z uczniów Mitsuko, niejakiego Shara, który z kolei, podobnie jak dwoje innych uczniów, Ina i Olive, usłyszał o wszystkim od samej Mitsuko. Ojciec poznał go w Niemczech. Był już wtedy jednak bardzo chory na serce; zdawał sobie sprawę, że nie zdąży nic zrobić. Dlatego powierzył tajemnicę mnie. Ja postanowiłem poprosić o pomoc Anjali, ona powiedziała innym... Sam widzisz, że jeśli coś znajdziemy, będzie to jego zasługa. - Wargi Yila zadrżały. - Zaufał mi, a ja go zawiodłem!

- Ale... - zająknął się Daniel.

Yil spojrział na niego, marszcząc brwi, które zbiegły się w kształt litery „v”. Przy ustach wygiętych w ten sam kształt, ale w przeciwną stronę dawało to efekt dwóch skierowanych ku oczom strzałek.

- Płakałem jak dziecko, kiedy mnie chłostali! W jaskini zachowałem się jak tchórz! Zginąłbym, gdybyś mi nie pomógł! Jestem wyznawcą Rozdziału o Morzu, mam w sobie

niezmierną siłę! I co z nią robię? Ojciec i mistrzyni Sen tylko marnowali ze mną swój cenny czas!

Daniel wstał, podszedł do płaczącego i ujął jego dłonie.

- Nie, nie... To wszystko przez strach, Yilu... Nikt nie umie z nim walczyć...

- Wciąż je masz... - rzekł wtedy Yil innym tonem.

- Co?

- Amulety.

Daniel dopiero teraz przypomniał sobie o ozdobach z muszelek, które otrzymał od niego na plaży: naszyjnik gdzieś przepadł, ale kolczyki się uchowały.

- Wtedy nie potraktowałeś ich poważnie - ciągnął Yil - ale to one nas ocaliły, zasłaniając przed nami straszną rzeczywistość... Dzięki nim zdołaliśmy uciec, dzięki nim kosmiczna groza rozplynęła się w ptasich trelach...

Daniela denerwowało to uparte - typowe dla ludzi wierzących - dopatrywanie się w świecie tego, czego w nim wcale nie było. Teraz jednak nie chciał wszczynać dyskusji, by nie irytować Yila.

- Może naprawdę... - zaczął, wstając i zawiązując szal wokół pasa. Nagle znieruchomiał.

*Rozplynęła się w ptasich trelach.*

Popatrzył dokoła. Między skałami wiła się wąska ścieżka. Postanowił natychmiast ją zbadać. Poziom morza wciąż się podnosił, woda sięgała już stóp wzgórza. W oddali odzywały się mewy.

- Daniel! - wołał Yil. - Co się stało?

*Ptasie trele.*

Czyż nie tak brzmiała jedna z wygłoszonych przez niego w stanie nieświadomości formuł? Już miał powiedzieć o tym Yilowi, gdy stanąwszy na krawędzi urwiska, zobaczył coś, co odebrało mu mowę.

## 11

Choć od wody wiała jedynie lekka bryza, Anjali Sen musiała nieustannie odgarniać z twarzy i przytrzymywać z tyłu swoje długie czarne włosy. Łagodne z pozoru fale, które obmywały jej stopy, przy cofaniu się gwałtownie grzechotały kamykami, wydając odgłos przywodzący na myśl tupot tysięcy drobnych drewnianych stóp.

Morze, niezmordowane w swych przyływach i odpływach. Fale, z których każda jeszcze niedawno obmywała najbardziej niedostępne głębie. Wieczna wymiana, zacieranie się granic między tym, co tu, a tym, co tam.

Anjali zdawała sobie sprawę z podejmowanego ryzyka. A jednak irytowały ją ciągle napomnienia Meldona. Jego największą wadą była wrodzona potrzeba wydawania poleceń. Anjali chciała mu pokazać, że zamierza słuchać wyłącznie głosu swego sumienia.

Myśli o Meldonie należało jednak chwilowo odsunąć na bok.

Znalazła odpowiednie miejsce, uklękła i wygięła się do tyłu, zanurzając włosy w zimnej wodzie.

Wedle nauk Rozdziału Jedenastego, powtórzonych potem w Rozdziale Dwunastym, umysł ludzki ciągle jeszcze zachowywał łączność z przedwiecznymi stworzeniami, które zamieszkiwały Ziemię w dawno minionych epokach. I łączność tę dawało się niekiedy wykorzystać.

Fale. Morze. Dom Boga.

Woda była niczym chłodne prześcieradło.

Anjali czekała. Rozłożyła ramiona, pozwalając dłoniom swobodnie się kołysać. Jej włosy wyglądały jak czarna dryfująca meduza. Widziane z jej perspektywy urwisko przypominało gigantyczny szary stalaktyt.

Przede wszystkim nie dopuść do tego, by zawładnął tobą strach. Kontroluj go i wykorzystuj do swoich celów.

Utrzymywanie się w tej niewygodnej pozycji wymagało wysiłku i na tym właśnie polegała sztuczka - jak wyraziłby się Meldon. Skoncentrowany na swoich mięśniach człowiek zapominał o sobie, zaczynał postrzegać siebie samego jak rzucony na fale worek.

Myśli traciły spójność.

Anjali drgnęła nagle. Znajdowała się w nieznanym miejscu.

Obróciła głowę, rozejrzała się. Zobaczyła dziwne kształty wypełniające obcą przestrzeń.

Straszne było to oderwanie się od siebie samej.

Potem ich dostrzegła.

A oprócz nich - ogromne niebezpieczeństwo, którego Daniel i Yil nie widzieli, choć czaiło się tuż obok.

Daniel zatrzymał się na zalewanej przypląwem plaży, dysząc ciężko. Stał po kostki w wodzie i nie odrywał wzroku od skał przed sobą. Wiatr szarpał jego złotymi włosami i białym, zawiązanym wokół pasa szalem. Słowa Yila zdawały się dobiegać z odległej przeszłości. Teraz liczyło się jedynie to, co widniało na kamiennej powierzchni.

Yil zastąpił mu drogę.

- Danielu, to jest miejsce, którego szukaliśmy, prawda? - spytał z większym niż kiedykolwiek niepokojem.

- Nie wiem.

Kłamał. Był niemal pewien, że tak.

Znajdowali się w otoczonej wysokimi urwiskami zatoczce. Z jednego, stosunkowo najłagodniejszego, właśnie zesli; inne, znacznie potężniejsze i bardziej strome, wznosiło się naprzeciwko. Wygładzony przez wieki kamień wbijał się ciemnym klinem w błękitne niebo. Promienie popołudniowego słońca pozwalały dojrzeć wykonany na skale ogromny malunek: białe linie układające się w kształt ludzkiej twarzy i rąk.

*Ptasie trele. Maski i Dłonie.*

Twarz miała okrągłe oczy i szeroko otwarte usta. Schematycznie nakreślone dłonie wyglądały groteskowo.

A więc to wszystko, co działo się do tej pory, miało jakiś sens... Zdumiony tym faktem Daniel przypatrywał się skałom, gdy nagle zauważył coś jeszcze.

- Tam jest szczelina.

Nie wskazał jej palcem, uznając, że Yil dostrzegł ją już wcześniej. A jednak nie była łatwa do wypatrzenia: znajdowała się wewnątrz narysowanych na skale ust i z tej odległości sprawiała wrażenie niewielkiej, choć człowiek mógł się bez wątpienia przez nią przecisnąć.

Yil zerknął przez ramię w tamtą stronę, po czym dalej wpatrywał się w Daniela. Na nadgarstku miał bransoletę z drobnych muszelek; ukośne promienie słońca przydawały ciepłych odcieni jego skórze, pod którą grały mięśnie. Kręcone włosy powiewały mu na wietrze, doskonale wykrojone wargi drżały.

- To jest miejsce, którego szukaliśmy - powtórzył, tym razem twierdząco. - Znalazłeś je, tak jak przewidział Katsura. Aby nie dopuścić się profanacji, musimy najpierw odprawić obrzędy.

- Yil, przestań - mruknął Daniel, cofając się.

- Nie uwierzyłeś, nawet po tym wszystkim, co przeszedłeś? Dlaczego nie przyznasz się do błędu? Nie rozumiesz, że sama twoja tutaj obecność dowodzi słuszności wszystkich naszych słów?



Daniel zadumał się głęboko. Jeśli Yil miał rację, nie dało się wykluczyć, że Bijou rzeczywiście czeka gdzieś po drugiej stronie. Jeśli Klucz faktycznie istniał, wszystko nabierało nowego znaczenia. Wystarczyło po niego sięgnąć, zdobyć się na jeszcze jeden, ostatni wysiłek, by zostać depozytariuszem przedwiecznej mądrości...

Yil zdawał się czytać mu w myślach, bo energicznie pokiwał głową.

- Widzę, że powoli otwierasz się na światło prawdy. Chodź, tam, pod skały, gdzie morze jeszcze nie sięga. Musimy porozmawiać. Obiecay, że mnie najpierw wysłuchasz...

Gdy przystanęli u stóp pogrążającego się w mroku urwiska, Yil przysunął swoją twarz do twarzy Daniela.

- Tak samo jak ja zdajesz sobie sprawę z przemiany, która w tobie zachodzi, Danielu. Nie wyprzesz się tego. Próbowaleś żyć jak znakomita większość ludzkości, odsuwając od siebie prawdę, ale tu i teraz twoje oczy ujrzają światło i nigdy już nie będą ślepe. Stanowimy część tego, co nas czeka na górze. Cokolwiek to jest. Rozdział Jedenasty mówi, że nosimy w sobie swoją najodleglejszą przeszłość, swój własny początek... Wkrótce staniemy twarzą w twarz z tą przeszłością... Dlaczego dygocesz?

Daniel się uśmiechnął. Jego policzki płonęły.

- Boję się...

- Oczywiście, że się boisz - odrzekł Yil. - Wcześniej to ja się bałem, a ty, niczego nieświadomy, potrafiłeś mnie uspokoić. Teraz, gdy widzisz więcej, sam zaczynasz czuć rosnący lęk. Pamiętasz, co powiedziała wczoraj mistrzyni Sen? Wierzyć znaczy wiedzieć, a wiedza potęguje strach. Nic w tym złego. To naturalne i ludzkie. Ja też się boję, Danielu. Przerażenie zmusza mnie do szukania pociechy u innych, jest jak potężny przypływ, który niesie nas na środek niezmiernego oceanu. I tak ma być. Chodzi o to, by pomóc sobie nawzajem je przewyciężyć.

Serce Daniela biło jak szalone.

- Co mam zrobić?

- Zatańczmy - poprosił Yil. - Odprawmy rytuał. Dzięki niemu stopimy się w jedno... Pozwól mi się poprowadzić... Naśladuj moje ruchy...

Daniel skinął głową. Starał się, jak mógł, a gdy popełniał błąd, Yil cierpliwie go poprawiał, układając jego ręce i nogi w odpowiedniej pozycji. Wkrótce obaj poruszali się płynnie i harmonijnie, z taką samą naturalnością, z jaką woda lizała ich stopy.

W pewnej chwili Yil ujął głowę Daniela w obie dłonie i go pocałował. Daniel poczuł, że tłący się w jego wnętrzu lęk przygasa jak odcięty od dopływu powietrza płomień.

A potem poczuł coś jeszcze.

Jakby nagle coś się wokół zmieniło, jakby spośród skał obserwowało ich czyjeś czujne spojrzenie. Ale trwało to tylko chwilę.

Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego jak teraz, w czasie tańca z Yilem. Kręciło mu się w głowie jak po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu. Zalewały go fale ekstazy i niepewności, rozradowania i lęku. Tracił ostrość widzenia...

Gdy doszedł do siebie, stwierdził, że Yil oddalił się kawałek i stoi przytulony do ogromnej skały.

- Ty też to czułeś? - spytał Daniel. - Co to było? - dodał, widząc, że Yil przytakuje.

- Może w tym miejscu obrzędy zyskują szczególną moc... - zaczął Yil bez większego przekonania. - A może chodziło o coś w rodzaju ostrzeżenia: „Uwaga, nie jesteście tymi, za których się uważacie”... Chodź, dokończymy...

I znów zaczęli tańczyć, tym razem jednak zmierzając do konkretnego celu: orgazm przyszedł szybko.

Później popatrzyli po sobie z uśmiechem. Daniela rozpierała odzyskana energia, z Yilem działo się chyba to samo. Spojrzeli ku ciemniejszej nad ich głowami szczelinie.

- Widzę coś w rodzaju ścieżki - powiedział Yil. - To nam wiele ułatwi.

Morze zalało już całą plażę, musieli więc - trzymając plecaki w górze - brnąć przez głęboką wodę. Gdy wspięli się nieco wyżej, wytarli się i przebrali. Yil włożył czerwone obcisłe rajtuzy, Daniel zaś krótką niebieską tunikę i żółty naszyjnik. Yil ruszył przodem.

## 13

- Są w pobliżu! - wykrzyknęła Anjali. - Za tym urwiskiem! Znaleźli miejsce, którego szukaliśmy!

Wiadomość ta poruszyła wszystkich z wyjątkiem Svenkova, który nic nie usłyszał, ponieważ dopiero nadchodził, nie spiesząc się zresztą zbytnio.

Rowen, uściskawszy Anjali, pobiegł po swój ekwipunek.

- Szybko, nie ma czasu do stracenia! Musimy ich dogonić, zanim się ściemni!

- Jest jeszcze coś... - powiedziała Anjali, zakładając plecak na mokre ramiona. - Tylko nie wiem co...

- Wyczułaś obecność tubylców? - dopytywał się Rowen niecierpliwie.

Anjali pokręciła głową, zapinając pas z bronią.

- Nie... Chodzi o coś innego... Mam wrażenie, że Danielowi i Yilowi grozi jakieś

niebezpieczeństwo, z którego nie zdają sobie sprawy...

Rowen i Darby wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

- Prawda! - krzyknął Rowen, odwracając się na pięcie i rzucając w stronę wskazaną przez Anjali. - Może zdążymy, zanim będzie za późno!

- Prawda? - zdziwił się Svenkov.

Nikt nie odpowiedział na malujące się w jego oczach pytanie.

- Jeśli to Prawda - odezwał się w końcu Darby - to *już* jest za późno.

# Rozdział dwunasty

## *Góra*

### 1

Szczelina wydawała się głęboka, z bliska jednak okazała się czymś w rodzaju krótkiego tunelu. Przecisnąwszy się na drugą stronę, Daniel i Yil, zamiast w ciemnej jaskini, znaleźli się znów na wolnej przestrzeni, wśród bujnej roślinności. Tu i ówdzie z ziemi sterczały powykęcane korzenie i pokryte mchem skały, a między nimi widać było coś jakby stopnie, prowadzące w górę między kaskadami zieleni.

Daniel, który nie bardzo wiedział, czego się właściwie spodziewał, stał przez chwilę jak wrośnięty w ziemię.

- Co się dzieje? - spytał Yil, zatrzymując się na jednym ze schodków.

*Metalowa drabinka.* Wtedy, gdy stracił przytomność, mówił o metalowej drabince. A to tutaj... to były raczej schody, w dodatku bynajmniej nie metalowe.

- Nie wiem... Może się jednak pomyliliśmy...

- Jeśli nie pójdziemy dalej, nigdy się tego nie dowiemy - rzekł stanowczo Yil.

Schody kilkakrotnie zakręcały, dlatego z dołu nie było widać, dokąd prowadzą. Kończyły się przed kolejną, tym razem nieco szerszą szczeliną w skale. Powietrze przesyciła tu wilgoć, poza tym słychać było narastający szum wody.

Gdy zajrzeli do środka, ich oczom ukazała się ogromna, otwarta ku niebu pieczara. Gasnące światło oświetlało większą część ogromnego pomieszczenia, nie sięgając jednak najbardziej oddalonych kątów. Środkiem ciągnął się kręty uskok, mający w najszerszym miejscu koło trzydziestu metrów i przebijający się z obu stron przez skalne ściany. Był to niezwykle widok. Na drugi brzeg przepaści prowadziła giętka pokryta pyłem kładka.

- Krater wulkanu - szepnął Yil.

Daniel tylko skinął głową, niezdolny wydusić z siebie ani słowa. Słyszał o takich miejscach - pamiątkach po okresie geologicznych kataklizmów - ale świadomość, że przebywa w jednym z nich, wytrącała go z równowagi. Jak przez sen dobiegały go wyjaśnienia Yila.

- Rozdział Dwunasty mówi o pochodzeniu Starszych Istot, rasy wcześniejszej niż ludzka. Ich lodowe miasto mieściło się ponoć w niecce, która przypominała krater, choć nim nie była.

Obawy Daniela dotyczyły jednak bardziej bezpośrednich zagrożeń.

- A co będzie, jeśli ktoś się czai po drugiej stronie? - spytał, wymownym gestem wskazując kładkę.

- I tego nie da się wykluczyć. Ale najprawdopodobniej ostatnią osobą, która zawitała tu przed nami, był Katsura Kushiro.

Ostrożnie pochylili się nad przepaścią. Wzrok nie sięgał dna. Yil rzucił kamieniem, który natychmiast zniknął, wchłonięty przez ciemność. Jednakże dźwięk, jaki usłyszeli kilka chwil później, rozpoznali bez trudu.

- Woda - oświadczył Yil, spoglądając na Daniela. - Jakiś potok albo morska zatoczka. Sprawdźmy, co jest po drugiej stronie.

Kładka sprawiała wrażenie solidnej. W rozproszonym świetle widać było metalowo-plastikowy szkielet przymocowany do skał za pomocą szpikulców. Yil ponownie cisnął sporym odłamkiem. Nic nie drgnęło. Gdy dotarli na środek, kładka zakotłosała się lekko i Daniel, usiłując nie patrzeć w dół, puścił pasek plecaka, by przytrzymać się barierki. Gęsta ciemność na drugim brzegu skrywała, jak się okazało, wyłącznie ścianę. Yil stropił się nieco.

- Nikt nie zadawałby sobie tyle trudu na darmo - zauważył, wskazując kładkę, którą dopiero co pokonali.

Daniel czuł dzikie bicie serca. Raz jeszcze zajrzał w głąb przepaści, zastanawiając się, czego właściwie szukają. „Kłapy”? „Metalowej drabinki”? „Spadzistego dachu”? Wszystkie te pomysły wydawały mu się absurdalne.

Właśnie wtedy, pochylony nad krawędzią, zorientował się, o co chodzi.

- Drabinka - powiedział w tym samym momencie Yil. - Rozkładana drabinka.

Z metalu i plastiku, podobnie jak kładka. Czy to o niej mówił w laboratorium Katsury? Najpierw ptasie trele, potem malunek na skale, a teraz to... Czy nie za dużo tych zbiegów okoliczności?

Już miał podzielić się swoimi myślami z Yilem, gdy spojrzawszy na niego, odgadł jego zamiar.

- Yil! Nie! - zawołał.

W oczach Yila, oprócz strachu, malowała się determinacja, jak gdyby działał pod wpływem jakiejś potężniejszej od siebie siły.

- Musimy wiedzieć - powiedział, odsuwając zagrażającego mu drogę Daniela.

- To niebezpieczne!

- Nie bardziej niż droga, którą już pokonaliśmy.

Drabinka była mocna i dobrze przytwierdzona do krawędzi. Szczelby, choć z pewnością śliskie od wilgoci, wyglądały na wytrzymałe. Daniel pomyślał, że wyglądało to, jakby ktoś zostawił ją tu rozłożoną specjalnie dla nich. Przerazało go, że nie widzi jej końca. Odnosił wrażenie, że na dole zaczyna się inny świat. Świat Klucza?

- Jeśli chcesz, zaczekaj na mnie tutaj - rzucił Yil.

I nie dając Danielowi czasu na odpowiedź, zaczął schodzić. Drabinka zatrzeszczała. Daniel pochylił się i ujrzał kasztanowate włosy Yila, które zdawały się falować na powierzchni czarnego bagniska. Potem utonęły w ciemności.

- Yil? - krzyknął Daniel.

Daremnie czekał na odpowiedź.

## 2

Widząc naskalny malunek, Hector Darby wyzbył się resztek wątpliwości.

Od Klucza dzielił ich tylko krok.

Przyływ zalał całą plażę, ale Anjali i Rowen bez trudu przedarli się przez spienione fale i wspinali się już skalną ścieżką ku szczelinie. Nic nie wskazywało na to, by przez ostatnie kilkaset lat w miejscu tym powstała ludzka stopa, choć wrażenie to mogło być zwodnicze: morze zmywało ślady niemal od razu.

Darby niepokoił się, czy zdążą na czas. Wedle tego, co zobaczyła Anjali, Daniel i Yil żyli, lecz znajdowali się w wielkim niebezpieczeństwie. W zatoczce już ich nie było.

Tak czy owak należało iść dalej.

Najtrudniej zapowiadał się pierwszy odcinek, gdyż potężne fale groziły tu ścięciem z nóg, a woda sięgała do pasa. Maya, która ruszyła przodem, szła pewnie, zatrzymując się od czasu do czasu, by pomóc chwiejącemu się niebezpiecznie Darby'emu. Zamykający pochód, mokry od stóp do głów Svenkov, wydawał się nieobecny i tylko popędzał pozostałą dwójkę do szybszego marszu.

Maya nagle się zatrzymała. Darby i Svenkov również przystanęli, by na nią nie wpaść. Woda sięgała im teraz do kostek.

- Nie - powiedziała dziewczyna.

- Co...? - zaczął Darby, ale zagłuszył go inny głos.

- Rzućcie plecaki i broń do wody.

Nieco wyżej, na wpół ukryta między skałami stała jakaś kobieta. Była tak nieładnie piękna, że Darby'emu zabrakło tchu; jej długie jasne włosy mimo porywistego wiatru spływały nieruchomo po plecach. Była niezwykle atrakcyjna. Jednakże spojrzawszy w jej zielone oczy, Darby uznał, że wolałby nie mieć z nią nic wspólnego.

Co zapewne pozostawało w związku z faktem, że nieznajoma trzymała w rękach dwa karabiny o lufach zimnych i ciemnych jak jej źrenice.

- Nie zwykłam się powtarzać, Mayu Müller - wycedziła.

Maya zdawała się wahać. Darby, który zdążył już usłuchać rozkazu, zastanawiał się, kiedy wraz ze Svenkovem przystąpią do kontrataku.

W tym momencie jego szyję otoczyło białe jak marmur i jak marmur twarde ramię; na skroni poczuł coś zimnego.

- Mamy zacząć od twojego przyjaciela? - spytał Svenkov, trzymając pistolet przy głowie Darby'ego.

I Darby zrozumiał, że wszystko to od początku było jedną wielką pułapką. I poczuł, że jest zgubiony.

### 3

- Yil! - zawołał znowu.

Odpowiedziało mu milczenie, tym bardziej wymowne, że kontrastujące z masą nieistotnych dźwięków: dziwnych trzasków, plusków... I chyba krzyków. Ale nawet jeśli rzeczywiście były to krzyki, dobiegały gdzieś z zewnątrz. Głos Yila przepadł w czarnej czeluści wraz z jego ciałem.

Daniel odczekał jeszcze chwilę, pełen wątpliwości i obaw, ostatecznie uznał jednak, że samotność w tym miejscu jest stokroć gorsza od szybkiej śmierci. Wysunął stopę za krawędź przepaści, wymacał pierwszy szczebelek drabiny i przytrzymując się kurczowo obiema dłońmi, zaczął schodzić.

Przez pewien czas, którego trwania w swym przerażeniu nie potrafiłby określić,

skupiał uwagę na coraz słabiej widocznych na tle skalnej ściany szczelkach, ale kiedy w końcu ogarnęła go ciemność, stracił resztki odwagi. Dobiegające z głębin dźwięki też nie pomagały mu się uspokoić: mogła to być woda, lecz wcale nie miał w tym względzie pewności. A jeśli był to oddech jakiegoś ogromnego stwora? Czy Yil nie odpowiadał, bo w tym hałasie po prostu nie słyszał wołania?

Tak czy owak Daniel czuł, że nie da rady iść dalej. Stał przyciśnięty do drabinki, rozmyślając nad swoim położeniem, gdy w dole niespodziewanie zabłysło światło.

Dzięki niemu odkrył, że znajduje się mniej więcej w połowie drogi i że na dnie przepaści wyraźnie widać Yila, pochłoniętego drobiazgowymi oględzinami ścian i podłoża.

Pełen nowych sił, zaczął schodzić dalej. Yil czekał z niewesołą miną.

- Nic tu nie ma poza tymi reflektorami - oświadczył.

Było ich kilka; Yil, poruszając się na oślep, niechcący trącił dźwignię generatora. Ich blask oświetlał wnętrze przepaści, której środkiem biegła kolejna ogromna rozpadlina. Płynąca nią woda pieniała się i z hukiem uderzała o ściany. Nie wyglądało to na zwykłą podziemną rzekę. Nieco dalej znajdował się zakręt.

- Co to wszystko ma być? - spytał Daniel, przekrzykując szum.

- Coś nowego - brzmiała odpowiedź Yila.

Wycierając spryskaną kropelkami wody twarz, Daniel ruszył w stronę pograżonego w ciemnościach załomu. Tam przekonał się, że Yil nie miał racji.

Poza reflektorami było tu coś jeszcze.

A właściwie - wiele rzeczy: narzędzia, kawałki metalu, fragmenty kabli, sterty skrzynek, łóżka polowe... Cała masa mniejszych i większych przedmiotów. Zupełnie jakby ekipa techników pracowała i mieszkała w tym miejscu, by pewnego dnia zniknąć, nie zwinawszy obozu.

Kiedy jego źrenice, zaprojektowane tak, by wykorzystywać najmniejszą nawet ilość światła, zaczęły wychwytywać obrazy, Daniel, nie wiedząc czego właściwie szuka, ruszył na obchód tego cmentarzyska.

Po chwili przystanął.

Na przeciwległej ścianie dostrzegł interesujące występy - coś jakby nisze i gzymsy - nie one jednak przykuły jego uwagę. W sklepieniu jednej z owych nisz ujrzał otwór, który zdawał się gdzieś prowadzić.

*Klapa.*

Dotarcie tam nie nastrecało większych trudności: skała była nierówna, oferowała oparcie dla stóp.



Z mocno bijącym sercem, nie uprzedzając o swoich zamiarach Yila, Daniel zrzucił plecak na ziemię i szybko wspiął się na górę, po czym podniósł klapę i zajrzał w panujący po drugiej stronie mrok.

## 4

- Przyprowadź ich - rozkazała nieznajoma.

Idąc posłusznie z rękami na karku, Darby zastanawiał się, co z Anją i Meldonem. Podniósł wzrok: obok szła Maya, a wysoko w górze jakaś rudowłosa kobieta mierzyła z pistoletu do dwóch znanych mu doskonale postaci. Na jej widok Darby drgnął: rozpoznał Mitsuko Kushiro. Albo raczej dawną Mitsuko Kushiro, bo teraz było to wyłącznie jej ciało opanowane przez Prawdę. Czy Prawda miała się ostatecznie okazać tą blondynką o zimnych jak lód oczach? Chyba że mieli do czynienia z osobą zwaną Panem.

Zwrócił się ku Svenkovovi.

- Zapłaciła ci więcej od nas, co?

- I skuteczniej od was zagroziła - odparł beznamiętnie Svenkov.

Blond piękność wyszła zza skał z lekkim uśmiechem na ustach i nie zmieniając wyrazu twarzy, wycelowwała broń w Mayę Müller.

- Pan Darby jeszcze nam się przyda... Ale ty...

- Nie, poczekaj - przerwał jej Svenkov. - Mówiłem, że niektórych członków grupy chcę dla siebie.

- Chodziło ci o Daniela Keana. Którego dostaniesz, jak tylko wpadnie nam w ręce.

- Zmieniłem zdanie - Svenkov złapał Mayę za rękę. - Zrobię to z nią.

- Ona jest dla ciebie zbyt niebezpieczna, idioto - odparła blondynka.

Darby ujrzał, jak jej długie, wypielęgnowane palce niby węże oplatają dwa spusty.

- Posłuchajcie - rzucił pospiesznie, unosząc ramiona. - Chcecie Klucza, prawda? A zatem trafiliście we właściwe miejsce. To, czego szukacie, jest tam, na górze. - Wskazał malunek na skale. - Idźcie i weźcie to sobie. Uznajemy swoją porażkę, więc pozwólcie nam odejść...

Ale ani Svenkov, ani blondynka nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Stali i mierzyli się wzrokiem.

W tym momencie gdzieś na górze rozległ się huk wystrzałów. Złotowłosa wyraźnie się zaniepokoiła i choć Darby nie potrafił stwierdzić, co się właściwie stało, uznał, że

cokolwiek to było, stanowiło okoliczność dla nich korzystną.

- Nie spuszczaaj ich z oka - rzuciła blondynka do Svenkova i pomknęła między skałami.

- Kto to jest? - spytał Darby, gdy się oddaliła.

- Nie wiem i nie ciekawi mnie to - odparł Svenkov, wciąż wpatrując się w Mayę. - Przedstawiła się jako Turmaline. Złożyła mi wizytę chwilę przed wami.

Darby pomyślał o Yulim, chłopaku, który zaprowadził ich do domu dla obłąkanych. Sprytnie. Nawet jeśli Davenport nie należała do spisku i faktycznie była szalona, nie uległo wątpliwości, że prędzej czy później wspomni o Svenkovie.

- Zaproponowała mi odegranie podwójnej roli - ciągnął Polinezyjczyk. - Miałem ją informować, gdzie jesteśmy, a na koniec pomóc jej was zabić. W zamian za to zgodziła się zostawić mi wasze pieniądze i dodać drugie tyle od siebie. Oferta nie do przebiccia, czyż nie?

- A atak tubylców? Kto go zaplanował?

Svenkov wykrzywił wargi w półuśmiechu.

- Powiedzmy, że nie lubię, kiedy ktoś podważa mój autorytet... Chciałem ukarać tego waszego blond pupilka na plaży, ale przeszkodził mi jego uduchowiony przyjaciel. Już wcześniej robiłem interesy z plemionami w maskach, więc zdecydowałem się na to i tym razem.

- Tyle że tym razem było inaczej niż zwykle, prawda, Svenkov? - Maya stała bez ruchu, lekko uśmiechnięta, nie sprawiając wrażenia szczególnie przejętej faktem, że ktoś trzyma ją na muszce. - Ta cała Turmaline chce Daniela żywcem. Ucieszyła się na wieść, że go sprzedałeś? - Ponieważ Svenkov zwlekał z odpowiedzią, Maya uśmiechnęła się szerzej. - Czy też byłeś na tyle naiwny, by wmawiać jej, że wszystko stało się bez twojego udziału, i ludzić się, że ci uwierzyła?

- Niech pan posłucha, Svenkov - wtrącił się Darby. - Maya ma słusność. Ta kobieta zabije pana tak samo jak nas... Żeby przeżyć, musimy zjednoczyć siły...

Cała uwaga Svenkova koncentrowała się wszakże na stojącej przed nim dziewczynie.

- Podobno jesteś niebezpieczna... - rzekł do niej łagodnie swoim dźwięcznym, miłym dla ucha głosem. - Sprawdźmy jak bardzo...

Nie opuszczając pistoletu, za pomocą którego trzymał ich oboje w szachu, drugą ręką wyciągnął swój dwulufowy karabin i natychmiast strzelił.

Darby zamknął oczy. Gdy je otworzył, ujrzał Mayę zwijającą się na ziemi ze skurczoną z bólu twarzą i rękami zaciśniętymi na prawym kolanie. Spomiędzy jej palców sączyła się krew. Dziewczyna nie krzyczała, z jej gardła wydobywał się jedynie chrapliwy

dźwięk, jakby miała kłopoty z oddychaniem.

- Svenkov, ty tchórze! - krzyknął Darby, rzucając się na Polinezyjczyka, ale lufa pistoletu zatrzymała go w pół kroku.

Svenkov ponownie zwrócił oczy na Mayę.

- Jakoś nie widzę, żebyś była tak niebezpieczna, jak powiadają. Szczerze mówiąc, wydajesz mi się całkiem nieszkodliwa. Ale najwyraźniej lubisz dręczyć i upokarzać Svenkova... Prawdopodobnie znów byś to zrobiła, gdybym ci pozwolił. Nieważne. Atrakcyjniejsze od ciebie osobniki obojga płci, ba, nawet obojnacze, czołgały się przede mną, błagając, bym zechciał użyć ich ciał dla swojej przyjemności. I ty też będziesz się czołgać. No, już - rozkazał. Maya ani drgnęła. - Liczę do trzech. Potem zastrzelę twojego przyjaciela. Raz... - Maya ruszyła przed siebie, opierając się na łokciach i na lewym kolanie. Svenkov kopnął ją bosą stopą. - Szybciej! - Z rozbawieniem obserwował, jak stara się przyspieszyć. Jej dłonie wczepiały się w piasek, podobne do wielkich pajaków. Prawe kolano zostawiało za sobą czerwony ślad.

Z jej ust nie wydobył się wszakże ani jeden jęk, co nie bardzo przypadło Svenkovowi do gustu. Wykonywała polecenia bez słowa, jak maszyna.

Gdy dotarła do linii skał, Svenkov kazał jej się zatrzymać. W tej właśnie chwili z góry znowu dobiegł huk wystrzałów.

- O, widzę, że przegrywacie na całej linii - rzucił Svenkov.

Na tle białego malunku Darby ujrzał wyprostowaną sylwetkę Turmaline. U jej stóp leżało jakieś ciało. Darby zaczął się zastanawiać, czy to Meldon. Bo jeśli z tamtych dwojga ocalała Anjali, był jeszcze cień szansy...

Svenkov ponownie przeniósł swą uwagę na Mayę.

- Odwróć się.

Darby wolał na to nie patrzeć. Nawet u kogoś zaprojektowanego z taką precyzją zmiążdżone kolano musiało wywoływać straszliwy ból, potęgujący się przy każdym ruchu. Jednakże Maya spełniła rozkaz Svenkova bez jęku, oddychając tylko nieco szybciej, jakby wykonywała po prostu trudne ćwiczenie.

Nawet Svenkov wyglądał na zaskoczonego. Podeszedł bliżej i kopniakiem w sam środek rany „pomógł” jej wstać. Rozległ się trzask i krótki, mrozący krew w żyłach krzyk. Maya padła na plecy, z nogą wykrzywioną pod nienaturalnym kątem. Darby wciągnął powietrze, jakby sam też musiał opanowywać fizyczne cierpienie.

- Zabiję cię, Svenkov, jeśli zdołam - wychrypiał, trzęsąc się na całym ciele.

- Ale nie zdołasz - uśmiechnął się Svenkov. Jego twarz wciąż była, zdaniem

Darby'ego, niesprawiedliwie piękna. - I radzę ci oszczędzać skromne siły na podejście pod tę górę.

- Co z nami zrobisz?

- Ciebie zabiorę ze sobą, a co do niej... - Svenkov zerknął na leżącą bez ruchu Mayę. - Przekonamy się, czy jest zdolna do prawdziwego posłuszeństwa...

Zaczął wydawać rozkazy. Maya posłusznie założyła ręce za głowę i rozszerzyła nogi. W tej pozycji, z potwornie zniekształconym kolanem, wydawała się całkowicie bezbronna. Dyszała ciężko, ale na jej twarzy malował się coraz większy spokój. Svenkov nachylił się i czubkiem pistoletu dokładnie obrysował spoczywające na piasku ciało dziewczyny.

- Teraz cię zostawimy, twój biologiczny przyjaciel i ja. Zaczekasz tu na mnie, nie ruszając nawet palcem. Będę cię obserwował. Przez cały czas albo raz na godzinę, tego nie możesz wiedzieć... Jeśli zauważę, że choćby drgnęłaś, bez względu na przyczynę, że opuściłaś ręce albo wysunęłaś się za ten obrys, twój przyjaciel natychmiast zginie. No, chyba wszystko jasne. - Maya pokiwała głową. - Kiedy wrócę, będziemy dalej sprawdzać, na ile jesteś niebezpieczna. W drogę - rzucił ku Darby'emu.

Gdy szli pod górę, rozkoszował się świadomością, że dziewczyna posłusznie trwa w bezruchu.

## 5

Znalazł się w ciemnym pomieszczeniu. Gdy panujący tu gęsty mrok zrzędł nieco pod wpływem wlewającej się z dołu szarości, pod ścianą załśniła metalicznie dźwignia kolejnego generatora. Daniel zapalił reflektory, które zdawały się w niego celować. Potem odwrócił się, żeby zawołać Yila, i zobaczył, że chłopak już się wspina na górę.

- Co to jest? - zapytał Yil.

Żaden z nich nie potrafił na to sensownie odpowiedzieć. Z jednej strony pomieszczenie wydawało się naturalną, tyle że nieco głębszą od innych niszą w skale; z drugiej jednak - widoczne tu i ówdzie włączniki, dobrze utrzymane instalacje elektryczne, narzędzia, a także stojąca pod ścianą szafka wskazywały na działalność człowieka. Zresztą sama skała sprawiała wrażenie pokrytej dziwnie regularnymi, podobnymi do płaskorzeźb wzorami. Kto jednak miałby je stworzyć i po co?

Daniel podniósł wzrok ku stropowi. Kamień został tam wycięty w taki sposób, że przypominał dach w zwykłym domu.

*Spadzisty dach.*

Czując się jak we śnie, Daniel próbował przestudiować jego linie, ale oślepił go blask reflektorów.

Wtedy zwrócił baczniejszą uwagę na wąską metalową szafkę. Nie była zamknięta na klucz.

Wiedział, co w niej znajdzie, zanim ją otworzył.

A jednak znaleźć znaczyło co innego niż wiedzieć. Na widok metalowej rozkładanej drabinki poczuł, że zaraz zwariuje. Zastanawiając się, co z nią zrobić, odruchowo przeniósł spojrzenie na strop.

Yil, skupiony na pokrywających ściany dziwnych wzorach, dopiero po chwili zorientował się w sytuacji.

- O co chodzi? - zapytał.

Daniel bez słowa wskazał szczelinę na styku dwóch ukośnych powierzchni imitujących dach. Na twarzy Yila odmalowało się nagłe zrozumienie.

We dwóch ustawili szafkę w odpowiednim miejscu i Daniel nacisnął przycisk uruchamiający sprężynę. Drabinka, niby posłuszny zaklinaczowi wąż, wystrzeliła w górę. Daniel, niewiele myśląc, wspiął się na nią i stwierdził, że szczelina ma średnicę męskiego ramienia, ale wydaje się głęboka. Wsunął tam rękę i pomacał.

Nic nie znalazł.

Wtedy zadał sobie pytanie, czego się właściwie spodziewał. Przedmiotu w kształcie klucza? Niedorzeczność. A może jednak dał się zwieść serii zbiegów okoliczności?

Może słowa, które powtarzał w laboratorium Katsury, nic nie znaczyły? Kłapa. *Metalowa drabinka. Skośny dach...* Popatrzył na Yila, a ten natychmiast zapytał:

- I co?

Daniel już miał się z nim podzielić swoimi wnioskami, gdy uderzył go wyraz jego twarzy: pełen szalonej nadziei i entuzjazmu. Oczy Yila błyszczały tak samo jak oczy Klausa Siegla.

*Bo co znaczy wierzyć? To szukać, nie znajdować, a jednak nie dawać za wygraną.*

Drżąc, ponownie uniósł rękę i wsunął ją w szczelinę.

*To powtarzać sobie: „Coś tu jest” i znowu szukać, wiedząc, że w końcu się znajdzie...*

Gdy trafił na to palcami, stracił dech w piersiach.

Leżało w głębi, trochę z boku. Wcześniej uznał pewnie, że to kamień. Było gładkie i miało kształt jajka z obciętymi czubkami. Trzymane pionowo przypominało beczułkę. Daniel zważył to coś w dłoni, a zdmuchnąwszy kurz, zobaczył wtopiony w jedną z płaskich ścianek

mały kryształ.

Dygocąc na całym ciele, zszedł z drabinki. Przez cały czas czuł na sobie wzrok Yila.

Musiał wiedzieć. Musiał zrozumieć, dlaczego się tu znalazł, dlaczego właśnie on, Daniel Kean. *Dlaczego my, wybrańcy, zostaliśmy wybrani?* Palcem wskazującym dotknął okrągłego kryształku. Podobny do beczułki przedmiot zabzyczał i otworzył się z wolna, ale ryk, który rozległ się chwilę później, dobiegł skądinąd. Ściany zadrżały, narzędzia pospadały ze skalnych półek. Yil zamknął oczy, pochylił głowę i zdawało się, że zaczął odmawiać modlitwę.

- To dochodzi z dołu! - krzyknął Daniel.

Rzucili się ku prowadzącemu na zewnątrz otworowi. I zamarli, sparaliżowani przez zgrozę.

Ryk, z każdą chwilą potężniejszy, dobywał się z wody.

Ale to nie woda była jego źródłem, lecz to, co się z niej *wynurzało*.

## 6

Mitsuko, jak zauważyła Anjali Sen, miała na szczęście spóźniony refleks. Nie tylko poruszała się, ale i myślała bardzo powoli. Co nie zmieniało faktu, że jej dwa pistolety mogły wystrzelić z normalną szybkością.

Znalazła ich niedaleko szczeliny w pomalowanej na biało skale. Skupieni na wspinaczce, nie zdążyli nawet sięgnąć po broń.

W gruncie rzeczy nie była to jednak Mitsuko, lecz smutna po niej pozostałość. Jej zastygła twarz wyglądała jak nieudana woskowa maska; niezgrabne ruchy przywodziły na myśl lalkę.

Anjali umiała to wykorzystać: posłusznie odkładając broń na ziemię, schyliła się i zręcznie usunęła z linii strzału. Odwrócona plecami, usłyszała huk i zaraz potem jęk. Meldon, pomyślała. Mało brakowało, a cofnęłaby się i rzuciła na Mitsuko. Nie była gotowa na śmierć Meldona, wiedziała jednak, że więcej dla niego zrobi, jeśli zdoła ująć z życiem.

Okrzyżyła szczyt, szukając sposobów ucieczki. Z drugiej strony wzgórze kończyło się kilkudziesięciometrowym urwiskiem. Nie zdołałaby zejść po nim wystarczająco szybko, by uniknąć kul Mitsuko.

Pozostawała tylko jedna szansa.

Rozdział Dwunasty, objawiając za pośrednictwem znanych metafor moce drzemiące

w górach, sugerował pewną możliwość. Istniało wszakże ryzyko, że coś nie zadziała, a wtedy ona, Anjali, spadłaby w przepaść i roztrzaskała się o wystającą z wody rafę. Czy wolała to od kuli? Niekoniecznie. Ale innego wyjścia nie widziała.

Podeszła do krawędzi, szeroko rozstawiła nogi, obciążone jaskrawymi rajtuzami w czerwone pasy, i głęboko zaczerpnęła powietrza. Skupiła się na metaforze „odciążonego aeroplanu”, którym bohaterowie Rozdziału Dwunastego odbywają lot nad ośnieżonymi szczytami symbolicznej Antarktydy. Przywołała na myśl lata nauki w Świętej Szkole w Bombaju i liczne pielgrzymki do oblodzonych krain Południa.

Potrafiła wzbic się w powietrze.

Świszczący wkoło wiatr zdawał się wymiatać z jej mózgu resztki zmysłowych wrażeń. Świat zamienił się w szary tunel o gładkiej podłodze. Chodziło o to, by po niej przejść. Tylko przejść.

*Przejść po gładkiej podłodze jak po scenie...*

- Szczęśliwej podróży - usłyszała za plecami.

Odwrociła głowę i zobaczyła naciskającą spust Mitsuko.

Patrząc na rozpedzoną kulę, wykonała krok do przodu. *Podróż, tak. Odbędę podróż tym szarym tunelem.* Poczowała, że niesie ją jakaś przemożna siła, i uchyliła się przed pociskiem tak łatwo, jakby to była rzucona przez niesforne dziecko piłka.

Potem rozejrzała się i stłumiła okrzyk.

Znajdowała się kilka metrów od krawędzi urwiska. W powietrzu. *Albo właściwie nie w powietrzu. W szarym tunelu. Na gładkiej podłodze.* A jednak sposób, w jaki się przemieszczała, niewiele miał wspólnego z chodzeniem. Kiedy zapragnęła się wznieść, natychmiast zawisła kilkanaście metrów ponad punktem, w którym unosiła się wcześniej. Nagły zawrót głowy omal nie przeszkodził jej w utrzymaniu koncentracji. Postanowiła opaść i już po chwili mogła sięgnąć dłonią fal.

Błyskawicznie nauczyła się nad tym panować. Wszystko sprowadzało się do zachowywania spokoju i trzymania się w pionie, niedaleko góry.

Zaskoczyła Mitsuko od tyłu. Strzał, unik i lot - wszystko to nastąpiło niemal równocześnie. Huk i dym wciąż wisiały w powietrzu.

- Szczęśliwej podróży, Mitsuko - powiedziała.

Wystarczyło jedno kopnięcie. Japonka zatoczyła się i spadła w przepaść, jak spadłby martwy przedmiot, bez krzyków czy oporu. Dwa albo trzy razy odbiła się od wystających skał. Anjali pomyślała, że dobrze by ją było odprowadzić w tej ostatniej drodze i od razu znalazła się obok rafy, w którą uderzało właśnie bezwładne ciało.

Rozciągnięta na zalewanych wodą skałach Mitsuko potoczyła wokół przerażonym spojrzeniem. Jej włosy sprawiały wrażenie jeszcze bardziej czerwonych niż zwykle i niemal całkiem zakrywały twarz. Chwilę trwało, zanim Anjali zrozumiała, że to nie włosy, lecz strugi gęstej krwi.

A jednak, mimo rozbitej głowy, Mitsuko wciąż żyła. Poruszyła się nieporadnie kilka razy i dopiero potem ostatecznie znieruchomiała. Nie ulegało wątpliwości, że teraz już niczyja, choćby najsilniejsza wola, nie mogła przywrócić jej życia.

Nie było czasu do stracenia. Darby i Maya również mieli kłopoty. Anjali wróciła na szczyt góry, uczyniła to jednak zbyt pośpiesznie i zawisła dziesiątki metrów ponad leżącym na ziemi ciałem Meldona Rowena. Jego widok zabołał ją bardziej, niż się spodziewała. Powietrze wokół rozrzedziło się nagle, jakby przesiane przez wielkie sito: podzieliło się na cząsteczki. Anjali stwierdziła z przerażeniem, że niebezpiecznie się zdekoncentrowała. Zamknęła więc oczy, a gdy je z powrotem otworzyła, ujrzała pod sobą otwarty, podobny do krateru czubek góry i leżące po drugiej stronie szczeliny z malunkami kręte schody, które prowadziły ku innemu, znacznie większemu wejściu.

U stóp owych schodów, obok Svenkova i Darby'ego, stała złotowłosa kobieta.

## 7

Anjali natychmiast poznała, że Svenkov zdradził. Jej niespodziewane lądowanie zszokowało go tak bardzo, że na chwilę stracił kontrolę nad sobą i swoim więźniem. Darby skorzystał ze sposobności i umknął w górę schodów. Svenkov wahał się przez moment między obiema kobietami, by na koniec schować się za tą, która wydała mu się silniejsza.

Złotowłosa natomiast nie wyglądała na poruszoną, jakby z fruwającymi istotami ludzkimi miała do czynienia na co dzień. Jej oczy mówiły wyraźnie, że lubi zabijać i że ten akurat moment uważa za równie do tego dobry jak każdy inny.

- Witamy na ziemi - powiedziała i pośłała w stronę Anjali dwie serie ze swoich bliźniaczych karabinów. Anjali zdążyła rzucić się w bok; leżący obok kamień rozprysł się na kawałki. - Czyżbyś połamala sobie skrzydełka? - dodała tamta, znowu celując.

Rzeczywiście, Anjali czuła, że już nie pofrunie. Złotowłosa popełniła jednak błąd: zostawiła Svenkova bez opieki, sądząc najwyraźniej, że nie będzie jej potrzebował. On zaś w swoim zdenerwowaniu zbyt długo składał się do strzału. Nie bardzo długo. Ale wystarczająco.



Anjali uchyliła się zręcznie i podczas gdy kule tamtych dwojga mijały się ze świstem, runęła na Svenkova, wymierzając mu kilka potężnych ciosów i przygniatając go do drzewa. Wiedziała, że ma mało czasu.

Tamta składała się już do nowego strzału.

Oślaniając się Polinezyjczykiem jak tarczą, Anjali zabrała mu broń i przycisnęła lufę do jego skroni.

- Jeśli się poruszysz, natychmiast go zabiję! - krzyknęła.

- To zabij - odparła złotowłosa i nacisnęła spust.

Piękne oczy Svenkova rozjechały się w zezie, jakby próbowały śledzić dwie lśniące strugi śmiertelnych pocisków naraz. Ułamek sekundy później ciało Polinezyjczyka leżało jak dywan u stóp Anjali. Anjali, świadoma, że nic już nie chroni jej przed karabinami tamtej, odrzuciła broń i uniosła ręce.

- Zgaduję, że nie byliście mocno związani - rzuciła.

- Szczerze mówiąc wcale - uśmiechnęła się złotowłosa spomiędzy luf. - Masz interesującą twarz, gdzie cię zaprojektowano?

- W Indiach - odpowiedziała Anjali Sen i pomyślała, że umrzeć z nazwą swego kraju na ustach to wszystko, czego może jeszcze pragnąć.

- Byłam tam parę razy - stwierdziła złotowłosa i wystrzeliła.

Chybiła jednak, ponieważ jej lewe ramię, trafione kamieniem, gwałtownie zadrżało. Obejrzała się spokojnie. Ten żaloszny biologiczny człowieczek schylał się po następny kamień.

Anjali również widziała Darby'ego. Postanowiła skorzystać z okazji.

- Hectorze, uciekaj! - krzyknęła, atakując głową brzuch złotowłosej. Zaprojektowane mięśnie były twarde jak żelazo, ale niespodziewane uderzenie wybiło tamtą z rytmu. Anjali chciała dokończyć dzieła precyzyjnym ciosem w szczękę, lecz tym razem się nie udało. Poczowała przeszywający ból w obu rękach, jakby ktoś wbijał w nie tysiące igieł. Jej pięści zatrzymały się na tarczy twardych złotych włosów. Zdumiona utkwiała wzrok w zakrwawionych dłoniach.

Jej przeciwniczka raz jeszcze machnęła głową i tysiące - złotych nici znów zabzyczało w powietrzu jak rozwścieczony rój. Anjali cofnęła się, lecz nie dość szybko. Strzępy skóry pofrunęły na boki, Anjali Sen padła na ziemię, potoczyła się kawałek w dół zbocza, znacząc kamienne występy gęstą czerwienią, uderzyła o drzewo i znieruchomiła.

Złote nici, choć straciły impet przy uderzeniu w ciało Anjali, siłą rozpędu smagnęły też ramię Turmaline, kołysały się jeszcze przez chwilę i dopiero później zamarły. Przecięta

skóra natychmiast zaczęła krwawić. Na złotych koniuszkach zawisły rubinowe krople.

Turmaline zupełnie to nie przeszkadzało. Jak zawsze zafascynowana wpatrywała się w czerwone pręgi.

Potem rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że Darby zdołał się ukryć. Nie na długo - tego była pewna.

Dokonała szybkiego przeglądu sytuacji. Przedtem zamierzała wykorzystać Darby'ego jako zakładnika i tym sposobem, przy pomocy Svenkova, schwycić Daniela. Teraz jednak Svenkov nie żył - podobnie zresztą jak Mitsuko, czuła to wyraźnie - Darby zaś uciekł w stronę plaży. Dlatego trzeba było zmodyfikować plany.

Mimo to jak dotąd szło jej całkiem nieźle. Wyeliminowała Anjali Sen i Rowena, został jedynie Darby i ślepa dziewczyna, ta ostatnia na pozór niezdolna do walki, choć i tak najgroźniejsza ze wszystkich. Należało się jej pozbyć jak najszybciej.

Postanowiła, że najpierw zabije sukę z Południa, potem Darby'ego, a na koniec zajmie się Danielem i Yilem. Znajdzie ich bez trudu. Pan będzie z niej zadowolony.

Naładowała broń i ruszyła ku szczelinie wiodącej z powrotem na plażę.

## 8

Dziwny stwór wynurzył się z głębin z ogłuszającym rykiem, wzbudzając wielkie fale. Z ociekającej wodą, ogromnej cylindrycznej głowy patrzyły mrugające, ruchliwe oczy. Wyglądało to tak, jakby jakaś morska bestia szykowała się do wyjścia na ląd.

Sparaliżowany ze strachu Yil doszedł do wniosku, że w obliczu tego, co Daniel obudził w podziemiach zamieszkiwanych niegdyś przez Stare Istoty, można było jedynie modlić się o szybki i w miarę bezbolesny koniec. Dlatego odwrócił się tyłem i pochylił do przodu, oglądając się jednocześnie przez ramię i przyjmując w ten sposób świętą pozycję, znaną z Rozdziału Dwunastego, którego bohaterowie, uciekając z lodowego miasta, rzucają za siebie ostatnie trwożne spojrzenie.

Daniel Kean czuł się tak, jakby umarł, ale dziwnym trafem zachował świadomość. Powodowany atawistycznym impulsem, nie wiedząc, czy robi słusznie, czy nie, powtarzał gesty Yila i w końcu zastygł skulony, z głową wciśniętą w ramiona, podczas gdy skały wokół dygotały pod wpływem tej siły, która szukała dla siebie miejsca na powierzchni.

Potem nastąpił wstrząs silniejszy niż poprzednie i wszystko ustało. W powietrzu unosił się dym i zapach zardzewiałego żelastwa. Woda pieniała się wściekle. Daniel i Yil

trwali w bezruchu, każdy zamknięty w skorupie własnego przerażenia.

Na koniec Daniel wyprostował się powoli.

- Nie, nie patrz na to! - jęknął Yil, mimo że sam z trudem powstrzymywał się od zerkania za siebie.

Daniel wiedział - choć nie miał pojęcia skąd - że mają przed oczyma zaledwie niewielką część tego czegoś i że reszta pozostaje skryta pod wodą. Ponad powierzchnię wystawało coś w rodzaju półkuli, zajmującej niemal całą szerokość uskoku; jej średnica musiała wynosić ponad dwadzieścia metrów. Półkulę ową wieńczył szeroki, ale niezbyt wysoki walec. Materiał pokrywający oba te elementy przywodził na myśl pomarszczone wewnątrz jakiegoś ludzkiego organu.

- Danielu - szepnął gorączkowo Yil - ja wiem, co to za stworzenie... Stare Istoty używały ich jako niewolników do budowy swoich podmorskich siedzib. Podobno ostatnie osobniki wyginęły dawno temu, ale niewykluczone, że jakieś przetrwały i da się je przywołać, jeśli...

Daniel nie słuchał. Marszcząc brwi, uważnie wpatrywał się w dziwne zjawisko. Potem nagle w jego mózgu rozbłysnął zaskakujący obraz.

*Wielki Pociąg.*

Postąpił krok do przodu.

- Nie podchodź! - krzyknął ze zgrozą Yil.

Daniel szedł dalej. Z przejęcia przestał nawet mrugać.

- To nie jest żywe stworzenie - powiedział. - To maszyna.

## 9

Maya Müller leżała w takiej pozycji, w jakiej zostawił ją Svenkov. Postanowiła zaczekać na jego powrót i próbować walki tylko w razie, gdyby Polinezyjczyk zabił tymczasem Darby'ego.

W przeciwnym wypadku, gdyby Hector żył i wciąż pozostawał w mocy Svenkova - co, jak oceniała, było najbardziej prawdopodobne - zamierzała znosić najgorsze nawet tortury i upokorzenia, cierpliwie wypatrując szansy na kontratak, który nie naraziłby Darby'ego. Jeśliby zaś taka szansa się nie pojawiła - cóż, trudno.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiał się cały plan. Maya nie wyobrażała sobie, że mogłaby się ratować kosztem przyjaciela. Zawdzięczała mu życie, a za życie nie płaci się

śmiercią.

Wcześniej dobiegał ją dźwięk wystrzałów i niewyraźne okrzyki. Teraz słyszała jedynie huk morza bijącego o rafę jej wewnętrznej ciemności. Uznała, że to zły znak: Rowen albo Anjali, gdyby wyszli z tego cała, daliby już jakiś znak życia. Pomyślała, że - jakkolwiek wydało jej się to straszne - być może najlepiej by było, gdyby zginęli wszyscy, łącznie z Hectorem. Wtedy mogłaby zebrać siły i mścić się do woli.

Mścić się do ostatniej kropli krwi.

Usłyszała czyjeś rozpryskujące wodę, pospieszne kroki. Wiedziała, że to Darby, jeszcze zanim się odezwał.

- Maya, ze mną wszystko dobrze, Svenkov nie żyje, uważaj na...

Długa karabinowa seria gdzieś z góry sprawiła, że nagle umilkł. Maya jęknęła z rozpaczą i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nic mu się nie stało - po prostu schował się wśród skał.

Wiedziała, co chciał powiedzieć: „Uważaj na tę blondynkę”.

Doskonale. Informacji miała aż nadto i była wolna. Od tego momentu wszystko zależało od niej.

Należało się zastanowić. Turmaline strzelała z góry. Dlaczego przestała? Bo schodziła.

*Schodziła. Zbiegała. Na złamanie karku. Ku tym dwojgu.*

Jeśli była w pełni sprawna - a raczej była - za niecałe trzydzieści sekund mieli się znaleźć w zasięgu jej broni.

- Maya - zawołał Darby ze swojej kryjówki drżącym ze strachu głosem - ocaleliśmy tylko my dwoje, a ty nie jesteś zdolna walczyć... Nie możesz się nawet ruszyć... Spróbuję ściągnąć na siebie jej uwagę...

- Hectorze - Maya lekko uniosła pokrytą mokrym piaskiem twarz - uciekaj.

- Nie zostawię cię - zaprotestował Darby.

- Ja wcale nie zamierzam tu zostawać - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Za tobą jest zbrocze. Coś tam rośnie, schowasz się pod liśćmi.

Jednocześnie przygotowywała mięśnie.

Bo co znaczyło niesprawne kolano? Mogło znaczyć wiele albo zgoła nic - wszystko zależało od tego, co zamierzało się robić. Chodzić, oczywiście, nie dałaby rady, ale istniały inne sposoby przemieszczania się. Niesprawne kolano oznaczało niesprawną kończynę. Jedną niesprawną kończynę. Z czterech. Zaciśnęła zęby, zdecydowana odpowiednio wykorzystać trzy pozostałe. Od dziecka radziła sobie w trudniejszych sytuacjach. A teraz była i silniejsza, i

bardziej doświadczona. Nie widziała powodów do desperacji.

- Maya! - jęknął Darby. - Ona jest już prawie na dole.

Maya obliczyła, że blondynka musi jeszcze przebrnąć przez odcinek zalany wodą; tam będzie musiała zwolnić.

Błyskawicznie przetoczyła się na bok. Do tego nie potrzebowała kolana. W tej samej chwili w piasek po obu stronach jej głowy uderzyły symetryczne serie pocisków.

Pomyślała, że jak na kogoś, kto stoi po kolana w rozkołysanej wodzie, zostały wymierzone celnie. Musiała przyznać, że czeka ją starcie z przeciwniczką bardzo szczególną. I bez wątpienia świadomą, że jeśli Maya zdoła doczołgać się do skał, zyska przewagę.

Maya spróbowała znowu i znowu piasek przysypał jej i tak już brudne włosy. To było jak turlanie się przez pole minowe.

Wtedy usłyszała rozpedzone kroki. Pomyślała z rozpaczą, że to Hector. Darby wypadł ze swojej kryjówki i pędził ku przeciwległemu krańcowi plaży.

Nowa seria zadudniła z daleka. Maya postanowiła zaryzykować, poderwała się, całkowicie odsłaniając, i przypadła do skał. Ból rozprysł się w jej wnętrzu na tysiąc raniących odłamków. Przez chwilę jęczała tylko, starając się nie zemdleć. Na szczęście wciąż słyszała sapanie Darby'ego, świadczące o tym, że i on nadal żyje. Mieli szczęście. Na razie.

Wymyśliła zuchwały plan, ale by go zrealizować, musiała zmusić się do wykonywania kolejnych ruchów.

Ile krwi straciła? Nie wiedziała, zakładała, że sporo. Ale nie aż tyle, żeby się tym przejmować.

## 10

Turmaline szybkim krokiem przemierzała zalany przypiływem odcinek plaży. Jej włosy podzwaniały metalicznie.

Była zła, bo z powodu kołysania fal i nagłego pojawienia się Darby'ego chybiła. Niewybaczalne. Co więcej, potem się zawahała, niepewna, z którą ze swych ofiar powinna skończyć najpierw, i przez to pozwoliła się wymknąć obu. Chwilowo.

Bo nie zamierzała popełniać więcej błędów. Zamierzała dokończyć dzieła i przygotować drogę Prawdzie, tak jak rozkazał Pan.

Darby znowu się ukrył, lecz najważniejsza była teraz Maya Müller. Gdyby Svenkov po prostu ją zabił, zamiast się zabawiać... Z drugiej jednak strony, w jaki niby sposób miałyby

się bronić okaleczona, niewidoma dziewczyna? Wystarczyło ją znaleźć i zastrzelić. Gdzieś się przyczaiła, ale z pewnością zdradzą ją ślady krwi na piasku.

Turmaline szła teraz wzdłuż wysokich skał, wśród których chwilę wcześniej mignęła jej przykurczona sylwetka. Nagle coś usłyszała.

Spojrzała w górę, ledwie wierząc własnym oczom.

Nie rozumiała, w jaki sposób Maya Müller dostała się tak wysoko. A jednak zrobiła to. I teraz szykowała się do skoku z góry.

Napięte mięśnie pleców i ramion, nabrzmiałe pod skórą żyły, rozdęte nozdrza: Maya uczyniła ze swego ciała pocisk, ciężki jak kamienna rzeźba przedmiot, który siłą woli strąciła wprost na głowę Turmaline.

Już w trakcie lotu zrozumiała, że jej przeciwniczka zdążyła zorientować się w sytuacji. Efekt zaskoczenia przepadł, ale Turmaline i tak zareagowała z opóźnieniem. Splecione potoczyły się po piasku, Turmaline wypuściła z dłoni karabiny, które upadły na tyle daleko, że nie mogły zostać użyte od razu.

I to była jedyna pomyślna dla Mai okoliczność.

Poza tym sprawy wyglądały dość kiepsko: padając na ziemię, poczuła, jak od jej roztrzaskanego kolana rozchodzą się fale bólu, paraliżując ją niczym potężne elektrowstrząsy i unieruchamiając na plecach, w najgorszej z wyobrażalnych pozycji. Wiedziała, że przez kilka sekund nie będzie zdolna się ruszyć, a Turmaline nie potrzebowała aż tyle czasu.

- Cóż - oświadczyła blondynka - nie powiem, żebyś spadła na cztery łapy.

Niespiesznie dźwignęła się na kolana i kilkoma potrząśnięciami głowy rozprostowała splecione włosy. Nawet nie spojrzała na karabiny - wolała uciec się do swojej najgroźniejszej broni. Maya Müller była całkiem naga. Dla zachowania rytualnej symetrii Turmaline zdjęła plecak, pas z resztkami amunicji i skąpą tunikę. Pomyślała, że w tej walce śmierć przeciwniczki stanie się rodzajem obrzędu.

Wstała i złoto no jej głowie zamigotało w promieniach zachodzącego słońca. Jej doskonałe ciało, niezawodne narzędzie rozkoszy i bólu, pochyliło się nad Mayą. Usiadła okrakiem na piersi dziewczyny i unieruchomiła jej ręce żelaznym uściskiem dłoni.

- Jesteś Maya Müller - powiedziała spokojnie. - Pan dużo mi o tobie opowiadał. Uważał cię za najniebezpieczniejszą w waszym gronie. Móc z tobą skończyć to dla mnie zaszczyt.

Odchyliła głowę, tak że jej włosy zwisały teraz z tyłu jak ciężka, jednolita zasłona. Chciała nacieszyć się tą chwilą. Uśmiechnęła się na myśl, że jej ofiara nie umrze od razu: zamierzała uderzyć tak, by przeciąć jej twarz i szyję, nie zabijając natychmiast. Chciała

zafundować jej straszliwą agonię. Była specjalistką od straszliwych agonii.

Chwyciła Mayę za włosy.

Właśnie wtedy poczuła na ramieniu muśnięcie kuli. Strzał nie okazał się dość celny, by rzucić ją na piasek albo choćby sprawić jej ból, skutecznie jednak powstrzymał ją przez natychmiastowym atakiem. Spojrzała ku górze i dostrzegła Anjali Sen, która, choć zakrwawiona i słaniająca się na nogach, mierzyła do niej z pistoletu Svenkova. Turmaline uświadomiła sobie, że powinna ją była dobić, i ta myśl kosztowała ją chwilową utratę koncentracji.

Kopnięta przez Mayę lewą, wystrzelającą nagle jak sprężyna nogą, wywinęła kozła. Maya, uwolniona od przytłaczającego ciężaru, przeturlała się po piasku. Jednakże Turmaline odzyskała równowagę z błyskawiczną szybkością. Jej włosy świsnęły jak tysiąc noży w rękach tysiąca szaleńców.

Maya uniknęła dwóch kolejnych ataków, słysząc, jak metalowe nici siekają piasek obok. Miała świadomość, że prędzej czy później sięgną i jej. Wiedziała też, że jest zdana wyłącznie na siebie. Ktokolwiek strzelał - nie zauważyła, komu zawdzięcza ocalenie: Anjali czy Meldonowi - nie mógł zrobić tego znowu, dopóki Turmaline była tak blisko.

Postanowiła zmienić taktykę.

Zaczekała na odpowiednią chwilę i zamiast uchylić się przed złotymi niciami, uczyniła coś nieoczekiwanego.

Złapała za nie.

Zaskoczona Turmaline wpatrywała się w nią przez chwilę. Potem szarpnęła i pięść leżącej na ziemi dziewczyny strzyknęła krwią. Nie otworzyła się jednak.

Pociągnięta za włosy Turmaline potknęła się. Maya znajdowała się teraz za jej plecami. Uklękła na lewym kolanie, prawą nogę pozostawiwszy wyciągniętą na piasku, i starając się ignorować ból, z dłonią zaciśniętą na metalowych niciach, wolnym ramieniem otoczyła gardło przeciwniczki i zmusiła ją do wygięcia się w tył.

Na ustach Turmaline pojawił się uśmiech. Wielu już próbowało ją udusić - nieodmiennie bez powodzenia. Wiedziała, jak się bronić: po prostu napinała silne mięśnie szyi i karku. Została zaprojektowana jako rodzaj śmiertelnej broni, nie było więc mowy o tym, by ktoś mógł wyeliminować ją z walki poprzez zwyczajne uduszenie.

Szybko jednak zrozumiała, że jej ślepa przeciwniczka zamierza co innego.

Maya wolną ręką sięgnęła po pasmo metalowych nici i przycisnęła je Turmaline do twarzy. Zdawała sobie sprawę, że szyja stanowiłaby lepszy cel takiego ataku, lecz dostęp do niej blokowały jej dłonie przeciwniczki i własne ramię.

Uznała więc, że twarz musi wystarczyć.

- Nie - powiedziała Turmaline.

- Tak - odrzekła Maya, ciągnąc z całej siły.

Turmaline patrzyła na świat zza złotych drutów, które wrzynały jej się w twarz z taką łatwością, że w pierwszej chwili nawet nie poczuła bólu, a jedynie zaskoczenie. Kiedy zamrugła, od jej powiek natychmiast odpadły cienkie paski skóry. Światło docierało do jej źrenic poszatkowane, jakby przepuszczone przez metalową żaluzję, kąciki ust znalazły niespodziewane przedłużenie w przecinających policzki czerwonych liniach. Język, przylapany na próbie artykulacji krzyku, stał się kłębowskiem płaskich robaków, które wiły się, tryskając krwią.

Metalowe nici zatrzymały się na kościach czaszki. Turmaline wciąż żyła, a Maya przestawała panować nad swoją zakrwawioną dłonią - nie miała dość siły.

Wiedziała jednak z doświadczenia, że siła zależy od woli.

Pomagając sobie drugą ręką, szarpnęła raz jeszcze. Przy akompaniamencie trzasku, który kojarzył się z tysiącem deptanych gałązek, złote pasma przedarły się przez zaporę kości, oplatając mózg Turmaline zabójczą siecią.

Dopiero wtedy Maya Müller wypuściła metalowe nici z poharatanej dłoni i dysząc, osunęła się na martwe ciało.



# CZEŚĆ CZWARTA

## OTCHŁAŃ

Co znajdowało się tam w dole? Jakie pierwotne,  
niepojęte źródło na wpół zapomnianych mitów  
i koszmarów mogło czaić się tam, oczekując uwolnienia?

*Najświętsza Biblia, Rozdział Jedenasty, 6,17*

# Rozdział trzynasty

## *Ciało*

### 1

Nie byli przygotowani na to, co odkryli.

Okręt - choć słowo „okręt” nikomu nie wydawało się odpowiednie - miał kształt przywodzący na myśl jajo albo beczkę. Biegające centralnie schody prowadziły na kolejny poziomy. Do wnętrza wchodziło się przez umieszczoną na czubku walcowatą konstrukcję, która mogła też chyba służyć za dwuosobową łódź rekonesansową. Górny poziom zajmowało ogromne pomieszczenie o zielonych hermetycznych ścianach, wyposażone w najróżniejsze urządzenia sterownicze i masę połyskujących matowo ekranów. Stał tam otoczony fotelami stół z czarnego szkła, wydrążony na środku w dziwny kształt, idealnie odpowiadający tajemniczemu przedmiotowi znalezionemu przez Daniela w skalnej niszy.

Na kolejnym poziomie, wokół okrągłego podestu mieściły się jasno oświetlone kajuty o grubych bulajach i wygodnych łózkach. Ponieważ kajut było sześć, każdy dostał jedną dla siebie. Jeszcze niżej znajdowały się pomieszczenia lekarskie oraz magazyn, a na samym dole maszynownia - generatory energii, urządzenia do recyklingu wody i powietrza - oraz kolejny walcowaty element, który stanowił wyjście ewakuacyjne, ale w przeciwieństwie do tego na górze nie był chyba zapasową łodzią.

Obejrzenie tego wszystkiego zajęło im dwie godziny - po tym, jak już zdołali dostać się do środka. Rozmiary okrętu całkiem ich oszołomiły. Rowen porównał go do czteropiętrowego domu, Darby zaś uważał, że w swojej najszerszej, środkowej części konstrukcja osiąga wielkość uniemożliwiającą wszelkie porównania. Wnętrze przypominało chaotyczne muzeum starego żelastwa i nowoczesnych instrumentów. Największą uwagę, poza wgłębieniem w czarnym stole, zwracał zdobiący jedną ze ścian w głównej sali malunek

w japońskim stylu *sumi-e* z wizerunkami ryb w szarej wodzie.

Wyglądało na to, że dziwaczny pojazd znalazł się w tym miejscu w jakimś konkretnym celu. Darby wyraził tę myśl, kiedy po pierwszych oględzinach zebrali się wokół czarnego stołu.

- Ten okręt był tu już wcześniej. Ekipa Katsury odnalazła go i uruchomiła, nie mam zresztą pojęcia w jaki sposób.

- Ale w takim razie kto go skonstruował? - zapytał Rowen, który siedział na odwróconym tyłem do przodu fotelu, popatrując dokoła spod obciskającego mu skronie bandaża.

- Nie wiem. Ale sprawia wrażenie bardzo starego. Spójrzcie na te tablice rozdzielcze... Pamiętacie kamienne płytki z tyłu? Yil, ty je oglądałeś dokładniej.

Usadowiony pod ścianą chłopak zdawał się lekko dygotać.

- Na instalacjach osadziła się warstwa minerałów.

- No, właśnie. Sformułowanie „bardzo stary” to eufemizm - dokończył Darby. - Mówimy tutaj o tysiącach lat albo... kto wie...

Zapadła cisza.

- Tak czy owak maszyny są nie do użytku - stwierdził Rowen.

Darby znów odwołał się do Yila, który nerwowo podkulił pod siebie nogę i popatrzył dokoła ze śmiertelną powagą.

- Da się je uruchomić. To kwestia wiary. W ten sposób poradził sobie z tym problemem Kushiro. Nowe tablice rozdzielcze potrzebują jakiegoś rodzaju połączenia, dostępu do masy danych zgromadzonych w tej kupie złomu. Trzeba sprawić, by to, co umarłe i pogrzebane, przemówiło.

- Można to zrobić, odwołując się do Rozdziału Trzynastego - stwierdziła Anjali, podpierając głowę świeżo wyleczonymi dłońmi.

- Przypomnijcie sobie pomieszczenie, w którym Daniel znalazł ten dziwny aparat. - Darby uniósł beczułkowaty, otwarty teraz przedmiot. - To, co wyglądało na ociosaną skałę, było w rzeczywistości maszyną. Równie starą jak ten okręt. Mimo to Kushiro znalazł sposób, by odzyskać zmagazynowane w niej informacje. Informacje, które potwierdzały odkrycia, jakich dokonał, studiując oryginalne biblijne teksty... Spójrzcie... - Odwrócił tajemniczy przedmiot tak, by wszyscy widzieli jego wnętrze. Każda połówka była rodzajem ekraniku pokrytego mrugającymi symbolami. - To współrzędne wykreślone przez interpretatorów z ostatecznej wersji Rozdziału Czwartego. Pamiętacie? „Ujrzeli wielką kamienną kolumnę wyrastającą z morza i natknęli się na błotnisty, mulisty brzeg i na wyniosłe budownictwo

Cyklopów, będące namacalnym dowodem najstraszliwszego postrachu ziemi, koszmaru miasta-widma” - wyrecytował, po czym zamilkł na chwilę, wpatrując się w przyjaciół. - Wszyscy znamy taką właśnie wersję, ale oryginał, jak się zdaje, wspomina o czymś jeszcze. Proszę, tutaj, na dolnym ekraniku mamy nieocenzurowany tekst: „Ujrzeni wielką kamienną kolumnę wyrastającą z morza, a na 47°09' południowej szerokości geograficznej i na 126°43' zachodniej długości geograficznej natknęli się na błotnisty, mulisty brzeg”...

Zapanowało pełne napięcia milczenie. Potem Rowen wolno podniósł się z fotela.

- Miasto Boga... - szepnął.

- Miasto Boga jest Kluczem do Otchłani - przytaknął Darby. - Albo go w sobie kryje.

A znajduje się pięć tysięcy kilometrów stąd, w kierunku wschodnim.

- Wschodnim? - zdziwił się Rowen. - Moment, przecież tam nic nie ma, tylko ocean...

Chodzi o jakąś wyspę?

- Nie - zaprzeczył Darby. - Cokolwiek to jest, leży pod wodą.

- Tak jak mówi Biblia - dodał spokojnie Yil.

## 2

Daniel zaproponował, że pójdzie po Mayę.

W ciągu ostatnich godzin spędzał przy jej łóżku - najpierw w kajucie, a później w pomieszczeniach medycznych - każdą wolną chwilę. Sam nie wiedział dlaczego. Przypuszczał, że jej obecność uśmierza jego strach, przerażenie zapisane w genach wszystkich istot ludzkich, tak biologicznych, jak i zaprojektowanych, a w ich przypadku potęgowane przez świadomość tego, gdzie się znajdują i co zamierzają zrobić.

Leżała w śnieżnobiałej, wypełnionej leczniczymi płynami wannie. Spała, ale musiało jej się śnić coś złego, bo skręcała się i jęczała boleśnie.

Nie po raz pierwszy widział ją w takim stanie. Koszmary nękały ją od początku kuracji, ale choć odniosła obrażenia poważniejsze niż ktokolwiek inny, Daniel nie sądził, aby jej senne majaki miały związek z ostatnimi wydarzeniami.

Ze spotkania z Turmaline wyszli w sumie obronną ręką. U Darby'ego skończyło się na kilku zadrapaniach, a u Rowena - szramą na głowie. Stanowiła ona pamiątkę po jednej z wystrzelonych przez Mitsuko kul, która na długo pozbawiła go przytomności, o czym sam nie potrafił myśleć bez głębokiej irytacji, choć zdaniem Anjali było to prawdziwe zrzędzenie opatrności.

- Gdyby się tak szczęśliwie nie złożyło, już byś nie żył.

Sama Anjali znajdowała się w gorszym stanie. Straciła część prawego ucha, miała rany na głowie i dłoniach, ale nie wyglądało to zbyt niepokojąco. Tylko Maya wymagała intensywnych zabiegów, a jej kolano i prawa ręka - fachowej pomocy. W pomieszczeniach medycznych nie brakowało wprawdzie podstawowych lekarstw i sprzętu, lecz skomplikowane zabiegi przekraczały możliwości członków grupy i Darby bardziej niż kiedykolwiek zatęsknił za Brentem Schaumannem. W rezultacie unieruchomili jedynie uszkodzoną nogę i spuścili Mayę na sznurach do rozpadliny, w głębi której stał okręt, by już w środku zaaplikować chorej kilka sesji leczniczych kąpiele. Jej doskonale zaprojektowany organizm zaczął się regenerować, rany się zablizniały, a kości zrastały, nie ulegało wszakże wątpliwości, że Maya nie przestanie utykać przed powrotem do cywilizacji. Przede wszystkim jednak liczyło się to, że są znowu wszyscy razem, a w dodatku na dobrej drodze do znalezienia Klucza, choć odkryty w czeluściach góry okręt zupełnie ich zaskoczył.

Daniel delikatnie dotknął ramienia śpiącej dziewczyny. W jej przypadku przejście od snu do jawy sprawiało zawsze nieco dziwne wrażenie, a to dlatego, że nie wiązało się ze zwyczajnym u innych ludzi otwarciem oczu. Pomógł jej wyjść z wanny i dostać się do położonej na wyższym poziomie kajuty. Wydawało się, że Maya chce się wygadać, więc postanowił jej nie przerywać.

- Śniło mi się, że znowu przeglądam się w lustrze, ćwicząc, tak jak to robiłam jeszcze w Jemenie. Ale zamiast jedenastu czy dwunastu lat miałam tyle co teraz. Patrzyłam w to lustro, oparte o pień palmy, w obozie, w którym mnie stworzono, i widziałam siebie, i przerażał mnie ten widok. Potem położyłam się spać, razem z koleżankami, na ziemi, jak zwykle, żeby zafundować sobie kilka orgazmów pozwalających opanować lęk. I widziałam kolory. Moje wspomnienia są pełne kolorów. Południe jest ich pełne. Spałyśmy w pomieszczeniu o żółtych ścianach. Ciała naszych strażników były ciemne, a paznokcie i zęby - bardzo białe. Uderzenia miały odcień krwistoczerwony. Bo bili nas bez przerwy. Strach tonacją zbliżał się do kości słoniowej albo po prostu kości. Nikt nie uważał nas za ludzi ani nawet za istoty żywe, byliśmy jedynie rzeczami wyprodukowanymi po to, by badać Miasto Śmierci. Jeśli któraś umierała albo traciła rozum, po prostu ją likwidowano. Robiono nas taśmowo, więc bez trudu jedną zastępowano drugą. Ponieważ bałam się przez cały czas, w końcu straciłam świadomość, że się boję. Wszystko we mnie było strachem, nie widziałam różnicy między strachem a życiem. Orgazmy, białe i lśniące jak światło, nie stanowiły części mnie, przychodziły z zewnątrz. Były jak wentyl bezpieczeństwa.

Daniel, który ułożył się obok na łóżku, wyciągnął ku niej rękę. Wcześniej nie łączyła

ich fizyczna zażyłość, dopiero przed kilkoma godzinami, gdy po raz pierwszy znaleźli się sam na sam w kajucie, Maya zrobiła krok w tym kierunku. I rzeczywiście, przeżywała orgazm, jakby chciała się przed czymś bronić, trzymając jedną dłoń Daniela między udami, a drugą na piersiach, i zachowując się przy tym tak, jakby jego obecność nie miała w gruncie rzeczy znaczenia, jęcząc i mrugając przymkniętymi powiekami.

Teraz też nie odtrąciła jego ręki i zwróciła ku niemu twarz.

- Kiedyś zapytałeś mnie, jak straciłam wzrok. Nigdy o tym nie opowiadam, ale tobie opowiem. Uczono nas wyczuwać oddech śmierci i kazano nam schodzić do Miasta, pod ziemię, gdzie leżą trupy. Musiałyśmy zapuszczać się tam w pojedynkę albo po dwie. Miasto okazywało się zazwyczaj ciągiem pustych pieczar, ale raz coś w nim znalazłyśmy. A raczej to coś znalazło nas. Mówiono nam, że to się może zdarzyć i że gdyby się zdarzyło, powinnyśmy próbować ucieczki, nie oglądając się za siebie...

- Co to było? - wyszeptał Daniel, czując suchość w ustach.

- Nie musisz tego wiedzieć - odrzekła po chwili Maya, dygocąc na całym ciele. - Są ludzie wytrenowani do szukania Miasta, ale ty do nich nie należysz. Wystarczy, byś miał świadomość, że śmierć w wielu przypadkach nie oznacza końca, o czym zresztą czytałeś zarówno w Rozdziale Trzynastym, jak w Ostatnim. Niektórzy zmarli żyją, ukryci w głębokich czeluściach, i sam ich widok sprowadza na człowieka obłąd... Poza tym, szczerze mówiąc, ja sama nie wiem, co właściwie widziałam. Wiem natomiast, że od tamtej pory nie widzę już niczego. Słyszałam krzyki koleżanek. Tylko mnie udało się stamtąd uciec. Odkryłam wtedy, że ostatni kolor, jaki ci zostaje, kolor przerażenia, to czerń. Nawet kiedy wydostałam się na powierzchnię, wciąż miałam go przed oczami. I nadal mam. Podobno fakt, że ośleplam, uratował mi życie. Moje towarzyszki zginęły, bo patrzyły.

Zamilkła na moment, po czym, już nieco spokojniej, podjęła wątek:

- Ślepotą pomogła mi przetrwać, bo rzadziej wysyłano mnie pod ziemię. A kiedy któraś z nas zdoła dożyć pewnego wieku i okaże się wystarczająco silna, zaczyna się ją oszczędzać. W moich stronach jest nawet takie powiedzenie: „Żyjesz długo, pożyjesz dłużej”. Ale dziesięć lat później postanowili mnie sprzedać. A na ślepej suce trudno zrobić interes. Wiedziałam, że jeśli nie dostanę dobrej oferty, przeznaczą mnie na ofiarę. I właśnie wtedy kupił mnie Hector. Myślałam, że to kolejny opętany fanatyk; w końcu poza fanatykami nikogo innego nie znałam. On jednak, gdy tylko zostaliśmy sami, powiedział: „Właściwie kupuję książki, nie ludzi”. I uśmiechnął się. I dodał, że jestem wolna. I nigdy nie pozwolił sobie podziękować. Wiem, że kupił mnie, bo wiedział, że nikt inny tego nie zrobi. Poprosiłam, żeby mnie przy sobie zatrzymał. Do pomocy. Do ochrony. Zgodził się i od tej

chwili jeździłam po książki dla niego i czuwałam nad jego bezpieczeństwem w czasie dalekich podróży. Potem poznałam doktora Schaumanna i Meldona Rowena... A jeszcze później wszyscy usłyszeliśmy o Kluczu...

Daniel patrzył na nią w milczeniu, zastanawiając się, jakie okropne obrazy kryją się za tymi piegowatymi powiekami.

- Byłam ci winna tę historię, Danielu - rzekła Maya.

- Dziękuję, że mi ją opowiedziałaś.

- Ale nie przyszedłeś tu jedynie po to, by ją usłyszeć.

Daniel usiadł.

- Musimy zdecydować, co dalej - zaczął, starannie dobierając słowa - i chcielibyśmy, żebyś uczestniczyła w naradzie. Hector uważa, że ten pojazd ruszy, gdy umieścimy to coś, co odkryłem, w zagłębieniu na środku czarnego stołu. I że wtedy popłyniemy bezpośrednio do miejsca, gdzie znajduje się Klucz.

- A gdzie znajduje się Klucz? Jak to: popłyniemy?

- Pod wodą - rzucił Daniel i ujrzał, że Maya Müller aż się wzdrygnęła.

### 3

- Pod wodą - powtórzył znowu Darby. Był blady jak ściana i zdawał się swoją bledością zarażać innych. - Do miejsca, gdzie mieszka Bóg. Nikt tam jeszcze nie dotarł, chyba że jednak udało się to Katsurze, o czym nie wiemy. Wiemy natomiast, że ze swojej ostatniej wyprawy Kushiro wrócił sam, jego towarzysze potracili rozum i pomarli. Teraz staje przed nami możliwość podjęcia ich przerwanej drogi. Chyba nie muszę nadmieniać, że jest bardzo prawdopodobne, iż nie wszyscy wyjdziemy z tego cało. Dlatego musimy się zastanowić, czy chcemy ryzykować. Ten, kto nie chce, może jeszcze opuścić okręt.

To rzekłszy, kolejno spojrział na pozostałych: na Meldona Rowena, jak zawsze przystojnego i tryskającego energią, na piękną ciemnoskórą Anjali Sen, młodego skośnookiego Yila, piegowatą Mayę Müller oraz na jeszcze szczuplejszego niż zwykle Daniela Keana, w którego złotych włosach jaskrawo odcinał się czarny kosmyk na czubku głowy.

Nikt się nie odezwał, zupełnie jakby wszyscy wiedzieli, że nie ma możliwości odwrotu.

Darby zwrócił się do Daniela, wręczając mu beczułkowaty przedmiot:

- Ty go odkryłeś, więc do ciebie należy wykonanie następnego kroku.

Daniel spojrział na dwa połyskujące ekraniki, po czym zamknął je z cichym kliknięciem. Pochylając się nad czarnym stołem, z jakiegoś powodu patrzył wyłącznie na Mayę, jak gdyby jej opuszczone powieki działały na niego uspokajająco. Otworzył palce i pozwolił dziwnemu przedmiotowi wsunąć się w zagłębienie.

Mimo że spodziewał się tego, co nastąpiło, nie potrafił stłumić okrzyku.

Ściany zadygotały, światła zamrugały, całe pomieszczenie zalał kobaltowy blask, a malunek z rybami podjechał do góry, odsłaniając podłużną szybę.

Zanurzali się. Za szybą pojawiła się woda i już wkrótce nie było widać nic poza czernią. Potem zapaliły się umieszczone gdzieś z przodu reflektory, omiatając podobne do cieni ławice ryb oraz skaliste koryto. Pojazd nabrał rozpędu, przepłynął trójkątny tunel i przez ogromną szczelinę wydostał się na otwarte morze. Po kilku silniejszych przechyłach automatycznie skorygował swoje położenie i podłoga głównej sali wróciła do poziomu.

Jednakże nikogo to w owej chwili nie interesowało.

Wszyscy wpatrywali się w jaśniejącą na ekranach pomarszczoną twarz, podobną do ułożonych puzzli.

- Witam was, kimkolwiek jesteście. Liczę na to, że podejmiecie misję, której ani ja, ani moi uczniowie nie zdołaliśmy doprowadzić do końca po tym, co zobaczyliśmy i czego się dowiedzieliśmy... Ufam, że jesteście silniejsi i odziedziczywszy po nas to, co wam zostawiliśmy, będziecie potrafili uczynić z tego jak najlepszy użytek... - Daniel miał wrażenie, że Katsura Kushiro, w którego ciemnych źrenicach migotała daleka zgroza, patrzy właśnie na niego. - Przygotujcie się: już wkrótce poznacie prawdę o Kluczu do Otchłani...

Kiedy ekrany zgasły, długo nikt się nie odzywał. Wszyscy stali bez ruchu, przytrzymując się oparcí foteli, podczas gdy okręt przedzierał się przez głębię.

Pan, który był jednym z nich, bał się jak pozostali. Próbował z tym jednak walczyć.

Bo choć w związku z ostatnimi wydarzeniami musiał zmienić plan, po stracie Turmaline wciąż miał do dyspozycji Prawdę, a sam pozostawał nierozpoznany.

Dlatego, patrząc na kłębiącą się za szybą ciemność, pozwolił sobie na uśmiech.

## 4

Daniel dopiero kilka godzin później zdał sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego.

Początkowo podróż wydawała mu się jedynie męcząca. Wszyscy byli jakby pogrążeni



w otępieniu. Zjadali posiłki i szybko wracali do swoich kajut albo przesiadywali apatycznie za czarnym stołem. Nikt się nie odzywał, Daniel zgadywał jednak, że każdy rozmyśla o tym samym: o coraz bliższym Mieście Boga, Straszliwym Miejscu, stanowiącym przedmiot najgłębszych lęków i najgorszych koszmarów. Katsura Kushiro wykazał się szczególną dalekowzrocznością: gdyby okręt nie zmierzał do celu sam z siebie, nikt nie znalazłby dość siły, by nim pokierować.

Sygnał, że coś jest nie tak, dotarł do Daniela za sprawą podsłuchanej przez przypadek rozmowy.

- Bardzo możliwe, że nic w ten sposób nie osiągniemy, Hectorze - mówiła Anjali Sen.

- Tak czy owak trzeba spróbować - odrzekł Darby.

Daniel, który wynurzył się właśnie z wylotu schodów, nie zwróciłby na te dwa zdania uwagi, gdyby nie fakt, że tamci dwoje, widząc go wchodzącego do głównej sali, natychmiast umilkli.

Siedząca w jednym z foteli Anjali przez chwilę udawała zainteresowanie swoimi coraz mniej widocznymi bliznami na dłoniach, po czym przeciągnęła się i wstała.

- Będę u siebie - oświadczyła, uśmiechnęła się do Daniela i odeszła.

Darby wpatrywał się w ciemną szybę. Miał na sobie luźne spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami, spod których widać było jego owłosione ramiona. Wbrew swoim zwyczajom wyraźnie zaniedbał brodę. Za oknem, niby złote ścieżki, jaśniały dwie smugi, dwa stożki żółtego światła reflektorów, rozcinającego absolutną próżnię. Przerazające i wyraźnie przerażone ryby, wpływając w smugę blasku, zdawały się powstawać z nicości, by zaraz później z powrotem się w nią obrócić. Nigdzie nie dało się dostrzec skutków Koloru, co, jak zapewniał Darby, było do przewidzenia: obszar napromieniowany znajdował się na zupełnie innej długości geograficznej. Daniel sam już jednak nie wiedział, co gorsze: upiorna liliowa poświata czy ta czernь czyhająca tuż za granicą światła.

Poczuł na kolanie ciężką rękę Darby'ego i ten niezgrabny dowód sympatii podniósł go nieco na duchu.

- Biorąc pod uwagę prędkość, z jaką się przemieszczamy, można przypuszczać, że dotrzemy... na miejsce za jakąś dobę - odezwał się Darby znużonym głosem. Wyglądał, jakby nie spał od kilku ładnych dni. - Przyszedłeś popatrzeć, co kryją głębiny, chłopcze?

- Bardziej interesuje mnie to, co kryjemy przed sobą nawzajem.

Słyszając to, Darby w końcu oderwał oczy od szyby. Daniel, oparłszy stopę o krawędź opuszczonego przez Anjali fotela, bawiąc się skrajem brązowego przezroczystego szala, w który się przebrał, odpowiedział twardym, badawczym spojrzeniem.

- Wciąż próbujesz mnie odsuwać na boczny tor - stwierdził. - Jak wtedy, kiedy skłamałeś mi u siebie w domu albo kiedy zlekceważyłeś moje zdanie u Svenkova.

- Nie rozumiem...

- Rozumiesz doskonale. Coś planujecie.

- Zamierzamy spróbować czegoś niezwykle niebezpiecznego - przyznał po chwili Darby. - Nie chcieliśmy o tym mówić, dopóki nie dowiemy się, co z tego wyniknie. A już zwłaszcza tobie...

- Zwłaszcza mnie? Mam dość tego spiskowania za moimi plecami!

- Uspokój się, chłopcze, usiłuję cię tylko...

- Chronić? Tak, Hectorze Darby? Zapominasz, że to ja jestem głównym motorem tej wyprawy!

- A ty zapominasz, że nikt z nas nie chciał, abyś z nami jechał!

- Ale zrobiłem to! I dobrze wiesz po co. Więc jeśli dowiedziałeś się czegoś nowego o Panu albo o Prawdzie, życzę sobie, żebyś mnie o tym natychmiast poinformował!

Po tym wybuchu Daniel uspokoił się nagle i spuścił oczy.

- Przepraszam - mruknął.

Darby machnął ręką na znak, że nie przywiązuje większej wagi do tego, co zaszło. Znowu przeniósł wzrok na szybę, a potem powiedział coś dziwnego:

- Ciemność w środku i na zewnątrz.

Daniel spojrział na niego zdumiony.

- I bardziej niepokoi nas ta w środku - dodał Darby. - Płatna zabójczyni, która się na nas zaciąła, nazywała się Turmaline. Była predestynatką. Wiesz, kto to taki? Predestynaci są istotami zaprojektowanymi z myślą o realizacji tak wąskiego zakresu zadań, że właściwie nie wiadomo, czy to jeszcze ludzie. Specjalizacja ich ciał, łącznie z narządami wewnętrznymi, nie ma sobie równych. W zestawieniu z predestynatami nawet Maya wydaje się zupełnie zwyczajna. Turmaline została stworzona, by zabijać i dostarczać rozkoszy, na zmianę. Zamiast włosów nosiła zaszczepione na głowie metalowe nici, ostre jak noże. Inne części jej anatomii na swój sposób również stanowiły zagrożenie. Na przykład potrafiła tańczyć tak, by przywieść patrzących do szaleństwa. Ktoś słono za nią zapłacił. Mitsuko wykonywała jej polecenia, Anjali przypuszcza jednak, że te rozkazy pochodziły od kogoś innego, a Turmaline tylko je przekazywała. Miała wszczepioną w ucho organiczną słuchawkę. I mikrokamerę w lewym oku. - Tu Darby zerknął na Daniela. - Była jedynie narzędziem. Bo na pewno nie była ani Prawdą, ani Panem.

- To może Moon... - zaczął Daniel.

Darby pokręcił głową.

- Twoja zemsta dokonała się częściowo bez twojego udziału: Turmaline zabiła Moona, zanim ruszyła za nami do Nowej Zelandii. W słuchawce zachował się zapis ich rozmowy, Anjali właśnie udało się ją odsłuchać.

Na wieść o śmierci Moona Daniel nie poczuł nawet cienia radości. Poczł się, jakby został pozbawiony czegoś, co słusznie mu się należało. Poza tym Pan i Prawda, główni winowajcy, zdawali mu się teraz bardziej odlegli niż kiedykolwiek. Jednakże Darby już w następnym zdaniu zadał kłam temu przypuszczeniu.

- Tamci są blisko, Danielu. Bliżej niż kiedykolwiek. Wszystkie dotyczące ich informacje automatycznie wykasowywały się ze słuchawki, ale naiwnością byłoby mniemać, że nie szli naszym tropem. Uważam, że w gruncie rzeczy jesteśmy w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek, bo zwycięstwo nad Turmaline sprawiło, że poczuliśmy się pewniej. I niewykluczone, że o to chodziło temu, kto ją wysłał.

*Szli naszym tropem.* Daniel próbował zrozumieć, co to właściwie znaczy. Czyżby Darby sądził, że Pan albo Prawda mogą znajdować się na okręcie?

Darby utkwił w nim uporczywe spojrzenie.

- Pozostaje nam tylko jedno: zapytać Turmaline.

- Ale ona... nie żyje.

- Owszem. A jednak... Gdy postanowiliśmy zabrać ze sobą jej zwłoki, kierowała nami myśl, żeby przebadac coś więcej niż tylko organiczną słuchawkę...

Daniel wypuścił z palców koniec szala, skulił się i zapatrzył w symetryczne smugi blasku oświetlające świat podwodnej fauny i flory. Zmuszanie zmarłych do mówienia uważał za niewyobrażalne świętokradztwo.

- Czy to w ogóle możliwe? - zapytał.

- Anjali twierdzi, że tak, i wolę się z nią zgodzić. Musimy jak najprędzej uzyskać informacje... Szczerze mówiąc, Danielu... - Darby znów zwrócił się ku oknu. - Szczerze mówiąc, zgodziłbym się teraz na wszystko. Bo myślę, że jesteśmy o krok od katastrofy.

## 5

- Twój ojciec znał dobrze Rozdział Trzynasty - powiedziała Anjali Sen. - W jakim stopniu przekazał ci swoją wiedzę?

- W niewielkim - odrzekł pospiesznie Yil. Jego głos zdradzał zdenerwowanie.

Anjali patrzyła, jak jej uczeń rozprowadza olejek po ramionach, piersi i brzuchu. Robił to metodycznie i starannie, ale ręką, w której trzymał pojemnik, drżała.

- Po prostu wykonuj moje polecenia, a wszystko będzie dobrze. - Anjali sprawdziła, czy siateczka dokładnie obciska jej nogi. - Chodźmy.

Zwłoki leżały na podłodze w pomieszczeniu obok, kołysane delikatnymi przechyłami okrętu. Metalowe włosy podzwaniały przy tym jak rytualne ozdoby. Choć na mistrzowsko zaprojektowanej skórze, przez wiele godzin konserwowanej lodowatym powietrzem zamrażarki, nie było jeszcze znać śladów rozkładu, zmasakrowana twarz Turmaline stanowiła widok trudny do zniesienia.

Przez chwilę panowała cisza. Słychać było tylko to leciutkie dzwonięcie i odgłos rozprowadzania po ciele olejku.

- Może nie chce odpowiadać - zauważył Yil. - Odnotowano takie przypadki...

- Zmusimy ją. Nie będzie miała wyboru.

To mówiąc, Anjali dotknęła jego ramienia, które od razu przestało drżeć.

- Yilu, zwłoki niewiele się różnią od żywego ciała. I nie powinny nas przerażać bardziej niż ono. Być może przytłacza cię konieczność dokonania świętokradztwa, ale pamiętaj, że tu chodzi o predestynatkę, a nie o zwykłego człowieka.

Chłopak przytaknął, lecz odsunął się nieco, jakby starał się podkreślić, że poradzi sobie bez niczyjego wsparcia. Godzinę wcześniej wspólnie przeżyli orgazm, który złagodził nieco zgrozę, jaką napawało ich to, co mieli uczynić. Jak przy innych podobnych okazjach to Anjali pieściła i siebie, i jego. O ile jednak zazwyczaj odpowiadał całym sobą, tym razem wyczuła w nim dystans. Pomyślała, że chłopak chce udowodnić, że już jej nie potrzebuje. Podobałoby się jej to, gdyby nie fakt, że pod tą demonstracyjną odwagą wyczuwała pokłady lęku.

Spojrzała na swoje scriptorium, ustawione na stole. Wedle obliczeń Darby'ego do końca podróży zostały zaledwie cztery godziny. Należało się pospieszyć.

Uznali, że do ich celów najlepiej nada się magazyn - kwadratowe, pomalowane na biało pomieszczenie z przyległym mniejszym, szarym pokoikiem. Oprócz skrzyń z częściami zapasowymi stały tu dwie bardzo przydatne zamrażarki.

Przygotowywali się już od dwóch godzin. Anjali przyniosła z kajuty siatkę o sporych, romboidalnych okach oraz pojemnik z olejkiem. Yil wydobył z plecaka swoje naszyjniki i bransolety. Potem zamknęli się w szarym pokoiku i rozebrali do naga. Anjali włożyła na nogi siatkę, Yil obwiesił się rytualnymi ozdobami i oboje natarli się olejkiem wzmagającym potliwość. Czarne jak dżet, starannie uczesane włosy Anjali falowały, połyskując w skąnym

świecie. Uśmiechnęła się do swego ucznia, a gdy odpowiedział jej uśmiechem, pomyślała, że jak na to, co mają zrobić, są chyba w stosunkowo dobrym humorze.

Yil przyglądał się trupowi.

- Trudno to jeszcze nazwać twarzą...

- Najgorsze, że tak poszatkowanym językiem nie bardzo da się mówić... Cóż, zobaczymy. Gotów?

- Tak. - Tym razem Yil się nie odsunął, gdy wzięła go pod brodę.

- Uda się nam - powiedziała. - Zacznę od tańca. Potem cię zawołam.

Taniec wykonywany w obecności umarłego musiał pozostać tajemnicą, tak jak było nią wszystko, co wiązało się ze śmiercią. Oboje doskonale o tym wiedzieli. Gdy za Yilem zamknęły się drzwi, Anjali zaczęła obracać się wokół własnej osi, coraz szybciej, przy czym wydawało jej się, że Turmaline śledzi ją wzrokiem. Wkrótce cała pokryła się potem, który spływał na opinającą jej nogi siatkę i tam krystalizował się błyskawicznie, tak że już po chwili uda i łydki pokryte miała delikatnym, przypominającym szron wzorem. W ten sposób uzyskiwało się potrzebne do dalszych rytuałów „sole”.

Tańczyła, nie myśląc o niczym i nie czując nic poza rozgrzaniem własnego ciała. Kiedy uznała, że warstwa kryształków osiągnęła zadowalającą grubość, wróciła do szarego pokoiku i delikatnie zsunęła z nóg siatkę, odczepiając od niej połyskujące drobinki z ostrożnością złotnika. Na koniec otarła pot z czoła. Drżała.

Wierzyła, że informacje uzyskane od Turmaline przydadzą im się. W przeciwieństwie do Rowena zgadzała się z Darbym co do tego, że nieprzyjaciele nie dali za wygraną.

I było coś jeszcze.

To, co wyczuła na plaży. Nie zdołała wtedy przeniknąć do świadomości Daniela ani Yila, ale zarejestrowała coś blisko nich. Z nikim potem o tym nie rozmawiała, lecz miała pewność, że nie chodziło o Turmaline. Ani o zdrajcę Svenkova. To, co wtedy wyczuła, było dużo potężniejsze i bardziej zastanawiające. Na samo wspomnienie przeszedł ją dreszcz. Postanowiła zapytać o to Turmaline.

Usłyszała jakiś hałas w sąsiednim pomieszczeniu. Pomyślała, że to Yil, ale natychmiast odrzuciła to przypuszczenie jako całkowicie absurdalne. Yil nigdy by się nie odważył zakłócać jej odpoczynku. Po zebraniu kryształków zawsze czuła się bardzo osłabiona. Więc może był to Rowen, który nie przestawał za nią łączyć od chwili, gdy dowiedział się, co planują?

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że aż podskoczyła. Uspokoiła się jednak, widząc kto to.

- Co się dzieje? - spytała.

Ten, kto stał w progu, w milczeniu wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

## 6

Prawie cztery godziny później wszyscy zgromadzili się w głównej sali. Zdumienie i ból ustąpiły miejsca głuchemu niepokojowi.

- Yilu, czy mógłbyś opowiedzieć nam jeszcze raz, gdzie wtedy byłeś? - zapytał Darby.

Chłopak podniósł zaczerwienione, wilgotne oczy. Daniel był świadom jego uwielbienia dla Anjali i doskonale rozumiał, co muszą czuć obaj z Rowenem. Tylko Maya i Darby zachowywali względną równowagę ducha.

- Kazała mi wyjść, bo zgodnie z rytuałem opisanym w Rozdziale Trzynastym zamierzała odbyć taniec poprzedzający zebranie soli. Zostawiłem ją na jakąś godzinę, może trochę więcej, a kiedy stwierdziłem, że trwa to już zbyt długo, wszedłem... I znalazłem ją w tym mniejszym pomieszczeniu.

- Widziałeś kogoś w pobliżu magazynu?

- Nie.

- Zauważyłeś coś dziwnego w jej wyglądzie? Albo w którymś z przedmiotów dokoła?

- Nie. W pierwszej chwili pomyślałem, że straciła przytomność. Związane z Rozdziałem Trzynastym rytuały przygotowawcze są bardzo męczące. Siatkę miała owiniętą wokół kostek, urna z kryształkami potu leżała wywrócona... Sądziłem, że to omdlenie... Próbowałem ją ocucić...

- Gdzie czekałeś przez tamtą godzinę?

- Wróciłem do swojej kajuty. - Yil zmarszczył brwi. - Co właściwie sugerujesz?

Nie odpowiadając na to pytanie, Darby popatrzył na Mayę.

- A ty, Mayu?

- Odpoczywałam u siebie.

- A ja u siebie - rzucił Daniel.

Darby skinął głową.

- My z Meldonem siedzieliśmy tutaj. Usłyszeliśmy krzyki Yila, Meldon pobiegł przodem... Więc wszyscy troje byliście w swoich kajutach sami.

- Może wytłumaczysz nam wreszcie, do czego zmierzasz, Hectorze? - odezwał się Rowen. Przemówił po raz pierwszy od czasu, kiedy znaleźli Anjali, i wypowiadał każde

słowo bardzo powoli, tonem groźby. Nie płakał, tylko wpatrywał się w zwłoki, a jego twarz przypominała wykrzywioną maskę. Daniel wiedział, że po tym właśnie można poznać, czy ze zmarłą osobą łączyła kogoś „miłość”.

Przenieśli ciało do głównej sali i dwiema błękitnymi szarfami przywiązali je do ustawionego niemal w pionie katafalku. Ciemna skóra zmarłej, wciąż połyskliwa jak jedwab, kontrastowała z białą prześcieradeł. Zakrytej kolejną szarfą twarzy nie było widać, ale włosy tworzyły wokół głowy czarną poduszkę. Na statku brakowało spopielarek, z prawdziwą ceremonią żałobną należało się więc wstrzymać do powrotu. Tymczasem zamierzali powierzyć Anjali śmiertelnemu chładowi zamrażarki, uznali jednak, że wcześniej powinni spędzić z przyjaciółką kilka ostatnich chwil.

W ciszy, która zapadła po słowach Rowena, głos Darby'ego zabrzmiał z wyjątkową mocą. Hector dźwignął się z fotela i stanął obok ciała, jakby chciał je chronić. Za oknem panowała ciemność, co w oczach Daniela nabrało nagle straszliwie symbolicznego wymiaru.

- Jest coś, o czym nie powinniśmy zapominać: Anjali Sen miała przepytac Turmaline zgodnie z zaleceniami Rozdziału Trzynastego, żeby dowiedzieć się, kto jej rozkazywał... - Darby powiódł po czworgu pozostałych spojrzeniem. - A pamiętacie, co mówiła wtedy, na plaży? Że wyczuwa czające się obok Daniela i Yila nieznane niebezpieczeństwo...

- Chodziło jej o Turmaline i Mitsuko - wtrącił Rowen.

- Nie - zaprzeczył Darby. - Początkowo też tak myślałem, ale proste rozumowanie skłoniło mnie do zmiany zdania. W tamtej chwili Turmaline i Mitsuko były jeszcze zupełnie gdzie indziej. Przecież to Svenkov informował je o naszych poczynaniach. Kiedy Anjali ustaliła, gdzie znajdują się Daniel z Yilem, a my pobiegliśmy ich ratować, Svenkov został w tyle i powiadomił o wszystkim Turmaline, która mogła dzięki temu zorganizować zasadzkę. Ale dopiero wtedy, nie wcześniej. Więc Anja wyczuła coś innego... Niewykluczone, że to samo co Brent na Sentosie. - Tu wtajemniczył pozostałych w sprawy Danielowi już znane. Reszta słuchała w skupieniu. - Oboje zauważyli coś dziwnego w naszym otoczeniu i oboje zmarli na atak serca. Chyba trochę zbyt wiele zbiegów okoliczności.

Rowen, ciskając gromy swoimi zielonymi oczyma, obrócił się nagle w stronę Yila.

- To ty znalazłeś oba ciała. Kolejny zbieg okoliczności?

- Czy sam ten fakt czyni ze mnie winnego? - bronił się rozpaczliwie Yil.

Darby próbował coś powiedzieć, ale Rowen nie pozwolił mu dojść do słowa.

- Maya! Daniel! Wy też byliście sami w swoich kajutach! Jeśli wróg czai się wśród nas, może się okazać kimkolwiek z was trojga!

- Z nas pięciorga - poprawiła Maya. - Kto powiedział, że musi być jeden?

- Co?

- Niewykluczone, że mamy w swoim gronie i Prawdę, i Pana.

Jej słowa sprawiły, że wszyscy popatrzyli po sobie nawzajem. Daniel dopuszczał taką możliwość. Skoro zakradł się między nich jeden zdrajca, to dlaczego właściwie nie mogło być ich dwóch? Potem rozległ się gwar kilku głosów, które uciszył Rowen, pytając:

- Naprawdę sądzisz, że ten, kto zatrudnił Prawdę, ryzykowałby życie, żeby tu dotrzeć?

- Tak - rzekł nagle Darby. - Każdy by ryzykował, i to nie tylko życie...

Gdy zwrócili się w jego stronę, ujrzeni, że z pobladłą twarzą wpatruje się w szybę.

## 7

Kształt wznoszący się na dnie gigantycznego podwodnego rowu, wzdłuż którego płynęli, i wyławiany z ciemności przez światła reflektorów był zbyt regularny jak na dzieło natury. Daniel dostrzegał wieńczący go stożek, na samym czubku płaski, z lekkim wgłębieniem pośrodku.

Na wszystkich twarzach malował się lęk i skrajne napięcie. Tylko Maya nie rzuciła się do okna i stała w ciszy, z zamkniętymi oczyma.

- Miasto Boga... - mówił Darby jakby do siebie. - Dokładnie w miejscu, na które wskazuje Biblia... - Zerknął w stronę tablic rozdzielczych i ekranów. - Dopłynęliśmy - szepnął.

Im byli bliżej, tym pojazd zdawał się mniejszy wobec ogromu tego, co znajdowało się w dole. Dzięki serii precyzyjnych manewrów ustawił się dokładnie nad czubkiem stożka, potem zaszumiało, obrazy na monitorach zamigotały i okręt zaczął szybko opadać, by na koniec zadygotać gwałtownie i znieruchomieć. Widoczne na wyświetlaczach schematy nie pozostawiały cienia wątpliwości.

- Wylądowaliśmy na czubku. To rodzaj dopasowanej do potrzeb tego pojazdu platformy - stwierdził Darby.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie ruszał. Słychać było jedynie dochodzący gdzieś z oddali świst, jakby ktoś ostrzył nóż o metalową powierzchnię. W końcu i to ucichło.

- Dolny walec - Rowen wskazał na ekrany. - Wpasował się w prowadzącą do środka klapę.

Za szybą panowały nieprzeniknione ciemności - reflektory pogasty. Koniec trasy, pomyślał Daniel. Koniec najdłuższej i najważniejszej podróży w jego życiu.



Głos ponownie zabrał Darby.

- Zważywszy na okoliczności, musimy chyba odłożyć wszelkie dochodzenia na później. Pójdziemy uzbrojeni. Dla ostrożności proponuję się nie rozłączać.

Podzielili się bronią, która została im po wyrzuceniu reszty na rozkaz Turmaline do morza, i ruszyli po schodach w dół. Rowen pierwszy wydostał się na zewnątrz pojazdu. Za nim postępował Darby, dalej Maya, Daniel i na końcu Yil. Znaleźli się na pograżonym w mroku, metalowym i zardzewiałym pomoście, który opadał, zakręcał i ginął w ciemnościach. W słabym żółtym świetle wydawało się, że nikogo tu nie ma. Powietrze, choć przesycone wonią sęchlizny, zawierało wystarczającą ilość tlenu.

- To struktura przystosowana do znoszenia wielkich ciśnień, podobna do tego, co widzieliśmy w Strefie Zatopionej - stwierdził Darby, schodząc wraz z innymi wzdłuż pochylni, która okazała się na tyle szeroka, że swobodnie mogli iść wszyscy obok siebie. - Znajdujemy się co najmniej tysiąc metrów pod poziomem morza.

Przesuwali się ostrożnie, każdy pograżony we własnych lękach. Nawet Maya zdawała się oszołomiona ogromem tego, co wyczuwała dokoła. Ciszę przerywały dobiegające gdzieś z oddali nieprzyjemne dla ucha dźwięki.

Gdy skręciwszy cztery razy, znaleźli się tuż pod miejscem, w którym stali zaraz po wyjściu z pojazdu, Rowen zauważył:

- Coś takiego... Wydrążona w środku góra...

Pomost prowadził teraz między dwiema ścianami, tworząc zaokrąglone pomieszczenie o kobaltowoniebieskich, podrdzewiałych ścianach. Na środku znajdowały się stoły z ekranami scriptoriów i składane krzesła. Pod ścianami leżały czarne wydrążone kamienie.

- Te scriptoria i meble wydają się prawie nowe - zauważył Rowen.

- Musieli je tu przywieźć ludzie Katsury - powiedział Darby.

Yil ukląkł pod jedną ze ścian.

- To rytualne przedmioty służące do nawiązywania połączeń - rzekł, wskazując na czarne kamienie. - Dzięki nim udało się zestroić te scriptoria z niewyobrażalnie wręcz starymi maszynami...

- Tak samo starymi jak okręt, którym się tu dostaliśmy - dorzucił Darby. - Katsura zdołał je uruchomić i niewykluczone, że się czegoś dzięki temu dowiedział. Tak sobie myślę... - Przy tych słowach zerknął na Yila. - Może mógłbyś mi pomóc... - Chłopak podniósł na niego pytające spojrzenie. - O ile wiem, znasz się na scriptoriach równie dobrze jak Brent... A te tutaj wyglądają na dość proste modele. Dałbyś radę odzyskać zapisane w nich dane?

Yil popatrzył na pozostałych, jak gdyby pytał ich o zgodę.

- Spróbuję - oświadczył.

Usiadł przed jednym z ekranów i przyłożył dłoń do jego powierzchni. Natychmiast pojawiły się na nim świetliste kształty, a bijące od nich blaski oplotły mu głowę jak odnóża widmowych insektów.

- Działa... Chyba się uda.

Z ciekawością zaglądali mu przez ramię, szybko jednak okazało się, że cała operacja potrwa wiele godzin, a może nawet dni.

- Zostanę tu z Yilem - powiedział niezrażony tym Darby. - Jestem pewien, że w końcu znajdziemy to, o co nam chodzi. Wy natomiast, Meldonie, możecie obejrzeć resztę tego... czegoś.

- Nie powinniśmy się rozłączać - zaprotestował Rowen. - Sam tak mówiłeś.

- Wiem, ale sytuacja się zmieniła. Jeśli nie podzielimy się zadaniami, możemy niczego nie osiągnąć. Mamy cztery przekaźniki: twój, Anjali, Turmaline i Svenkova. Zaraz sprawdzimy, czy są sprawne. Jeśli są, będziemy przez cały czas w kontakcie. - Rowen zdawał się wahać, Darby jednak nie dopuścił go do głosu. - Meldonie, obaj wiemy, po co tu przybyliśmy. Ryzykowaliśmy już niejednokrotnie, więc zaryzykujmy i teraz...

Gdy wypróbowali przekaźniki, które działały doskonale, Darby pożegnał Meldona, Mayę i Daniela suchym „Na razie”, po czym usiadł koło pochłoniętego swoją pracą Yila. Tamci troje ruszyli dalej.

Dwa poziomy niżej urządzili sobie postój. Tutaj nie było nawet śladu nowych scriptoriów czy mebli - w mroku dostrzegali jedynie zarysy rozpadających się ścian i czegoś, co wyglądało na ogromne maszyny.

O tym, że zawitali tu ludzie Katsury, świadczyły jedynie rozłożone gdzieś materace. Skądś napływało świeże i wilgotne powietrze, tak zimne, że oddechy zamieniały się w parę, co dla dobrze zaprojektowanych ciał nie miało jednak większego znaczenia. Rowen po raz kolejny upewnił się, że z Darbym wszystko w porządku, po czym podobnie jak Maya i Daniel przysiadł na jednym z materaców.

- Spójrzcie tylko. To prawdziwe miasto - powiedział, wskazując widoczne dokoła ruiny. - Może zatoneło w epoce kataklizmów... Potrzebowalibyśmy więcej niż jednego życia, żeby je zwiedzić...

- Szczerze mówiąc, jedno życie starczy mi aż nadto - mruknęła Maya, rozmasowując kolano. Nie skarżyła się, ale Daniel wiedział, że nie jest w formie. Kulała i od czasu do czasu posykiwała z bólu.

- Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, czego szukamy... - westchnął Rowen. - Jeśli Klucz, cokolwiek to jest, znajduje się w tych ruinach, nigdy go nie znajdziemy. Co o tym wszystkim sądzisz, Danielu?

Daniel zamrugnął, jakby ocknął się właśnie ze snu.

- Zastanawiam się nad tą pochylnią... Czemu służyła? Kto ją zbudował?

Przez chwilę wpatrywali się w mrok, jakby spodziewali się, że wypatrzą w nim odpowiedź na swoje pytania. Z oddali wciąż napływały dziwne odgłosy, które przypominały Danielowi zniekształcone przez echo krzyki mew w jaskiniach.

- Jeśli to rzeczywiście jest Miasto Boga - odezwał się w końcu Rowen - to właściwie nie ma się nad czym zastanawiać...

Postanowili odłożyć oglądanie niższych poziomów na później i wrócili na górę. Darby i Yil sprawiali wrażenie, jakby przez cały ten czas nie ruszyli się z miejsca. Blask bijący od scriptoriów tatuował im twarze.

- Znaleźliśmy mniej więcej tyle co wy - powiedział Darby, wysłuchawszy sprawozdania Rowena. - Czyli dużo pozostałości po czymś, czego znaczenie na razie nam umyka... - Westchnął. - Trochę tu pobędziemy.

- Katsura Kushiro zmarł, nie dokończywszy dzieła - rzucił Rowen. - Nie spodziewałeś się chyba, że załatwisz sprawę w dwie godziny. Zresztą, w gruncie rzeczy interesuje nas tylko Klucz, Hectorze. Jeśli trafimy na jego ślad...

- Już trafiliśmy.

- Słucham?

- Mówię, że akurat zagadka Klucza się wyjaśniła. Co niestety niewiele zmienia w naszym położeniu. - To mówiąc, Darby dotknął ramienia Yila, który przesunął ręką przed scriptorium, wskutek czego z ekranu znikły szeregi znaków, ustępując miejsca nieco zamazanemu, ale czytelnemu rysunkowi stożkowato zakończonej, wydrążonej „góry”. Pod spodem, na niebieskim tle, zajaśniały litery układające się w sformułowany w uniwersalnym języku napis:

Klucz do Otchłani.

- Wiemy tylko tyle: to miejsce jest Kluczem do Otchłani.

Dalsze oględziny niższych poziomów, które znajdowały się w fatalnym stanie, zajęły im sporo czasu. Gęstniejący mrok, rozjaśniany jedynie światłem zawieszonych na piersiach latarek, spowalniał marsz, a coraz niższa temperatura zaczynała się dawać we znaki. Hałas narastał, osiągając chwilami trudne do zniesienia natężenie.

Błądząc niejako po omacku, natknęli się na pełne popsutych urządzeń i potłuczonego szkła laboratorium.

- Co to jest? - spytała Maya.

- Coś jak dom czarownika z Rozdziału Trzynastego... - odparł Rowen. - Produkowano tu ludzi... Jestem pewien, bo wiem, jak wyglądają moje centra genetyczne. Te urządzenia wyglądają podobnie, tyle że są dużo starsze.

Stropy na kolejnym poziomie pokrywała sieć rur - z jednej z nich tryskała woda. W świetle latarek ukazał się boczny korytarz o zalanej posadzce, a na jego końcu - szereg hermetycznie zamykanych i wyposażonych w wizjery drzwi. Naprzeciwko stały półki z urnami i sześć katafalków, do których przywiązane były szkielety.

- Te urny ozdobione są starymi japońskimi znakami - oświadczyła Maya, dotykając pierwszej z brzegu.

- Katafalki również - stwierdził Rowen i odwrócił się w stronę hermetycznych drzwi. - To dawne krematoria. Większość ciał spalono, ale ostatnie zostały na katafalkach.

Maya podniosła ku niemu twarz.

- To ludzie Katsury - powiedziała.

- Co im się mogło stać? - spytał Daniel.

- Nie wiadomo. Tak czy owak za swoje odkrycie zapłacili śmiercią - odrzekł Rowen.

Daniel wzdrygnął się, oświetlając swoją latarką rozsypujące się kości i zakurzone metalowe urny.

- Przynajmniej wiemy, że są tu spopielarki - zauważyła Maya.

Wrócili na pochylnię i podjęli wędrówkę w dół. Wszędzie stała lodowata woda, hałas sprawiał, że aby się porozumieć, musieli krzyczeć. Wilgoć w powietrzu gęstniała. Kiedy woda zaczęła im sięgać kolan, Rowen zaproponował odwrót, ale Maya, kulejąc, poszła jeszcze kawałek dalej i wkrótce znikła za zakrętem. Zaraz potem pojawiła się znowu, powłóczęcą uszkodzoną nogą, mokra od stóp do głów.

- Nie da się przejść. Trzeba by sforsować drzwi, które są zresztą całkiem zalane. Zapewne nie wytrzymały jakieś instalacje, a wtedy dostęp na dół zamknął się automatycznie.

- Całkiem pomysłowe, choć stare jak świat - mruknął Rowen.

Maya skinęła głową.

- Ten system został zaprojektowany tak, żeby mógł istnieć bez ludzkiej kontroli. Pewnie dlatego wytrzymał tyle czasu.

- Teraz należałoby tylko ustalić, po co właściwie został zaprojektowany - zauważył Daniel. - I przez kogo.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Nagle Rowen gwałtownie potrząsnął głową. Od czasu śmierci Anjali mało się odzywał, jak gdyby pochłonięty myślami zbyt skomplikowanymi, by je wyrazić. Teraz jednak wydawał się zdecydowany wtajemniczyć pozostałych w swoje refleksje.

- Powinniśmy wracać - wyszeptał. - To znaczy na okręt, a potem do domu, do cywilizacji... O wszystkim zapomnieć... Nie jest dobrze zagłębiać się w te czeluście...

- Nie spodziewałem się usłyszeć takich słów właśnie od ciebie - uśmiechnął się Daniel. - Sądziłem, że jesteś ciekaw, co oznacza...

Rowen przerwał mu podniesionym głosem, który wzbudził niemilknące echa.

- Trzeba bardzo uważać z ciekawością! W Rozdziale Trzynastym, po śmierci czarownika, nikt nie chce dociekać prawdy o jego życiu... Pada też enigmatyczne sformułowanie, z którego wynika, że lepiej dać sobie spokój z ustalaniem sposobu, w jaki zginął. Do tego przywołana zostaje sentencja w umarłym języku zwanym łaciną: „*Tace ut potes*”, co znaczy mniej więcej: „Zachowaj milczenie, na ile możesz”.

Daniel wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Czyli twoim zdaniem powinniśmy teraz porzucić Klucz, nawet nie próbując zrozumieć jego tajemnicy?

- Już ją rozumiemy! - Rowen gorączkowo rozglądał się dokoła. Daniel nigdy nie widział go w takim stanie. - To Dom Boga, Ostatnie Miejsce! Dalej nie sposób się posunąć! Finansowałem tę wyprawę, ponieważ chciałem zdobyć Klucz i proszę, już tu jesteśmy! Co nam pozostało? Zresztą, nie musimy rozumieć wszystkiego! Anja zawsze to powtarzała... Święty Sekret Boskości nie poddaje się wyjaśnieniom. Ciekawość... Zobacz, do czego przywiodła ludzi Katsury! Albo Anję!

Ani Maya, ani Daniel nie chcieli przerywać milczenia, które nastąpiło potem, zakłócanie jedynie szumem wody i rozpaczliwymi szlochami Meldona. Daniel, świadom, jakie uczucia skłoniły Rowena do zmiany stanowiska, zastanawiał się, czy nie ma w tym aby racji. Może naprawdę powinni zrezygnować, tak jak zrezygnował Katsura Kushiro? Zostawić resztę potomnym? Ale dlaczego? Jakie niebezpieczeństwa czyhały na nich na drodze do wiedzy? Wierzyć znaczy wiedzieć, a wiedza potęguje strach.

Wtedy zadźwięczał przekąźnik.

- Wracajcie - odezwał się wibrujący napięciem głos Darby'ego. - Chyba coś mamy.

## 9

W chwili, gdy Darby otwierał usta, by zacząć mówić, pogasły wszystkie światła, czemu towarzyszył odgłos, jaki wydają zatrzymujące się, przegrzane maszyny. Zapanowało zamieszanie, ręce powędrowały do latarek, ale generatory natychmiast uruchomiły się z powrotem i w pomieszczeniu o niebieskich ścianach znowu zrobiło się jasno.

- Spokojnie - powiedział Darby. - To tutaj chyba normalne. Z tego, co widzieliśmy na wykresach, Klucz wyposażony jest w cztery potężne generatory, które dzięki sprytnemu wykorzystaniu morskiej wody miały w założeniu działać bez końca. Jednakże czas robi swoje. Mechanizmy psuły się już i samoczynnie reperowały kilka razy, aż wreszcie dwa z generatorów wysiadły na dobre, choć Kushiro próbował je naprawiać. System wentylacji został zaprojektowany na podobnej zasadzie: niezależny od źródeł z zewnątrz, odzyskuje tlen z wody, nadmiar dwutlenku węgla wykorzystując do produkowania energii, która służy do ogrzewania i osuszania wnętrza. Chodziło o to, żeby Klucz przetrwał jak najdłużej...

- Komu chodziło? - zapytał z niepokojem Rowen.

- Nam - odrzekł Darby. - Ludziom. Realizacja tak ambitnego projektu wymagała ogromnych nakładów pracy i wiele czasu. Budowa Strefy Zatopionej była wprawdzie przedsięwzięciem znacznie bardziej złożonym, ale Klucz skonstruowano dużo wcześniej... Fakt, że się udało, ośmielił nas do podjęcia trudniejszych wyzwań.

- Ale przecież nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące jego budowy! Trzymano to w tajemnicy?

- Dokumenty przepadły w epoce kataklizmów, Meldonie.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Klucz pochodzi sprzed Koloru.

- Przed Kolorem nie było ludzi zdolnych do czegoś takiego!

- Przeciwnie. Istniała niesłychanie rozwinięta cywilizacja - odparł spokojnie Darby. - Klucz miał służyć jej zachowaniu.

- Nasi przodkowie spodziewali się zejścia Koloru - wtrącił z powagą Yil, oparty o niebieską ścianę - i związanej z nim zagłady życia na ziemi, dlatego postanowili ocalić wybrane gatunki roślin i zwierząt, a także swój własny.

Darby przytaknął i wskazał monitory.

- Dlatego zbudowali Klucz do Otchłani. Przewidywali, że wszystko powyżej poziomu morza i tuż pod jego powierzchnią przepadnie bez ratunku, a przetrwa jedynie to, co znajdzie się głęboko pod wodą. - Zamilkł na chwilę i potrząsnął głową. - To musiały być straszne czasy. Wyobrażam sobie, co czuli, mając świadomość, że ludzkość zmierza ku przepaści, zgodnie zresztą z tym, co zapowiadały pradawne teksty uważane przez nich za święte. Nie potrafili zapobiec katastrofie, ale domyślili się jej nieuchronności na tyle wcześnie, że zdążyli stworzyć Klucz i zamknąć w nim miliony ludzkich, zwierzęcych i roślinnych komórek. Musiał być odpowiednio duży, zabezpieczony przed próbami przejęcia nad nim kontroli z zewnątrz i niezależny od nieodnawialnych surowców energetycznych... Genialnym posunięciem okazało się wykorzystanie morskiej wody, która już raz, u źródeł czasu, stała się kolebką życia. Wynaleziono maszyny zdolne przetwarzać ją w energię, powietrze, wodę pitną, a nawet w proste produkty odżywcze. Twórcy Klucza wiedzieli, że jego mieszkańcy nie będą mogli wyjść na powierzchnię przez dziesięciolecia, a nawet wieki...

- Dlaczego? - spytał Rowen.

- Ze względu na konsekwencje Koloru. Nazwali w ten sposób zwartą masę materii odmiennej od tej, która tworzyła znany im świat. Uznali, że ta „dziwna materia”, bo takim mianem ją określali, zderzając się z Ziemią, przyjmie w atmosferze formę promieniowania. Jego długofalowe skutki były trudne do przewidzenia, ale co do krótkofalowych nikt nie miał wątpliwości: wszelkie życie na powierzchni planety musiało zginąć. Dlatego należało przeczekać wewnątrz Klucza, nawet przez kilka pokoleń, aż Ziemia znowu stanie się miejscem zdatnym do zamieszkania. Nie wiadomo, kiedy dokładnie pierwsi ludzie opuścili Klucz i na powrót skolonizowali zajmowane przed katastrofą tereny, szacuje się jednak, że nastąpiło to jakieś dwieście lat, czyli sześć generacji po zejściu Koloru. Z tej epoki zachowały się tu liczne świadectwa. Klucz wyposażony został w kilka okrętów podobnych do tego, którym tutaj przyptłynęliśmy, zaprogramowanych do pokonywania zawsze tej samej trasy. Nasi przodkowie przedostali się nimi w kilka punktów na Ziemi, między innymi do znanych nam pieczar na południe od Dunedin. Później pamięć o tych wydarzeniach obrosła legendą, a potomkowie ocalałych wzniesli sanktuarium poświęcone Masce i Dłoniom. Rozumiecie? - Darby uśmiechnął się lekko. - Pierwsi ludzie, którzy wyszli na powierzchnię, prawdopodobnie obawiali się jeszcze promieniowania i nosili specjalne kombinezony i maski, co w specyficzny sposób zapisało się w pamięci zbiorowej...

- Niewiarygodne - szepnął Rowen.

- Owszem, to odpowiednie słowo.

Zapadło dziwne milczenie.

- Czyli to jest kolebka istniejącej obecnie ludzkości - rzucił wreszcie Rowen, wpatrując się w Darby'ego.

Darby przytaknął z niejakim smutkiem.

- Pochodzimy od tych, którzy powstali w tutejszych laboratoriach. Prawdopodobnie stąd nasza biegłość w kwestiach genetycznych. To, co dla nas jest chlebem powszednim, dla naszych przodków stanowiło nie lada wyzwanie. Ci, którzy znaleźli się w Kluczu, stanęli przed zadaniem odtworzenia życia na podstawie zachowanych komórek. Proces ten nadzorowali najstarsi, pamiętający jeszcze, jak to wyglądało na ziemi, ale ci stopniowo wymierali, zastępowani przez młodszych, którzy mieli na ten temat coraz bardziej mgliste pojęcie... Tylko pomyślcie, jak musiał wyglądać ten hermetyczny świat, kręcący się wokół problemu przetrwania gatunków!

Darby zwrócił się w stronę Yila i poprosił go o wyszukanie jakichś danych. Chłopak usłuchał, ale niechętnie. Darby tymczasem ciągnął:

- Przede wszystkim trzeba było wziąć pod uwagę panujące tu ekstremalne warunki. Stworzenia przystosowane do życia na powierzchni, w świetle słońca, na dłuższą metę nie miały szans. Niewykluczone, że pierwsze pokolenia umierały przedwcześnie i dopiero kolejne, dzięki inżynierii genetycznej, wytrzymały dłużej. Poza tym - dodał, wskazując na ekran - znaleźliśmy dowody na to, że z myślą o przyszłym zaludnieniu planety próbowano uzyskać większą kontrolę nad płcią rozwijających się embrionów. Chodziło o to, żeby powstawało jak najwięcej kobiet, a to dlatego, że, jak się zdaje, w dawnych epokach wyżej rozwinięte organizmy rozmnażały się, wykorzystując do tego celu organy wewnętrzne samic...

- Myślałem, że to zwykła legenda - rzucił Daniel, wspominając swoją rozmowę z Iną.

- Dużo o tym dyskutowano - przyznał Darby. - Brent, na przykład, nigdy w to nie wierzył. Ale dane, na jakie się natknęliśmy, mówią same za siebie. Kiedyś życie brało się bezpośrednio z życia i nasi przodkowie chcieli tę sytuację przywrócić. Potem jednak okazało się to niekonieczne, ponieważ rozwój technologiczny umożliwił formowanie wystarczającej ilości embrionów, w dodatku z gwarancją jakości... W tym świetle nie dziwi wszakże fakt, że tworząc kolejne generacje osobników obu płci, wzorowano się raczej na dawnych kobietach niż mężczyznach. Te pierwsze uznawano bowiem za ważniejsze dla przetrwania gatunku i bardziej warte imitowania. Dlatego z czasem wygląd ludzi się ujednolicił, co nie objęło jedynie narządów płciowych. Ale kiedyś projektowano wyłącznie kobiety, mężczyźni byli całkowicie biologiczni... - dodał Darby, a w jego głosie zabrzmiała duma.

Na znak Hectora Yil dotknął ekranu, po którym zaczęły się przesuwac proste,



dwuwymiarowe obrazy. Rowen i Daniel podeszli bliżej, a Maya szepnęła:

- Co tam widzicie?

- To... to chyba twarze tych biologicznych mężczyzn - stwierdził Daniel.

Wpatrywał się w nie ze zdumieniem, ponieważ było w nich coś trudnego do opisania, coś, co odróżniało je nawet od twarzy Darby'ego. Prawdopodobnie chodziło o ich *przypadkowość*. W rysach osób przedstawionych na zdjęciach nie dało się dopatrzeć żadnego planu czy intencji. Migające na ekranie absurdalne oblicza miały nosy zgrabne albo bulwiaste, uszy małe albo przeraźliwie odstające, policzki porośnięte włosami albo zupełnie gładkie, mocno zarysowane szczęki albo potrójne podbródki, a wszystko to bez ładu i składu. Ba, trafiały się i kobiety, zupełnie jednak niepodobne choćby do Shane Davenport.

- To nasi przodkowie - powiedział Darby. - Kobiety i mężczyźni sprzed tysięcy, a może milionów lat, pierwsi mieszkańcy Klucza.

Po dłuższej chwili Rowen oderwał oczy od monitora i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Niesamowite - oświadczył. - Ale przecież już z Biblii wiemy, że pochodzimy od Starych Istot, które żyły pod wodą, a wygnane stamtąd przez Boga, dały początek życiu na Ziemi... Czyli wszystko się potwierdza! Kolejny dowód na to, że nasza Święta Księga to prawdziwy zapis tego, co...

- Poczekaj, Meldon... - przerwał mu łagodnie Darby. - Bo, widzisz, natknęliśmy się też na ciekawe zapisy dotyczące samej Biblii. Wszystko wskazuje na to, że została napisana jeszcze przed Kolorem... Ba, na długo przed budową Klucza.

- Słucham?

- To właśnie jest dla nas najbardziej niejasne. - Darby bezradnie rozłożył ręce. - Przedstawię wam swój punkt widzenia, a potem Yil ukaże swój. - Tu zamilkł na moment, jakby szukał odpowiednich słów. - No więc tak. Ludzie znaleźli sposób na przetrwanie katastrofy, ale dotyczyło to jedynie biologicznego wymiaru ich istnienia. A co z resztą? Ostatecznie nie jesteśmy zwierzętami ani roślinami: żeby można było mówić o przetrwaniu, musi też przetrwać nasza kultura. Postanowiono, że trzeba ją zachować. Dlatego... Yil, jednak ty wytłumaczysz to lepiej...

Chłopak wstał przed scriptorium, podszedł do niebieskiej ściany i zwrócił się twarzą do pozostałych. Jego harmonijne rysy jaskrawo kontrastowały z twarzami widocznymi na ekranie.

- Konstruktorzy Klucza stworzyli specjalne scriptorium, trochę prymitywne, ale pojemne, aby zgromadzić w nim wszystkie informacje, jakich mogłaby potrzebować przyszła

ludzkość. Nazwali je Ojcem. Chodziło o to, aby nie zaczynać wszystkiego od zera, lecz podjąć dzieło cywilizacji tam, gdzie zostało przerwane. - Yil się skrzywił. - Te maszyny tutaj to pozostałość po Ojcu.

- I co dalej? - ponaglał go Rowen.

Yil spojrział na Darby'ego tak, że ten ponownie wziął na siebie ciężar wyjaśnień.

- Nie jesteśmy tego jeszcze całkiem pewni, ale, jak się zdaje, przed sprowadzeniem się do Klucza ludzie wierzyli w zupełnie inną Biblię. Nazywała się tak samo, ale miała całkiem inną treść. Tytuł naszej Księgi wziął się prawdopodobnie od tej innej, wcześniejszej...

- Innej? Czyli fałszywej, tak? - przerwał Rowen.

- Możliwe, że nasi przodkowie uważali ją za prawdziwą. A przynajmniej za bardzo ważną. Nawet nazwa Klucz do Otchłani pochodzi z jednego z jej rozdziałów. Który, notabene, również opowiada o spadającej z nieba gwiazdzie i końcu świata... Pewnie dlatego nazwali tak konstrukcję, która miała uchronić ludzkość przed wyginięciem...

W błękitnej sali stało teraz sześć posągów: nikt się nie ruszał i zdawało się, że wręcz nie oddychał.

- A skąd się wzięła nasza Biblia? - spytała Maya.

- W tym właśnie punkcie się z Yilem nie zgadzamy - odrzekł Darby. - Moim zdaniem rzecz wyglądała następująco: wraz z upływem czasu mieszkańcy Klucza coraz bardziej potrzebowali spójnej doktryny, która wyjaśniałaby zaistniałą sytuację, a dawna Biblia najprawdopodobniej nie spełniała tych oczekiwań. Chodziło o tekst, który z metafizycznego punktu widzenia tłumaczyłby ludziom zamkniętym tu, na dole, dlaczego nie mogą spędzać życia wśród gór i rzek, z widokiem na chmury, lecz skazani są na wieczną noc, zaludnioną przez dziwaczne morskie stwory. Chodziło o nową wiarę. Nasi przodkowie zrobili więc jedyną rzecz, jaka była do zrobienia, jaką wszyscy zrobilibyśmy na ich miejscu: zwrócili się do Ojca. To Ojciec podsunął im rozwiązanie.

Piękną twarz Rowena ściągnął grymas.

- Chcesz powiedzieć, że naszą Księgę napisało scriptorium?

- Nie. Nie, nie - Darby uniósł dłonie w geście obrony. - Chcę powiedzieć, że ją w sobie zawierało, wśród innych danych. Została napisana dużo wcześniej. Nie wiemy przez kogo, bo wszelkie wzmianki o Autorze przepadły. Niewykluczone, że zniszczyli je ludzie z Klucza, podobnie jak wiele innych nieprzydatnych z ich punktu widzenia informacji, zostawiając jedynie to, co pasowało do otaczającego ich świata.

- Ale dlaczego scriptorium spośród wielu innych możliwości wybrało właśnie naszą Księgę? - spytała znowu Maya.

Darby skinął z aprobatą.

- To jest podstawowe pytanie. Dlaczego te czternaście opowieści? Yil twierdzi, że były to święte teksty, zapisane w scriptorium przez konstruktorów Klucza i przygotowane na chwilę, kiedy ludzkość zapragnie odpowiedzi. Ale ja w to nie wierzę. Bo czemu w takim razie służyłoby tak długie odwołanie tego objawienia? Minęło kilka pokoleń!

Rowen się uśmiechnął, ale jego głos brzmiał chrapliwie.

- Na pewno masz już na ten temat wyrobioną opinię, Hectorze.

- Cóż, ja... - Darby odwrócił się do nich plecami i zaczął się niespokojnie przechadzać w tę i z powrotem. - Pamiętajcie, że Ojciec był ostatecznie tylko maszyną. Maszyną poszukującą danych... Spragnieni pozanaukowych wyjaśnień ludzie interesowali się wszystkim, co w jakiś sposób wiązało się z zaistniałą sytuacją. Co uczynilibyśmy na ich miejscu? Wprowadzilibyśmy do systemu znane nam już daty, opisy faktów, współrzędne... To samo zrobili i oni. A scriptorium wyszukało im inne, najbardziej zbliżone charakterem informacje. - Darby rozłożył ręce. - Po maszynie nie można się było spodziewać niczego więcej!

- Jakie informacje? - drążył Rowen.

- Niektóre dość ogólne: wzmianki o pogrążonym w ciemnościach i zamieszkanym przez potwory świecie, o ukrytych na dnie morza bogach... Inne bardziej szczegółowe, historycznie udokumentowane, choćby na temat Koloru i położenia Klucza. - Darby zerknął na twarze pozostałych. - Tu pojawia się problem. Z jakiegoś powodu współrzędne miejsca, gdzie się znajdujemy, kolebki nowej ludzkości, *dokładnie* odpowiadały tym, które podaje Rozdział Czwarty, mówiąc o Zatopionym Mieście Boga...

- Niebawem! - wykrzyknął Rowen. - Nasza Księga wszystko przepowiedziała!

Darby wbił w niego uporczywe spojrzenie.

- Przepowiedziała? Niewykluczone... Tak właśnie sądzi Yil. Ale może istnieje prostsze wytłumaczenie...

- Jakie?

- Tylko pomyślcie: wpisali współrzędne Klucza, po czym dostali tekst, w którym pojawiały się te same współrzędne... - Darby zawiesił głos. - A co, jeśli to był zwykły przypadek? Jeśli scriptorium wybrało ów tekst tylko ze względu na te kilka cyfr, a oni wyciągnęli błędne wnioski co do jego świętości?

Zapadła ciężka cisza, którą przerwał Yil.

- Doskonały przykład typowej dla Hectora teorii - oświadczył.

Daniela zaskoczyła niezwykła u niego, a wyraźnie wyczuwalna w jego głosie drwina.

- Zupełny absurd - dorzucił Rowen.

Znowu zgasło światło, ale nawet to nie przerwało zażartej dyskusji, jaka się wywiązała. Nad ogólny gwar wybił się głos Rowena.

- Biblia Miłości i Rzemiosła to nie jest jakiś tam tekst, Hectorze! To zapis faktów! Mówi o Kolorze, o mocach ukrytych w morzu i górach, o hybrydach...

- Ani jednego faktu wzmiankowanego w naszej Księdze nie da się udowodnić, Meldonie! - zaprotestował Darby.

W tym momencie światło zapaliło się z powrotem, ukazując kilka pełnych napięcia twarzy. Oczy Darby'ego płonęły, na jego czole perlił się pot.

- Czy ktoś kiedyś spotkał te słynne hybrydy? Owszem, niektóre plemiona wierzą w ich istnienie i przebierają się na ich podobieństwo, ale nikt poza szaleńcami nie twierdzi, że je widział! To samo dotyczy „Boga” i „Zatopionego Miasta”! - Darby uderzył dłonią w stół. - Niech to szlag! Zdaje się, że nie tylko wasze ciała, ale i mózgi zostały przez kogoś zaprojektowane w najdrobniejszych szczegółach! Myślcie, do cholery! Czytając naszą Księgę, nie natkniemy się na nic, co dałoby się potwierdzić, oprócz, oczywiście, tych przeklętych współrzędnych. Pierwszy z brzegu przykład: według Biblii Kolor był niewielkich rozmiarów i spadł na podwórko jakiegoś rolnika...

- Gdzieś na Zachodzie, w nieistniejącej już Nowej Anglii - dodał Rowen. - To przecież metafora.

- Metafora! - sarknął Darby i pochylił się nad ekranem, ale po nieudanej próbie uruchomienia go, zwrócił się do Yila. - Pokaż nam mapę, dobrze?

Yil spełnił tę prośbę z głębokim westchnieniem i już po chwili na monitorze pojawiła się mapa świata, tym różniąca się od doskonale im znanej, że przedstawiała położony na zachodzie, przewężony w środkowej części ogromny ląd.

- To tu zszedł Kolor! - Darby przytknął palec do jakiegoś punktu przy górnym jej skraju, a wszyscy, poza Maya, pochylili się, by lepiej widzieć. - Kiedyś był w tym miejscu osobny, znacznie większy niż Europa kontynent. Nowa Anglia stanowiła zaledwie jego część. Teraz został jedynie gigantyczny krater i kilka wysp na południu: nasz Zachód. A to, co nazywamy Koloorem, miało średnicę długości wielu kilometrów!

Rowen pokręcił głową, wyraźnie nieprzekonany.

- Hectorze, od dawna wiadomo, że Biblia składa się z symboli i parabol, które mówią

o głębszym wymiarze rzeczywistości, bynajmniej nie opisując jej bezpośrednio. Wiesz dobrze, że Autorowi nie chodziło o żadne przekłete podwórko żadnego przekłętego rolnika! Nie rozumiem, co próbujesz udowodnić...

- Próbuję udowodnić, Meldonie, że niektóre rzeczy znaczą teraz zupełnie co innego niż w epoce, gdy powstawał tekst naszej Księgi! Weźmy choćby język: oprócz tego, którym mówimy, istniało wtedy wiele innych... Właśnie się o tym z Yilem przekonaliśmy! Przypomnijcie sobie zachowane fragmenty! Angielski, którym się posługujemy, nie był wcale ważniejszy od japońskiego, niemieckiego czy łaciny! A wiecie, dlaczego został wybrany językiem uniwersalnym? Bo posłużył do napisania Biblii! Odwróciliśmy porządek przyczynowo-skutkowy, Meldonie! Uznawszy naszą Księgę za tekst święty, uznaliśmy za święte wszystko, co się z nią wiązało!

Rowen sprawiał wrażenie, jakby stracił zainteresowanie tematem: niespiesznym krokiem ruszył ku jednej z błękitnych ścian. Maya i Yil kręcili sceptycznie głowami, powtarzając: „Nie, niemożliwe, Hectorze” albo: „Mylisz się, Hectorze”. Zdawali się na Darby'ego nacierać. Nawet Daniel uważał, że Hector odrobinę przesadził.

- Nie mam żadnej pewności... - przyznał Darby, miarkując się nieco. - Mogę się mylić...

- I mylisz się - wtrącił spokojnie Yil. - Problem polega na tym, że nie jesteś wierzący.

- Hectorze... - odezwała się Maya. Jej powieki drżały. - Twoja teoria brzmi bardzo ciekawie, ale o jednym zapomniałeś. Nasza Księga *działa*, pod warunkiem, że odwołuje się do niej ktoś, kto głęboko wierzy. Biblia pozwala kontrolować rzeczywistość. Dlaczego?

Darby zwlekał chwilę z odpowiedzią. Gdy wreszcie przemówił, w jego głosie zabrzmiała rezygnacja.

- W tej kwestii przyznaję wam rację. Widziałem, do czego zdolni są ci, którzy wierzą, i wiecie, że mam dla wiary wielki szacunek... Nie zamierzałem negować jej potęgi, tylko... - Teraz zdawał się wręcz tłumaczyć. - Tylko chciałem znaleźć spójne wyjaśnienie tego dziwnego świata, w którym żyjemy, potwornego strachu, który odziedziczyliśmy, i upartego przekonania, że w głębinach kryje się złe bóstwo, a naszym przeznaczeniem kierują jakieś ciemne siły... To wszystko.

Napięcie opadło. Darby odetchnął głęboko, a potem stwierdził:

- Tak czy owak, nie musimy tu rozstrzygać takich skomplikowanych kwestii. Zostawmy je tym, którzy lepiej się na nich znają. Albo po prostu będą mieli więcej czasu do namysłu. - Uśmiechnął się. - Dokonaliśmy przełomowego dla historii ludzkości odkrycia, pozostaje podzielić się nim z innymi, pozwalając, by każdy na własną rękę wyciągnął...

- Nie. Jestem tu właśnie po to, żeby temu zapobiec.

Cztery głowy zwróciły się w stronę tego, kto wypowiedział te słowa, demonstracyjnie odbezpieczając pistolet.

## 11

- Problem polega na tym, że wszyscy jesteście ludźmi małej wiary.

Głos Yila momentalnie nabrał głębi i powagi. Brzmiał tak, jakby dobywał się z kilku gardeł naraz, przywodząc na myśl chór okrutnych starców. Gdy Daniel, który stał najbliżej, postąpił krok naprzód, Yil, nie przestając celować do pozostałych, spojrział na niego z pogardą.

- Sądysz, że potrzebuję strzelać, żeby cię zabić, Danielu Keanie? *Cofnij się* - rzucił ostro, a jego oczy zalśniły złowrogim blaskiem.

Daniel poczuł, że jakaś niepowstrzymana siła pcha go do tyłu. Jeszcze większe wrażenie wywierał na nim jednak wygląd Yila: jego twarz właściwie się nie zmieniła, ale nabrała nieprzeniknionej twardości.

- Ty też - Yil nieznacznie przesunął lufę w kierunku Meldona. - Nie podchodź.

Rowen podniósł ręce, lecz gdy przemówił, w jego głosie nie było strachu.

- Co z tobą, Yil?

- Yil, nie wierzę... - szepnął z bólem Darby.

- Wiem, że nie wierzysz, idioto - wykrzywił się Yil. - Na tym polega twój problem. A co gorsza, zawsze nienawidziłeś tych, którzy wierzą.

- Nieprawda.

- Świadczą o tym chociażby twoje absurdalne teorie. Ale zgadnij, co jest najzabawniejsze? - Yil rzeczywiście wyglądał na rozbawionego. - Że dotarłeś aż tutaj dzięki wierze innych.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Z niczego jeszcze nie zdajesz sobie sprawy.

Te ostatnie słowa wisiały przez chwilę w wilgotnym i zimnym powietrzu. A potem niespodziewanie Yil się uśmiechnął i zaczął mówić tak, jakby nic się nie stało. Kiedy dawnym, gwałtownym ruchem odrzucił do tyłu kasztanowate włosy, Daniel odniósł wrażenie, że patrzy na tego samego, odrobinę humorzastego chłopaka co zwykle. Jednakże oczy Yila wciąż połyskiwały zimno i obco.

- Słyszałem o Kluczu na długo przed tym, zanim się nim zainteresowaliście, Hectorze. Ba, wcześniej, nim natknął się na niego Katsura Kushiro. Szukałem rozwiązania tej zagadki bardzo długo, tyle że z zupełnie innych względów niż te, które kierowały wami. Wyłącznie ja mam prawo decydować o tym, co tu odkryliśmy. Wy byście w ogóle o niczym nie wiedzieli, gdyby nie informacje, które przekazał wam *mój syn*...

- Twój syn? - Darby zamrugał w zdumieniu. - Nie, Jeremy Yinie, nie twierdzisz chyba, że...

- Twierdzę. Spójrz na mnie, Hectorze, i powiedz mi, kim jestem.

- Jesteś Jeremy Yin Lane... Twoje podobieństwo do ojca to wynik odpowiednich zabiegów genetycznych. Twój ojciec życzył sobie, byś wyglądał dokładnie tak samo jak on, podobnie jak mój chciał, abym rozwijał się zgodnie z wolą natury...

- Nie... - wybełkotał z nagłym przerażeniem Rowen. - On ma rację, Hectorze: przekazał swojemu synowi nie tylko ciało. To nie Yil, to Ezra Obed.

- Święte słowa - przytaknął Yil. - Nawet tacy ignoranci jak Rowen znają Rozdział Trzynasty...

- Oszukujesz sam siebie, Yilu! - rzekł Darby, odzyskując zimną krew. - Nie jesteś swoim ojcem. Ezra Obed miał na ciebie ogromny wpływ, ale to nie znaczy, że nie istniejesz jako osobna jednostka.

Na twarzy Yila odmalowało się coś jakby przelotne wahanie.

- To nie tak, jak myślisz - powiedział znowu młodzieńczym, lekko drżącym głosem. - Mój ojciec żyje we mnie, a ja żyję w nim... Chociaż zawsze nade mną dominował, ale tak być powinno... - Nagle zmarszczył brwi, a jego głos znowu stwardniał. - Yil to mięczak. Płakał i krzyczał, kiedy bili go wyznawcy Maski, przestraszył się w jaskiniach jak dziecko, aż musiałeś go pocieszać, pamiętasz, Danielu? Przez cały ten czas pozwalałem mu być sobą, ale za jego (i waszymi) plecami robiłem, co należało. Teraz przyszła pora, żeby zniknął, ustępując miejsca mnie... Był jedynie skorupą, pożytecznym przebraniem. Nie zasługuje na to, by uczestniczyć w pomyślnym zakończeniu równie istotnych poszukiwań. To ja, Ezra Obed, zdobyłem informację o planach Katsury, to ja wynająłem odpowiednich ludzi, by porwali Mitsuko i jej uczniów, a potem wydobyli od nich potrzebne szczegóły. Popełniłem tylko jeden błąd: podzieliłem się swoją wiedzą z synem. Mówiłem mu, żeby zachował ją dla siebie, ale on zbyt ufał swojej mistrzyni i nie powściągnął języka... Kiedy się zorientowałem, było już za późno: sekret znała nie tylko Anjali Sen, lecz i reszta z was. Miałem dwie możliwości: albo was wyeliminować, albo użyć do swoich celów. Wybrałem tę drugą. Żeby tu dotrzeć, potrzebowałem twoich pieniędzy, Meldonie, podobnie jak wiedzy

Hectora i siły waszych dwóch wierzących przyjaciółek... Sytuację kontrolowałem dzięki kupionym ludziom, takim jak Moon, Olsen, Turmaline czy Prawda...

- A więc... od początku walczyliśmy z tobą... - szepnął Rowen.

- Raczej dla mnie. Przecież mówię, że was wykorzystałem. Wiedziałem tyle co wy. Najpierw sądziłem, że Klucz znajduje się w Japonii, a kiedy zacząłem podejrzewać, że Kushiro ukrył w swoim laboratorium jedynie kolejną wskazówkę, zmieniłem plany i wysłałem tam tylko Inę z Danielem i Olive'a, abyście myśleli, że wygraliście... Czasem sporo ryzykowałem, nie chcąc w was wzbudzić podejrzeń, na przykład wtedy, kiedy moi ludzie zastawili na nas zasadzkę w Otago albo kiedy przez Svenkova wpadliśmy z Danielem w łapy tamtych fanatyków w maskach... W kamuflowaniu się pomagał mi fakt, że na powierzchni wciąż pozostawała osobowość mojego beznadziejnego syna, dzięki czemu nawet Anjali niczego nie wyczuła... Poza tym nikt, poza Turmaline, nie znał mojej tożsamości.

- Brzmiałoby to przekonująco - rzucił Darby - gdyby nie jeden drobiazg: Ezra Obed umarł przed kilkoma laty. Wszyscy byliśmy na jego pogrzebie...

Yil znowu się uśmiechnął. Jego głos mroził Danielowi krew w żyłach.

- Ja żyję, Hectorze. W porę dałem Yilowi odpowiednie wskazówki. Wiedziałem, że zrobi, cokolwiek mu każę, i tak też się stało. Rozdział Trzynasty mówi, że człowiek, aby wrócić do życia, musi zostać spalony. Mój syn ożywił mnie, naśladując opisany tam rytuał. Opanowanie jego umysłu nie nastęczało większych trudności...

- Mogę uwierzyć, że wszystko to sobie dokładnie zaplanowałeś, Yilu - oświadczył Darby - ale nie próbuj mnie przekonywać, że wskrzesiłeś swojego ojca...

Ku ogólnemu zdumieniu Yil zadumał się nad tą uwagą.

- Może masz słuszość, że w to nie wierzysz - rzekł w końcu z uśmiechem. - Ale to bez znaczenia, bo ja wierzę.

- I ta wiara... kazała ci zabić Brenta Schaumanna? - w głosie Darby'ego zabrzmiała pogarda.

- Zbyttno się zbliżył do... prawdy.

- Masz na myśli ostatnią z zatrudnionych przez siebie osób?

Yil znowu się uśmiechnął i w sali jakby pociemniało.

- Jest tutaj - oświadczył. - Nie widzę potrzeby tego przed wami kryć. Prawda jest tutaj, wśród was. Doprowadzi do końca moje dzieło. Zniszczy Klucz, nawet jeśli ja zginę - uściślił, wpatrując się w Darby'ego. - Tylko to się teraz dla mnie liczy...

- Yilu, Ezro czy kim tam właściwie jesteś - odezwał się Rowen. - I ja sądzę, że nie powinniśmy drażnić kwestii Klucza, ale po co go zaraz niszczyć?



- Żeby inni w przyszłości też nie mogli drażnić tej kwestii. Żeby ocalić wiarę, Meldonie. Ciebie interesowała w tym wszystkim jedynie rywalizacja, przygoda, czyż nie? Ale Klucz to dużo więcej niż trofeum zwycięzcy: otwiera Otchłań, oznacza śmierć Boga i koniec świata. Już zapomnieliście? Prastare podania mówią, że grozi zniszczeniem wszystkiego, co dla nas ważne, i teraz już rozumiem dlaczego. Bo choć twoja „teoria”, Hectorze, jest niedorzeczna, istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś zechciałby ją podchwycić... Nikt nie powinien wiedzieć, że to, w co wierzymy - twarz Yila wykrzywił grymas - może być dziełem przypadku!

- A co z nami?

- Obawiam się, że zginiecie razem z Kluczem.

- Sam nie wrócisz - rzucił wyzywająco Rowen.

- To bez znaczenia, jeśli tylko zdołam wykonać zadanie, które przed sobą postawiłem.

- A Anjali... - zaczął z wysiłkiem Rowen. - To ty ją zabiłeś?

- Yil nigdy by tego nie zrobił - wtrąciła Maya.

Kamienna twarz Yila zadrgała lekko.

- Owszem, ten głupek wyobrażał sobie, że czuje do niej „miłość”... Ale Anjali Sen, podobnie jak Schaumann, wyczuła obecność Prawdy. I zamierzała przepytac Turmaline, która zdradziłaby wam moje imię. Udając Yila, podszedłem ją bez trudu, tak samo jak doktora na Sentosie. Potrafię sprawić, że czyjeś serce przestanie bić ot tak, po prostu. Anjali Sen miała wielką moc, lecz była ranna i osłabiona, a ja jestem Ezra Obed Lane i głęboko wierzę w Rozdział Trzynas...

- Gardzę tobą, Ezro Obedzie - wybuchnął poblady z gniewu Rowen. - Zapłacisz za jej śmierć.

Jego słowa sprawiły, że i Daniel zebrał się na odwagę.

- To ty kazałeś porwać moją rodzinę i zabić moją żonę - powiedział.

Yil spojrzał na niego tak, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jego istnieniu.

- Och, Danielu, bawienie się z tobą w kotka i myszkę sprawiało mi doprawdy wiele satysfakcji... Choć do tej pory nie rozumiem, czemu Katsura Kushiro uczynił swoim *messenja* kogoś takiego. Podczas gdy ty zajmowałeś się pocieszaniem mojego tchórzliwego syna, ja z przyjemnością niszczyłem cię od środka. Jesteś nikim.

- Jeśli jestem nikim, nic mi nie możesz zrobić - rzekł Daniel, postępując krok do przodu.

Jednakże w tej samej chwili przemknął obok niego potężny kształt: to Rowen z krzykiem rzucił się na Yila. Wszystko stało się bardzo szybko: Rowen i Yil szamotali się

przez sekundę, potem huknął strzał. Maya, która również skoczyła naprzód, zachwiała się pod ciężarem osuwającego się na nią ciała.

- Dość tego! - rzucił Yil, mierząc do niej z pistoletu.

Maya zastygła w pół ruchu. Darby szlochał skulony nad zwłokami przyjaciela. Nawet Daniel nie potrafił powstrzymać łez na widok zakrwawionej piersi Meldona.

- Mogliśmy to załatwić spokojniej - oświadczył Yil. - Planowałem pozostawić was przy życiu do końca, ale widzę, że nie mam wyboru...

Podniósł lufę do głowy Mai. Daniel zamknął oczy.

Wtedy zgasło światło.

Rozległ się strzał, a potem krótki łoskot. Gdy znowu zapanowała jasność, Yil stał bez broni, krwawiąc z ust i uszu, a Maya celowała do niego z pistoletu. Mimo to chłopak uśmiechał się lekko.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś najlepsza, Mayu Müller.

Darby wyrwał jej broń z ręki.

- Zabiłeś wszystkich, których kochałem! - krzyknął do Yila.

- Więc proszę, strzelaj! - powiedział tamten, nie przestając się uśmiechać. - No, zemścij się na nas, zaprojektowanych, których nienawidzisz i pożądasz zarazem!

Darby dygotał, trzymając palec na spuście. Później, po chwili, która ciągnęła się w nieskończoność, opuścił rękę. Yil zaśmiał się ochryple.

- Oto podstawowa różnica między nami: ty, biologiczny, nie potrafisz zabijać, patrząc ofierze w twarz!

Maya zabrała Darby'emu pistolet.

- Ja nie potrzebuję patrzeć - stwierdziła.

Kiedy przebrzmiało echo wystrzału, Darby i Daniel podeszli do ciała. Rozciągnięty na podłodze Yil zdawał się wciąż uśmiechać.

- To nie była jego wina - szepnął Darby. - Wpływ ojca pomieszał mu w głowie i... - Przerwał, nagle poblady, wpatrując się w trupa.

Daniel poszedł za jego spojrzeniem i zrozumiał.

Ciało Yila zaczynało się rozsypywać i niknąć.

zaraz potem się zapadł, jakby nagle opróżniony, i zniknął. Mięśnie skurczyły się, wtapiając się w kości, a te z kolei popękały i rozpadły się w proch.

Darby i Daniel bez słowa patrzyli na miejsce, gdzie jeszcze chwilę wcześniej leżał Yil, będący teraz jedynie kupką prochu i zapisanym w pamięci obrazem. Darby potrząsał głową, jak gdyby toczył ciężką wewnętrzną walkę.

- Nie - powtarzał. - Nie... Tak mu się tylko zdawało... Wierzył w to i z tą wiarą umarł... Ale to nie znaczy, że nie mógł się mylić...

- Hectorze - odezwała się Maya, chowając twarz za zasłoną z włosów. - Rozdział Trzynasty opisuje techniki wskrzeszania ludzi z popiołów... Pamiętasz tatuaże Yila i ten medalion noszony przez niego na szyi? Ten w kształcie węża o dwóch głowach? To symbole związane z tym rytuałem... On nie kłamał: naprawdę przywrócił Ezrę do życia, na swoje zresztą nieszczęście...

Darby już zamierzał podjąć dyskusję, kiedy od strony scriptorium dobiegł ich przenikliwy sygnał dźwiękowy. Zaniepokojeni, pospieszyli zobaczyć, co się dzieje.

- Dane! Znikają! To Yil je odtworzył, a teraz... - zawołał Darby.

Daniel odwrócił się błyskawicznie, rzucił ku kablom i rozłączył je, zanim Maya czy Darby zdążyli zareagować. Ekran zgasł.

- To na nic - pokręcił głową Darby. - Już Yil o to zadbał. Jesteśmy w punkcie wyjścia. Żeby się jeszcze czegoś dowiedzieć, musimy ponownie nawiązać połączenie z tymi starymi maszynami. Spróbuję to zaraz zrobić, posługując się własnym scriptorium.

Przesunął dłonią po twarzy i uspokoił się nieco.

- Zostaliśmy tylko my troje - powiedział. - Nie ma sensu dłużej tu siedzieć. Proponuję zastanowić się, co stąd zabrać, na dowód, że Klucz rzeczywiście istnieje. Podczas gdy ja będę ściągał dane, wy moglibyście zejść na przykład po jakieś narzędzia z tego laboratorium, gdzie projektowano ludzi. Potem wrócimy na okręt. Jestem pewien, że zabierze nas z powrotem w okolice Dunedin.

- Zostaliśmy my troje plus Prawda - zauważyła Maya.

Daniel i Darby popatrzyli w jej stronę. Na twarzy Darby'ego znowu pojawił się niepokój, jak stary przyjaciel, niezdolny opuścić go na dobre.

- Yil twierdził, że Prawda jest wśród nas, i ja mu wierzę - dorzuciła Maya. - Poza tym to podobno ktoś, kto głęboko wierzy w Rozdział Czternasty, Ostatni. Wiesz, co to oznacza, Hectorze?

Darby przytaknął. Jego twarz pobieliała.

- Że potrafi opanowywać umysły innych ludzi - szepnął.

Daniel przypomniał sobie Mitsuko i przełknął ślinę.

- Czyli może być każdym z nas trojga - ciągnęła spokojnie Maya. - Może kontrolować jedno z nas w tej właśnie chwili. A my i tak nic nie zauważymy.

- Ale w takim razie... - Darby spojrział na nią przerażonym wzrokiem. - Jak mamy się bronić?

Ani Maya, ani Daniel nie udzielili mu odpowiedzi. Przez chwilę słychać było jedynie trzy przyspieszone oddechy i dochodzące gdzieś z dołu metaliczne poskrzypywanie, które kojarzyło się Danielowi z płaczącą skargą jakiegoś stworzenia.

- Przede wszystkim należy się upewnić, że wchodzimy w grę wyłącznie my troje - oświadczyła Maya. - Anja i Meldon nie żyją, ale istnieją sposoby, by, przynajmniej przez jakiś czas po śmierci, obcy umysł mieszkał w zwłokach. Na jednym z niższych poziomów są spopiarki. Trzeba spalić ciała, a prochy rozpuścić w kwasie lub wyrzucić na zewnątrz...

- Ja muszę tu zostać i zająć się danymi - rzekł Darby.

- W porządku. Tylko nie zrywaj łączności. Masz tu przekaźnik. Jeśli usłyszymy coś dziwnego albo jeśli ty coś takiego usłyszysz, natychmiast zaczynamy się szukać.

Ponieważ nikt nie miał lepszego pomysłu, rozdzielili między siebie broń. Maya wzięła potężny dwulufowy karabin Svenkova, do którego było jeszcze trochę naboju, Daniel wybrał pistolet Yila, a Darby'emu został ten Rowena. Spieszyli się. Jedyne Maya zachowywała względny spokój.

Gdy wraz z Danielem szli już w dół po pochylni, przystanęła nagle.

- Jeszcze jedno - rzuciła. - Walczymy z bardzo szczególnym wrogiem. Dlatego jeśli cokolwiek w zachowaniu któregoś z nas, łącznie ze mną, rzecz jasna, wzbudzi nasze podejrzenia, musimy strzelać bez wahania. Nie dostaniemy drugiej szansy. - Urwała na moment, jakby chcąc, by Darby i Daniel przetrwali jej słowa. - Nie zapominajcie, że Prawda lubuje się w kłamstwach.

Po czym, nie czekając na odpowiedź, ruszyła przed siebie.

# Rozdział czternasty

## *Ostatni*

### 1

Na widok Anjali Sen Daniel poczuł dreszcz. Sztywność pośmiertna sprawiła, że przytrzymujące ciało taśmy napięły się jak struny. Kiedy Maya odwiązała górną - zwłoki ciężko pochyliły się do przodu. Oczy Anjali, dwa onyksy, w których zastygło przerażenie, zdawały się wpatrywać w Daniela.

- Biedna Anja - powiedziała Maya, głaszcząc zmarłą po ciemnym ramieniu. - Jak ten Yil mógł! Żeby zabić kogoś, kogo tak kochał! Chociaż to właściwie nie on... - Potrząsnęła głową i wzięła się do pracy. - Pomóż mi z tymi sznurami...

Dwie zwisające z sufitu liny przytrzymały katafalk w wymaganej, niemal pionowej pozycji. Daniel przysunął sobie fotel i stanąwszy na nim, zdołał poluzować jeden ze sznurów, podczas gdy Maya robiła to samo z drugim. Potem przysiadł na oparciu fotela i zapytał:

- Mogłabyś mi wytłumaczyć, jak to możliwe, żeby ktoś panował nad umysłem kogoś innego, nawet nieżyjącego?

- To kwestia wiary - odparła Maya, opuszczając katafalk. - Rozdział Czternasty opowiada o kobiecie, która opanowuje umysł pewnego mężczyzny, gdy tymczasem jego umysł zamknięty zostaje w jej martwym ciele. Przy okazji podane tam są metaforyczne wskazówki, jak dokonać takiej zamiany...

- Prawda to potrafi - stwierdził Daniel, wstrząsając się znowu na wspomnienie Mitsuko.

Maya skinęła głową. Pochylała się nad Anjali, odwiązując drugą szarfę.

- To coś w rodzaju czarów - rzuciła. - Tych, którzy je praktykują, nazywa się nekromantami. Odpowiednie wykorzystanie mocy Rozdziału Czternastego pozwala im na

rozmaite okropności... Potrafią na przykład sprawić, że żywy umysł działa w martwym ciele... Tego typu bluźnierstwa... Gotowe - powiedziała, wciąż pochylając nad Anjali. - Teraz znieśmy ją na dół. Sama dam radę. Trzeba tylko wziąć z kajut nasze rzeczy i coś do przetransportowania tamtych ciał na dole... Wystarczy kilka prześcieradeł.

Złożyli Anjali na podłodze i zeszli poziom niżej. Było zupełnie cicho. Z przekaźnika, który Maya zawiesiła sobie u pasa, dobiegały odległe szmery. Czasem wyławiali spośród nich pokasływanie Darby'ego albo charakterystyczne dla niego uwagi: „Otóż to...” lub: „Doskonale...”. Maya spytała, czy wszystko w porządku, i otrzymała odpowiedź twierdzącą.

Podzielili się zadaniami. Daniel poszedł do swojej kajuty i przykucnął przed półką, na której zostawił wodę i jedzenie na drogę powrotną. Zgarnął to wszystko i wtedy poczuł coś dziwnego.

Rozejrzał się dokoła, ale nie ustalił, o co chodzi. Jakby mu coś mu umykało.

Wstał i zwinął prześcieradło. Drzwi za jego plecami otworzyły się cicho.

- Skończyłeś? - spytała Maya.

Ona z kolei zdążyła już zajrzeć do kajut należących do Rowena i Darby'ego. Wspólnie przeszukali jeszcze kabinę Yila, a nie znalazłszy nic ciekawego, wrócili na górę. Maya zarzuciła sobie na plecy ciało Anjali, Daniel zaś wziął dwie torby z prześcieradłami i ekwipunkiem. Powoli zeszli na sam dół i przez klapę w dolnym walcu przedostali się do wnętrza Klucza.

Do tego czasu wrażenie, że coś jest zdecydowanie nie tak, spotęgowało się w Danielu niepomierne.

## 2

- Jak idzie? - spytała Maya, układając zwłoki Anjali na ziemi i owijając je w prześcieradło.

- Powoli - odrzekł lakonicznie Darby.

Mimo że pozostawali w nieustannym kontakcie, wróciwszy do niebieskiej sali, widząc, że Hector, ciągle skupiony na swojej pracy, ma się całkiem dobrze, Daniel odczuł ulgę. Ale niepokój i tak narastał.

W kolejne prześcieradło owinęli Rowena. Był już zimny i zaczynał sztywnieć. Daniel, z trudem powstrzymując łzy, myślał o tym, jak dobrze byłoby wierzyć, że przyjaciel przechadza się już wraz z Anjali po zielonych brzegach opisywanych przez Rozdział

Pierwszy.

Znów zgąsło światło i w ciemności przerażenie Daniela jeszcze się wzmogło. Dotykał lodowatej skóry Meldona, słyszał uwagi Darby'ego, a potem nagle wszystko to znikło, on zaś znalazł się w zupełnie innym miejscu: w sali zalanej światłem tak jasnym, że paradoksalnie uniemożliwiającym dostrzeżenie szczegółów. I znów - tak jak na szczycie Starej Wieży w Tokio i w domu Svenkova - miał naprzeciw siebie Prawdę, tym razem w postaci... Właśnie, w czyjej?

Na wpół oślepiiony, nie widział dobrze jej twarzy, słyszał jednak głos i czuł obezwładniający lęk. *Jestem tym, co zobaczysz tuż przed śmiercią...*

Kiedy generatory uruchomiły się ponownie, wizja ta skryła się, jakby przysłonięta chmurą. Lęk wszakże pozostał.

- Skończmy z tym - odezwała się Maya. Danielowi trzęsły się ręce, więc podeszła, żeby mu pomóc.

Była najsilniejsza i najlepiej przygotowana z nich trojga, choć jej dłoń, poprzecinana włosami Turmaline i wciąż obandażowana, nie odzyskała jeszcze dawnej sprawności.

Wreszcie pożegnali się z Darbym i dźwigając zwłoki, ruszyli w dół pochylni.

Daniel szybko się zmęczył. Rowen ważył niemało; trzeba było nieustannie uważać, żeby się nie poślizgnąć. Mrok, rozbrzmiewający metalicznym poskrzypywaniem, które odbijało się echem w rozległych przestrzeniach, też nie ułatwiał sprawy. Danielowi wydało się, że zwiększyło się natężenie i częstotliwość tych dźwięków, jak gdyby Klucz zaczynał powoli ulegać odwiecznemu naporowi morza.

Maya również ciężko dyszała, kulejąc, zgięta wpół pod ciężarem Anjali. Ciemna dłoń zmarłej wystawała spod prześcieradła i kołysała się, oświetlana przez latarkę Daniela, jedyną, jaką zapalili.

Minęli kilka wymarłych, fantasmagorycznych poziomów, przystając od czasu do czasu jedynie dla zaczerpnięcia oddechu. Daniel odezwał się tylko raz:

- Co zrobimy, jeśli nie działają? Spopielarki, znaczy.

Maya uniosła głowę. Jej rozwichrzone zazwyczaj jasne włosy pociemniałymi od potu pasmami kleiły się do twarzy. Daniel przypomniał sobie, jak inaczej wyglądała na Sentosie, owego popołudnia, gdy jeździli razem konno.

- Powinny działać - szepnęła. - Ale w razie czego rozpalimy zwyczajny ogień.

Dotarli do laboratorium i zaczęli się przeciskać między stołami i przeszkłonymi szafami. Wtedy Maya nagle się zatrzymała.

- Opisz mi to, co widzisz przed nami.

- Widzę ścianę - Daniel podniósł latarkę: po gładkiej powierzchni spływały połyskliwe strużki, upodabniając ją do złanej krwi skóry. - I zamknięte drzwi.

Maya westchnęła, pochyliła się i złożyła ciało na mokrej posadzce. Potem zanurzyła dłoń w wodzie i podniosła palce do ust.

- Na szczęście nie jest słoń - powiedziała. - Pewnie pękły kolejne rury, przez co automatycznie pozamykały się następne wejścia, między innymi to, które prowadziło do korytarzyka ze spopieliarkami. Nie możemy iść dalej... - Stała ze zwieszonymi ramionami, jakby nagle opadła z sił.

- Co teraz? - wysapał Daniel, układając zwłoki Rowena obok Anjali. Czuł, że coś się nie zgadza.

Maya pokuśtykała ku ścianie. Jej wiązane na tydkach buty z chlupotem rozpryskiwały kałuże.

- Musimy znaleźć inne wejście albo spróbować odblokować to tutaj. Obejrzyj tamten kąt, może natkniesz się na jakiś mechanizm...

- Nie powinniśmy się rozdzielać...

- Nie rozdzielimy się. Po prostu ja będę szukać tutaj, a ty kawałek dalej.

Daniel posłusznie ruszył we wskazanym przez nią kierunku. Oświetlając sobie drogę, wkrótce zrozumiał, co mu się nie zgadzało.

- Pomyliliśmy się - zawołał. - Do spopieliarek idzie się tędy, dobrze pamiętam...

Teraz słyszał jedynie swój własny, zwielokrotniony przez echo głos. Szum przekaźnika i kroki dziewczyny umilkły.

Coś było *naprawdę* nie w porządku.

- Maya? - Odwrócił się, unosząc latarkę.

Snop światła wy dobył z ciemności mokrą posadzkę, parę czerwonych butów, gołe nogi, pas z bronią, piersi i groźnie wycelowany dwulufowy karabin Svenkova.

W tym momencie karabin wystrzelił.

### 3

Kiedy wybrzmiał ogłuszający huk, Daniel zrozumiał dwie rzeczy: po pierwsze - że nic mu nie jest, a po drugie - że Maya nie mogła chybić z takiej odległości. Musiała to zrobić specjalnie, choć nie rozumiał - i nie miał czasu próbować zrozumieć - ani dlaczego w ogóle strzelała, ani dlaczego postanowiła nie trafić.



Karabin wciąż mierzył w jego stronę i Daniel przeczuwał, że tym razem Maya postara się bardziej.

Jeśli to była Maya.

*Prawda może kontrolować umysły innych ludzi.*

Zadziałał instynktownie: sięgnął po własny pistolet.

- Rzuć broń, Danielu - odezwała się Maya.

Nie usłuchał. Uniósł pistolet i stwierdził, że przemieściła się z niewiarygodną wręcz szybkością i znikła w mroku. Wycelował na oślep, ale uświadomił sobie, że wcale nie chce strzelać. W każdym razie nie do niej.

Nie opuszczając broni, cofnął się i schronił w korytarzyku prowadzącym do spopielairek. W tym momencie pocisk odłupał kawałek kamienia przy samym wejściu.

Wtedy ją zobaczył: klęczała pod przeciwległą ścianą, pospiesznie ładując karabin.

- Daniel, rzuć broń! - powtórzyła, ale zabrzmiało to bardziej jak prośba niż rozkaz.

Dlatego nie potrafił odpowiedzieć ogniem. Cofnął się tylko kilka kroków, bojąc się oderwać wzrok od wejścia do korytarza, z pistoletem w dłoni i latarką chybotającą się na piersi. Postanowił, że strzeli tylko wtedy, gdy Maya zacznie go ścigać.

Ale dokąd miał uciekać? Słyszał dochodzący skądś pomruk maszyn. Może mógł się gdzieś ukryć, jakoś ją zmylić. Bo w bezpośrednim starciu z Mayą Müller - albo z kontrolującą jej ciało Prawdą - nie widział dla siebie żadnych szans.

Gdy się tak zastanawiał, ujrzał zarys jej sylwetki w wejściu do korytarza. Napiął palec, ale kiedy już miał nacisnąć cyngiel, postać znikła, jakby zapadła się pod ziemię. Przesunął latarkę w dół i zobaczył, że Maya gorączkowo usiłuje się poderwać, a jej pas z kółek stuka o ziemię. Musiała się pośliznąć. Nie widział karabinu, może przy upadku wysunął jej się z rąk. Tak czy owak nie mógł tego sprawdzić. Puścił się biegiem i wkrótce minął zakręt. Bał się, że też się pośliznie, ale fakt, że był boso, dawał mu przewagę.

Na zakręcie rozlegało się wycie i strzelały pomarańczowe iskry. Nie miał pojęcia, kiedy włączył się alarm - jeśli to był alarm. Przypuszczał, że któraś z kul uszkodziła jakiś mechanizm.

Nieco dalej stało opartych o ścianę parę metalowych zbiorników, a nad nimi wznosiła się pokryta siecią kabli i rur platforma, z której wyrastały potężne kolumny. Daniel pomyślał, że jeśli da radę się tam wspiąć, może zdoła uciec. A przynajmniej zyska trochę czasu. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić co dalej.

Wskoczył na jeden z pojemników, rzucając pistolet na górę. Oparł stopy na pokrywie pojemnika i złapał za krawędź platformy.

Właśnie wtedy, kiedy kołysał się w powietrzu, usłyszał kroki.

Podciągnął się pospiesznie, złapał broń i wycelował snop światła wiszącej mu na szyi latarki: miał przed sobą prawdziwy labirynt z grubych rur, idealną kryjówkę.

Pobiegł jednym z wąskich przejść, między metalowymi kablami. Przez chwilę zastanawiał się, co będzie, jeśli któraś z kul trafi w tę lub inną rurę. Wszystko wybuchnie? Zostanie zalane?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie kilka rur po prawej stronie pękło z hukiem. Nic gorszego nie nastąpiło, ale Daniel zrozumiał, że Maya dostała się na platformę. Obejrzał się i zobaczył swoją prześladowczynię kilka metrów za sobą. Najgorsze wydało mu się, że ten ostatni strzał nie był chybiony naumyślnie: Maya chciała zabić.

Skrecił gwałtownie, a wtedy przerdzewiały metal ustąpił nagle pod jego stopami. Daniel usiłował chwycić się jakiejś rury, ale jego palce bezradnie ślizgały się po mokrej powierzchni. Spadł wśród kawałków przerdzewiałego metalu, drutów i czegoś, co mogło być gromadzącym się przez stulecia kurzem. Po drodze zgubił gdzieś pistolet i zaplątał się w gruby kabel, a szarpiąc się, zaplątał się jeszcze bardziej.

Usłyszał hałas pod sufitem i uniósłszy wzrok, stwierdził, że jego prześladowczyni miała więcej szczęścia, co sprzyjało i jemu. Znajdowała się wciąż na platformie, niepewna, być może, czy skakać, czy strzelać z góry. Widoczna w świetle pomarańczowych rozbłysków, miotła się jak wściekłe zwierzę. Daniel pomyślał, że ogłuszające wycie alarmu również działa na jego korzyść, ponieważ dezorientuje Mayę.

Sprężył się, podkulił nogi i wreszcie oswobodził się ze splotów kabla.

Nie wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku - jak mu się początkowo zdawało: bardzo bolały go zębra. Jednakże nogi, które w tym momencie liczyły się najbardziej, nie ucierpiały.

Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł pistoletu. Co gorsza, przy upadku zepsuła się latarka. Pobiegł więc w ciemności rozświetlanej tylko pomarańczowymi błyskami. Kolumny, które zdawały się wyrastać z platformy na górze, w rzeczywistości zaczynały się już tutaj. Słyszając z tyłu kroki, przycupnął za jedną z nich. Maya zbliżała się bez pośpiechu. Utykała jeszcze bardziej niż poprzednio, ale szła w stronę Daniela jak po sznurku.

- Nie mam wyboru, Danielu... - powiedziała.

Postanowił zaryzykować. Wypadł ze swojej kryjówki i popędził zygzakiem, kryjąc się za kolejnymi filarami. Jedna z kul z oszalałym świstem odbiła się od któregoś z nich.

Dotarł do odchodzącego w bok korytarza i stwierdził, że ma przed sobą spopieliarki. Innej drogi nie było. Musiał się cofnąć. A cofnąć się znaczyło stanąć przed dwulufowym

karabinem Svenkova trzymanym w dłoni przez kogoś, czyj umysł kontrolował zabójca.

Daniel schował się więc za jednym z ustawionych pionowo katafalków, do których przywiązane były szkielety. Czekał na śmierć.

W korytarzu rozległy się kroki. I napięty głos.

- Ty już nie jesteś Danielem...

Wtedy Daniel Kean ujrzał wszystko w innym świetle.

Uciekał, sądząc, że Maya uległa Prawdzie, lecz ostatnie słowa dziewczyny sugerowały coś zupełnie innego.

- Maya! Posłuchaj! *Jestem* Danielem! - urwał, czekając na reakcję, która nie nastąpiła.

- A ty co myślałaś? Co się stało?

Odpowiedziało mu milczenie. Nie słyszał już nawet kroków.

A jeśli oszukiwała? Jeśli chciała go po prostu zmylić, zwabić w pułapkę? Wtedy jednak przypomniał sobie tamten pierwszy, chybiony strzał. Nie, Maya *nie chciała* go zabić - czuła, że *powinna*, pewnie dlatego, że podejrzewała go o to samo, o co on podejrzewał ją. Tylko dlaczego?

Wiedział, że mówiąc, zdradza swoją kryjówkę, ale nie potrafił się powstrzymać.

- Maya! Odpowiedz mi, proszę!

W tym momencie usłyszał coś zaskakującego: szloch.

Wyjrzał zza katafalku i w widmowym, niebieskawym świetle zamocowanych pod stropem lamp zobaczył ją klęczącą przed spopieliarkami. Wyciągała ku niemu karabin.

- Zabierz go - poprosiła. - Daniel! Zabierz go, błagam!

To mógł być podstęp, ale rozpaczliwe drżenie jej ramion sprawiło, że Daniel nabrał zaufania. Podszedł do niej i wziął broń, zaciskając palce na ciepłej jeszcze kolbie.

- Co zrobiłem, że zaczęłaś mnie podejrzewać?

- Nie wiem... - Wciąż nie podnosiła się z kolan. - Niewiele pamiętam. To przyszło mi do głowy, kiedy wracaliśmy z okrętu z ciałem Anjali. Nie umiałam odegnąć tej myśli. Trzymaj mnie na muszce, mogę zrobić coś nieprzewidzianego... Albo najlepiej mnie zastrzel.

- Nie - odrzekł, świadom, że nie byłby w stanie tego zrobić.

- Ten głos... - jęknęła Maya. - W moim mózgu... Usiłował mnie przekonać, że powinnam cię zabić... Proszę, zastrzel mnie...

- Istnieje inne rozwiązanie. Daj mi swój pas.

Usłuchała natychmiast, jakby domyślając się jego zamiarów. Daniel upewnił się, że metalowe kółka wytrzymają, a kłamra będzie trudna do odpięcia jedną ręką. Jego plan nie należał może do doskonałych, ale okoliczności nie pozwalały na nic lepszego. Cofnął się z

karabinem w pogotowiu.

- Wstań i obejmij tę rurę - powiedział.

Wzmocnił więzy własnym paskiem, tak aby klamra pozostawała poza zasięgiem palców dziewczyny. Maya pomagała mu skwapliwie. Następnie zabrał jej zapasowe naboje i uruchomił przekaźnik, który - tak jak przypuszczał - wyłączyła. Natychmiast usłyszał przerażony głos Darby'ego.

- Co się dzieje? Połączenie się przerwało!

- Wszystko w porządku, Hectorze - zapewnił Daniel, dochodząc do wniosku, że później przyjdzie czas na dokładniejsze wyjaśnienia. - Zaraz wracamy.

Darby sapał z przejęcia.

- Coś znalazłem! Coś ważnego! Musicie to zobaczyć!

Daniel zapewnił, że już idą, wyłączył przekaźnik i spojrzał na stojącą spokojnie Mayę. Całkiem naga i straszliwie brudna, z zamkniętymi oczyma i mokrymi włosami wyglądała, jakby ktoś uwięził ją wewnątrz koszmaru. Daniel pogłaskał ją po twarzy.

- Wolałbym cię tu samej nie zostawiać, ale tak chyba będzie najlepiej - szepnął.

Skinęła głową. Daniel rozejrzał się dokoła i coś sobie przypomniał.

- Zwłoki! Muszę je tu przynieść...

- Nie, posłuchaj, to już bez znaczenia - przerwała mu Maya. - Jeśli Prawda potrafi opanować mój umysł, to znaczy, że jest w żywym ciele... I oboje wiemy w *czyim*... - Poruszyła się niespokojnie, z policzkiem opartym o rurę. Wilgotne włosy wiły się po jej twarzy jak węże. - To musi być on... Zostaliśmy tylko my trzej... To musi być *on*!

- Nie wierzę - zaprotestował Daniel, ale w jego duszy rodziła się wątpliwość.

Idąc, jeszcze z daleka słyszał wołanie:

- Uwważaj, Danielu. To *musi* być Hector!

## 4

Szedł pod górę, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Nie chciał wierzyć w to, co mówiła Maya, z drugiej jednak strony, jeśli świadomie próbowała nim manipulować, dlaczego po prostu nie zabiła go, kiedy miała okazję? A może po prostu się pomyliła? Ale w takim razie - kogo powinien podejrzewać? Darby'ego, ją czy... siebie? Czy mógł - w taki lub inny sposób - być Prawdą i nic o tym nie wiedzieć?

Jedno nie ulegało wątpliwości: został sam. Całkiem sam. Nie miał co liczyć na Mayę

ani na Darby'ego. Zastanawiał się, czy Katsura Kushiuro przewidział także i to, że na koniec wszystko będzie zależeć od jego *messenja*.

Dotarłszy do odcinka pochylni, który kończył się niebieską salą, odbezpieczył broń, choć nie bardzo wiedział po co; nie potrafiłby strzelić do Darby'ego, nawet gdyby ten przyznał, że jest Prawdą.

- Hectorze?

Nie spodziewał się, że odpowie mu cisza zakłócana jedynie skrzypieniem dochodzącym gdzieś z czeluści Klucza. Spiał się cały. Karabin drżał mu w dłoniach.

Pokonując ostatnich kilka metrów, był pewien, że wśród niebieskich ścian nie zobaczy nikogo albo - na samą myśl drętwiał z przerażenia - że znajdzie na podłodze martwe ciało Darby'ego. Jednakże Hector stał w głębi, odwrócony tyłem i całkowicie nieruchomy.

- Hectorze... - Daniel wycelował w jego stronę karabin. - Co się dzieje?

Darby zdawał się zbierać w sobie. Koszulę miał mokrą od potu.

- Witaj, Danielu - rzucił, nie zmieniając pozycji. W jego spokojnym na pozór głosie brzmiała dziwna, alarmująca nuta.

- Co trzymasz w dłoni? - zagadnął podejrzliwie Daniel.

Darby odwrócił się wreszcie i pokazał mu książkę.

- To moja Biblia - odparł, po czym zamrugał ze zdumieniem, dostrzegając wycelowaną w siebie broń. - Co robisz? Gdzie Maya? - zapytał swoim zwykłym głosem.

Daniel postanowił opowiedzieć mu, co zaszło. Darby słuchał w milczeniu, szeroko otwierając oczy, w których odbijały się obrazy ze ściągającego dane scriptorium, a na koniec, gdy zapadła cisza, uczynił coś, co zupełnie zdezorientowało Daniela: wykrzywił skryte wśród potarganej brody usta w dziwnym uśmiechu, upodabniającym go do gargulca.

- A więc... uważacie, że Prawda kontroluje Mayę, tak? - To rzekłszy, wyciągnął rękę, ale widząc, że Daniel podnosi wyżej karabin, zastygł w pół ruchu. - Chciałem tylko odłożyć tę książkę... Danielu, rozumiem, w jakim stanie są twoje nerwy, ale jeśli te nerwy sprawiają, że choćby przez pomyłkę naciśniesz spust, nie dowiesz się paru ciekawych rzeczy...

Tak, to był sposób wyrażania się właściwy Darby'emu. Rozpoznając ten ironiczny ton, Daniel uspokoił się nieco. Postąpił kilka kroków do przodu, ale broni nie opuścił. Darby pytająco uniósł brwi.

- Będziesz dalej do mnie mierzyć z tego żelastwa czy raczej posłuchasz, co mam do powiedzenia?

- Mogę robić obie te rzeczy naraz.

- Podziwu godna podzielność uwagi - stwierdził Darby. - Niestety, całkowicie mi

obca. Kiedy ktoś do mnie celuje, przestaję mówić, to odruch bezwarunkowy. Mój język potrafi artykułować słowa tylko w sprzyjających warunkach. - I nagle, jakby stracił cierpliwość, krzyknął: - Och, przestań! Czego się boisz? Przecież nawet nie jestem uzbrojony! A jeśli Prawda ma taką moc, jak twierdzicie, na co ci się przyda ta pukawka? - Tu znowu dziwnie się uśmiechnął. - Zapewniam cię, że nie jestem Prawdą. Ale ci ją przedstawię...

Daniel wahał się przez chwilę, po czym powoli zawiesił karabin na ramieniu.

Darby stał zaszępioty. Bynajmniej nie wyglądał na uspokojonego, a oczy błyskały mu podejrzliwie, jak gdyby Daniel, ulegając jego perswazji, jedynie potwierdził powagę swojej groźby. Daniela natomiast ogarnęła fala dziwnego zaufania. Wciąż nie wiedział, czy postępuje słusznie, ale postanowił zdać się na Darby'ego, tak jak to uczynił pierwszego dnia w Königshafen.

- Słucham - rzucił.

Po dłuższej chwili Darby uśmiechnął się i odłożył Biblię na stół.

- Gratuluję racjonalnej decyzji. Bo gorsza od Prawdy może być jedynie wiara w nią.

- Starczy tych konceptów. Co chciałeś powiedzieć?

- Już się streszczam - Darby wyciągnął swe ogromne, włochate łapy obronnym gestem. - Prawda nie istnieje, a jeśli nawet istnieje, nie ma mocy, którą jej przypisujemy... Nie potrafi zająć cudzym umysłem ani tym bardziej kontrolować zmarłego. Niezwykłe umiejętności wierzących to częściowo kwestia woli, a częściowo iluzji. Co ciekawe, ty uważałeś tak od początku... Gdybym nie stracił wiary w ludzi wierzących, posunąłbym się do twierdzenia, że Katsura Kushiro wiedział, co robi, gdy cię wybierał...

W tym momencie zgasło światło. Daniel próbował zachować swój świeżo odzyskany spokój, ale gęsta czerń wokół budziła w nim na nowo wszystkie lęki. Sięgnął po karabin, lecz coś go powstrzymało. Wyłowił z mroku niewyraźną sylwetkę Darby'ego, który po krótkiej chwili podjął wątek, nie zwracając najmniejszej uwagi na ciemność, skupiony na czymś innym, znacznie chyba istotniejszym.

- Danielu, rozumiem już teraz, dlaczego Katsura przerwał studia nad Kluczem i zrzucił to zadanie na barki potomnych. Wiem już, dlaczego jego ludzie woleli umrzeć, niż wrócić z wieścią o tym, co odkryli...

Daniel czekał, Darby jednak pograżył się w milczeniu.

- No, dlaczego?

- Bo nasz świat opiera się na fałszu - szepnął Darby, a w jego głosie zabrzmiała zgroza.

Zanim skończył to zdanie, ponownie zapaliło się światło.

- Nasz świat opiera się na czternastu tekstach - ciągnął - wybranych przez to tutaj scriptorium dla spragnionych religii, urodzonych w Kluczu nowych ludzi. Opiera się na czternastu tekstach wybranych przez przypadek! Rozdział Czwarty i Piąty zostały wyselekcjonowane dlatego, że jeden zawierał odpowiednie współrzędne, a drugi mówił o zjawisku odpowiadającym temu, co rzeczywiście stało się na Ziemi... Właśnie się przekonałem, że pozostałe po prostu stanowiły z tymi dwoma całość. Wyszły spod pióra tego samego anonimowego autora, operowały tą samą terminologią... Scriptorium określa je wszystkie mianem „mitów”. A my na ich podstawie zbudowaliśmy cały system! Przeczytaliśmy je, uwierzyliśmy w nie, wykreśliliśmy z nich to, co się nie zgadzało, zinterpretowaliśmy je stosownie do swoich potrzeb... Jednym słowem: uczyniliśmy z nich teksty święte. - Darby zerknął na leżącą obok Biblię. - Wiesz, że nie jestem wierzący, nigdy nie byłem, a jednak to odkrycie mną wstrząsnęło. Nie wiem, czy tobą też, ale zakładam, że tak. Pomyśl więc, co będzie, jak dowiedzą się o tym inni. Kto wie, co się stanie z ludzkością... Nic dziwnego, że Yilowi tak bardzo zależało na zachowaniu tego w tajemnicy...

Daniel zrobił kilka kroków, jakby starając się zebrać myśli.

- Jakie masz dowody? - spytał.

- Właściwie żadnych - oświadczył niefrasobliwie Darby. - To tylko moje domysły i przypuszczenia. Przejrzałem, bardzo zresztą pobieżnie, tysiące, może dziesiątki tysięcy zapisów, notek, tytułów prasowych... Historycy zrobią z tego znacznie lepszy użytek niż ja. Ale wniosek nasuwa się sam: przez te miliony lat, jakie upłynęły, zaczęliśmy mylić przyczynę ze skutkiem. Uznaliśmy, że wiara jest prawdziwa, bo można dzięki niej dokonać rzeczy inaczej niemożliwych, a tymczasem było na odwrót: uznając, że jest prawdziwa, *wyobraziliśmy* sobie, że można dzięki niej dokonać rzeczy inaczej niemożliwych. - Postukał palcem w okładkę. - Wierzyliśmy w te teksty tak bardzo, że na ich wzór ukształtowaliśmy rzeczywistość. I świat, jak świeża glina, dopasował się do tego modelu. Chcesz dowodów? Proszę, oto one - wskazał na ekran scriptorium. - Wedle najstarszych dokumentów kiedyś wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Nawet po zejściu Koloru. Nikt nie mógł opanować niczyjego umysłu ani wskrzesić nikogo z popiołów... Nie było żadnego złego bóstwa śniącego w głębi wód ani zrodzonych z niego potwornych hybryd, ani... Biedna Maya! Ani nawet podziemnego, zamieszkiwanego przez trupy Zapomnianego Miasta. Nie było strachu! Przynajmniej w takiej formie, w jakiej my go znamy.

- Ale przecież Maya znalazła to Miasto... I sam widziałeś Anjali unoszącą się nad urwiskiem... A tam... - Daniel machnął ręką w stronę, w którą wołał nie patrzeć. - A tam wciąż leżą prochy Yila, które rozsypały się na naszych oczach! Zresztą, przypomnij sobie, w

jaki sposób się tu dostaliśmy! Katsura Kushiro wszystko zaplanował i doprowadził nas tu wyłącznie dzięki swojej wierze!

- Świeża glina! - wykrzyknął Darby rozgrzany dyskusją. - Mówię ci: świat jest dla ludzkiego umysłu jak glina dla rąk! Kiedy Maya wysunęła argument, że wierzący dokonują rzeczy niemożliwych, nie umiałem jej odpowiedzieć. Ale teraz już wiem! Wychodząc od tych czternastu tekstów, stworzyliśmy nowy model, a rzeczywistość posłusznie wlała się w tę przygotowaną przez nas formę. Co jednak nie zmienia faktu, że owa forma jest równie fałszywa jak teksty, na podstawie których powstała! Gdybyśmy zdołali *uwierzyć* w coś innego... Gdyby ludzie wiedzieli, że to... To! - zawołał, potrząsając książką. - Gdyby ludzie wiedzieli, że to nieprawda, może potrafiliby zmienić model, żyć wreszcie bez strachu i fanatycznego czepiania się przekonań, które są skutkiem błędów w lekturze! - Jego oczy błyszczały. - Klucz do Otchłani, Danielu! Pamiętaj, co się o nim mówi? Że jeśli się go znajdzie, zabije się Boga, wyzwalaając ludzi od lęku! Oby tak było!

Daniel czuł łyzy pod powiekami i ściskanie w gardle. Odnosił wrażenie, że coś rozbłysło w jego wewnętrznej ciemności, że otworzyły się przed nim nowe horyzonty. Na widok rozentuzjasmowanego Hectora odkrywał w sobie nieznane pokłady energii, choć dziwna teoria tamtego budziła przede wszystkim przerażenie.

Czy to ona właśnie była przyczyną narastającego w nim niepokoju?

Darby błagalnie wyciągnął ręce.

- Możemy wszystko zmienić, Danielu! Być może sami już tego nie zobaczymy, a na pewno jest za późno dla ludzi takich, jak mój ojciec, których wiara doprowadziła do szaleństwa... Ale wraz z upływem lat, kiedy ludzkość pozna fałsz tej księgi, rzeczywistość się zmieni!

Daniel z zaskoczeniem stwierdził, że oto ścisną Darby'ego, ulegając targającym nim burzliwym emocjom. Czuł ostry biologiczny zapach, ciężar głowy, która wsparła się na jego szczupłym, gładkim ramieniu.

- Och, Danielu! - szlochał Darby. - Gdyby Brent i Meldon mogli dzielić z nami tę wiedzę!

Daniel bardzo chciał dać się porwać, ale coś mu w tym przeszkadzało, coś trudno uchwytnego, lecz niemożliwego do zignorowania. Nagle popatrzył na Hectora, jakby nie rozumiał, dlaczego właściwie trzyma go przy piersi. Odsunął się.

- Ten model, jak mówisz, ta forma... - zaczął powoli, dygocąc lekko. - No więc ta forma, fałszywa czy nie, wpłynęła na kształt świata, zgadza się?

Darby, który nie zwrócił uwagi na jego stan, z uśmiechem pokręcił głową.



- Rzeczywistość dopasowała się do niej, lecz w gruncie rzeczy pozostała taka sama...

- Ale dopasowując się - przerwał Daniel - *musiała* się jednak trochę zmienić. Ludzie wierzący potrafią na nią wpływać. Potrafią się unosić w powietrzu, kontrolować umysły innych... Jak mówi Maya, Biblia działa.

- Widzimy świat takim, jakim wierzymy, że się nam ukaże - przyznał Darby. - Jeśli wszyscy wierzą w to samo, zmysły ulegają w końcu deformacji... Chyba że...

- Co?

Darby zakrył usta dłonią. Wyglądało na to, że przyszła mu do głowy nowa myśl.

- Chyba że to, co nazywamy Kolorem, w jakiś sposób się do tej deformacji przyczyniło - powiedział. - Nasi przodkowie uważali, że dziwna materia wpłynie jedynie na powierzchnię planety, ale... Przecież głęboko w morzu wciąż utrzymuje się fluorescencja! A jeśli ta woda, choćby i filtrowana, pita przez wiele kolejnych pokoleń, sprawiła, że... Sam nie wiem... Że, na przykład, powstało jakieś *połączenie*, jakaś zależność między naszą świadomością i rzeczywistością zewnętrzną? To by tłumaczyło, dlaczego świat tak idealnie dopasował się do naszych wyobrażeń... Ale to tylko moje spekulacje... Co ci jest?

Daniel miał trudności z oddychaniem. Czuł się tak, jakby piersi skrępowano mu grubymi powrozami uniemożliwiającymi zaczerpnięcie powietrza. Trzęsącymi się rękoma sprawdził, czy karabin Svenkova jest naładowany, i sięgnął po dodatkową amunicję: ładunki w kształcie pereł zawisły mu u pasa jak długi naszyjnik.

- Hectorze, przywiązałem Mayę do rury pięć poziomów niżej. Zabrałem jej przekaźnik, ale znajdziesz ją bez trudu. Jak będziesz na dole, po prostu zawołaj.

- Nadal sądzisz, że Prawda kontroluje jej umysł?

- W jakimś stopniu, tak. Nastawiając ją przeciwko nam. Bo w ogóle chodziło tylko o to, żebyśmy się nawzajem podejrzewali. Przybyła tu z nami, tak jak mówił Yil, lecz nie jest żadnym z nas.

- A więc kim? Danielu, przerażasz mnie...

Daniel nie odpowiedział. To, czego się domyślał, było zbyt okropne, by dać się ująć w słowa. Postanowił skupić się na sprawach praktycznych. Potrzebował poręczniejszego pistoletu. Rozejrzawszy się, dostrzegł należący do Darby'ego zapinany na piersi pas. Szybko się w niego ubrał.

- Idź po Mayę, Hectorze - rzucił. - Powiedz jej, że jestem na okręcie.

- Na okręcie? Dlaczego?

Daniel uniósł wzrok i na jego kamiennej dotąd twarzy odmalowała się nagle zgroza wymieszana z wściekłością.

- Bo tam jest Prawda - mruknął. - Cały czas tam była.

- Jak to?

- Próbuje coś zrobić. Chciała odwrócić naszą uwagę, żeby mieć czas na zrealizowanie zadania, które jej zlecono. Uwolnij Mayę, Hectorze. Jak cię zobaczy, natychmiast przestanie cię podejrzewać. Ja przestałem. Najważniejsze jednak, żebyście *nie wchodzili* na okręt. Jeśli nie wrócę tu przed wami, zamknijcie wejście do Klucza.

To mówiąc, puścił się biegiem w górę pochylni.

- Danielu! Proszę, powiedz, o co chodzi, a może będę potrafił ci pomóc! Danielu! - wołał Darby.

Daniel wszakże, czując, że liczy się każda sekunda, nawet się nie zatrzymał.

## 5

Maya Müller, przykucnięta przy rurze, do której przywiązał ją Daniel, próbowała zebrać myśli.

Pamiętała, że w którymś momencie, niosąc na plecach zwłoki Anjali, zaczęła nabierać przekonania, że Prawdą jest Daniel Kean. Przekonanie to stało się wreszcie tak silne, że z trudem zmusiła się do chybienia pierwszych strzałów, a później, przez chwilę, naprawdę była zdecydowana go zabić. Jak do tego doszło?

Gdy Daniel przemówił, od razu wszystko zrozumiała: uległa woli Prawdy znajdującej się gdzieś w pobliżu.

Ale kiedy i w jaki sposób pozwoliła jej sobą owładnąć?

Najpierw uznała, że skoro Daniel jest niewinny, w kręgu podejrzeń pozostaje jedynie Darby. Teraz jednak powoli traciła co do tego pewność. A raczej miała ją nadal, ale właśnie brak jakichkolwiek wątpliwości nastrojał ją nieufnie.

Pozwalał przypuszczać, że i to przekonanie, jak poprzednie, zostało jej zaszczeponie przez cudzą wolę.

Usiłowała się uspokoić, odzyskać obiektywny ogląd sytuacji. Wszystko zaczęło się na okręcie, gdy poszli po Anjali. Próbowwała przypomnieć sobie, co tam robili, krok po kroku.

*Kajuty. Kiedy się rozdzieliliśmy.*

Do tego miejsca wszystko było jasne, ale potem zaczęła się biała plama.

*Weszłam do swojej kabiny i... coś się wydarzyło.*

Pamiętała jedynie białą ścianę i zielone krzesło...

*Chwileczkę...* Poczwała ciarki na plecach. *Zielone krzesło, biała ściana.*

Jak to możliwe, że pamiętała *kolory*? Co się z nią działo?

W tym momencie uświadomiła sobie coś jeszcze. Według Rozdziału Ostatniego czarownik mógł zahipnotyzować kogoś samym spojrzeniem, bez udziału słów. Tyle że istniał jeden warunek: obie strony musiały *widzieć*.

Jej powieki zadrżały. Po raz pierwszy od czasu, gdy oślepla, zapragnęła je podnieść. Nie zrobiła tego.

Czuła się zagubiona, przestraszona, ale zarazem pełna energii i gotowa do działania. Postanowiła się uwolnić.

Pierwotnie zamierzała czekać na Daniela albo Darby'ego, lecz teraz nagle zaczęła wychwytywać sygnały, które kazały jej przypuszczać, że będzie potrzebna.

Poradziła sobie błyskawicznie. Zabezpieczenia Daniela nie stanowiły problemu: w gruncie rzeczy przed zrzuceniem więzów powstrzymywała się z własnej woli. Teraz wygięła się tanecznym ruchem i bez trudu zrzuciła pasek Daniela. Rozpięcie zaciśniętego na nadgarstkach łańcuszka było jeszcze łatwiejsze. Nie miała broni, ale nie miała też czasu się za nią rozglądać. Sygnały przybierały bowiem na sile.

Wyczuwała, że Daniel znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

## 6

Dotarłszy do maszynowni, Daniel przystanął, wsłuchując się w ciszę. Skrzypienie broniącej się przed naporem wody gigantycznej konstrukcji zostało za nim: na okręcie panował absolutny, grobowy wręcz spokój.

Niepokojący spokój. Daniel dyszał ciężko, usiłując opanować dzikie bicie serca. Z tego, co widział, w maszynowni nie było chyba nikogo i wszystko wyglądało całkiem normalnie.

Ruszył po schodach w górę, wyciągając przed siebie pistolet i czując, jak zawieszony u pasa zapasowe pociski objają mu się o uda.

Nie potrafił opanować drżenia rąk. Największe przerażenie, wręcz obłądną panikę, budziło w nim nie to, że w końcu miał się spotkać z zabójcą, ale że nie wiedział, w jakiej objawi się on postaci.

Jeden rzut oka wystarczył, by przekonać się, że w sali medycznej również nie ma nikogo. W magazynie wciąż leżały straszne, rozkładające się zwłoki Turmaline. Tylko złote

nici na jej głowie nie straciły nic z dawnego blasku.

Zamknął drzwi. Tam również nie spodziewał się nikogo znaleźć.

*Jest w kajucie.*

Wiedział o tym od tamtej chwili, gdy wszedł do swojej kabiny po prześcieradła i nieświadomie zarejestrował pewien szczegół: obecność przedmiotu, którego nie powinno tam być i którego wtedy właściwie nawet nie zobaczył, bo się go nie spodziewał.

Teraz jednak rozumiał już, co mu wówczas umknęło.

Rozumiał doskonale. I dlatego wyrzucał sobie tchórzostwo, które kazało mu opóźnić nieuniknione spotkanie i niepotrzebnie zaglądać w najbardziej absurdalne miejsca.

*Jest w twojej kajucie.*

*Idź tam wreszcie.*

Wszedł wyżej. Podest, wokół którego rozmieszczone były kabiny, tonął w mroku. Kilkoro drzwi stało otworem. Tylko te, które prowadziły do pokoi zajmowanych kiedyś przez niego i przez Rowena, zostały przez kogoś zamknięte.

Minął podest; zaglądając do otwartych kajut.

Nikogo.

Uchylił drzwi do kabiny Rowena. Zerknął ostrożnie: ciemno, cicho i pusto.

Dłużej nie mógł zwlekać. Przystanął przed drzwiami swojej kajuty, nasłuchując. Żadnych dźwięków. Nacisnął klamkę. Pokój wyglądał inaczej niż poprzednio. Jedną ze ścian zdobił teraz lśniący ekran, na łóżku brakowało pościeli, kilka krzeseł zmieniło miejsce, a na stojącej pod ekranem kanapie, plecami do drzwi, klęczała Bijou. Gdy Daniel stanął w progu, odwróciła głowę i przez chwilę na niego patrzyła.

Była naga i wydawała się lekko oszołomiona. Często mrugała i otwierała usta, jak gdyby ziewając, a na jej twarzy nie malował się nawet ślad tej inteligencji i energii, jakimi ujęła Daniela w Wielkim Pociągu, a potem zachwycała przez pięć cudownych lat „miłości”. Brudne, potargane włosy opadały jej na ramiona dwoma gęstymi pasmami, z których jedno całkowicie zakrywało lewą pierś. Wszystkie te szczegóły, a także kilka innych, różniły obserwowaną przez Daniela osobę od dawnej Bijou, lecz tysiąc innych świadczyło o tym, że jednak była to ona.

- Witaj, Danielu. Wejdz, rozgość się... - powiedziała. - Już kończę... Zaraz pogadamy.

Daniel wszedł, zamknął za sobą drzwi, ale się spod nich nie ruszył. Wyobrażał sobie to spotkanie na wiele sposobów, czegoś takiego się jednak nie spodziewał. O ile mógł sądzić, nie ulegał „hipnozie” ani nie spał - był zupełnie zagubiony. Chcąc się przekonać, że panuje nad swoją wolą, uniósł pistolet, jego potencjalna ofiara wszakże nawet nie drgnęła, zupełnie

jakby nie przejęła się zagrożeniem albo jakby go wcale nie zauważyła. Co oczywiście pasowało do prawdziwej Bijou, bo kto jak kto, ale ona musiała wiedzieć, że Daniel nie potrafiłby do niej strzelić w żadnych okolicznościach, a tym bardziej od tyłu.

*Nie wierz jej. To nie jest Bijou.*

Mimo wszystko opuścił broń. Dziewczyna, bez względu na to, kim była, nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Ciągłe klęcząca na kanapie, bardzo czymś zajęta. Daniel przesunął się nieco, by lepiej widzieć: ujrzał niewielką, podłużną szarą skrzyneczkę wypełnioną kabelkami i połączoną z ekranem. Piękne palce Bijou manewrowały przy niej z wielką ostrożnością.

- Wcale niełatwo to zmontować - oświadczyła dziewczyna, zwracając się ku Danielowi jedynie na krótką chwilę. - Przyjechało tu w częściach, podobnie jak ja... - zachichotała. - Ślęczę nad tym od dłuższego czasu i chciałabym wreszcie skończyć. Usiądź, dlaczego stoisz?

Daniel już otwierał usta, by odpowiedzieć, że nie ma ochoty, ale zrezygnował. W gruncie rzeczy znacznie bardziej niż sama Bijou zajmowało go w tej chwili roztrząsanie szczegółów, które go tu przywiodły.

Rozejrzał się po pokoju. To, czego szukał, znajdowało się obok łóżka. Natychmiast pojął, dlaczego za pierwszym razem nie zwrócił na to większej uwagi: bo wyglądało inaczej niż zwykle. Wcześniej było zawsze zamknięte i zabezpieczone. A nie otwarte. I puste.

- Popełniłaś błąd, zostawiając tak tę urnę - rzucił. Bijou zerknęła na puste pudełko i wróciła do swojej pracy. - Kiedy dokładnie Yil ukradł z niej prochy? W niewoli u tych w maskach? Nie, bałby się ryzykować, że go nakryje... Wtedy tylko zajrzał do mojego plecaka i sprawdził, czy wszystko w porządku. Zostawił to sobie na później. I już tu, na okęcie, wykorzystał jakąś chwilę mojej nieuwagi. Potem, kiedy Anjali Sen odprawiała rytuał z solami, zanim zszedł i ją zabił, wyciągnął ciebie... A ty czekałaś tu aż do tej pory...

- „Wyciągnął” - parsknęła Bijou. - Toż to bluźnierstwo! Rozdział Ostatni mówi o „uwalnianiu z ciasnego zamknięcia”, tak brzmi poprawna formuła, dzięki której może dojść do przemiany. - W tym momencie odwróciła się i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. - *Ale śmierć istnieje, temu nie zaprzeczysz. Dlaczego ona istnieje?*

Daniel skamieniał: takim tonem mówiła prawdziwa Bijou. Stał, wpatrując się w nią, niezdolny przemówić słowa, dopóki nie wytłumaczył sobie, że to przecież jednak nie ona.

- Ty nie jesteś Bijou... Tylko zajmujesz jej ciało, od chwili, gdy porwaliście ją i Yun... - Brakowało mu powietrza, ale zmusił się do mówienia dalej. - Hector Darby nie rozumiał, dlaczego Olsen w ogóle mnie wypytywał, skoro wiedział, że nie będę mógł nic powiedzieć. A

wam chodziło po prostu o to, żeby zabić Bijou na moich oczach, bo wiedzieliście, że zabiorę ze sobą jej prochy. Tyle że choć były to prochy mojej żony, kryłaś się w nich *ty*... - Dziewczyna wzruszyła ramionami i zajęła się znowu szarą skrzynką, jak gdyby mówiła: „A myśl sobie, co chcesz”. - Ale paru rzeczy nie rozumiem - ciągnął Daniel. - Co by się stało, gdybym nie dotrzymał danej Bijou przysięgi? Albo gdyby Maya nie uratowała mnie z katakumb? Albo gdyby nie zabrała stamtąd ciała?

Dziewczyna z początku nie odpowiadała. Potem chyba zmieniła zdanie, zostawiła swoje kable i usiadła twarzą do Daniela, a odrzucając do tyłu skołtunione włosy, odsłoniła na moment straszliwą dziurę w skroni. Daniel wstrząsnął się ze zgrozą.

- Nic by się nie stało. Mam przecież swoje własne ciało, zahibernowane w Tokio. Powrót do niego zajmuje mi trochę czasu, ale jest możliwy. Nie było więc żadnego ryzyka. Istniała za to szansa, że wszystko się uda i dostanę się między was, nie wzbudzając niczyich podejrzeń...

- Jak dowiedzieliście się o przysiędze?

- Opanowany przeze mnie umysł twojej żony zawierał przecież wspomnienia. Początkowo planowaliśmy wykorzystać ją, by ściągnąć cię do Japonii, ale jej przesądny strach przed śmiercią z dała od ciebie naprowadził mnie na właściwy trop. Chociaż, przyznaję, pomysł wyszedł od mistrza Lane'a. Oczywiście mam na myśli Ezrę Lane'a, zwanego Panem. Dowiedziawszy się o przysiędze, Ezra Lane postanowił zmodyfikować pierwotny projekt. To była genialna improwizacja. Moon i Olsen dostali więc polecenie, by mnie „zabić”, niby cię przesłuchując. Dla pocieszenia dodam, że umysł twojej żony już wtedy nie istniał...

- Dlaczego po prostu nie podporządkowaliście sobie któregoś z nas? Po co to całe okrucieństwo?

- Chodziło o coś więcej niż tylko o przejęcie nad kimś kontroli. Żeby kogoś opanować, jak choćby Mitsuko Kushiro albo Mayę Müller, nie potrzebuję nawet odradzać się z popiołów. Chodziło o wejście w czyjeś ciało. A do tego większość z was była stanowczo zbyt potężna. Oprócz ciebie i Darby'ego, rzecz jasna, ale z wami był inny problem: pozostali natychmiast by coś zauważyli. Zresztą, prawdę mówiąc, doktor i tak o mały włos nie pokrzyżował nam planów. Wyczuł moją obecność na Sentosie i owego wieczora zamierzał zapytać cię, czy nie masz przy sobie jakichś... - na ustach Bijou pojawił się uśmiech - ...ludzkich popiołów. To, co podejrzewał, wydawało mu się jednak tak nieprawdopodobne, że długo nic nikomu nie mówił i w końcu nie zdążył... Anjali Sen też się zorientowała, więc Yil musiał uciszyć ich oboje, podobnie jak Turmaline uciszyła zbyt dociekliwego Moona.

Zachowanie sekretu stanowiło warunek powodzenia naszego planu.

- Nie rozumiem w takim razie celu naszej rozmowy na Starej Wieży w Tokio, a potem tej drugiej, nocą, w domu Svenkova...

- Musieliśmy podsycić twoje idiotyczne pragnienie „zemsty”, Danielu Keanie. Nadal nie rozumiesz? Nie mogliśmy pozwolić, żebyś zrezygnował i po odzyskaniu córki wrócił do domu. Graliśmy na twoich uczuciach, bo potrzebowaliśmy cię w charakterze... Powiedzmy, że „tragarza”. Tylko ty pozwalałeś mi podróżować incognito. Sprawy trochę się skomplikowały, kiedy wpadłeś w ręce tamtych podrabianych hybryd, na szczęście był z tobą Pan, a z urną nic się nie stało... Nasz plan był ryzykowny, ale prosty. Prawda i prostota często chodzą w parze... - Wciąż siedziała na kanapie, całkowicie zarzucając swoje manipulacje przy szarej skrzynce, jakby uznała rozmowę z Danielem za pilniejszą. - Jednego nie pojmuję: jak ktoś tak przeciętny, a w dodatku niewierzący, potrafił się domyślić, że tu jestem... Oczywiście, nic już teraz nie możesz zrobić, ale powiedz, skąd wiedziałeś?

- Darby wyjaśnił mi, że wyznawcy Rozdziału Trzynastego umieją wskrzeszać ludzi z popiołów, a ci, którzy wierzą w Rozdział Ostatni, są zdolni kontrolować cudze umysły. Potem przypomniałem sobie, że widziałem tu otwartą urnę. Wtedy zrozumiałem.

- Błąd z urną popełnił Ezra - stwierdziła dziewczyna. - Ale ty popełniłeś dużo większy, przychodząc tu do mnie sam...

Daniel patrzył na nią i nie pojmował, jak mógł sądzić, że to indywidualum choćby z daleka przypomina Bijou. Bijou miała wesołe, inteligentne oczy, szczery, przyjazny uśmiech, pełne energii ciało... A to coś... Poczł mdłości.

- Ty nie jesteś Bijou - powtórzył ze wstrętem i ponownie uniósł pistolet.

Osoba, do której mierzył, nawet nie drgnęła.

- Owszem, tylko tak wyglądam. Co nie zmienia faktu, że znam jej najskrytsze myśli... Wiedziałeś, że twoja żona już od dawna nie darzyła cię tym, co nazywaliście „miłością”? Wiedziałeś, że miała dość twojej beznadziejnej pracy i zamierzała opuścić cię wraz z córką? - Daniel, nieruchomy jak głaz, wciąż ścisnął pistolet. - Prawda rani, czyż nie, Danielu? - I z ust, które wyglądały dokładnie tak samo jak usta Bijou, wydobył się śmiech.

- Kłamiesz.

- To sprzeczne z moją naturą. I nie łudź się, że zdołasz mnie zabić. - Wpatrywała się w niego z natężeniem. - Dlatego dla swojego własnego dobra rzuć broń.

Daniel pokręcił głową: wolno, długo, z uporem. Wtedy usłyszał hałas i zobaczył, że jego ubranie, pistolet i zapasowa amunicja leżą na podłodze. Stał na szeroko rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi rękami, z dłońmi na ramionach. Próbował się poruszyć -

daremnie. Czuł się uwięziony we własnym ciele, jak gdyby został zamknięty w głowie psa prowadzonego przez kogoś na smyczy.

A jednak jakaś część jego woli jeszcze się broniła. Prawda nie sięgała tak głęboko.

- Wyczuwam twój opór - wyszeptały usta Bijou. - Sądysz, że zdołasz się przeciwstawić wyznawcy Rozdziału Ostatniego, Danielu? Na Prawdę nie ma rady, nikt ci tego nie powiedział? - Dziewczyna z uśmiechem podniosła się z kanapy. Wciąż wyglądała jak Bijou, ale jej rysy i cała postać traciły na ostrości. - Połóż się - rozkazała, wskazując łóżko.

I Daniel stwierdził, że leży na brzuchu. Długie palce ujęły go pod brodę, a wtedy przypomniał sobie upokorzenie zaznane ze strony Moona.

- Obróć się - powiedział głos Prawdy.

I Daniel posłusznie się obrócił. Usiłował spowolnić swoje ruchy, ale ledwie pamiętał, czemu tego pragnie. Jego ciało było jak słońce wyginający się do słońca. Dopiero gdy usłyszał: „Dość” - przestało. Znow leżał na brzuchu.

- Dziś Święto Zmarłych, wiesz o tym? - Twarz Prawdy niemal dotykała jego twarzy. - Święta noc masek i strachów. Mogę zrobić z tobą, co zechcę: wywrócić cię na lewą stronę, zmusić cię do wydłubania sobie oczu, sprawić, żebyś stał się mną... - Wyciągnięty groźnie palec niemal dźgnął go w policzek. - Nie zapominaj o tym. A teraz pozwól, że wrócę do pracy, chłopcze. Potem się zabawimy.

Poczuł klepięcie w pośladek.

Ze swego miejsca widział, że postać, która zmierza w stronę kanapy, nie przypomina już wcale Bijou. A przynajmniej on postrzegał ją obecnie inaczej, co nasunęło mu przypuszczenie, że jej moc nie jest stała ani tym bardziej absolutna.

Prawda była mężczyzną. Jego wieku nie dałoby się ustalić, bo choć wyglądał i poruszał się jak młodzieniec, dłonie miał dziwnie pomarszczone. Czarne, niezbyt długie, ale bardzo gęste włosy sterczały mu na wszystkie strony. Jego tors obciskała czarna siateczka z małymi, romboidalnymi okami. Daniel, mimo całego przerażenia, doznał nagłej ulgi, jakby przyłapał zabójcę rozluźnionego w domowym zaciszu.

Tamten musiał się zorientować, że Daniel go obserwuje, gdyż zastygł bez ruchu, krzywiąc się, jakby wyczuł niemiłą woń.

- Co z tobą? - warknął zupełnie innym niż do tej pory głosem. - Koniecznie chcesz trochę pocierpieć przed śmiercią?

- Nie masz żadnej mocy - rzucił Daniel, wciąż nieruchomy na łóżku. - A raczej masz taką, jaką ja ci daję... - Mężczyzna zwany Prawdą przypatrywał mu się niemal z ciekawością. Czarny kosmyk opadł mu na oko. - To, w co wierzysz, jest oszustwem... Darby mi



powiedział... Nie masz nade mną żadnej władzy...

Tamten cofnął stopę, którą postawił już na kanapie, i przykucnął, pomarszczonymi palcami dotykając podłogi.

- Interesujące - rzekł. - Kontynuuj.

- Kazesz się nazywać Prawdą, ale nie masz z nią nic wspólnego. - Reakcją na te słowa były uniesione w zdumieniu brwi. - Jesteś jednym wielkim oszustwem. Jak cały nasz świat. Hector Darby to odkrył. Do tego sprowadza się tajemnica Klucza. - Daniel miał teraz wrażenie, że przemawia przez niego ktoś inny, na przykład sam Katsura Kushiuro. - Gdyby wszyscy przestali nagle wierzyć, straciłbyś całą siłę. Potrafisz zająć martwe ciało tylko dlatego, że przez wieki ludzie wyobrażali sobie, że to możliwe. Ale dzięki Kluczowi świat się zmieni.

Zaległa cisza. Przykucnięty na podłodze mężczyzna trwał w bezruchu: wyglądał, jakby szykował się do ataku. Jego wzrok wywoływał dreszcze, w głębi tych oczu czas zdawał się zamierać, a świat - kończyć. Wreszcie, po dłuższej chwili, jak gdyby odczekawszy uprzejmie, czy Daniel nie ma aby jeszcze czegoś do powiedzenia, tamten rzekł:

- Wszystko to... zaiste... interesujące. Ba, nawet prawdopodobne. I właśnie dlatego muszę skończyć, co zacząłem. Mimo że mój pracodawca już nie żyje. Zresztą, i tak zawsze wymagam zapłaty z góry... - oświadczył z uśmiechem. - A teraz milcz - dodał innym tonem.

Daniel zamknął usta i choć bardzo się starał, nie umiał ich z powrotem otworzyć. Tamten natomiast dźwignął się z podłogi i wrócił na kanapę. Gdy zamykał swoją szarą skrzynkę, Daniel zorientował się, że to nie żadna skrzynka, tylko scriptorium, w którym Yil przechowywał obraz swego ojca.

- Twoje słowa utwierdziły mnie w przekonaniu, że mistrz Ezra Obed Lane całkiem słusznie chciał zniszczyć to miejsce. O, już prawie skończyłem... Yil przydźwigał to w swoim plecaku. I warto było. Materiału wybuchowego nie jest zbyt dużo, ale dość, żeby zniszczyć okręt i zrobić dziurę w powłoce Klucza. Ciśnienie dokończy dzieła. A że Ezra Obed nie żyje, nie muszę nawet uruchamiać łodzi ratunkowej. Będę miał dość czasu, żeby przenieść się z powrotem do swojego prawdziwego ciała. Ty zaś umrzesz obok prochów żony, nie cieszysz się? Ponieważ jednak udzieliłeś mi pięknej lekcji na temat rzeczywistej natury świata, nie chcę cię tak tutaj zostawiać...

Słyszac rozkaz, Daniel poderwał się i stanął sztywno przy jednym z krzesel, z szeroko rozstawionymi nogami i rękoma za głową.

- Uklęknij i weź z podłogi pistolet.

Dłoń Daniela poruszała się całkiem niezależnie od niego. Palce zacisnęły się na

zimnej kolbie.

- Chciałbyś wiedzieć, dlaczego istnieje śmierć? - powiedział głos Bijou, wydobywający się z ust, które znowu do złudzenia przypominały jej usta. - Obawiam się, że trochę potrwa, zanim to zrozumiesz. Ale czekając na prawdę, nie będziesz się nudził. Ból cię rozerwie. A może i zmotywuje do przemyślenia wszystkiego ponownie... - Daniel poczuł na sobie spojrzenie jej oczu. - Strzel sobie w brzuch. Tylko raz.

Daniel ujrzał, jak lufa podnosi się z wolna i kieruje w jego stronę.

*On nie ma nade mną władzy.*

Zimne żelazo dotykało już jego skóry.

Nagle na twarzy Prawdy odmalowało się niezadowolenie, jakby ktoś przerwał mu zabawę.

- Twoi przyjaciele tu idą.

ON NIE MA NADE MNĄ WŁADZY.

Może to była kwestia chwilowej nieuwagi tamtego, a może Danielowi udało się wreszcie przekonać siebie - dość, że znowu poczuł się panem własnego ciała.

Bez wahania zwrócił lufę pistoletu w stronę Prawdy i wystrzelił.

Drobna postać Bijou zatoczyła się do tyłu i upadła. Kiedy podniosła się z powrotem na nogi, wyglądała już zupełnie inaczej. Daniel znów widział Prawdę, z jego czarnymi włosami i prastarymi oczyma. Z dziury w jego piersi nie płynęła krew. Wyraźnie nie przejmował się raną: bez trudu wyrwał biegnącą wzdłuż ściany cienką metalową rurę i nie spuszczając wzroku z Daniela, uderzył z całej siły w pobliskie krzesło, które rozpadło się na drzazgi.

- Jak to dobrze, że twoja żona uprawiała fechtunek - rzucił. - Jej mięśnie są w doskonałym stanie.

Bez pośpiechu uniósł pręt. Cały czas wpatrywał się w Daniela zimnym, uporczywym spojrzeniem i Daniel, który już zamierzał strzelić powtórnie, zawahał się. On chce, żebym to zrobił, pomyślał.

Wiedział przecież, że w ten sposób nie wyrządzi mu najmniejszej szkody. Zmienił więc zdanie, rzucił pistolet i rzucił się na Prawdę z gołymi rękoma. Tamten, zaskoczony, nie zdążył uderzyć. Cofnął się, pręt wypadł mu z ręki.

Potoczyli się po podłodze, walcząc o to, kto znajdzie się na górze. Wtedy Daniel wyczuł coś dziwnego.

Jego przeciwnik zdawał się tracić siłę i zręczność. Po kilku chwilach przestał nad nim górować, a wręcz zaczął mu ustępować - i Daniel chyba wiedział dlaczego. Chce *wrócić do swojego prawdziwego ciała*, ale sam *mówił, że potrzebuje na to trochę czasu...* Korzystając z

osiągniętej przewagi, Daniel usiadł mu na piersi i zaczął uderzać jego głową o podłogę.

- Nie możesz mnie zabić! - pisnął głos, wydobywający się znowu z ust Bijou. Jej zaczerwienione oczy patrzyły błagalnie. Mimo zgrozy, która go ogarnęła, Daniel nie przestawał. - Jestem tym, co zobaczysz tuż przed śmiercią, wszystkim, co w tobie najgorsze, miejscem, w którym znajdziesz się, gdy umrzesz... Nazywają mnie Praw... - Twarz Bijou raz jeszcze się rozplynęła. Z gardła Prawdy wydobył się ochryply krzyk. Daniel, z twarzą wykrzywioną bolesnym grymasem, wstał chwiejnie i chwycił leżący obok pręt.

- Od tej pory prawda będzie miała jakąś inną postać - powiedział.

Otwarte usta rozciągniętego na podłodze mężczyzny odbiły się w gładkiej powierzchni spadającego błyskawicznie pręta.

Po dłuższej chwili Daniel się zorientował, że u jego stóp pozostała jedynie kupka popiołu - prochy Bijou, tej jedynej, prawdziwej.

- Daniel! - rozległ się głos stojącego w progu Darby'ego.

- Tu jest bomba - rzekł Daniel, wskazując szarą skrzynkę.

Maya, która szła za Darbym, mimo wciąż niesprawnego kolana wskoczyła na kanapę.

- Uruchomiona bomba - jęknęła z przerażeniem.

Darby rzucił się w jej stronę. Gdy ostrożnie zdjęli wieko, przyjrzał się kablom, a potem zwrócił ku Danielowi twarz, na której malowała się rozpacz porażki.

- Wybuchnie za niecałą minutę... Maya, da się to jakoś rozłączyć?

Dziewczyna przesuwiała palcami po kolejnych kablach, tak szybko i delikatnie, jak na to pozwalała jej poraniona dłoń. Na koniec potrząsnęła głową.

- Nie wiem, który to kabel. Jest ich czternaście, ale tylko jeden właściwy. Jeśli pociągniemy za inny, wylecimy w powietrze od razu.

- Musimy zaryzykować - oświadczył Daniel.

Maya ponownie przesunęła ręką po przewodach i podjęła decyzję. Już zaciskała na nim palce, gdy Daniel krzyknął:

- Poczekaj!

Przyklękł obok niej i pochylił się nad skrzynką.

*Czternaście kabli.*

Zamknął oczy, usiłując sobie przypomnieć. Trzydzieści czerwonych i jeden biały, a wszystkie wszczępione w okaleczoną pierś Klausa. Biały kończył się pętelką zaciśniętą na jego kciuku. Daniel doskonale pamiętał który. Próbował go przeciąć razem z Moonem.

Trzeci od lewej.

*Kto wie, dlaczego my, wybrańcy, zostaliśmy wybrani?*

A jeśli wszystko to było częścią planu? Może Katsura Kushiro przewidział tę właśnie konkretną chwilę i najważniejszą wiadomość zakodował w ciele Klausa Siegla? Jak to mówił Darby? Wprawdzie najkrótsza droga z jednego pokoju do drugiego wiedzie przez ścianę, lecz my, istoty ludzkie, musimy niestety używać drzwi i korytarzy...

Ale on, Daniel, nie wierzył. Zwłaszcza w ten cały niby plan...

- Danielu! - krzyknął Darby. - Cokolwiek zamierzasz zrobić, zrób to teraz!

Daniel otworzył oczy i spojrzał na wyświetlacz. Zostało pięć sekund.

5,4...

Ujął w palce trzeci kabel od lewej. Przypomniał sobie, że gdy pociągnął za niego w Wielkim Pociągu, rozpoczął się koszmar.

2,1...

Klik.

## *Epilog*

Na Sentosie było spokojne popołudnie. Horyzont mienił się pomarańczowo i złociście. Ceremonia dobiegała końca. Przemawiał Hector Darby - słowami pełnymi ciepła i wspomnień. Choć trzymał w dłoniach *Najświętszą Biblię Miłości i Sztuki*, nie zajrzał do niej ani razu.

Daniel, w rytualnej masce i płaszczu, ścisnął Yun za ramiona, kiedy urnę ze straszliwie niegdyś sprofanowanymi prochami Bijou - tymi, które udało się zebrać z podłogi na okręcie - opróżniano nad brzegiem urwiska. To samo uczyniono z prochami Meldona Rowena, Anjali Sen i Jeremy'ego Yina Lane'a, którego potraktowano jak pozostałych, ponieważ Darby nalegał, przekonując, że choroba usprawiedliwiała straszne czyny biednego Yila. Później, kiedy wiatr rozsypał popioły nad morzem, wszyscy zdjęli maski i ruszyli w drogę powrotną.

Mimo ogólnego smutku Yun się uśmiechała, tuląc się do boku Daniela. Według słów Lanii stała się znacznie spokojniejsza od jego powrotu. Przy powitaniu, całując go z niedzieliącą powagą, powiedziała:

- A więc nie zostałeś w tym ciemnym pociągu, tato.

I Daniel widział, że stopniowo przychodzi do siebie.

Owego popołudnia, po ceremonii, zszedł do salonu, gdzie zwykł wraz z Mayą i Darbym wieść długie dyskusje o Kluczu. Były to ważne rozmowy, nie tylko dla nich trojga. Darby podał ich wspólne odkrycie do wiadomości publicznej i wiele uniwersytetów, a także ośrodków religijnych z całego świata już przysłało im zaproszenia. Trwały też przygotowania do wielkiej wyprawy badawczej, która miała wyjaśnić resztę zagadek Klucza, i choć pojawiło się wielu sceptyków - nie tylko wśród ludzi wierzących - nie ulegało wątpliwości, że rewelacje Darby'ego wpłyną na coś więcej niż tylko opinię kilku bibliofilów.

Darby'ego nie było jeszcze w salonie, lecz Maya czekała już, stojąc przy oknie z widokiem na ciemniejący ogród. Miała na sobie dopasowaną czarną tunikę i wyglądała prawie tak samo jak owego pierwszego dnia w domu Darby'ego.

Z jedną różnicą.

Daniel dostrzegł to w odbiciu w szybie okiennej.

- Maya! Twoje oczy...!

Skoczył ku niej, podczas gdy ona, wydając okrzyk strachu, obracała się błyskawicznie w jego kierunku. Twarz miała zaczerwienioną, a powieki - spuszczone.

- Otworzyłaś oczy! Widziałem! - Łagodnie ujął ją pod brodę i przyjrzał się tej twardej, a zarazem słodkiej twarzy zastygłej teraz w wyrazie uporu. Gałki oczne drgały pod powiekami jak trzepoczące się w zamknięciu ptaki. Maya się odwróciła. - Twoje oczy... są normalne...

Chciał dodać: „I piękne”, ale ona gwałtownie pokręciła głową.

- Są straszne... Ośleplam, kiedy zobaczyłam *tamto*...

- A jeśli to nieprawda? A jeśli po prostu w to uwierzyłaś? Mayu, może tak jest i w twoim przypadku... - Kręciła głową coraz szybciej. - Spróbuj! Przecież widziałem, że je otworzyłaś! Spróbuj jeszcze raz!

- Boję się - szepnęła, a jej powieki uniosły się odrobinę, lecz tylko po to, by wypuścić dwie grube łzy. Daniel objął ją, czując, że cała dygoce. - Coś się we mnie zmienia! Nie wiem, co to znaczy, ale... Wcześniej wyczuwałam rzeczy pod ziemią! Wyczuwałam Miasto! A teraz... wszystko się skomplikowało!

Próbował ją uspokoić. Wiedział, że potrzebuje jedynie czasu. I wiedział też, że - jak mówił Darby - za ich życia nic się specjalnie nie zmieni. Musiało minąć kilka pokoleń. Tymczasem jednak... Może biedna, oślepla ze strachu dziewczyna mogłaby ujrzeć wreszcie trochę światła? Dlaczego nie?

Uśmiechnął się i musnął jej powieki opuszkami palców.

- Jeszcze nie są gotowe... Ale pewnego dnia zobaczysz, jak zmienia się moja twarz, gdy się uśmiecham... Choć zapewne nie ma co tak znowu tęsknić do tego widoku...

Zaśmiała się słabo.

- Przestań.

Patrząc na nią, Daniel zastanawiał się, czy to, co się między nimi nawiązywało, można było nazwać „miłością”. Jeszcze nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie, ale czuł potrzebę, by się o Mayę troszczyć. A troska stanowiła zawsze nieomylny sygnał, że „sztuka” powoli ustępuje miejsca „miłości”.

- Przepraszam - odezwał się Darby od progu. - Jeśli przeszkadzam, to...

Zapewnili go, że bynajmniej. Wszedł więc, trzymając w dłoniach Biblię, którą miał ze sobą w czasie ceremonii. Daniela jednak, który zdążył go już trochę poznać, bardziej zainteresował wyraz jego twarzy. Ten błysk w oku mógł oznaczać tylko jedno.

- Przyszła ci do głowy kolejna szalona myśl...

- Też mi się tak zdaje - uśmiechnęła się Maya.

- Może i tak... - przyznał Darby, drapiąc się po łysinie. - Ale najpierw chciałem wam przekazać dwie wiadomości. Obie niespodziewane... Po pierwsze rodzina Meldona poinformowała mnie przed chwilą, że... dostałem w spadku ten dom - rozłożył ręce. - Nigdy bym nie przypuszczał... Biedny Rowen... No i chciałem wam powiedzieć, że mój dom jest waszym domem. A nawet bardziej waszym niż moim, bo postanowiłem wrócić do Europy. Jestem człowiekiem Północy. Gdybym zamieszkał na Sentosie, moje cudownie postarzałe, męskie, biologiczne ciało niechybnie upodobniłoby się do waszych, obrzydliwie młodzieńczych i androginicznych... - Mówił z niezwykłym ożywieniem, które wszakże, jak Daniel doskonale wiedział, nie miało wiele wspólnego z wieścią o spadku. - Wy jednak możecie tu zostać, jeśli chcecie. A że dostaniemy też sporą sumkę za te wszystkie wykłady, na które nas zapraszają, chyba powinniście się zacząć uważać za ludzi bogatych...

Sama myśl, że Yun mogłaby dorastać na Sentosie, wydawała się Danielowi niewiarygodna. Popatrzył na Mayę, która uśmiechała się drwiąco.

- Hectorze, zdaje się, że zamierzałeś nam powiedzieć coś jeszcze...

Darby poczerwieniał, jak dziecko szykujące świetny dowcip.

- Cóż, rzeczywiście... Właśnie dostałem odpowiedź na pewien list, który wysłałem do Niemiec. Bardzo interesującą odpowiedź. Pamiętacie Shara, tego ucznia Mitsuko, od którego Ezra Obed dowiedział się o planie Katsury Kushiro? No więc Shar był przyjacielem Klausa... Bardzo bliskim przyjacielem...

- Cóż za zbieg okoliczności - mruknął Daniel.

- Albo i coś więcej - uśmiechnął się Darby. - Może Shar, między pocałunkami, powiedział Klausowi na przykład: „Wiesz, tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie, w Wielkim Pociągu do Hamburga dojdzie do niezwykle istotnego objawienia”... A Klaus, biedaczek, uwierzył mu na słowo i postanowił zostać bohaterem legendy...

Daniel zastanawiał się przez chwilę nad tą zdumiewającą możliwością.

- Sugerujesz, że... to wszystko było wymysłem Klausa?

- Ale Hectorze - zaprotestowała Maya - przecież to, czego Daniel dowiedział się w pociągu, pozwoliło nam znaleźć i ocalić Klucz!

- Maya ma słuszość - rzekł Daniel. - Gdybym nie zapamiętał, o który kabel chodziło...

- A jeśli to kwestia kolejnych zbiegów okoliczności? - przerwał mu Darby. - Albo naszych pragnień, żeby rzeczywistość wyglądała tak, a nie inaczej? - Pomachał trzymaną w

dłoni Biblią. - Albo... zwykłych fantazji?

- Nie rozumiem - zmarszczyła brwi Maya.

- Mielicie rację: przysłała mi do głowy następna szalona myśl na temat naszej Księgi - odłożył gruby tom na stolik i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem po pokoju. - Przeczytałem na nowo wszystkie czternaście rozdziałów, zastanawiając się nieustannie, czym właściwie są. A raczej, czym *były*... Bo jeśli nie opisują rzeczywistego świata, co znaczą i po co zostały napisane?

- Tłumaczyłeś nam, że to dzieło jakichś fanatyków, którzy mylnie sądzą, że tak jest naprawdę - zauważyła Maya.

- Może... - mruknął Darby. - Ale wpadłem na jeszcze inny pomysł. To na razie tylko teoria, niepotwierdzona, jak wszystkie prawdziwe teorie tuż po wymyśleniu...

- I jak wszystkie fałszywe - dorzucił Daniel.

- A jednak - zaśmiał się Darby - ta wydaje się wystarczająco dziwna, żeby mogła okazać się prawdziwa. Bo widzicie... Do tej pory sądaliśmy, że te teksty zostały napisane z pobudek religijnych albo naukowych. Nie wzięliśmy pod uwagę możliwości, że ktoś je zwyczajnie wymyślił... To znaczy, świadomie, specjalnie... Historycy twierdzą, że kiedyś istnieli poeci, którzy kłamali, żeby rozerwać czytelników...

W ciszy, która zapadła, Daniel obserwował, jak Maya przybiera surowy wyraz twarzy.

- Pamiętaj, że mówisz o Biblii, Hectorze - powiedziała dobitnie. - O Świętej Księdze. Najważniejszej ze wszystkich.

- Losowo wybranej przez scriptorium - odparł Darby.

- I przyjętej przez nas, ludzi, bynajmniej nie losowo - ucięła. - Wciąż próbuję się pogodzić z myślą, że przedstawiony tam świat nie odpowiada naszemu. Nie pozwolę, żebyś w dodatku bluźnił...

- Nie miałem takiego zamiaru - rzekł przepaszająco Darby. - Po prostu czytałem te teksty na świeżo i... Doszedłem do wniosku, że wszystko, co się przydarza ich bohaterom, jest bardzo dziwne. Więc dlaczego...

- Dlatego - przerwała Maya - że *Księga Miłości i Sztuki* została stworzona po to, by dotrzeć do prawdy. I nawet jeśli ten zamiar się nie powiódł, nie wolno nam zakładać, że chodziło o głupi żart.

- Nic takiego nie powiedziałem...

Zapadło milczenie. Daniel, chcąc rozładować napięcie pierwszą lepszą uwagą, sięgnął po książkę odłożoną przez Darby'ego na stół i wskazał na jej okładkę.

- Przepraszam, Mayu, ale... Może to głupie... Nie wiem, czy zauważyliście, że



prawdziwy tytuł Biblii nie brzmi wcale, jak zwykle się mówić, *Księga* albo też *Biblia Miłości i Sztuki*, tylko *Biblia Miłości Rzemiosła*. Ciekawe, czy to coś znaczy.

Maya pospieszyła z odpowiedzią.

- Oczywiście. To *Księga Miłości*, ponieważ mowa w niej o wzlotach ducha, ideałach i czających się za nimi cieniach - mówiła z przejęciem, jak mała dziewczynka recytująca wyuczoną lekcję. - *Księga Rzemiosła*, ponieważ pokazuje ludziom, w jaki sposób powinni radzić sobie ze światem w praktyce...

- Tak, wiem, ale...

- W ten sposób - ciągnęła Maya, nie pozwalając mu dojść do słowa - obejmuje wszystkie sfery interesujące człowieka: sferę ducha i sferę rzeczywistość - zewnętrzną... Miłość i Rzemiosło.

Tam nie ma żadnego „i”, pomyślał Hector Darby, wpatrując się w okładkę, lecz przezornie nic nie powiedział. Maya znowu zwróciła się w jego stronę.

- Hectorze, szanuję twoje teorie i nie mogę negować faktów, uważam jednak, że powinieneś zachowywać większą ostrożność. Przez całe życie wierzyłam w naszą Księgę i teraz... Pewnie zdołam uznać, że nie do końca odpowiada rzeczywistości, ale nie przekonuj mnie, proszę, że wyszła spod pióra żartownisia, który chciał zakpić sobie z przyszłych pokoleń. Ktokolwiek ją napisał, musiał w nią *wierzyć*... To nie była zabawa.

Darby skinął w milczeniu głową, ale kiedy po chwili przemówił, nie sprawiał wrażenie przekonanego.

- Chodziło mi tylko o to, że żyliśmy w strachu, którym napawało nas te czternaście rozdziałów, podczas gdy niewykluczone, że są one jedynie wymysłami przeznaczonymi dla rozrywki...

- Co napawałoby mnie jeszcze większym strachem - szepnęła Maya. Jej powieki drgały, ale nie otworzyła oczu. - Wybaczcie - dodała po chwili.

Daniel i Darby patrzyli, jak idzie w stronę drzwi - z jej kolanem było coraz lepiej, lecz wciąż lekko utykała - a potem je cicho za sobą zamyka. Daniel się uśmiechnął, jakby próbował zbagatelizować to, co zaszło.

- Jest podenerwowana... Zniosła to wszystko dużo gorzej niż my...

- Wiem, idiota ze mnie... - mruknął z irytacją Darby. - Żałuję, że sprawiłem jej przykrość. Zresztą, jakie mam dowody? Przecież dane ze scriptorium w Kluczu mogły tysiąc razy ulec zafałszowaniu. Nic się nie zachowało! Nic!

Podczas gdy Darby nerwowo przemierzał salon, Daniel stał, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu przeniósł spojrzenie na grubą książkę w czarnych okładkach.

Wytłoczony złotymi literami tytuł głosił: *Święta Biblia Miłości Rzemiosła*. Był to ładny, choć nieco zniszczony egzemplarz. Daniel wziął go do ręki i przetał skrajem swojego szala. Z zadowoleniem stwierdził, że napis - w uniwersalnym języku zwanym „angielskim” - widać teraz dużo lepiej:

*The Holy Bibie of Love Craft.*

## *Od autora*

Napisać powieść opartą na dziele H.P. Lovecrafta, nie wspominając jego nazwiska - no dobrze, wspominając *raz* - ani imion stworzonych przez niego ponurych bogów, napisać ją tak, by trafiła do tych, którzy nigdy nie zetknęli się z jego opowiadaniem - to było ciekawe wyzwanie. Pomysł, żeby traktować twórczość Lovecrafta jako rodzaj religii, ma długą tradycję w świecie literatury fantastycznej i wydaje się w jakiś sposób uzasadniony: genialny „prorok” z Providence powołał przecież do życia nowe bóstwa, zgromadził wokół siebie wiernych uczniów, wymyślił rytuały i modlitwy. Jednakże, w miarę jak postępowała praca nad tą książką, otwierały się przede mną kolejne, niezwiązane już z Lovecraftem możliwości. Co nie zmienia faktu, że bez niego ta powieść by nie powstała. Płomień jego wyobraźni ogarnął mnie przed trzydziestu laty i tak pozostało do dziś. Dziękuję za to magiczne światło, panie Lovecraft!

Dług wdzięczności zaciągnąłem też względem wielu innych osób, które tu i tam, w tym świecie i w innych, wspomagały mnie przy realizacji mojego projektu. Jack Jaeger, Robert Wermler Senior i - szczególnie - Will Forman, specjalista w dziedzinie budowy łodzi podwodnych, niezmordowanie prowadzili ze mną dialog na temat otchłani i rozmaitych metod pozwalających do niej dotrzeć (i w niej zamieszkać). Dziękuję im trzem, a także tym, którzy w Japonii i Nowej Zelandii pomogli mi lepiej zrozumieć to wszystko, o czym później wprawdzie *nie napisałem*, ale co miało decydujący wpływ na napisaną resztę. Nie chciałbym też pominąć okazji, by wspomnieć o doskonale zorganizowanym New Zealand International Arts Festival i wspaniałym przyjęciu, jakiego tam doznałem.

Moje agentki, Carina Pons, Gloria Gutierrez i Carmen Pinilla, z agencji Carmen Balcells, potrafią dokonać czegoś magicznego: przekształcić zgromadzone w komputerze abstrakcyjne idee w książkę zdolną dotrzeć do każdego Czytelnika. Dziękuję im też za nieustanne wsparcie i zachętę.

Nie mniej istotna jest rola Czytelników, którzy z kolei gotową książkę przekształcają z powrotem w abstrakcyjne idee, wracające do mnie za pośrednictwem tego samego komputera, dzięki Internetowi, forum na mojej stronie i innym forum. Dziękuję wszystkim, którzy biorą

udział w tym magicznym procesie.

I wreszcie: bez Marii José, José i Lazaro nic z tego (nie wyłączając mnie) nie miałyby sensu.

## *Biblia Miłości Rzemiosła*

Załączam listę Czternastu Rozdziałów czczonej w świecie Daniela Keana Biblii, wraz z tytułami odpowiadających im Lovecraftowskich historii z cyklu *Mitów o Cthulhu*. Zainteresowany Czytelnik będzie mógł sprawdzić, w jaki sposób wierzenia opisane w poszczególnych rozdziałach tej powieści wiążą się z opowiadaniem Lovecrafta.

Rozdział Pierwszy	<i>Azathoth (fragment)</i>
Rozdział Drugi	<i>Zapomniane Miasto</i>
Rozdział Trzeci	<i>Ceremonia</i>
Rozdział Czwarty	<i>Zew Cthulhu</i>
Rozdział Piąty	<i>Kolor z przestworzy</i>
Rozdział Szósty	<i>Koszmar w Dunwich</i>
Rozdział Siódmy	<i>Szepczący w ciemności</i>
Rozdział Ósmy	<i>Sny w domu wiedźmy</i>
Rozdział Dziewiąty	<i>Duch ciemności</i>
Rozdział Dziesiąty	<i>Cień nad Innsmouth</i>
Rozdział Jedenasty	<i>Cień spoza czasu</i>
Rozdział Dwunasty	<i>W górach szaleństwa</i>
Rozdział Trzynasty	<i>Przypadek Charlesa Dextera Warda</i>
Rozdział Czternasty	<i>Coś na progu</i>

Przywołane na początku książki „fragmenty przedbiblijnych tekstów o nieznanym pochodzeniu” zaczerpnąłem, kolejno, ze swojej powieści pod tytułem *Dafne znikająca* i z *Apokalipsy św. Jana*. Przepraszam za cytowanie samego siebie, ale na swoje usprawiedliwienie dodaję, że pomysł *Klucza do Otchłani* zrodził się pod wpływem tego właśnie akapitu z *Dafne*.

JCS

Madryt, 2007

## *Od tłumaczki*

Ponieważ opowiadania Lovecrafta były już tłumaczone na język polski, podaję je w przekładach Ryszardy Grzybowskiej i Roberta P. Lipskiego. W przypadku jednego z nich, angielskiego *The Festival*, zmieniłam polski tytuł *Festyn* na *Ceremonię*, ponieważ lepiej oddawało to ducha powieści José Carlosa Somozy. Co do „fragmentów o nieznanym pochodzeniu” - *Dafne znikającą* cytuję w przekładzie Agnieszki Mazuś, Apokalipsę zaś za Biblią Tysiąclecia.

*Barbara Jaroszuk*